



MIKE  
SHEPHERD

==== KRIS ====  
LONGKNIFE

BUN  
TOW  
NICZ  
KA



fabryka słów  
WARSZAWA

**Mike Shepherd**

**Buntowniczką**

Kris Longknife 1

*Przełożył Justyn Łyżwa*

# ROZDZIAŁ 1

Tam, na dole, znajduje się przerażone dziecko.

Baryton komandora Thorpea odbijał się od twardych metalowych ścian pokładu desantowego „Tajfun”. Marines, którzy jeszcze przed chwilą sprawdzali kombinezony bojowe, broń i dusze przed misją ratunkową, zamarli zasłuchani.

Uwaga podporucznik marynarki Kris Longknife była podzielona – jedna połowa sprawdzała uważnie, jaki wpływ wypowiedziane słowa wywierają na kobiety i mężczyzn, którymi wkrótce będzie dowodzić. W swym krótkim, dwudziestodwuletnim życiu słyszała już wiele pięknych przemówień. Druga część umysłu po prostu wsłuchiwała się w porywające wystąpienie dowódcy. Od dawna czyjeś słowa nie wywarły na niej takiego wrażenia: włosy jeżyły jej się na karku i była gotowa rozerwać jakiegoś sukinsyna na strzępy.

– Cywile próbowali ją odzyskać. – Kris mierzyła długość zrobionej pauzy. Była idealnie obliczona. – Nie udało im się. Teraz poprosili o „spuszczenie psów”.

Marines, którzy ją otaczali, gotowi byli kąsać na każde skinienie dowódcy. Tymczasem ona pracowała z nimi zaledwie od czterech dni. Ponieważ „Tajfun” znajdował się w stanie dwugodzin-

nej gotowości, komandor Thorpe zmuszony był opuścić port kosmiczny dokładnie dwie godziny po ogłoszeniu alarmu. I zrobił to, nie zważając na brak połowy załogi, w tym porucznika marines, dowódcy plutonu desantowego.

A teraz podporucznik marynarki Longknife stała w otoczeniu piechocińców, którymi miała dowodzić w zastępstwie nieobecnego oficera. Starszy wyjadacze, którzy spędzili po trzy, a niektórzy nawet i dwanaście lat w korpusie, aż się palili, by wreszcie zrobić coś niebezpiecznego.

- Trenowaliście, wylewaliście litry potu - staccato słów komandora przypominało karabin maszynowy - przygotowawaliście się do tej chwili, odkąd wstąpiliście do korpusu. Jesteście w stanie uratować tę porwaną dziewczynkę z zamkniętymi oczyma.

Mdłe światło pokładu desantowego nie było w stanie ukryć blasku w oczach, zaciśniętych pięści. Tak, ci żołnierze byli gotowi, wszyscy z wyjątkiem jednej pani podporucznik modlącej się w duchu: „Boże, nie pozwól mi tego spieprzyć!”

- A teraz, marines, przygotować się do desantu! Skopcie tyłki kilku terrorystom i oddajcie tę małą dziewczynkę w ramiona matki, gdzie jej miejsce.

- Taaajeeeest! - odpowiedział tuzin nakręconych kobiet i mężczyzn, gdy komandor powoli

szedł w stronę wyjścia. No, jedenaścioro maksymalnie zmotywowanych marines i jedna wystraszona podporucznik. Kris włożyła w swój okrzyk tę samą wściekłą pewnością co pozostali.

Tu nie było miejsca na spokój i wyciszenie, znane z politycznych przemówień jej ojca. Tu było to coś, dla czego Kris wstąpiła do marynarki wojennej. Coś rzeczywistego, czego mogła doświadczyć osobiście. Dość już niekończących się wystąpień bez żadnego efektu. „Tato! Gdybyś mógł mnie zobaczyć. Mamo! Powiedziałaś, że marynarka wojenna to strata czasu! Nie dziś!”

Kris odetchnęła głęboko, widząc, jak jej pluton powraca do przygotowań. Zapach oporządzenia, amunicji, smaru i uczciwego ludzkiego potu podziałał na nią jak ostroga. To było jej zadanie i jej ekipa. Zobaczy dziś tę dziewczynkę w domu całą i zdrową. Ten dzieciak będzie żył!

W jej pamięci pojawił się obraz innego dziecka. Nie odważyła się na dalsze wspomnienia.

Komandor Thorpe zatrzymał się na wprost niej. Spojrzał jej w oczy.

- Niech pani nie próbuje myśleć, poruczniku [W polskim systemie używania stopni wojskowych żołnierz, mówiąc o sobie, przedstawiając się, używa pełnej nazwy stopnia, np.: sierżant sztabowy, podporucznik, generał brygady itd. W przypadku zwracania się do żołnierza wykorzy-

stuje się formę skróconą: sierżancie, poruczniku, generale, niezależnie od tego, jaki dokładnie stopień nosi żołnierz (przyp. tłum.)] – warknął szep-tem – proszę zaufać wyczuciu. Niech pani zaufa plutonowi i sierżantowi. Są dobrzy. Admiralicja myśli, że pani ma w sobie to coś, nawet jeśli pochodzi pani z tych Longknife’ów. Zobaczmy, kim pani naprawdę jest. Tych drani na dole należy rozdeptać. Ale jeśli jest pani taka jak pani staruszek, proszę przekazać dowodzenie sierżantowi, on wykona zadanie. A ja przerzucę panią na kolana mamusi, żebyście mogły sobie podyskutować o nadchodzącym balu debutantek.

Kris odpowiedziała pełnym wyrazu spoj-zeniem. Jeździł po niej, odkąd pojawiła się na pokładzie, ciągle okazywał niezadowolenie i we wszystkim doszukiwał się błędu. Ale ona jeszcze mu pokaże!

- Tak jest! - wykrzyczała mu w twarz.

Żołnierze wokół niej widzieli tylko, że do-wódca rozmawia z podporucznik, nie mieli jednak pojęcia, czego wymiana zdań dotyczy. Zmarszczone brwi, skrzywiona twarz, gniewne warknięcia, to było wszystko, czego doświadczała od koman-dora od chwili wejścia na pokład. Czyżby teraz w wyrazie twarzy przełożonego zauważyła jakąś no-wą zmarszczkę, nowy grymas ust? Odwrócił się zbyt prędko, by mogła to stwierdzić z całą pewno-

ścią.

To nie jej wina, że wszystkie akty prawne dotyczące Wardhaven w ciągu ostatnich ośmiu lat podpisane zostały przez jej ojca. Nie odpowiadała przecież za przodków umieszczających jej nazwisko w każdej możliwej książce do historii. Co by zrobił komandor, gdyby musiał wychowywać się w cieniu takich osobistości? Byłby zapewne tak samo zdesperowany jak ona, by samodzielnie zapracować na własne dobre imię. Właśnie dlatego wstąpiła do marynarki.

Strach przed porażką wywoływał u Kris dreszcze, ale próbowała je zwalczyć. Odwróciła się w stronę szafki i zaczęła dopasowywać standardowy kombinezon kosmiczny, rozmiar trzy. We wszystkich użytkowanych przez nią dotychczas cywilnych kombinezonach było wystarczająco dużo miejsca, aby schować w ich wnętrzu komputer osobisty. Ale też żaden nie był wykonany z centymetrowej grubości półsztywnych płyt pancernych. Umieszczenie Nelly, wartej więcej niż wszystkie komputery „Tajfunu” razem wzięte i prawdopodobnie dysponującej pięćdziesiąt razy większą mocą obliczeniową, w kombinezonie bojowym nie było najłatwiejszym zadaniem.

Skafander przewidziany był dla faceta spędzającego godziny na siłowni. Drobną dziewczyna miała więc nieco luzu w okolicy klatki pier-

siowej. Tam też Kris próbowała umieścić komputer. Uszczelniła kombinezon, wykonała kilka wymachów ramionami, skłonów, przysiadów. Wszystko działało. Założyła hełm, przekręciła go, aż kliknęły zamki. Z opuszczonym wizjerem, w kombinezonie było nieco gorąco, ale nie zważała na to.

- Krissie, mogę dostać loda? - zapytał Eddy.

*Był gorący wiosenny dzień na Wardhaven, a oni biegali po parku, zostawiwszy Nannę daleko z tyłu.*

*Kris sięgnęła do kieszeni. To ona była starszą siostrą i to od niej oczekiwano teraz planowania. Kiedy była małą dziewczynką, planował jej starszy brat Hanovi. Tak, miała wystarczająco pieniędzy na dwa lody.*

*Ale planowanie w rozumieniu ojca obejmowało kilka czynności naraz.*

*- Nie teraz - zasugerowała - najpierw zobaczmy kaczki.*

*- Ale ja chcę loda teraz - jęki sześciolatka były bardzo mobilizujące.*

*- Hej, Nanna już nas prawie dogoniła, ścigajmy się do stawu.*

*Eddy wystartował, zanim skończyła mówić. Oczywiście wyprzedziła go, ale tylko o tyle, o ile dziesięcioletnia, starsza siostra powinna*



wyprzedzić sześćoletniego brata.

- Spójrz, łabędzie wróciły. - Kris wskazała cztery ogromne ptaki. Trzymając się z bratem za ręce, przeszli wzdłuż brzegu stawu, mijając staruszka z torebką pełną ziarna. Dziewczynka bardzo starała się nie podchodzić zbyt blisko brzegu. Starania uwieńczyły się sukcesem, bo gdy Nanna dogoniła ich wreszcie, nie wygłosiła swego ulubionego wykładu na temat głębokości stawu.

- Ja chcę loda - umysł Eddy'ego zaprząt-nięty był tylko jedną myślą, typową dla jego wieku.

- Nie mam pieniędzy - odparła Nanna.

- Ja mam - dumnie stwierdziła Kris. Zaplanowała to dokładnie tak, jak zdaniem taty powinni czynić rozsądni ludzie.

- To idź kup lody.

Kris skoczyła naprzód, tak pewna, że po powrocie zastanie ich w tym samym miejscu, że nawet się nie obejrzała.

Klepnięcie w ramię. Drgnęła i odwróciła się, unosząc pokrywę wizjera.

- Potrzebujesz pomocy, drażalu?

W tłoku panującym na pokładzie desantowym nikt nie zauważył jej zdenerwowania.

- Ani mi się waż, drewniak - odparła zgodnie z wymogami słownej przepychanki.

Podporucznik marynarki Tommy Li Chin Lien urodził się w rodzinie górników na asteroidzie Santa Maria. Zamiast włóczyć się z kumplami po tej małej planetce, wstąpił do marynarki, by zobaczyć nieco Galaktyki, ku wielkiemu niezadowoleniu swych ziomków, a szczególnie rodziny.

W Studium Oficerskim Kris i Tommy spędzili wiele godzin, opowiadając historie o tym, jak to rodzice robili wszystko, by storpedować ich wybór kariery.

Oboje byli zaskoczeni tym, jak szybko zostali przyjaciółmi, pomimo że jedno pochodziło z wyżyn społecznych Wardhaven, a drugie z tej dziwnej mieszanki irlandzko-chińskiej tworzącej klasę pracującą na Santa Maria.

A teraz Tommy machał przed nosem Kris uniwersalnym testerem. Wychowany w próżni, nie ufał powietrzu ani grawitacji i uważał ludzi, którzy podobnie jak Kris urodzili się na planetach posiadających atmosferę, za beznadziejnych optymistów, których zawsze trzeba było „sprowadzać na ziemię”.

Dziewczyna uniosła lewe ramię, aby przyjaciel mógł podłączyć czarną skrzynkę do kombinezonu. Podczas gdy Tommy wykonywał testy, Kris pracowała z Nelly, przeprowadzając swój komputer osobisty przez procedurę podłączenia do sieci dowodzenia. Interfejs Nelly zaprogramo-

wany został przez cioteczkę Tru, emerytowaną szefową Działu Informatyki Bojowej Wardhaven, która od zawsze pomagała Kris w matematyce i informatyce. Nelly wyświetliła na ekranie wizjera wszelkie informacje niezbędne młodej pani podporucznik przy realizacji misji... a także kilka takich, co do których lepiej byłoby, aby dowódca nigdy się nie dowiedział, że Kris ma do nich dostęp.

Młodzi oficerowie równocześnie zakończyli testy. Tommy odłączył miernik od skafandra Kris.

- Twój system autokamuflażu opóźnia o około pięć nanosekund, ale to mieści się w standardach marynarki - mruknął Tommy. Marynarka bardzo rzadko dorównywała jego perfekcjonizmowi. - System chłodzenia także daleki jest od doskonałości.

- Bardziej interesuje mnie ogrzewanie. Nie słyszałeś, że wybieram się w arktyczną tundrę? - odparła.

- Oczywiście jest tu gdzieś jakaś nieszczelność.

Żarty na temat niskiej jakości uszczelnień w kombinezonach bojowych stały się już niemal tradycją. Te najlepsze zawsze trafiały na rynek cywilny, a wojsko dostawało tanie zamienniki.

- Nie pracuję na asteroidzie, Tommy. Nie spędzę w tym kombinezonie miesiąca.

Kris odpowiedziała tak, jak szef Urzędu Zamówień Publicznych odpowiadał zawsze jej ojcu. Premier Wardhaven zaś zawsze uznawał tę odpowiedź. Tak, ale on nie musiał dokonać zrzutu bojowego. A dziś jego córka musiała.

- Będę w próżni tylko godzinę, góra dwie. Atmosfera Sequima jest dobra.

- Kura błotna - odpowiedział Tommy z przekąsem.

- Kosmiczny łeb - odgryzła się Kris, podchodząc z uśmiechem do lekkiego lądownika szturmowego, którym miała dziś lecieć wraz z zespołem. Był to najmniejszy pojazd wojskowy zdolny do przemieszczenia między pokładem i orbitą. Ale z drugiej strony czyż Kris nie ścigała się kiedyś na jeszcze mniejszych śmigach?

- A te łódeczki sprawdzałeś? - zapytała, poważniejąc.

- Cztery razy i cztery razy wszystko było w porządku. Twój sługa uniżony dowiezie was tym na miejsce.

To ostatnie stwierdzenie zirytowało Kris. Marynarka ufała piechocie morskiej, jeśli chodzi o ryzykowanie ich tyłków w walce, ale niewystarczająco, by powierzyć im prowadzenie pojazdów. Zadaniem Tommy'ego miało być zdalne pilotowanie LLS-ów z orbity, na której znajdował się „Tajfun”, na powierzchnię. Odpowiadał za cały lot z

wyjątkiem dwóch minut, kiedy jonizacja przerwie komunikację, a pojazdy poruszać się będą na autopilocie. W tym czasie Kris i jej jedenastu marines mieli siedzieć beczynn timer na pokładzie. To była jedna z części zatwierdzonego planu, które chciałyby zmienić. Ale podporucznik marynarki nie ma mocy zmiany planów, które podobają się dowódcy i sierżantowi.

- Pomóż mi ze sprzętem - powiedziała do Tommy ego.

Członkowie zespołu ustawili się w pary, sprawdzając wzajemnie swoje wyposażenie. Kapral Santo sprawdził następnie drużynę sierżanta, a kapral Li drużynę Kris. Sierżant ponownie sprawdził wszystkich, a Kris zrobiła to po raz trzeci.

Wyposażenie dziewczyny było zdecydowanie lżejsze niż pozostałych członków zespołu, jako że Nelly ważyła połowę tego, co standardowy komputer osobisty marynarki, zapewniając przy tym pełną kompatybilność dowodzenia, kontroli, łączności i rozpoznania - w slangu wojskowym C<sup>3</sup>I. W skład wyposażenia wchodziły jednak także różnego rodzaju granaty o napędzie raketowym, sześć dodatkowych magazynków do M-6, z czego połowa zawierała amunicję obojętną, a druga połowa ostrą, ponadto woda, żywność i apteczka. Marines nigdy nie wychodzili z domu bez

tony sprzętu.

Kris jeszcze raz wykonała kilka wyciągów ramion, skłonów i skrętów bioder. Więcej nosiła na plecach podczas swoich wólczeń po Górach Błękitnych na Wardhaven.

Tommy przyglądał się, jak wykonuje kolejny głęboki przysiad.

- Jesteś gotowa?

- Wszystko na miejscu. Nie za ciężkie.

- Pytam, czy jesteś gotowa wykonać zadanie. Uratować tę dziewczynkę. - Widziała uśmiech znikający z twarzy Santamarianina.

- Jestem gotowa, Tom. Posiadam najwyższe kwalifikacje, jeśli chodzi o posługiwanie się bronią strzelecką. Mam najlepsze oceny ze sprawności fizycznej. Dowódca ma rację, na tym okręcie najlepiej nadają się do tej roboty. I wiesz, Tommy, bardzo chcę to zrobić.

- Porucznik Lien wzywany na mostek - komunikat nadany przez system głośnomówiący uciął jego dalsze pytania.

Tommy klepnął ją w plecy.

- Powodzenia, Bóg z wami - powiedział, gdy znikali we włazie.

- W LLS nie ma dla Niego wolnego miejsca - odrzuciła przez ramię. Jeszcze jedna salwa w ich odwiecznej słownej przepychance.

Kris dołączyła do sierżanta, nadzorujące-

go rozmieszczenie sprzętu w pojazdach. Sprawdzili sobie wzajemnie oporządzenie. Sierżant dociągnął jeden z jej pasków.

- W porządku, pani porucznik!

Oczywiście nie znalazła u niego nic do poprawki. Sierżant przygotowywał się do tej chwili od szesnastu lat. Fakt, że była to jego pierwsza prawdziwa misja bojowa, wydawał się nie przeszkadzać ani jemu, ani komandorowi Thorpe'owi.

- Zespół, przygotować się do zrzutu! - Kris wydała komendę przydzielonemu jej plutonowi.

Z okrzykiem „Ooh-rah” dwie drużyny zaczęły zajmować miejsca w przydzielonych im lekkich lądownikach szturmowych. Kris jeszcze raz sprawdziła uprząże, którymi przypięci byli do siedzeń. Każdą z nich mocno szarpnęła. Te pasy to było wszystko, co utrzymywało ich na miejscu podczas lotu. Zadowolona z wyniku kontroli, sama usadowiła się na niskim kompozytowym siedzisku i ostrożnie wyprostowała nogi, omijając pedały sterowania. Z kolei po jej bokach znalazły się nogi siedzącego za nią technika. Kiedyś, dawno temu, wbrew protestom wystraszonej mamy, próbowała zjazdów na toboganie. W porównaniu z LLS-em tobogan był bardzo przestronny.

Jeszcze raz upewniła się, że wszystko jest na swoim miejscu, i z kliknięciem zamknęła po-

krywę kabiny. Pokrywa była cienka jak papier i nie dawała żadnej realnej ochrony. Podczas podróży w próżni i wejścia w atmosferę Kris i jej podwładnych chroniły jedynie kombinezony bojowe.

Drażek sterowniczy obrócił się między nogami dziewczyny, gdy Tommy sprawdził kontrolę nad pojazdem. Ten widok przywiódł miłe wspomnienia z kokpitu innego pojazdu. LLS był wprawdzie większy od jej wyścigowego śmigła, ale wydawał się równie przyjemny w pilotowaniu.

Kris oddaliła wspomnienia, powtarzając w myślach plan zrzutu.

Działanie porywaczy było bardzo proste. Przechwycili przed szkołą jedyne dziecko menadżera generalnego Sequima i uciekli z nim na północne pustkowia, zanim ktokolwiek zorientował się, co się stało. „Zapomnieć imię dzieciaka! Brzmi zbyt znajomo i tylko rani!” Kris skupiła się na dzisiejszym zadaniu. Podejście do kryjówki porywaczy nie było łatwe. Przeciwnie, było niebezpieczne i pełne pułapek. Jak na razie bandyci przechytrzyli i zabili „tych dobrych”.

Zacisnęła z wściekłością zęby, zastanawiając się, w jaki sposób takie oprychy zdobyły wyrafinowane urządzenia i sprzęt ochronny. Nie dziwiło jej zastawianie pułapek, umysł ludzki jest bardzo kreatywny przy wymyślaniu sposobów



skrzywdzenia bliźniego. To, co ją zastanawiało, to fakt, że jak na prostych bandytów, przeciwnicy dysponowali zdecydowanie zbyt dobrym oprzyrządowaniem, co czyniło jej zadanie wyjątkowo trudnym. Przeciętni ludzie nie kupują urządzeń zakłócających odczyt EKG. I po co praworządному obywatelowi maszyna naśladowująca pracę ludzkiego serca?

*Dzień był tak gorący, że lody zaczęły się rozpuszczać, zanim Kris dotruchtała do kaczego stawu. Zatrzymała się tylko na chwilę, by liznąć zawartość obu wafli, i natychmiast poczuła się winna.*

*- Eddy, masz loda! - krzyknęła. Biegła tak szybko, że zdążyła pokonać połowę dystansu między zagajnikiem i stawem, zanim dotarło do niej, że coś jest bardzo nie w porządku. Zatrzymała się.*

*Eddy'ego nie było!*

*Mężczyzna z ziarnem leżał do połowy zanurzony w wodzie, wokół niego zbierały się kaczki, wydziobując rozsypane nasiona.*

*Dwa lumpy w ubłoconych ubraniach... Z przerażeniem Kris rozpoznała w nich agentów ochrony, którzy towarzyszyli jej od lat. Jej wzrok spoczął na Nannie, leżącej z kończynami rozrzuconymi jak u szmacianej lalki. Nawet mając dziesięć lat, Kris wiedziała, że tak nie może wyglądać.*

dać żywy człowiek.

Zaczęła krzyczeć. Upuściła oba lody i mocno zagryzła kostki dłoni w nadziei, że ból obudzi ją z tego koszmaru. Za jej plecami jakiś głos mówił do komunikatora:

- Zabici agenci! Zabici agenci! „Mlecz” zniknął z pola widzenia! Powtarzam, nie ma „Mlecza”!

Migające czerwone światło przywróciło Kris do rzeczywistości. „Znowu do tego wracasz” - warknęła na siebie w myślach. Pokład desantowy właśnie poddawano dekompresji. Grupa szturmowa oddychała już tylko powietrzem dostarczanym przez kombinezony bojowe. Podporucznik sprawdziła odczyty. Wszystkie kombinezony trzymały parametry, oczywiście w rozumieniu standardów marynarki wojennej.

- Gotowi do zrzutu - zameldowała.

Oba LLS-y wystrzeliły w cichą, czarną przestrzeń. Tommy pozwolił im dryfować tylko przez moment, jaki zajęło Kris spojrzenie na „Tajfuna”, dumnie noszącego niebiesko-zielone kolory flagi Stowarzyszenia Ludzkości. Po chwili oba pojazdy ożyły, prowadzone ręką Tommyego.

Nie będąc zajęta kierowaniem, Kris mogła poświęcić trochę czasu na ponowną analizę sytuacji na dole.

- Nelly, pokaż mi obraz celu w czasie rze-

czywistym.

Chatka myśliwska wypełniła wyświetlacz w hełmie podporucznik. Obraz w podczerwieni ukazał kilkadziesiąt postaci. Osiem z nich poruszało się wokół budynku parami. Zgodnie z zapewnieniami wszystkich producentów sprzętu wykrywającego promieniowanie cieplne wszystkie powinny być prawdziwe. Jednak zapewnienia dotyczyły tylko rynku cywilnego. Pewien drobiazg w tajemnicy przekazany został wojsku. Przyjmowana jako stała, temperatura ludzkiego ciała, wynosząca  $36,6^{\circ}\text{C}$ , w rzeczywistości stałą nie była. W chłodzie nocy głęboko w tundrze ciała stawały się nieco chłodniejsze. Na wyświetlaczu lśniły widma sześciu małych dziewczynek, śpiących w sześciu różnych pokojach. Dwóch strażników, po jednym na każdym końcu korytarza, czekało w gotowości, aby zabić zakładnika przy najmniejszym podejrzeniu niebezpieczeństwa. Dzięki bezpilotowemu samolotowi rozpoznawczemu, krążącemu kilometr nad chatą, Kris знаła dokładnie liczbę strażników i miejsce, w którym przetrzymywali dziecko. Zacisnęła zęby i spojrzała na planetę, do której zbliżały się LLS-y. Robiła wszystko, by odsunąć od siebie myśli o grobie swojego braciszka. Poczyszające było tylko to, że ci tutaj porywacze nie pogrzebali ofiary pod tonami ziemi, zostawiając cienką, połamaną rurkę jako jedyną łączność

sześcioletka ze światem.

Jeszcze w szkole Kris ciągle mówiła kolegom, że Eddy dawno już nie żył, gdy rodzice płacili okup. Ale nie знаła całej prawdy. Podobno istniały raporty, do których nie miała dostępu, mówiące co innego.

To, czego nie da się pominąć w takich sytuacjach, to pytania „co by było gdyby?” Co by się stało, gdyby nie poszła po lody? Co zrobiliby porywacze, gdyby prócz Nanny i Eddy’ego na miejscu była także ona, dzika, rozbrykana dziesięcioletka? Kris otrząsnęła się z ponurych myśli, wywołujących tylko łyż Kombinezon bojowy nie był przygotowany na to, żeby jego właściciel płakał.

Pogoda w rejonie misji z punktu widzenia wojskowego zapowiadała się świetnie. W okolicy przewidywanego lądowania królowały ciemne, burzowe chmury, sprzyjające niespodziewanemu nocnemu zrzutowi, wymagającemu grzmotów maskujących przekroczenie bariery dźwięku i ciemności przy skrytym podejściu.

Kris uśmiechnęła się na myśl o innych planetach, które oglądała z orbity, uczestnicząc w wyścigach śmigłów. Uśmiech szybko jednak ustąpił z jej twarzy wraz z powracającymi wspomnieniami.

*Ojciec zniknął z życia Kris następnego dnia po pogrzebie Eddy’ego. Wychodził do biura,*

zanim się obudziła, wracał, gdy już spała.

Mama to co innego.

- Wystarczająco długo byłaś małą dzikuską. Czas zrobić z ciebie młodą damę.

Kris bardzo szybko odkryła, że bycie „młodą damą” to nie tylko lekcje baletu czy gra w szkolnej lidze piłki nożnej, to także towarzyszenie mamie w „herbatach”. Jako najmłodsza w towarzystwie nudziła się setnie. Wkrótce zauważyła, że herbatki niektórych pań mają dziwny zapach. Nie minęło wiele czasu, by miała okazję spróbować takiej mikstury. Smakowała inaczej, ale... sprawiała, że Kris czuła się lepiej, czas płynął szybciej. Odkrycie, co dodawane jest do herbaty i jak zdobyć to coś w barku ojca, było tylko kwestią czasu.

Tak czy inaczej, picie sprawiało, że życie stawało się znośne.

Nie przeszkadzało jej nawet, gdy rówieśnicy znacząco pociągali przy niej nosem.

Inne dzieciaki oddawały się rozrywkom takim jak na przykład wyścigi śmigłów, Kris miała butelkę. Oczywiście picie i tabletki przepisane przez lekarza matki nie pozostawały bez wpływu na jej sprawność fizyczną. Trener reprezentacji szkoły w piłce nożnej praktycznie nie pozwalał jej opuszczać ławki rezerwowych. I tylko Harvey, kierowca wożący ją na mecze, był coraz bardziej

smutny.

Któregoś dnia Harvey później przyjechał do szkoły po Kris.

- Twój tata zaprosił pradziadka „Kłopot” na dzisiejszą kolację. Generał Tordon jest na Wardhaven służbowo - wyjaśnił szofer, zanim zdążyła zapytać. Drogę do domu Kris spędziła, zastanawiając się, o czym mogłaby rozmawiać z kimś, kogo zna z książki do historii.

Mama nadzorowała przygotowania do kolacji, mrucząc pod nosem, że miejsce legend jest w książkach i tam powinny pozostać. Kris poszła odrabiać lekcje, ale jednym okiem czytała, a drugim wyglądała przez okno. Nie wiedziała, kogo powinna się spodziewać. Prawdopodobnie zaszalonego staruszka, podobnego do pani Bracket, uczącej historii, sprawiającej wrażenie, że jest pomarszczona od zawsze.

Wreszcie dziadzio „Kłopot” wkroczył do domu. Wysoki i szczupły, w mundurowej zieleni wyglądał, jakby samym zmarszczeniem brwi mógł zniszczyć całą flotę. Tyle że wcale nie miał ochoty ich marszczyć, jego twarz pozostawała nieodgadniona. Mama miała zupełną rację co do jego legendy i opowieści, które snuł przy kolacji. Gdy wstali od stołu, Kris nie pamiętała już żadnej z nich, a przynajmniej nie w całości. Ale gdy ich słuchała, wszystkie wydawały się zabawne. Na-

wet te, które powinny być straszne. W jakiś magiczny sposób dziadek sprawiał, że śmiali się z każdej historii, niezależnie, czego dotyczyła. Śmiała się nawet mama, wbrew sobie. Po kolacji matka przeprosiła wszystkich i udała się do swego klubu.

Kris bardzo chciała spędzić z dziadkiem jeszcze trochę czasu, szczególnie teraz, gdy zostali sami, a on mógł poświęcić jej całą uwagę. Dziewczynka czuła się przy nim jak kociak w ciepłym, bezpiecznym miejscu.

- Tata mówił, że lubisz piłkę nożną? - powiedział, siadając na fotelu.

- W zasadzie tak - odpowiedziała, siadając naprzeciw jak dama i czując się przy tym bardzo dorosła.

- Mama z kolei twierdzi, że świetnie sobie radzisz na balecie.

- Nooo, tak - nawet w wieku lat dwunastu wiedziała, że nie jest to najlepszy sposób prowadzenia rozmowy, ale co mogła odpowiedzieć komuś takiemu jak jej dziadek.

- A ja uwielbiam orbitalne wyścigi śmigłow. Próbowalaś kiedyś?

- Nie, niektórzy moi koledzy ze szkoły to robią, ale ja nie - odparła z nagłą ekscytacją, ale natychmiast się powstrzymała. „Mama mówi, że to niebezpieczne i całkowicie nieodpowiednie dla

młodej damy”.

- A wiesz, że ostatnie mistrzostwa wygrała dziewczyna? Jest niewiele starsza od ciebie. - Dziadzio „Kłopot” usadowił się wygodniej w fotelu.

- Tak, słyszałam - odpowiedziała, otwierając szeroko oczy. Tego nie spodziewała się nawet po dziadku.

- Wynająłem śmig na jutro. Chciałabyś spróbować kilku zrzutów ze mną?

Kris nerwowo poruszyła się na krześle.

- Mama nigdy mi nie pozwoli.

Dziadek konfidencjonalnie pochylił się w jej stronę.

- Harvey twierdzi, że niedziele mama zwykle przesypia. Mógłbym zabrać cię o szóstej.

Później Kris zrozumiała, że dziadek i szofer musieli wcześniej uknuć spisek, ale w tamtej chwili była tak podekscytowana, że z trudem mogła dodać dwa do dwóch.

- Mógłbyś? - westchnęła. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wstała tak wcześnie z własnej woli ani kiedy zrobiła coś, co nie znajdowało się na liście priorytetów mamy lub taty. Nie chciała pamiętać, bo to oznaczałoby powrót myślami do czasów wspólnych zabaw z Edym. - Bardzo bym chciała.

- Jedna sprawa. - Dziadzio „Kłopot” ujął



jej małe dłonie w swoje. Jego dotyk był wręcz elektryzujący. Wpatrywał się w nią przeszywającym wzrokiem. – W jednym twoja mama ma rację. Wyścigi śmigów mogą być niebezpieczne. Ludzie, którzy ze mną latają, muszą być absolutnie trzeźwi. Mam nadzieję, że nie stanowi to dla ciebie problemu?

Kris przełknęła ślinę. Tak zasłuchała się w opowieści dziadka, że zapomniała podkraść drinka podczas kolacji. Nie piła nic od obiadu. Czy uda jej się przetrzymać noc?

– Oczywiście, że to nie problem – odpowiedziała.

Nie było łatwo, dwa razy budziła się z płaczem. Ale myśl o dziadku i wspomnienie opowieści kolegów ze szkoły o gwiazdach nad głową i radości szaleńczego spadania sprawiły, że powstrzymała się od zakradnięcia do barku ojca.

Rano stanęła na szczycie schodów i spojrzała na dziadka, wyglądającego rewelacyjnie w zielonym mundurze. Lekkim, baletowym krokiem, chcąc udowodnić trzeźwość, zbiegła po schodach. Dziadek uśmiechnął się pod nosem. Nie tak wylewnie, jak robił to ojciec do swych przyjaciół politycznych, ale uśmiech dziadka znaczył więcej niż wszystko, co dostała od rodziców.

Trzy godziny później Kris w kombinezonie siedziała przypięta na przednim fotelu śmigła,

czekając aż dziadzio „Kłopot” zwolni zabezpieczenia. Co za jazda! Gwiazdy były niemalże na wyciągnięcie ręki. Pojawiła się pokusa, by urwać się gdzieś w ciemność i dołączyć do Eddy’ego. Ale przecież nie mogła zrobić tego dziadkowi! Piękno gwiazd zachwyciło dziewczynkę i zamknęło w cichym, zimnym uścisku. Idealne krzywizny kreślone przez śmig wchodzący w atmosferę były czystą matematyką w ruchu. Straciła serce, a może nawet część z instynktu samozachowawczego.

Gdy wrócili późnym wieczorem, matka nerwowo chodziła po korytarzu.

- Gdzie byliście?

- Polatać na śmigach - głos dziadunia brzmiał, jakby opowiadał dowcip.

- Na śmigach! - zdenerwowała się matka.

- Kochanie - dziadek łagodnie zwrócił się do Kris - będzie lepiej, jak pójdiesz do swojego pokoju.

- Dziadku? - zaczęła dziewczynka, ale Harvey dyskretnie trącił ją łokciem.

- I nie wychodź, póki cię nie zawołam - matka wzmocniła sugestię dziadka. - I co, pana zdaniem, robił pan z moją córką, generale Tordon? - rzekła chłodno do dziadka.

Ale ten kierował się już w stronę biblioteki.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli dokończymy tę rozmowę z dala od pary ciekawskich uszu - odpowiedział ze spokojem, którego brakowało matce.

- Harvey, nie chcę iść do siebie - Kris próbowała sprzeczać się z szoferem.

- Twoja matka mocno się dziś zdenerwowała i nic nie uzyskasz, denerwując ją jeszcze bardziej.

Kris nigdy więcej nie widziała dziadzia „Kłopoty”.

Tydzień później w życiu Kris pojawiła się Judith, kobieta, która prawdopodobnie podobałaby się dziadkowi. Judith była psychologiem.

- Nie potrzebuję kazań - zaczęła Kris zaczepnie.

- Czemu odpuściłaś mecz? - odparła kobieta. - Twój trener tak twierdzi, twój ojciec zresztą także.

- A niby skąd tata miałby o tym wiedzieć? - dziewczynka włożyła w pytanie cały sarkazm, na jaki stać było dwunastolatkę.

- Harvey nagrywał mecz.

- O!

Zaczęły rozmawiać i wkrótce Kris uświadomiła sobie, że mogą być przyjaciółkami. Wtedy powiedziała terapeutce, że chciałyby ścigać się na orbicie, ale matka ciągle widzi w niej małego

kotka.

*Co dziwne, Judith nie zgodziła się z mamą, tylko zaproponowała, aby kupić jej kociaka. Myśl o matce z kociakiem na rękach rozbawiła Kris i wtedy właśnie zorientowała się, że pragnienia jej matki niekoniecznie są jej pragnieniami.*

*Jakiś czas potem Kris zdobyła mistrzostwo Wardhaven juniorów, wzbudzając dumę u premiera i wywołując przerażenie u matki.*

- Wracaj na ziemię - powiedziała sama do siebie, odrywając się od wspomnień.

Nagle żołądek skurczył jej się z nerwów, gdy zobaczyła, co się dzieje z LLS-em.

- Co jest, do diabła? Kto kieruje tym autobusem? Chwyciła za drążek sterowy, ale nie reagował. Nacisnęła przycisk komunikatora.

- Tommy, co się, do diabła, dzieje? - słowa odbiły się pustym echem w hełmie. Jej połączenie z macierzystym okrętem było tak martwe, jak ona sama i jej załoga będą za chwilę, jeśli czegoś szybko nie zrobi.

Kris wymusiła na statku przejście na sterowanie ręczne. Odruchowo wykonała wszystkie czynności niezbędne do ustabilizowania lotu. LLS był cięższy i wolniej reagował na komendy niż wyścigowy śmig. Ale jednak reagował.

- Uff! Tak lepiej - wyrwało się któremuś z

ludzi za jej plecami. Jeśli Kris nie zorientuje się szybko, gdzie są i dokąd lecą, chwilowe „lepiej” będzie znaczyć jedynie, że odrobinę mniej wytrzesieni spalą się przy wejściu w atmosferę.

- Nelly, natychmiast przechodź w tryb nawigacji śmigła. - W chwilę potem na jej wyświetlaczu osobistym pojawiły się znajome procedury. - Przeszukaj system pozycjonowania. Gdzie jestem?

LLS stał się kropką na wyświetlaczu, strzałki wektorów ukazywały oddziałujące na niego siły. Zamiast zwalniać, przyśpieszali!

- Kapralu, łap krótkodystansową łączność z LLS-em sierżanta.

- Próbuję, pani porucznik, ale nie mam pojęcia, gdzie on jest.

Jej komputer prawdopodobnie mógłby podać pozycję sierżanta w stosunku do ich własnej, ale w chwili obecnej był bardzo zajęty wyznaczaniem kursu wiodącego Kris do kolejnego zwycięstwa w wyścigu.

Nagrody w wyścigach nie były rozdawane za samo uderzenie w gumowy cel. Liczył się także styl, w jakim się to robiło. Premiowane było wszystko: od celności poprzez szybkość do zużycia paliwa. Rzut oka na wyświetlacz powiedział Kris, że LLS znalazł się poza optymalnym torem lotu i ma mniejszą rezerwę paliwową niż jakikolwiek śmigł, który dotąd pilotowała. Wylądowanie

gdziekolwiek w promieniu stu kilometrów od celu wymagało każdego grama posiadanych przez Kris umiejętności. Dotychczas ścigała się dla trofeów. Teraz rozpoczął się wyścig o życie małej dziewczynki.

## ROZDZIAŁ 2

Reakcje Kris opierały się raczej na wytrenowanych odruchach niż myśleniu.

Pewnymi ruchami ręki na drążku sterowym ustabilizowała maszynę. Dzięki Bogu, że zatrzymała Nelly, odmawiając przyjęcia standardowego komputera marynarki z jego wszystkimi ograniczeniami.

- Nelly, ustal nasze obecne współrzędne. Jako cel przyjmij chatkę myśliwską i oblicz parametry bezpiecznego lotu.

Wyniki otrzymała po sekundzie. Wynikało z nich, że wyląduje na oparach paliwa około pięćdziesięciu kilometrów od celu.

- Nowy plan lotu. Przyjmijmy, że wytracę dodatkowe dwadzieścia procent energii dzięki oporom aerodynamicznym. Ile paliwa to zaoszczędzi?

Kris miała poważny problem. W zawodach zawodnicy startowali co dwie minuty. W obecnej chwili odległość między pojazdami wynosiła około dziesięciu kilometrów, może nawet mniej. To był bezpieczny odstęp, gdy Tommy zdalnie pilotował obie maszyny do wyznaczonego punktu lądowania, ale nie teraz, kiedy Kris manewrowała na niskiej orbicie.

- Nelly, dodaj założenie, że mamy mieć

stukilometrową separację na północ od sierżanta.

Komputer wykonał obliczenia w ułamku sekundy, jednak wynik zamigotał na czerwono. Nawet maksymalnie zwiększając kąt wejścia w atmosferę, nie było szans na wytracenie wystarczającej ilości energii. Przestrzelił cel o setki kilometrów.

- Przyjmij separację równą dwadzieścia kilometrów - zmieniła dyspozycję. Pierwsza zwiłka powinna zostać wykonana z dala od LLS-a sierżanta. Nelly przeprowadziła obliczenia, manewr był wykonalny. Jednak na wyświetlaczu zapłonęła pomarańczowa kontrolka paliwa. Rezerwa była zbyt mała w stosunku do regulaminu zawodów. Podczas wyścigu Kris zostałaaby właśnie zdyskwalifikowana.

Pomimo protestów maszyny potwierdziła ostatnio wydane polecenie. Rozpoczął się jej wyścig życia.

Bardzo szybko Kris zdała sobie sprawę z tego, że każdy kurs obliczony przez komputer może być poprawiony przez człowieka. Wszystkie nagrody, które miała w domu, zdobyła, zaoszczędzając odrobinę paliwa tu, kilka kropel gdzie indziej, zawsze pilotując ręcznie.

- Panie... przepraszam, pani porucznik, myślę, że widzę sierżanta - głos kaprała Li wydawał się serią nerwowych chrząknięć.



Kris była jak przyrośnięta do maszyny, dłonie na drążku, reszta ciała wydawała się częścią kadłuba i skrzydeł. Jej oczy widziały tylko kąta natarcia, przeciążenie, prędkość. Chwila dekoncentracji mogła zakończyć się tragicznie.

- Gdzie, kapralu?

- Na sterburcie, kierunek dwa-trzydzieści, niżej jeden-trzydzieści, pani porucznik. Myślę, że to on.

Zaryzykowała rzut oka. Tak, nieco z przodu, poniżej niej leciał LLS, ciągle hamując.

- Spróbuj połączyć się z sierżantem - rozkazała i powróciła do pilotowania.

- Słyszę tylko szumy i trzaski.

- Jasne - poprawiła samą siebie - jonizacja silników.

W chwilę potem Kris wyłączyła silniki. Pochyliła nieco maszynę, kierując jej nos w stronę atmosfery. Li czynił kolejne próby nawiązania łączności z sierżantem, ale LLS Dwa ciągle hamował, pchając chmurę najonizowanych spalin. Kris powiedziała kapralowi, by poczekał, aż zobaczy, że nos ich pojazdu spowity zostanie gorącym blaskiem.

Teraz zaczynała się ta trudna część. Tu właśnie dobry pilot śmigła robił użytek z zaoszczędzonego paliwa. Kris mocniej pochyliła maszynę do przodu i weszła szybko w atmosferę. Potem

złożyła maszynę do serii łagodnych – a może tak jej się tylko wydawało – zwitek, by wytracić nadmiar energii. Kris kontrolowała je szybkimi spojrzeciami.

Musiała utrzymywać osłonę cieplną oddzielającą ich delikatny kadłub od zjonizowanej chmury gazów. Gdyby zbyt ostro ścięła zakręt, gorące gazy urwałyby głowy całej załozdy. Wzięcie zakrętu zbyt szeroko spowodowałoby zbyt wielkie minięcie celu.

Żaden szanujący się pilot nie siada za sterami maszyny, której choćby pobieżnie nie sprawdzi. Kris zrobiła to oczywiście, ale nigdy wcześniej nią nie leciała. Producent, którego logo widniało na kokpicie, miał dobrą reputację, ale od czasu do czasu zdarzało mu się wypuszczać bubel. Żołądek dziewczyny zwinął się w węzeł ciasny jak jej uchwyt na drążku. Czy pilotowany przez nią LLS był jednym z tych dobrych, czy też gdzieś w kadłubie lub pod skrzydłami chował niemiłą niespodziankę? Czy wytrzyma przeciążenia i ogromne temperatury, czy rozpadnie się na kawałki?

Kris zmusiła się do kompletnego spokoju, aby lepiej czuć każde drgnienie, lepiej słyszeć każdy jęk torturowanego statku. Za jej plecami jakiś marine rozpoczął odmawianie modlitwy, w której dziękował Stwórcy za jedzenie.

– Kiedyś będziemy się z tego wszyscy

śmiać - rzuciła do mikrofonu. „Jeśli dożyjemy” - to tylko pomyślała.

LLS był gorący. Kris czuła rosnącą temperaturę kadłuba pomimo chroniącego ją kombinezonu. Odczyt z miernika potwierdzał jej odczucia, wskaźnik znajdował się na czerwonym polu. Kątem oka widziała wygięte do maksimum skrzydła statku, wchodzącego w atmosferę pod kątem, jakiego nigdy nie doświadczyła, pilotując śmigie.

Ale musiała wycisnąć jeszcze więcej z małego pojazdu. Nadal znajdowali się powyżej wyznaczonej ścieżki podejścia. Kris pochyliła nos statku jeszcze bardziej, zwiększając prędkość, ale także temperaturę, i zaczęła spadać jak przysłowiowa cegła. Znajdując się na ścieżce, ale nadal ze zbyt dużą prędkością, zmusiła lądownik do zakrętów tak ciasnych, że ledwie odważyłaby się powtórzyć je śmigiem, wytracając energię kosztem dalszego wzrostu temperatury. Czuła, jak jej skóra przypieka się na siedzeniu. Wskaźnik temperatury przesunął się głębiej na czerwone pole, potwierdzając to, co czuła na własnym ciele.

- Pani porucznik - kapral Li szepnął do mikrofonu - mój wskaźnik mówi, że pani kombinezon jest nieprawdopodobnie gorący. Mam włączyć chłodzenie?

Kris doszła do siebie na tyle, że sama dokonała regulacji. Kombinezony, których używała

w domu, robiły to automatycznie. Ale te wojskowe były z założenia całkowicie manualne. Przypomniała sobie sierżanta z SO powtarzającego: „Nie chcielibyście, żeby ten kombinezon zrobił jakąś idiotyczną rzecz bez waszej komendy, gdy wróg strzela do was, a wokół rozpętuje się piekło”.

- Nadal widzisz sierżanta? - spytała kaprala.

- Myślę, że nadal tam jest, ale przez te wszystkie fajerwerki dokoła trudno być pewnym.

- Ktokolwiek zobaczy sierżanta, krzyć! - poleciła, skupiając się na pilotowaniu.

- Tak jest - odpowiedział chór głosów.

Obniżanie temperatury wydawało się trwać wiecznie. Kris próbowała ustalić pozycję w oparciu o GPS, ale jonizacja nadal była zbyt duża. Inercyjny system pozycjonowania LLS-a twierdził, że znajdują się z grubsza tam, gdzie powinni, a Nelly to potwierdzała. Z głębokim wydechem Kris oparła się mocniej o fotel, starając się rozluźnić napięte mięśnie. Pilotowanie tej maszyny było jak potężny kopniak.

- Widzę go!

- Tam jest! - zabrzmiały głosy za nią.

- Tam jest sierżant, pani porucznik - potwierdził kapral.

Szybkim spojrzeniem dziewczyna uchwyci-

ła „spadającą gwiazdę” około trzydziestu kilometrów na prawo od niej. Mając LLS Dwa w zasięgu wzroku, Kris poczuła ulgę i skierowała swój statek bliżej. Zgodnie ze swoim założeniem, leciała teraz z prędkością mniejszą od prędkości dźwięku i znajdowała się około trzech minut od celu.

W zbiornikach znajdowało się wystarczająco dużo paliwa na kilka dodatkowych sekund manewrowania silnikami, ale Kris wiedziała, że to nie będzie potrzebne. W chwilę potem oderwała wzrok od panelu kontrolnego i skierowała hełm wraz z anteną krótkiego zasięgu na pojazd sierżanta.

- Sierzancie, proszę przekazać na „Tajfun”, że LLS Jeden wszedł w atmosferę. - Odczekała pięć sekund i zaczęła powtarzać wiadomość.

- Przyjąłem, Jedyńka. Mam cię w zasięgu wzroku. Podaj swój status - odpowiedział sierżant.

- Straciłam połączenie z „Tajfunem”. Możesz mnie retransmitować do komandora Thorpea?

- Powiem więcej. Okręt cię już wywołuje.

Kris zacisnęła zęby i przygotowała się na rozmowę ze swym „ukochanym” przełożonym. Nie czekała długo.

- Jak to miło, że zechciała nas pani włączyć do swojego napiętego programu towarzy-

skiego – głos komandora był zimny jak lód. – Proszę podać sytuację.

– Straciłam połączenie ze statkiem. Przypuszczam, że to nadajnik. – Sprzęt łączności i cięcia budżetowe to były główne tematy do narzekań dowódcy. – Sierżant retransmituje mnie do pana. Jesteśmy na pozycji do wykonania misji ratowniczej, panie komandorze.

Nastąpiła dłuższa pauza. Oczyma wyobraźni Kris widziała komandora chodzącego po mostku i zastanawiającego się, jak by tu najmocniej uprzykrzyć życie pewnej podporucznik Longknife.

– To akurat widzę, pani porucznik – teraz przerwa była krótsza. – Poruczniku Lien, może pan przejąć kontrolę nad LLS Jeden?

– Nie, panie komandorze – padła szybka odpowiedź. – Nasz link z LLS Jeden jest praktycznie usmażony. Nie jestem w stanie pilotować tego statku.

– W takim razie przechodzimy do planu B. Zęby Kris zacisnęły się jeszcze mocniej.

*Kiedy Kris pojawiła się w sali planowania, komandor i sierżant już tam byli. Dowódca uśmiechał się szeroko.*

– *Wiedziałem, że prędzej czy później ci pieprzeni cywile wezwą fachowców. Zrobiłem, co tylko mogłem, żeby to nasz okręt został wyzna-*

czony do tej misji. A teraz czas porządnie wykonać robotę.

- Nie ma problemu, panie komandorze, pokażemy flocie i tym cywilom, że „Tajfun” jest najlepszy - z głosu sierżanta przebijała pewność siebie.

Kris także nie miała dla porywaczy wielkiego respektu. Uczestniczyła w części procesu morderców jej brata. Po zsumowaniu IQ wszystkich trzech nadal otrzymywało się liczbę ujemną. Jednakże zaznaczyła:

- Dowódcu, ci terroryści mają masę specjalistycznego sprzętu. Sprzątnęli trzy ekipy ratownicze!

- To byli cywile, a teraz nadchodzą *marines* - głos sierżanta był śmiertelnie poważny.

- Banda nieogolonych terrorystów nie jest w stanie sprostać temu, co do gry wnosi „Tajfun” - stwierdził komandor i przedstawił swój plan. Skryty nocny zrzut z pilotowanych zdalnie LLS-ów pozwoliłby *marines* wylądować praktycznie na podwórku porywaczy. Szturmowcy mogliby zwinąć spadochrony i od razu zabrać się do pracy.

Kris przełknęła ślinę i nieśmiało przypomniała, że dokładnie taki sam plan realizowany był podczas ostatniej operacji ratowniczej. W powietrzu zawisło niewypowiedziane wprost pyta-

nie: „Czy odważymy się próbować tej samej sztuczki, mając przed sobą tak dobrze wyposażonych przeciwników?”.

- Zdziałało, prawda? - sapnął sierżant. - Stawiam pięć dolców, że wykonamy natychmiastowy zrzut, dokładnie tak jak ekipa z „Kardynała” podczas akcji ratowniczej na Payallup w zeszłym roku.

- Już założyłem się z dowódcą „Kardynała” o skrzynkę szkockiej, że nam się uda - uśmiechnął się Thorpe. Napotykając taką pewnością, Kris wołała nie wychylać się ze swoimi wątpliwościami.

Cała trójka jeszcze raz przejrzała raporty i komunikaty rozpoznawcze. Wynikało z nich, że bezpośredni zrzut nie powinien stanowić problemu. Kris odpowiedziała więc: „Tak jest”, jak przystało na dobrego podporucznika świeżo po promocji, i udała się na poszukiwanie Tommy'ego.

Gdyby Kris trzymała się w tej chwili planu, ich pojazd zrobiłby tylko ogromną dziurę w tundrze i mnóstwo hałasu, bez wątpienia budząc „przyjemniaczków” w chatce. Kris nie była pewna, jakie padną rozkazy, czy to ona po prowadzi atak, czy będzie musiała przekazać dowodzenie sierżantowi. Widocznie jednak marynarka miała dużą awersję do bandy uzbrojonych po zęby mari-



nes szwendających się po okolicy bez opieki oficera.

- Potwierdzam przejście do planu B - odpowiedziała wraz z sierżantem.

- Jeszcze jedna rzecz, zanim przerwiemy łączność - stanowczym tonem powiedział dowódca. - Przypominam wam, marines, że to nie jest misja bojowa. Zostaliśmy poproszeni przez władze Sequima o udzielenie pomocy ich siłom policyjnym. Tak więc obowiązują was procedury policyjne. Oczekuję od was dokonania aresztowania, a nie powrotu z workami pełnymi zwłok.

Kris przełączyła się na interkom.

- Słyszeliście dowódcę. Te dranie mają prawo stanąć przed sądem. Pozwólmy społeczeństwu Sequima powiesić ich samodzielnie.

Odpowiedział jej aprobowany pomruk marines. Kris już wcześniej to sprawdziła. Sequim nie ratyfikował jeszcze poprawki dotyczącej kary śmierci w Deklaracji Praw Człowieka. Jej ojciec niemal nie stracił posady premiera za stosowanie wszystkich możliwych sztuczek prawnych, aby opóźnić ratyfikację przez Wardhaven tak długo, by udało się powiesić morderców Eddy'ego. Ona osobiście nie miała nic przeciwko widokowi porwaczy dyndających na stryczku.

Jeszcze raz sprawdziła dane rozpoznawcze. Dron wciąż wisiał nad chatką. Jego czujniki

wskazywały zupełny spokój.

- Sierzancie, czy porucznik Lien ma mnie na podglądzie?

- Tak, pani porucznik.

- Proszę mu powiedzieć, żeby „przykleił” się waszym pojazdem do mojego. Zamierzam wylądować w tym małym jezioru pięć kilometrów od celu.

Na odpowiedź nie czekała długo.

- Porucznik Lien potwierdza, że LLS Dwa będzie powtarzał pani manewry.

Lot w nocy, podczas sztormu nie należał do łatwych. Kris zamierzała posadzić dwa LLS-y w zarośniętym jezioru niedaleko chatki myśliwskiej. Będąc na wysokości dwudziestu tysięcy metrów, spodziewała się przejścia przez warstwę pasudnych chmur.

- Nelly, połącz mnie z lokalną siecią meteo.

Zadziwiająco, że podczas gdy link komunikacyjny z „Tajfunem” był praktycznie spalony, jej łącze cywilne działało prawidłowo.

Prognoza pogody w pełni się potwierdziła. Od wysokości piętnastu tysięcy metrów przebijali się przez gęste chmury. Deszcz na wizjerze utrudniał obserwację. W wyścigowym śmigie nadal miałyby idealną widoczność. Kris skłęta w duchu armię kupującą jak zwykle sprzęt od dostawców

oferujących najniższe ceny. Chórek westchnień, chrząknięć i narzekań z tyłu potwierdzał jej opinię.

Wysokościomierz pokazał ostatnie tysiąc metrów. Na szczęście, zgodnie z danymi topo, tundra w tym rejonie była mocno pofałdowana. To pozwalało Kris przemknąć się poniżej linii szczytów, aby uniknąć radarów. Nieprawdopodobne wydawało się, aby tak dobrze wyposażeni przestępcy nie dysponowali radarem lub co gorsza, kilkoma raketami naprowadzanymi przez radar. Niestety, aby pozostać niewykryta, Kris nie mogła także włączyć własnych radarów. Byłoby to śmiertelnym błędem, a śmierć nosiłaby imię małej dziewczynki.

Kris składała maszynę do kolejnych zwrotów. Kapral Li zameldował, że LLS Dwa znajduje się na prawo od nich, około czterech kilometrów z tyłu. Dziewczyna uśmiechnęła się. Jeśli ona wpakuje się w zbocze, sierżant ma szansę uniknąć jej błędu. Przynajmniej połowa ekipy przybędzie, by aresztować porywaczy.

Kris rozpoczęła lądowanie na wodzie. Gdy LLS dotknął powierzchni, jego gorący kadłub wywołał obłoki pary. Woda absorbowwała resztki ich energii. Chwilę później gwałtownie zatrzymali się na piaszczystej plaży.

- Kapralu, proszę zapalić sierżantowi noc-

ne światła.

Unosząc pokrywę, odczuła ulgę. Wyskoczyła na plażę. Poczowała, że jest wypompowana bardziej niż po jakimkolwiek wyścigu. Podniosła zasłonę hełmu i wzięła głęboki wdech. Jakie to cudowne uczucie, móc oddychać. Sprawdziła wychodzących z pojazdu podwładnych.

- Okay, załoga, wylądowaliśmy. Słyszałam o jakiejś dziewczynce potrzebującej pomocy. I o kilku draniach, którym trzeba skopać tyłki. Do roboty!

Pięciu marines potwierdziło w milczeniu.  
„Już pędzę, Eddy, już pędzę!”

## ROZDZIAŁ 3

LLS sierżanta z poślizgiem zatrzymał się dziesięć metrów od Kris.

Na długo zanim „Tajfun” otrzymał zadanie przemieszczenia się na Sequima, Kris śledziła sprawę porwania. Od miesiąca była to wiadomość z czołówek serwisów informacyjnych. Już po drugiej próbie uwolnienia dziewczynki zakładano się o to, kiedy marynarka zostanie wezwana na pomoc. Trzecia próba podjęta przez miejscowe władze zakończyła się upadkiem ratowników ze stumetrowego klifu. Piętnaście kilometrów to była najmniejsza odległość, na jaką udało się dotrzeć policjantom. Pomimo pewności, że prędzej czy później zadanie spadnie na marynarkę, Kris nie spodziewała się, że to właśnie „Tajfun” je otrzyma, a już na pewno nie tego, że to ona będzie dowodziła plutonem szturmowym. Ale jak to mawiał komendant Studium Oficerskiego: „My nie pytamy dlaczego, tylko bierzemy się do roboty, a potem wypełniamy papiery”.

Tak więc w ciągu ostatnich czterech dni Kris każdą chwilę spędzała na przygotowaniach z plutonem lub planowaniu.

Dowódca i sierżant chcieli szybkiego zrzutu i przechwycenia, zatem przygotowała się do szybkiego zrzutu i przechwycenia. Ale jedną z za-

sad wpojonych jej przez ojca było posiadanie co najmniej jednego wyjścia awaryjnego.

Pozostały jej jeszcze wolny czas dziewczyna spędziła z Tommym, przygotowując plan B.

- Ta tundra wygląda na całkiem niedostępną - powiedział Tommy, studiując zdjęcia z BSR-a obrazujące miejsce zrzutu.

- Jest lato, tundra tętni życiem. Ale komputer mówi, że to się mieści w standardach. Nie ufasz standardom komputerowym? - zapytała Kris, umieszczając delikatnego kuksańca na żebrach Tommyego.

- Ani trochę - odpowiedział. - Chyba że bym to ja sam wgrywał dane do tego komputera.

- A więc ufasz Bogu, a komputerom nie.

- A czy babcia Chin kazała mi ufać?

- Lepiej znajdź mi tu tylne wejście.

- Spróbowałbym posadzić LLS-y na tym jeziorku i przeszedłbym kawałek - wskazał Tommy.

Kris studiowała zdjęcia jeziora i lasu oddzielającego je od chatki.

- Ten zagajnik na pewno naszpikowany jest elektroniką - przypomniała, mając w pamięci trzy nieudane próby podejścia. Ciała poległych nadal tam były, nikt nie mógł ich zabrać. - Ale czy to bagienko nie wygląda ci całkiem przyjemnie?

W odróżnieniu od większości dzieciaków

*z miasta Kris doskonale wiedziała, że dzika przyroda nie jest taka śliczna, jak wydaje się na ekranach. Wolny czas na ostatnim roku studiów podzieliła między pomoc przy kampanii wyborczej swego brata Hanowiego a wólczęgę po Górach Błękitnych na Wardhaven.*

- Wygląda na miejsce, którego nie potrzeba dodatkowo ochraniać.

- *Ale marines i pewna podporucznik marynarki uwielbiają taplać się w błocie... - Cios łokciem w żebra tym razem był całkiem silny.*

*Znaleźli punkt zaczepienia. Tylne wejście do chatki istniało. Wprowadzenie całego planu B do pamięci Nelly zajęło Kris następne półgodziny.*

Nakreśliła sierżantowi trasę przemieszczenia.

- Będzie ciężko, ale nie po to wstępujesz do korpusu, żeby mieć zawsze łatwo - potwierdził.

Kris wezwała swojego technika.

- Hanson, sprawdź trasę, którą przesłałam na twój wyświetlacz.

Na dwudziestopięciogodzinnym zegarze Sequima była dziesiąta wieczorem. Szary zmierzch przechodził w ciemność, nawet tak daleko na północy. Dwie drużyny Kris rozpoczęły przedzieranie się przez bagna. Szło im to bardzo powoli. Systemy autokamuflażu kombinezonów bo-

owych ledwie nadążały z dostosowywaniem się do podłoża. Kombinezon jednego z marines całkowicie się poddał i biedaka od stóp do głów pokrywała piaskowa żółć. Wszyscy byli przemarznięci, pancerze, choć wodoszczelne, nie izolowały termicznie. Na domiar złego komary lub ich miejscowe odpowiedniki obsiadły ich tak gęsto, że musieli pozamykać hełmy, aby móc swobodnie oddychać.

Około dwudziestej trzeciej mały oddział Kris dotarł do twardego gruntu. Zarządziła przerwę, a sama z sierżantem i swoim technikiem udała się do lasu na rekonesans. Drzewa miały około trzydziestu metrów wysokości. Wyglądem przypominały choinki z wiecznie zielonych lasów Wardhaven. Ale w odróżnieniu od rodzimych igły tych drzew zakończone były twardymi kolcami. Kris wolała nie sprawdzać, jak bardzo jej żołnierze uczuleni są na wydzielinę pokrywającą kolce.

- Trzymać kombinezony szczelnie zapięte - poleciła.

Podczas gdy inni odpoczywali, Hanson przeczesywał las w poszukiwaniu pułapek i innych niespodzianek. Dron krążył nisko, dodając swoje dane.

- Coś dużego znajduje się tu i tu - Hanson naniósł odczyty ze swoich sensorów na mapę - prawdopodobnie nic groźnego dla nas, ale wolałbym nie przeszkadzać zwierzakom w tym, co ro-



bią. Mogą narobić hałasu.

Kris oznaczyła na mapie rejon jako „nie do przejścia”.

- Co dalej?

- Mnóstwo małych futerkowców. O tej porze roku bardzo zajętych sobą nawzajem.

- Dzięki - odprawiła zwiadowcę Kris.

„Nadchodzę, Eddy!”

Przerwa, jakkolwiek wystarczająca dla szturmowców, była za krótka dla Kris. „Jeśli chcę zadawać się z marines, muszę więcej czasu spędzić w sali treningowej” - pomyślała.

Noc wokół nich stawała się całkiem ciemna. Wyliczenia czasowe Kris były bezbłędne. Odział poruszał się cicho, technicy cały czas wypatrywali śladów ludzkiej obecności. Ziemia była śliska od deszczu, dla dwóch wojaków skończyło się to upadkiem. Jedna marine tylko najadła się wstydu przed kolegami, ale jej kompan miał mniej szczęścia - uruchomiła mu się opaska uciskowa w kombinezonie i musiał kontynuować marsz z krwiakiem, zaciskając zęby z bólu.

Pół godziny później Kris sygnałem ręki ponownie zatrzymała grupę, około stu metrów przed końcem linii drzew. Podczas gdy marines pozostali w szyku ubezpieczonym, dowódcy podczołgali się bliżej, by na własne oczy przyjrzeć się drzwiom, które mieli wykopać.

Chatka była dwukondygnacyjnym budynkiem z drewnianych bali. Małe okna świadczyły o tym, że zimy muszą tu być bardzo mroźne. Od frontu i z tyłu budynku znajdowały się werandy ze stromym dachem. Czujniki podczerwieni wskazywały sześć źródeł ciepła wielkości człowieka. Jednak noktowizja twierdziła, że z sześciu domniemanych strażników tylko dwóch ma ludzkie kształty.

Kris obniżyła lot BSR-a tak nisko, jak to tylko było możliwe. Poniżej pięciuset metrów zaczynało być niebezpiecznie nawet dla „niewykrywalnego” samolotu. Czujniki drona wykryły wewnątrz chatki cztery cele o zmiennej temperaturze.

Kris uniosła w stronę sierżanta obie dłonie, ukazując sześć wyprostowanych palców. Potwierdził skinieniem głowy. Piętnaście minut obserwacji pozwoliło stwierdzić, że śpią wszyscy. Raz tylko człowiek na tylnej we randzie poszedł do toalety. Trzej strażnicy na parterze spali w łóżkach. Czwarty, znajdujący się na górze, ewentualny egzekutor, drzemał w fotelu.

- Zupełnie nieprofesjonalnie - zauważyła Kris. Negocjacje przeciągały się od tygodnia. Głównym problemem był statek kosmiczny mający zabrać porywaczy. Żaden kapitan nie chciał mieć z nimi nic do czynienia.

- Gdybyśmy trzymali się mojego planu, ludzie zdjęliby tych facetów, zanim ci by zauważyli, że tu jesteśmy - warknął sierżant.

Nie przejmując się tym, co by było gdyby, Kris nakazała Hansonowi sprawdzenie trzystumetrowego pasa otaczającego dom. Z pięciuset metrów, na których operował BSR, nie było widać nic, co mogłoby im zagrażać lub przeszkodzić. Jednak po uważnej lustracji terenu technik wykrył sieć baterii niskiego napięcia.

- Co zasilają? - zapytał sierżant.

- Sprawdzam.

Niezadowolony z tempa pracy Hansona, sierżant wysłał swoją technik. Oboje przez kilka minut pracowali czujnikami, zanim Hanson cicho gwizdnął.

- Lasery bardzo niskiej mocy.

Za chwilę dysponowali już częstotliwościami. Kris dostroiła swój system obrony przeciwlaserowej i zorientowała się, że patrzy na sieć przecinających się promieni o długościach niemożliwych do wykrycia przez drona. „Cholera! Ci faceci za dużo wiedzą i są stanowczo za dobrze wyposażeni. Kto, u diabła, zapłacił za to wszystko i wydaje im polecenia?”

Sequim był bogatą planetą i jego menadżer miał wiele źródeł zarobku. Kris zastanawiała się, z kim będzie się musiał spotkać jutro, aby po-

żyć miliony na okup za życie dziecka.

Sama będąc córką polityka, Kris doskonale wiedziała, że będzie mnóstwo ofert pomocy w zamian za „drobną” przysługę. Zmarszczyła brwi, nigdy wcześniej nie myślała o tym, kto oferował ojcu pieniądze na okup za Eddy ego i czego spodziewał się w zamian. Interesujące przemyślenia... na później.

Hanson wciąż był zajęty. Wpatrywał się w migoczący kolorowo wyświetlacz czujnika.

- Wykrywam obecność C-I2 i miękkich tworzyw sztucznych - szepnął.

- Daj mi zobaczyć. - Sierżant wziął instrument z ręki technika, spojrział uważnie na wyświetlacz. W końcu przeniósł wzrok na pole - nie widzę żadnych śladów kopania. Nie widziałem z orbity i nie widzę teraz.

- Miny przeciwpiechotne Mark 41 „Kameleon”? - zasugerowała Kris.

- Nie są jeszcze w użyciu - sapnął sierżant. - Dopiero rozpoczęto ich produkcję.

W miarę jak docierało do niego znaczenie tego, co widział, mówił coraz wolniej.

- Cholera, a jeśli te sukinsyny mają takie zabawki? - Reszty nie musiał dopowiadać.

- Tam są miny, sierżancie - pewnym tonem powiedział Hanson.

- Sprzężone z laserami czy naciskowe? -

zapytała Kris.

- Rzekłbym, że i takie, i takie.

Kris wciągnęła powietrze przepełnione zapachem tundry. Przecierając oczy, spojrzała w niebo. Pokrywa chmur była gęsta, ale zaczynało już szarzeć. Zbliżał się świt. Strażnicy staną się czujniejsi. Ponadto najmniejszy odgłos mógł zamienić śpiącego strażnika w strzelającego, w dodatku mającego wystarczająco dużo światła, by widzieć, do czego strzela. Kris wraz z podwładnymi musiała jak najszybciej przebyć trzysta metrów dzielące ją od domku.

Wróciła do zespołu.

- Czyj wykrywacz promieni lasera nie działa? - spytała.

Po chwili czwórka marines przyznała ze wstydem, że tak pieczołowicie chroniony przez całą drogę sprzęt okazał się tylko zbędnym obciążeniem. Szczęściem w nieszczęściu było to, że wśród tej czwórki znajdowali się zarówno „piaskowy wojownik”, jak i posiadacz krwiaka na udzie.

- Wasza czwórka zostaje w krzakach jako zespół wsparcia ogniowego.

To jednak był dopiero początek kłopotów Kris.

Amunicja do karabinka M-6 to nie typowe naboje zespolone, posiadające pocisk oraz łuskę ze spłonką i materiałem miotającym. W magazyn-

kach żołnierzy znajdowały się praktycznie tylko pociski strzałki kalibru 2 mm. Broń była tak skonstruowana, że po pomiarze odległości przez automatyczny dalmierz karabinek nadawał strzałce odpowiednią energię początkową. Na wyposażeniu znajdowały się dwa rodzaje pocisków. Pierwszy z nich to amunicja bojowa. Drugi natomiast stanowił najnowszy projekt Colta w dziedzinie amunicji o bezwładniającej. Strzałki stosowano raczej do walki na krótkim dystansie. Przy odległości trzystu metrów były bardzo podatne na podmuchy wiatru.

- Sierżancie, proszę wybrać z tej czwórki dwójkę lepszych strzelców i niech załadują amunicję o bezwładniającą. Pozostała dwójka ładuje ostrą. Decyzja o otwarciu ognia należy do mnie lub sierżanta - zdecydowała, że czas na ostatnie przypomnienie zasad przed rozpoczęciem walki. - Pamiętajcie, że jesteśmy tu w roli gliniarzy. Porywacze mają prawo stanąć przed sądem. I podkreśliłam, że na Sequimie wciąż obowiązuje kara śmierci. Tak więc my tylko dostarczamy przesyłkę, a miejscowi sami ją wieszają.

Z pomrukiem zadowolenia marines uformowali szyk. Na czele posuwał się zespół ogniowy sierżanta, złożony z niego samego i technika. Za nim znajdowali się jego kapral i strzelec. Kris wraz z Hansonem prowadziła swoją drużynę, tyły

zamykali kapral Li z jeszcze jednym szturmowcem.

Jako pierwsza ruszyła technik z drużyny sierżanta. Używając całego arsenału swych „magicznych” sztuczek, wskazywała pozostałym, gdzie można bezpiecznie postawić stopę, by uniknąć miny lub lasera.

Kris zauważyła jedną z min. Jej powierzchnia całkowicie odwzorowywała wygląd otoczenia. Przy średnicy około piętnastu centymetrów i wysokości niecałego jednego praktycznie nie rzucała cienia. Letnie słońce spowodowało, że grunt rozmiękł i miny zapadły się w nim.

Teraz gdy wiedziała, czego szukać, Kris dostrzegła jeszcze kilka min. Wokół nich nie było śladów stóp, których wypatrywała już z orbity. Czyli mieli do czynienia z narzutowym polem minowym, wykonanym ze śmigłowca. Minowanie narzutowe kosztowało majątek. Kto to wszystko finansował?

Kris czuła, że bardzo potrzebuje prysznic, kawy i kogoś do pogadania o tym wszystkim, co spadło na nią w ciągu ostatnich kilku godzin.

Ale teraz trzeba było skoncentrować się na zadaniu. Przygarbiona gdzieś na środku trzystumetrowego pola minowego odkrywała nowe znaczenie wyrażenia „naga i bezbronna”. Uważała na każdy krok, śledziła dane przesyłane przez

bezpilotowy samolot rozpoznawczy, obserwowwała porywaczy. Od czasu do czasu przypominała sobie o oddychaniu. Wydawało jej się, że podczas tej przeprawy postarzała się o wieki.

Gdy podeszli do domku, gestem nakazała sierżantowi i jego drużynie zajęcie pozycji z tyłu. Ona ze swoimi ludźmi miała wejść od frontu i biec prosto na górę. Kris chciała, by pancerne płyty jej kombinezonu bojowego osłoniły ciało dziewczynki. Jeśli cokolwiek miałyby się stać dziecku po wejściu Kris do domku, to tylko po śmierci jej samej.

Szcście opuściło drużynę ratunkową kilka metrów przed domkiem. Jeden ze „śpiochów” wstał do toalety. Zatrzymał się przy frontowym oknie.

- Ruch w domku - szepnęła Kris do mikrofonu na widok faceta stojącego w oknie. - Zaczynamy na mój znak. Sierżant wchodzi od tyłu i pacyfikuje parter. My od frontu i bierzemy górę.

W momencie gdy przerwała w oczekiwaniu na pytania, mężczyzna w oknie podrzucił broń do ramienia i otworzył do nich ogień ciągły.

- Wsparcie, zdjęć tego gościa! Kapral Li, bierzesz strażnika na fotelu! Hanson, wywal nam dziurę!

- Robi się - szepnął technik, uzbrajając ładunek wydłużony.



Za plecami Kris skrzydłowa kaprała Li dostała długą serią w klatkę piersiową i przeleciała kilka metrów w tył. Upadła na minę, której wybuch ponownie wyrzucił ją w górę.

- Wybuch! - krzyknął Hanson. Granat wystrzelony przez technika pociągnął ładunek wydłużony. Drzwi wybuchły, a następnie zadziałała linia ładunku. Udało się zdetonować trzy miny na drodze do wejścia. Kris rzuciła się do biegu w momencie wybuchu. Chwytając równowagę, przebiegła przez salon w stronę schodów. Nie była w stanie zobaczyć strażnika na piętrze. Na prawo od niej, pod ogniem prowadzonym zza jej pleców, upadł jakiś mężczyzna. Inny właśnie unosił broń. Ale myśli Kris pochłonięte były porywaczem na górnym korytarzu. Dobrą stroną zadawania się z marines jest to, że jeden z nich zawsze cię ubezpiecza. Ignorując mężczyznę w salonie, Kris rzuciła się na schody, zmieniając magazynek na ten ze strzałkami usypiającymi. „Eddy, już biegnę!”

Gdy była w połowie drogi, zobaczyła strażnika. Unosił ręce, wpatrując się w Kris. Nie czekając, dziewczyna wystrzeliła długą serię. Strzałki trafiły mężczyznę w klatkę piersiową, gardło, twarz. Obrócił się wokół własnej osi i upadł. Kris dobiegła na szczyt schodów, skręciła ostro w lewo. Krzyk nie pozostawiał wątpliwości, w której sypialni znajduje się zakładniczka.

Ratowniczką uderzyła w drzwi i odbiła się od nich.

Hanson był tuż za nią. Wślizgnął się na kolanach do samych drzwi, przykleił mały ładunek w okolicach zamka, nakrył tkaniną absorbującą energię i schował głowę.

Drzwi wyleciały z zawiasów.

Kris biegła szybciej niż fala uderzeniowa. Oczywiście, że to nie było możliwe, ale dziewczyna mogłaby przysiąc, że tak właśnie było.

Wpadła do pokoju, omiotła go bronią, a potem rzuciła się ku postaci w poszarpanych dżinsach i zielonym swetrze. Dziecko pólśiedziało na łóżku, szarpiąc się w więzach i krzycząc ile sił w sześćioletnich płucach. Kris bardzo chciała po prostu przytulić dziewczynkę, ale obowiązywały ją procedury. Padła na podłogę. Jakiś niewielki przedmiot połączony był przewodami ze sprężynami łóżka.

- Hanson, mamy tu bombę!

Technik znów wylądował na kolanach.

W pokoju oprócz łóżka znajdował się tylko plecak. Nie było żadnej szafy. Podczas gdy Kris wróciła wzrokiem do dziewczynki, Hanson pracował przy „potworze spod łóżka”!

- Bomba połączona jest z więzami. Przetniesz je i będzie BUM!

- To ją rozbrój - powiedział kapral Li, któ-

ry właśnie wszedł do pokoju wraz z towarzyszącą mu marine, której kombinezon był straszliwie osmalony, ale najwyraźniej nieuszkodzony po spotkaniu z serią pocisków i miną.

- Nic ci nie jest? - spytała podwładną Kris.

- W porządku - odpowiedział kapral za swoją skrzydłową. - Na minie wylądowała płasko na plecach. Gdyby na nią stanęła, urwałoby jej nogę. A tak tylko ją trochę przypiekło.

- Przypomnij mi, żeby powiedzieć w dowództwie, że ich miny są do dupy - uśmiechnęła się podporucznik.

- Jestem gotów do odłączenia tego pa-skudztwa - głos Hansona sprowadził ich z powrotem do rzeczywistości i wrzeszczącej zakładniczki. - Gdyby coś poszło nie tak, dobrze by było, żeby między dzieckiem i bombą znalazło się trochę pancerza.

Nic już nie skrzywdzi tej dziewczynki. Sprawdziwszy, ile luzu pozostawiają dziecku więzy, Kris weszła na łóżko i objęła małą, która przestała płakać, choć jej oddech nadal był krótki i urywany.

- Nikt już nie zrobi ci nic złego - szepnęła podporucznik do ucha zakładniczce.

- Nikt? - zapytało dziecko.

- Nikt - potwierdził Hanson. - A teraz wszyscy wynocha na korytarz.

Gdy kapral i szeregowiec wyszli, technik opuścił zasłonę hełmu.

- Chyba rozgryzłem cholereę - powiedział, ponownie wślizgując się pod łóżko.

Przez chwilę nic się nie działo. Kris czekała w napięciu. Nadal nic. A potem Hanson wyszedł spod łóżka z podniesionym wizjerem, uśmiechnięty jak człowiek, który właśnie bezkarne obrabował bank.

- No nie stój tak. - Kris także się roześmiała. - Odetnij ją!

- Tak jest, pani porucznik! - W dłoni technika błysnął multi-tool.

Kapral i strzelec wrócili i natychmiast odgradzili żywym murem ich małą dziewczynkę od reszty świata. Kris podniosła zasłonę hełmu.

- Są tu marines. Jesteś bezpieczna, kochanie. Nikt już cię nie skrzywdzi.

Dziecko rozejrzało się, spoglądając po kolei na każdego szurmowca. Gdy tylko Hanson uwolnił dziewczynce ręce, napięcie zaczęło ją opuszczać. Tak bardzo, bardzo chciała uwierzyć w to, co mówili ci nieznajomi. W końcu mocno objęła Kris, tuląc twarz do twardego pancerza i pozwalając sobie na odprężający płacz. Podporucznik Longknife była teraz jej strażnikiem. I sama także płakała. Były to łzy oficera marynarki, który właśnie uratował życie dziecka, łzy dziesięcio-

latki, która nie zdołała uratować brata.

Wkoło stali dumni i uśmiechnięci marines.

- Udało się - powiedział kapral Li.

- Udało - powtórzył Hanson.

- Dzięki Bogu - dodała szeregowy.

- Dom zabezpieczony - zameldował sierżant przez radio. - Technik potwierdza brak min pułapek. Jeden bandyta nie żyje. Pięciu nieprzytomnych, skutych. Kilku dostało strzałkami z bardzo małej odległości. Może być potrzebna pomoc lekarska.

Kris pociągnęła nosem, wstała, nie tracąc ani centymetrem kwadratowym ciała kontaktu z dzieckiem.

- Świetna robota, sierżancie.

Przełączyła nadajnik na kanał ogólny.

- Mówi podporucznik Longknife. Zakładniczka jest bezpieczna. Powtarzam, dziecku nic się nie stało. Pięciu przestępców aresztowanych, niektórzy ranni. Potrzebna pomoc medyczna. Uwaga! Teren wokół celu jest zaminowany. Nie lądować, dopóki nie rozbroimy min.

Otrzymała potwierdzenie odbioru z „Tajfuna” i pół tuzina stacji policyjnych.

Spojrzała w podkrążone oczy dziewczynki i objęła ją jeszcze mocniej.

„Mylisz się, mamó. Marynarka wojenna to nie jest marnotrawstwo mojego czasu. Są dni

warte więcej, niż ktokolwiek mógłby zapłacić”.

## ROZDZIAŁ 4

Gdyby to była symulacja komputerowa, Kris wcisnęłaby teraz przycisk „Game Over” i poszła na pizzę. W świecie rzeczywistym sprawy kończą się dopiero wtedy, kiedy naprawdę są zakończone. Ta daleka była jeszcze od zakończenia.

Dziewczynka, mała i delikatna w ramionach Kris, zapytana o imię odpowiedziała:

- Edith.

Faktycznie, ta informacja znajdowała się w danych przed misją, ale imię to brzmiało tak podobnie do Eddy, że Kris natychmiast je zapomniała. Dziewczynka tak mocno przytulała się do młodej podporucznik, że zdawać by się mogło, że są siostrami syjamskimi dzielącymi serce. I w tym momencie Kris wcale nie temu nie przeczyła.

Przy schodzeniu z piętra kapral Li i Hanson ubezpieczali swojego dowódcę i Edith. Nikt nie chciał, by teraz wydarzyła się jakaś niemiła niespodzianka. Skrzydłowa kaprała doholowała nieprzytomnego terrorystę na dół i położyła obok pozostałych. Wszyscy krwawili z ran po strzałkach, dwóch mocno. Jeden z porywaczy trząsł się w szoku. Dwóch przytomnych posadzono skutych na kanapie, tak aby wyraźnie widzieli dużą plamę krwi pozostałą po ciele ich martwego kompana.

- Kto dowodził? - ostro spytała Kris.

Obaj przytomni bandyci rozejrzeli się po pokoju, jakby widzieli go pierwszy raz.

- Martin - odpowiedział jeden z nich i wskazał na kumpla w drgawkach.

Sierżant sięgnął po jego portfel i wyrzucił zawartość na stół. Martin posiadał kartę identyfikacyjną i prawo jazdy wystawione na Ziemi! Co bandzior z Ziemi robił aż tutaj? Sytuacja stawała się coraz dziwniejsza.

Kris postanowiła jednak najpierw rozwiązać problemy bieżące.

- Goście, słuchajcie no - zwróciła się do zatrzymanych - mamy tu kupę min przeciwpiechotnych. Chcę je rozbroić. Kto ma kody?

Odpowiedział jej jedynie pusty wzrok.

- Sprawdźcie ich tożsamość, zobaczymy, kogo tu mamy. I obudźcie tych śpiochów.

Hanson podszedł do leżących i każdego z nich trącił butem. Wycelował karabin w pierwszego z brzegu.

- Pobudka, głąbie! Witamy w świecie bólu.

- Technik uśmiechnął się krzywo.

Jeden z porywaczy otworzył oczy, a następnie spróbował przetoczyć się na bok. Miał pecha, gdyż swój ruch zakończył oparty o ścianę w bardzo niewygodnej pozycji.

- Kto kontroluje to pole minowe? - warknął mu prosto w twarz marine.



- Martin ma kody.

Próby obudzenia Martina spełzły na niczym.

- Ma kłopoty z sercem - zameldował Hanson. - Potrzebuje szybko lekarza albo go stracimy.

Sierżant nachylił się nad kolejnym oprzytomniałym bandytą.

- Gdzie Martin ma kody?

- W swoim kompie. Przysięgam.

\* \* \*

Technik obszukał Martina i wyciągnął stary komputer nadgarstkowy, cały pokryty krwią. Próbował go przetrzeć o swój kombinezon, ale niewiele to pomogło, więc wytarł urządzenie o karnapę.

- Właśnie coś na nim robił, kiedy do niego strzeliłem - warknął sierżant.

- No tak, wyczyścił pamięć - skonkludował Hanson.

Kris już dawno temu nauczyła się, że żadnej pamięci nie da się wymazać całkowicie. Nie jeśli popracują nad nią cierpliwie odpowiedni ludzie. Schowała komputer do swojego zasobnika i wyjrzała przez okno. Czwórka jej podwładnych była oddzielona od reszty polem minowym. Teoretycznie jej technicy byli w stanie oczyścić pole, ale jako dowódca nie chciała niepotrzebnie ryzykować niczyjego życia. Miny nie mają przyjaciół.

- Mówi podporucznik Longknife. Nie mam możliwości zdalnego rozbrojenia pola minowego. Czy ktoś w sieci dysponuje sprzętem saperskim?

Z kilku stacji policyjnych padła odpowiedź negatywna. Podczas gdy Kris rozważała różne opcje, głośnik nagle ryknął znajomym głosem:

- Tu komandor Thorpe z „Tajfunu”. Schodzimy do lądowania. Za trzydzieści sekund będziemy nad chatką. Sugeruję wszystkim znajdującym się na zewnątrz ukrycie się.

Wojacy wokół Kris wymienili zdziwione spojrzenia.

Hanson potrząsnął głową.

- Komandor tego nie robi, prawda? No niech mi ktoś powie, że on tego nie robi. Mój sprzęt pójdzie na złom.

- Powiedział, że będzie tu za trzydzieści sekund. Czyli już to zrobił.

- Nie zrobiłby tego, wiedząc, że jesteśmy na zewnątrz - powątpiewająco powiedziała Kris.

- Nie byłbym tego pewien, pani porucznik - cicho powiedział kapral Li.

- Róbmy, co nakazał dowódca - krzyknął sierżant. - Za kilka sekund rozpęta się tu piekło.

Podczas gdy marines przenosili jeńców, Kris nakazała zespołowi wsparcia wycofać się. Daleko i szybko.

W tym momencie niebo przecięła błyskawica-

ca. Dziewczyna była bardzo ciekawa, co zobaczy przez okno. Tak zwany inteligentny metal, z którego zbudowany jest kadłub okrętów klasy „Kamikadze”, pozwalał im na przybieranie różnych kształtów. Jako podporucznik pilot sama kilkakrotnie zmieniała „Tajfuną” z okrętu wojennego w stację orbitalną. Ale to była normalna procedura. Transformacja bojowego okrętu kosmicznego w pojazd atmosferyczny wymagała o wiele więcej.

Błękitne letnie niebo rozbrzmiało przerażającym wizgiem.

Kris zauważyła biały punkt zbliżający się od południowego wschodu. Zastanawiała się, jak można zabezpieczyć domek przed lądującym w pobliżu okrętem bojowym. Nie wspominał o tym żaden podręcznik w Studium Oficerskim.

- Sierżancie, proszę powybić okna!

- Jasne!

Gdy jej zespół tłukł szyby, Kris chwyciła jakieś koce i owinęła nimi Edith.

- Za chwilę będzie tu straszny hałas, ale nie bój się. Jestem z tobą.

Dziecko spojrzało na Kris ufnym wzrokiem i choć wydawałoby się to niemożliwe, przytuliło się jeszcze mocniej.

Kris zajęła miejsce naprzeciw okna, tak aby widzieć zarówno to, co się dzieje wewnątrz, jak i na zewnątrz, i opuściła wizjer hełmu.

Hałas wzrósł z ogromnego do bolesnego. Jak piekielny ptak, „Tajfun” z prędkością czterystu węzłów zbliżał się do chatki. Połowa jego silników skierowana była w dół. Ciśnienie pod nimi musiało być ogromne.

Kris przycisnęła dziecko do ściany, modląc się w duchu, aby jej dowódca nie przeliczył się w swoich manewrach i nie zmiotł myśliwskiego domku razem z minami.

- A nie mówiłem? - zauważył jeden z marines. - Czy on nie wygląda jak kilgoński ptak drapieżny? Dokładnie tak jak w komiksach.

„Tajfun” był na wysokości około stu metrów, kiedy wybuchła pierwsza mina. Gdyby nie dodatkowe gejzery błota i wody, jej wybuch pozostałby niezauważony w ryku silników. Za chwilę pojawiły się następne gejzery. Kamienie, woda, błoto, roślinność rozrzucone były na wszystkie strony. Kris zobaczyła już wystarczająco dużo.

- Wszyscy na ziemię!

Reakcja podwładnych była natychmiastowa. Kris myślała o katastrofalnych zniszczeniach poczynionych w tundrze. Letnie słońce rozmroziło tylko kilkunastocentymetrową warstwę gleby. Teraz silniki raketowe orały ją na głębokość dwóch, trzech metrów, obracając wszystko w perzynę.

Dziewczyna miała tylko nadzieję, że ktośkolwiek jest właścicielem tego miejsca, nie będzie

miął im tego za złe. Pani podporucznik doskonale wiedziała, że na liście „ochotników” do sporządzenia planu likwidacji szkód zajmować będzie czołową pozycję.

Na zewnątrz hałas silników raketowych zmienił ton, Kris zaryzykowała spojrzenie. Ziemia parowała i odrywała się kawałami, gdy „Tajfun” siadał na dwunastu grubych siłownikach. Następnie wylądują pewnie śmigłowce policyjne.

- Sierzancie, proszę wraz z technikami policyjnymi oczyścić teren. Jeśli została jakaś mina, proszę ją wysadzić. I zacząć od werandy.

Dwójka specjalistów sprawdziła drzwi, zanim je otworzyli.

- Mam jedną.

- Tu jest druga - padło, zanim uszli dwa kroki.

- Przyjaciele - Kris zwróciła się do podwładnych - zbierzmy się na modlitwie w pokoju, podczas gdy kapłani techniki wyślą nasze drogie miny w ich ostatnią drogę.

- Tak - uśmiechnął się kapral - strata tak bliskich nam min jest straszną rzeczą.

- Jeszcze chwila, a nasi więźniowie oskarżą marines o brutalne traktowanie min.

- Gdzie moja mama? - włączyła się Edith.

- Już idzie, kochanie. Będzie tu za kilka minut. - Kris posadziła małą na blacie kuchennym.

nym, podczas gdy sierżant pilnował zatrzymanych w pokoju. Dziewczyna otworzyła rację żywnościową, poszukała w niej batona i podała Edith.

Dziecko wzięło go i przyglądało mu się w wyraźnym konflikcie interesów.

- Mama mówiła, żeby nie brać słodczy od obcych.

- Kochanie - zaśmiała się Kris - nie jestem obca. Jestem marine.

- I to jaką - potwierdził kapral Li.

- W całej rozciągłości - rzucił ktoś inny.

Edith chyba poczuła się przekonana, bo ostro zaatakowała batonik. Kris przekopała jeszcze raz rację w poszukiwaniu czegoś, co smakowałoby małej.

W tym czasie na zewnątrz rozbrzmiewały wybuchy. Radio odzywało się kilkukrotnie, to załogi śmigłowców policyjnych pytały o pozwolenie na lądowanie.

Ku zniesmaczeniu komandora Thorpea w załodze „Tajfunu” nie było saperów z wyjątkiem dwójki z zespołu Kris. Wszyscy musieli więc czekać na efekty ich pracy.

Gdy odgłosy wybuchów oddaliły się nieco, Kris zabrała Edith do pokoju frontowego. Stojąc w drzwiach, obserwowała pracę marines. Wietrzyk przynosił zapach materiałów wybuchowych, które technicy kładli na minach i detonowali.

Przeważnie wystarczyło to do spowodowania także wybuchu miny. Nieliczne, które nie wybuchły, były oznaczane w oczekiwaniu na pełny zespół saperski. W końcu przedpole zostało oczyszczone na tyle, że można było przyjąć pierwszy śmigłowiec.

Dwie minuty później trzy statki powietrzne weszły na krąg. Jeden z nich przysiadł na chwilę, by pozwolić wysiąść ekipie saperów. Byli to ochotnicy z pobliskiej kopalni, którzy zgłosili się do pomocy marines.

Gdy tylko lądowisko było czyste, kolejny śmigłowiec wylądował bez pytania o zgodę. Nie było wątpliwości, kto nim przyleciał. Wysiedli z niego mężczyzna i kobieta. Siła, z jaką sześciolatka wrywała się z ramion Kris, była zadziwiająca. Dziewczyna starała się nie walczyć, a tylko utrzymać dziecko. Kobieta, do której krzyczała Edith, biegła przez lądowisko, ślizgając się i chlapiąc. Gdy dotarła do domku, cała była pokryta błotem. Mężczyzna podążył dwa kroki za nią. Dziewczynka, która przed momentem zdawała się przyspawana do ramion Kris, w okamgnieniu znalazła się w objęciach matki. Za chwilę cała trójka utonęła w uściskach i łzach radości.

Kris także trochę popłakała, więc odwróciła się i weszła do domku. Tam, pod niezbyt czułą opieką sierżanta, zatrzymani przygotowywali się do wyjścia.

Po powrocie na werandę dziewczyna zobaczyła, że rodzina wciąż trwa tak jak przedtem. Miejsce na lądowisku zajmował teraz tylko jeden duży śmigłowiec, z którego wybiegło dwunastu umundurowanych policjantów.

Podporucznik poprosiła rodzinę o przejście w kąt werandy, aby więźniowie pod silną strażą mogli opuścić domek. Trójka w kącie nawet nie zwróciła uwagi na wyprowadzanych porywaczy, tak pochłonięta była sobą nawzajem. Dowódca ekipy policyjnej obrzucił prowadzonych czterech i niesionego piątego zatrzymane go taksującym wzrokiem, jakby już wybierał dla nich trumny.

- Za domem znajduje się jeden martwy. Musimy wypełniać jakieś dokumenty czy po prostu wam ich przekazujemy?

- Po prostu ich od was weźmiemy, proszę pani. Jeśli lubi pani papierkową robotę, mogę pani sprawić tę przyjemność, ale tu nie przejmujemy się zbytnio formalnościami - odpowiedział policjant, nie spuszczać wzroku z więźniów. - Jak rozumiem, jeden z nich pilnie potrzebuje lekarza?

- Tak, ten.

- Da sobie radę - warknął gliniarz.

- To podobno jest szef - zaznaczyła Kris. -

Chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- Będzie gadał, i to całkiem szybko. - Te-



raz policjant się uśmiechał. – Spodziewam się, że wszyscy będą. Jeden przez drugiego.

Dziewczyna przez chwilę zastanowiła się, jakie jeszcze fragmenty Deklaracji Praw Człowieka nie zostały ratyfikowane na Sequimie. Ale teraz miała inne problemy na głowie.

– Sierżancie, proszę ze swoją drużyną zgromadzić nasz sprzęt, ale tak, aby nie przeszkadzać w pracy policjantom.

– Tak jest, pani porucznik – zasalutował.

– Nasza drużyna odzyska LLS-y – Kris zwróciła się do kaprała Li. – Chcę osobiście sprawdzić nasz nadajnik. Nikt nie ma prawa dotknąć go przede mną. Jasne?

– Jak słońce. Nikt nie będzie ruszał tego cholerstwa.

Podporucznik Longknife rozejrzała się i stwierdziwszy, że wszystko jest pod czyjąś kontrolą, ruszyła za kapralem.

Chwilę zajęło jej zebranie marines stanowiących jej wsparcie ogniowe. Podczas lądowania „Tajfun” wycofali się daleko w las. Wraz z nimi udała się na macierzysty okręt. W wejściu stał osobiście komandor Thorpe, uśmiechając się jak pirat i podziwiając skutki swojego lądowania.

– Nie chwaląc się, pięknie mi to wyszło.

– Tak, panie komandorze. Potrzebuję przetransportować LLS-y. Mogę użyć poduszkowca?

- Pani marines, poruczniku, są zbyt leniwi, żeby się jeszcze raz przespacerować na bagna, na które ich pani zawiozła?

- Nie, dowódco. Po prostu pomyślałam, że może chcieć pan mieć całą załogę na pokładzie jak najszybciej - odpowiedziała. Gdyby od razu poszli po lądowiki, dostałaby opieprz za marnotrawienie czasu. Kris zaczynała się przyzwyczajać do tego, że zbiera reprimendy niezależnie od tego, co robi.

- Proszę wziąć poduszkowiec numer dwa i załatwić to szybko - polecił Thorpe i dodał jakby po zastanowieniu: - Dobra robota, poruczniku.

Kris zasalutowała i poprowadziła drużynę na pokład. Jak było do przewidzenia, zmiana konfiguracji „Tajfuna” pociągnęła za sobą ogromny bałagan w jego wnętrzu. Na szczęście Nelly szybko zlokalizowała położenie poduszkowca numer dwa. Kris znalazła drugie wyjście, nie chcąc po raz kolejny mijać się z Thorpeem. Przekazała rozkazy przez interkom i czekała na otwarcie luku.

W ciągu następnych trzech minut drużyna załadowała się do pojazdu.

Prowadził kapral, Kris siedziała obok niego, a na tylnych siedzeniach marines wygłupiali się, odreagowując stres.

Gdy wlecieli między drzewa, a „impreza” z tyłu stała się głośniejsza, kapral nachylił się w

stronę podporucznik Longknife.

- Dzięki za sprowadzenie nas na dół, pani porucznik. Byłem pewien, że się usmażymy. Nie wielu znam oficerów, którzy zrobiliby to, co pani. Chciałem tylko dostać się na dół, tam, gdzie mogliśmy pomóc tej małej dziewczynce. No dobra, pani porucznik, może i nie jest pani marine, ale jak dla mnie, może pani w dowolnym momencie zapodać „Semper Fi”. [„Semper Fi” - dewiza Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Jest skrótem od łacińskiego „Semper Fidelis” (zawsze wierny). Używana jest zawsze, gdy zachodzi potrzeba wyrażenia szacunku i dumy z przynależności do korpusu (przyp. tłum.)]

- Dzięki - tylko tyle mogła odpowiedzieć. „Tato, mylisz się. Zwycięstwo w wyborach nie jest najprzyjemniejszym przeżyciem na świecie”. Kris nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek w życiu czuła się tak dumna jak dziś, pochwalona przez podwładnego.

\* \* \*

LLS-y oczywiście były tam, gdzie je zostawili. Podczas gdy trójka marines ładowała lądownik sierżanta, Kris i Li dokonali pierwszych oględzin ich własnego pojazdu. Link komunikacyjny był martwy jak głaz.

- Ostrożnie - przypomniawszy sobie dziewczyna podwładnym, przystępującym do załadunku LLS

Jeden.

- Taaa, ale będzie obciach, gdy okaże się, co tu jest nie tak - zauważył jeden z szeregowych. Fakt, że byli marines, wcale nie oznaczał, że byli głupcami... byli po prostu marines.

Podróż powrotna była wolniejsza. Gdy dotarli do „Tajfuna”, czekał na nich otwarty luk towarowy, mogli więc od razu dotrzeć na pokład desantowy Tommy już na nich czekał, trzymając w dłoni zestaw diagnostyczny.

- Jesteś gotów zabrać się za ten złom? - spytała Kris, wysiadając.

- Jeszcze nie - odpowiedział, opierając się o gródź. - Pomyślałem, że łyknę nieco świeżego powietrza. Gdzie twój LLS?

Kris nakazała rozładowanie ładowników, a następnie zwolniła marines. Tommy zabrał się do roboty. Dziewczyna znalazła swoją szafkę i zrzuciła kombinezon bojowy. Chętnie wzięłaby prysznic, ale po rekonfiguracji okrętu nie miała pojęcia, gdzie się znajdują łazienki. Zdecydowała się więc na włożenie munduru polowego, w którym chodziła wczoraj. Gdy skończyła się przebierać, wróciła do Tommyego, który właśnie machał do niej znad kokpitu.

- No i co możesz mi powiedzieć o moim martwym linku? - spytała.

- Że moje serce przestało bić, gdy stracili-

śmy łączność.

Kris nie była pewna, czy była to jedna z dziwnych odzywek Santamarianina, czy też Tommy flirtował z nią. Na wszelki wypadek nie odezwała się.

- Tu jest zamówienie na link komunikacyjnej - kontynuował. - Podwykonawca miał na pewien okres wstrzymany odbiór części, ale potem przeszły one pozytywnie testy, zarówno jego, jak i głównego wykonawcy. A przynajmniej tak twierdzą dokumenty. Sprawdźmy dalej.

Ze zdjętą pokrywą instrumentów kokpit wydawał się nagi. Nie potrzeba było magicznego przyrzędu Tommy ego, by zobaczyć spalony plastik.

- Jest jakiś sposób, żeby ustalić, czy po prostu miałam pecha, czy też ktoś przy tym grzebał? - spytała Kris pełna paranoidalnych przypuszczeń.

- Kto mógłby przy tym grzebać? To jest poziom obsługi warsztatowej.

Dziewczyna skinęła głową i oparła się o najbliższą szafkę. Patrzyła na leżące przed nią części, próbując pozbierać to wszystko do kupy. Losowo wybrana partia części najpierw niemal ją zabiła, a potem uratowała życie.

- O czym myślisz? - spytał Tommy, kucając obok niej.

- Że muszę zrobić odprawę z zespołem. Czy jeden z naszych podręczników w SO nie twierdził przypadkiem, że „przegadanie” spraw zmniejsza ryzyko PTSD? [Posttraumatic Stress Disorder (ang.) - zespół stresu pourazowego. Skrót PTSD wszedł do terminologii wszystkich państw NATO (przyj. tłum.)] Nie uważasz, że bycie niemal usmażonym podczas wejścia w atmosferę jak najbardziej się kwalifikuje do urazu psychicznego?

- Babcia Chin i przodkowie na pewno by się zgodzili.

- A prawda jest taka, że sama czuję się zestresowana. Wkrótce czeka mnie rozmowa z ojcem na temat realizacji zamówień publicznych w jego rządzie.

Nagle coś wpadło jej do głowy.

- Jeśli ta część znajdowała się na zamówieniu, to czemu nie została wymieniona?

- Nie mieliśmy jej na składzie. Logistyka obiecała dostarczyć w ciągu trzech dni. Następnego dnia wylecieliśmy.

- Szczęście? Wiesz, Tommy, muszę coś zrobić, żeby zmienić swoje szczęście. Przychodzi ci coś do głowy?

- A próbowałaś zostawiać nieco mleka dla krasnoludków?

- Zamówię dla nich piwo - mruknęła. -

Dostaną cały kufel.

- Mnie tam odpowiada - uśmiechnął się za nią Lefrikan.

Zanim Kris odpowiedziała, komunikatory obojga zaskrzeczały przeraźliwie. Ten sygnał przeznaczony był dla wiadomości od dowódcy, który chciał w ten sposób zmotywować swoją kadrę oficerską.

Tommy i Kris włączyli komunikatory równocześnie, tak więc wiadomość rozległa się w stereo:

- Menadżer generalny Sequima zaprasza wszystkich oficerów z „Tajfuna” na przyjęcie, które odbędzie się o godzinie dziewiętnastej czasu lokalnego. Okręt uda się do głównego portu Sequima o siedemnastej. Ubiór biały wyjściowy.

Po szybkiej ocenie swojego wyglądu Kris uznała, że sporo musi w nim zmienić przed przyjęciem. Ale najpierw musiała znaleźć swoją kajutę. Przy odrobinie szczęścia jej biały mundur wyjściowy nie ucierpiał zbyt mocno podczas rekonfiguracji okrętu.

Jednak Kris obawiała się, że cały dzisiejszy przydział szczęścia zużyła rano.

## ROZDZIAŁ 5

Kris miała rację. Wprawdzie jej szafy przeniosły się do kajuty, którą dzieliła obecnie z chorążym Bo, ale z drugiej strony nie miała pojęcia, gdzie podziało się jej biurko wraz ze wszystkimi szufladami. Dziewczyna miała nadzieję, że jutro gdzieś się odnajdą. Zgodnie z przewidywaniami jej mundur wyglądał jak psu z gardła wyjęte.

- Dziewczyny mają żelazko w messie głównej - pocieszyła ją chorąży Bo.

W normalnej konfiguracji okrętu Kris i Bo zajmowały oddzielne, pojedyncze kabiny na przeciwnych końcach „świątyni”, czyli miejsca zakwaterowania wszystkich kobiet z załogi okrętu. Zgodnie z zasadami kobiety i mężczyźni mieszkali osobno. Ten podział chyba był respektowany, bo Kris nigdy nie zdarzyło się widzieć jakiegoś faceta chyłkiem umykającego z żeńskich kwater.

Żelazko i deska okazały się łatwe do odnalezienia i pomijając fakt, że prasowanie było czynnością, której nie znosiła, całkiem szybko dała sobie radę z doprowadzeniem mundurów do porządku.

O szesnastej trzydzieści Kris dołączyła do grupy pozostałych dziewięciu oficerów „Tajfunu”. Wahadłowce zabrały ich na przyjęcie. Dowódca i zastępca dowódcy okrętu pojechali limuzyną, Kris



i Tommy znaleźli się w całkiem czystym pojeździe terenowym.

W rezydencji menadżera generalnego, zanim weszli do zatłoczonej sali balowej, oficerowie ustawili się według stopni. Sama sala wydawała się nieco z innej epoki, z dębowymi podłogami i kryształowymi żyrandolami.

Komandor Thorpe, w białym mundurze, z rzędami baretek na piersi, prowadził swoich ludzi wzdłuż szeregów cywilów, ubranych zgodnie z najnowszymi trendami paryskiej mody balowej. Jako najmłodsi oficerowie załogi, Kris i Tommy zamykali grupę.

- Longknife? Kris Longknife? To ty byłaś dziś rano na pokładzie tego śmigła?

Wywołana rozejrzała się wokół, nie rozpoznając głosu. Młody mężczyzna w bordowym fraku, trzymający drinki w obu dłoniach, zbliżał się do niej. Gdzieś już go kiedyś spotkała.

- Poznajesz mnie? - spytał.

Wychowana wśród polityków Kris wiedziała, że warto czasem nieco skłamać w takich sytuacjach.

- Kopę lat - odpowiedziała, przyjmując oferowanego drinka.

- Hej, Anita, Jim, musicie poznać tę dziewczynę. To o niej opowiadała Edith.

Na ten okrzyk linia gości załamała się

właśnie w momencie, gdy komandor Thorpe wyciągał rękę do menadżera generalnego. Zostawiając starszego oficera z ręką w powietrzu, para, ku której wszyscy zmierzali, podeszła do Kris.

- To pani uratowała moją córkę? - Ubrana w złotą suknię i kosztowną kolię kobieta była tą samą, która rano przedzierała się przez błoto.

- Dowodziłam grupą desantową - odpowiedziała Kris, starając się, aby zabrzmiało to tak, by wszyscy wiedzieli, że to komandor dowodził całą operacją.

- A nie mówiłem, że to Kris Longknife siedziała za sterami tego śmigła? - dołączył mężczyzna w bordowym fraku. - Na studiach nie raz skopała mi tyłek. Wszędzie rozpoznałbym te zakręty. I nic dziwnego, uczyłem się ich całymi nocami. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się cieszę z ponownego spotkania.

Matka przedstawiła się jako Anita Swanson, żona Jima Swansona, menadżera generalnego. Wysłano także lokaja, aby obudził Edith, którą pomimo jej protestów położono wcześniej spać. Wśród tego wszystkiego stał ignorowany komandor Thorpe. Widząc, jak dowódca powoli czerwienieje, Kris starała się zrobić wszystko, aby uratować załogę przed jego późniejszą wściekłością.

- Menadżerze generalny, czy mogę przedstawić panu komandora Thorpea, dowódcę okrętu

tu, który uratował pańską córkę?

Jim Swanson odwrócił się, by uścisnąć wyciągniętą dłoń oficera.

- Chciałbym, żeby pan wiedział, że jako przywódca tej planety wystąpiłem o nadanie panie Longknife Zaszczynego Krzyża Lotniczego. Być może nie jestem tak biegły w sprawach pilotażu jak brat mojej żony, Bob, ale musi pan wiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiego kunsztu pilotowania śmigła jak ten zaprezentowany przez panią porucznik.

Kris zaczęła rozglądać się za jakimś bezpiecznym miejscem do ukrycia. Pan Swanson wydawał się politykiem, który o wojsku wie akurat tyle, by nieświadomie zaszkodzić każdemu, kim się zainteresuje.

- Oglądaliśmy to, co się działo na niebie, komandorze. Wstrzymywaliśmy oddech, gdy śmigł tego dzieciaka wyczyniał te wygibasy, i nawet ja wiem, że to było nieprawdopodobne. Ile paliwa jej pozostało?

- Mój zastępca sprawdzi, ile paliwa pozostało w lekkim lądowniku szturmowym podporucznik Longknife - odpowiedział dowódca, celowo podkreślając, że pilotowany przez Kris pojazd nie był wyścigowym śmigłem. - Umiejętności zaprezentowane dziś przez nią są potwierdzeniem najlepszych tradycji marynarki wojennej. Jednak o

ZKL nie możemy nawet dyskutować. To odznaczenie bojowe.

- A czy ci porywacze nie byli silniej uzbrojeni niż ktokolwiek, przeciw komu marynarka występowała w ciągu ostatnich kilku lat?

- Na to wygląda, ale byliśmy tu jako wsparcie dla sił policyjnych, a nie wykonując zrzut bojowy.

Kris obserwowała, jak słowa polityka odbijają się od wojskowego jak od muru. Wielokrotnie była świadkiem takich rozmów prowadzonych przez ojca.

- Powinien pan sobie zdawać sprawę, komandorze Thorpe, jako dowódca okrętu „Poranna Letnia Bryza”, że posiadanie członka załogi nominowanego do wysokiego odznaczenia przez lidera szybko rozwijającej się kolonii wyjdzie okrętowi tylko na dobre.

O Chryste! W tym momencie Kris chciała by schować się w najgłębszym kącie. Dla córki premiera byłoby to może ciekawe przedstawienie, ale nie dla najmłodszego oficera w załodze. Okręt na orbicie może i był korwetą szybkiego reagowania „Poranna Letnia Bryza” dla polityków, którzy zapłacili za jego budowę. Ale dla dowódcy była to szybka korweta szturmowa „Tajfun”. Kris słyszała różne mieszaniny tych nazw wypowiedane przez załogę. Ale to się nie liczyło. Kiedyś słyszała, jak

ojciec mówi, że jeśli pomoże mu to przepchnąć projekt okrętu bojowego przez komisję budżetową, jest go w stanie nazwać nawet „Uśmiechniętym Misiem Koala”. A jak potem nazwie go marynarka, to już ich sprawa.

Wystarczyły dwie wpadki, aby premier nauczył się używać właściwej nazwy okrętu w zależności od słuchacza.

Pan Swanson właśnie zdobywał to doświadczenie.

- To ona? Czy to ta marine, która po mnie przyleciała?

Lekcja odpowiedniego zwracania się do słuchacza została przełożona na później przez małą zjawę w koszuli nocnej. Kris znów spojrzała w ogromne błękitne oczy, które nie były już zaczerwienione od łez. Dziewczynka wyglądała tak anielsko, jak wyglądać może tylko sześciolatka z pluszowym misiem w ręce. Matka schyliła się, by podnieść Edith, ale ta podbiegła prosto do Kris.

Podporucznik Longknife podała swego drinka Tommy'emu i wzięła dziecko na ręce. Całus, który otrzymała w chwilę potem, wart był dla niej więcej niż jakikolwiek medal przyznawany przez marynarkę.

- Mają państwo wspaniałą córkę - zwróciła się do rodziców. - Cieszę się, że mogliśmy ją oddać całą i zdrową. Mówię w imieniu moich mari-

nes i całej załogi okrętu. To zaszczyt i przyjemność widzieć ją szczęśliwą w waszych ramionach.

Przerwała jej burza oklasków.

Speszona nagłym hałasem Edith zdecydowała, że woli przenieść się do mamy. Gdy Anita wzięła córkę od Kris, szepnęła:

- Żeby wszystkie tego typu horrory kończyły się tak szczęśliwie.

W tym momencie kobieta uświadomiła sobie, z kim rozmawia.

- Kristine Longknife... Straciła pani... Jakże mi przykro!

Powietrze uszło z Kris jak po kopnięciu w brzuch. Jak łatwo było rozmawiać z obcymi ludźmi. Ojciec nauczył ją tego doskonale. Ale ci zatroskani ludzie tutaj wiedzieli, przez jaki ból musiała przejść. Ich słowa znaczyły o wiele więcej. Musiała zebrać wszystkie siły, by nie okazać targających nią emocji.

- Tak, proszę pani. Jestem Kristine Longknife. I naprawdę bardzo się cieszę, że ta ciężka próba, przez którą musiała przejść pani rodzina, zakończyła się odmiennie niż nasza.

Anicie zabrakło słów. Z pomocą przyszedł jej mąż.

- Myślę, że najwyższa pora siadać do kolacji. Jeśli Edith jest już gotowa, niania może zabrać ją do łóżka. A my dokończymy dyskusję przy stole.

Pod pretekstem udania się do toalety Kris wymknęła się na zewnątrz. Powietrze nadal było ciepłe, ale wieczorna bryza już zaczynała je chłodzić. Dziewczyna musiała uporządkować emocje. Tak jak mówiła Judith: „Poznaj smoki czyhające na ciebie w ciemności. Możesz je ponazywać, ale przede wszystkim poznaj dokładnie każdego z nich”.

Niektóre już znała - na przykład komandora.

Potrzebował okrętu i władzy, jaką dawało mu dowodzenie. Gdyby nie wybrał marynarki wojennej, byłby pewnie biznesmenem wysokiego szczebla, może właścicielem firmy. Ale wybrał marynarkę, bo dawała mu możliwość Robienia Ważnych Rzeczy, Które Mają Znaczenie!

Kris rozumiała także Swansona. On był Wielkim Budowniczym! Ludzie patrzyli na niego przez pryzmat tego, co stworzył. Kiedyś w stolicy będzie stał jego pomnik.

Obaj byli VIP-ami, ale Kris widziała, jak łątwo ojciec niszczy tego typu ludzi, jak doprowadza ich do żebrania o łaskę dla ich krwawiących karier. Tak, doskonale wiedziała, że tacy ludzie mogą bardzo szybko stać się malutcy.

Dlaczego więc wstąpiła do marynarki, gdzie Thorpe mógł rozkazać jej ryzykowanie życia w niesprawnym sprzęcie dla ratowania córki

Jima Swansona, który nie potrafił nawet stworzyć wystarczająco kompetentnej policji?

„Ponieważ dziś zrobiłam to, czego nie mogłam zrobić, gdy miałam dziesięć lat. Dziś uratowałam Edith. Gdybym tylko mogła uratować Edy’ego...”

To było to. Ciągle miała poczucie winy. Nieważne, co robi, wciąż żyje, a chłopiec, za którego czuła się odpowiedzialna – nie.

Stukanie w szybę przerwało czarne myśli. Tommy wysunął głowę na zewnątrz.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę. Powinnaś wracać. Zaczynają oficjalne usadzanie, a pewnie nie chcesz robić wielkiego wejścia.

- Już jedno dziś zrobiłam. Myślę, że z kolejnym poczekam do jutra.

- Według mojej rachuby dziś już zrobiłaś dwa. Tak, masz rację, nawet VIP-y nie powinny z tym przesadzać.

Kris przesłała uśmiech Tommy’emu i wślizgnęła się do jadalni, zanim goście zdążyli zająć wyznaczone miejsca przy stole. Nikt nie zauważył jej chwilowej nieobecności. Pomimo że została posadzona na odległym miejscu, Bob, jej dawny rywal, zdołał usiąść naprzeciw niej. Jak można było się spodziewać, głównym tematem konwersacji stały się wycigi śmigłów.

Jakiś czas potem komandor otrzymał wia-



domość przyniesioną przez łącznika z okrętu. Oficerowie zamilkli, zastanawiając się, co było aż tak ważne, że wymagało użycia tak staroświeckiej metody powiadamiania. Dowódca potwierdził odbiór wiadomości i schował ją do kieszeni. Uznał, że podwładni dowiedzą się, o co chodzi, w stosownym czasie.

Gdy pan Swanson wstał, by wygłosić kolejną serię pochwał, komandor spytał, czy może powiedzieć kilka słów. Thorpe wstał i demonstracyjnie wyciągnął z kieszeni wiadomość.

- „Tajfun” otrzymał rozkaz powrotu do bazy - powiedział, rozglądając się po sali. - Z powodu cięć budżetowych zatwierdzonych przez senat i prezydenta Szósta Flotylla Szturmowa przechodzi w trzymiesięczny okres dokowania. Oficerowie będą otrzymywali połowę wypłaty. Podoficerowie i szeregowi, którym kontrakt wygasa w ciągu najbliższych dziewięćdziesięciu dni, zostaną zwolnieni natychmiast po powrocie do bazy. Z przykrością ogłaszam, że wszystkie podania o przedłużenie kontraktu zostały oddalone przez najwyższe władze. Odlatujemy jutro o szóstej rano.

- To niemożliwe - zaprotestował Swanson.  
- Senat i prezydent zgodzili się na nowy budżet marynarki. Ostatnio potwierdził to mój przedstawiciel na Ziemi.

Komandor nie wstawał, ale jego dowódczy głos słyszalny był w całej sali.

- Zarówno pan, jak i pana informator ma-  
cie rację. Jednak utrzymanie budżetu musiałoby  
spowodować podniesienie podatków. A to zostało  
zawetowane przez urodzonego na Ziemi prezy-  
denta. Tak więc teoretycznie możemy wypisywać  
czeki potrzebne do funkcjonowania marynarki,  
jednak w Ministerstwie Finansów brak pieniędzy  
na ich pokrycie. Departament Marynarki zdecydo-  
wał, że lepiej będzie przejść w stan „zamrożenia”,  
niż wystawiać nic niewarte papierki.

Thorpe zrobił krótką pauzę i dodał:

- Proszę się cieszyć, że pana córka została  
porwana w tym miesiącu. W przyszłym nie byłoby  
okrętu, który mógłby tu przylecieć.

Swanson cofnął się o krok, jakby uderzony  
czymś ciężkim.

Komandor nie miał tak zupełnie racji. Na  
sytuacje awaryjne przewidziane były dodatkowe  
środki. Kris doskonale wiedziała, że koszt całej  
operacji mógłby zostać pokryty właśnie z tego  
konta, bez szkody dla ogólnego budżetu marynar-  
ki, ale ani myślała poprawiać dowódcę. Konwer-  
sacja zamarła.

Dziesięć minut później komandor dał ka-  
drze polecenie wyjścia. Gdy za Kris zamknęły się  
drzwi, w sali wybuchła istna burza rozmów. Na

oczywisty temat.

Zastępca dowódcy okrętu czekał na Kris na pokładzie mieszkalnym.

- Pani porucznik, proszę na chwilę.

Zaczekał, aż pozostali oficerowie udadzą się do swych kwater.

- Komandor Thorpe przekazał rekomendację do nadania pani Medalu Korpusu Piechoty Morskiej. Pan Swanson był na tyle uprzejmy, że wysłał nam swój wniosek.

Kris skinęła głową, ale zastępca jeszcze nie skończył. Patrzył na światła Port Swanson, największego miasta Sequima.

- Słyszałem, że Swanson stara się o pomoc finansową od Wardhaven na budowę nowych kopalni w pasie asteroid. Taka rekomendacja córki premiera Wardhaven do pieprzonego medalu musi ładnie wyglądać w oczach opinii publicznej.

- Tak jest - mogła jedynie wyjąkać Kris, wystraszona zaciętością w głosie zastępcy.

Ryzykowała życie, by ratować dziecko, a nie dla medalu, a wszyscy wokół zauważali tylko, że jest jedną z tych Longknife'ów. Po zakończeniu rozmowy przeszła przez korytarz do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami. Na wszelki wypadek uderzyła w nie jeszcze kilka razy.

- Nie przypuszczam, żeby te drzwi stanowiły dla kogoś zagrożenie, pani porucznik - za-

brzmiał cichy głos z ciemności.

Kris nikogo nie zauważyła.

- Światło, mała moc - poleciała drżącym głosem. W kajucie zapanował półmrok. „Prawda, mieszkam teraz z chorąży Bo”. - Przepraszam, pani chorąży, zapomniałam. Już nie hałasuję. Wyłączyć światło.

- Włączyć światło - powiedziała chorąży, odrzucając kołdrę i siadając na łóżku. W jej znożonej pidżamie brakowało dwóch górnych guzików. Ucięte poniżej kolan spodnie ukazywały pomarszczoną skórę łydek, gdy starsza kobieta siadała po turecku. - Kochanie, wygląda pani, jakby cały dzień ktoś po pani jeździł - powiedziała. W powietrzu unosiło się niewypowiedziane pytanie: „Nie chcesz porozmawiać z cioteczka Bo?” Z punktu widzenia Kris mogło sobie tak wisieć w nieskończoność. Szukała szafki, w której miała pidżamę.

Szafki nie było.

- Cholera, gdzie się wszystko podziało? - eksplodowała młoda kobieta.

- Porozrzucane gdzieś po okręcie - odpowiedziała spokojnie chorąży. - Wie pani, poruczniku, myślę, że trochę nie bardzo im idzie rekonfiguracja okrętu w locie. Przynajmniej tym razem nikogo nie zgubili w przestrzeni kosmicznej.

Kris kopnęła kilka razy w panel pod łóż-

kiem w nadziei, że się otworzy.

- Nie zostawili nikogo w przestrzeni podczas rekonfiguracji? A zdarzyło się to kiedyś?

- Marynarka ma swoje opowieści, a starzy chorążowie z upodobaniem opowiadają je „kottom”. Dziś powstaje świetna opowieść o podporucznik „na gwarancji”, która dzięki serii karkołomnych manewrów ratuje życie drużynie „słojo-głowych”, [Jarhead (ang.) - popularne określenie marines. Wywodzi się z charakterystycznej dla USMC, przypominającej wieko słoja fryzury, z podgolonymi bokami oraz tyłem głowy (przyp. tłum.)] a potem ocala cały pluton, przelatując nad polem minowym, na którym dowódca i sierżant radośnie planowali dokonać zrzutu bojowego. Rewelacja! Czemu więc wygląda pani, jakby ktoś zabił pani chomika?

- Zastępca powiedział, że dowódca rekomendował mnie do Medalu Korpusu Piechoty Morskiej.

- Do diabła, dziecko, wszyscy to wiedzą. Stary ogłosił to dziś rano, około dziesiątej.

- Nie zrobił tego na prośbę menadżera generalnego Sequima?

- Nie, pani porucznik.

- To czemu zastępca... - Kris zaczęła formułować pytanie, ale nie skończyła. Ojciec powtarzał, by nie zadawać pytań, na które zna się już

odpowieź.

- Przypuszczam, że panią „dociera”. Tak jak dowódca, choć może ten już przestał. Po prostu chce sprawdzić, czy ma pani jaja.

Panel pod łóżkiem otworzył się po kolejnym kopniaku. Szuflada była do góry nogami, więc cała jej zawartość wypadła na podłogę. Ze sterty ubrań Kris wyciągnęła szorty gimnastyczne i bawełnianą podkoszulkę, resztę wrzucając z powrotem do szuflady. Gdy odwróciła się w kierunku zlewu, trzymając szczoteczkę do zębów, chorąży wciąż na nią patrzyła.

- Czemu pani tu jest? Jeśli można zapytać, pani porucznik.

- Chciałam zrobić coś dobrego - odpowiedziała dziewczyna, wyciskając pastę. - I myślę, że dziś mi się to udało.

Włożyła szczoteczkę do ust, by uciąć dalszą dyskusję.

Chorąży pokręciła głową.

- Moja siostra chciała zrobić coś dobrego. Wstąpiła do Armii Zbawienia. Na wszelki wypadek, jeśli pani nie zauważyła, dobro, które dała pani tej dziewczynce, niesie ze sobą wiele zła dla tych ludzi, którzy ją porwali.

- Dostaną to, na co zasłużyli - odpowiedziała Kris po spłukaniu ust.

- Prawda, jest pani z tych Longknife'ów.

Ale proszę mi wierzyć, słoneczko, wina tych „złych” nie zawsze będzie taka oczywista jak dziś. Marynarka jest niczym pistolet, strzelający w to, w co jest wycelowany. Bez zadawania pytań. To politycy, jak pani tata, trzymają ten pistolet. Jest pani pewna, że chce być na czubku ostrza włóczni razem z nami, maluczkimi?

- Zaciągnęłam się!

- Jak my wszystkie. Niektóre zrobiły to, żeby wyrwać się od ojca i matki. Inne uciekają przed małżeństwem, czasem przed prawem. Kilka po prostu zarabia na studia. Będą pierwszymi w rodzinie posiadającymi wyższe wykształcenie. Każda z nich zna powód, dla którego wstąpiła do marynarki. A pani?

- Powiedziałam już, że chciałam zrobić coś dobrego - sapnęła Kris.

- I? - chorąży Bo nie zamierzała łatwo ustąpić.

- Uwierzy pani, że też chciałam wyrwać się z domu?

- Być może. - Bo uniosła brwi.

- Nie, nie jestem jedną z tych biednych, bogatych dziewczynek, które wstępują do marynarki, żeby zwrócić na siebie uwagę. Uwaga premiera i jego żony skupiona była na mnie cały czas. Boże, ileż było tej uwagi. Tak dużo, że nie było już miejsca na mnie. Po to się zaciągnęłam.

Żeby odnaleźć nieco miejsca dla siebie. Żeby złapać nieco oddechu. Czy to dobry powód, żeby wstąpić do przeklętej marynarki?

- Możliwe - odpowiedziała chorąży Bo, sięgając po kołdrę. - To dobry powód, żeby założyć mundur. Ale nie wystarczy, żeby w nim pozostać. Proszę dać mi znać, gdy już pani zrozumie, czemu chce być w marynarce.

- Czemu pani w niej jest?

- Żeby mieć okazję do zabawnych nocnych babskich pogaduszek z młodymi oficerami, po których mogę spokojnie zasnąć na swojej koi. Zgasić światła.

W ciemnościach Kris mogła usłyszeć, jak chorąży przewraca się na bok i w chwilę potem chrapie, pozostawiając ją samą, próbującą uporządkować w głowie ten dzień. Dzień, w którym wydarzyło się więcej niż przez miesiąc w domu. Dziewczyna uświadomiła sobie jednak, że to, czego jej umysł potrzebuje najbardziej, to odrobina wytchnienia. Uspokoila oddech i po chwili zmorzył ją sen.



## ROZDZIAŁ 6

„Tajfun” wystartował punktualnie o szóstej, zgodnie z planem lotu. O siódmej, podczas gdy większość I załogi jadła śniadanie, zastępca dowódcy przekształcał okręt z trybu Atmosferycznego Lądownika Planetarnego w tryb Szybkiego Okrętu Międzyplanetarnego. Kris dotarła na mostek w momencie, gdy pojawiły się komunikaty o kłopotach przy transformacji.

Jako okręt międzyplanetarny korweta klasy „Kamikadze” była całkiem wygodna. Potężne płyty pancerne chowały się, pozostawiając załozdę sporo miejsca. Mostek był obszerny, a wszyscy oficerowie oraz wielu podoficerów miało osobne kwatery.

Zastępca siedział nad instrukcją i wprowadzał wszystkie procedury rekonfiguracyjne. Niestety, nie wszystko szło zgodnie z planem. Zadaniem Kris było odnalezienie tego, co w instrukcji zostało pominięte. Jako oficer systemów obronnych została przeszkolona do przeprowadzania szybkich zmian w budowie okrętu w celu niwelowania uszkodzeń powstałych podczas boju. To sprawiało, że spośród całej załogi była jedyną osobą choćby w części kompetentną, by znaleźć odpowiedź na pytanie, gdzie podziały się wszystkie brakujące szafy, szafki, skrzynki narzędziowe i

tak dalej. Większość czasu w drodze powrotnej do bazy Szóstej Flotyli Kris spędziła, próbując pokładać wnętrzości „Tajfunu” na swoim miejscu. Dziewięćdziesiąt pięć procent urządzeń okrętu działało dokładnie tak, jak zaplanowali jego konstruktorzy. Podporucznik Longknife spędzała po szesnaście godzin na dobę, zajmując się pozostałymi pięcioma procentami.

Miało to także swoje dobre strony. W oczach załogi pozycja Kris znacznie wzrosła.

Niewielu mówiło już o akcji ratunkowej, ale wszyscy byli jej wdzięczni za to, co robiła obecnie. Tak jak na przykład właściciele skrzyń narzędziowych numer 123. Po pięciu nieudanych próbach przeniesienia ich na właściwe miejsce Kris rozwiązała problem inaczej. Poprosiła właścicieli, by opróżnili skrzynki w ich niewłaściwych lokalizacjach, a następnie po prostu zlikwidowała je i odtworzyła na właściwych miejscach. Gdy skończyła wszystkie poprawki, załoga odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Mam nadzieję, że w najbliższym czasie nie będziemy tego powtarzać - powiedziała, stojąc na mostku.

Komandor Thorpe spojrział na zastępcę.

- Przestrzegalem instrukcji - bronił się ten ostatni. - Patrzył mi pan przez ramię, dowódco.

- Faktycznie patrzyłem - chrząknął ko-

mandor ze śmiechem. Zwrócił się w stronę Kris, pozostawiając uśmiech na twarzy. – Postaramy się tego unikać w przyszłości, poruczniku. I proszę napisać meldunek na ten temat, żebym mógł przesłać go do komodora [Komodor (ang. commodore) – stopień niewystępujący w Polskiej Marynarce Wojennej. W niektórych państwach, np. w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii, nadaje się go oficerom nieposiadającym stopnia admirała, ale będącym na stanowisku przewidzianym dla admirałów (przyp. tłum.)] Sampsona. Trochę się z niego pośmieje, ale później na pewno przekaże stoczni.

Reszta obsady mostka podzielała wesołość dowódcy. Wyglądało na to, że Kris nareszcie stopiła lody i została zaakceptowana jako pełnoprawny członek załogi.

Gdy dotarli do bazy, okręt natychmiast umieszczony został w doku. Pobory wszystkich oficerów z wyjątkiem dowódcy zostały zmniejszone o połowę. Dostali do wyboru trzymiesięczny urlop lub pracę na zmiany na pół etatu. Czterej szefowie działów wybrali to drugie. Pozostałej szóstce oficerów młodszych dano kolejny wybór: albo znikają na całe trzy miesiące, albo na sześć tygodni, a pozostałe sześć siedzą na okręcie za sam wikt i opierunek. Tak czy inaczej, w chwili obecnej mieli opuścić bazę.

Kris i Tommy udali się do portu, by znaleźć

jakieś połączenie do domu.

- My, Santamarianie, mieszkamy na końcu wszechświata, niezależnie, od której strony spojrzeć. Z tymi połączeniami dotrę do domu właśnie w momencie, kiedy trzeba będzie wracać.

- Jutro odlatuje bezpośredni liniowiec na Wardhaven. Moglibyśmy tam być za cztery dni.

- A co ja niby miałbym robić na Wardhaven?

- Dotrzymywać mi towarzystwa. Wmawiać mojej mamie, że nie było nic niebezpiecznego w zadaniu, za którego wykonanie ojciec przypnie mi medal. Wiesz, takie tam, zapewnianie wsparcia moralnego.

- A twoja mama mi uwierzy? - zaśmiał się Tom.

- Bardziej niż mnie.

Tak więc zostało to ustalone. Na pokład luksusowego „Achillesa” weszli na dziesięć minut przed podniesieniem trapów. Każde z nich dzieliło kajutę z sześcioma innymi oficerami młodszymi udającymi się na urlopy. Kris sądziła, że liniowiec to dobre rozwiązanie. Myliła się.

Podczas śniadania następnego dnia dosłownie wpadła na komodora Sampsona, dowódcę Szóstej Flotyli Szturmowej. Spojrzył na nią, jakby była skorupiakiem wypełzającym spod kamienia. Kris zaczynała już przyzwyczajać się do

takiego traktowania oficerów młodszych. Nie będąc w mundurze, nie musiała przestrzegać ceremoniału wojskowego.

- Porucznik Longknife, nieprawdaż? - zapytał oficer. Kris potwierdziła. - Interesujący raport na temat „inteligentnego” metalu. Sądzę, że w stoczni pani dziadka uznają go za bardzo przydatny.

- Tak jest - odpowiedziała, po czym szybko przemieściła się w drugi koniec jadalni, gdzie znajdowały się niższe formy życia, takie jak oficerowie młodszy. Przez pozostałe cztery dni starała się przebywać dokładnie tam, gdzie nie było przełożonego.

Po zadokowaniu w High Wardhaven Kris zleciła Nelly opiekę nad bagażem, a sama pospieszyła zająć miejsce w windzie orbitalnej. Komunikat na stacji wind dum nie głosił, że ich sprzęt wolny jest od wszelkiego rodzaju podsłuchów, jakby dla przypomnienia, że nie tylko marynarka wojenna dba o bezpieczeństwo. Dostępne były także pojazdy z panoramicznymi wizjerami, pozwalające oglądać piękno Wardhaven podczas lądowania. Oczywiście w czasie lotu nie obyło się bez „ochów i achów”, a Kris poczuła napływające jej do oczu łzy. Zaledwie cztery miesiące temu przysięgała sobie, że nigdy tu nie wróci. A dziś widok błękitnych oceanów i zielono-brązowych lądów wydawał jej

się najpiękniejszy we wszechświecie.

- Wygląda prawie jak Santa Maria - powiedział Tommy za jej plecami. - Tyle że nie jest aż tak piękne.

Czy każdy człowiek odczuwa to samo na widok własnej planety?

W połowie drogi Kris poczuła już oddziaływanie grawitacji. Komputer zasugerował odwrócenie foteli od okien, ale dziewczyna nie mogła sobie odmówić widoku rodzinnych stron. Zatoka Landera, otoczona setkami kilometrów plaż, wyspy, na których miał powstać pas startowy stacji orbitalnej. Rzeka Starej Panny, której źródła leżały daleko w głębi Kontynentu Południowego. Dzięki niej miasto Wardhaven zyskało na znaczeniu.

- Co to za igła? - spytał Tommy.

- Fabryka dziadka Alexa - odpowiedziała Kris. - Większość fabryk moich dziadków obecnie usytuowana jest poza planetą. Ale nadal posiadamy ten kawałek ziemi na wschód od rzeki. Dziadek tworzy tam teraz olbrzymi kompleks biurowo-mieszkaniowy. Kiedyś założył się, że będzie on widoczny z niższej orbity. I jest.

- To wszystko twoja własność?

- Rodzinna - poprawiła Kris niezrażona podziwem w jego głosie. - Jesteśmy wielką rodziną. Osobiście nie posiadam tak wiele.

- Tak, z pewnością. - Tommy nie wydawał

się do końca przekonany.

Zbliżali się do miejsca, w którym Kris straciła wielu kolegów, spojrzała więc w przeciwnym kierunku.

- Widzisz te jeziora za miastem? Kiedyś mieliśmy jacht. Mój starszy brat Hanovi, Eddy i ja mogliśmy żeglować przez całe lato. Próbowalesz kiedyś?

Wypowiedziała imię Eddy ego. Nie udusiła się przy tym. Nie pękło jej serce. Teraz, kiedy uratowała Edith, mogła już chyba mówić o Eddym.

- Basen w SO był pierwszym miejscem, w którym zetknąłem się z wodą inną niż pitna - przypomniał Tommy.

W miarę zbliżania się Kris zauważyła, jak bardzo miasto Wardhaven rozrosło się od czasu, gdy widziała je z pokładu śmigła dziadziusia „Kłopot”. No cóż, osiem lat przywództwa ojca okazało się tłustymi. Dobrze to wróżyło Wardhaven. Dobrze wróżyło reelekcji.

Pojazdem zaczęło szarpać, w miarę jak wyhamowywali na przystanku. Bezpośrednio po zatrzymaniu odpięły się pasy i pasażerowie zaczęli sięgać po bagaż podręczny. Kris nie śpieszyła się. Pomimo że Nelly wysłała wiadomość o ich przylocie, nie spodziewali się, że ktoś będzie na nich czekał.

Gdy wraz z Tommym brali bagaż, Kris po-

czuła niespodziewane klepięcie w ramię.

- Wujek Harvey! - Zarzuciła ramiona na szyję starego kierowcy, całując go wznaczony bliznami policzek. Z trudem uświadomiła sobie, że był młodszy niż ona teraz, gdy z powodu ran musiał odejść z wojska i przyjąć posadę w Starym Nuu. Dla Kris zawsze był „wujkiem Harveyem”, zabierającym ją na mecze piłkarskie i w każde inne miejsce, w którym bywała jako dziewczynka. To on dopingował ją w czasie meczów, kupował lody, by uczcić zwycięstwo lub osłodzić smak porażki. Razem przechodzili przez koszmar związany z Eddym. Wujek Harvey był jedyną osobą, z którą dzieliła horror rozmyślań „co by było gdyby”. A dzieląc, rozumiała, że nie jest w nim samotniona. - Gdzie rodzice? - spytała.

- Wiesz, że są zajęci, jak przystało na tak ważne osobistości - odpowiedział, biorąc bagaż. - Mało zabierasz w podróż. Jedna torba? Odkąd sięgasz powyżej moich kolan, nie pamiętam, żeby ci się udało spakować w jedną torbę.

- Jestem oficerem, gdybyś dotąd tego nie zauważył. Zawsze mówiłeś, że w armii mieliście mało bagażu. W marynarce jest go o połowę mniej.

- A kim jest ten biedny żeglarz kręcący się wokół starca w oczekiwaniu na darmową podwózkę?



- To podporucznik Tom Lien, mój najlepszy kumpel. Pochodzi z Santa Maria. Wydaje mi się, że znajdzie się dla niego miejsce na kilka tygodni.

- Nie w Nowej Rezydencji, odkąd zatrudnili dwóch nowych asystentów specjalnych. Niech mnie diabli, jeśli wiem, co w nich takiego specjalnego. Tak czy inaczej, w Rezydencji nie ma wolnych pokoi. Co innego w Starym Nuu - powiedział Harvey, sięgając po bagaż Tommyego.

Młody oficer szybko chwycił swoją torbę, nie pozwalając jej nieść staruszkowi.

- Jeszcze tego by brakowało, żeby siwo włosy facet nosił za mną bagaż. Tatusiek by mnie do domu nie wpuścił, gdyby się dowiedział.

- Ciekaw jestem, gdzie tu widzisz siwy włos, ale dzięki, że nie nazwałeś mnie starym łysolem. Rozumiem, rodzice cię tak wychowali.

Wymienili uśmiechy.

- No chodźcie, samochód jest całkiem blisko.

W samochodzie okazało się, że to nie koniec niespodzianek. Czekał tam na nich Gary. Mierzący metr dziewięćdziesiąt, potężny facet o budowie obrońcy futbolowego był od dziesięciu lat ochroniarzem Kris.

- Jakie są plany mamy? - spytała Kris, siadając na tylnym siedzeniu czarnej limuzyny. - Mia-

łam nadzieję na cichą kolację dziś wieczór.

- Dziś wieczorem oboje mają kolację oficjalną - odparł Harvey. - Przybyła delegacja strażaków ze Starej Ziemi. Przylecieli pogadać i poobijać się trochę. Cichą kolację zaplanowano na jutro. Około dwunastu osób, nie licząc ciebie i twojego brata.

- Powiedz mamie, że będę z porucznikiem Lienem. - Natychmiast uciszyła protesty Toma: - Jeśli ze mną nie pójdiesz, premier przyklei mi jakiegoś starego lub młodego wymoczką, którego głosu akurat potrzebuje. Z tobą przynajmniej będziemy sobie mogli opowiadać kawały z marynarki.

Ruszyli. Kris oglądała miasto. Gdzie tylko spojrzała, coś było budowane z betonu i stali. Czerwone budynki z cegły, które wydawały jej się takie wysokie, gdy była dzieckiem, zastępowały teraz jeszcze wyższe. Tak, wszystko wskazywało na to, że ojciec nie będzie miał problemów podczas najbliższych wyborów. Jeszcze pięć miesięcy temu to byłoby wszystko, czego potrzebowała do szczęścia. Ten krótki czas zmienił jednak bardzo wiele.

W miarę zbliżania się do Starego Nuu Harvey opowiadał Tommy'emu historię jego budowy.

- Ernie Nuu zaczął od tego dwupiętrowego budynku. Mieszkam tam teraz ja i moja żona.

Gdy zaczęły pojawiać się wnuki, dodał to trzypiętrowe skrzydło. Następnie, w miarę powiększania się liczby mieszkańców, wybudował nową kuchnię, jadalnię, salę balową i kilkadziesiąt saloników. Wielka biblioteka była chyba pomysłem jego żony. Potem pojawiły się prawnuki, a wraz z nimi kolejne skrzydło. Mówi się, że stary Ernie budował aż do dnia śmierci. Niektórzy przysięgają, że nadal słyszą, jak przechadza się korytarzami.

- Nigdy go nie słyszałam - powątpiewająco wtrąciła Kris.

- Bo nigdy nie byłaś cicho wystarczająco długo - odparł Harvey Gary tylko się uśmiechnął.

Tak, to był ktoś wystarczająco milczący, by usłyszeć ducha. Kris już zaczynała zadawać pytanie, kiedy zatrzymali się przy głównej bramie. Stało przy niej dwunastu marines w pełnym oporządzeniu.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, że tata jest w Rezydencji.

- To z powodu strażaków z Ziemi. Sam generał przyleciał z Santa Maria. A dziadzio „Kłopot” dołączy dziś.

- Co się dzieje? - zapytał Tom.

Kierowca i ochroniarz wymienili spojrzenia.

- Wiesz tyle, ile potrzebujesz, znasz tę zasadę, chłopcze - odparł Harvey.

Kris i Tommy musieli się wylegitymować i pozwolić dokonać pomiarów biometrycznych. Gdy samochód zatrzymał się przed głównym wejściem, dziewczyna uświadomiła sobie, ile czasu minęło od momentu, kiedy ostatnio przekraczała te drzwi. Otworzyły się automatycznie. Nelly zrobiła swoje. Foyer było zacienione, ale wzrok Kris przyciągnęła podłoga.

Prapradziadek Nuu musiał być w wyjątkowo uduchowionym nastroju, gdy projektował tę część rezydencji. Podłogę wyłożono płytkami układającymi się w czarno-białą spiralę. Kris i Eddy lubili biegać po odpowiednich polach, ona po czarnych, on po białych, by spotkać się w środku. Minęło tyle czasu...

Oficer, która uratowała Edith Swanson, zastanawiała się, jak by to było przebiec spiralę ponownie, dziś.

Wielkiej biblioteki po prawej strzegła kolejna grupa marines. Ci nosili czerwono-błękitne mundury wyjściowe. Gdy zobaczyli Kris, przeszli w stan gotowości. Jasne było, że gdyby podeszła jeszcze bliżej, zaczęliby strzelać. Oboje z Tommym skierowali się ku schodom, wyłożonym grubym dywanem. Kris znalazła się w swoim starym pokoju na trzecim piętrze. Tommy'ego Harvey zmuszony był umieścić na drugim końcu korytarza.

- Przepraszam, ale wszystkie pozostałe pokoje są zajęte.

- Przez kogo? Nie da się ich przenieść? - spytała Kris.

- Generał, generał, admirał, pułkownik - wyjaśniał Harvey, kolejno wskazując drzwi.

- Wydaje mi się, że jednak nie można - przyznała dziewczyna.

- A nie znalazłby się mały kącik, najlepiej na strychu, gdzie mógłbym położyć śpiwór? - zapytał Tom łamiącym się głosem.

- Tom, czego się tu bać?

- Jesteś dziewczyną, więc nie spotkasz żadnego z nich w drodze pod prysznic albo do toalety. Ciągle musiałbym stać na baczność. Jakoś się do tego nie palę.

Harvey oparł dłoń na ramieniu młodego oficera.

- Wiem, co czujesz, chłopcze. Świeżo po wyjściu z armii nadal nosiłem w duszy pagony szeregowego i przebywanie w pobliżu generała było dla mnie szokiem. Ale szybko okazało się, że to ludzie. Tacy sami jak my. I wiesz, im wyższą pozycję zajmują, tym bardziej zdają sobie z tego sprawę. Nie wszyscy oczywiście, ale wierz mi, ci z otoczenia generała albo „Kłopoty” to porządni ludzie. Gdyby nimi nie byli, nie przytachałoby tu wszyscy pytać generała, jak wyplątać się z tego bałaganu.

- Jakiego bałaganu? - spytała Kris.

- To nie jest wiedza dla kogoś takiego jak ja, ale gdybym był hazardzistą, to nie postawiłbym złamanego centa na to, że podczas obchodów Święta Lądowania przed gmachem parlamentu powiewać będzie flaga Stowarzyszenia.

- Rozpad? - wyszeptali oboje oficerowie.

- To takie bliskie? - dokończyła Kris.

- Zapytaj premiera, albo jeszcze lepiej któregoś z dziadków.

Kris nie była pewna, czy chce spotykać się z postaciami historycznymi. Ponadto miała do przemyślenia kilka spraw dotyczących jej ostatniej misji i przy całym szacunku dla losów ludzkości, nie w głowie jej było obecnie zastanawianie się nad problemami politycznymi.

- Harvey, mogę pożyczyć samochód? Mam kilka pytań dotyczących komputerów do cioteczki Tru.

- Tru będzie zachwycona - zgodził się Harvey. - Ale po co pożyczać samochód? Już nie podoba ci się, jak prowadzę?

- Pewnie, że mi się podoba, wujku, ale czy nie jesteś zajęty?

- Jak za długo tu posiedzę, to mnie zagonią do niańczenia kogoś. A z drugiej strony, jak sam nie będę się ruszał, to za chwilę trzeba mi będzie zmieniać pieluchy. Lepiej poprowadzę.

Kwadrans później siedzieli w dużo mniejszym samochodzie. Kris opowiadała Tommy'emu o ciotce, która aktualnie „rozpracowywała” lokalną loterię. Bez skutku na razie, gdyż ich system komputerowy nie działał. Tom stwierdził, że już sam nie wie, kiedy opowieści o rodzinie Kris są przesadzone. W odpowiedzi usłyszał historię o tym, jak ciotka pomagała Kris w naukach ścisłych od początku szkoły.

Dotarli do apartamentu Tru, który ku zdumieniu Kris nie zmienił się ani odrobinę.

- Myślałem, że jest emerytowanym pracownikiem administracji.

- Bo jest. Ten apartament kupiła po wygranej na loterii piętnaście lat temu.

Tom rzucił znaczące spojrzenie, ale nie powiedział ani słowa.

- Ciocia Tru nigdy nie oszukuje. Jeśli może i tak wygrać za każdym razem, po co miałyby to robić?

- Jako mądra kobieta wie, że nie należy przesadzać - dodał Harvey.

W tym momencie Kris zastanowiła się, jak wiele z tego, co bezkrytycznie przyjmowała jako dziecko, będzie mogła zaakceptować jako dorosła kobieta.

Drzwi się otworzyły i Kris znikła w lawinie uścisków. Matka praktycznie nie dotykała córki,

ojciec nawet nie zbliżał się za bardzo, ale ciotka wynagradzała to w dwójnasób. Dziewczyna zawsze traciła przy tym oddech.

Ciocia przerwała uściski i zaprowadziła ich do salonu, z którego okien rozciągał się piękny widok na Wardhaven, pełne drzew i bulwarów.

Tru słyszała już o wypadkach na Sequimie. Widać całe otoczenie słyszało. Miała nawet zdjęcia z lotu LLS-a. Nie było sposobu na uniknięcie rozmowy z matką na ten temat. Kobiety wymieniły kilka zdań. Kris odnotowała napięcie w oczach ciotki i wahanie w głosie.

Tru zniknęła w kuchni, by przynieść gościom świeżą lemoniadę lub herbatę ziołową.

To była jedna z jej zasad. Nie zaczynać poważnej rozmowy bez zdrowego, odświeżającego napoju. Nawet w czasach, gdy piła, Kris wołała łyk lemoniady cioci Tru od burbona.

Kris wyciągnęła komputer, który zabrała z Sequima. Gdy Tru wróciła z tacą, leżał niewinnie na stole.

- Mały prezencik dla cioteczki? - spytała kobieta, stawiając dzbanek.

- Trochę za stary i zbyt zniszczony na prezent. Bardziej układanka. Nadal lubisz układanki?

- Nadal - odparła Tru, dokonując szybkiego sprawdzenia urządzenia, podczas gdy pozosta-



li nalewali sobie napoje. Komputer był starym modelem nadgarstkowym, dość grubym i ciężkim, ważył co najmniej dwieście gra mów. Wyposażony był w staroświecki wyświetlacz. Ciotka spróbowała go uruchomić, ale bez rezultatu.

- Wyczyszczony na dość głębokim poziomie.

- Możesz się do niego dostać?

- Prawdopodobnie. - Tru spojrzała na pustą miskę. - Wydawało mi się, że mam ciastka.

- Mogę trochę upiec - powiedziała Kris, wstając. To ciotka nauczyła ją wszystkiego o kuchni. Nie było tego wiele, ale w pieczeniu ciastek została ekspertem.

- To ty mnie namówiłaś - uśmiechnęła się Trudy, ciągle patrząc na urządzenie przed nią. Skoro więc stół kuchenny zamieniony został w warsztat hackera, Kris i Tommy przypuścili atak na szafki. Jak zawsze patelnie czekały w dolnej prawej szufladzie, mąka znajdowała się w białym słoju na końcu blatu kuchennego, a torba chipsów czekoladowych dumnie pełniła straż na szczycie kredensu. Niezależnie od wszelkich zmian na świecie kuchnia ciotki była wzorem niezmienności.

Było coś magicznego we wpuszczeniu dziewczynki do kuchni, by upiekła ciasteczka. I nie miało znaczenia, że dziewczynka jest już cał-

kiem duża. Kris i Tommy jak para dzieciaków oblizywali łyżki, wyjadali polewę, otoczeni smakowitymi zapachami.

Harvey siedział w kącie i czytał wiadomości.

Tru pracowała nad komputerem, którego obudowa była już rozebrana.

- Ten kawałek sztucznej inteligencji jest częścią dochodzenia w sprawie porwania na Sequimie, prawda? - spytała, podłączając części urządzenia do analizatora własnej konstrukcji.

- Tak - przyznała Kris, przerywając na chwilę pracę przy ciastkach - ale lokalni gliniarze nie wydawali się nim zainteresowani. A przynajmniej żaden o niego nie spytał. Pomyślałam, że masz większe szanse się do niego włamać niż ktokolwiek na Sequimie. A poza tym mało nie zginęłam na polu minowym ustawionym przez tych gnojków, funkel nówki, miny przeciwpiechotne Mark 41, których nie mają jeszcze nawet marines, a co dopiero bandziory. Chcę wiedzieć, skąd się to wzięło. I skąd pochodziły pieniądze na to.

- Na czym opiera się oskarżenie?

- Na zeznaniach - włączył się Harvey. - Czwórka śpiewa jak irlandzcy tenorzy w pubie. Co na to powiesz? - spytał Tommy ego.

- Głośno, ale nie tak słodko - odpowiedział młody oficer.

- Czwórka? - Kris wróciła do obowiązków kuchennych. - Złapaliśmy pięciu.

- Jeden zmarł na atak serca następnego dnia po aresztowaniu - odpowiedział Harvey, nie podnosząc wzroku znad wyświetlacza.

- Hmm - mruknęła Tru, zanim Kris zdążyła zapytać, czy zmarły pasował do przygotowanej trumny. - Dostałam się do środka, ale wygląda na to, że ten paranoik wszystko zaszyfrował. Chyba zwykle programy szyfrujące. Powinnam znaleźć coś interesującego za kilka minut. Kim są porywacze?

- Twierdzą, że są po prostu zwykłymi kidnapierami, pracującymi z chęci zysku - powiedział Harvey.

- A skąd są?

Starszy mężczyzna przewinął kilka stron na wyświetlaczu.

- Ziemia, New Haven, Columbia, New Jerusalem.

To pokrywało spory kawałek Siedmiu Sióstr, pierwszych planet skolonizowanych z Ziemi. New Eden i New Haven miały mieszaną populację. Yamato, Columbia, Europa i New Canton zamieszkałe zostały przez ludzi z określonych zakątków Ziemi. New Jerusalem rządziło się swoimi prawami. Pięciu drobnych bandziorów z Ziemi i jej trzech przeludnionych sióstr porwało dziecko

menadżera generalnego kolonii z Zewnętrznego Pierścienia. Tru była zdziwiona takim zbiegiem okoliczności.

Harvey prychnął pogardliwie.

- Śmieci, mają zasiłki rządowe i nic do roboty. Drobne rzezimieszki uznały, że mogą zarobić niezłą kasę i wrócić do zabaw w swoich skansenach.

Kris zaskoczyła taka postawa starego kierowcy. Oczywiście wiedziała, że wielu ludzi urodzonych na dobrze prosperujących koloniach ze sporym lekceważeniem odnosiło się do mieszkańców światów centralnych. Uczyła się o tym na studiach. Nie było do końca prawdą, że Ziemia i Siedem Sióstr stały się planetami socjalnymi. Ich gospodarka nadal dawała zatrudnienie miliardom ludzi, jak należało tego oczekiwać od dojrzałych ekonomii. Faktem jednak było przeświadczenie o wyższości cywilizacyjnej i znaczeniu oraz duża dawka dekadencji. Taka mieszanka nie była dobrze widziana w Światach Zewnętrznych. Jeśli dodać do tego taki incydent jak ten z Sequima, wychodziła z tego mieszanka wybuchowa.

- Można i tak na to spojrzeć - Kris starała się uniknąć kłótni ze starym przyjacielem.

- Najważniejszy jest punkt widzenia - mruknęła Tru. - Rzeczywistość... można zmienić. No, gotowe, nie zajęło mi to tak długo, jak się

spodziewałam. Skopiuję to teraz na mojego najnowszego dzieciaka. Sam wszystko poukłada, a my spróbujemy wreszcie tych ciasteczek - dodała i zamruczała jeszcze coś do swojego osobistego komputera.

- Potrzebują jeszcze chwili, żeby ostygnąć - powiedziała Kris, ale już zdejmowała je z blachy. Ciasteczka okazały się tak doskonałe jak te pieczone w czasach, gdy dziewczyna musiała stanąć na krześle, by do nich sięgnąć.

Pierwszy tuzin łakoci zdążył zniknąć, drugi pojawił się na stole, a trzeci w piekarniku, gdy Tru wstała, zaalarmowana przez Sama. Podniosła słuchawkę, zamruczała coś pod nosem i... odmówiła kolejnego ciastka. Oparła się wygodniej, w miarę słuchania jej oczy stawały się coraz bardziej rozbiegane, a brwi unosiły się coraz wyżej.

- Wygląda na to, że idealnie pasuje do najnowszych raportów. Zbyt idealnie.

Kris odłożyła ciastko, wytarła dłonie i bliżej przyjrzała się komputerowi. Wyglądał na stary typ, jaki każdy mógł kupić za dwadzieścia dolarów. Podniosła go bliżej do światła. Wewnątrz panował straszny bałagan.

- Co to za syf?

Harvey spojrzał na nią.

- Wygląda jak brud od spodu paska zegarka.

- Ale wewnątrz?

- Drań musiał bardzo się pocić i nigdy go nie czyścić. Dostało się do środka. Dziwię się, że nadal działa.

- Pozwólcie mi na to spojrzeć. Oczy cioteczki stają się coraz słabsze. - Tru potrząsnęła głową i wyszła.

Po chwili wróciła, niosąc czarne pudełko, na którego widok oczy Toma rozbliły miłosnym blaskiem. Kobieta położyła pudło obok badanego komputera i wydała kilka poleceń Samowi. W tym samym momencie z urządzenia Tru wysunęły się dwie cieniutkie żyłki i popęzły do przedmiotu badań. Za chwilę podłączyły się do komputera.

- Znalazłam wejście i wyjście. - Informacyjka uśmiechnęła się radośnie.

- Wejście i wyjście do czego?

- Do prawdziwego komputera, który nosił ten drań. Twoja biedna cioteczka Tru traciła czas nad fałszywką, wstawioną dla zmyłki. Ale teraz dostaniemy się do prawdziwego sprzętu. To może potrwać chwilę. Czyżbym czuła przypalające się ciastka?

Ta blacha ciastek musiała powędrować do kosza. Podczas gdy Kris przygotowywała następną, Tru i Tommy pochylili się na komputerem z nowym szacunkiem.

- Co taki dwubitowy śmieć może mieć

wspólnego z taką technologią? – zapytał Harvey.

– Cały czas zaskakują nas nowinkami technicznymi – odparła pani podporucznik przez ramię, wkładając nową porcję ciastek do piekarnika.

– Tak, tak – zgodziła się Tru – dziewczynka staje się zapominalska.

Kris wytarła dłonie i nachyliła się nad dwójką informatyków.

– Co to za komputer? Nigdy takiego nie widziałam.

– I nie zobaczysz jeszcze przez najbliższych kilka lat. Samoorganizujące się łączy zrewolucjonizują komputery przenośne, takie jak twoja Nelly czy mój Sam, ale na razie kosztują majątek. Jeden z moich przyjaciół używa takiego sprzętu do tajnych operacji.

– Takich jak ta? – zapytał Tommy.

Tru przeciągnęła się i spojrzała na obiekt leżący na stole kuchennym, jakby pierwszy raz go widziała.

– Tak. Takich jak ta.

Ciszę, która nastąpiła po tych słowach, przerwały dwa krótkie sygnały dźwiękowe. Kris spojrzała na kuchenkę, której timer przypomniał sobie wreszcie, jak ma działać, i zaczęła wkładać do piekarnika następną porcję ciastek.

– Nie rób tego – poleciła ciotka – wstaw to

do lodówki. Wyłącz kuchenkę, a ciastka daj na serwetkę. Idziemy złożyć wizytę.

- Gdzie? - zapytał Harvey.

- W Starym Nuu. Kris musi porozmawiać z pradziadkami Rayem i „Kłopotem”.



## ROZDZIAŁ 7

Nie możemy im przeszkadzać! - wykrzyknęła Kris.

- Ty nie możesz - powiedział prosto z mostu Harvey, chowając swój palmtop.

- Pradziadkowie powinni uzupełnić wiedzę Kris na temat historii rodziny - powiedziała Tru, starannie pakując części komputera do specjalnego pojemnika. - Są w Starym Nuu.

- Ale oni tam naprawdę są zajęci ważnymi sprawami - protestowała Kris. - Nie możemy im przeszkadzać.

- Ważniejszymi niż twoje życie?

Harvey wtrącił się, zanim Kris zdążyła się zastanowić, na jaką uwagę zasługuje jej osoba.

- Tru, ty nie wejdiesz do Starego Nuu. Marines kręcą się po całym domu. Wszystkich wchodzących sprawdzają skanerami Mark I, no i oczywiście trzeba tam mieszkać lub mieć umówione spotkanie. Ty z całą swoją elektroniczną magią nie przeżyjesz pierwszego spotkania z narwanym marine uzbrojonym w M-6.

- Służbiści, prawda? - spytała ciotka, zamykając pełne pudełko.

- W całym tego słowa znaczeniu - odpowiedział Harvey.

- W takim razie musimy pojechać gdzie in-

dziej. Zabierz nas do rezydencji premiera.

- Nie - jęknęła Kris, ale stary kierowca już szedł w kierunku drzwi, a Tru deptała mu po piętach. - Nie możemy zawracać głowy premierowi. Ma bardzo napięty harmonogram dnia. Nie można tak wdzierać się do człowieka rządzącego planetą.

- Znajdzie dla nas czas - powiedziała ciotka i zniżyła głos, wydając jakieś polecenia Samowi. - Już znalazł, podobnie jak twoja matka.

Kris i Tom pospieszyli za Tru.

- Matka? Tylko nie to! Jej kalendarz jest szczelnie wypełniony do Nowego Roku. A poza tym, naprawdę, Tom, moja matka jest ostatnią osobą, z którą chciałbyś rozmawiać.

Tru i Harvey byli już w windzie. Kris i Tom prześlizgnęli się przez zamykające się drzwi. Kobieta z pudłem na rękach dołączyła piętro niżej. Zjechali na dół w milczeniu.

- O czym, waszym zdaniem, musicie porozmawiać z mamą i tatą? - spytała Kris, usiłując w podziemnym garażu dotrzymać kroku Harveyowi.

- O twoim życiu - odpowiedziała Tru, siadając na przednim fotelu obok kierowcy.

Zapinając pasy, Kris wciąż próbowała nie dopuścić do wyjazdu.

- No dobra, misja mogła się nie udać. To

część ryzyka zawodowego. Owszem, muszę pogadać z premierem na temat sprzętu, ale planowałam to zrobić, gdy będzie w dobrym nastroju. Może jak będzie mi wręczał medal? Nie śpieszy się. Boże, nie można tak po prostu przeszkadzać mojemu ojcu, a już na pewno nie matce.

Tak, najpierw trzeba było z sekretarką sprawdzić ich plany, następnie wyczekać na odpowiedni humor. Wtedy umawiało się spotkanie. To były podstawy, których się trzeba nauczyć, gdy własni rodzice rządzą planetą.

- Nie masz racji, Kris. W tej sprawie są rzeczy, o których nie masz pojęcia.

Tru zwróciła się do Harveya:

- Proszę cię, pośpiesz się. Nie chcę zmieniać godziny spotkania. Mogą się zorientować, co zrobiłam. - Uśmiechnęła się w stronę Kris. - Ludzie tak bardzo wierzą w to, co mówi im komputer. Nie mogę podważać tej wiary.

Zadowolona, że powiedziała wszystko, co chciała, Tru odwróciła się w kierunku jazdy i zaczęła szeptać do swojego komputera. Kris widziała już ciotkę w takim stanie, rozmawiającą ze swym alter ego, i wiedziała, że nie należy jej teraz przeszkadzać.

Kris musiała zaakceptować nieuniknione.

Tom szturchnął ją.

- Czy my jedziemy właśnie na spotkanie z

Williamem Longknife'em, premierem Wardhaven?

- Taaa. To właśnie mój tata.

- To ja zostaję w samochodzie.

Jeśli Toma można było nazwać wystraszo-  
nym, to Kris szukała głębokiej norki, by się w niej  
ukryć. Rozważała różne opcje, łącznie z wysko-  
czeniem z jadącego samo chodu. W końcu zdecy-  
dowała, że jeśli ona musi uczestniczyć w spotka-  
niu, to jej przyjaciel także.

- Jesteś ze mną. Potrzebuję wsparcia. Ty  
też uczestniczyłeś w misji i powiesz mamie, że  
wcale nie była taka niebezpieczna.

- Była.

- Nie była. Nad wszystkim panowałam.

- Jeśli tak mówisz...

- Tak właśnie mówię, a ty to potwierdzisz.

Tom nie wyglądał na całkowicie przekona-  
nego. Przez chwilę przyglądał się Kris z półotwar-  
tymi ustami. Gdy wreszcie przemówił, zadziwił ją.

- Bycie dorosłym wśród ludzi, którzy zmie-  
niali ci pieluchy, to przekleństwo.

Mimo wszystko zdołała się uśmiechnąć.  
Tommy zawsze był dobry w rozśmieszaniu jej. I  
być może Santa Maria wcale tak bardzo nie róż-  
niło się od Wardhaven.

Racja. Czy oni nie mogą tego zapomnieć?  
A swoją drogą, to wcale nie zmienili tak wiele  
tych pieluch. Od czego są niańki?

Przez resztę drogi Kris powtarzała sobie, że jest dorosłą kobietą, która niedawno dowodziła misją bojową i nie da się zastraszyć matce i ojcu. Szeptala to jak mantrę, gdy zatrzymali się na zarezerwowanym parkingu w podziemiach gmachu rządu, a potem jechali windą i gdy szli marmurowymi korytarzami. Kris nie przypuszczała, że w tym budynku jest tak wiele automatycznych drzwi.

- Nelly, przypomnij mi, żebym zapytała Tru, jak to robi.

- Tak - szepnął komputer. - Bardzo mi się podoba ta aplikacja.

W końcu, nie przechodząc przez sekretariat, weszli do prywatnego gabinetu premiera.

William Longknife, dla przyjaciół Billy, wstał z za swego zavalonego papierami biurka.

- Jak miło, że udało wam się dotrzeć mimo tak krótkiego czasu od powiadomienia - powiedział, wyciągając ramiona. - To bardzo ważne...

Przerwał, patrząc, jak jego komputer osobisty zawiesza się.

- Tru, znów mi to zrobiłaś.

- Obawiam się, że tak, Billy.

- Kogo jeszcze zaprosiłaś?

- Tylko twoją żonę - uśmiechnęła się ciotka.

Zanim premier zdążył zareagować, otwo-

rzyły się główne drzwi jego gabinetu i wpłynęła matka. Suknie z krynoliną były w tym roku szczytem mody w Paryżu, musiała ich więc mieć kilkanaście.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam. Muszę porozmawiać z sekretarką, rano nic mi nie mówiła o spotkaniu z tobą, Trudy. Gdybym nie sprawdziła na komunikatorze, przegapiłabym je. Rzuciłam więc wszystko i przybiegłam tak, jak stałam. Pozwólcie mi złapać oddech.

- Kochanie, wyglądasz bajecznie - odparła Tru, całując przybyłą w policzek. - Zdążyłaś, zanim zaczęliśmy. Kobieto, jesteś fantastyczna.

Z prywatnych rozmów z ciotką Kris doskonale wiedziała, o jaki rodzaj fantastyczności jej chodzi. Po prostu uważała, że matka Kris to relikwiny średniowiecza. Jak urodzona w dwudziestym trzecim wieku kobieta mogła zachowywać się w ten sposób, pozostawało tajemnicą.

Z tym tylko, że Kris znała jeszcze co najmniej kilka takich kobiet. „Nie ma mowy, nigdy taka nie będę, przysięgam!” - powtarzała sobie często. Nic więc dziwnego, że matka ledwie zauważyła córkę.

Nie lubiąc owijania w bawełnę, Trudy splótła ręce i zaczęła:

- Jak wiecie, Kris ostatnio dowodziła misją ratunkową.

- Tak - potwierdził ojciec.

- Nie - westchnęła w szoku matka. - To nie było niebezpieczne, kochanie? Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy... - zdanie zabrzmiało patetycznie, jak zawsze, gdy mogło zostać wymienione imię Eddy'ego.

- Oczywiście, że nie, mamó - Kris natychmiast wypełniła pustkę, bardzo starannie akcentując słowa, aby nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

- Sądzę, że powinniśmy usiąść - powiedział premier, wskazując niski stolik, kanapy i fotele, czyli miejsce, w którym odbywał narady z najbliższymi doradcami. Zasiadł w starym fotelu u szczytu stołu. W odróżnieniu od żony, ojciec Kris nie ulegał tak często kaprysom mody. Ten fotel stał tu już od wielu lat. Matka zajęła głęboki fotel po drugiej stronie stołu. To pozostawiało dwie kanapy pomiędzy fotelami dla reszty gości. Kris nie nawidziła, gdy matka to robiła. Zmuszało to pozostałych rozmówców do ciągłego kręcenia głową w celu obserwacji reakcji premiera i jego żony.

- To co z tą misją ratunkową? - nalegała matka. - Jeśli nie była niebezpieczna, to czemu została wezwana marynarka?

- Kochanie, marynarka nigdy nie zaryzykowałaby życia naszej córki - zapewnił ją ojciec. - Śledziłem całą tę sprawę w sieci.

Kiedys opowiadał Kris o małym dodatku, jaki kazał zamontować w kanałach informacyjnych po wystąpieniu dziadka Alexa, którego omal nie przyplacił końcem kariery politycznej.

- Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś!

Kris nie słuchała dalej. Ten teatrzyk widziała już tysiące razy. Tru systematycznie wypakowywała części przechwyconego komputera.

- Niestety, nie mogę się z panem zgodzić, panie premierze - powiedziała spokojnie w krótkiej przerwie między kwestiami wygłaszanymi przez oboje „aktorów”.

- Nie! - wypowiedziane przez oboje zabrzmiało unisono. Tru skupiła uwagę wszystkich.

- Zanim zacznę, chciałabym zwrócić uwagę na sprzęt leżący przed wami. Wygląda jak stary, tani bateryjny komputer nadgarstkowy. To bardzo mylne wrażenie. Wewnątrz, pod pokrywą, napylony jest najnowszy typ samoorganizującego się komputera, którego koszt wielokrotnie przekracza kwotę żadanego okupu.

Tru znacząco spojrzała na premiera, ale nie wypowiedziała tego, co było oczywiste. To nie pieniądze były tu motywem. Ojciec Kris wygodniej rozsiadł się w fotelu i podrapał w brodę, ale nic nie odpowiedział.

- Musisz się mylić - wypełniła ciszę matka.

- Bogaci ludzie nie robią takich rzeczy.



Wiara w pieniądź prezentowana przez matkę Kris była porażająca. Nie urodziwszy się w bogatej rodzinie, poprzez małżeństwo stała się jedną z najzamożniejszych osób na Wardhaven. W jej opinii, skoro bogaci mają służących, to sami nie robią już nic złego.

- Udało nam się odczytać dwie wiadomości z tego komputera. Oto jedna: „Połknęli przynętę. Ściągają marynarkę. Uruchom pakiet powitalny”.

- Jaki pakiet powitalny? - zapytał premier, pochylając się do przodu.

- A tu następna wiadomość: „Mamy okręt, o który nam chodziło, uruchom pakiet powitalny, przejdź do planu B”.

- Jaki pakiet powitalny, co mają na myśli, mówiąc „okręt, o który nam chodziło”? Nie cierpię, kiedy ludzie nie mówią wprost, o co im chodzi - warknęła matka głosem, który powodował drżenie u Kris, gdy miała osiem lat. Teraz go tylko nienawdziła.

Tru ze swej strony oparła się wygodnie i zaplotła ręce. Jak to czyniła wielokrotnie w przeszłości, Tru wyłożyła problem, zostawiając rozwiązanie go komu innemu. Tego Kris także nienawdziła.

Dziewczyna pochyliła się nad wiadomościami. Przyjmując, że oczekiwanym okrętem był

„Tajfun”, to pakietem powitalnym były...

- Porywacze - zaczęła powoli - założyli pole minowe przy użyciu min Mark 41. Gdybyśmy wykonali skok tak, jak to było zaplanowane, wszyscy byśmy zginęli.

Początkowo Kris chciała przyprzeć ojca do muru w sprawie sprzętu. Ale spalony link zmusił Kris do pilotowania LLS-a, uniemożliwiając skok, a tym samym krzyżując plany porywaczy. Ciężko było teraz narzekać na sprzęt.

Premier zamruczał coś do swojego komputera.

- Mark 41 nie zostały jeszcze wprowadzone do uzbrojenia - powtórzył po urzędzeniu.

- Oczywiście, ojciec, marynarka nie ma ani jednej. A ustawienie z nich pola minowego musi kosztować cholerną kupę forsy.

- Kristine Anne, dama nie używa takiego słownictwa - wtrąciła swą jakże ważną uwagę matka.

- Za pułapkami, które zmiotły miejscowe siły policyjne, polem minowym i tym komputerem stoją ogromne pieniądze - wskazała Tru.

Premier ponownie potarł brodę, nic nie mówiąc.

- Ale kto mógł to zrobić? - wtrącił Tommy. Matka przesłała lodowate spojrzenie Tomowi, a jeszcze chłodniejsze otrzymała Kris za

wciągnięcie obcego w coś, co ewidentnie było sprawą rodzinną.

„Od kiedy weszłam, to już nie jest sprawa rodzinna” – odpowiedziała wzrokiem dziewczyna, pamiętając, że jest oficerem na służbie, a nie córeczką mamusi.

- Zatrzymałam się w Starym Nuu – powiedziała. - Pałac pęka w szwach od ochrony. Czyżby przyjechał któryś z pradziadków?

Kris chciała, aby oficjalnie potwierdzone zostało to, co wiedziała już od Harveya.

- Obaj – powiedziała matka. Żaden z nich nie należał do jej ulubieńców. „Kłopot” winiła za decyzję Kris o wstąpieniu do marynarki. Nie pomagał nawet fakt, że pradziadek nie widział się z Kris od wielu lat, odkąd został rektorem Akademii Obrony Savannah, które to stanowisko objął po rezygnacji z funkcji szefa Sztabów Połączonych Savannah. Pradziadek Ray spędził ostatnie trzydzieści bądź czterdzieści lat na Santa Maria ze swą najmłodszą córką Alną, naukowcem. Kris słyszała plotki, że oboje mieli zamiar położyć kres monopolowi Trójki, czyli trzech ras, które zbudowały punkty przerzutowe w kosmosie. Na razie się to nie zdarzyło. Może pradziadek Ray natrafił wreszcie na przeszkodę, której nawet on nie był w stanie pokonać.

- Jeśli dobrze rozpoznałam, mundurowi

wokół Starego Nuu to ziemscy marines. – W kąci-  
ku ust Kris pojawił się leciutki uśmiech.

– Z kim spotykają się dziadkowie, jest  
sprawą objętą klauzulą bezpieczeństwa. Czy mam  
ci przypominać, że służyysz w marynarce? Jeśli  
chcesz, mogę wysłać cię do Bazy Paliw w Pipi-  
dówce Mniejszej – odparł premier. – Kochanie, nie  
mówiłaś, że moi dziadkowie są tutaj – dodał, zwracając się do żony.

– Zaprosiłeś ich na jutrzejsze przyjęcie –  
odparła. – To nie może być aż tak tajne.

– Do tego czasu powinni skończyć – odpo-  
wiedział premier z nutą żalu w głosie. – Aż do te-  
go momentu nie chcemy żadnych przecieków do  
prasy.

– Tak więc dzielisz flotę – powiedziała Kris  
zdumiona, że jest w stanie wypowiedzieć te słowa.

Ojciec zbladł. Jeśli w coś kiedykolwiek wie-  
rzył, to była to jedność, absolutne przekonanie, że  
ludzkość musi iść w gwiazdy jako całość. A Sto-  
warzyszenie stanowiło polityczny wyraz tej jedno-  
ści.

– Moją polityką i polityką każdego premie-  
ra Wardhaven, odkąd wstąpiliśmy do Stowarzy-  
szenia Ludzkości, jest dokonać tego, żeby ludz-  
kość była jak jeden człowiek – słowa te Kris sły-  
szała już setki razy. Jednak dziś brakowało im za-  
pału i przekonania.

Kris zadrżała. W myślach widziała zielononiebieską flagę Stowarzyszenia Ludzkości jak co dzień ściąganą z masztu. Myśl, że nadchodzi poranek, kiedy nie zostanie ona ponownie wciągnięta na maszt, wywoływała dreszcz. Ileż to razy wraz z przyjaciółmi debatowali o nowych wyzwaniach dla Stowarzyszenia? Ich teoretyczne rozważania stawały się właśnie rzeczywistością.

- Jaka byłaby reakcja, gdyby ziemskie bandziory nie tylko porwały małą dziewczynkę, ale spowodowały, że przy próbie udzielenia pomocy zginąłby członek rodziny Longknife'ów? - słowa płynęły z chłodnej, logicznie myślącej części mózgu Kris. Zdążyła je wypowiedzieć, zanim przypomniała sobie o obecności matki, która rzuciła jej piorunujące spojrzenie.

Kris zlekceważyła to.

- Panie premierze?

Ręka, która przed chwilą znajdowała się na sercu, wykonała ruch na czoło.

- Byłyby antyziemskie rozruchy - powiedział powoli. - Bardzo utrudniłoby mi to pracę.

- I wzmocniło kilka koalicji, prawda? - dodała Tru.

- Tak.

- Włączając w to koalicję Smythe'ów i Peterwaldów na Greenfeld?

Ojciec opadł na fotel.

- Peterwaldowie to taka miła rodzina. Henry chodził ze mną na studiach, oświadczył mi się przy świetle księżycy.

- Tak, mamó, pamiętamy - rzuciła Kris, nie odrywając oczu od ojca. - Panie premierze? - powtórzyła.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Żaden członek dowolnego rządu nie ośmieliłby się. Nic nie jest warte takiego ryzyka. Gdyby to się wydało, taki rząd upadłby, a należący do niego ludzie już nigdy nie zostaliby wybrani na wysokie stanowiska.

- Ma syna mniej więcej w twoim wieku, Kristine. Musisz go poznać - dodała matka.

- Wiem, mamó, wspominałaś o nim jakiś milion razy.

- Opowiadaliście Kris o Peterwaldach i Longknifeach? - miękko wtrąciła Tru.

- Wiele razy - stwierdziła matka.

- Nie - odpowiedział ojciec. Matka spojrzała na niego pytająco, ale jego wzrok skierowany był na Tru. - Nigdy nie zostało udowodnione, że Peterwaldowie mieli cokolwiek wspólnego z wojną czy przemytem narkotyków. Z faktu, że Greenfeld jest zwykle w opozycji do Wardhaven, nie należy wyciągać wniosków o osobistych motywach.

Tru potrząsnęła głową.

- Ktoś finansował Stowarzyszenie przed wojną. Czytałeś historię, była straszna korupcja, do budżetu nie trafiały podatki. Kiedy Wardhaven i Longknifeowie przetrącili kręgosłup handlowi narkotykami, fortuna Peterwaldów wyparowała, a rodzina przeniosła się na Greenfeld. Ray zmusił ich do porzucenia Elysium, po tym jak traktat z Wardhaven ograniczył ekspansję ludzkości. Musisz przyznać, że Longknifeowie kosztowali Peterwaldów kupę pieniędzy.

- Tak. - Premier wstał z fotela i zaczął przechadzać się po pokoju. - Ale to niczego nie dowodzi. Żaden sąd nie uznałby tego. A ja muszę działać zgodnie z prawem.

Tru spojrzała na komputer.

- „Mamy okręt, o który nam chodziło”, czyli „Tajfun”, okręt twojej córki. Na którym brakowało dowódcy plutonu marines. Jak dla mnie to wystarczający powód, żeby do misji wyznaczyć inną jednostkę.

- Dowódca bardzo chciał tego zadania - wtrącił Tom. - Mówi się, że próbował wpłynąć wszelkimi możliwymi sposobami na decyzję komodora Sampsona.

- To zrozumiałe - zgodziła się ciotka. - Ale jak mi się wydaje, powszechnie wiadome było także, że Kris jest na tym okręcie i Thorpe mocno ją „dociera”.

- Skąd wiesz? - spytała Kris.

- Fakt, że jestem informatykiem, nie znaczy, że cały czas spędzam przy komputerach. Znam paru prawdziwych wojaków, którzy będąc na miejscu twojego dowódcy, chcieliby wiedzieć, czy jesteś wojownikiem, czy tylko córeczką polityka, która uciekła z domu. Jeśli Thorpe jest politykiem, traktuje cię w białych rękawiczkach, jeśli wojownikiem, dociera.

- Jeździ po mnie - przyznała Kris.

- Jeśli ja poskładałam kawałki tej układanki - Tru zwróciła się do ojca Kris - to każdy inny też może. Śmierć małej dziewczynki i Kris w jednej sprawie postawiłaby pod broń całe Światy Zewnętrzne. Wprowadzenie paszportów i wiz dla podróżujących z Ziemi i Siedmiu Sióstr zostałyby przyjęte przez aklamację. Stowarzyszenie praktycznie przestałoby istnieć.

- Kto mówił o śmierci dziecka? - Kris próbowała zwolnić tok myślenia ciotki. To, co usłyszała, zaparło jej dech.

- Wybacz, nie widziałas planu B. - Wydała komendy komputerowi. - Nic dziwnego, nie znalazłam bezpośredniego odniesienia do planu B. Do planu A również, jeśli mam być szczerą. Jednak w spisie przedmiotów wykonanym przez policję w chatce znajdują się dwie interesujące rzeczy. Po pierwsze dwa kilogramy materiałów wybucho-



wych znajdujących się na dnie plecaka dziewczynki, ukryte pod jej ubraniami, łącznie z zapalnikiem radiowym. Po drugie nadajnik ustawiony na tę samą częstotliwość co zapalnik. O ile dobrze pamiętam, porywacze żądali wahadłowca, który zabraliby ich tam, gdzie chcieli.

- Gdyby przywódcy udało się w ostatniej chwili nie wejść na pokład tego wahadłowca, miałyby wspaniałą okazję wysadzić go w powietrze - powiedziała powoli Kris.

- Zdecydowanie dysponował odpowiednim sprzętem, żeby to zrobić - zgodził się Tom. - Wyładź wahadłowiec tuż przed wejściem na orbitę, a jego szczątki zostaną rozproszone po połowie Sequima.

- To wszystko tylko przypuszczenia - zaproponował premier.

- To wszystko nic nie znaczy - dodała jego żona, chłodno i z dystansem.

Dla kogoś jednak znaczyło. Ktoś chciał zabić dziecko i Kris. Kto wówczas mógł liczyć na korzyści? Kris nie przychodził do głowy nikt na Sequimie. Chciała natomiast wiedzieć, co tylko możliwe, o kimś takim sprzed dziesięciu lat.

- Tato, kto oferował ci pomoc finansową, żeby zapłacić okup za Eddy ego?

- Kristine Anne! - krzyknęła matka.

- Wystarczy, młoda damo - nie wytrzymał

ojciec.

- Panie premierze, czekają następni goście  
- odezwał się interkom.

- Wpuść ich - odparł premier.

Matka wyszła tylnymi drzwiami, szumiąc krynoliną i halkami, nerwowo szukając pastylek. Wysypała trzy różowe i połknęła. Kris potrząsnęła głową, matka prawdopodobnie nie będzie pamiętać ani jednego słowa z tego spotkania. Gdy Kris i Tom wstawali, Tru pozbierała części komputera. Gdy za matką zamknęły się drzwi, William nachylił się tak, że prawie dotykał nosem twarzy ciotki.

- Trudy, tym razem posunęłaś się za daleko. Mam na głowie tysiące problemów i nie życzę sobie, żebyś nastawiała przeciw mnie moją własną rodzinę. Będę miał szczęście, jeśli ta kobieta wypowie do mnie słowo w ciągu najbliższego miesiąca - powiedział, wskazując drzwi, za którymi znikła żona. Następnie zwrócił się do Kris: - A ty, młoda damo, zostajesz na noc w Rezydencji. Nie chcę, żebyś włóczyła się z tą babą.

- Tato - odcięła się Kris - przypominam ci, że tu nie ma wolnych pokoi. Ostatnie właśnie zamieniłeś na biura dla asystentów specjalnych.

Premier sprawdził w komputerze i otrzymał odpowiedź potwierdzającą.

- Jak się tu dostaliście?

- Harvey nas przywiózł.

- Więc Harvey odwiezie cię do Starego Nuu. Możesz robić cokolwiek, co robi marynarz na przepustce, ale nie wolno ci rozmawiać z Tru. Mogę i wysłać cię do Pipidówki Mniejszej, jeśli się nie dostosujesz.

Następnie zwrócił się do ciotki:

- Trudy, mój szofer zawiezie cię do domu.

- To niczego nie rozwiązuje, Williamie.

Nie uciekniesz od rzeczywistości.

- To rozwiązuje sprawę, przynajmniej na razie - odpowiedział premier, odwracając się do nich plecami.

Tru podeszła do drzwi, którymi wyszła matka, gdy tylko ukazała się w nich głowa osobistego kierowcy premiera.

Kris chciała wycofać się jak najszybciej głównymi drzwiami. W połowie drogi zatrzymała się jednak.

- Tato, naprawdę muszę wiedzieć, skąd miałeś pieniądze na okup za Eddy ego.

Premier poprawił krawat, jego twarz była już zupełnie spokojna.

- Skoro nalegasz, powiem ci. Zwróciłem się z prośbą do ojca, twojego dziadka. Nie chciał w zamian absolutnie nic. A teraz wynoś się.

## ROZDZIAŁ 8

Czy twój tata zawsze jest taki? - zapytał Tom.

W drodze do domu panowała nieprzyjemna cisza. Kris była wdzięczna za każdą chwilę wytchnienia, nawet jeśli znaczyła pozostawianie pytania bez odpowiedzi. Ona sama miała czas przyzwyczaić się do sposobu bycia rodziny, dla Toma była to całkowita nowość.

- Co cię dziwi w zachowaniu taty?

Tom potrząsnął głową.

- No wiesz. Zawsze jest taki praworządny.

Rozumiesz, gdybym ja powiedział swoim, że ktoś chciał mnie zabić, do głowy by im nie wpadło pytać mnie o dowody dla sądu.

A on pyta.

- Znaczący naprawdę wysłałby cię do jakiejś pipidówki?

- Zdecydowanie tak - odpowiedziała bez chwili namysłu.

- Własną córkę? Żartujesz.

- Potrzebuję drinka - oświadczyła Kris.

Wyjrzała przez okno. Przejeżdżali właśnie przez miasteczko studenckie. - Harvey, zawieź nas do „Scriptorium”.

Kierowca nawet nie próbował zmienić kierunku.

- Panno Kristine, nie sądzę, aby to było rozsądne.

- A co z tego, co dziś zrobiłam, było? Poprowadzisz do „Scriptorium” czy mam kazać Nelly przejąć kontrolę nad samochodem?

- Odkąd skończyłaś studia, poprawiłem zabezpieczenia samochodu - warknął Harvey.

- A ja rozbudowałam możliwości Nelly. Sprawdzimy, czyje poprawki są lepsze?

Szofer wydał pojazdowi nowe dyspozycje. Pomimo niezwykle dużego ruchu w miasteczku studenckim komputer znalazł im miejsce parkingowe niedaleko „Scriptorium”. Posiadanie tablic rejestracyjnych PREM - 4 dawało jednak pewne korzyści.

Lokal nie zmienił się w ciągu kilku miesięcy nieobecności Kris.

Nowi jak zwykle siedzieli przy wejściu. Przy stolikach zarezerwowanych dla studentów ostatniego roku toczyła się dyskusja polityczna. Kris usłyszała kilka razy słowo „odłączenie” i już chciała się wtrącić, gdy uświadomiła sobie, że nie jest przecież na ostatnim roku. Ponadto co innego prowadzić akademicką dysputę nad odłączeniem się od Ziemi, a co innego rozmawiać o tym, co w każdym momencie może mieć miejsce. Miły nastrój, który opanował Kris po wejściu do lokalu, przysł jak bańka mydlana.

Usiedli przy stoliku w części dla profesorów.

Relaksując się w fotelu, Kris próbowała spojrzeć na to miejsce tak, jak patrzyła na nie jako studentka. Rozproszone światło ukazywało przez półprzeźroczyste ściany cały ruch w części kuchennej. Pomimo aromatów pizzy i piwa dominował tu zapach studentów: pot, czytniki książek, hormony... Bardziej jak w uczelnianej bibliotece niż w barze. Stoliki pokrywały studenckie graffiti. Na środku sali znajdował się duży stół, na którym Kris i cała jej klasa problemów dwudziestego czwartego wieku w ostatnią wspólnie spędzoną sobotę wycięła swoje inicjały. Doktor Meade stwierdził kiedyś, że o problemach sześciuset planet nie da się dyskutować bez piwa, zdecydowali się więc spotykać w każdą sobotę na nieco nieformalnych zajęciach.

Dziś stół także był zajęty. Część studentów skoncentrowana była na pracy, inni na sobie wzajemnie. Kris uśmiechnęła się, widząc znajomą scenkę.

- Nstwosobieżyczą? - kelner-student wykazał typowe dla tego miejsca luźne podejście do klientów.

Tom spojrzeniem przekazał pytanie Kris. Harvey siedział z wyrazem głębokiej dezaprobaty na twarzy. Mógłby się stać podręcznikowym przy-

kładem dla przyszłych sierżantów.

To odpowiadało na pytanie, w jaki sposób Kris tak doskonale radziła sobie z sierżantami w Studium Oficerskim. Po prostu wychowała się, mając jednego z nich cały czas u swego boku.

- Ja wezmę tonik z plasterkiem limonki - zamówiła.

Wyraz dezaprobaty znikł z twarzy kierowcy jak po dotknięciu czarodziejskiej różdżki.

- Ja wezmę jakąś kofeinową colę, cokolwiek macie na tej planecie - powiedział Tom.

- I to samo dla mnie - zamówił Harvey.

- Taaa, marynarka - powiedział kelner, odchodząc. - Nie zabłądziliście przypadkiem, trepy?

Kris wzdrygnęła się. Oczywiście byli po cywilnemu, ale ubrali się w bardzo militarnym stylu, a fryzura dziewczyny była o dobre kilkadziesiąt centymetrów krótsza i zdecydowanie bardziej uporządkowana niż w czasach, gdy dyskutowała tu z doktorem Meadeem. Kris wstała i przywołała studenta z powrotem. Po czym po prostu spojrzała na niego w sposób, jaki w armii nazywa się „dziesięciosekundową naganą wzrokową”. Na szeregowych działało to lepiej niż oficjalny raport służbowy.

Ale chłopak nie był szeregowym, a Kris zdała sobie sprawę z tego, że faktycznie nie cał-

kiem pasują już do tego miejsca. Sala pełna była bujających w obłokach marzycieli, niemających pojęcia, jakie mogą być koszty ich planów, a już na pewno niezamierzających ponosić za nie odpowiedzialności. Teraz gdy sama zaryzykowała życie podczas realizacji swojego planu, Kris uświadomiła sobie, że „Scriptorium” jest sztuczne i nie-realne.

- Tak, jeśli zawiodłabym ojca, wysłałby mnie do jakiejś pipidówki - odpowiedziała wreszcie na zadane dużo wcześniej pytanie Toma.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Kris odnotowała, że Harvey znów nic nie powiedział.

- Mój ojciec jest politykiem. Słyszałam, jak kiedyś mówi, że polityk powinien być stały. Lojalność jest chyba jedyną wartością, którą naprawdę ceni. Jeśli jesteś wobec niego lojalny, poruszy dla ciebie niebo i ziemię. Zawieź go, a przeklnie cię na zawsze. Nie widziałeś go, gdy jego długoletni sojusznik nagle zmienił stronę. Nawet nie mrugnął, ale eksprzyjaciel już nigdy nie miał okazji zamienić choćby słowa z Billym Longknifeem.

Dziewczyna oparła się wygodniej, wzięła głęboki oddech i kontynuowała powoli:

- Ojciec musi odczuwać ogromną presję. - Lekkie skinienie głowy Harveya było wystarczającym potwierdzeniem. - Jego groźba była całkowi-



cie realna, ale do diabła z tym. Nie będę dorzucać mu jeszcze swoich problemów.

Tom wyciągnął swój komputer.

- Może złapię jakiś statek na Santa Maria.

Pani porucznik Longknife, zaczynam odnosić wrażenie, że dłuższe przebywanie z panią jest bardzo niebezpieczne dla kariery.

- O ile w ogóle nie stanowi bezpośredniego zagrożenia życia - dodał Harvey.

Kris zamknęła komputer przyjaciela.

- Załoga, wychodzimy - zadysponowała, gdy kelner zbliżał się z ich napojami. Gdy chłopak zatrzymał się gwałtownie, rozlewając je na stół, Kris wstała. Tom i Harvey zrobili to równocześnie z nią. Wystraszony, że zostanie obciążony kosztem zamówienia, kelner zaczynał otwierać usta w proteście, ale dziewczyna rzuciła na stół banknot mający wartość dwukrotnie większą. To zamknęło usta studentowi.

- W zeszłym tygodniu moi marines uratowali sześćioletnią dziewczynkę - powiedziała tonem, którego nauczyła się od ojca - ale najwyraźniej ludzie ciężko pracujący na swoje pieniądze nie są tu mile widziani.

Gdy sala umilkła, Kris spojrzała na stolik, przy którym siadywała w przeszłości.

- Możecie dodać to do swojej listy problemów dwudziestego czwartego wieku.

Powiedziawszy wszystko, co chciała, skierowała się do drzwi. Obaj mężczyźni ruszyli za nią. Kilku studentów właśnie chciało wejść, ale wystarczyło im krótkie spojrzenie na falangę kierującą się ku wyjściu, aby cofnęli się i z szacunkiem przytrzymali drzwi.

- To było zabawne - uśmiechnął się Tommy.

Kris spojrzała na błękitne niebo nad nimi i zawyrokowała:

- Musimy sprawić Tommy'emu okulary przeciwsłoneczne.

- Okulary przeciwsłoneczne? - powtórzył młody oficer.

- Tak, znajdujesz się w tej chwili w mojej przestrzeni bez hełmu i skafandra kosmicznego do ochrony. Potrzebujesz przynajmniej okularów, bladolicy kosmito.

- A niby do czego?

- Harvey, czy moi rodzice nadal trzymają „Oazę” na jeziorze?

- Obsługa sprawdza ją regularnie co tydzień, pomimo że premier i jego pani nie byli tam od sześciu lat - padła odpowiedź.

- Ich strata. - Kris chwyciła podporucznika za łokieć. - Tommy, przyjacielu, jesteś o krok od doświadczenia tego, jak to jest mieć wiatr we włosach, pokład dobrego jachtu pod stopami i nie-

bo pełne gwiazd do nawigacji.

- Prawdziwy żagłowiec! - entuzjazm Toma brzmiał wyraźnie sarkastycznie. - Czy jest jakaś szansa, żeby Thorpe pozwolił mi ukryć się gdzieś na „Tajfunie” na najbliższe sześć tygodni?

- Nie pękaj! Żeglowałeś wśród gwiazd. Nie zastanawiałeś się nigdy, jak to robili nasi przodkowie przed wiekami na Ziemi?

- Nie. Nie chciałem też nigdy nauczyć się pływać.

- Porzuć obawy, chłopcze. Dostaniesz kamizelkę ratunkową i doświadczysz tyle wody, ile dusza zapagnie.

- Właśnie tego zawsze pragnąłem, kawałek korka, który stoi między mną a utonięciem.

- A czymże innym jest skafander kosmiczny?

- Czymś, co jest mi doskonale znane.

- Harvey, nad jezioro!

Gdy samochód włączył się do ruchu miejskiego, Kris skomunikowała się z Nelly.

- Sprawdź, co w sieci planetarnej jest na temat Longknife'ów i Peterwaldów, każdy kontakt, jaki mieli w ciągu ostatnich osiemnastu lat. Potem rozszerz poszukiwania na sieć Stowarzyszenia Ludzkości. Zanim pójdziesz za daleko, zajrzyj do komputera cioci Tru i zobacz, co on wie na ten temat.

- Komputer Tru ma doskonale zabezpieczenia - zauważyła Nelly.

- Tak, ale może znajdziesz folder lub dwa w części nieco gorzej zabezpieczonej. Ojciec nie pozwolił mi się komunikować z Tru. Zakładam, że ciebie i Sama to nie dotyczy.

- Zaczynam poszukiwanie.

Kris rozsiadła się na skórzanym siedzeniu samochodu. Nawet jeśli ktoś pragnął jej śmierci, jako córka polityka przywykła do tego, że na Wardhaven była względnie bezpieczna. Miała sześć tygodni, by rozważyć, czy pewna pani podporucznik nie ma przypadkiem za dużo problemów. To sporo czasu. Wychowano ją w przeświadczeniu, że czas może wszystko zmienić.

\* \* \*

Następnego dnia, opalona i szczęśliwa, mogła już tylko wspominać wiatr we włosach, podczas gdy Harvey wiozł ją i Tommy ego ubranych w paradną biel do Muzeum Historii Naturalnej. Chłopak zrobił wszystko, żeby się wymigać, ale Kris była nieustępliwa.

- Czego tu się bać, jeszcze nikt nigdy nie został tam zjedzony.

- Przy moim szczęściu będę pierwszy.

- Niemożliwe. Absolutnie nic nie ma prawa pójść źle - powiedziała panna Longknife z pewnością, która zniknęła, w miarę jak zbliżali się

do wejścia. Kilka limuzyn już parkowało, włączając w to identyczną jak ta, którą przyjechali.

- Czyja to? - spytał Tom.

Gary, chodzący pistolet, sprawdził dane pojazdu w swoim komputerze nadgarstkowym.

- Jedna z naszych. Dziś ma na pokładzie generała Ho z Ziemi. Myślę, że pan generał ma już dość antyziemiańskich demonstracji.

- Nie widziałam żadnych demonstracji - powiedziała Kris.

- Bo udało nam się utrzymać je wystarczająco daleko od was - powiedział Harvey, parkując obok limuzyny jeszcze większej niż ich.

- Czyj jest ten potwór? - powtórnie zapytał młody marynarz.

Gary ponownie dokonał sprawdzenia i uśmiechnął się.

- Tak myślałem, że wygląda znajomo. Nie wiele takich jeździ. To prywatny pancernik Henrygo Smythe-Peterwalda Dwunastego - zakomunikował ochroniarz.

- Czy przypadkiem nie mówiłaś, że na tych spędach jest bezpiecznie?

- A ty przypadkiem nie twierdziłaś, że zawsze może być ten pierwszy raz?

Kris oceniła pancierz kompozytowy limuzyny. Nie był bardzo ciężki. Po co więc samochód potrzebował podwójnych opon na tylnej osi?

- A jak miałbym wytłumaczyć zmarłym przodkom, że przybywam do nich, nie zostawiając spadkobiercy nazwiska i tradycji? - zapytał Tom, przytrzymując drzwi przed Kris.

- Jestem pewna, że twój pokrętny umysł znalazłby jakąś pięknie brzmiącą ściemę.

O ile prawdą było, że na oficjalnych przyjęciach nigdy nie popłynęła kropla prawdziwej krwi, o tyle jej polityczny odpowiednik lał się szerokim strumieniem. Dawniej Kris była tylko kochaną córusią tatusia i wspaniałą debutantką mamy. Dziś występowała jako podporucznik marynarki Kristine Longknife - odznaczona medalem.

Z dreszczem dołączyła do rzeki ludzi poruszającej się po kamiennych schodach muzeum. Sześciometrowy tusker z wielkimi rogami stał na środku sali bardziej jako dekoracja niż jako przypomnienie o stworzeniu, które terroryzowało pierwszych osadników Wardhaven. Naturalne środowisko tuskerów zostało zastąpione ziemską florą. Kilka stad zachowało się jeszcze na Kontynencie Północnym. Widok wypchanego zwierzęcia wydał się Kris bardzo smutnym przypomnieniem, że dzisiejsi władcy jutro mogą być po prostu czyjąś zabawką. „A ty chciałaś być taka samodzielna” - ironicznie zaśmiała się część jej umysłu.

Wysoki sufit hallu opierał się na kolum-

nach z marmuru o żyłkowaniu w różnych odcieniach czerwieni, żółci i błękitu. Kosztowny dywan współgrał kolorystycznie z marmurem i potęgował uczucie chłodnej świeżości.

Kris przyjrzała się zgromadzonym ludziom. Większość mężczyzn wyglądała podobnie w czarnych lub białych frakach i spodniach albo obcisłych legginsach, w zależności od wyboru, nie zawsze zresztą trafnego. Matka nadawała ton damskiej modzie ubrana w czerwoną suknię do ziemi, której tren ciągnął się przynajmniej półtora metra za nią. Pod suknią, według oceny dziewczyny, musiało się znajdować co najmniej kilkanaście halek. Ściśnięty do granic możliwości gorset z ogromnym dekoltem zdecydowanie więcej ukazywał, niż zakrywał, ale ponieważ prawie wszystkie kobiety nosiły podobne suknie, nie robiło to żadnego wrażenia na mężczyznach. Z wyjątkiem Tommy ego.

Kiedy Kris pierwszy raz założyła biały mundur paradny, uznała jego sztywną stójkę za narzędzie tortur. Wyglądało na to, że matka pojawiła się w czymś jeszcze gorszym. Dziewczyna nagle poczuła się bardzo komfortowo. Z tym że mundur nie przyciągał wzroku Toma tak bardzo jak gorsety.

Matka znajdowała się w południowej części sali, otoczona żonami parlamentarzystów i po-

lityków. Ojciec z sobie tylko znanych powodów krążył między biznesmenami w północnej. Hanovi, zasiadający pierwszą kadencję w parlamencie, stale był u boku ojca. Uczył się „rodzinnego biznesu” od mistrza, a Kris życzyła mu wszystkiego najlepszego.

We wschodniej części zakotwiczyli admirałowie i generałowie. Pułkownicy i majorowie utworzyli wokół nich coś w rodzaju kordonu ochronnego oddzielającego szycy od zbyt natrętnych cywilów. Początkowo Kris chciała trzymać się od nich z daleka, ale w centrum grupy zauważyła swych pradziadków, generałów Longknifea i „Kłopotą” Tordona. Nie miała pojęcia, jak się zachować, widząc go po raz pierwszy od piętnastu lat. Czy powinna zarzucić mu ramiona na szyję w serdecznym uścisku, czy też wyprężona na baczność wyskandować: „Czołem, panie generale!”?

Generał McMorrison, szef Sztabu Sił Zbrojnych Wardhaven, zajęty był rozmową z generałem Ho, szefem Sztabu Sił Zbrojnych Ziemi. Wokół nich grupowali się szefowie sztabów z innych planet.

Podświadomie Kris czuła, że jej stopień dopuszczenia do informacji niejawnych jest zdecydowanie za niski, by mogła uczestniczyć w tej pogawędce.

Zdecydowała więc, że skieruje się w stronę



grupy premiera, by dowiedzieć się, jakie oficjalne funkcje ma do spełnienia. Zanim dotarła do ojca, Hanovi odłączył się od grupy i spotkał z nią w połowie drogi. Towarzyszył mu nieznajomy, który sądząc po budowie i sposobie poruszania się, był nowym agentem ochrony. Kris uśmiechnęła się do obu. Ochroniarz odwzajemnił uśmiech, natomiast brat od razu przeszedł do rzeczy.

- Siostrzyczko, naprawdę wyprowadziłaś staruszkę z równowagi. Jest gorzej, niż gdy wstałaś do marynarki.

- Zauważyłam. - Mrugnęli do siebie porozumiewawczo.

- No cóż, udało mi się go trochę wyciszyć. Co byś powiedziała, gdybyśmy podeszli i pogadali trochę?

- Mogę się pokręcić, pouśmiechać i powiedzieć parę miłych słów.

- Parę, naprawdę miłych - podkreślił Hanovi w ten sam irytujący sposób jak wtedy, gdy obwieszczał swoją wygraną w momencie, kiedy oponent wcale nie zamierzał walczyć.

Kris stanęła na baczność, przesadnie wyprostowana.

- Tak jest, proszę pana, bez zadawania pytań!

- W jakiś sposób wiedziałem, że nawet marynarce nie uda się odzwycząić cię od tego -

uśmiechnął się Hanovi. – I, siostrzyczko, naprawdę jestem ci wdzięczny za to, co zrobiłaś podczas kampanii. Nawet ojciec w przyływach dobrego humoru twierdzi, że wyciągnęłaś moje klejnoty z ognia.

Kris wyprostowała się i dała swojemu starszemu, a obecnie kilka centymetrów niższemu bratu całusa w policzek.

– Naprawdę dobra robota, braciszku. Nie przestawaj uszczęśliwiać ojca.

– Masz jak w banku. A teraz do roboty. Im więcej Longknife'ów krąży, tym więcej dłoni uściśniętych – powtórzył jedno z powiedzeń ojca i spojrzał w te rejony pomieszczenia, które nie zostały zdominowane przez rodzinę. – Powiedz coś miłego tej oficerskiej klice albo weteranom. Wiesz, że ojciec potrzebuje każdej możliwej pomocy na prawym skrzydle, a ty ze swoim mundurem i medalem jesteś teraz doskonałym sprzymierzeńcem.

Miło było się dowiedzieć, jaką wartość dla ojca przedstawiało to, że ryzykowała życie.

– Już idę – odparła, kierując się ku grupie mundurowych.

– Tak to właśnie wygląda? – spytał Tommy, gdy Hanovi odszedł.

– Masz na myśli, że polityka zawsze na pierwszym miejscu, a potem długo, długo nic?

- Chyba o to właśnie mi chodzi.

- A czy w twojej rodzinie interes nie jest najważniejszy?

- Tak, ale mamy również przyjemności.

- Tommy - odpowiedziała, rozglądając się z uśmiechem przyklejonym do twarzy - to bardzo bogate politycznie środowisko. Właśnie przy takich okazjach moja rodzina prowadzi swoje interesy.

- Myślisz, że Harvey mógłby mnie odwiedzić?

- Po prostu uśmiechnij się i słuchaj, a nic złego się nie stanie - powiedziała córka polityka, przekazując przyjacielowi minimum politycznej szkoły przetrwania, którą sama poznała, gdy miała sześć lat.

Naprzeciwko wojskowych w służbie czynnej stała grupa starych weteranów, łatwych do rozpoznania dzięki rzędom medali przypiętych do cywilnych ubrań. Ponieważ nie znajdował się w niej żaden znany Kris członek rodziny, skierowała kroki właśnie tam. Niestety, trochę za wolno.

\* \* \*

- Kris, ledwie cię rozpoznałam w tej bieli - zawołała jedna z przyjaciółek matki. - To zdecydowanie nie twój kolor.

Kris zatrzymała się i zaczekała na matronę i jej córkę, sunące w ich stronę. Obie ubrane

były oczywiście zgodnie z panującą modą, ale suknia matki podkreślała wyraźnie nie te krągłości, o które chodziło projektantom. W odróżnieniu od niej krągłości córki uwypuklone zostały w taki sposób, że Tom jeszcze bardziej wybałuszył oczy. Choć wydawało się to niemożliwe, dekolt ukazywał nawet więcej niż u matki Kris.

- Miałam nadzieję, że zorganizujesz letni pokaz mody, tak jak w zeszłym roku - odezwała się starsza z kobiet. - Masz taki talent organizacyjny.

- Mamo - weszła jej w słowo córka - nie widzisz, że ona ma teraz inne rzeczy do zorganizowania? A może dają ci tam trochę swobody? - zwróciła się do Kris, lustrując ją od stóp do głów. - Zaczynasz od samego dołu, prawda? Twój stopień to podpowiernik? [Nieprzetłumaczalna gra słów, dotycząca nazw stopni wojskowych. W oryginale dziewczyna pyta, czy Kris nosi stopień „pennant” lub „flag”, czyli „proporczyk”, „flaga”. W rzeczywistości stopień podporucznika marynarki wojennej to „ensign”, co znaczy również „bandera” (przyp. tłum.).] Czy jakoś tak?

- Podporucznik - poprawiła dziewczynę Kris, ale z uwagą nadśłuchiwała już rozmowy toczoną za jej plecami.

- Potencjalne zyski będą nieograniczone, synu - zapewniał ktoś wysokim głosem - kiedy już

wykopiemy tę bandę wystraszonych starych bab w krynolinach, powstrzymującą nas przed ekspansją na Ziemię. Spijają ostatnią kroplę naszej krwi, zmuszają, aby najpierw dokładnie skolonizować każdą zajętą planetę, zanim pozwolą zrobić kolejną, choćby malutki kroczek naprzód. To wstyd dla naszej planety, że ten hańbiący, ograniczający rozwój traktat podpisany został właśnie na Wardhaven.

- Znam dobrze McMorrisona - matrona naprzeciw Kris nie dawała za wygraną. - Może jeśli szepnę mu kilka miłych słówek, oddeleguje cię do organizacji dorocznego pokazu mody.

- Powodzenia - odpowiedziała Kris i odwróciła się. Znalazła się twarzą w twarz z wysokim biznesmenem, który poczerwieniał jak burak, zdając sobie sprawę, że swą ostatnią uwagę poczynił w obecności prawnuczki człowieka, który jako prezydent Stowarzyszenia Ludzkości uczynił podpisanie traktatu limitującego ekspansję swym ostatnim celem przed odejściem na emeryturę.

Kris podała mu z uśmiechem rękę, a on ją natychmiast uścisnął.

- Nie uważa pan, że czterokrotne powiększenie obszaru w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat dowodzi ogromnej odwagi ze strony tych, którzy walczyli w wojnie z Iteeche?

Biznesmen mruknął w odpowiedzi coś nie-

zrozumiałego i prędko się oddalił.

- Jak ty to robisz? - spytał Tommy.

- Co?

- Nadażasz za każdą rozmową i przeskakujesz między tematami zupełnie jak jakiś komputer.

- Być może dlatego, że nie zapominam, jak się nazywam, na widok każdej pary cycków.

- Skoro masz własną, na którą możesz napatrzyć się za każdym razem pod przysznicem...

- Nie przyglądam się.

- W każdej chwili służę pomocą. - Tom figlarnie zmrużył oko i zakrztusił się tłumionym śmiechem. - Wyobrażasz sobie minę Thorpea, kiedy czyta rozkaz oddelegowujący cię do organizacji pokazu mody?

- Ani słowa więcej - odparła, starając się nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Wszystko, co zrobiła dotychczas, aby być zwykłym podporucznikiem, po takim rozkazie przysłoby jak bańka mydlana.

- Kris, co robisz w marynarce? Myślałam, że idziesz w politykę - zabrzmiało z lewej strony. Zbliżająca się gustownie ubrana młoda kobieta wyglądała znajomo, ale Kris nie pamiętała nazwiska. - Założę się, że mnie nie pamiętasz - powiedziała kobieta. - Yuki Fantano, z Tuson, na północy. Spędziłaś u nas tydzień, montując sztab wybor-

czy w trakcie ostatniej kampanii twojego ojca.

- Oczywiście, że cię pamiętam, Yuki - skłamała córka polityka. - I jak się mają sprawy na północy?

- Jak zwykle, mnóstwo roboty. Nadal nie mogę wyjść z podziwu, jak szybko opanowałaś ten chaos i zamieniłaś w sprawnie pracujący mechanizm.

- No cóż, mam w tym trochę doświadczenia.

- Niewątpliwie masz - uśmiechnęła się Yuki.

- Poza tym weszłam w nowe środowisko, które okazało się bardzo życzliwe. Wiesz, człowiekowi z boku czasem łatwiej coś zorganizować.

- Kiedy Billy Longknife w końcu uzna, że jego obowiązkiem jest chronić nasz przemysł przed tą tandetą z ziemskich slumsów? - usłyszała Kris za sobą. Szybkie spojrzenie ukazało dwóch dyskutujących biznesmenów. - Spójrz na te wszystkie kobiety naśladowujące Brendę Longknife, wyglądają jak ziemskie dziwki. Może teraz Billy poprze ograniczenie ruchu międzyplanetarnego. Chryste, za kilka minut ma odznaczyć swoją córkę za uratowanie jednego z naszych dzieci z rąk śmieci z Siedmiu Suk. Dobry system paszportowo-wizowy utrzymałby takie zera tam, gdzie się urodziły.

- Jeśli dokonała tego młoda Longknife, to nie mogło być takie trudne, w końcu nie miała do czynienia z geniuszami. Nawet przestępcy ze Światów Wewnętrznych potrafią jedynie ukraść torebkę starszej pani.

Yuki zbladła.

Kris wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i odeszła.

- Czemu nic nie powiedziałaś? - zapytał Tommy.

- A uczyłeś kiedyś świnię śpiewać?

- Racja, to by była strata czasu. A powiedz mi, co takiego narobiłaś w biurze w Tuson, co tak zaimponowało Yuki?

- Tak naprawdę prawie wszystko jest dziecinnie proste, jeśli tylko przestaniesz zwracać uwagę na to, jakim jesteś „VIP-em” czy „jak zaszczytzeni” są wszyscy dookoła, że mogą z tobą pracować. Nauczyłam się tego, kiedy drugi raz zostałam wysłana gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, aby sprawić, żeby grupa obcych ludzi zaczęła pracować nad zbieraniem głosów dla ojca.

„A także wstępując do marynarki, gdzie czyjś rozkaz może wysłać cię choćby na koniec świata. Skoro wojsko jest apolityczne, to Kris Longknife też” - pomyślała.

- Mam się uśmiechnąć?

- Tak, i uśmiechaj się cały czas. Znam tych



dwóch.

- Przemysł Ziemi mnie rujnuje z powodu tych krótkich praw patentowych - stwierdził doktor U'ting, specjalista nanobiologii. - W momencie kiedy wdrożyliśmy produkcję mojego wynalazku tutaj, ci ziemscy złodzieje ogłosili wygaśnięcie praw patentowych i zaczęli piractwo na skalę przemysłową. Na Światach Zewnętrznych dokonuje się wszystkich odkryć, a oni nie płacą za nie złamanego centa. Moim zdaniem, powinno się ich odseparować i niech się kiszą we własnym sosie.

- Potrzebujemy jednolitego prawa patentowego, Larry, a Światy Zewnętrzne próbują wydłużyć czas trwania patentów - zauważył doktor Meade, wykładowca nauk politycznych.

- A ostatnim razem, kiedy senat to zatwierdził, ten ziemski sługus, prezydent, oczywiście zawetował. Do diabła, Grant, kiedy ostatnio wybrano prezydenta z Zewnętrznych? Chyba Longknife był ostatni. Tak długo, jak wybory będą powszechne, Ziemia i jej przeludnione Siedem Wiedźm zawsze zapewnią sobie zwycięstwo. Z mojego punktu widzenia lepiej by było, gdyby każda planeta rządziła się swoimi prawami. Mielibyśmy swoje patenty, które sami byśmy chronili. I niech te imbecyle spróbują wtedy coś ukraść.

- Są największym rynkiem zbytu - zauważył doktor Meade, popijając drinka.

- I mają największą flotę - włączyła się do dyskusji Kris. - Podczas wojny z Iteeche to właśnie ta flota nas uratowała. I rzesze Ziemiaków, którzy w niej służyli.

- Cześć, Kris, widzę, że sobie radzisz - pozdrowił ją profesor.

- Po prostu robię swoje.

- Kto pamięta o takiej zamierzchłej przeszłości - mruknął drugi z rozmówców. - Imperium Iteeche upadło, a nikt nie widział śladu innych cywilizacji w kosmosie.

- Dzięki traktatowi z Wardhaven tak naprawdę nie szukaliśmy żadnych innych cywilizacji - stwierdził doktor Meade. - To wielka Galaktyka, a my nadal ślizgamy się po jej powierzchni.

- Gadasz jak jakiś Ziemiak trzymający głowę w piasku.

Kris skinieniem głowy pożegnała byłego wykładowcę, zostawiając go przy jego ulubionej dyskusji. Bar był całkiem niedaleko. Dziewczyna przystanąła, by napić się toniku, Tommy wreszcie dostał upragnione piwo.

W pobliżu, po prawej stronie, znajdowała się grupa weteranów wojny z Iteeche. Łatwo było ich rozpoznać po medalach przypiętych do kłap. Starsze kobiety były jedynymi ubranymi według dawno zapomnianej mody. Kris ponownie roześmiała się w duchu na myśl o próbie przy-, pięcia

medalu do gorsetu. Jeszcze bardziej rozśmieszyło ją wyobrażenie matki próbującej gdziekolwiek na swej garderobie przypiąć Złoty Kwiat Słońca Orderu Ziemi.

Kilkoro weteranów odpowiedziało uśmiechem na uśmiech dziewczyny, więc zbliżyła się do nich. Jako córka premiera powinna spędzić z nimi chwilę, jako oficer w służbie czynnej była zaś mile widziana. Jednak jej przybycie nie przerwało toczącej się rozmowy.

- To, czego potrzebują te dzieciaki, to dobra wojna.

- Mówię ci, są za miękcy.

- Dobra wojna dałaby im trochę ogłady.

- Spójrz na nich, wyglądają jak panienki.

- Banda ślepych naśladowców.

- Wojna nauczyłaby ich stać o własnych siłach.

- A kto im przewodzi? Pieprzony Longknife ze swoimi skandalami. Drań, ani jeden dzień munduru nie nosił.

- Kilka godzin z dobrym instruktorem musztry i facet wiedziałby, co jest dobre, co złe.

- Mój instruktor utwardziłby mu trochę kręgosłup.

- Bardziej niż trochę.

Część rozmawiających zauważyła obecność Kris, trudno było jej nie zauważyć w bieli,

tak bardzo odróżniającej się od kolorowego tłumu wokół. Na uprzejme skinienia głową odpowiadała uśmiechem, co nie zmieniało faktu, że narzekania na jej ojca trwały nadal. Tommy chciał się wycofać, ale mu nie pozwoliła. Jeśli ktoś miał odwagę stawić czoła wojownikowi Iteeche, zasługiwał na to, aby takie drobnostki jak obecność córki polityka nie przeszkadzały mu w rozmowie na ulubiony temat.

Nie było to dla Kris nowością. Takie opinie wygłaszali nawet niektórzy starsi oficerowie, na przykład komandor Thorpe. Twierdzili, że dzisiejsza młodzież potrafi dbać tylko o pieniądze. Obowiązek i honor były według niego pustymi frazesami dla młodego pokolenia i przewodzących mu polityków. Niektórzy oficerowie posuwali się jeszcze dalej, twierdząc, że tylko wojna jest w stanie oddzielić ziarna od plew.

Wymieniwszy ze wszystkimi uśmiechy, Kris oddaliła się od grupy weteranów.

- Wiesz - zwróciła się do Toma - jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ci ludzie są, jacy są. Ale nie pojmuję, jak ktoś poniżej setki może wygłaszać podobne opinie.

- Czyżbyś opowiadała się po stronie tych, którzy uważają, że wszystko jest w porządku?

- Twierdzisz, że jestem częścią problemu?  
- zapytała.

- Nie całkiem, ale można powiedzieć, że jesteś zbyt blisko jednej ze stron.

- A ty preferujesz ucieczkę w niewiedzę?

- Hej, Kris, jestem z Santa Maria. My żyjemy w tej niewiedzy. Ale nawet u nas niektórzy przychylają się do jednej opcji, a inni do drugiej.

- Ale wszyscy musimy żyć w tej samej Galaktyce. I w jakiś sposób musimy to zrobić razem. Masz jakieś sugestie?

- Gdybym miał, na pewno podzieliłbym się nimi z twoim staruszkiem.

Kris rozejrzała się po sali. Matka i jej „kurnik” znajdowały się po prawej. Grupa wojskowa na wprost. Kris skierowała się tam.

O mało znów nie wpadła na komodora Sampsona...

- Kristine Longknife, założę się, że mnie nie pamiętasz - powiedział nieskazitelnie ubrany, siwiejący mężczyzna w średnim wieku, wyciągając dłoń. Czterech ochroniarzy za jego plecami, przy których nawet bodyguardzi ojca wyglądali anemicznie, otaksowało ją wzrokiem, po czym wróciło do skanowania sali.

- Witam, panie Smythe-Peterwald - odpowiedziała Kris, starając się bardzo, by jej uśmiech nie wyglądał fałszywie. - Co sprowadza pana na Wardhaven?

- Och, tyle się wokół dzieje. Przyszłość

prawie da się wyczuć nosem. Tu jest realna siła, więc i ja tu jestem. Kiedy uda mi się przekonać twojego ojca, żeby odstąpił od tych bzdur na temat ograniczenia ekspansji ludzkości, będziemy mogli mocno chwycić całą Galaktykę.

- Ostatnim razem, gdy tego próbowaliśmy, skończyliśmy z mackami Iteeche zaciśniętymi na karkach - zabrzmiał znajomy głos za plecami Kris. Odwróciła się i ujrzała pradiadka Tordona. W galowym czerwono-granatowym mundurze podchodził do nich, patrząc na Peterwalda wzrokiem wypranym z wszelkich uczuć.

- Imperium Iteeche od sześćdziesięciu lat siedzi cicho jak mysz pod miotłą - zauważył komodor Sampson.

- Niektórzy twierdzą, że jest tylko przy-czajone - odparł „Kłopot”, pociągając łyk piwa. - Ich cesarz nigdy nie był takim zwolennikiem ekspansji jak my obecnie.

- Ale ludzkość musi się rozwijać - cicho powiedział Peterwald. - Nic nie powinno nas ograniczać. A już na pewno nie my sami.

„To był właśnie najważniejszy postulat partii ekspansjonistów. Wspaniała Ludzkość. Iteeche prawie zamienili to określenie na Wymarła Ludzkość” - pomyślała Kris. Nie odezwała się jednak.

- Tak - potwierdził generał. - Ekspansja

jest konieczna. Ale planując ją, musimy być przygotowani na to, co nas czeka po wykonaniu następnego kroku. Przynajmniej gotowi na tyle, na ile przewidujemy kłopoty. Galaktyka to całkiem spore miejsce, Petie, i Bóg jeden raczy wiedzieć co tam jeszcze spotkamy.

- A co ty o tym myślisz, Kris? - Peterwald z uśmiechem zwrócił się do dziewczyny.

- Galaktyka to bardzo interesujące miejsce, ale ja dopiero zaczynam się w niej poruszać - odpowiedziała tak, jak ją nauczono. Ojciec nie chciał widzieć żadnych niemiłych komentarzy w mediach na temat niestosownego zachowania członków swojej rodziny.

- Mówisz jak rozsądna młoda kobieta. - Wydawać by się mogło, że uśmiech Peterwalda stał się jeszcze promienniejszy.

- Nie najgorsze podejście - potwierdził Tordon.

- A swoją drogą, mój syn jest gdzieś w towarzystwie twojej mamy. Chyba jeszcze nie mieliście okazji się poznać. Mam nadzieję, że będzie okazja to naprawić.

- Faktycznie, nie miałam tej przyjemności.

- W takim razie czemu nie dziś?

- Oczywiście.

Biznesmen, ciągle uśmiechnięty, skierował się w stronę towarzystwa kobiet, wymieniając po

drodze uściski dłoni. Komodor Sampson zawrócił bez słowa i dołączył do innej grupy oficerów. Kris odwróciła się, by zaczerpnąć tchu.

- Słyszałem, że nieźle ci poszło - powiedział dziadek, wkładając rękę do kieszeni.

- Udało mi się przyprowadzić wszystkich w jednym kawałku, panie generale.

- Masz zamiar „generałować” swojemu dziadkowi?

- Dopóki oboje jesteście w mundurach w miejscu publicznym, tak, panie generale.

- Pieprzyć poprawność! - rozkazał stanowczym głosem, mrużąc jednocześnie oko.

- Jak bardzo jest źle? - spytała.

Stary żołnierz pomyślał chwilę, popatrzył na bąbelki w piwie, potem na Toma.

- Nie aż tak, żebyś żałował, że założyłaś mundur, młoda damo. Myślę, że nam, starym przykom, nadal pamiętającym, czym jest prawdziwa wojna, uda się powstrzymać zapominalskich i niedoinformowanych młodzieńców przed zrobieniem jakiejś głupoty. A przynajmniej mam taką nadzieję. Co pijesz?

- Tonik, dziadku.

- Nadal uważam, że twoim głównym problemem nie był alkohol, tylko te pastylki, które matka wpychała w ciebie całymi garściami, żebyś była grzeczną dziewczynką. Nie jesteś alkoholicz-



ką.

- W moim życiu jest sporo rzeczy, o których wolałabym nie wiedzieć. - Kris uśmiechnęła się na myśl o tym, jak delikatnie dziadek prześlizgnął się po problemie do dziś dręczącym ją po nocach.

- Panie i panowie! Czy mogę prosić o uwagę? - ogłoszenie sprawiło, że gwar przycichł tylko odrobinę.

- Dołączycie do nas? - zaproponował dziadzio „Kłopot”. - Oboje nosicie odpowiednie stroje, a ty, jeśli dobrze pamiętam, jesteś dziś naszą „dziewczynką z plakatu”.

- Jeśli nie będziesz miał nic przeciw temu, zostaniemy tutaj - odpowiedziała Kris, a Tommy przytaknął jej gorliwie.

- Boicie się kilku starych generałów?

- Z tych gwiazdek na pagonach [W odróżnieniu od oznaczeń polskich stopni wojskowych w armii Stanów Zjednoczonych gwiazdki noszą tylko generałowie (przyp. tłum.)] zebrałaby się niezła galaktyka.

- To także wasza galaktyka, dzieciaki. Któregoś dnia prawdopodobnie założycie własne konstelacje.

- Dziadku, jesteśmy tylko podporucznikami. Nie znamy wewnętrznych układów między wami i będziemy się tam dziwnie czuć.

- Żartujesz? Hej, stawiałaś czoła bandziom z ich karabinami i minami. Nie możesz bać się grupy staruszków. A może boicie się tylko nas dwóch? Bogiem a prawdą, masz pełne prawo starać się trzymać z dala od własnych krewnych.

- Ciebie to absolutnie nie dotyczy, dziadku.

Stary generał wziął ją pod ramię i poprowadził wokół sali. Tommy towarzyszył im z entuzjazmem statku holowanego na złomowisko. Przeszli przez tłum niezaczepiani przez nikogo. Ojciec wręczał właśnie pierwsze medale artystom i biurokratom. „Kłopot” odsunął dwóch trzygwiazdkowych generałów, by zrobić miejsce dla siebie i Kris przy boku szefa Sztabu Generalnego Ziemi. Młoda podporucznik, z uśmiechem przyklejonym do ust, siadła pomiędzy generałami. Tom wykorzystał okazję, by zaszyć się gdzieś w kącie.

- Generale Ho, to moja prawnuczka, podporucznik marynarki Longknife.

Zanim Kris uświadomiła sobie, że przecież jako córka premiera była w trudniejszych niż ta sytuacjach towarzyskich, przez głowę przebiegły jej szybkie myśli: „Jest bez czapki, ja też. Nie salutować, pod żadnym pozorem. To jest spotkanie towarzyskie. Jak jasna cholera towarzyskie”.

Wymienili formalne ukłony.

- W opinii wszystkich dobrze sobie pani poradziła.

- Zrobiłam tylko to, co każdy oficer zrobiłby na moim miejscu, panie generale.

- I tak proszę trzymać. Jednoczesne noszenie nazwiska Longknife i munduru nie jest łatwe. Prawda, Ray?

„Niech to diabli!” Drugi z pradziadków Kris wcisnął się między Ho i jakiegoś innego pięciogwiazdkowego generała. Tylko tego jej brakowało, spotkania rodzinnego. Wciąż próbowała sobie wyobrazić, co ma do roboty w tym wielogwiazdkowym towarzystwie, a teraz musiała sobie poradzić także z podziałami wewnątrz rodziny. „Cholera!”

- Jeśli przejdzie przez to, może dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy - zgodził się Ray.

Premier wręczał kolejne odznaczenia. W miarę przesuwania się w górę listy odznaczani także byli ludzie coraz ważniejsi dla polityka, co wyraźnie widać było w jego zachowaniu. Jednak postawa środowiska wojskowego, w którym znajdowała się Kris, powstrzymała ją od pójścia w ślady ojca. Wojskowi zostali zaproszeni przez swych politycznych zwierzchników, więc przyszli. Stali milczący, ze skrzyżowanymi ramionami. Cisi, jak ustawione w szyku bojowym sfinksy, mierzyli się wzrokiem z wysokimi przedstawicielami społeczeństwa, które ich nie rozumiało, z rzadka potrzebowało i w zasadzie ignorowało.

Gdy ojciec doszedł do końca bezlitośnie długiej listy, ogłosił, że ostatnie odznaczenie wręczane będzie nie przez niego, lecz przez generała Ho. Faktycznie, Kris służyła w Marynarce Wojennej Stowarzyszenia, jednak „Tajfun” został zbudowany i obsadzony przez załogę na Wardhaven. Pominięcie szefa Sztabu Wardhaven, generała McMorrisona, było kolejną lekcją, którą premier szykował dla swych wojowników. Lekcją, w której udzielaniu Kris nie zamierzała mu pomagać.

Generał Ho uniósł brwi z wyraźną dezaprobatą. To samo uczucie malowało się na twarzach otaczających go generałów i admirałów. Jednak bez wahania podszedł do podium. Mistrz ceremonii wręczył mu akt nadania odznaczenia, a następnie podał ojcu Kris sam medal. Dziewczyna spędziła ostatnią godzinę, modląc się do wszystkich bogów biurokratycznego panteonu, by wręczenie tego medalu rodzina zostawiła wojskowym, którzy wiedzieli, jak to zrobić. Bez rezultatu. Matka kręciła się na podium, szumiąc swą suknią. Wszystko to nagle zaczęło przeradzać się w krwawy polityczny cyrk. Na szczęście generał Ho nie bał się cyrków, krwawych, politycznych czy jakichkolwiek innych.

- Poruczniku Longknife, przed front szyku marsz! - warknął komendę.

Poprzednio odznaczeni podchodzili do po-

dium, śmiejąc się, rozmawiając, machając do przyjaciół, czy nawet pokrzykując coś. Kris wyszła sprężystym krokiem defiladowym, jej instruktor musztry powinien być dumny z wykonanej pracy.

Generał odczytał akt nadania czystym, wyraźnym głosem i zakończył:

- Pani zachowanie w obliczu aktu przemo-  
cy i ognia nieprzyjaciela świadczy doskonale o pa-  
ni i marynarce wojennej, w której pani służy.

Kris mrugnęła z niedowierzaniem, w prze-  
szłości takie zwroty kończyły się: „Marynarce Wo-  
jennej Stowarzyszenia Ludzkości, w której pani  
służy”. Generał wręczył jej dokument. Za jej ple-  
cami wysocy oficerowie stali w zdumieniu, jak  
wirtualny krzyk sprzeciwu w stosunku do tego, co  
zostało pominięte.

Odnaczona spojrzała na wręczony doku-  
ment. Czarno na białym napisane zostało trady-  
cyjne sformułowanie. Generał Ho pominął je. Czy  
to był jego sposób na przekazanie kolegom, że  
zielono-błękitny sztandar właśnie został opuszczony?

Cywilie oczywiście nie zauważyli niczego.  
Stali wokół dziewczyny, jej matki i ojca.

Matka przypinała medal.

- No, kochanie, czy teraz gdy już masz  
swoją błyskotkę, możesz wrócić do domu? - szep-  
nęła, gdy udało jej się wpiąć szpilkę w klapę mary-

narki. – Jeśli zrobimy miniaturkę, będzie wyglądać pięknie jako wisiołek. Znam jubilera, który po umieszczeniu wokoło kilku diamentów zrobi z tego prawdziwe cacko.

– Ma-mo – Kris również szepnęła, celowo przeciągając słowo, jak to robią zbuntowane przeciw światu dorosłych czternastolatki. – Nie można tak po prostu odejść z marynarki. Nazywa się to dezercja, bunt i tak dalej.

– Och, tata mówił mi dziś rano o cięciach finansowych. Zwalniają marynarzy do domu, prawda?

– Owszem, mammo, ale ja jestem oficerem. Jestem na połowie pensji, a po przepustce mam się zameldować do służby.

– Dla mnie brzmi to jak...

– Panie, uśmiech do aparatu proszę – polecił ojciec, sam już uśmiechnięty. Obie kobiety odruchowo posłuchały.

Część oficjalna zakończyła się. Obecni wrócili do przerwanych rozmów. Matka i ojciec znów zaczęli ścisnąć dłonie.

Generał Ho tłumaczył coś pozostałym generałom. Kris obserwowała to z boku. Spodziewała się, że będzie zaczepiana przez znajomych, na szczęście tak się nie stało i została sama z Tomem. Rozdźwięk pomiędzy cywilną a wojskową częścią uroczystości był tak wielki jak droga, któ-

rą przedstawiciele obu środowisk przeszli, by się tu znaleźć. Cywile budowali, dokonywali odkryć, wszystko dla chwały ludzkości i... ich własnej. Podporucznik Longknife prawie zginęła, aby żyć mogła mała dziewczynka.

Kris potrząsnęła głową.

- Generał Ho mruknął coś, schodząc ze sceny. Coś na temat bycia tak bardzo z tyłu, że nawet nie zdawali sobie sprawy, jaka gra się toczy. Nie zapytałam go, kogo ma na myśli, publiczność czy generałów, ale wydaje mi się, że wiem, co chciał powiedzieć.

Tom rozejrzał się po sali.

- Myślę, że to pasuje do jednych i drugich.

Kris patrzyła, jak jej obaj pradziadkowie krążą, próbując opanować wyczuwalne napięcie spowodowane prawdopodobnym rozpadem Stowarzyszenia Ludzkości, łagodząc napięcie pomiędzy dwoma frakcjami: jedną z jej niemal religijnym przekonaniem, że ludzkość powinna stanowić jedność, drugą głoszącą, że każdy ma prawo iść własną drogą. Nawet wewnątrz tych grup dokonywał się podział. Jedni grali dla zysków i splendoru, drudzy zmierzali ku poświęceniu, potędze i chwale. Gra wewnątrz gry. Kris rozejrzała się. Ile jeszcze gier wytrzyma Stowarzyszenie?

Z zamyślenia wyrwało ją jednoczesne zbliżanie się obu pradziadków z jednej strony oraz

matki z jakimś młodzieńcem z drugiej. Dziewczyna miała nadzieję, że matka zrezygnuje. Generał Tordon był przecież ostatnią osobą w Galaktyce, z którą chciałyby rozmawiać. Niestety, nadzieje Kris okazały się płonne. Z rezygnacją poddała się nadciągającej rodzinnej katastrofie.

- Kris, chciałabym przedstawić ci Henry'ego Smythe-Peterwalda Trzynastego. Naprawdę musicie się poznać. Macie tyle wspólnego ze sobą.

„Jasne, a jak go poślubię, to może teść przestanie próbować mnie zabić”.

Widok twardych twarzy obu pradziadków, gdy stanęli u boku Kris, i sposób, w jaki patrzyli na młodego człowieka, pozostawiły to przypuszczenie bez jasnej odpowiedzi.

Młody Peterwald uśmiechał się promiennie. Był mniej więcej w wieku Kris i miał ten wygląd dopracowanej w każdym szczególe rzeźby, który rodzice z nadmiarem pieniędzy i przerośniętym ego nadawali swoim dzieciom w swobodnych manipulacjach genetycznych. Kris ucisnęła podaną dłoń, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, jednocześnie odezwały się komunikatory jej i Toma. Spojrzała na nadgarstek.

„Podwyższona gotowość. Urlop zostaje przerwany. Sytuacja wyjątkowa na Olimpiach”.

„To się nazywa wybawienie!” - pomyślała,



a głośno powiedziała:

- Olimpia, gdzie to jest?

Zanim Nelly zdążyła odpowiedzieć, odezwał się „Kłopot”:

- A... znów się poszwendasz, dzieciaku.

Nowa kolonia, założona niecałe pięćdziesiąt lat temu. Nastąpił wybuch wulkanu na przeciwnej od zamieszkałej półkuli.

- No to mieli szczęście.

- Nie całkiem. Ogromny wybuch. Wywalił do atmosfery tyle popiołu i dymu, że na planecie nie było w tym roku lata. A to spowodowało nieurodzaj. Dodaj do tego brak połowów oceanicznych i przysłowiowy czterdziestodniowy deszcz.

- Cieszyliby się, mając tyle szczęścia - wtrącił się pradziadek Ray. - Ale od dwunastu miesięcy deszcz pada nieprzerwanie. Wygląda na to, młoda damo, że będziesz miała pełne ręce roboty. Głód, powódź i całkowity upadek poszanowania dla władz cywilnych. Bandy dobrze uzbrojonych i zdesperowanych typów walczące o wszystko, co ma jakąś wartość. - Ray uśmiechnął się do „Kłopot”. - Wygląda na to, że dzieciak fajnie trafił.

- Przypomina mi ciebie, gdy byłeś młody - zaśmiał się „Kłopot”.

Mama i Peterwald wycofali się, a Kris pomimo złych wieści poczuła, jakby z jej barków

zdjęto ogromny ciężar.

## ROZDZIAŁ 9

Stary porucznik w Studium Oficerskim ostrzegał podchorążych:

- Przeniesienie służbowe stwarza największe zagrożenie wywalenia do cywila. I nie śmiejcie się, to naprawdę piekło. Jeszcze gorzej, jeśli w grupie przenoszonych będziecie najstarsi stopniem.

Jak dotąd Kris była przenoszona tylko raz, ale wtedy najstarszy stopniem był komandor Thorpe. Podczas tamtej podróży dziewczyna spędziła większość czasu na wyszukiwaniu w sieci wszelkich możliwych informacji na temat korwet klasy „Kamikadze”.

Dziś bardzo żałowała, że nie robiła notatek. Podczas tej podróży to ona dowodziła.

W sumie podróżowało czworo podporuczników. Jednak Kris uzyskała lepszą ocenę końcową od Toma, głównie za sprawą umiejętności strzeleckich, a pozostała dwójka ukończyła studium kilka tygodni później niż oni. Dziewczyna sprawdziła to w dokumentach, gdyż odkąd para przybyła na pokład, opuszczała sąsiadujące ze sobą pokoje jedynie na posiłki.

- Bardzo wątpię, czy drzwi pomiędzy ich pokojami też są tak ciągle zamknięte - ironizował Tommy.

Kontakty między Kris i Tommym ograniczały się do wspólnego załatwiania spraw służbowych. Najważniejszą z nich było dopilnowanie wykonania wszystkich szczepień niezbędnych na Olimpji. Niestety, przepisy ciągle się zmieniały ze względu na pogarszające się stale warunki sanitarno-epidemiologiczne panujące na planecie.

- Tyfus? - spytał Tommy. - Myślałem, że pozbyliśmy się go kilkaset lat temu.

- Też tak myślałam, ale na Olimpji znalazł się jakiś nosiciel, ludzie zaczęli chorować.

Oczekiwanie na zamówiony doraźnie transport szczepionek opóźniało odlot ich statku „Lady Hesperis”. Szczepionki przyszły dosłownie na minuty przed upływem czwartego i tym razem ostatecznego terminu zakończenia załadunku, wyznaczonego przez trzeciego oficera. Kris wcale nie była pewna, czy nie wolałaby się spóźnić.

Oboje z Tomem mieli poważne wątpliwości, czy „Hussy” była kiedykolwiek dobrym statkiem. Pomimo że nikt z załogi nie powiedział tego wprost, Kris bardzo szybko nauczyła się, że do snu należy przypinać się do łóżka pasami bezpieczeństwa, a wszystkie luźne przedmioty najlepiej schować do zamykanych pojemników. Przyśpieszenie statku zmieniało się gwałtownie od jednego do trzech g, zupełnie bez uprzedzenia.

Cywilna załoga podchodziła do wojsko-

wych pasażerów z ironią i drwiną, traktując ich bardziej jak ciekawe okazy w zoo niż żołnierzy lecących z pomocą ludziom w potrzebie.

Przejrzenie akt tymczasowych podkomendnych pozwoliło Kris odpowiedzieć sobie na pytanie, czemu tak trudno przychodziło im dostosowanie do nowych warunków. Dla wielu była to pierwsza podróż kosmiczna. Zdecydowana większość niedawno ukończyła szkolenie podstawowe. Każde założenie munduru było dla nich ogromnym stresem. Podoficerowie również pozostawiali wiele do życzenia. Przykładem mogła być sytuacja, w której Kris nakazała matowi przeprowadzenie zajęć z musztry dla najbardziej zagubionych rekrutów. Odpowiedział: „Tak jest”, a następnie, gdy tylko Kris odeszła, udał się do baru, pozostawiając rekrutów samym sobie.

Ten przypadek zmusił młodą podporucznik do uważniejszego przestudiowania akt osobowych. Z wyświetlaczem w dłoni zapukała do Tommyego.

- Wejdz.
- Widziałeś naszych ludzi?
- Smutny widok, prawda?
- Nie, mam na myśli ich teczki personalne.

Mamy tylko dwóch matów i czworo starszych matów. Wszyscy zostali ściągnięci z kursów. Założę się o roczne pobory, że nigdy nie byli wysłani poza

rodzinną planetę.

- Czyżbyś podejrzewała, że wyprawa na Olimpię to rodzaj karnej kompanii? W znaczeniu „Przemyśl swoje błędy albo zbieraj manatki”? - zapytał Tommy, patrząc nad wyświetlaczem. - A może od razu „Zbieraj manatki”?

Kris nie spytała, co sądzi o powodach, dla których oni także znaleźli się w tej ekipie. Prawdopodobnie tata próbował nowego sposobu, by wskazać jej miejsce, w którym chciał ją widzieć. „O, niedoczekanie pańskie, panie premierze!”

- Wiesz, że w systemie Olimpii znajduje się siedem punktów przerzutowych? - spytał Tom po dłuższej przerwie.

- Nie - odpowiedziała i uważniej przyjrzała się mapie systemu.

- Rzecz w tym, że z tych siedmiu punktów możesz dostać się bardzo szybko praktycznie w dowolne miejsce przestrzeni skolonizowanej przez ludzi.

- Czyli jest to doskonały punkt handlowy.

- Dlaczego więc w takie ważne miejsce wysyłają zbieraninę z całej marynarki?

Kris zastanowiła się przez chwilę.

- Nelly, jaki jest podział sił i środków na lądzie?

Odpowiedź zajęła komputerowi osobistemu nieco czasu.

- Przepraszam, ale raporty dzienne nie pokrywają się. Są w nich różnice niemożliwe do wytłumaczenia.

Tommy uniósł ze zdziwienia brwi. Oboje z Kris doskonale wiedzieli, że marynarka wojenna traktuje wszystkie raporty, a szczególnie raporty dzienne, bardzo poważnie.

- Kto tam dowodzi?

- Podpułkownik James T. Hancock, Korpus Piechoty Morskiej Stowarzyszenia Ludzkości - odpowiedziała Nelly.

- On - westchnął Tommy.

- Musi ich być dwóch - zapewniła Kris, ale nie kazała Nelly potwierdzać tego. Uznała, że sprawdzenie innych danych ma priorytet. Jako pierwszy kazała sobie wyświetlić schemat organizacyjny Misje humanitarne, takie jak ta, nie miały stałej struktury i organizacji. Dowódcom pozostawiano dużą swobodę. Jednak zwyczajowo wysyłane były oddziały od batalionu do pułku, w zależności od potrzeb. Siły na Olimpii nie przypominały nawet batalionu. Znajdowało się tam około dwustu osób plus minus trzydzieści, co do których niejasne były raporty dzienne. Schemat organizacyjny także wyglądał nieco dziwnie.

- Łączność, medycyna, rozpoznanie, finanse, zaopatrzenie, żandarmeria - wyliczał Tommy - wszyscy bezpośrednio podlegają dowódcy. I

ogromna sekcja administracji, w której znajduje się większość personelu.

- Zauważyłeś, że czego brakuje? - spytała Kris.

Przyjaciel jeszcze raz z uwagą spojrział na schemat.

- Same ogony, zero zębów.

- No właśnie, samo zabezpieczenie i żadnych pododdziałów bojowych.

- Może wszyscy organizacyjnie umieszczeni są w administracji.

- Pożyjemy, zobaczymy - westchnęła Kris.

Ojciec mógł mieć rację, dzisiejsze problemy całkowicie ją zajmowały. Może kłopoty dnia jutrzejszego rozwiążą się samodzielnie, zanim ona będzie musiała się nimi zająć...

Czyżby tata faktycznie był optymistą?

\* \* \*

Dwa dni później Kris po raz pierwszy zobaczyła Olimpię i ogrom zniszczeń na jej powierzchni. Wyspa o długości trzydziestu i szerokości kilkunastu kilometrów przestała istnieć w ogromnym wybuchu. Pomijając zanieczyszczenia atmosferyczne, widoczne były linie sztormów formujących się nad oceanem i zbliżających w stronę lądu. Za linią gór widać było resztki życia.

- Pani odpowiada za tę bandę demolującą mój statek?



Kris odwróciła się i ujrzała brzuchatego mężczyznę z kilkudniowym zarostem, trzymającego w dłoni coś, co przypominało kiedyś kapelusz. Kroczył ku niej z wysiłkiem.

- Wydaje mi się, że jestem najstarsza stopniem.

- Proszę tu podpisać.

- A to jest...

- Potwierdzenie, że zabieram pięćdziesięciu sześciu podoficerów i szeregowych oraz czworo oficerów do Sztabu Kryzysowego na Olimpi. Zgodnie z kontraktem.

- Nelly, czy mamy pięćdziesięciu sześciu podoficerów i szeregowych? - Kris przestudiowała wprawdzie akta, ale nigdy ich nie liczyła.

- Tak.

- Wahadłowiec jest załadowany - zameldował Tom przez radio.

- Czy na pokładzie jest pięćdziesięciu sześciu podoficerów i szeregowych?

- Nie wiem.

- To ich policz.

Po dłuższej chwili Tommy odezwał się ponownie.

- Troje oficerów plus pięćdziesięciu sześciu podoficerów i szeregowych oczekuje na pani przybycie, pani porucznik.

- Już pędzę.

Podpisała dokumenty.

- Proszę o kopię dla mnie.

Kapitan podał jej kartkę papieru samokopiującego.

- Dziękuję, kapitanie, przy odrobinie szczęścia to będzie nasza pierwsza i ostatnia wspólna podróż.

Kris dopięła worek. Regulaminowym ubiorem w dzień, w nocy i ogólnie podczas całej misji był mundur połowy. Stary chorąży na Wardhaven, który udzielał im instruktażu, podkreślał bardzo mocno, że podczas wykonywania tego zadania również oficerowie mogą ciężko pracować fizycznie. Dziewczyna zaczynała odnosić wrażenie, że okazji ku temu nie będzie brakować.

Podróż wahadłowcem nie zaliczała się do przyjemnych. I stawała się coraz gorsza, w miarę jak rekruci pozbywali się zjedzonego obiadu. Kris miała ochotę odpiąć pasy i zastąpić pilota. Jednak powstrzymywała ją myśl, że pilotowanie śmigła czy nawet LLS-a to jedno, a stuosobowy wahadłowiec to co innego.

W końcu wylądowali. Samo przyziemienie było doprawdy szokującym przeżyciem. Miał na to wpływ fatalny stan pasa startowego, w którego betonowej nawierzchni ziały ogromne wyrwy.

- Czy ci ludzie nie mają za grosz wstydu?

- przycinał jakiś rekrut.

- Na Hardly's Heaven nikt nie doprowadziłby betonu do takiego stanu.

- Po roku kwaśnych deszczów wasz beton mógłby już nie być taki gładziutki - rzucił przez ramię jeden z miejscowych pracowników rozładowujących wahadłowiec.

- Miejscowi chyba nie mają poczucia humoru - skonstatował Tommy.

- Spłynęło razem z farbą z tych budynków.

Pomiędzy czerwonymi ceglami na budynku terminala majaczyły resztki malowania. Kiedyś budynek zapewne był błękitno-zielono-pomarańczowy. Obecnie dawał się zauważyć głównie brud.

Podjechały dwa autobusy, ale ich drzwi pozostały zamknięte, dopóki nie ustał strumień wody spływający z dachów prosto na progi pojazdów.

Kilkudziesięciu marines czekających w budynku rzuciło się w dzikim sprincie w stronę autobusów. Nie było w tym za grosz porządku, tylko szalona gonitwa. Kilka obscenicznych gestów i okrzyków stanowiło jedyną formę uwagi, jaką opuszczający Olimpię poświęcili nowo przybyłym następcom.

Tom porozumiewawczo spojrział na Kris.

Gdy pojazdy opróżniły się przy wahadłowcu, jako pierwsza wsiadła do nich trzymająca się ciągle razem para oficerów.

- Unikają mnie czy ignorują? - mruknęła

Kris, nadzorująca załadunek podległych jej żołnierzy.

- Może zauważyli, że przebywanie w pobliżu ciebie grozi śmiercią? - Uśmiech Toma tylko częściowo łagodził sens jego słów.

- A ty?

- Mnie pomagają krasnoludki.

- A więc ty i twoje krasnoludki obejmujecie dowodzenie w drugim autobusie. Ja zajmę się pierwszym i primadonnami. Czy nikt im nigdy nie mówił, że starsi stopniem chodzą na końcu?

- Ktokolwiek wymyślił tę zasadę, nie spędził wiele czasu na Olimpii.

Tom pobiegł do drugiego pojazdu, Kris weszła do pierwszego. Okazało się, że jest on przewidziany na czterdziestu dziewięciu pasażerów, gdy tymczasem wewnątrz było pięćdziesięciu jeden. Młody rekrut z paskudnie połamanym nosem zaoferował jej miejsce. Matka lub ojciec przyjęliby je bez wahania, ale Kris jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie dziadzia „Kłopoty” robiącego to samo. Stała więc podczas całej piętnastominutowej podróży.

Miasto wokół wyglądało podobnie jak port. W drogach było więcej dziur niż asfaltu, budynki nosiły ślady ciągłego szturmowania. Większość okien była wybita, gdzieś z budynku znikło całe piętro. Ludzie snuli się przygarbieni. W

miarę posuwania się naprzód ekipa Kris także stała się coraz bardziej milcząca.

Wjechali na teren bazy. Rdzewiejący drut kolczasty oddzielał ją od otaczających budynków. Na prawo znajdowało się coś, co kiedyś chyba było biurem. Na sklejce zastępującej okno namalowano zielono-błękitną flagę Stowarzyszenia. Za zabagnionym parkiem wznosiły się dwa hotele, cztero- i dziesięcioletni.

Kierowca zażądał, by jak najszybciej opuścili autobus, gdyż czekały go inne kursy. Kris wątpiła w to, ale kierowcy byli cywilami, a jej podwładni i tak przyzwyczajeni byli do pośpiechu. Niestety, w tym wypadku znaczyło to ponowne znalezienie się na deszczu. Ciężarówka, która wiozła ich bagaże, zatrzymała się tuż obok. Dwaj cywile stanowiący obsługę, jakby złośliwie, zaczęli wyrzucać worki podróżne prosto w największe kałuże.

- Dobrze - rozkazała Kris. - Uformujcie linię do podawania bagażu. Ty, ty i ty, pomóżcie tym cywilom przy rozładunku. Pozostali układają worki w suchym miejscu.

Pomogło. Bagaże zaczęto układać tak, żeby można było odczytać nazwisko właściciela. Wyczytywanie na głos pomagało Kris zapamiętać nazwiska podwładnych.

- Ktoś tu dowodzi? - szepnął Tommy.

Odpowiedź dziewczyny uprzedzona została ruchem, który dostrzegła kątem oka.

Drzwi budynku administracji otworzyły się. Wszedł z nich oficer marines. Wyprężony jak struna, z mapnikiem na biodrze nie pozostawiał żadnych wątpliwości, kto jest szefem. Spojrzenie spode łba, którym obdarzył nowych podwładnych, także mówiło jednoznacznie, jakie ma o nich zdanie.

- Baaa-czność! - krzyknęła Kris.

- Kto tym dowodzi? - zabrzmiało to bardziej jak wyzwanie niż pytanie.

- Ja, panie pułkowniku - odpowiedziała Kris, nie wahając się przed przyjęciem odpowiedzialności.

- Ja to w wojsku dupa. Czyli kto dowodzi?

- Podporucznik Longknife, panie pułkowniku.

- W porządku.

Przez chwilę spoglądał na nią bez szczególnego zainteresowania, po czym odwrócił się.

- Proszę podzielić pododdział na dwie grupy, poruczniku.

Proste polecenie, które jednak w żaden sposób nie mogło zostać poprawnie wykonane. Zgodnie z wszelkimi świętymi w marynarce kanonami Kris powinna teraz nakazać podoficerom sformowanie dwóch grup. Ale Kris dysponowała

jedynie młodymi matami, którzy przez cały czas wykazywali zerową inicjatywę. Jedynym sprzymierzeńcem mógł okazać się Tommy.

Co powiedział dziadek tego ranka, gdy zabierał ją na pierwszy lot, bez uzgodnienia z rodzicami?

- Jeśli wiesz, że zostaniesz opieprzona, zarówno kiedy coś zrobisz, jak i wtedy, gdy tego nie zrobisz, to rób to i miej wszystko gdzieś.

Odwróciła się do Toma.

- Poruczniku Lien, proszę sformować szyk z obsady pańskiego autobusu.

Zasalutował.

- Tak jest, pani porucznik.

Wykonał energiczny w tył zwrot i wdepnął w ogromną dziurę. Na szczęście utrzymał równowagę, odmaszerowując.

Kris odwróciła się ku grupie marines i marynarzy stojącej przed nią.

- Obsada mojego autobusu, w dwuszeregu, frontem do budynku, prawe skrzydło na wysokości drzwi, ZBIÓRKA! Równaj w prawo!

Znajome komendy podziały nawet na najbardziej wystraszonego i zagubionego rekruta.

Dwadzieścia metrów dalej grupa Toma wykonywała podobne manewry.

W zadziwiająco krótkim czasie niezorganizowana banda zamieniła się w dwie wojskowe

formacje. Coraz bardziej przemoczone i zziębnięte, ale jednak formacje.

Pozostała dwójka podporuczników przyglądała się temu, stojąc pod wiatą, jak gdyby było to przeznaczone dla nich przedstawienie. Idąc za przykładem Hancocka, Kris zignorowała ich, salutując i meldując:

- Panie pułkowniku, pododdziały sformowane. Wszyscy nowo przybyli obecni.

Podpułkownik odwrócił się, nadal z marsem na twarzy.

- Ma pani listę pokładową, poruczniku?

Sięgnęła do kieszeni i podała mu wydruk. Oczywiście mogła przesłać ją ze swojego komputera na jego wyświetlacz, ale pułkownik wybrał staroświecką metodę.

Oficer wziął podany dokument i schował do kieszeni.

- Witam w Bazie Marines w Port Athens. Nazywam się podpułkownik Hancock, a to jedyne powitanie i podziękowanie, jakie usłyszycie. Ci z was, którzy wstąpili do wojska, żeby czynić dobro, niech się dobrze rozejrzą. Podoficerom i szeregowym wydane zostanie oporządzenie i broń długa. Macie ją nosić na służbie i wewnątrz bazy. Nie wolno wam zabierać jej poza bazę. Oficerowie - wyraz dezaprobaty na jego twarzy stał się jeszcze wyraźniejszy - także dostaną oporządzenie.



nie i broń boczną. Jeśli będziecie mądrzy, pobierzecie także broń długą. Jeśli nie wiecie, jak jej używać, nauczcie się. Odesłałem stąd trzy osoby. Jak dotąd jedyny przypadek użycia broni dotyczył młodej panienki, której udało się postrzelić miejscowego, zresztą z jego własnego pistoletu. Ona twierdzi, że to była samoobrona. On ma świadków, że było inaczej. Dziewczyna odpowie przed sądem cywilnym, jako że stało się to w czasie wolnym i poza bazą. Moja rada dla was, dziewczęta i chłopcy, brzmi: zostańcie w bazie i potraktujcie cały swój czas jako mój czas. Jeśli się do niej dostosujecie, może uda wam się uczynić czas spędzony tutaj znośnym.

Pułkownik odwrócił się do Kris.

- Podporucznik Longknife, prawda? Z tych Longknife'ów?

Kris odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Tak, panie pułkowniku.

Nie dodała pozdrowień od generała Tordona. Dziadek na pewno nie chciał pozdrawiać żadnego pułkownika Hancocka, a już na pewno nie tego pułkownika Hancocka.

- W porządku, poruczniku, proszę zabrać swoje kociarstwo do administracji, a potem do magazynów po sprzęt. Jeśli się pośpieszą, może zdążą coś zjeść, zanim stołówka zostanie zamknięta na noc. Administracja przydzieli im racje

żywnościowe i wyznaczę pracę. Radzę pani też zdeponować całą gotówkę i karty kredytowe. Nieszenie ich tutaj może kosztować życie. – Następnie zwrócił się do wszystkich oficerów: – Proszę o zameldowanie się u mnie, gdy skończycie.

– Tak jest – zaszalutowała Kris.

Machnięcie ręką, które otrzymała w odpowiedzi, można było uznać za odganianie muchy.

Kris wróciła do swoich podwładnych. Tutejszy sposób dowodzenia wyraźnie ich zaskoczył. Ale to nie był ich problem. Deszcz padał coraz mocniej, a Kris wyglądała na jedynego oficera choć trochę się nimi przejmującego.

– Podoficerowie, wystąp! Rozdzielcie te worki między właścicieli.

Żołnierze, którzy wzięli swój bagaż, przynosili go przed budynek administracji. Następnie przeszli do magazynów sprzętu i uzbrojenia. Bez większych kłopotów pobrali wszystko i udali się do swych kwater, a potem na kolację. Oczywiście przemokli przy tym do suchej nitki.

Jak zwykle pozostała dwójka oficerów miała szczęście. Ich nazwiska wyczytane zostały na samym początku, więc jako pierwsi załatwili sprawy i znikli w budynku mieszkalnym. Kris także znajdowała się na początku listy, jednak tylko sprawdziła, gdzie leżą jej worki, i pozostała cały czas z podwładnymi. Tom towarzyszył jej. Gdy za-

łatwione zostały wszystkie formalności związane z podoficerami i szeregowymi, młodzi oficerowie, całkowicie przemoczeni, sami udali się do sekcji administracyjnej.

- Musieliśmy to wszystko robić? - spytał Tommy.

- Dziadzio „Kłopot” wyparłby się mnie, gdyby się dowiedział, że zostawiłam ludzi samych.

- Nikt z mojej rodziny nie miałby pretensji. Co powiesz na to, żebyśmy następnym razem rzucili monetą? Orzeł, stosujemy się do zasad mojej rodziny, reszka - twojej.

- Spóźniliście się. - Potężnie zbudowany podoficer w administracji był wyraźnie podirytowany. - Przez was nie zdążę na kolację.

- I tak trzeba było poczekać na resztę.

- Nie, czekam tylko na oficerów. Pułkownik wyraźnie powiedział, że mam dopilnować, żeby oficerowie dostali wszystko, czego potrzebują, a potem mam wolne.

- Myślałem, że pułkownik sugerował, żebyśmy pracowali od świtu do nocy. Ze względów bezpieczeństwa, oczywiście - rzucił Tom.

- A kto tutaj zamierza żyć bezpiecznie? Na zewnątrz jest mnóstwo zdesperowanych kobiet. Zadziwiające, co można dostać za odrobinę kasy. - Chorąży spojrział w wypełniane papiery. - A, prawda, pani Longknife. Was zawsze stać na

wszystko.

Kris podpisała papiery, ale wbrew radom pułkownika zatrzymała gotówkę.

- Gdzie znajdę pomocnika dowódcy do spraw podoficerów, następnie zbrojownię i jadalnię?

- Patrzy pani na najbliższego odpowiednika pomocnika dowódcy, pani porucznik. My, podoficerskie barachło, nie dostajemy połowy pensji podczas tego zamieszania. Nikt, kto nie wkurzył kogoś ważnego, nie przyjeżdża tutaj dobrowolnie.

- A pan? - spytała Kris.

Zignorował pytanie.

- Zbrojownia jest po drugiej stronie placu, te niskie budynki. Jadalnia w tym wysokim. Zamykają za pół godziny, więc czym prędzej biorę dupę w troki i tam właśnie się udaję.

- Dziękuję za wskazówki. - Kris spojrzała w rozkazy. - Podlegam bezpośrednio pułkownikowi Hancockowi?

- Hancock lubi mieć kontrolę nad wszystkim. Poza tym brakuje mu oficerów. Ma tylko kilku naiwnych naprawiaczy świata. Większość normalnych oficerów woli połowę wypłaty niż służbę tutaj. Wkrótce się pani przekona. A teraz znikam. Zgaście światło, jak skończycie.

Tom wsunął swoje papiery do kieszeni munduru.

- Jak miło jest pracować wśród szczęśliwych ludzi.

Kris podniosła swój worek.

- Pewnie tak. Jeśli o mnie chodzi, najpierw idę po broń, a potem zaryzykuję zjedzenie czegoś.

Pobrała z magazynu wyposażenie oraz broń krótką i długą, zamknęła to wszystko w swoim pokoju i pobiegła na stołówkę. Zdążyła pięć minut przed zamknięciem. To, co dostała na tacy, na pewno nie wygrałoby żadnego konkursu kulinarnego, ale przynajmniej było gorące i wypełniało żołądek. Ledwie zdążyli z Tomem machnąć parę razy widelcami, gdy odezwały się ich bipery. Kris dała Tomowi znak, by kontynuowali jedzenie. Domyślała się, o co chodzi.

- Meldują się podporucznicy Longknife i Lien.

- Co, do diabła, was zatrzymuje? - warknął pułkownik.

- Rozkoszujemy się wspaniałym, pożywным daniem na stołówce, panie pułkowniku. Dokładnie takim, jakiego potrzebują dorastające dziewczynki.

- Mówiłem wam, że macie się zameldować, gdy tylko skończycie.

Tom zaczął wstawać. Kris gestem nakazała mu, by usiadł.

- To właśnie zamierzałam zrobić, panie

pułkownika. Ale najpierw musiałam nadzorować podwładnych podczas załatwiania spraw administracyjnych, pobierania broni i sprzętu, następnie sama musiałam zrobić to samo, a jeszcze potem magazynowałam wszystkie moje skarby w pokoju. A teraz właśnie jem swój pierwszy posiłek w tej bazie. Będziemy u pana za pół godziny.

- Co macie zamiar robić tyle czasu? Spacerować w świetle księżyca?

- To nie jest zły pomysł, panie pułkowniku. Od dwóch minut nie pada.

Oczy Toma mało nie wyszły z orbit. Kris uśmiechnęła się do niego.

- Longknife, zbieraj dupę i za piętnaście minut melduj się u mnie.

- Zrozumiałam, pułkowniku, do zobaczenia za kwadrans. - Kris rozłączyła się i spokojnie sięgnęła po kolejny kęs.

- Możemy tam być za pięć minut - westchnął Tommy.

- I dodać zawał serca do naszych kłopotów? Nie, mam zamiar zjeść to spokojnie.

- Jak przystało na pannę Longknife?

Kris przez chwilę studiowała wygląd tacy, żując niezidentyfikowany pokarm.

- Nie wiem. Może zbyt pozwalam prowadzić się opowieściom dziadka Tordona. Ale wiesz, Tom, jeśli trafił ci się bilet do piekła, masz

dwie opcje. Możesz uciekać przed demonami lub na nich jeździć. Jakie jest twoje zdanie?

- Kto walczy z demonami, powinien mieć u boku smoka.

- To irlandzkie przysłowie?

- Nie, moje własne. Rezultat spędzania zbyt długiego czasu w twoim towarzystwie.

Kris zapukała do pokoju pułkownika dokładnie piętnaście minut po rozmowie. Przełożony siedział z nogami na biurku i czytał. Oboje z Tomem weszli i stanęli w postawie zasadniczej na wprost butów pułkownika. Hancock podniósł wzrok, spojrzął na zegar na ścianie i wrócił do czytania.

- Trochę wam to zajęło.

- Tak jest, panie pułkowniku - odpowiedziała Kris.

- W magazynach panuje burdel - powiedział, nie odrywając wzroku od wyświetlacza. - Zajmijcie się tym. Z jakichś powodów wydajemy głodującym jedynie worki ryżu i fasoli. Jestem pewien, że gdzieś jest lepsze jedzenie. Znajdźcie je.

- Tak jest - odpowiedzieli razem.

Po chwili krępującej ciszy zasalutowali i wyszli.

- O co tu chodzi? - Tom powtórzył zadane wcześniej pytanie.

- To gra - odpowiedziała dziewczyna.

- Znasz wyniki?

- Myślę, że prowadzimy na punkty. Gdzie jest magazyn?

Nelly nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Udali się więc na poszukiwanie dyżurnych. W pokoju sąsiadującym z biurem dowódcy znaleźli... dwóch marynarzy śpiących w fotelach przy biurku.

- Gdzie jest magazyn? - spytała Kris. Dwukrotnie.

Jeden z marynarzy obudził się, rozejrzał, zobaczył Kris i podał jej kartkę. Był to plan miasta. Dziewczyna obróciła go powoli, dopasowując do rzeczywistego położenia ulic.

- Wygląda na to, że jakieś dwie przecznice stąd.

- Idziecie tam w nocy? - zapytał dyżurny, poprawiając się w fotelu.

- Taki mamy plan.

- Weźcie broń.

Tom i Kris wyszli, pozostawiając dyżurnych pogrążonych w sennych marzeniach.

- Niechluje. Myślisz, że powinniśmy ich obudzić? - zapytał Tom.

- Jeśli czują się bezpieczni, śpiąc pod samym nosem dowódcy, dwoje podporuczników nie zrobi na nich wrażenia.

- Co to za marynarka?



- Powinien ją pan bez trudu rozpoznać, poruczniku Lien. To marynarka, o której mówią wasi kaznodzieje. Piekielna marynarka.

Zatrzymali się, by zabrać swoje M-6. Kris musiała przypomnieć Tomowi, jak obsługiwać ten rodzaj broni. Trzymając karabinki przewieszane lufami w dół dla ochrony przed deszczem, przeszli dwie przecznice dzielące ich od magazynów, otoczonych drutem kolczastym. Cywilny strażnik stał przy bramie, także trzymając broń skierowaną lufą w dół.

- Kim jesteście? - przywitał ich.

- Podporucznicy Longknife i Lien. Jestem odpowiedzialna za skład magazynowy w Port Athens. Przyszliśmy na inspekcję.

- Nie możecie wejść. Jest już ciemno.

- Zauważyłam - powiedziała Kris, kierując wzrok na magazyny skąpane w świetle. Kilka ciężarówek stało zaparkowanych tyłem do ramp załadowniczych.

- Jak dla mnie, tutaj jest wystarczająco jasno.

- Słuchajcie, nie wiem, kim jesteście ani co tu robicie, ale na pewno nie jesteście stąd. Spadajcie, dopóki możecie, albo...

Karabin zaczął podnosić się w stronę Kris.

Dziewczyna doskonale wiedziała, że nie będzie szybsza od pocisku, ale w tym momencie

karabin znajdował się w jej zasięgu. Nie zastanawiając się, chwyciła za lufę. Chłód metalu w dłoni zmroził ją. „Jesteś szalona, kobieto!” Jednak pewnie właśnie tak zachowałby się dziadzio „Kłopot”. Strażnik wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego jej zachowaniem niż ona sama. Chwilę szarpali się, po czym Kris udało się wyrwać broń z ręki strażnika. Przycisnęła kolbę karabinu do jego brody.

- Wygląda na to, że mamy trochę do pogadania - warknęła. Z bliska, w świetle lamp po raz pierwszy lepiej przyjrzała się temu typowi. Trzynastoletni może chłopak ze strachem patrzył na karabin w jej rękach.

- Co tu się dzieje? - zapytała ostro.

Jako odpowiedź chłopak zaczął wykrzykiwać imiona. Kris mocniej docisnęła kolbę i słowa uwięzły mu w ustach. Ku jej zaskoczeniu oczy strażnika zaszyły mgłą, a on sam osunął się w błoto. W tym samym momencie z magazynu zaczęli wybiegać ludzie. Dziewczyna doliczyła się około trzydziestu. Czas był przemówić.

- Znajdujecie się na terenie własności rządowej! - krzyknęła i przykucnęła na odgłos strzału. Pomimo że strzał poszedł górą, Kris dotkliwie odczuła gwałtowny brak jakiegokolwiek osłony. Ciągle schylona, zdjęła swoją broń z pleców i oddała trzystrzałową serię, celowo mierząc nad gło-

wami. Ludzie powskakiwali do samochodów. Warknęły uruchamiane silniki.

- Czy jest jakiś inny wyjazd z magazynu? - krzyknął Tom z dziury w asfalcie służącej mu jako zaimprovizowane stanowisko bojowe.

- Nie przypuszczam.

- Czyli będą przejeżdżać tuż koło nas?

- O cholera - westchnęła Kris. Nie musieli się już martwić.

Ciężarówki zawróciły i wyrwały dziurę w ogrodzeniu naprzeciw bramy. Uciekając, rabusie oddali jeszcze kilka strzałów. Także zbyt wysoko.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał wystraszony dzieciak.

- Przesłać wiadomość - odpowiedziała, ruchem lufy nakazując chłopakowi, aby wstał.

Był straszliwie chudy, a jego ubranie wymagało napraw.

- Kto cię wynajął?

- Nie mogę powiedzieć, proszę pani.

- Ile ci płacą?

- Worek ryżu. Moja mama, bracia i siostry są głodni.

- Przyjdź jutro do magazynu. Od teraz pracujesz dla mnie. Na pewno nie będziesz głodny ani ty, ani twoja rodzina. Powiedz ludziom, dla których pracujesz, że jeśli przyjdą jutro w dzień, znajdzie się dla nich jakaś praca. Jeśli przyjdą w

nocy, będą na nich czekać uzbrojeni po zęby marines. Powiedz im też, że w magazynach jest od dziś nowy szef. Mogą więc zmienić swoje postępowanie i jeść albo próbować działać po staremu i zdychać.

Twarz dzieciaka zmieniała się w trakcie jej przemowy. Strach wyparował. Pozostał szok i duża doza powątpiewania. Ale gdy skończyła, kiwnął głową. Zaczął się wycofywać. Kris zaczekała, aż zniknie w ciemnościach.

- Co teraz zrobimy? - spytał Tommy.

- O ile nie masz ochoty spędzić reszty nocy, chodząc wzdłuż płotu, sugeruję powrót do naszych kwater i odrobinę snu. Mam przeczucie, że jutro czeka nas ciężki dzień.

- Ale płot jest rozwalony.

- Zauważyłam, wyobraź sobie. I prawdopodobnie pozostanie taki, dopóki go nie załatamy. Wygląda jak zaproszenie dla każdego, kto chciałby wejść. Głodne kobiety, dzieci, ktokolwiek. Przyłecieliśmy tu, żeby nakarmić ludzi, prawda?

- Racja.

- Więc jeśli kilka osób zechce mi pomóc w dystrybucji żywności, nie będę miała nic przeciwko temu.

- Czemu więc strzelałaś do tych z ciężarówką?

- Bo mieli broń. Jak myślisz, ile z tej żywno-

ności mieli zamiar przeznaczyć dla innych?

- Tak. Typowe dla polityka, ważniejsze jest „jak” niż „co”.

Kris uważała, że jest po prostu praktyczna. Otrząsnęła się i skierowała do bazy.

- Co jeszcze możemy zrobić, Tommy? W dziewięciu przypadkach na dziesięć perspektywy mają więcej wspólnego z efektem końcowym niż cokolwiek, co zrobisz. Perspektywy i... osiągnięcie kilku drobnych sukcesów.

W oknie biura pułkownika nadal paliło się światło. Jedyne w budynku administracyjnym.

- Co się z nim dzieje? - spytał Tom, potrząsając głową.

- Na planecie Darkunder były kłopoty - odparła Kris. - Farmerzy uznali, że za mało płacą im za zboże. To się często zdarza. Wszędzie. Hancock dowodził batalionem wysłanym dla zaprowadzenia porządku. Niektóre raporty twierdzą, że żył w zbyt dużej przyjaźni ze światkiem finansjery. Inne mówią, że po prostu dowodził bardzo bojowo nastawioną jednostką. Tak czy inaczej, gdy zawiodły standardowe metody opanowywania tłumu, ktoś wpadł na pomysł, że karabiny maszynowe temu zaradzą. Padło mnóstwo wzajemnych oskarżeń. Hancock został postawiony przed sądem wojennym i uniewinniony.

- A więc to ten Hancock. Nawet na Santa

Maria o nim słyszeliśmy. Media dostały szału. Jak facet mógł zostać niewinny, skoro zginęła setka farmerów?

- Znasz paru farmerów na Santa Maria?

- Oczywiście, że tak.

- A ja znam kilku generałów. Ich zdaniem

Hancock po prostu zrobił swoje. Powstrzymał bandę anarchistów przed mordowaniem, rabowaniem i gwałceniem.

- Zgadzasz się z nimi?

- Nie, ale ich rozumiem. Wątpię też, czy marynarka musiałaby wysłać dwa lub trzy bataliony na Darkunder, gdyby tłum wykazał odrobinę rozumu i rozszedł się spokojnie do domów, zanim cokolwiek złego się stało. Tak czy inaczej, Hancock został niewinny, ale sam widzisz, jakie stanowisko obecnie dostał.

- Widzę, ale nie rozumiem.

- Wojskowe grube ryby nie powiesiły go tylko dlatego, że tłum cywilów się tego domagał. Ale nie chcą też, żeby jakikolwiek inny oficer popełnił podobny błąd, myśląc, że przejdą do porządku dziennego nad czymś podobnym. Ponieważ Hancock nie zachował się honorowo i nie odszedł z wojska, ma teraz wypisane na czole „jestem pomyłką”.

Tom rozejrzał się po bazie.

- Faktycznie nie wygląda to dobrze.

- Moim zdaniem, będzie tylko gorzej. Gdy byłam na studiach, czytałam opracowanie na temat przywództwa napisane przez dziadka. Miał bardzo dużo do powiedzenia, ale najbardziej utkwiała mi w pamięci idea, że sposób kierowania opiera się na tym, w co wierzymy, a może nawet na iluzji.

- Wiara? Iluzja? - Tom nie wyglądał na przekonanego.

- Jako dowódca musisz mocno wierzyć, że jesteś najlepszą osobą do tego, żeby dowodzić, że jesteś w stanie wykonać zadanie przy jak najmniejszych stratach, lepiej niż ktokolwiek inny. Co więcej, twoi podwładni muszą tę wiarę podzielać. A jeśli tak nie jest, musisz stworzyć iluzję.

- W takim razie tutaj nie widzę żadnej iluzji.

- Właśnie - zgodziła się Kris. - I dlatego w tym miejscu jest gorzej niż w piekle, przy czym nie chodzi o ten przeklęty deszcz.

- Co więc zrobimy?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała powoli. - A właściwie wiem. Dopilnujemy, żeby ci ludzie nie głodowali. A poza tym po prostu będziemy siedzieć i czekać.

- Czemu uważam siedzenie i czekanie z podporucznik Longknife za ogromnie niebezpieczne?

- Tommy, chłopczyku, nie widziałeś jeszcze po prostu prawdziwego niebezpieczeństwa. A teraz co byś powiedział na to, żebyśmy zeszli wreszcie z tego deszczu?

W pokoju Kris dokonała krótkiej inspekcji. Wyposażenie odpowiadało hotelowi średniej klasy: łazienka z prysznicem, sypialnia z szafą, rozkładanym fotelem, biurkiem, a przede wszystkim cudownym łóżkiem. Worek podróżny dziewczyny stał na dywanie w kałuży wody. Zaciągnęła go do łazienki, większość jego zawartości była kompletnie przemoczona. Przez moment rozważała pozostawienie mundurów obsłudze, aby je wyprała. Jednak rzut oka na pleśń między płytkami uświadomił jej, że najprawdopodobniej w tym hotelu nie doczeka się obsługi pokojowej, nieważne, jak wysoki napiwek chciałaby dać.

Z ironicznym uśmiechem wrzuciła mundury kolejno do pralki, suszarki i prasy, zastanawiając się przy tym, ile debutantek na Wardhaven potrafi samodzielnie zrobić pranie. Mając zajęte ręce, postanowiła wykorzystać czas na załatwienie kilku spraw za pomocą swojego komputera osobistego.

- Nelly, czy Sam przesłał ci jakieś nowe procedury, zanim wylecieliśmy?

- Kilka.

- Możesz wchodzić do systemu wojskowe-



go?

- Mam takie możliwości.

- To sprawdź, czy dasz radę wejść do tu-tejszego systemu.

- Sprawdzam.

Nelly odpowiedziała posłusznie, a w jej głosie brzmiała odrobina złośliwego entuzjazmu, o ile Kris dobrze odczytała „uczucia” sztucznej inteligencji. W tym czasie wyjęła z prasy mundury połowę i wyjściowe, parząc sobie palce.

- Mam dostęp - odezwała się Nelly.

- Możesz wyłączyć światła na obiekcie magazynowym?

- Oczywiście.

Dziewczyna pomyślała chwilę.

- O drugiej zero zero czasu miejscowego wyłącz światła na obiekcie magazynowym. To powinno dać miejscowym wystarczająco dużo czasu. Możesz zamknąć magazyny?

Kris wykorzystała chwilę, by powiesić mundur, w którym tego dnia chodziła, w łazience. Przekręciła ogrzewanie pomieszczenia na maksimum, a wilgotność na minimum.

- Tej informacji nie ma w systemie wojskowym. - Nastąpiła krótka przerwa. - Mogę dostać się do systemu magazynów.

- Magazyn ma swój własny system?

- Tak.

- Zamknij magazyny o drugiej trzydzieści  
- poleciała Kris, wpełzając pod kołdrę i dodatkowo nakrywając się kocem. Miała przemarzniete stopy.

- Nelly, o której jest pobudka?

- Sekcja Administracyjna Bazy Zaopatrzeniowej Olimpia twierdzi, że o szóstej.

„A nie Bazy Marines w Port Athens”. Kris odnotowała różnicę pomiędzy nazwą używaną przez Hancocka i Sekcją Administracyjną. Kolejna rzecz, której trzeba się będzie jutro przyrzec.

- Nelly, obudź mnie o piątej trzydzieści.

## ROZDZIAŁ 10

Kris obudziła się z suchością w ustach i bólem głowy.

- Nelly, światło. Jaka tu jest wilgotność?

- Chwila, połączę się z siecią hotelową. - To nie było to, co Kris chciała usłyszeć, ale dawało informację, że kolejny system jest autonomiczny, a nie podłączony do systemu głównego. Nie była takim specem jak ciotka Tru, ale i tak orientowała się, że całość jest bardzo źle zarządzana.

- Wilgotność w pokoju wynosi osiem procent, a urządzenie sygnalizuje, że jest bliskie awarii.

- Podnieś trochę tę wilgotność - poleciła Kris, patrząc na rozwieszoną bieliznę, skarpety oraz wysuszone zbyt szybko buty. Pobiegła pod prysznic, by nawilżyć nieco ciało. Po powrocie ubrała się, pościeliła łóżko i przeniosła na nie wszystkie wyschnięte ubrania. Zażyła aspirynę i poczuła się prawie jak człowiek. Włożyła zapasową parę butów oraz poncho. O szóstej spotkała Toma idącego na śniadanie.

Zatrzymali się w połowie drogi między hotelami i stołówką. Drugi hotel i jadalnia pogrążone były w ciemnościach.

- O co chodzi? - bąknął Tommy.

- Muszę sprawdzić jedno miejsce, zanim

zrobię coś, czego będę żałować – odpowiedziała i pobięła do budynku dowództwa. Dyżurni oczywiście spali. Kris zajrzała do pokoju dowódcy. Światło nadal się paliło, a mężczyzna chrapał w fotelu. Oboje podporucznicy wycofali się cicho.

- A więc tak się sprawy mają – powiedział Tom. - Chyba nic nie możemy zrobić.

- Jestem głodna i zamierzam zjeść śniadanie – powiedziała dziewczyna, gdy szybko maszerowali w stronę stołówki. - Nelly, zarządzaj pobudkę w pokojach całego personelu. Zapal wszędzie światła. Zlokalizuj kucharzy i powiedz, że oczekuję ich tutaj.

- Tak, Kris.

- Twój komp może to zrobić? – spytał Tom.

- Cioteczka Tru wyposażyła Nelly w kilka nowych procedur. To chyba ty powiedziałaś, że do walki z demonami potrzebuję smoka.

- Tak, ale chyba nie bardzo podoba mi się myśl, że budzi mnie komputer kogoś innego. O, Kris, czy jesteśmy tu jedynymi oficerami?

- No nie! Nelly, czy w pobliżu znajdują się jacyś starsi stopniem?

- Potwierdzam. Poza wami w pobliżu są komandor podporucznik Owing, komandor podporucznik Thu, który jest lekarzem, i porucznik Pearson.

- Obudziliśmy ich? - spytała szeptem Kris.
- Nie słyszę żadnych dźwięków z wyjątkiem chrapania w pokojach Owinga i Thu.
- Wyłącz im światła - padło polecenie.
- Zrobione.
- Co w pokoju porucznik Pearson?
- Bierze prysznic.
- Dwie trzecie wyeliminowane - szepnęła

Kris.

- Pani porucznik, czy dobrze się do tego zabraliśmy? - spytał Tom z dużym szacunkiem w głosie.

- Nie jestem pewna.

Nelly otworzyła drzwi do jadalni, nie czekając na polecenie. Kris przez dłuższą chwilę rozważała problem. Siostra prowadząca silną ręką kampanię brata to jedno, oficer marynarki to coś zupełnie innego. Jak zareagują pozostali oficerowie? Niektórzy mogą uznać to, co robi, za niesubordynację lub nawet przejaw buntu. W zależności od punktu widzenia. Przemyślawszy to, zdecydowała się nieco zmienić plan.

- Nelly, zlokalizuj mi przybyłych wczoraj, poinformuj ich, że mają się zjawić tutaj za piętnaście minut. Pokaż mi listę tych, których przydzielono do pracy w magazynach.

Po kilkunastu sekundach Kris wiedziała już, że większość spośród tych, których wczoraj

przywiozła, nadal pozostanie jej podwładnymi. To dobrze. Jeśli ma się zamiar grać w twardą grę, dobrze rozpocząć od znanego już miejsca. Dziewczyna rozejrzała się po stołówce i zmarszczyła brwi z niesmakiem. Po dokładniejszym przyjrzeniu się uczucie obrzydzenia tylko się pogłębiło. Na podłodze leżała warstwa błota i kurzu. Stoły wymagały wymycia. Kuchnia w całości nadawała się do generalnego sprzątnięcia.

- Pokaż mi akta personalne kucharzy.

Kris zupełnie nie podobało się to, co wyświetliła Nelly. Dwóch matów wyznaczonych do nadzoru pojawiała się tu bardzo nieregularnie. Mieli także tendencję do organizowania „własnego systemu żywienia”. Mówiąc krótko, podkradali. Czy w tej operacji wszystko szło nie tak? „No przecież ty tu jesteś, prawda?”

- Nelly, czy ktokolwiek z pozostałego personelu ma jakieś doświadczenie kulinarne?

- Bosmanmat Blidon skończyła Szkołę Technik Kulinarynych w New Towson. Jej ojciec jest szefem kuchni w pięciogwiazdkowej restauracji. Bosmanmat Blidon oddelegowana została ze Szkoły Służby Uzbrojenia.

Kris i Tom spojrzeli po sobie z rozbawieniem.

- Kolejny dzieciak próbujący przełamać rodzinną tradycję - westchnęła Kris.

- Jest bosmanmatem, to od razu stawia ją wyżej od dwójki matów - dodał Tom.

- Nelly, powiedz pani Blidon, że jej obecność tutaj wymagana jest natychmiast, albo nawet szybciej. A co z naszymi kucharzami?

- Nadal śpią.

- Masz w pamięci jakieś pobudki grane na trąbce?

- Mam.

- No to graj na cały regulator w pokojach obsługi stołówki.

Dźwięk trąbki słychać było nawet na parterze. Dwie minuty później pojawiła się bosmanmat Blidon. Była to niska kobieta z wyraźną nadwagą, co prawdopodobnie wyjaśniało jej przydział na tę planetę.

- Chciała mnie pani widzieć? - spytała kwaśno.

- Jadłaś tu wczoraj?

- Tak, jadłam i nie, nie smakowało mi, ale nie, nie jestem zainteresowana sprzątaniami tego bagna. - Po długiej pauzie dodała: - Pani porucznik.

- Jaka jest twoja cena?

- Cena?

- Tak, każdy jakąś ma. W tej chwili potrzebuję cię. Gdybyś nie zauważyła, ten przybytek nie zmierza do piekła. On już się tam doskonale zado-

mowił. Dobrze żarcie może dużo zmienić. Potrzebujemy zmiany, a ty wyglądasz na najlepszego agenta zmian w tym mieście.

Blidon zasepiła się.

- Nazywa się pani Longknife?

- Tak, i wcale nie podoba mi się to, co ojciec wypisał mi na czole. Przypuszczam, że u ciebie jest podobnie.

- Ilu mamy kucharzy? - spytała Blidon, rozglądając się.

- Dwóch, którzy piją bimber z ziemniaków, i trzech uciekinierów ze szkolenia podstawowego.

Blidon zmarszczyła nos. Powoli przeszła do kuchni. Wyszła stamtąd mocno skrzywiona.

- Nic dziwnego, że żarcie jest takie ohydne. - Odwróciła się do Kris i wyciągnęła rękę. - Przyjaciele mówią mi Courtney. Swoją cenę podam później i uprzedzam, że niska nie będzie. Ale na razie motywuje mnie wyzwanie. I... jestem głodna. Potrzebuję sześciu ochotników do sprzątnięcia, jak najszybciej.

Kris wyznaczyła jako ochotników pierwsze sześć osób z obsługi magazynów, które przeszły przez drzwi.

Gdy kucharze wreszcie się pojawili, Courtney wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że są brudni i z sanitarno-epidemiologicznego



punktu widzenia stanowią zagrożenie dla jakiegokolwiek kuchni. Kris wyznaczyła kolejną szóstkę pod wodzą mata i nakazała im wyszorować kucharzy, w razie potrzeby używając drucianej szczotki. Po wczorajszym wieczornym posiłku chętnych do wykonania tego zadania było aż nadto.

Gdy wyprowadzano kucharzy, weszła porucznik Pearson.

- Kiedy będzie śniadanie? - miała piskliwy głos i anemiczny uścisk dłoni. Ciemne odrosty na jej blond włosach potęgowały wyraz braku autentyczności, jaki przebijał z całego wyglądu nowo przybyłej.

- Dajcie mi pół godziny - krzyknęła Courtney z kuchni.

Pearson nie kryła niezadowolenia. Gdy rozglądała się po stołówce, Kris nieomal słyszała, jak zgrzytają jej zęby.

- Chyba pójdę do biura. Nadal staram się stworzyć właściwe zasady udzielania pomocy. Musimy wykarmić tak wiele osób, ale zbyt dużo z nich nosi broń. Ta planeta potrzebuje dobrego prawa regulującego posiadanie broni. Naprawdę. Poruczniku, proszę kazać komuś przynieść mi tosty, gdy będą gotowe. A także jakieś owoce. Na przykład arbuzy, jeśli zostały z wczoraj. Zacznę dziś wcześniej pracę.

Wychodziła jednak bardzo powoli, jak gdyby oczekując, że Kris ją zatrzyma i zrobi to, co w jej mniemaniu młodszy oficer powinien zrobić, czyli zapyta o radę, jak się tu zachowywać.

Kris nie miała na to czasu. Już biegła do kuchni. Pearson zwróciła się w przeciwnym kierunku.

- Nelly, kim jest Pearson?

- Kieruje Sekcją Administracyjną.

- Szefowa naszych nocnych śpiochów ze służby - zauważył Tom.

- Na to wygląda. Wyobrażasz sobie ją i Hancocka na jednej odprawie?

- Czemu podejrzewam, że nie ma tu zbyt wielu odpraw? - uśmiechnął się chłopak z przekąsem. - Ale czy ja dobrze słyszałem? Pearson tworzy nowe regulacje?

- I to będzie prawdopodobnie jej zajęcie na najbliższe dziesięć lat. - Kris знаła ludzi pokroju porucznik z kampanii politycznych. Zwykle byli tak zaaferowani swoją częścią pracy, że nie widzieli całości problemu. - Nakarmimy ich wszystkich, z regulacjami czy bez.

Courtney stanęła w drzwiach kuchni z dłońmi na biodrach.

- Jajecznicą na bekonie była najszybszym daniem, jakie mogłam dziś przygotować. Czy któryś z was, przystojniaczki, przewracał kiedykolwiek

wiek hamburgery albo pracował w jakiejś jadłodajni?

Kris zauważyła, że kobieta uśmiecha się miło, jej głos także się zmienił. Podniosło się kilka rąk. Courtney zaprosiła ich właścicieli do kuchni.

- No dobra, to teraz umyć łapy, zakładać rękawiczki i bierzemy się do roboty!

Podczas gdy kuchnia wypełniała się zapachami, Kris pokręciła się tu i tam. Nelly dała jej przybliżone informacje, kto gdzie pracuje i jak długo przebywa na Olimpii. Z pomocą komputera jako przewodnika Kris tu o coś zapytała, tam coś podpatrzyła i w ten sposób zdobyła mnóstwo informacji o ludziach i ich zajęciach.

- Kto odpowiada za kompleks magazynowy? - spytała pierwszego marynarza, który przyznał, że tam pracuje.

- Nie wiem, pani porucznik. Wydaje mi się, że podlegamy Sekcji Administracyjnej. Jest tu taki mat, który przychodzi od czasu do czasu, ale większość czasu siedzimy tam i układamy palety, gdy przyjdzie zaopatrzenie.

- Kto budował płot?

- Lokalny kontraktor. Czemu pani pyta?

- Ponieważ jest tam dziura wymagająca naprawy.

- Nie było jej wczoraj, gdy sprawdzaliśmy - zapewnił ją rozmówca.

- Oczywiście, że nie było. Zrobiła ją ciężarówka dziś w nocy, gdy do niej strzelałam.

- Była tam pani w nocy?!

- Strzelała pani do nich! - dodała kobieta stojąca za marynarzem, z którym rozmawiała Kris.

- Wyglądało na to, że trzeba było. Oni strzelali do mnie. Wiecie o nocnych załadunkach?

Para spojrzała na siebie z zakłopotaniem.

- Myślę, że coś z tym zrobimy - dodała Kris.

Gdy odeszli kawałek, Tommy potrząsnął głową.

- Zaczynam myśleć, że najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu, było zatrzymanie się, żeby zawiązać but w ośrodku sprawności fizycznej. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się cieszę, że skończyłaś kurs o lokatę wyżej niż ja.

- A ja cały czas myślałam, że chodziło o ten egzamin z wojskowej etykiety - odparła Kris, dając mu kukuśnia pod zębra.

Kucharze wrócili właśnie z zaimprovizowanego prysznicza i przyłączyli się do pracy w kuchni pod czujnym okiem Courtney. Dwóch ochotników nadal chciało pracować przy przygotowywaniu posiłków.

Kris zaczęła w myślach robić listę rzeczy, za które będzie musiała przeproszać. Zdecydowa-

nie nie miała ochoty prosić wcześniej o pozwolenie. Ojciec zawsze powtarzał, że zdecydowanie łatwiej jest przeprosić primadonny z parlamentu, niż uzyskać ich zgodę na cokolwiek. Wszystko, co widziała w ciągu ostatnich kilku miesięcy, utwierdzało ją w przekonaniu, że przynajmniej w tej jednej kwestii ojciec i marynarka całkowicie się zgadzali.

Po zjedzeniu śniadania Kris jeszcze raz ustawiła się w kolejce po kawę i jajecznicę, które zabrała ze sobą do budynku dowództwa. Pearson siedziała nachylona nad komputerem, przenosząc jakiś akapit z jednej części dokumentu do innej. Hancock nadal spał w fotelu. Kris postawiła kubek i tacę na jego stole i odwróciła się, by wyjść.

Chrapanie ustało i dziewczyna usłyszała dźwięk butów uderzających o podłogę. Odwróciła się ponownie. Pułkownik przypatrywał jej się dłuższą chwilę podkrążonymi oczyma, a następnie sięgnął po kubek. Po długim łyku odstawił go.

- Na co się gapisz, poruczniku? - warknęła, rzucając się na jajecznicę.

Kris zawahała się chwilę. Jako córka Billyego Longknife'a od wielu rzeczy się wykręciła. Jako podporucznik miała właśnie okazję przynajmniej poinformować pułkownika, w jakim kierunku pójdą jej wysiłki.

- Nic takiego, panie pułkowniku. Zastana-

wiałam się tylko, czy mogę prosić o pewne wskazówki, czy mam zaczekać do odprawy?

- Nie ma mowy, żebyśmy zarządził... - pułkownik zdecydował, że nie skończy zdania. - Czego chcesz, Longknife?

- Jestem odpowiedzialna za magazyn?

- Taaaa.

- Odpowiadam bezpośrednio przed panem?

- Już ci to mówiłem.

- W ogrodzeniu magazynów jest dziura, przez którą ostatniej nocy wyjechała ciężarówka. Z kim powinnam porozmawiać, żeby to naprawiono?

- Pearson! - krzyknął dowódca. - Do mnie!

Porucznik bynajmniej nie spieszyła się na wezwanie przełożonego. Poprawiając mundur połowy, stanęła w drzwiach gabinetu, za plecami Kris.

- Tak, panie pułkowniku? - powiedziała z mieszaniną bólu i lekceważenia w głosie.

- Pani porucznik chciałaby, żeby płot przy magazynie został naprawiony.

- Muszę to sprawdzić. Magazyn podlega pod moją sekcję.

- Już nie. Porucznik Longknife wraz ze swoim kolegą mają go teraz na wyłączność.

- Ależ, panie pułkowniku! - Pearson niemalże zaskamlała. Kris słyszała już ten ton u biurokratów, których ojciec obdzierał z lukratywnych kontraktów. W napięciu oczekiwała na wynik tej rozgrywki, zastanawiając się, kto w dowództwie nosi spodnie.

- Dziewczyna ma magazyn. Pani przydzieliłem pozostałą dwójkę podporuczników. Może we trójkę wreszcie uporacie się z tymi regulacjami.

Pułkownik zjadł kolejny kęs jajek na bębnie.

- To śniadanie jest zajebiście dobre. Nowy kucharz?

- Tak, panie pułkowniku - odparła Kris. - Bosmanmat Blidon posiada wykształcenie kucharskie z cywila. Chciałaby nadzorować pracę kuchni.

Kris zwróciła się do Pearson:

- O ile pani porucznik nie ma nic przeciw temu.

- Moje tosty smakowały tak jak zwykle - prychnęła ta ostatnia.

- No cóż, moja jajecznicza była najlepsza od bardzo długiego czasu. Poruczniku Longknife, chce pani mieć kuchnię przydzieloną do pani sekcji?

- Nie jeśli pan albo pani porucznik tego sobie nie życzy. - Córka premiera posiadała

odrobinę taktu.

- Życzę sobie tego. Proszę także sprawdzić, czy jest pani w stanie zrobić coś z zakwaterowaniem. Pearson, proszę przekazać pani porucznik środki finansowe i pozwolić nimi zarządzać.

- Jeśli tak pan nakaze.

- Właśnie to zrobiłem. A teraz, kobiety, wynosić się, muszę się ogolić.

Kris zasalutowała i wyszła. Pearson zatrzymała ją w korytarzu.

- Proszę pamiętać, poruczniku Longknife, że będę nadzorować wydatki. Ludzie idą do więzienia za defraudacje pieniędzy rządowych. Nieważne, jak się nazywają.

- Tak, pani porucznik. Zrozumiałam - odpowiedziała służbiście Kris i wyszła z budynku do wództwa. - Nelly - szepnęła po chwili - mamy kogoś z wykształceniem księgowego?

- Nie.

- A kogoś, kto ma księgowego w rodzinie?

- Ktoś znów ją będzie przeklinał za zmuszanie do wykonywania pracy, którą znienawidził jeszcze na kolanach rodziców. - Takie życie, dzieciaku - szepnęła ponownie Kris, tym razem do nieznanej sobie jeszcze przyszłej ofiary.

Nakazała Nelly poinformowanie personelu magazynów, że mają stać uzbrojeni w kolumnie



marszowej o ósmej zero zero. Odrzuciła myśl ubrania podległych jej pięciu marines w kombinezony bojowe. Wątpiła, czy ciężki sprzęt przyda się tu na coś. Przekazała władzę nad stołówką i zakwaterowaniem Tomowi, co dało jej czas na rozmowę z parą podoficerów, którzy nie do końca dzielili umiłowanie do profesji księgowego ze swymi rzadko widywanymi rodzicami. Na głośne protesty mata Spensa, że nie po to wstąpił do marynarki, by liczyć fasolę, Kris odpowiedziała, że tylko to będzie dla niej robił.

O ósmej Spens sformował kolumnę marszową i skierował ją do magazynu. Jeśli kiedykolwiek uczył się komend musztry, dawno ich zapomniał. Zastąpił je szybko wymyślonymi odpowiednikami. Podwładni zrozumieli ideę, nawet jeśli nie do końca trzymali krok.

- Prawoskrzydłowy, „płyta”! - krzyknęła Kris.

„Raz” zabrzmiało bardzo słabo, głównie z ust marines w ostatnich czwórkach. „Dwa” było już głośniejsze. Przy drugim „cztery” nawet najgorsi byli w stanie utrzymać krok kolumny.

- Unieś głowę, prostuj się! - zabrzmiało z tyłu kolumny, gdzie dumnie maszerowali marines. - Bo w marines nie jest źle. Raz, dwa, trzy, cztery!

Marynarze z głowami wciśniętymi w ramiona przyłączyli się z rozpędu do odliczania, nie-

świadomi, że właśnie zostali pokonani przez marines w odwiecznej rywalizacji.

Spens z kolei był tego w pełni świadomy. Odczekał chwilę i zaśpiewał tę samą zwrotkę, kończąc: „W marynarce nie jest źle”.

Odrobina rywalizacji jeszcze nikogo nie zabiła, a podwładni Kris zaczęli wyglądem trochę przypominać wystraszone szczeniaki, a trochę bardziej marynarke. Bardzo przemoczona, ale jednak marynarke. Kris miała nadzieję, że pułkownik ich usłyszy. Nawet on powinien się uśmiechnąć.

Cywile wokół kryli się przed deszczem. Słyszając skandujących marynarzy, zaczęli unosić głowy, jedni z zainteresowaniem, inni z niedowierzaniem. Kilku przypatrzyło się maszerującej kolumnie i pobiegło gdzieś, niosąc wiadomość. Kris nie przejmowała się, do kogo ona dotrze. Ważne było to, że zaczęto dostrzegać zmianę.

Z tłumu, już zgromadzonego wokół magazynów, dobiegały okrzyki, ludzie zbierali się przede wszystkim przy wyrwie w ogrodzeniu. Jednak ci, którzy weszli do środka, aby coś ukraść, musieli teraz uciekać z pustymi rękoma. Blokada magazynów odniosła zamierzony skutek. Nelly zdjęła zabezpieczenia, dopiero gdy na terenie znaleźli się Kris i jej podwładni.

Dziewczyna rozejrzała się po miejscu, któ-

re było jej pierwszym oficjalnym stanowiskiem dowodzenia. Spojrzała na podkomendnych. Niektórzy już ją znali, pomogła im, gdy stali w strugach deszczu pierwszego dnia w bazie. Inni byli starymi wyjadaczami, którzy spędzili tu około miesiąca. Długi czas, jak na pobyt w piekle. Wszyscy patrzyli na nią trochę jak wygłodniałe zwierzęta na człowieka mogącego je nakarmić. Kris przypomniała sobie wszystkie mowy wygłoszone podczas kampanii brata, lekko je zmodyfikowała i zaczęła:

- Nie wiem, co sądzicie o pracy, którą tu wykonujecie. Może wam się podoba, a może nie. Nieważne. Dziś, tu i teraz, zaczynamy misję na Olimpi. Tam, za płotem, są głodni ludzie, a my mamy jedzenie. Dopilnujemy, żeby zostali nakarmieni. Ci, którzy spędzili tu już trochę czasu, wprowadzą w pracę nowo przybyłych. Ja cały czas będę się kręcić. Jeśli pojawi się problem, mówcie mi o tym. Jeśli znajdziecie rozwiązanie, także mi mówcie. Większość z was krótko służy w marynarce. Ale wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że najlepsze miejsce służby to takie, które jest ciepłe i suche.

To stwierdzenie wywołało kilka uśmiechów.

- Jesteśmy także - kontynuowała - małymi trybikami wielkiej maszyny, robiącymi to, co niezbędne. To, co robicie tutaj, może komuś urato-

wać życie. Wszyscy w tym siedzimy. Potrzebuję pomysłów. Jeśli się z nimi zgłosicie, zobaczycie, że potrafię być naprawdę dobrym słuchaczem. Jakies pytania?

Oczywiście żadne nie padło.

- Mat Spens, odprowadzić ludzi na stanowiska. Dopilnuj, żeby nowi zostali gdzieś przydzieleni.

To wydawało się takie proste. Może przy dobrym dowodzeniu tak powinno działać? Spens był tak samo niedoświadczony jak ona. Jednak pozostawiła mu dużą swobodę, a sama udała się na pierwszy obchód w błocie i deszczu.

Teren magazynów graniczył z dużą zatoką, której brudne, zamulone wody mieszały się z morzem. Po lewej stronie należące do marines ogromne holowniki wyciągały z wody duży, opuszczony przez załogę statek. Wyglądał jak leżący na plaży wieloryb. Wyciągane z jego ładowni worki ryżu i fasoli nasiąkały wodą. Młody marynarz prowadził grupę rekrutów, by na własnych plecach przenieśli ładunek do pobliskiego magazynu.

Przy dziurze w płocie nadal stał tłum. Potrzebowali żywności i pracy. A Kris potrzebowała pracowników, by ich wykarmić.

- Nelly, możemy zatrudnić lokalnych pracowników?

- Nie, misja nie ma na to środków finanso-

wych.

Jakie to typowe dla marynarki. Im więcej oszczędzono na sytuacjach kryzysowych, tym więcej zostawało w budżecie. Kris słyszała o dowództwach, które miały, już nawet zakontraktowane półoficjalnie okręty, licząc na to, że uda się je kupić z tak zaoszczędzonych pieniędzy.

- Proszę pani - cichy głos dobiegł do dziewczyny, gdy szła wzdłuż płotu.

Odwróciła się i zobaczyła drobną, siwowłosą kobietę w płaszczu nieprzemakalnym i kaloszach.

- Czy pani jest nową szefową tutaj?

- Tak - odparła, po czym gdy zauważyła, że kobieta nie bardzo wie, co powiedzieć, dodała łagodnie: - W czym mogę pani pomóc?

- Nazywam się Ester Saddik. Mój kościół prowadzi połowę jadłodajnię. Dużo ludzi straciło pracę, gdy zboże pogniło. Rodziny są głodne. Staramy się, żeby zjedli przynajmniej jeden gorący posiłek dziennie.

- To bardzo ładnie z waszej strony - odpowiedziała Kris, nie będąc pewna, jak potoczy się dalej rozmowa. Ale przynajmniej mogła wysłuchać tej kobiety.

- Brakuje nam żywności. - Tego Kris właśnie się spodziewała. - Kupowaliśmy jedzenie od tego człowieka z marynarki, ale skończyły się

nam pieniądze.

- Mata? - zapyta Kris, przypominając sobie, co słyszała na temat kierownictwa magazynów. Kobieta potwierdziła skinieniem głowy. Wojskowe racje były wybawieniem dla cywilów. Dziewczyna przez chwilę zastanawiała się, czy uda jej się dopaść winowajcę, ale wszedł wczoraj na pokład „Hussy”. Ponadto należało rozwiązywać problemy, a nie oglądać się za siebie. Starła deszcz z twarzy i zaczęła się zastanawiać. Musiała nakarmić tych ludzi, ale nie mogła im tak po prostu wydać jedzenia. Oczywiście kto inny mógł, za pieniądze.

- Nelly, kto może zatrudniać cywilów podczas takich misji?

- Organizacje pozarządowe są zwykle pracodawcą dla pracowników lokalnych.

Kobieta przysłuchiwała się, jak Kris prowadzi konwersację ze sztuczną inteligencją.

- Jest tu jakaś?

- Nie.

Co było do przewidzenia... To miejsce zostało całkowicie odcięte od reszty wszechświata. Ale Kris nie rezygnowała. Kiedyś jako studentka pierwszego roku prowadziła obóz dla dzieci upośledzonych umysłowo. Udało jej się uzyskać zwolnienie od podatków.

- Nelly, czego potrzeba do utworzenia or-

organizacji pozarządowej?

- Właśnie przygotowałam całą dokumentację do wysłania. Zanim puszczę to dalej, powiedz tylko, jak ma się nazywać.

- Jesteś wspaniała - uśmiechnęła się Kris, a na twarzy kobiety po drugiej stronie płotu pojawił się cień nadziei. - Niech więc będzie Fundacja dla Przesiedlonych Farmerów imienia Ruth Edris.

Kris ucieszyła się na myśl, jaką przyjemność sprawi prababci, gdy ta dowie się, że jej imieniem nazwano fundację.

- Chodziłam do szkoły z dziewczynką, która tak się nazywała - szepnęła kobieta. - Dawno temu, na Hurtford. Byliśmy wtedy radosnymi dziećmi.

- Z tego, co wiem, babcia Ruth nadal jest. Wyniosła się z Hurtford dawno przed moim urodzeniem. Nelly, skończyłaś z tymi papierami?

- Gotowe. Jaki ma być kapitał fundacji?

- Ile mam pani zapłacić za to, co pani robi? - Kris spytała Ester.

- Jeśli koniecznie musi mi pani płacić, niech będzie ziemski dolar miesięcznie - odpowiedziała starsza pani. Kris musiała się bardzo powstrzymać, by nie okazać żadnej reakcji. Tygodniowy zysk, jaki przynosiły jej udziały w rodzinnym biznesie, pozwoliłyby prawdopodobnie zatrudnić wszystkich na tej planecie na rok. Ostatnie

modyfikacje Nelly kosztowały ją dwumiesięczne dochody, i to w walucie Wardhaven.

- Mogę znaleźć ochotników do pracy za darmo - powiedziała kobieta, mylnie biorąc milczenie Kris za dezaprobatę. - Jeśli zorganizuje pani dostawy jedzenia do jadłodajni, wiele osób będzie dla pani pracować. I nie tylko do mojej. W mieście jest wiele innych.

- Umowa stoi - powiedziała szybko młodsza z kobiet i dodała cicho do Nelly: - Na początek daj sto tysięcy. - Potem zwróciła się ponownie do starszej pani: - Proszę pozwolić mi skontaktować się z szefem. Nelly, połącz mnie z pułkownikiem.

- Hancock - usłyszała po chwili w komunikatorze.

- Pułkowniku, tu podporucznik Longknife. Potrzebuję pańskiej rady.

- I spodziewa się ją pani ode mnie uzyskać?

Kris zignorowała pytanie i wyjaśniła, o co chodzi.

- Ta fundacja dla farmerów jest legalną organizacją pozarządową? - spytał, gdy skończyła.

- Z całą pewnością - odparła, uśmiechając się do Ester. Tym razem ta również się uśmiechnęła.



- Tak, możemy wydawać jedzenie jadłodajniom polowym, bankom żywności i tym podobnym, jeśli są wspierane przez jakąś OP. Ten bałagan tutaj nie jest najpopularniejszym show na Ziemi, więc pewnie zauważyła pani brak zainteresowania ze strony mediów i OP. Jeśli znalazła pani jakąś wiarygodną organizację, proszę działać, poruczniku.

Kris wyciągnęła z kieszeni dolara Wardhaven i wręczyła go Ester.

- Jest pani pierwszym pracownikiem fundacji. Zna pani jeszcze kogoś, kto mógłby mi pomóc?

Ester rozejrzała się. Z tłumu wystąpił jakiś mężczyzna. Miał dziury w butach i przemoczone ubranie.

- Zebediah Salinski. Dla większości Zeb. Byłem brygadzystą w tej stacji przeładunkowej, zanim przyszły deszcze i kierownictwo dało nogę z planety. Widzę, że pani ludzie noszą worki. Znam ludzi, którzy tu pracowali. Wiem, gdzie są wózki widłowe i transportowe, choć z powodu tych deszczów mogą nie działać. Zanim uciekłem, szef mówił, że kwaśne deszcze bardzo źle na nie wpływają.

- Jest pan zatrudniony.

- Millie uZigoto była szefową obsługi hotelowej - powiedziała Ester. - Kiedy ludzie przestali

przyjeżdżać, kierownictwo się wyniosło.

- Wygląda na to, że uciekło wiele osób?

- Niedużo. Tylko ci, którzy mogli.

- W porządku, dla tych, którzy pozostali,

układ wygląda następująco - Kris powiedziała to szybko, żeby nie zmienili zdania - płaca wynosi dolara miesięcznie.

Wręczyła trzeciego i ostatniego dolara Ester.

- Proszę przekazać Millie. Reszta będzie musiała chwilę poczekać na zapłatę. Dodatkowo wszyscy pracownicy fundacji oraz ich rodziny mają dostawać pełne wyżywienie w najbliższej jadłodajni. Czy to brzmi fair?

Ester i Zeb spojrzeli na pozostałych stojących w deszczu. Tu i ówdzie podniosła się nieśmiało ręka. Wskazani przez Zeba występowali z tłumu. Pod jego kierownictwem zaczęli ręcznie rozładowywać statek. Po sprawdzeniu okazało się, że z trzech pozostałych ciężarówek tylko jedna działa.

Kris włączyła komunikator.

- Tom, jak tam koszary?

- Tragicznie. Nie mogłem utrzymać porządku w swoim pokoju na stacji orbitalnej. Nie mam pojęcia, jak uporządkować całe to miejsce.

- Myślę, że nasza lokalna organizacja pozarządowa właśnie zatrudniła kogoś, kto przejmie

od ciebie kontrolę nad zakwaterowaniem.

- Nie wiedziałem, że jest tu jakaś OP.
- Rano jeszcze nie było. Ale teraz jest.
- Czemu nie chcę wiedzieć, jak do tego do-

szło?

- Módl się do swoich przodków i świętego Patryka, żeby Hancock również pozostał szczęśliwy w swojej niewiedzy. Z innej beczki. Mam tu trzy ciężarówki, ale tylko jedną sprawną. Poza tym kwaśne deszcze uszkodziły wózki i podnośniki. Masz jakiś pomysł, co z tym można zrobić?

- Prawdopodobnie uszkodzone są panele słoneczne. Nie mają wystarczająco dużo światła do pracy. Trzeba więc przerobić je tak, żeby wykorzystywały jak najwięcej z tego, co jest. Mogę przeprogramować nanocząsteczki, które czyszczą mi metalowe części umundurowania, w ten sposób, żeby przerobiły panele.

- Używasz nanocząsteczek do polerowania guzików?

- Oczywiście, a ty nie?

Kris spojrzała błagalnie w niebo i jedyne, co uzyskała, to zalane wodą oczy. Mrugając, wróciła do komunikatora.

- Jutro przekażesz opiekę nad koszarami komuś, kto się na tym zna, i zabierzesz swój tyłek oraz wszystkie krasnoludki, jakie masz do pomocy, żeby wziąć się do naprawy mojego uszkodzo-

nego sprzętu.

- Zabiorę też trochę karmy przodków.

- Uwierz mi, przyda się każdy cud, jaki masz na podorędziu.

Jedyna ciężarówka została załadowana i Kris wyznaczyła trzech uzbrojonych marynarzy, by eskortowali ją do jadłodajni, którą wskaże Ester. Kobieta obiecała, że żołnierze wrócą cali i zdrowi przed zmierzchem. Mimo że to oni mieli M-6, rekruci wydawali się wyraźnie uspokojeni zapewnieniem Ester.

Opróżniwszy swe kieszenie z drobnych, Kris nakazała Nelly, by zorganizowała transport paczki jednodolarówek Wardhaven każdym statkiem przybywającym na planetę. Dzień zakończyła zadowolona z siebie.

Następny ranek rozpoczął się paskudnie i nic nie zapowiadało, by coś miało się poprawić w ciągu dnia.

Po pierwsze przejęcie przez Millie uZigoto zarządzania hotelem wymagało spotkania z pułkownikiem i porucznik Pearson. Dowódca natychmiast dał do zrozumienia, że nie obchodzi go, kto sprząta, byle było czysto. Pearson nalegała na podpisanie formalnego kontraktu i wycofała swą długą listę obiekcji, dopiero gdy okazało się, że usługa oferowana jest w ramach Programu Treningowego dla Ochotników Praktykantów Stowa-

rzyszenia Ludzkości i nie będzie konieczne wyasygnowanie żadnych pieniędzy z budżetu marynarki.

Szybkie sprawdzenie stanu prawnego przez Nelly znalazło tę małą lukę prawną i pozwoliło Kris cało wyjść z opresji. Pułkownik wyglądał na setnie ubawionego słowną przepychanką między podwładnymi kobietami.

Po wyrwaniu się z koszmaru dowództwa Kris nakazała Tomowi przeprowadzenie inwentaryzacji całego posiadanego sprzętu technicznego pod kątem stopnia uszkodzenia i przewidywanego wkładu pracy w przypadku napraw. Sama w tym czasie zajęła się sporządzeniem dokładnego i rzetelnego spisu posiadanych zapasów żywności z rozdzieleniem na zapasy marynarki i te przeznaczone na pomoc humanitarną. Ledwie zdążyła się do tego zabrać, gdy zdyszany goniec przekazał jej wiadomość, że uzbrojeni napastnicy zajęli jadłodajnię Ester Saddik, ukradli żywność, a samą kobietę dotkliwie pobili.

Kris wstrzymała się w pół kroku przed natychmiastowym pobiegnięciem do Ester. Nic dobrego by z tego nie wyszło. Deszcz pozacierał już ślady i jak zwykle pewnie nikt nic nie widział ani nie słyszał. Wyszła więc przed magazyn, aby w strugach deszczu zebrać myśli. Kierownictwo nad spisem przejął od niej Zeb.

Z tego, co przekazał goniec, Ester została już opatrzona przez najlepszego dostępnego lekarza. Pościg za sprawcami z tuzinem uzbrojonych marines był wprawdzie kuszący, ale bezsensowny. Pozostało więc rozwiązanie problemu, jak temu zapobiec w przyszłości. Dziewczyna spędziła dobrą godzinę, przemierzając magazynowy plac w tę i z powrotem i rozważając. Zdała sobie sprawę, że czasem piekło zdawało się jej pomagać, doprowadzając do sytuacji, w których starsi, bardziej doświadczeni ludzie musieli zmieniać decyzje na korzyść tego, co chciała zrobić Kris.

Podczas kolacji siadła przy stoliku z dowódcą.

- Potrzebuję pana rady, pułkowniku.

- Zaczynam się bać, gdy znów słyszę to zdanie z pani ust, poruczniku. Jakiego kota w worku chce mi pani znów sprzedać?

Kris przedstawiła sytuację w magazynie. Hancock z zadowoleniem pokiwał głową i wrócił do smarowania masłem rogalika. Wtedy przedstawiła mu problem kradzieży żywności i pobicia. Oficer opuścił w półpodniesioną rękę z pieczywem.

- I spodziewa się pani, że zrobię coś w tej sprawie?

- Panie pułkowniku? - Kris zostawiła pytanie niedopowiedziane.

Mężczyzna oparł się wygodniej.

- Nie mam wątpliwości, że doskonale zdaje sobie pani sprawę z tego, że nie jestem najwyższym notowanym oficerem starszym w korpusie i ciężą na mnie zarzuty użycia broni maszynowej przeciw pokojowej demonstracji.

- Tak, wiem o tym.

- Zdążyła się pani również zorientować co do kwalifikacji rekrutów, jakich tu mamy.

Oboje spojrzeli po sali pełnej młodych marynarzy i marines.

- Nie do końca, panie pułkowniku, ale...

- Ale co? - przerwał jej. - Ludzie, którzy założyli kolonię na tej kuli błota, uznali, że dom, w którym nie ma broni, najlepiej maszynowej, schowanej w szafie, jest niekompletny I jak tu powstrzymać te dzieciaki przed wystrzelaniem się nawzajem? Dobry Boże, czy ci idioci naprawdę myślą, że ich karabiny są w stanie zatrzymać flotę kosmicznych potworów, gdyby akurat wybrała ich na punkt przerzutowy do dokonania inwazji? Ale z drugiej strony niech mnie diabli wezmą, jeśli wystawię tym uzbrojonym bandom na strzał któregośkolwiek z moich podwładnych - powiedział twardo, po czym dodał łagodniej: - Mówi się, że ci farmerzy mają tylko kamienie i archaiczne jednostrzałówki. Bóg mi świadkiem, że słyszałem ogień z broni maszynowej. Ale w ruinach żadna broń nie została znaleziona, a nikt nie wierzy marines. Z

wyjątkiem innych marines. A ja nadal siedzę w tej przeklętej dziurze i prędeej zdechnę, niż wysłę kogoś w jeszcze gorsze miejsce.

Pułkownik zmiął serwetkę, rzucił ją na nieskończoną kolację i spojrzał spode łba.

- Tak więc, poruczniku Longknife, co zamierza pani zrobić w sprawie kradzieży żywności i pobicia starszej pani?

- Zamierzam ustawić stały posterunek wartowniczy w magazynach.

- Ustawić naszych żołnierzyków w deszczu i błocie. A także, co ważniejsze, uczynić z nich łatwe cele.

- Nie, panie pułkowniku. Przy jednym z budynków jest czteropiętrowa wieża. Z jej dachu doskonale widać cały obiekt. Zapewnia czyste linie celowania. Kazałam napęłnić worki po ryżu piaskiem i zbudować z nich stanowiska strzeleckie. Potrzebuję reflektora szperacza.

- Załatwię pani jeden.

- Zapraszam także miejscowych drobnych przedsiębiorców i duchownych, żeby brali udział w nocnych służbach.

- Żeby wydali rozkaz do strzelania?

- Nie, żeby w razie czego powołać ich jako świadków w sądzie, gdy jeden z naszych podoficerów wyda rozkaz do otwarcia ognia.

Pułkownik patrzył na Kris dłuższą chwilę.



- Całkiem nieźle, poruczniku. Wie pani, że racje wydzielane farmerom są głodowe?

- Tak, panie pułkowniku. W tym tygodniu spodziewamy się sporej dostawy.

- Pierwszy konwój, jaki się pojawi, zostanie zapewne ostrzelany, może nawet bezpośrednio zaatakowany.

- Poprowadzę go osobiście, dowódco. Chyba że pan woli sam to zrobić.

- Sorry, dzieciaku. Już się w to kiedyś bawiłem. Gdy zostaniesz wystawiony do wiatru przez przełożonych, uczysz się wyciągać korzyści z tego, że sam także jesteś czymś przełożonym.

- Dziękuję, panie pułkowniku - to wydawało się jedyną słuszną odpowiedzią.

Pułkownik zaczął wstawać od stołu.

- Jeszcze jedna sprawa - dodała Kris szybko. - Ta organizacja, która nam pomaga, prawdopodobnie zaczyna zatrudniać uzbrojonych miejscowych do ochrony jadłodajni.

Podnoszenie tacy z naczyńiami przez pułkownika wydawało się trwać wieczność.

- To, co miejscowi robią sobie nawzajem, to nie nasz zasrany interes. Proszę się tym za bardzo nie przejmować.

- Oczywiście, panie pułkowniku.

## ROZDZIAŁ 11

Pierwszą rzeczą, jaką Kris zrobiła następnego ranka, było sprawdzenie, co się dzieje w magazynach. Zeb i jego zespół pracowali przez większość nocy. Spodziewali się zakończyć inwentaryzację do następnego dnia.

Tommy pojawił się kilka minut później. Millie przybyła do dawnego hotelu, będącego obecnie koszarami, wraz z małą armią byłych pracowników hotelowych.

- Damy sobie z tym radę, miły panie, jeśli pozwoli miły pan zrobić to po naszymu. Do kolacji wszystko będzie lśnić. Więc gdyby miły pan mógł zejść nam z drogi, bylibyśmy mocno zobowiązani. Czy miły pan mógłby się już stąd ulotnić?

Tommy miał już kilka pomysłów, jak naprawić maszyny, tak więc Kris zostawiła „Miłego Pana” i skoncentrowała się na swoich planach.

Ester wróciła już do swojej jadłodajni. Przybytek ten znajdował się w budynku wymagającym naprawy z zewnątrz, jednak w środku okazał się całkiem przytulny. Obandażowana głowa starszej kobiety w niczym nie spowalniała jej ruchów.

Nelly znalazła bank z dolarami Wardhaven. Kris wyciągnęła cztery rolki, po sto monet jednodolarowych każda, i położyła przed Ester.

- Kiedy strażnicy będą przy każdej stołówce?

- Już tam są - odpowiedziała zapytana.

Dwie młodsze kobiety stojące za ladą z uśmiechem wyciągnęły spod blatu karabiny.

- To moje córki - wyjaśniła Ester. - Ich mężowie są na zewnątrz.

- A inne stołówki?

- Także mają już strażników. Żaden facet nie chce, żeby jego żonę to spotkało.

Kris wskazała rolki z pieniędzmi.

- Dopilnuj, żeby każdy otrzymał zapłatę. Może nie powinnam tego mówić, ale jeśli mój pułkownik będzie musiał się wstydzić za coś, co zrobią strażnicy, największe kłopoty będę miała ja. Jesteś w stanie sprawić, żeby tak długo, jak dostają od nas jedzenie i pieniądze...

- Zachowywali się jak najlepiej? - uśmiechnęła się Ester. - Tak, przekażę im, że babcia Ester oczekuje tylko najlepszych ze swoich chłopców.

Nie było to dokładnie to, co chciała powiedzieć Kris, a już na pewno nie spełniało to norm pułkownika dotyczących dyscypliny. Jednak prawdopodobnie było to najlepsze możliwe rozwiązanie.

Kris pożegnała się i wróciła do bazy.

Więć, że Tom potrzebuje mechaników,

szybko obiegnęła miasto i przed ogrodzeniem zebrał się tłum mężczyzn i kobiet z wykształceniem technicznym.

Tommy wybrał duży budynek naprzeciw magazynu jako warsztat naprawczy. Stał on na tyle blisko, że łatwo było objąć go ogrodzeniem otaczającym magazyny. Jeden z zatrudnionych mężczyzn okazał się właścicielem plajtującej firmy przewozowej. Bardzo zależało mu na sprzedaży swej floty, nawet za jedną dziesiątą jej wartości. Kris miała ogromne skrupuły do momentu, kiedy mężczyzna wyjaśnił jej, że za taką cenę jego pojazdy wyprzedaje bank. Jeśli to Kris je wykupi, on będzie mógł spłacić debet, a później odkupić od niej samochody.

Zawierając umowę, Fundacja Przesiedlonych Farmerów umieściła paragraf o prawie pierwokupu dla mężczyzny i ku zadowoleniu obu stron wystawiła czek. Samochody wjechały na ogrodzony teren.

O ile faktyczne załatwianie interesów odbywało się na zasadzie zaufania i praktycznie poświadczono było uściskiem dłoni, o tyle dokumentację należało zatwierdzać zarówno w sekcjach Finansów i Zaopatrzenia, jak i Sekcji Administracyjnej. Kris szybko odkryła, czemu dwie sekcje tak bardzo chciały wyjść z podporządkowania administracji. Dziewczyna nie miała żadnych proble-

mów z uzyskaniem podpisów od podoficerów. Lecz uzyskanie aprobaty Pearson zaczynało przypominać jedną z prac Heraklesa.

- Po co nam cały ten sprzęt? - prychnęła porucznik.

- Musimy naprawić to, co uległo uszkodzeniu. - Kris musiała udać się do pułkownika, aby uzyskać jego pisemną zgodę. Nawet gdy już ją miała, Pearson pięć razy odsyłała ją, by dokonała jakichś drobnych poprawek. Za każdym razem młodsza stopniem oficer wracała z nowym dokumentem.

- Po co się w to bawisz? - spytał Tommy.

- Nie musiałabym, gdybyśmy mieli jakieś samochody zdolne do użytku. Ale na razie nie mamy. Dwanaście ciężarówek pochodzących z darów nadal jest na orbicie.

Kris podpisała kolejną wersję dokumentu. Później, gdy przybyły ofiarowane samochody, była bardzo zadowolona ze swej determinacji. Okazało się, że przysłano wraki, z których najmłodszy miał blisko dwieście tysięcy kilometrów przebiegu. Mechanicy musieli dokonywać cudów, by doprowadzić je do stanu używalności.

Dziewczyna nie pozwoliła Pearson i jej przybocznym zmarnować całego swojego czasu. Do południa zajmowała się sprawami służbowymi ściśle podlegającymi marynarce. Popołudnia po-

święcała dla fundacji. Wieczorami wsiadała do jednej z ciężarówek rozwożących jedzenie do jałdłodajni i sprawdzała, co w nich słyhać. Napady i pobicia nie powtórzyły się już. Gdy Kris jechała błotnistymi ulicami Port Athens, deszcz nadal lał strumieniami, ludzie ukrywali się pod kapturami i przeskakiwali między kałużami, jednak wydawali się mniej przygnębieni. Do kwatery wracała zawsze przemoczona od stóp do głów. Gdy dowiedziała się, że system kontroli wilgotności również wymaga naprawy, a Millie zna mechanika, który może to zrobić, bez wahania zatrudniła także jego. Ciepły, suchy pokój wart był każdej ceny.

Pearson nadal tworzyła regulacje, gdy mechanicy starli smar z dłoni i zameldowali, że sześć ciężarówek gotowych jest nie tylko do jazdy w mieście, ale i do wyprawy w terenie.

Kris nie zamierzała czekać ani chwili dłużej na powstanie dokumentu normatywnego, podczas gdy na farmach głodowano. Zebrała swoich współpracowników i spytała wprost:

- Skąd powinniśmy zacząć?

- Myślę, że najgorzej jest na południu - stwierdził były doradca sprzedaży sprzętu rolniczego. - Na północy są góry i wiele kanałów, które mogą przyjąć dużą ilość wody. Na południu jest płasko. Woda nie ma gdzie spływać i zamienia okolice w bagna.

Po drugiej stronie stołu dwaj duchowni pokiwali głowami.

- To samo chcieliśmy powiedzieć - stwierdził ksiądz. - Ale, młoda damo, na południu grasuje także więcej gangów. A na bagnach trudno wam będzie ich wytropić.

- Dysponujemy dobrym sprzętem, ojcze - odpowiedziała Kris.

- Wiem, że dysponujecie, ale nie widziałem żadnego latającego w okolicy. Czy tylko mi się wydaje, czy cały ten wysiłek robiony jest jak najmniejszym kosztem?

- Ojcze - krzyknęła Ester Saddik - moja matka nauczyła mnie, że gdy ktoś wyciąga do mnie pomocną dłoń, mówię „dziękuję”, a nie zaglądam darczyńcy do portfela.

- Przepraszam.

- Nie powiedział ojciec nic, o czym sama nie pomyślałam - zapewniła Kris. - Jutro zabieram sześć ciężarówek na południe. Za dzień, dwa powinnam wrócić. Dziękuję za pomoc.

- Chcesz ze sobą zabrać kilku naszych ochroniarzy? - spytała Ester.

Kris wcześniej długo nad tym myślała. Uzbrojeni cywile konwojujący marynarkę nie wyglądaliby dobrze. Jako świadkowie? Też nie.

- To jest przedstawienie organizowane przez marynarkę, proszę pani. Zrobimy to po na-

szemu.

Ciężarówki okazały się ośmiokołowcami, ze wszystkimi kołami skrętnymi. Kris wystarczyło, że się obracały. Każda kabina miała dwa rzędy siedzeń. Czasy żołnierzy jeżdżących na pakach ciężarówek dawno minęły ze względu na brak pasów bezpieczeństwa.

Na tylnych siedzeniach każdego pojazdu Kris posadziła trzech strzelców. To zostawiało miejsce dla kierowcy i dowódcy pojazdu z przodu. Jako najstarsza stopniem i dowódca całego konwoju postanowiła jechać pierwszym samochodem. W zasadzie powinna umieścić Toma w ostatnim, ale przekonał ją, aby być jej kierowcą, dwóch oficerów w pierwszym samochodzie mogło także okazać się pomocnych. W dwóch samochodach zasiadło dwoje podoficerów.

- Albo wyrywam się z biura, albo kontrola znajdzie coś dziwnego w finansach - zagroził półżartem księgowy. Niestety, gdy ulegniesz jednemu szantażowi, następne pojawiają się jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Spalę tosty, jeśli nie dostanę ciężarówki - uśmiechnęła się Courtney.

W trzech kolejnych pojazdach byli tylko marynarze, zaś ostatni, szósty, na wyłączność dostali marines.

Gdy konwój ruszył, Kris zdała sobie spr-



wę, że nareszcie ma wolną chwilę na rozwiązanie łamigłówki, która od dłuższego czasu nie dawała jej spokoju. Według powszechnie panującej opinii wszyscy mieszkańcy planety są uzbrojeni. Z całą pewnością dotyczyło to mieszkańców miast. Jak więc doszło do tego, że dokonywano napadów na farmy położone na wsi i nikt o tym nie wiedział, tak jakby ich mieszkańcy stracili kontakt z siecią? Zdjęcia orbitalne ukazywały, że wszystkie farmy położone były na otwartym terenie, z doskonałym polem obserwacji i ostrzału. Każdy potencjalny napastnik powinien zostać zauważony i zastrzelony pięćset metrów od zabudowań. No dobrze, mogło się zdarzyć, że jedna, góra dwie farmy zostały wzięte z zaskoczenia, ale nie pięć. A tyle właśnie miał odwiedzić konwój. Coś tu było mocno nie tak.

Dla trzech młodych marynarzy siedzących na tylnym siedzeniu coś faktycznie było nie tak, choć nie chodziło o ten sam problem, który trafił Kris.

- Nie po to wstąpiłem do marynarki, żeby być chłopcem rozwożącym pizzę - powiedział jeden z nich, nie zważając na obecność oficerów.

- Do diabła - zgodził się inny - gdybym chciał być dostarczycielem, zostałbym w domu i pracował w sklepie ojca.

O tyle dobrze, że tutaj, gdy zakończymy

zmianę, mamy całą noc dla siebie. Bez urazy, pani porucznik, to nie pani wina, że raz w tygodniu musimy przyjąć nocną wartę.

- W porządku - zapewniła Kris, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że jej podwładni wiedzą, że sprawcą ich nocnych dyżurów była właśnie ona.

- I co z posiadania czasu wolnego - dodała trzecia osoba, kobieta - gdy nie ma gdzie wyjść. Ciągle tylko deszcz i deszcz. Wstąp do marynarki i spędź uroczy miesiąc w błocie.

Pierwszy z rozmówców już miał kolejne argumenty.

- Wstąpiłem do marynarki, żeby zostać strzelcem pokładowym. Miałem najlepsze rezultaty w „Tuckwillow” i „Spacefightera”. Nikt tak nie potrafił wybijać owadopodobnych potworów jak ja.

- Niestety, nie spotkaliśmy jeszcze kosmitów - włączyła się Kris. - Dostarczanie żywności głodującym jest nieco bardziej stresujące od zwalczania nieistniejących potworów.

- Wiem. Pani jest oficerem i musi pani tak myśleć. Ale ja? Dajcie mi czterocalowy laser i szwadron atakujących skurczybyków, a zobaczycie, co potrafię. A to, co robimy, jest tylko sprawianiem, że naprawiacze świata z Ziemi, siedząc na swoich miękkich kanapach, czują się zadowo-

leni z siebie, ponieważ płacą podatki. Powinni tu przyjechać na trochę i potaplać się w błocie.

Kris nie powiedziała, że na Wardhaven także są naprawiacze i że właśnie dlatego wstąpiła do marynarki.

Pierwsza farma, do której zajechali, była ogromna. Właściciele, ich żony, dzieci, wnuki zamieszkiwali kilkadziesiąt budynków jednorodzinnych. Znaleźli tu także miejsce uchodźcy z mniejszych farm. Zanim stracili łączność z siecią, zdążyli powiadomić o zbliżającej się grupie bandytów w ciężarówkach i na koniach. Kris pokręciła z niedowierzaniem głową. Przy tej ilości ludzi powinni być w stanie wystawić ciągłą wartę.

Zbliżając się do stacji, dziewczyna porównała mapę z rzeczywistością. Błotnista droga była wystarczająco szeroka dla dwóch samochodów, ale wymagała naprawy Tom musiał jechać od skraju do skraju, omijając co głębsze dziury. Po obu stronach drogi rozciągały się pola niezebranego i na wpół przegniłego zboża. Kris odnotowała w pamięci, że pole obserwacji jest praktycznie nieograniczone i rozciąga się aż do strumienia, który wystąpił z brzegów. Porzucony ciągnik stał po osie w błocie. Takie bagna powinny skanalizować każdą próbę ataku, najeźdźcy musieli przybyć drogą. Dlaczego więc nie zostali odparci?

W co pchał się mały konwój Kris?

- Ładuj! - wydała polecenie, gdy przekraczali bramę posiadłości. To sprawiło, że kilku marynarzom od razu poprawiły się humory. Tom nie dotknął nawet swojego karabinka.

- Nie mogę jednocześnie używać tego i prowadzić - wyjaśnił.

Przed katastrofą to musiała być dobrze prosperująca farma.

Wielki dom stał na środku, otoczony całą osadą pomniejszych. Nikt nie wyszedł na powitanie przybyszów.

Kris nakazała załogom pozostałych pojazdów zająć pozycje ubezpieczające, uprzednio wyjaśniając im, co ma na myśli. Pierwszy samochód podjechał powoli. Być może zauważyła jakiś ruch za oknem, a może w drzwiach błysnęła lufa broni. Z grymasem zaciętości na twarzy dziewczyna podbiegła do drzwi, krzycząc jednocześnie do mikrofonu:

- Tu podporucznik Kris Longknife z Marynarki Stowarzyszenia Ludzkości - jej głos huczał z głośników. - Przywieźliśmy jedzenie. Zniknęliście z sieci parę miesięcy temu. Czy potrzebujecie pomocy?

Drzwi otworzyły się. Wyszło z nich trzech mężczyzn i zaczęło iść w stronę Kris. Z sąsiedniego budynku wyrzało kilka kobiet, niektóre z dziećmi na rękach.

Spotkali się w połowie drogi. Wysoki, łysy mężczyzna uściskał rękę Kris.

- Nazywam się Jason McDowell. Mój ojciec założył tę farmę. - Gestem przywołał drobną, siwiejącą kobietę. - To moja żona, Letishia.

- Mam dla was paczki żywnościowe. Chciałabym zostawić zapasy na miesiąc. Ilu macie mieszkańców?

- Około setki, ale zapasy na miesiąc to za dużo. Wróć i nam zabiorą - dodał smutno.

- Możemy trochę ukryć, Jason - szepnęła żona.

- Kazali nam zgłaszać każdą posiadaną żywność. Kazali nam. Ktoś mógłby im donieść.

Żona spojrzała w bok, ale przytaknęła skinieniem głowy.

- Wydaje mi się, że możemy przyjeżdżać tutaj raz na tydzień - zaoferowała Kris, choć sama nie była pewna, czy naprawdę są w stanie. Z pozostałych budynków zaczęli wychodzić ludzie. Ich liczba rosła. Kris spodziewała się zobaczyć broń. Nikt z mieszkańców jej nie miał. - Zanim zostawię żywność, potrzebuję sprawdzić wasze karty identyfikacyjne.

- Nie mamy, wszystkie nam zabrali - słowa Jasona zabrzmiały jak stalowe kulki rzucone na metal.

- Czy to znaczy, że nie możecie nam po-

móc? – spytała Letishia łamiącym się głosem. Dwie milczące kobiety za jej plecami mocniej przytuliły dzieci.

– Nie po to jechaliśmy do głodnych ludzi, żeby im oznajmić, że nie możemy im pomóc z powodu biurokratycznych bzdur – powiedziała Kris. „A porucznik Pearson może sobie kończyć swoje rozporządzenia w piekle!” – Tom, dawaj tu naszym.

Choć teraz rozwiązała problem, jednak utrata kart tożsamości to była poważna sprawa. Przez ostatni miesiąc można było tym ludziom na przykład wyczyścić konta bankowe. Nie mogli także zalogować się do sieci. Zostali praktycznie odcięci od cywilizacji.

To nie wyglądało na robotę lokalnych chuliganów.

– Skoro nie ma kart, potrzebuję zdjęć was wszystkich. Tom, przynieś aparat.

– Jeśli oni mają łącze, mogę sprawdzić nasze konta – powiedział jeden z mężczyzn towarzyszących Jasonowi.

– Zrób to, Jerry.

– Tom, zapewnij temu człowiekowi dostęp do netu.

Zastępca przyjmował kolejne polecenia z uśmiechem.

– Robi się, pani porucznik.

- Czy możecie przyprowadzić tu wszystkich? - spytała Kris.

- Moja matka leży w łóżku - rzekł Jason. - Myślę, że możemy ją znieść, ale...

- Ja do niej pójdę. Po prostu staram się, żeby kontrola finansowa nie rozstrzelała mnie zaraz na wstępie.

- Rozumiem. Jesteśmy biznesmenami... - Jason przerwał, rozejrzał się po zrujnowanej okolicy. - Byliśmy.

- I znów będziemy - powiedziała jego żona, podając mu rękę, którą odrzucił. Jako oficer Kris powinna zostawić prywatne sprawy im samym. Jednak Judith nie pozwoliłaby Kris odejść od tej pary bez dowiedzenia się, przed czym uciekają. A Kris zawdzięczała Judith życie. Teraz jednak musiała wejść do domu, by zrobić zdjęcie niewychodzącej z łóżka kobiecie. Drewniany dom był czysty i schludny. Sprzęty wypolerowane od ciągłego użytkowania. Kris zdjęła poncho i weszła na drugie piętro.

W sypialni, wypełnionej robótkami ręcznymi, na ogromnym łóżku leżała kobieta. Jęczała z bólu. Trzema szybkimi skokami dziewczyna dopadła łóżka i klęknęła przy nim. Podniosła kołdrę. Na całym ciele kobiety mimo upływu kilku tygodni nadal widać było ślady niehumanitarnego pobicia.

- Mamy w konwoju medyka - powiedziała

do Jasona, który wszedł za nią. – Czy mogę kazać jej obejrzeć pana matkę?

– Zrobiliśmy dla mamy, co mogliśmy – odpowiedział mężczyzna, starając się nie patrzeć na starszą kobietę.

– Macie środki przeciwbólowe? – spytała jego żona. – Nasze zabrali.

– Tom, przyslij medyka.

– Tak jest.

Kris podniosła się znad łóżka i spojrzała na parę.

– Powiecie mi, co tu się stało? Gdy dostałam rozkaz wylotu na Olimpię, każdy mi powtarzał, żebym uważała, bo wszyscy noszą broń. Nasz pułkownik z tego powodu nie pozwala nam po zmroku wychodzić na ulicę. A ja nie widzę tu żadnej broni. – Wskazała pusty stojak na karabiny. – Gdzie jest?

– Znikła, po prostu znikła – odpowiedział mężczyzna. – I tak to zostawmy, marynarzu.

– Mój mąż wszedł w pole – słabo zaczęła kobieta.

Mąż odwrócił się w kierunku żony, wzrokiem błagając, by zamilkła. Skrzyżowali spojrzenia. Kobieta nie spuściła wzroku, uczynił to mężczyzna.

– Farma to nie jest coś, czym się zajmujesz, kiedy masz na to ochotę. Nie gdy jesteś ta-



kim człowiekiem jak Jason i jego rodzina. Jego ojciec wydarł tę farmę przyrodzie. Gdy przybyli tu pięćdziesiąt lat temu, w tym miejscu były bagna. Osuszyli je za pomocą pomp, które trzeba sprawdzać. Pompy są przy strumieniu.

- Było nas pięciu. - Jason siadł na podłodze. - Wszyscy uzbrojeni. Wiedzieliśmy, że - zawiesił głos w poszukiwaniu odpowiedniego słowa - ci ludzie są w pobliżu. Wydawało nam się, że zobaczymy, kiedy nadchodzą.

Jason spojrział na Kris.

- Jesteśmy dobrymi strzelcami. Ćwiczyliśmy z ojcem co najmniej raz w tygodniu. Na bagnach żyją bawoły, które tratują nasze zboże. Jesteśmy dobrzy w polowaniu na nie. Wyszli z bagien, musieli oddychać przez jakieś rurki czy coś. Rzucili się na nas, zanim się zorientowaliśmy, że się pojawili. Gdybyśmy sięgnęli po broń, poszatkovaliby nas. - Mężczyzna spojrział na żonę. Głos mu się załamał: - Kochanie, tak bardzo żałuję, że nie walczyliśmy.

Kobieta usiadła obok męża, ten pochylił się nad jej ramieniem i zaczął płakać. Kris bardzo rzadko widywała płaczących mężczyzn. Kobieta na łóżku jęknęła, usiłując ułożyć się wygodniej. Młoda oficer wstała, jej dłoń bezwiednie oparła się na kolbie pistoletu. Wstąpiła do marynarki, by zająć się pewnymi sprawami. W obecnej chwili

bandyści wyprzedzali ją. Nie podobał jej się taki obrót spraw.

Ponieważ Jason szlochał cały czas, Letishia podjęła opowieść.

- Ciężarówki zatrzymały się czterysta metrów od zabudowań. Wyszło z nich kilkunastu mężczyzn. Sami obcy.

Mieliśmy ich wszystkich na celownikach. Jeden z nich krzyknął: „Kobieto, trzymam na muszce twojego męża. Niech wasi ludzie rzucają broń, to wszyscy wyjdą z tego żywi. W przeciwnym razie twój chłop zginie pierwszy”.

- Mówiłem ci, żebyś strzelała - w głosie męża brzmiała prośba o zrozumienie i wybaczenie. - Krzyczałem do ciebie, krzyczałem, żebyś strzelała.

Kris zastanawiała się, co zrobiłaby jako żona.

- Z ciężarówek wyszło więcej mężczyzn - kontynuowała kobieta. - Rozeszli się po placu. Było ich około trzydziestu, czterdziestu. Mamy dzieci. - Spojrzała na Kris, oczekując zrozumienia. - Niektórzy z naszych chcieli walczyć. Za wszelką cenę, bez względu na koszty i do diabła z tym wszystkim.

Popatrzyła twardo w oczy Kris.

- Tam były nasze dzieci. To kobiety przegłosowały złożenie broni. - Zerknęła na męża. -

Może gdybyśmy wiedziały, co stanie się później, walczyłybyśmy. Niektóre z nas mówią, że trzeba było. Ale to mniejszość.

Kris już miała na końcu języka stwierdzenie, że Letishia nie musi opowiadać dalej. Znała już zakończenie. Ale gdy kobieta doszła tak daleko, musiała z siebie wyrzucić wszystko.

- Najpierw zabrali nam broń, potem jedzenie, karty i wszystko, co według nich miało jakąś wartość. Potem powiązali mężczyzn ze sobą. A następnie na oczach naszych mężów i dzieci, w tym błocie, zgwałcili nas. Wydawało się, że to ma dla nich jakieś szczególne znaczenie. Ojciec Jasona, jej mąż - wskazała na leżącą kobietę - rzucił się na nich pomimo więzów.

- Dlaczego ja tego nie zrobiłem? - jęknął Jason.

- Ponieważ powiedziałam ci, żebyś tego nie robił. Ponieważ gdybyś to zrobił, zastrzeliliby cię tak jak jego, a mnie pobiliby tak jak ją. - Westchnęła głośno. - Żyjemy. U Sullivanów wszyscy zginęli. Pozarzynali dzieciaki jak prosięta, ponieważ dorośli próbowali walczyć. Żyjemy, Jason. - Ujęła twarz męża w dłonie. - Żyjemy. Wszyscy jakoś z tego wyjdziemy.

- I powiesimy tych drani - szepnął Jason.

- Jeśli nam się uda. Wszystko w rękach Boga.

Przybyła ratowniczką medyczną, Kris zostawiła z nią żonę farmera i zeszła na dół. Na zewnątrz zatrzymała się. Jej misja miała na celu dostarczenie żywności. Zasady użycia siły pozwalały jej tylko odpowiedzieć ogniem na bezpośredni atak.

- No chodźcie, skurwysyny - szepnęła - mam trzydziestu strzelców i nie mam dzieci w konwoju. Wiecie, że tu jestem. Wiecie, że mam to, czego chcecie. Chodźcie to sobie zabrać. Proszę.

Gdy szła przez plac, spotkała mężczyznę, który uprzednio poszedł sprawdzić finanse.

- Sprzedali farmę, podszyli się pod nas i sprzedali.

Kris zatrzymała go.

- Nagrywam oświadczenie do celów prawnosądowych - powiedziała do niego i Nelly.

- Może to pani zrobić?

- To i więcej.

Kris szybko opisała okoliczności znalezienia farmy, kradzieży kart identyfikacyjnych oraz utraty łączności przez mieszkańców.

- Oświadczam, że wszystkie czynności prawne i finansowe podjęte pomiędzy utratą łączności przez tę stację i chwilą obecną są nielegalne i z mocy prawa nieobowiązujące. Ja, Kristine Anne Longknife, potwierdzam prawdziwość tego oświadczenia tu i w dowolnym sądzie - zakończy-

ła.

- Dziękuję - powiedział młody człowiek.

- Zobaczymy, co jeszcze da się zrobić - odparła i zwróciła się do Toma, który właśnie nadszedł. - Skończyliśmy?

- Myślę, że tak. Mamy zdjęcia wszystkich. Nawet Pearson nie powinna się czepiać.

- To dobrze, pakujemy się i ruszamy. Mamy więcej do zrobienia.

- Tak jest, pani porucznik. - Tom podszedł bliżej. - Kris, stało się coś? Wyglądasz, jakbyś chciała kogoś zabić.

- Nie ma w tym nic złego - powiedziała szybko. - Jesteśmy uzbrojeni, a tam są bandziory. Wszyscy na koń! Mamy jeszcze inne miejsca do odwiedzenia!

Żołnierze zaczęli zbierać sprzęt. Wyglądali, jakby wcale nie było im spieszno do odjazdu. Kilkoro trzymało na rękach dzieci.

- Pani porucznik - zaczął jeden ze strzelców z tylnego siedzenia - te gnojki pewnie wrócą. Zabiorą to, co właśnie zostawiliśmy. Czy moglibyśmy przynajmniej wziąć dzieci do miasta? Jedna z mam powiedziała mi, że tak czułaby się bezpieczniejsza i dzieci łatwiej byłoby wyżywić w mieście.

- Być może w przyszłym tygodniu. Nie teraz - ucięła Kris. - Powiedziałam: ruszać się i chcę zobaczyć ruchy!

Jason wyszedł z dużego domu, zauważył ją i zaczął biec w jej kierunku. Pomimo całego wyczerpania udało mu się postawić stopę na stopniu ciężarówki, zanim ruszyli.

- Ci ludzie używają bagien jako schronienia. Jeśli ominiecie bagna, unikniecie ich.

Kris wyciągnęła mapę i pokazała mu, pokikwał głową.

- Za jakieś osiem kilometrów dotrzecie do Bagna Martwej Krowy, które musicie objechać.

- Nie możemy. - Zdała sobie sprawę, że się uśmiecha drapieżnie. - Wszystko dookoła jest zalane. To jedyna utwardzona droga. Będziemy się jej trzymać.

- Będą na was czekać.

- Mam taką nadzieję. - Pozwoliła uśmiechowi rozlać się na całą twarz. „Dziadzio »Kłopot« byłby dumny”.

- Chcę tylko, żeby pani wiedziała, w co się pakuje.

Kris wskazała linię pojazdów.

- Nie ma tu dzieci. Tylko marynarze i marines. Za to nam płacą.

- Proszę uważać, pani porucznik. Wydało mi się, że wszystko mogę znieść. Boże, jak się myliłem.

- Gdy tu przyjadę za tydzień, mogę mieć kilka zdjęć do identyfikacji. Może się także zda-

rzyć, że nie będziecie musieli czekać aż do końca tego bałaganu, żeby zobaczyć niektórych z tych bandziorów na stryczku.

„Zaczyna mi się to podobać!”

- Bądźcie ostrożni!

- Nie za to nam płacą - odpowiedziała, wyglądając do tyłu przez okno. Wszyscy podwładni byli już w pojazdach. - Tom, ruszamy!

- Tak jest!

W lusterku zobaczyła, jak Jason chodzi od grupki do grupki, ludzie padali na kolana, poruszając ustami.

- Módlcie się za tych drani przed nami, a nie za mnie i moją ekipę - powiedziała cicho Kris przez zaciśnięte zęby.

- Czy byłabyś łaskawa wyjaśnić mi, co się, do cholery, dzieje? - spytał Tom, zaciskając dłonie na kierownicy tak, że zbieleły mu kostki. - Jestem twoim zastępcą i jeśli coś ci się stanie, powinienem wiedzieć, co robić.

Kris włączyła mikrofon.

- Właśnie widzieliście, dlaczego tu jesteśmy. Ci ludzie umierają z głodu, bo jacyś bandyci ukradli im to, co wyhodowali. Zabili starego człowieka i pobili jego żonę. Zgwałcili większość kobiet, które tam spotkaliście.

- Zgwałcili. - Na siedzących z tyłu podziało to jak szok elektryczny. Jeśli dotąd nie mieli

pełnego obrazu sytuacji, to właśnie go otrzymali.

- Nawet dziewczynki - warknęła Kris. - Niektórzy z was mają już dość bycia doręczycielami. Może mogliście zostać w domu i rozwozić pizzę, co czyniliśmy do tej pory. No cóż, powiedziano mi, że nasza droga za chwilę stanie się niebezpieczna. Te śmiecie lubią kraść, a ciężarówki są jedynym wartościowym towarem dzisiaj na tej drodze. Załoga, ładuj! Nadchodzi czas zapłaty i to my zbieramy datki!

Kris odwróciła się do Toma. Podczas jej przemowy sprawdzał trasę na wyświetlaczu samochodowym. Przełączył na obraz hybrydowy i wskazał palcem Bagno Martwej Krowy.

- Tu?

- Na to wygląda.

Tom uważniej przyjrzał się mapie.

- Możemy nadłożyć pięć kilometrów. Tu jest inna droga, która przebiega po nasypie.

- Moim zdaniem, jest zalana - przerwała mu Kris. - Mamy żywność do dostarczenia. Jeśli będziemy objeżdżać każde potencjalnie niebezpieczne miejsce, nie ma szans, żebyśmy na noc wrócili do bazy.

- Moglibyśmy zanoć w jednej z farm. Ludzie wyglądają na gościnnych. Będą zadowoleni, jeśli zostaniemy.

- Na jutro mamy przewidziane inne dosta-



wy. Tom, trzymamy się tej drogi. Sugeruję, żebyś sprawdził broń. Nigdy nie widziałam cię strzelającego.

- Musiałem trenować, żeby skończyć studium.

- Ile wystrzelałeś?

- Niezbędne minimum.

- Na litość boską, Tom, jesteś oficerem marynarki. Wiedziałeś, że to część naszej roboty, gdy się zaciągałeś.

- Jak może zauważyłaś, prowadzę ciężarówkę. Dostarczam żywność głodującym. W domu ksiądz powtarzał: „Nie zabijaj!” za każdym razem, gdy w mieście była rozróżba. Wstąpiłem do marynarki, żeby spłacić kredyt na czesne, a nie żeby zabijać.

- Nawet ludzi, którzy gwałcą, zabijają i zabierają ostatnią kromkę chleba głodującym dzieciom?

Tommy spojrział przed siebie.

- Nie to miałem na myśli.

- Ale taka jest rzeczywistość.

Na tylnym siedzeniu panowała cisza. O czym myśleli szeregowi? Czy w ogóle miało to dla nich znaczenie? Dostali swoje rozkazy. Mogli je po prostu wykonać. Czemu więc Kris traciła czas na kłótnie z Tomem? Miała co innego do roboty.

Ponownie włączyła mikrofon.

- Tu Longknife. Opuścić szyby w oknach. Nie chcę, żeby kawałki szkła kogoś poraniły.

Spojrzała przez przednią szybę, sprawdzając ją. Okno po jej stronie kabiny pojechało w dół, pozwalając strugom deszczu wedrzeć się do wnętrza. Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu, kołysząc się na boki, gdy Tom starał się omijać największe dziury.

- Pani porucznik - zabrzmiało z tyłu. Pytającym nie był niedoszły bohater. Ten był biały jak kartka papieru i wyglądał przez otwarte okno. To kobieta siedząca w środku rozpoczęła rozmowę.

- Tak?

- Możemy zastrzelić tych ludzi?

- Jeśli będą do nas strzelać, odpowiemy ogniem.

- Mama i ksiądz zawsze powtarzają, że śmierć należy do Boga i lekarzy. To dlatego gangi są złe. A teraz pani mówi, że zabijanie jest w porządku. Jest pani tego pewna?

Kris wychowała się w środowisku polityków, w którym robi się wszystko, co konieczne, by wygrać wybory Dziadek Tordon wkroczył w jej życie jak rycerz w błyszczącej zbroi, gdy była w tak głębokim dołku, że nie widziała już wyjścia. Uwielbiała czytać o tym, czego dokonał na wojnie. On i dziadek Ray. Nawet prababcie Ruth i Rita były opisane w książkach do historii. Oczywiście

ście, że Kris знаła piąte przykazanie. Ale dla niej nigdy nie oznaczało ono zakazu absolutnego. Oczywiście, że zamiast zabijać muchę, Harvey mógł ją wynieść za drzwi, ale on walczył z dziadkiem Rayem w bitwie pod Gap i był z tego cholernie dumny.

- Według mnie - Kris zaczęła powoli, dobierając słowa tak, by przyniosły ulgę strapionym duszom podwładnych - jest czas budowania i czas niszczenia. Czas życia i czas śmierci. Twierdzę, że jeśli ci ludzie otworzą do nas ogień, to znaczy, że nastał ich dzień śmierci. Ale mogą również złożyć broń i poddać się. A potem zawisnąć na stryczku, gdy sąd już zakończy ich sprawę.

Porucznik odwróciła się, by zobaczyć reakcję trojga rekrutów, byli kredowobiali. Chłopak pośrodku nerwowo oblizywał usta. Dziewczyna macała broń, jak gdyby sprawdzając, czy jest prawdziwa. Niedoszły bohater spojrzał na Kris i odwrócił się w stronę okna.

- To, co ci ludzie zrobili na farmie, wyrzuciło ich poza granice człowieczeństwa. Jeśli zaczną do nas strzelać, pozabijamy ich jak wściekłe psy, którymi się stali. Takie macie rozkazy Wykonacie je. Jeśli się mylę, to ja poniosę za to odpowiedzialność, nie wy.

- Ale oni pozostaną tak samo martwi, niezależnie od tego, co orzeknie sąd - powiedział ten

w środku.

- Trochę tak jak z pułkownikiem - dodała kobieta.

Rozmowa nie przebiegała tak, jak spodziewała się Kris. W książkach historycznych nie było miejsca dla filozofujących żołnierzy. Z drugiej strony to nie byli typowi żołnierze, tylko marynarze, świeżo po szkoleniu podstawowym. Może Kris powinna nakazać marines przesunąć ich pojazd bliżej początku konwoju?

„Chyba powinnam to wszystko jeszcze raz przemyśleć”.

Obróciła się na fotelu. Podczas gdy rozmawiała, otwarta przestrzeń ustąpiła miejsca drzewom i zaroślom. Niektóre drzewa były obalone. Pnie i korzenie leżały w stojącej wodzie. Kris spojrzała na drogę, wzdłuż której ciągnęły się rowy melioracyjne. W jaki sposób mogłaby je ominąć? Nie było takiej możliwości, nawet gdyby chciała. Oblizując wargi, odrzuciła tę myśl. Na dobre czy złe, konwój posuwał się naprzód.

Dziewczyna wybiegła myślami w najbliższą przyszłość. Czy wszystko zrobiła? O czym zapomniała? To był prawdopodobnie odwieczny dylemat dowódców. Co nie zostało zrobione? Poczuli narastającą panikę. Nikt nie wspominał o tym w książkach.

Sprawdziła broń, przypatrując się jedno-

czesnie drzewom rosnącym coraz bliżej drogi. Ponownie uruchomiła mikrofon.

- Longknife do wszystkich, należy spodziewać się, że cele ukrywają się za drzewami. Wasze karabinki posiadają dalmierze, które automatycznie dobierają wielkość ładunku dla strzałek. Ze względu na grubość pni nastąpią przekłamania i ładunek będzie zbyt mały. Ustawcie ręcznie przełącznik na maksimum.

- Pani porucznik - odezwał się drżący głos za nią - który to przełącznik?

- Ten z przodu. Ten bliżej wylotu lufy - uściśliła Kris. - Przed wyłącznikiem strzałek usypiających.

- Dziękuję bardzo.

Odruchy świadczące o dobrym wychowaniu wydawały się takie nie na miejscu w tym momencie. Wszystko związane z cywilizacją wydawało się nieodpowiednie. Kris właśnie zaczynała to mówić, gdy samochód wszedł w ostry zakręt. Drzewa, które dotychczas zasłaniały jej widok, przestały stanowić przeszkodę. Około trzystu metrów przed nimi leżał zwalony pień.

Porucznik szybko oceniła sytuację. Nie widać było korzeni, tylko ślady świeżego cięcia. Przy drodze sterczał jeszcze pniak. Kris przełączyła optykę broni na termowizję. „Tak, trzy osoby za pniem”. Przesunęła celownikiem po linii drzew w

obie strony. „Więcej obrazów termalnych, dziesięć, dwadzieścia”. Przypomniała sobie opowieść Jaso-  
na o ludziach wyłaniających się z wody. Przeska-  
nowała kanał. W kilku miejscach woda wydawała  
się cieplejsza, ale nurt, choć bardzo powolny, roz-  
mazywał obraz.

Tom zwolnił.

- Jak blisko chcesz podjechać, Longknife?

- zapytał przez zaciśnięte zęby.

Kris szybko przebiegła myślami przez do-  
stępne opcje. Wjechać w pułapkę i tam się zatrzy-  
mać, pozwolić bandytom zaatakować najpierw i  
odpowiedzieć ogniem? Miała więcej ludzi... Po-  
prawka, miała więcej rekrutów. Jej przeciwnikami  
byli zdesperowani zabójcy. Jeszcze raz spojrzała  
na kanał, myśląc o strzelcach, którzy zaatakowali  
farmerów.

- Zatrzymaj się tutaj - rozkazała.

Tom wyhamował łagodnie na środku dro-  
gi, około dwustu metrów przed przeszkodą. Przez  
jakieś dwie minuty obserwowali barykadę, nic się  
nie wydarzyło.

- Rzućcie broń, to nikomu nic się nie sta-  
nie - rozległo się nagle wśród bagien, płosząc pta-  
ki. Kris zmarszczyła brwi. Miała właśnie powie-  
dzieć dokładnie to samo.

No tak, to wyjaśniało sprawę zamiarów.  
Kris wycelowała broń w najwyraźniejszy obraz

termalny za powalonym drzewem. Uruchomiła mikrofon.

- Ognia!

Wykonując własną komendę, posłała długą serię w drzewo, przesuając karabinek w lewo i w prawo. Ktoś próbował wstać, uciekać. Nie przebiegł zbyt daleko.

Dziewczyna przeniosła punkt celowania na kanał i wystrzeliła w miejsce, gdzie woda była cieplejsza. Mężczyzna, który wyłonił się, unosząc fontannę kropel, zaczął składać się do strzału. Upadł na plecy trafiony serią strzałek w klatkę piersiową.

Jakieś cienie przesuwały się w wodzie, by wypełznąć z prawej strony Kris. Szarpnęła drzwi. Gdy się otworzyły, wyskoczyła z samochodu pochylona i wylądowała w klęku za przednią oponą. Wystrzeliła krótką serię w człowieka leżącego na poboczu. Znieruchomiał obok karabinu, który wypadł mu z dłoni.

Wycelowała do następnego. Ten odrzucił broń, przetoczył się na plecy i uniósł ręce.

- Rzućcie broń, to przeżyjecie - Kris usłyszała swój głos, zagłuszający nawet strzelaninę. - Albo ją zatrzymajcie i jesteście trupami.

Pięć, sześć osób na boku drogi uniosło się na kolana z rękami w górze. Dziewczyna powiodła bronią wzdłuż linii drzew po swojej prawej

stronie. Ludzie stali, machając wysoko uniesionymi rękoma. Spojrzała przez ramię. Lewa strona wyglądała podobnie.

- Ty. - Wskazała na dziewczynę-rekruta wciąż siedzącą na tylnym siedzeniu. - Obejmujesz straż nad więźniami.

- Tak jest, pani porucznik - głos wskazanej był chrapliwym szeptem. Drżała, gdy wysiadła z ciężarówki. Kris spuściła wzrok ze swojej broni i ujrzała coś, czego nie spodziewała się w swych najgorszych obawach. Bezpiecznik karabinka rekrutki nadal był włączony.

- Odbezpiecz broń - szepnęła. Odpowiedziało jej puste spojrzenie. Kris sięgnęła i przełączyła bezpiecznik na czerwone pole. - Teraz będzie strzelać.

Rekrutka spojrzała w dół.

- Och! - I powróciła do nieskoordynowanego machania karabinkiem przed więźniami.

- Wy tam, na bagnach, wychodźcie powoli na drogę - rozkazała porucznik. - Bez gwałtownych ruchów. Gdy już będziecie na drodze, kładźcie się na środek.

Spojrzała na ciężarówkę, Tom właśnie wyciągał karabinek z kabury w drzwiach. Dwaj młodzi marynarze siedzieli nieruchomo, wzrokiem i bronią kryjąc lewą stronę, nie będąc w stanie zrobić niczego innego.



- Nic wam nie jest? - spytała. Kiedy nie odpowiedzieli, powtórzyła pytanie: - Hej, wszystko w porządku?

Niedoszły bohater mrugnął dwa razy... był śmiertelnie przerażony.

Od tyłu konwoju przybyło dwóch marines z bronią gotową do strzału. Przynajmniej ich podczas szkolenia podstawowego nauczono, jak odbezpieczyć broń.

- Kryjcie tę stronę - krzyknęła Kris. Gestem potwierdzili zrozumienie polecenia.

Przenosząc się na lewą stronę konwoju, podporucznik zobaczyła pozostałych trzech marines posuwających się wzdłuż konwoju i prowadzących pod bronią kolejnych zatrzymanych.

- Tego ja dostałem - mówił jeden z podwładnych.

- Nie, to ja go dorwałem - zaproponował inny.

- Nie, ja strzelałem w tę kępę krzaków. - Marine pokazał zarośla nieopodal drzewa.

- Ja też, przyjacielu, to ja go trafiłem.

- Obaj go trafiliście - ucięła dalszą sprzeczkę Kris. - Pilnujcie pozostałych. Nie chcę, żeby ktokolwiek uciekł.

Ten właśnie moment wykorzystał jeden z zatrzymanych, by rzucić się przed siebie w szaleńczym biegu.

Wskoczył do wody. Kris czekała, aż się wynurzy. Gdy to nie następowało, spojrzała w termowizji, ale woda był zbyt wzburzona.

- Wydaje mi się, że temu jednemu udało się urwać - zauważył Tommy, wysiadając z ciężarówki.

Kris zmarszczyła brwi.

- Więźniowie, ostrzegam was. Następny, który podniesie się bez pozwolenia, zostanie na miejscu zastrzelony.

- Ale oni są bezbronni - powiedziała kobieta za plecami dowódcy.

- Próbują ucieczki - skomentowała Kris - a poza tym dopóki ich nie przeszukamy, nie możemy uważać jeńców za bezbronnych. Wszyscy wysiadać z samochodów. Potrzebuję ludzi do przeprowadzenia przeszukania.

Ciężarówki opróżniły się.

Rekruci zabrali ze sobą broń. Połowa karabinków nadal była zabezpieczona. Pozostałe także nie wyglądały, jakby wymagały czyszczenia. W tym momencie Kris uświadomiła sobie, czemu cała potyczka wydawała jej się taka cicha. Strzelali tylko ona i marines. Oraz bandyci, oczywiście.

Pary rekrutów marynarki powoli sformowały z zatrzymanych linię. Podczas gdy jeden z rekrutów celował w zatrzymanego, drugi sprawdzał, czy leżący nie posiada jakiejś ukrytej broni.

- Hej, to dziewczyna - powiedział jeden z przeszukujących i cofnął się dwa kroki. Leżąca bluznęła potokiem słów, jakich próżno by się spodziewać u dobrze wychowanej młodej damy.

Kris przywołała jedną z podwładnych, by ta dokończyła przeszukanie. Następnie przypatrzyła się wolno powiększającej się kupce przedmiotów odebranych zatrzymanym. Żadnego sprzętu komunikacyjnego, żadnych komputerów, mnóstwo noży i zwykle po jednej sztuce broni palnej na osobę. Niewielka ilość amunicji. Więźniowie, rozebrani do bielizny, okazali się wychudzeni. Nie w tak drastycznym stopniu jak ludzie z farmy, ale okazało się, że bandytom też się nie przelewało.

Bandytom i bandytkom. Wśród czternastu zatrzymanych były cztery kobiety.

Kris odwróciła się, by spojrzeć na zabitych. Na dwóch ciałach leżących za blokadą zaczynały już ucztować owady. Dziewczyna przełknęła ślinę, by utrzymać żołądek na miejscu. Na jednej z twarzy zastygł wyraz wściekłości czy zdziwienia, Kris nie potrafiła tego dokładnie określić. Inny z nieboszczyków wydawał się spać na boku, cicho jak dziecko. Był jedynym, który posiadał środki łączności. Po trzecim trafionym została tylko plama krwi. Przeżył. Przy ciężarówce medyk opatrywał jego rany. Mężczyzna powinien dojść

do pełni sił, zanim wstąpi na szafot.

Dziewczyna wróciła na drogę. Jeszcze dwa ciała leżały przy rowie.

- Ty i ty. - Wskazała dwóch więźniów, w tym najmłodszego, około piętnastoletniego chłopaka. - Podnieście ciała i powieście za nogi na tych drzewach.

Tom natychmiast znalazł się u jej boku.

- To nie w porządku profanować zwłoki.

- A zostawienie ich tutaj, żeby stały się pokarmem dla wszelkiego rodzaju zwierzyny, jest twoim zdaniem lepsze niż uczynienie z nich ostrzeżenia dla reszty? Nie mam zamiaru tracić czasu na kopanie grobów. - Rozejrzała się. - Poza tym nie ma gdzie kopać.

Tom potrząsnął głową.

- Kris, to przekracza granice.

- Wy dwaj, robić, co wam kazałam. Marine, dopilnuj, żeby wykonali rozkaz.

Wyznaczony żołnierz machnął lufą w kierunku dwójki więźniów. Ci już przed chwilą mieli twarze blade jak ściana. W tym momencie zaczęli wyglądać jak duchy. Przerażone do granic możliwości duchy.

Kris odwróciła się do Toma.

- Skujcie więźniom ręce i załadujcie na ciężarówki. Gdy już będą na pakach, przykujcie im nogi do czegoś solidnego. Nie chcę któregokol-

wiek stracić.

- Tak jest, pani porucznik! - Stał w postawie będącej karykaturą postawy zasadniczej i wykonał ręką parodię salutu. Następnie głośno sapnął i odszedł.

- I przyślij mi resztę taśmy, jak skończycie - zawołała za nim Kris. Gdyby to było możliwe, Tom sapałby jeszcze głośniej.

Pół godziny później konwój ruszył powoli, mijając wiadomość zostawioną przez Kris dla mieszkańców bagien. „W mieście jest nowy szeryf. Zrezygnujcie, zanim dołączycie do tych dwóch!”

Przynajmniej tak ta wiadomość brzmiała według Kris.

\* \* \*

Następna farma na ich liście była martwa. Kilka ciał leżało w beładzie.

- Tak skończyli ludzie, którzy podjęli walkę - powiedziała Kris do Toma, gdy wolno przejeżdżali wzdłuż zabudowań.

- Może nie jest taką suką? - mruknął ktoś do niewyłączonego mikrofonu. Kris udała, że nie słyszy.

Kolejna farma była powtórką pierwszej. Kris szybko rozdystrybuowała żywność, o nic nie pytając ani nie podejmując niemego wyzwania kryjącego się w oczach farmerów. Nakazała podwładnym, aby przynajmniej jeden z nich zawsze

miął na oku więźniów, by nie dopuścić do samosądu.

- To więźniowie marynarki wojennej i przekażę ich władzom w Port Athens. Tam możecie szukać sprawiedliwości - warknęła, gdy uzbrojona w nóż żona jednego z farmerów musiała być siłą odciągana od ciężarówki z więźniami.

- Myśli pani, że uda się pani ich tam dowieźć? - spytał jej mąż.

- Ja ich złapałam, ja ich zatrzymam.

- Powodzenia. Wiecie, że to nie jedyna banda w okolicy.

- Ilu jeszcze?

- Kilka setek.

- Kim są? - zapytał Tom. - Co ich zepchnęło na złą drogę?

- Sam ich spytaj.

Dwie farmy dalej ciężarówki były już prawie puste. Kris ciągle nie mogła zrozumieć, co sprawiało, że niektórzy ludzie stawali się dzikimi bestiami, inni głodującymi ofiarami. Zupełnie jej się to nie podobało.

Zaczynała także mieć złe przeczucia co do swojej dalszej podróży do Port Athens.

Ostatnia farma na jej liście była najmniejsza, ale znajdowało się na niej trzy razy więcej ludzi niż na pozostałych. Wydawali się mniej łaknąć zemsty, a przynajmniej nikt nie próbował zabić

więźniów. Kobiety przeszły nawet wzdłuż samochodów, oferując zatrzymanym nieco wody.

Właścicielem okazał się szczupły mężczyzna w średnim wieku, stojący z boku i pozwalający swoim ludziom samodzielnie zorganizować rozładunek samochodów oraz transport ładunku do budynku gospodarczego i kilku małych domów. W tym także do tego, który dzielił z żoną i dwiema innymi rodzinami wraz z ich kilkunastoma dziećmi. Ludzie Kris mieli niewiele do roboty, tak więc oboje oficerowie dołączyli do właściciela.

- Wielkie dzięki za jedzenie. Zaczynaliśmy już wcinać trawę i liście.

- Macie tu strasznie dużo ludzi - na pół stwierdziła, na pół spytała Kris.

- Tak, nie wygnałem przydzielonych pracowników, gdy uprawa padła. Gdzie te biedne sukiesy miałyby iść?

- Przydzieleni pracownicy? - Piękną rzeczą w byciu młodym podporucznikiem jest fakt, że każdego dnia można uczyć się czegoś nowego.

- Tak, New Eden obciął budżet socjalny kilka lat temu. Musisz mieć pracę albo dostajesz bilet na Olimpię lub jakąś inną nową kolonię potrzebującą rąk do pracy.

- I pracują dla ciebie - stwierdził Tom.

- Nie, odpracowują bilet. Rok pracy to jedna siódma ceny. Po siedmiu latach jesteś czysty

i wolny.

Mężczyzna schylił się, by urwać źdźbło trawy. Przyglądał mu się przez chwilę jak koneser wina przed rozpoczęciem degustacji, potem wetknął je w kącik ust.

- Oczywiście nie mają żadnej własności osobistej, żadnej gotówki. Najszczęśliwsi trafiają do miasta, do pracy w zakładach spożywczych.

- Żywieni są w polowych jadłodajniach - powiedziała Kris.

- Zastanawiałem się właśnie, jak tam sobie dają radę.

Kris szybko policzyła ludzi na dziedzińcu. Dużo dzieci, dużo staruszków, ale najwięcej ludzi w średnim wieku.

- Masz dużą siłę ognia na wypadek ataku.

- Bandyty tu nie przychodzą.

- Nie są tacy głupi - uśmiechnęła się Kris.

- Czemu więc straciliście połączenie z siecią? - zainteresował się Tommy.

- Zepsuł się wiatrak. Nie mamy prądu.

- Zostawimy wam baterie - stwierdziła Kris, a Tom kiwnął głową. - Ale czemu jako jedyna farma nie zostaliście zaatakowani?

Właściciel spojrział na nią, jakby była opóźniona umysłowo.

- Kobieto, nadal nie wiesz, kim są mieszkańcy bagien?



- Pozwoliłeś zostać swoim przydzielonym pracownikom, inne farmy nie zrobiły tego.

- Tak.

- Ci z bagien to bezrobotni pracownicy.

- Tak. - Przez twarz przebiegło mu coś w rodzaju uśmiechu.

Tom przez chwilę szybko mrugał oczami z lekko otwartymi ustami.

- Tak więc wszystkie te morderstwa, gwałty i kradzieże dokonywane są przez ludzi, którzy pracowali dla właścicieli farm?

Człowiek spojrzał na Toma.

- Być może. A może nie.

Kris podeszła do farmera, który podał jej źdźbło trawy. Spróbowała, nie miało smaku. Prawdopodobnie większej wartości odżywczej też nie. No tak, ale ona zjadła całą rację żywnościową w ciężarówce między farmami. Brak jedzenia nie był jej problemem. Stanowili go ludzie.

Tommy usiadł, wyraźnie nad czymś myśląc, Kris potrząsnęła głową.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że banda pracowników fizycznych była w stanie ukraść karty identyfikacyjne, podszyć się pod ich właścicieli i sprzedać całe farmy.

- Jak na marynarza, nie jesteś głupia, dziecko - uśmiechnął się farmer. - Gliniarze na Eden dość blisko współpracują z pracownikami

pomocy socjalnej. Czasem ci ostatni wystawiają więcej nakazów deportacyjnych. Różnego rodzaju punki, niedoszli mafiosi, wichrzyciele pewnego dnia budzą się w statku kosmicznym i już nie będą miejscowym władzom sprawiać kłopotów. Cwaniaczek ląduje tutaj, a my dajemy go do pracy razem z innymi. Czasem pracuje, czasem czeka na okazję. To zawsze jest ryzyko. Do tego dochodzi alkohol, nieraz narkotyki. Nieważne, jak są biedni, na to zawsze wykombinują pieniądze.

- A kiedy tu zaczyna się piekło - podjęła Kris - jego wyznawcy widzą w tym szansę dla siebie.

- Dokładnie tak. Zbierz do kupy paru cwaniaków, trochę broni, idź z tym na bagna do głodujących ludzi, obiecaj im posiłek, jeśli wrócą z tobą na farmy przycisnąć byłych pracodawców. Znasz już ciąg dalszy tej historii.

Tommy potrząsnął głową.

- Ale gwałty?

- To nie zawsze są jakieś grube ryby. Większość pracowników to prości ludzie, z dużą dozą zapiekłego gniewu. Widzicie, tu jest mało kobiet. Jeśli któryś próbował czegoś w stosunku do czyjejś siostry czy córki, dostawał kulkę albo wycisk.

Kris spojrzała na zatrzymanych. Jakimś sposobem nie wydawali jej się już tacy odrażający.

- Myślisz, że mogę tu mieć jakiegoś miej-

scowego szefa?

- Nie wiem. Niektórzy z moich ludzi mają na bagnach rodziny. Maria, która dawała wodę waszym więźniom, ma tam chłopaka.

Kris spojrzała pytająco na farmera. Ten potrząsnął głową.

- Milo znajdzie tu pracę, kiedykolwiek zechce. Smutne jest to, że ma też młodszego brata, dla którego bycie bandytą jest kwintesencją męskości. Milo stara się dopilnować, żeby dzieciak nie narobił głupot, zanim go przekona do powrotu.

- A co z tymi? - Tom wskazał zatrzymanych. - Co się z nimi stanie, gdy przekazemy ich do Port Athens?

- Nie mam pojęcia. Nawet jeśli nie są mordercami i gwałcicielami, i tak mają przechlapane. Przysięgli w sądach będą zdesperowani, wystraszeni i szaleni. To nie jest najlepsza kombinacja, jeśli chodzi o uczciwe wymierzanie sprawiedliwości.

- To tyle w temacie szukania prawdy - westchnął Tom.

Kris potwierdziła skinieniem głowy, ale myślami znów była na bagnach.

- Zastrzeliłam tych facetów za blokadą jako pierwszych, w tym tego z megafonem. Potem dorwałam tych dwóch w wodzie po obu stronach

drogi.

- A potem reszta jakoś straciła zapał do walki - dodał Tom. - Wydawali się raczej gotowi do ucieczki. Czym więc zawinili? Tym, że byli tak samo głodni jak ich ofiary. Z drugiej strony patrząc, powinni trzymać swoje ptaszki w klatkach. Cholera! Na Santa Maria żaden facet nie dotknie kobiety, jeśli ona tego nie chce. A jeśli ktoś tego nie zrozumie od razu, wszyscy w okolicy bardzo szybko pomogą mu przyswoić sobie tę lekcję.

Krople deszczu uderzyły Toma w twarz, gdy potrząsał głową.

- Ksiądz powtarzał, że biedny ma prawo ukraść bogatemu chleb, żeby wyżywić rodzinę. Ale ani słowem nie wspominał o sytuacji, w której biedny kradnie biednemu. Cholera, Kris, co to za burdel? Jak można myśleć o dobieraniu się do obcej kobiety? I nikt nie jest w stanie jej pomóc? - Wskazał na ciężarówki z więźniami. - To ty wpa-kowałaś mnie w to szambo, Longknife.

Kris tylko połowicznie słuchała wywodów Tommyego na temat tego, kto jest winny, a kto nie. Miała na głowie zdecydowanie ważniejsze problemy.

Wkurzyła sporą liczbę chłopców z karabinami. „No i co teraz, dziewczynko?”

- Którędy wracacie do miasta? - zapytał właściciel farmy.

- Droga - odpowiedziała.

- Przez Błota Dzikiej Świni?

Kris pokazała mu na wyświetlaczu mapę.

Droga biegła względnie prosto przez las. Zadziwiająco dobrze utrzymany. Farmer wskazał z dumą leszczybę.

- To były kiedyś bagna. Posadziliśmy te drzewa, zmieniliśmy kwaśność gleby. Za kilka lat będę mógł je ściąć i podwoić powierzchnię mojej farmy.

- Ponieważ nie widzę tu nigdzie stojącej wody, wydawało mi się, że to bezpieczna droga.

Farmer potrząsnął głową.

- Jechało dziś tędy wiele ciężarówek. Musiałś poruszyć gniazdo szerszeni. Jeśli twój konwój przejedzie bezpiecznie, tylko patrzeć, jak w te rejony zacznie zapuszczać się policja, polując na mieszkańców bagien. Może niektórzy z nich mają już wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić bilet powrotny, ale równie dobrze wcale tego nie chcą. Jeszcze inni mogą odnosić wrażenie, że stać ich już na zakup całej tej planety. Słyszałem, że bojówkarze już zajmują niektóre farmy, te, których mieszkańcy zostali zabici, gdy stawiali opór.

- Nie widzieliśmy nikogo u Sullivanów - powiedziała Kris, myślami będąc już zupełnie gdzie indziej. - Jeden z McDowellów odkrył, że ich farma została sprzedana przy użyciu skradzio-

nych kart identyfikacyjnych.

- Książki do historii pełne są bandytów, którzy już po roku uznani zostali za rewolucjonistów, a po upływie kolejnego roku stali się pełnoprawnymi politykami - zauważył Tom.

- Tak, nikt od przywódcy rebeliantów nie wymaga rekomendacji - zgodziła się Kris. Ale to był problem na rok przyszły. Należało przede wszystkim przeżyć dzień dzisiejszy.

- To ilu strzelców jechało dziś tą drogą?

- Jakies dwie setki. Zebrali się chyba całą siłą.

- Jak sądzisz, ilu w tym jest bandziorów ze Światów Zewnętrznych?

- Około trzydziestu, czterdziestu. Reszta to zbiegli pracownicy.

- Problemem będzie oddzielenie jednych od drugich - mruknęła Kris.

Deszcz znowu przybierał na sile. Kris uruchomiła nadajnik.

- Dowództwo, tu podporucznik Longknife. Muszę mówić z pułkownikiem.

- Czekać minutę - padła odpowiedź.

Oczekiwanie trwało dużo krócej niż pełna minuta.

- Niech zgadnę, poruczniku, potrzebuje pani mojej rady.

- Na to wygląda.

- Jaka jest wasza sytuacja?

Podporucznik opisała poranną potyczkę, swoje obawy dotyczące najbliższej przyszłości. Szczególną uwagę zwróciła na dwoisty charakter sił przeciwnika.

- Z raportów docierających do mnie wynikało, że największym problemem są głodni ludzie, których lokalne władze nie chciały uznać za ofiary klęski żywiołowej - głośno myślał pułkownik. - Tu, w mieście, wyszła pani z dość ryzykownym pomysłem karmienia każdego bez zadawania pytań. Jak widać, skutkuje, bo poziom przemocy znacznie się obniżył. Czy pani zdaniem tam też może to zadziałać?

- Wątpię. Morderstwa i gwałty bardzo spolaryzowały postawy. Myślę, że nieodwracalnie. Niektórzy chcą już tylko zemsty. - „Tak jak ja”.

- No to ma pani niezły problem taktyczny, poruczniku - padła krótka odpowiedź.

Miło, że nie uraczył jej jednym z kazań w stylu ojca na temat tego, że emocje biorą u niej górę nad trzeźwym rozumowaniem.

- Najgorsze jest to, że nie wiem, gdzie się podziewa mój problem, dopóki nie zacznie do mnie strzelać - Kris wypowiedziała to, co w obecnej chwili trapiło ją najbardziej. - Dałabym sobie uciąć prawą rękę za „Stoolpigeona”.

- Tak się właśnie spodziewałem, że pani

pytanie o radę padnie w sytuacji takiej jak ta. Urządzenia serii Stool są zbyt delikatne, żeby ich tu użyć. Ale wielkie, stare Sky Eye może wlecieć praktycznie w oko cyklonu. Zamówiłem jedno z magazynów na Wardhaven. Przybyło wczoraj wieczorem. Myślę, że może być nad waszą pozycją za jakąś godzinę.

- Dziękuję, pułkowniku - Kris powiedziała to prawie jak modlitwę.

- Podziękuj pani, jak już będziecie w bazie.

- Ma pan dla mnie jakieś sugestie?

- Nic, o czym już sama pani nie pomyślała. Proszę się postarać nie stracić nikogo ze swoich ludzi ani nie pozabijać więcej cywilów, niż to będzie konieczne. Wie pani, takie zwykłe pieprzenie. A teraz, jeśli pani mi wybaczy, muszę odpalić Sky Eye. Jestem tu chyba jedynym człowiekiem wystarczająco starym, żeby jeszcze pamiętać, jak to się robi. Hancock, bez odbioru!

Kris rozejrzała się powoli, przeglądając w myślach środki, którymi dysponowała. Strzałki usypiające dawały jej możliwość wystrzelania wszystkich przeciwników i późniejszego ustalania ich statusu. Ale wiatr spowodowałby, że wypuszczane z małą energią bezpieczne pociski będą miały bardzo duży rozrzut i po prostu nie trafią nikogo.



„Myśl, Księżniczko, to będzie ćwiczenie z kierowania ogniem ostrą amunicją!”

Kris wyprostowała się na deszczu.

- Tom, ładujemy się.

Przyjaciel także powstał i się rozejrzył.

- Chyba się cieszę, że to twój problem, nie mój - idąc w stronę samochodów, zaczął swą stałą śpiewkę. - Słyszeliście szefową, do pojazdów, spadamy stąd.

Przygotowanie nie zajęło dużo czasu.

Cywilie zebrali się, by ich pożegnać, i niektórzy rekruci chcieli wziąć udział w małej imprezie, ale widząc, że oficerowie tego nie robią, szybko załadowali się do samochodów. Tom nadzorował załadunek. Po chwili dołączyła do niego Kris.

- Jak myślisz, jak to się potoczy? - spytał chłopak. - Użyjemy sprzętu pułkownika, żeby znaleźć obejście zasadzki, czy zabijemy jeszcze kilku gwałcicieli?

- A co byś powiedział na małą walkę?

Tom wziął głęboki oddech.

- Jest ich około dwustu, a nas trzydzieścioro. Ranek pokazał, jakim zapalem bojowym dysponujemy. Z drugiej strony ojciec złożyłby mi dupę, gdyby się dowiedział, że pozostawiłem bezkarnego gwałciciela. Ale babcia zabiłaby mnie, jeśli nie wróciłbym w jednym kawałku. Tak więc proszę mi po prostu powiedzieć, jakie są rozkazy, poruczni-

ku Longknife.

- Zrobimy jedyną możliwą rzecz. Będziemy walczyć z tymi, którzy sami tego będą chcieli, i pozwolimy uciec tym, którzy na walkę nie będą mieli ochoty.

- Nawet jeśli będą to prawdziwe bandziory?

- Musimy po prostu przebić się na drugą stronę. Chcę tylko doprowadzić konwój bezpiecznie do domu. Nie mogę sobie na razie pozwolić na nic więcej.

- Gdybyśmy chcieli tylko bezpiecznie dostać się do domu, wystarczyłoby ominąć tę bandę.

- Musimy ich złamać - nie poddawała się Kris. - Łatwiej zrobić to, gdy są wszyscy razem.

Tom potrząsnął głową.

- Zmasakrują nas. Połowa naszych nie odbezpieczyła nawet broni. Większość pozostałych nie miała jaj, żeby strzelić. A rano było trzydziestu naszych na dwudziestu tamtych. Teraz tamtych jest dwustu.

- To było rano. Już przez to przeszliśmy, teraz jesteśmy weteranami.

Tom spojrział na nią jak na wariatkę.

- A może to tylko ja czegoś się nauczyłam. Słuchaj, Tom, musimy to zrobić.

Tommy popatrzył na nią dłuższą chwilę, a potem odpowiedział z miną skazańca:

- A tata ostrzegał mnie, że jeśli pójdę za królem, zaprzędam ciało i duszę. Mam, czego chciałem.

Odwrócił się i wszedł do samochodu.

Kris zrobiła to samo, starając się uprzednio strzepać z poncho jak najwięcej wody.

Siadając na swoim fotelu, uśmiechnęła się, by dodać odwagi rekrutom na tylnym siedzeniu. Zwijali swoje peleryny, przygotowując się do długiej drogi powrotnej do bazy. Rekrutka spojrzała na Kris i zauważyła, że dowódca nie pakuje sprzętu. Jej oczy rozszerzyły się w przerażeniu. Miła rozmowa, która zaczynała toczyć się z tyłu, została gwałtownie przerwana.

- O kurwa - wyrwało się niedoszłemu bohaterowi.

- Marines. Chcę, żeby samochód numer sześć znalazł się zaraz za moim - miękko powiedziała Kris do mikrofonu.

- Czy to znaczy, że ma pani dla nas jakieś cele, pani porucznik?

- Za kilka kilometrów zatrzymamy się, żeby o tym porozmawiać - uprzedziła wszystkie ewentualne pytania. W eterze zaległa cisza.

Po upływie kilku minut wjechali na otwartą przestrzeń. Na jej środku rosła grupa pięciu drzew, przypominając wyspę. Kris uznała, że to idealne miejsce, dające zarówno nieco ochrony

przed deszczem, jak i możliwość natychmiastowej reakcji, gdyby ktoś się zbliżał. Zatrzymali się tam. Załogi pojazdów zebrały się wokół dowódcy. Kris, chcąc, aby podwładni nie czuli się jak na oficjalnej odprawie, poprosiła ich, by usiedli.

- Między nami a bazą znajduje się około dwustu bandytów - powiedziała bez owijania w bawelnę. Z grupy odpowiedziały jej ciche pogwizdywania i szepty. - Dobra wiadomość jest taka, że nie wszyscy są uzbrojeni i większość tak naprawdę nie jest zainteresowana starciem z nami. Około trzydziestu, może czterdziestu zamierza nas zaatakować. Reszta to głodny tłum szukający jedynie czegoś do zjedzenia. Widzieliście dziś rano, jak niemrawo walczyli nasi przeciwnicy, gdy zginęli ich przywódcy.

To stwierdzenie wywołało kilka potwierdzeń ze strony słuchaczy, które Kris zamierzała wykorzystać.

- A więc większość to zwykli przydzieleni pracownicy z farm, które zostały opuszczone przez właścicieli, gdy zaczęło się robić ciężko - na pół stwierdziła, na pół spytała Courtney.

- Większość, ale nie wszyscy. Ci, którzy sprzedali karty identyfikacyjne, a także ich szefowie nie mogą dopuścić, żebyśmy wyjechali stąd żywi. Jeśli pokażemy innym, że to możliwe, przegrają, bo ich siła opiera się na zastraszeniu. Cywi-

lizacja zacznie wracać na Olimpię.

Kris przerwała na chwilę, by złapać oddech i pozwolić słuchaczom przetrawić jej słowa.

- Rano popełniłam błąd. Rzuciłam was do walki bez przygotowania. Być może niektórzy z was słyszeli o operacji uwolnienia zakładnika, którą dowodziłam kilka tygodni temu. - Odpowiedziały jej skinienia głów. - Ja i mój zespół mieliśmy cztery dni na przygotowania. Nie wspominając o tym, że byli to marines z kilkuletnim doświadczeniem bojowym. Powinnam dać wam więcej czasu na przygotowanie, na zapoznanie się z bronią. Dostać karabinek to jedno, czuć się komfortowo z myślą, że trzeba będzie go użyć, to coś zupełnie innego. Po to właśnie się tu zatrzymaliśmy. Każdemu zespołowi z marynarki przydzielałam jednego marine. Chcę, żebyście przećwiczyli całą „przycisko- i przełącznikologię”. Podoficerowie i marines pomogą wam przy tym. Wiem, że robiliście to na szkoleniu podstawowym, ale ilu z was brało pod uwagę konieczność realnego użycia tego kawałka techniki?

Powiodła wzrokiem po podwładnych.

- Nie wiem, jak wy do tego podchodzicie, ale ja zrobiłam sobie całkiem niezłą powtórkę, gdy wyciągnęłam krótką zapałkę i dowiedziałam się, że dowodzę zrzutem bojowym.

To stwierdzenie wywołało kilka nerwo-

wych uśmiechów.

- Chcę, żeby każdy z was wystrzelał cały magazynek strzałek. Nic nie da się porównać z odczuciem rzeczywistego kopniaka, którego daje karabin, oraz widokiem strzałek trafiających w to, w co celowaliście. Człowiek naprawdę zaczyna wtedy wierzyć, że może zrobić prawie wszystko.

Kris zrobiła kilka kroków, zmuszając podwładnych do odwrócenia głów.

- I jeszcze tylko jedno. W czasie walki za unieszkodliwienie szefów i prawdziwych bandytów odpowiedzialni będą marines i podoficerowie. Zadaniem reszty z was będzie strzelanie w powietrze, w ziemię, generalnie wskazanie wszystkim tym, którzy chcą uciekać, że nadszedł na to najwyższy czas. Waszym celem jest demonstracja siły. Podsumowując, wy zmuszacie głodujących do ucieczki, podoficerowie i marines zajmują się tymi, którzy uciekać nie będą chcieli.

- Czy jeśli zobaczymy, że ktoś nie ucieka, możemy do niego strzelać?

- Tylko jeśli będzie próbował atakować. Jeśli tylko zobaczycie czyjeś plecy, pozwólcie mu uciec.

- Dokąd mogą uciekać?

- Myślę, że ostatnia farma chętnie ich przyjmie.

Żołnierze spojrzeli po sobie. Niektórzy

uśmiechali się nerwowo.

- Możemy to zrobić.

- Tak, to nie jest taka wielka filozofia.

- Jak będą uciekać, pozwolimy im. To

brzmi w porządku.

Kris pozwoliła na chwilę rozluźnienia, by nabrali pewności siebie. Następnie porozstawiała zespoły w bezpiecznych odległościach. Odpowiedzialność za obsadę pierwszego samochodu przejął Tom. Kris poruszała się między zespołami, obserwując, doradzając, przywołując do porządku jednego z marines, który uważał, że przetrwanie szkolenia podstawowego w korpusie daje mu prawo zachowywać się wyniośle. Pozostali instruktorzy radzili sobie lepiej, jakby instynktownie czując, że strzelanie jest sztuką, a nie rzemiosłem.

Zatrzymała się za rekrutem, który tak dobrze radził sobie na symulatorze. Chłopak właśnie trafił w cel odległy o dwieście metrów.

- Bardzo dobrze - pochwaliła go.

- Nieźle, jak na tchórza - odpowiedział.

- Nie widzę tu żadnego tchórza.

- Rano mnie замуrowało. Nie zrobiłem

nic.

- Ile według ciebie trwała poranna strzelanina?

- Nie mam pojęcia, wydawała mi się wiecznością.

- Sprawdziłam komputer w moim karabinie. Dziewięć i siedem dziesiątych sekundy. To niezbyt wiele czasu na reakcję, zarówno dla tchórze, jak i dla bohatera. Tym razem będziesz miał więcej czasu. A potem powiesz mi, kim jesteś, bohaterem czy tchórzem.

- Tak pani myśli?

- Gdyby tak nie było, nie pozwoliłabym ci marnować mojej amunicji. Ile wystrzeliłeś na szkoleniu podstawowym?

- Odbyłem tylko połowę, pani porucznik, a potem mnie wysłali tutaj. Nie doszedłem do strzelania.

„O cholera! Powinnam była dokładniej przestudiować akta tych młodzików!”

- To teraz trzymasz w garści prawdziwy karabin. Jak ci się to podoba?

- Słodsze niż grzech.

- To strzelaj nadal.

Kris poszła dalej. Do tego czasu każdy z rekrutów włącznie z marines wystrzelał już pełen magazynek. Atmosfera pewności siebie zdawała się unosić w powietrzu i mieszać z deszczem.

Gdy skończyli, nadeszły pierwsze dane ze Sky Eye. Widać było dużo obrazów termalnych. Przynajmniej ta banda nie zainwestowała w sprzęt z górnej półki. Dzięki Bogu, że pułkownik zamówił bezzałogowca. Gdy podwładni zbierali



się, Kris i Tom studiowali rozmieszczenie sił przeciwnika.

- Niechłujnie - skomentowała dziewczyna.

- Spodziewają się, że po prostu przyjedziemy drogą.

- Tak - zgodził się Tommy. - Ale ci wydają się odrobinę mądrzejsi niż poprzedni. Nie ścięli drzewa, chcą, żebyśmy wjechali w pułapkę, zanim zaczną strzelać.

Kris potaknęła głową.

- A więc zrobimy pułapkę w pułapce.

Gdy wracała do ciężarówki, jej wzrok spoczął na zatrzymanych. Część z nich na wpeł leżała, próbując pić deszczówkę.

- Tom, zamierzamy walczyć. Zatrzymani nie mogą zostać narażeni na ostrzał. Przywiąż ich do tych drzew. Jeśli pójdzie dobrze, wrócimy i ich odwiążemy. W przeciwnym wypadku dam znać na tę ostatnią farmę, żeby ich zabrali. Jeśli przywódca będzie chciał któregoś zatrudnić, niech to robi. Po resztę wrócimy w przyszłym tygodniu.

Tom chwilę przypatrywał się więźniom, a potem podrzucił rękę w salucie.

- Tak jest, pani porucznik.

- No to zajmijmy się prawdziwymi drania-  
mi - odpowiedziała, oddając honor.

## ROZDZIAŁ 12

Kris zatrzymała konwój, gdy zbliżyli się do sadu orzechowego. Drzewa rosły tu w równych rzędach. Tylko niektóre miały resztki liści, owoców nie było na żadnym. Droga tworzyła tu łagodny łuk pod takim kątem, że drzewa zasłaniały zatrzymujące się ciężarówki.

Kris miała już gotowy plan.

Bandyty znajdowali się około kilometra w głąb sadu, ustawieni w dwie luźne linie, jedna po prawej, druga po lewej stronie drogi. Większość z nich zgrupowana była za trzecią, czwartą i piątą linią drzew. To proste ustawienie wynalezione zostało przez górskie plemiona tysiące lat temu i nadal było stosowane z dobrym skutkiem.

O ile przeciwnik nie wiedział, że ktoś na niego czeka.

Podporucznik Longknife wiedziała.

- Tom, weź połowę ludzi i posuwajcie się powoli wzdłuż drogi. Ja wezmę marines i załogi dwóch pozostałych ciężarówek i szybko zajdę ich z prawej strony. Otworzymy ogień i zepchniemy ich na lewo, do tyłu. W deszczu tego nie widać, ale po lewej stronie są wzgórza. Jeśli uda nam się ich tam zepchnąć, wtedy nie pozostanie im nic innego jak ucieczka.

- Możemy to zrobić - zgodził się Tommy.

Żołnierze rozdzielili się. Wiatr rozwiewał ich poncha.

Zespół Courtney i połowa obsady kolejnej ciężarówki zajęli lewą stronę. Tom z siedmioma innymi żołnierzami poszedł prawą stroną. Pozostała czternastka, wliczając w to Kris, przygotowywała się do wykonania manewru oskrzydłającego.

Podporucznik nakazała im odliczyć do dwóch.

- Jedyńki to zespół ogniowy A, dwójki zespół ogniowy B. Zapamiętać to i ruszać, kiedy dam wam sygnał.

Przechodząc koło zdenerwowanego „bohatera”, klepnęła go uspokajająco w ramię, a następnie zajęła miejsce na czele szyku i dała sygnał do startu. Przy odrobinie szczęścia nie zostawi Toma ze wszystkimi draniami na głowie.

Ale tak właśnie myślał Custer, gdy zostawił Reno atakującego od frontu i rozpoczął oskrzydlenie, a znalazł zapomnienie.

Kris otrząsnęła się z takich myśli. Miała Sky Eye. Dzięki niemu dokładnie widziała, gdzie się spodziewać przeciwnika. Nie musiała się obawiać, że wpadnie na niego zbyt wcześnie. Technologia miała dużo zalet.

Wyświetlacz z obrazem z bezpilotowca znikł, gdy Kris przekroczyła dwudziesty rząd

drzew i przygotowywała się wraz z trzynastoma podążającymi za nią żołnierzami do zmiany kierunku. Wezwała przez radio dowództwo.

- Wiem, wiem, ja też straciłem obraz - odpowiedział pułkownik. - To antyczne oprogramowanie. Cały czas musimy coś poprawiać, aby się z nim dogadać. Odpalamy wszystko od nowa. Daj nam pięć minut. A tak przy okazji, podoba mi się, w jaki sposób ustawiłaś swoich ludzi. Oskrzydlić, zmusić do ucieczki. Dobrze zaplanowane.

- Bardzo liczę na obraz z drona, żeby uniknąć niespodzianek.

- Będziemy go widzieć dokładnie w tym samym momencie.

- Dziękuję, panie pułkowniku. Zaczyna się tu robić gorąco. Proszę dać mi znać, jak tylko pojawi się obraz.

- Powodzenia, poruczniku.

Straciwszy rozpoznanie powietrzne, Kris musiała powrócić do metod tradycyjnych. Dwóch marines przyznało się, że w cywilu byli myśliwymi i mają doświadczenie w skrytym poruszaniu się w terenie. Zostali wysłani przodem jako szperacze. Ich zadaniem było podążać o pięć rzędów drzew przed małymi siłami głównymi. Wystarczyłby ktoś szukający ustronnego miejsca i cały element zaskoczenia wzięłby w łeb.

Deszcz zamienił się w ulewę. Sad zamie-

niał się w błotniste bagno. Kris ledwie widziała swoich zwiadowców. Ulewa zagłuszała wszelkie odgłosy. Słoń mógłby przejść metr od żołnierzy, a nie usłyszeliby go. Ślepi i głusi, skupili się wokół Kris. Nie było czasu do stracenia. Prędzej czy później bandyci zainteresują się, gdzie podziały się ciężarówki.

- Sky Eye powrócił - to było wszystko, co powiedział pułkownik.

- Dzięki - odpowiedź podporucznik była jeszcze krótsza.

Zasłoniła wyświetlacz przed deszczem i spojrzała na obraz. To, co zobaczyła, wcale jej się nie podobało. Weszła za głęboko w sad. Pokonała połowę dystansu do pułapki. Jeśli uderzyłaby z punktu, w którym się znajdowała, istniało duże ryzyko, że część bandytów wpadnie na grupę Toma. Oczywiście przy założeniu, że dowodzący przeciwnikami nie skieruje całej swojej setki na nią. Jeśli tak zrobił, siły Kris mogły bardzo łatwo same zostać oskrzydłone. Czy powinna się wycofać?

- Tu Skaut Jeden.

- Tak? - szepnęła Kris. Skaut Jeden był najdalej wysunięty do przodu.

- Mam tu bardzo zaprzyjaźnioną parkę.

- Na ziemię! - wydała Kris komendę, prawdopodobnie niepotrzebnie.

- To samo on zaproponował jej.

Dowodząca nakazała wszystkim zalegnięciu, a sama znalazła iluzoryczną osłonę za cienkim drzewem. Spojrzała na wyświetlacz. Odnalazła zwiadowcę i dodatkowo dwa szybko bijące serca. Jej wzrok uchwycił jakiś ruch.

Tak, to była para. Z sadem był taki problem, że nie rosły w nim krzaki, jedyną zasłonę stanowiły linie cienkich drzew orzecha włoskiego i deszcz, dużo deszczu.

Kris skuliła się, próbując stać się niewidzialna. To samo uczyniła za nią cała kolumna, na tyle, na ile mogły to zrobić dzieciaki wychowane w mieście. Podporucznik skoncentrowała się na parze przed nią. Kiedyś w jakimś magazynie dla kobiet czytała, jaki jest procent mężczyzn trzymających otwarte oczy w momentach takich jak ten, a jaki je zamyka. Zupełnie zapomniała, którzy uważani są za lepszych kochanków. Miała tylko nadzieję, że ma przed sobą typa zamykającego oczy.

Wtem wiatr ustał, a ktoś za Kris kichnął.

Przy wilgotności panującej na Olimpii przeziębienia były epidemią. Gdy tylko udało się zaszczepić przeciw jednemu wirusowi, natychmiast jego miejsce zajmował następny. Medycy nie nadążali ze szczepieniami.

Kris miała tylko nadzieję, że chłopak przed nią uzna, że to któryś z jego kumpli.

Ten stracił zainteresowanie dziewczyną pod nim. Skierował wzrok w stronę zasadzki. Dziewczyna powiedziała coś, ale ją uciszył. Podniósł broń i tym razem spojrzął w kierunku Kris. Ta dotknęła bezpiecznika na broni, ale nie ośmieliła się go przełączyć. Czekwała.

Mężczyzna krzyknął coś, stoczył się z dziewczyny i wystrzelił dwa razy w kierunku, gdzie nie było żołnierzy.

- Spokojnie - szepnęła Kris do podwładnych - strzela do duchów. Nie dajmy mu prawdziwych celów.

Dziewczyna opryszka podniosła się nieco, wyglądało, jakby zachęcała go, by dokończył to, co zaczął. Ale mężczyzna był już na nogach, ze spodniami na wysokości kostek. Zrobił kilka krótkich kroków w stronę Kris. Wtem jego wzrok zatrzymał się na miejscu, w którym leżała podporucznik. Podniósł broń do ramienia, celując w nią.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, gdy Kris podnosiła swoją broń. Wiedziała, że facet będzie szybszy, ale musiała spróbować.

W tym momencie głowa mężczyzny eksplodowała w strumieniu strzałek.

Towarzyszająca mu dziewczyna poderwała się na kolana, jedną ręką chwytając spodnie, drugą wpychała w usta, tłumiąc krzyk. Zakręciła się w miejscu i zaczęła niezgrabnie biec w stronę

swoich.

Kris przełączyła broń na strzałki usypiające i posłała za dziewczyną długą serię. Wiatr rozwinął pociski, ale kilka z nich utkwilo w nagich pośladkach uciekającej. Upadła w błoto i zsunęła się pod drzewo.

- Grupa flankująca, krótkimi skokami naprzód. Zespół ogniowy B, przygotować się do zapewnienia wsparcia ogniowego z tej linii drzew. Zespół A, naprzód. Teraz!

Wymawiając ostatnie słowa, Kris już biegła. Zespół był nieco wolniejszy, ale zanim dowodząca zaległa na nowej pozycji, podwładni także dotarli na miejsce.

- Wstrzymać ogień, idioci - krzyknął ktoś, zagłuszając wiatr. - Ciężarówki jeszcze tu nie dotarły. Kto strzelał?

- Myślę, że to Kars, usłyszał kichnięcie i się chłopaczyna przeraził - odkrzyknął ktoś.

- Powiedz mu, żeby przywłókł tu swoją dupę.

Kris wykorzystała tę wymianę zdań u przeciwnika, by przesunąć Zespół B o trzy rzędy drzew przed Zespół A, i właśnie zamierzała wykonać kolejny skok, gdy jakiś zaskoczony bandyta wynurzył się z drzew tuż przed nią.

Zastrzeliła go.

- Strzelać bez komendy! Tu podporucznik



Longknife, powtarzam, strzelać, jeśli kogoś zauważycie!

Niestety, pojawiło się więcej celów. Nadal znajdowali się kilkanaście rzędów drzew, czyli około trzystu metrów od zasadzki. Za daleko przy tej widoczności. Rozległy się sporadyczne wystrzały. Ale ofiarami były tylko drzewa.

Przesuwając Zespół B, Kris wystrzeliła kilka razy, bardziej jednak dla zapewnienia osłony niż do konkretnych celów.

- Są za nami, wy idioci! - krzyknął pierwszy głos. - Odwrócić się i strzelać!

- Skauci, ktokolwiek krzyczał, jest gdzieś przed wami. Zdejmijcie go, jeśli możecie.

Pięć drzew na prawo od Kris dwie umundurowane sylwetki poruszały się nisko.

- Szukamy go, pani porucznik.

Nadszedł czas, by Kris przesunęła swoją linię.

- Spens, uważaj, żeby nie okrążyli nas z lewej.

- Mam to na uwadze, trochę nas rozciągnęli - odpowiedziała lewa flanką Kris.

Dziewczyna przypadła do ziemi osiem rzędów przed bandytami. Widziała sylwetki ludzi przesuwających się w kierunku żołnierzy. Wystrzeliła długą serię, celowo wzbijając tylko fontanny błota. Jeden z mężczyzn, poruszający się nieco z

tyłu, zaczął coś wykrzykiwać. Kris wzięła go na cel. Okręcił się wokół własnej osi i upadł trafiony trzema strzałkami w pierś.

Pięciu ludzi spojrzało na niego i zaczęło uciekać. Reszta padła na ziemię, starając się w niej zakopać. Dziewczyna strzeliła im nad głowami. Kolejna grupa rzuciła się do ucieczki. Kris zignorowała ich i spojrzała w prawo. Kolejne sylwetki.

- Zespół B, dołączcie do nas. Trzymajcie się tej linii drzew.

Przesunęła drugą połowę podwładnych na przód, dając znać dwóm najbliższym, by zajęli pozycje po jej prawej stronie. Jej grupa była za mocno rozciągnięta. Dziewczyna wyciągnęła wyświetlacz, by zobaczyć obraz ze Sky Eye. Przeciwnicy przed nią wydawali się dezorganizowani. Poruszali się bezładnie w przód i w tył. Zmieniła obraz, by zobaczyć, co u Toma.

Ekran pociemniał.

- Pułkowniku? - jęknęła.

- Rekonfigurujemy.

- Do tego czasu u mnie będzie po wszystkim - odpowiedziała, chowając wyświetlacz do kieszeni.

- Widzę duży ruch przed sobą - zameldowała Courtney przez radio. - Ludzie strzelają i poruszają się w moim kierunku. Chyba próbują

mnie obejść.

- Odstrasż ich - nakazała Kris.

- Część próbowała uciec. Jeden z nich ich zastrzelił. Zdjęłam go, ale tu jest naprawdę dużo ludzi. Nie wiem, czy wytrzymam - słowa Courtney przerywane były przez wystrzały.

- Cholera, czemu plan zawsze bierze w łeb? - mruknęła Kris. Spojrzała w prawo. Było tam dwóch marines wspieranych przez dwóch marynarzy. Jednym z nich był chłopak pragnący zostać bohaterem. - Marynarze i marines po mojej prawej, trzymacie flankę, podczas gdy my skaczymy do przodu. Zrozumiano?

Odpowiedziało jej poczwórne „tak”, bez odrobiny wahania w głosach.

- Zespoły A i B, dorwaliśmy tych typów wcześniej, niż planowaliśmy. Przesuwamy się w kierunku drogi. Przygotować się do skoku. Zespół A, na mój sygnał... Teraz!

Kris biegła, strzelając do wszystkiego, co się poruszało. Za nią połowa jej zespołu robiła dokładnie to samo.

Bandyci znajdujący się przed nimi zatrzymali się, zdziwieni nagłym pojawieniem się takiej ilości żołnierzy.

Kris znalazła miejsce z szerokim polem ostrzału.

- Zespół B, przygotować się do skoku.

Skok. Teraz!

Żołnierze zmienili pozycje, krzycząc i strzelając.

Czworo bandytów rzuciło się do ucieczki, odrzucając broń. Jakiś mężczyzna wycelował w ich plecy. Kris położyła go, zanim nacisnął spust. Inny bandyta zaczął gestykulować, wskazując atakującą grupę. Dziewczyna wzięła na cel także jego, ale zanim strzeliła, ten już upadł, trafiony przez któregoś z jej ludzi.

Dwóch przeciwników schowanych za pniem drzewa otworzyło ogień. Strzelali tak szybko, jak tylko zdążyli naciskać języki spustowe. Kris wystrzeliła serię w pień, wrywając setki drzazg. W ciągu sekundy jeden z mężczyzn był na nogach, zostawił karabin i zaczął biec. Drugi krzyknął coś i powrócił do strzelania. Ostatnim pociskiem z magazynka Kris trafiła go między oczy.

Przeładowując, wydała kolejne polecenie do zmiany pozycji.

- Zespół A, przygotować się do skoku. - Następna linia drzew była już bardzo blisko przeciwników. - Skok. Teraz!

Biegając, Kris wystrzeliła długą serię. Para bandytów przed nią podniosła ręce do góry i uklęknęła. Gdyby nie brak czasu na zmianę nastawień broni, Kris uspiłaby ich strzałkami.

- Uciekajcie, idioci! - krzyknęła.

Zamiast usłuchać, padli twarzami w błoto, gdy kilka pocisków trafiło w drzewo obok nich. Podporucznik dojrzała Strzelca i ścięła go krótką serią.

Rzuciła się na ziemię za pniem drzewa.

- Zespół B, przygotować się. Skok. Tom, jak to wygląda u ciebie?

- Nie wiem, do cholery! - padła nietypowa, jak na podporucznika, odpowiedź. - Wokół mnie jest mnóstwo ludzi. Niektórzy uciekają, inni próbują atakować. Kris, nie mam pojęcia, co się tu dzieje.

- Courtney, wytrzymasz?

- Wycofałam połowę naszych, żeby zwiększyć odległość. Myślę, że więcej bandytów ucieka, niż walczy. Sekunda. - Przez włączony mikrofon podoficer słyszał było wystrzały. - Tak, więcej z nich ucieka.

- Zwiadowcy, jak prawa flanką?

- Mnóstwo celów, pani porucznik. Ktoś ich na nas spycha, ale nie mogę znaleźć drania. Przyda się każda pomoc.

Kris wstała, nad słuchując odgłosów bitwy wokół niej. Cholera! Co by teraz oddała za trzydzieści sekund obrazu ze Sky Eye. Gdy odwróciła się ku prawej flance, wiatr uderzył ją w twarz, przynosząc odgłosy intensywnej wymiany ognio-

wej z broni małokalibrowej. Aby pomóc Courtney z lewej strony, osłabiła prawą, a teraz zorientowała się, że właśnie na prawej rozpętało się piekło.

- Spens, przejmujesz dowodzenie nad tą linią, połącz się z porucznikiem Lienem i kontynuuj spychanie przeciwnika na wzgórze!

- Tak jest!

- Zabieram tych trzech - powiedziała Kris, dając sygnał żołnierzom będącym najbliżej niej. Jednym okazał się marine.

- Gdziekolwiek są pozostali dwaj marines, opuścić pozycję i dołączyć do mnie na prawo.

- Zrozumiałem!

Kris ze swym małym oddziałkiem ponownie rzuciła się między drzewa. Biegli, nie odpowiadając ogniem. Stanowili ostatni odwód.

Ktokolwiek dowodził uderzeniem na prawe skrzydło, wiedział, co robi. Nadal mógł się tam przebić, dzień się jeszcze nie skończył.

Kris miała nadzieję uderzyć tak gwałtownie, że przeciwnik załamie się i wycofa, zanim zorientuje się, jak małe siły ma przeciw sobie.

Spojrzała przez gogle termowizyjne, by zorientować się w położeniu stron. Obraz, który zobaczyła, był kalejdoskopem rozbłysków i ciemności, nieukładającym się w żaden sensowny wzór.

- Pani porucznik, tu Petro. Myślę, że widzę jednego z naszych przed sobą.

- Skaut Jeden, widzisz nas?

Pauza.

- Nie, pani porucznik.

- Skok o jeden rząd drzew!

- Petro, pani porucznik! Przede mną na sto procent jest marynarz. Strzela w lewo, w miejsce, skąd ktoś ostro strzela do mnie!

- Widzę was - zakomunikował Skaut Jeden.

- Okay, wszyscy zmieniają magazynek na pełny. Kolejny mieć pod ręką. Ktoś jest pusty?

Bez odpowiedzi.

- Na mój sygnał przyciskamy ich ogniem. Wywalamy cały magazynek. Przeładowujemy i przechodzimy do pościgu. Pytania?

Żadnych.

Kris załadowała nowy magazynek. To oznaczało, że pozostał jej jeszcze jeden pełny i resztką naboju w tym, który wyjęła.

- Na sygnał. Trzy, dwa, jeden. Teraz! - Wokół dziewczyny sad ożył jedną przedłużającą się eksplozją. Strzałki cięły powietrze, drzewa, ciała. Mówi się czasem o minutach szaleństwa. M-6 nie potrzebuje minuty, by opróżnić magazynek z dwustu strzałek. Ogień oddziału Kris zapisał nową definicję szalonych minut, podnosząc poziom owego szaleństwa do niewyobrażalnych rozmiarów.

Zamek w karabinku dziewczyny stuknął,

zatrzymując się w tylnym położeniu po wystrzeleniu ostatniego pocisku. Sięgnęła po następny magazynek, wbiła go w gniazdo i zwolniła zamek.

- Za nimi! - krzyknęła, podrywając się do pościgu.

- Dajesz, dajesz! Za nimi!

Tu i ówdzie ci, którzy przeżyli morderczą nawałę ogniową, padali na kolana, unosząc ręce. Jakiś mężczyzna nakazywał im się podnieść. Kris wzięła go na cel, ale został trafiony z tak wielu kierunków, że nie mógł upaść. Martwe ciało podskakiwało w makabrycznym tańcu, podrzucane seriami strzałek.

Większość bandytów w głębi ugrupowania zerwała się do ucieczki, rzuciwszy uprzednio broń. Ale nie wszyscy. Podporucznik chwyciła mikrofon.

- Wszyscy trzymający broń zostaną zastrzeleni! - rozległo się między drzewami. - Rzućcie ją, a nic wam się nie stanie. Albo ją zatrzymajcie i zdychajcie!

Większości uciekinierów nadal trzymających karabiny korekta własnej pomyłki zajęła sekundę. Kilku nadal nie rozumiało. Może byli zbyt przerażeni, by zdawać sobie sprawę, co robią. A może byli twardzielami niewyobrażającymi sobie życia bez broni. Nie było czasu na zastanawianie się. Kris i inni szybko ich zastrzelili. Kolejna grupa



uciekinierów wykorzystwała moment, by naprawić swój błąd. Znowu nie wszyscy. Padły kolejne trupy.

- Jest Sky Eye - zabrzmiało cicho w uchu Kris, przypominając jej, że powinna dowodzić. Niechętnie opuściła broń, raz obudzony szalony wojownik nie chciał ustąpić miejsca chłodnemu i logicznemu dowódcy. Zanim sięgnęła do kieszeni po wyświetlacz, wzięła dwa głębokie oddechy. Potem schroniła się przed deszczem pod drzewem.

Na całej linii bandyci uciekali na zachód sadu, kierując się ku wzgórzom. Jak pszczoły do miodu biegli ku strumieniowi, jakby ten stanowił jakąś magiczną granicę. Kris z łatwością mogła im odciąć drogę, ale w porę uświadomiła sobie, że celem tej bitwy nie było zabicie jak największej ilości wrogów. Większość uciekających, jeśli nie wszyscy, była niegroźna.

- Pułkownik, może mi pan powiedzieć, czy na skanach widać jakąś broń?

- Używają starych metalowych karabinów myśliwskich?

Kris spojrzała na kilka egzemplarzy porzuconej broni.

- Na to wygląda.

- Spektrum magnetyczne jest bardzo niskie - odpowiedział pułkownik. - Moim zdaniem, ogranicza się do sprzączek od pasów i końcówek sznurowadeł.

- Dziękuję, pułkowniku. Nie będę ich ścigać.

- Raport o stratach ^podporucznik zmieniła temat i odbiorcę swojego przekazu.

- Mam dwóch rannych, w tym jednego ciężko - zameldowała Courtney. - Medyk już tu jest.

- Przyjęłam. Dalej?

- Jedna powierzchowna rana - zgłosił Tom.

- O kurwa! Tu Skaut Jeden. Mam... Mam...

- Gdzie jesteście?

Dziewczyna odwróciła się. Na prawo od siebie zobaczyła jedną z podwładnych wskazującą kierunek.

Z rosnącym niepokojem Kris wygrzebała resztki sił i pobiegła.

Dotarła do trójki, którą zostawiła do osłony prawego skrzydła. Stali nad ciałem. Kobieta, która w czasie jazdy siedziała za Kris, uklękła, łzy na jej twarzy mieszały się z deszczem. Marine - Skaut Jeden - spojrzał na dowódcę.

- Wszystko było z nim w porządku. Przyśięgam na Boga, dawał sobie radę. Widziałem, jak się podnosił, gdy dała pani komendę do pościgu. Myślałem, że cały czas jest z nami. Myślałem, że jest...

Kris spojrzała na ciało rekruta, którego знаła tylko jako niedoszonego bohatera. Pocisk trafił go w czoło. Upadł na wznak, szeroko otwartymi niebieskimi oczyma wpatrując się w szary deszcz. Nie miał już magazynków, ten w broni był ostatni. Tym razem, widocznie w odróżnieniu od porannej potyczki, chłopak nie zmarł ze strachu.

„Jak wytłumaczę jego matce i ojcu, co ich syn wygrał, a co stracił dzisiaj?”

Tysiące uczuć, pytań i żądań kłębiło się w głowie podporucznik Longknife. Ale teraz nie było czasu zajmować się nimi. Nadal dowodziła, najpierw musiała zakończyć akcję. Na refleksje przyjdzie czas później.

- Tom, przyślij tu ciężarówki. Dopilnuj zgromadzenia rannych przy drodze. Wszyscy pozostali, mamy tu do zebrania dużo broni. Powyjmować z niej zamki.

- Pani porucznik, mam naprawdę ciężko rannego.

- Wiem, bosmanmat. Będziemy zbierać broń tylko tak długo, jak potrwa załadunek rannych. Co zbierzemy, to zbierzemy, resztę zostawimy rdzy. Musi wystarczyć.

- Przepraszam, pani porucznik - szepnęła Courtney.

- Wy trzej - Kris wskazała trójkę z prawego skrzydła - przynieście... go.

Nie znała nawet nazwiska poległego.

- Willie, pani porucznik. - Klęcząca kobieta spojrziała na nią. - Willie Hunter.

Kris zostawiła ich zawijających ciało w poncho. Razem z pozostałymi poszła między drzewa, by zbierać broń i wyjmować z niej zamki. Jednym z karabinów walnęła w drzewo. Mocno, aż zaboląły ją dłonie.

Zdażyła zniszczyć jeszcze kilka sztuk, zanim odezwał się Tommy:

- Longknife, ranni załadowani. Musimy jechać.

- W porządku, załoga, co udało się zniszczyć, to się udało. Resztę zostawić i ładować się do pojazdów - krzyknęła.

Wokół niej podwładni kończyli robotę i zbierali się na drodze.

- Tom, jak tylko zbierzesz piątkę do drugiego wozu, ładuj ich i razem z rannymi grzej do bazy.

- Ty zostajesz?

- Nie, jadę zaraz za wami. Ale ranni jadą na samym początku, i to jadą szybko!

- Tak jest, pani porucznik.

Doszła do skraju drogi, gdy pierwsze pojazdy ruszyły. O ile znała Toma, sam kierował ciężarówką z rannymi. Interesujące byłoby zobaczyć, jak przyjaciel stara się osiągnąć złoty środek mię-

dzy jak najszybszą jazdą a zapewnieniem komfortu ludziom. Biedny Tom, zawsze rozrywany między czynieniem kilku dobrych rzeczy naraz.

Kris połączyła się z ostatnią farmą. Właściciel oczywiście zgodził się zabrać zatrzymanych z pierwszej potyczki. Dziewczyna rozłączyła się, gdy zwiadowcy wynieśli z lasu swe brzemię. Wskazała im ostatnią ciężarówkę. Umieścili Wiliego z tyłu i odmówili zajęcia miejsca w kabinie, woląc dzielić mokrą pakę ze zmarłym towarzyszem broni. Kris chciała do nich dołączyć, ale zdała sobie sprawę, że wówczas nikt nie będzie towarzyszył Spensowi. To był długi, ciężki dzień, a powrót nie zapowiadał się łatwy. Ktoś musiał pilnować, by podoficer nie zasnął za kierownicą.

Wspięła się do kabiny. Zrolowała poncho, gdy Spens ustawiał pojazd na końcu kolumny.

- Myśli pani, że osiągnęliśmy dziś jakiś zysk? - spytał księgowy.

- Myślisz, że łatwiej ci teraz będzie dodawać cyfry na komputerze, gdy już wiesz, co się za nimi kryje? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Nie wiem. To było całkiem miłe widzieć twarze dzieci i kobiet, gdy przywieźliśmy im pierwszy od bardzo długiego czasu posiłek.

- A to? - spytała podporucznik, wskazując sad, z którego właśnie wyjeżdżali.

- Dorwaliśmy drani, prawda? Nie będą już

pogrywać z marynarką następnym razem, gdy wyjedziemy z konwojem.

Kris pomyślała przez chwilę. Wyjechali, by nakarmić głodujących... i zrobili to. Mieli szansę nieco ulżyć tym biedakom... i to też się udało. Mimo wszystko cena wydawała się Kris bardzo wysoka.

- Tak - zgodziła się ze Spensem - nie będą już zaczynać z marynarką.

## ROZDZIAŁ 13

Ciężarówka wjechała powoli na plac w bazie. Kris wysiadła z kabiny i ruszyła, by pomóc marines zdjąć ciało jedynej ofiary. Pułkownik Hancock już na nią czekał.

- Jak poszło? - zapytał.

- Myślę, że nie najgorzej - odpowiedziała, przemykając się obok przełożonego, by nadzorować zdjęcie ciała z ciężarówki.

- Proszę im pozwolić się tym zająć - powiedział pułkownik.

- Nim - poprawiła Kris. Ponieważ pułkownik nie zdradzał najmniejszej ochoty zejścia jej z drogi, odwróciła się w stronę budynku dowództwa. - Pójdę zobaczyć, co z rannymi.

- Już się nimi zajęli. Chcę z panią porozmawiać w moim biurze.

- Będę za kilka minut.

- Tak jak ostatnio? - spytał szef, unosząc brwi.

Kris skręciła w prawo, do izby chorych. Zgodnie z jej przewidywaniami Tom jako wykwalifikowany ratownik pomagał medykowi, podczas gdy lekarz i drugi medyk starali się utrzymać przy życiu ranną z zespołu Courtney. Podporucznik zatrzymała się przy każdym z rannych, zamieniła kilka słów, pochwaliła za postawę podczas potycz-

ki. Jeden z rannych żołnierzy stracił w tym momencie przytomność. Gdy tylko Tom podbiegł, by mu pomóc, pułkownik złapał łokieć Kris żelaznym chwytem i wyprowadził ją z izby.

Chwilę potem siedziała w gabinecie dowódcy ze szklanką w dłoni. Pułkownik wyciągnął butelkę doskonałej whisky „Single Malt” i otworzył ją. Aromat wypełnił pokój, zanim jeszcze mężczyzna zaczął napełniać szklankę Kris. Po chwili to samo zrobił ze swoją szklanką. Unosząc naczynie wypełnione bursztynowym płynem, powiedział:

- Odwaliła tam pani kawał doskonałej roboty.

Kris przez moment patrzyła na szklankę. Ile razy dziś omal nie została zabita? Czy miało dla kogokolwiek znaczenie, czy zakończy ten dzień absolutnie trzeźwa? Pociągnęła duży łyk. To była naprawdę dobra, rozlewająca ciepło po całym organizmie whisky. Dziewczyna westchnęła i usiadła wygodniej w fotelu.

- Mam nadzieję, że tak.

- Nie, poruczniku, naprawdę dobrze się pani spisała.

Kris wypila kolejny łyk. Jeśli tak dobrze się spisała, to czemu czuje się tak...? Tu właśnie był cały problem. Nie wiedziała nawet, jak nazwać swoje odczucia. Może któryś z pradziadków by wiedział, ale ona nie. Wszystko było zbyt nowe,



zbyt dziwne, zbyt straszne.

- Jak mam przedstawić ich wszystkich do medalu, panie pułkowniku? Cała załoga konwoju zasługuje na odznaczenie.

Pułkownik pociągnął łyk ze swojej szklanki.

- I wszyscy dostaną Medal Pomocy Humanitarnej.

Dziewczyna prawie upuściła szklankę.

- Do cholery, dowódco, ten medal dają na Wardhaven za siedzenie na dupie i liczenie pudełek w magazynie. Moi ludzie tarzali się w błocie, strzelano do nich, walczyli z wrogiem ośmiokrotnie liczniejszym, zgodnie z najlepszymi tradycjami służby... panie pułkowniku.

Tyradę zakończyła większym, niż planowała, łykiem. Poczowała ogień w żołądku. Przynajmniej ból był rzeczywisty. Po dzisiejszym dniu przestawała wierzyć w cokolwiek.

Pułkownik także się napił.

- Wiem, Kris, ale czy to była akcja bojowa?

- Nie mam pojęcia, co to było, ale jeśli nie była to akcja bojowa, to ktoś zapomniał uprzedzić o tym pociski.

Dowódca pokiwał głową.

- Wiem. Czy jesteś w takim razie gotowa potwierdzić, że ci obywatele są częścią zbrojnej

rebelii przeciw legalnemu rządowi Olimpii?

Kris gwałtownie zamrugła, starając się zrozumieć sens tego zdania, ale poddała się. Zamiast tego wypła kolejny łyk.

- Nie widziałam jakoś tego rządu. Gdzie oni są?

- Gdzieś tutaj. - Pułkownik wykonał szeroki gest. - Wszystko, co mają, to władza ustawodawcza. Zgodnie z własną konstytucją wolno im się zebrać na jedną sześciotygodniową sesję raz na trzy lata. Ostatnia była przed wybuchem wulkanu. W ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy nie wolno im odbyć następnej, chyba że będzie dotyczyła wyborów. Chcesz w tym bałaganie przeprowadzić wybory?

- W książkach musi być jakaś opcja na obejście tego. - Doskonale pamiętała, ile razy ojciec naginał prawo Wardhaven, by osiągnąć to, czego chciał. Spojrzała na pułkownika.

- „Najlepszym sposobem rządzenia jest jak najmniej rządzić”. - Zmarszczył brwi. - To pierwsze zdanie ich konstytucji. Po każdej sesji może powstać dokładnie sto stron praw. Rozmiar stron, szerokość marginesów, wielkość czcionki są dokładnie określone, żeby uniknąć nadużyć. Założyciele tej kolonii wyraźnie nie chcieli mieć rządu. Żadnej władzy wykonawczej, premiera, po prostu legislaturę i prawa.

- Kto więc wezwał na pomoc Stowarzyszenie?

- Według mojej wiedzy jeden z bogatych farmerów na północy zna kogoś w rządzie Wardhaven. To Wardhaven przedstawiło propozycję tej misji w senacie. Może to ktoś z twoich krewnych?

- Chyba że ze strony matki. - Kris splukwała usta whisky. - Strona ojca przemyślałaby to znacznie lepiej. Jesteśmy tu, żeby wspomagać rząd, który ze wszystkich tych powodów nie istnieje. Czyli ci ludzie strzelający do nas nie mogą zostać uznani za rebeliantów, ponieważ nie mają przeciw komu się buntować.

- Zaczynasz rozumieć, czemu zasypiałem przy biurku, próbując znaleźć sposób, jak bezpiecznie uchwycić ten worek pełen węży?

Kris nigdy dotąd nie słyszała, by oficer starszy był tak blisko otwartego przyznania się do porażki. Chcąc ukryć zmieszanie, wypłała kolejny łyk drinka i zmieniła temat.

- Panie pułkowniku, będziemy potrzebować większej liczby konwojów. Ludzie poza miastem bliscy są śmierci głodowej. Dorośli jedzą trawę, ale dzieci nie mogą. - To był temat, na który miała dużo do powiedzenia.

- Już sprawdziłem. Do jutra mechanicy Liena przygotowują piętnaście samochodów. Stwo-

rzymy z tego trzy konwoje.

- Który z nich mam poprowadzić? - spytała Kris, patrząc na whisky w szklance.

- Żaden. Masz zakaz opuszczania bazy.

Kris wzdrygnęła się.

- Panie pułkowniku, odpowiadałam tylko ogniem. Bandyci zaatakowali pierwsi. I zrobiłam, co tylko było w mojej mocy, żeby ograniczyć do minimum liczbę cywilnych ofiar. - Kris nie wiedziała, jak liczyć jednego zabitego po stronie wojskowej. Nawet jeden to więcej, niż warta była cała Olimpia. Co mogła zrobić innego przy tych wszystkich przeciwnościach? „Czemu czuję się taka przegrana?”

Pułkownik podniósł swojego drinka jak przy toaście.

- Mówiłem ci, że doskonale się spisowałaś. I utrzymuję w mocy to, co powiedziałem. Oboje z porucznikiem Lienem ograniczacie swoją działalność do terenu bazy.

- Czemu, dowódco?

- Bo stała się pani wysoko opłacalnym celem, poruczniku Longknife. Działa pani na przeciwników jak płachta na byka. Wielu z nich pragnie pani śmierci. Jeśli wyślę teraz konwój, bandyci będą wiedzieli, żeby niczego nie kombinować. Jeśli wyślę panią z tym konwojem, jakiś watażka spróbuje panią zabić, żeby zdobyć reputację. Czy

się to pani podoba, czy nie, jest pani tą Longknife. Tą, która pobiła ich przy Błotach Dzikiej Świni. W ciągu najbliższych kilku dni spodziewam się batalionu piechoty górskiej LornaDo. Wysyłam panią i Liena na Wardhaven i zamierzam wysłać was żywych.

- Zwalnia mnie pan, pułkowniku!

- Rotuję panią, poruczniku. Nie planuje pani spędzić reszty swojej kariery na Olimpii, prawda?

- Nie, po prostu nie spodziewałam się wyjeżdżać stąd tak szybko.

- Tak bywa w operacjach kryzysowych, Kris. Szczególnie przy całym tym zamieszaniu z budżetem. Nikt nie zostaje tu dłużej niż miesiąc. Nie uważasz, że ten okres prawie upłynął?

Kris starała się przypomnieć sobie, jak długo tu jest. Nie mogła.

- Nelly, jak długo tu jesteśmy?

- Tydzień, sześć dni i osiem godzin.

- I wystarczy - mruknął pułkownik, po czym sięgnął po drinka.

Kris wzięła kolejny łyk z prawie pustej szklanki.

- Kto poprowadzi konwoje?

- Tych dwoje podporuczników miało jak dotąd zbyt łatwo. Sam wezmę jeden. Wystarczy roboty papierkowej, trzeba się przewietrzyć. Nie

jestem pewien, czy dać konwój Pearson. Ludzie mogą odmawiać przyjęcia żywności.

Oboje się uśmiechnęli.

- Proszę ją wysłać - powiedziała dziewczyna - musi zobaczyć, jak to naprawdę wygląda. Może jej to pomóc z regulacjami. Przy skradzionych kartach identyfikacyjnych nie ma możliwości udowodnić, kto dostał żywność. Nie możemy po prostu wszystkich na tej planecie uznać za głodujących.

- Nie wszyscy głodują.

- Mam na myśli oczywiście wszystkich poza bazą - uściśliła.

- Są także cywile, którzy nie opuścili ani jednego posiłku, Kris. Niektórym się tu całkiem nieźle powodzi. No, może nie tak dobrze jak kiedyś, odkąd zamknęłaś dostęp do racji żywnościowych marynarki.

Pułkownik ponownie zasalutował szklanką.

- Jeszcze jednego?

Kris spojrzała na bursztynowy napój. Alkoholik pije pierwszego drinka, drugi go powala. Przypomniała sobie, jak trudno było jej przestać pić. Jakie to upokorzenie, gdy Harvey lub któraś z pokojówek musieli po niej sprzątać. Czy chciała, by pułkownik ujrzał tę Longknife?

- Dziękuję, panie pułkowniku, lepiej po-

spaceruję.

Hancock nappełnił swoją szklanke.

- Proszę na siebie uważać, poruczniku.

- Będę - odpowiedziała. „Cały problem w tym, na co mam uważać najbardziej, na mój tyłek, moją dumę czy... co?”

Sama nie wiedziała, kiedy znalazła się poza budynkiem dowództwa, stojąc w deszczu. Ponieważ zostawiła poncho w ciężarówce, ubranie szybko przemokło, ale whisky sprawiała, że dziewczyna nie czuła zimna. Ostatnio dużo spacerowała wieczorami. Widziała pijanych mężczyzn. Pomimo panującego głodu był tu dostępny alkohol. Kris potrzebowała go dziś.

- Nelly, nie chcę z nikim gadać, odłącz mnie od sieci.

Była w połowie przecznicy, gdy lunął tak ostry deszcz, że zdecydowała się wrócić do swojego pokoju. Ociekając wodą, padła na łóżko, patrząc w sufit i starając się pozbiierać. Dobrze sobie poradziła. Straciła żołnierza, a może dwóch? Nakarmiła mnóstwo głodnych dzieciaków. Zabiła ludzi, których jedyną zbrodnią był głód. Pobiła bandytów.

Naoliwiony przez whisky umysł kręcił się na wysokich obrotach. Przypomniała sobie wieiórki ganiające się po ogrodzie w Starym Nuu. Tak długo, jak te myśli przewalały się przez jej

głowę, nie miała ochoty na dzielenie się nimi z kimkolwiek. Zauważyła zacieki na suficie. Ciekawe, skąd się wziął? Zamknęła oczy, ale nie mogła usnąć. Zabijała i omal nie została zabita.

\* \* \*

- Kris, możemy pogadać? - rozległo się za drzwiami, zaraz po lekkim pukaniu.

- Nie chcę z nikim rozmawiać - odskrzyknęła Kris.

- Tom naprawdę chciałby z tobą porozmawiać - miękko powiedziała Nelly.

- A więc powiedziałaś mu, gdzie jestem.

- Nie, proszę pani. Wylogowałam panią z sieci, zgodnie z życzeniem. Jednak on sprawdził detektor ruchu w pani pokoju.

Dziewczyna spojrzała spode łba na swój komputer osobisty. Najwyraźniej Nelly nie zrobiła wszystkiego, by chronić jej prywatność.

- Kris, naprawdę chciałbym z tobą porozmawiać - powtórzył Tom.

- A ja naprawdę chcę, żeby wszyscy dali mi spokój.

- Czy Longknifeowie zawsze dostają to, czego chcą?

- Nie, ale ta Longknife jest w podłym nastroju i w dodatku zapomniała zabezpieczyć broń boczną. Na twoim miejscu poszłabym sobie.

- Nie jesteś na moim miejscu, jeśli tego nie



zauważyłaś.

Kris niemal widziała grymas na jego twarzy.

- Przyniosłem butelkę.

To komplikowało sprawę. Cholera, ależ potrzebowała drinka.

- Otwierać - wydała polecenie drzwiom.

Grymas Toma był dokładnie taki, jak sobie wyobraziła. Przekroczywszy próg, chłopak rzucił jej butelkę. Złapała ją i wykrzywiła się.

- Woda mineralna!

- Nie rozbijaj jej. To prawdopodobnie jedyna butelka na tej błotnistej planecie.

Kris wycelowała butelką w głowę przyjaciela, ale ten złapał ją w locie.

- Będziesz miała coś przeciw temu, że powiem pułkownikowi, gdzie jesteś?

- Czemu miałyby go to obchodzić?

- Ponieważ wywołałem u niego lekką panikę, kiedy poczęstował mnie ogromnym drinkiem, mówiąc, że jednego już wypił z tobą. Chwilę potem miał okazję przekonać się o możliwościach Nelly. Nie poprawiło to jego zdania na temat bogatych dziewcząt w korpusie.

- Jestem w marynarce, a nie w jego kochanym korpusie.

- Mogę zadzwonić?

- A dzwoń sobie, do cholery.

Tommy zrobił to. W głosie pułkownika brzmiała wyraźna ulga. Rozmowa była krótka, bo przełożony musiał odwołać alarm, który wszczął po zniknięciu podwładnej.

- Czego się tak przestraszył?

- Nie jesteś dziś w najlepszej formie.

- A co to ma do rzeczy?

- Jeśli nie masz tych swoich dolarów, jak zamierzałaś płacić za drinki poza bazą?

- I właśnie dlatego nie jestem poza bazą. Nie myślałaś chyba, że byłabym na tyle głupia, żeby błyskać na lewo i prawo swoją kartą kredytową.

- Mam wujka, któremu „rozjeżdżają się półkule mózgowe”, gdy poczuje alkohol. A nie wiem, jak to jest z tobą.

- Wróciłam tu, żeby zabrać trochę gotówki, a potem zdecydowałam, że nie warto moknąć. Zadowolony?

Tommy siadł na podłodze pod drzwiami. Kris położyła się na brzuchu i podparła brodę rękami. Spojrzała na przyjaciela.

- Paskudny dzień - odezwał się Tom.

Kris już miała mruknąć coś niezobowiązującego typu: „Masz rację”, gdy zrozumiała, że czuje coś zupełnie innego.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Wykonywałaś tylko polecenia.

- Mam wrażenie, że nie byłem dla ciebie wielkim wsparciem.

- Obawiam się, że masz rację.

- Doktor mówi, że Shirri przeżyje - zmienił temat Tom.

- Tak ma na imię?

- Zeb uważa, że na jutro uda mu się przygotować piętnaście samochodów. Pułkownik mówi, że my już nie możemy jeździć. Mamy się podzielić zabawą z pozostałymi podporucznikami.

- Taaa. - Kris żałowała, że nie ma już whisky Hancocka.

- No to kiedy zaczniesz wylewać żale?

- Jakie żale?

- Staralem się udzielić Courtney takiego wsparcia, jakiego mogłem - powiedział Tom, patrząc Kris prosto w oczy. - Ale oni po prostu wszyscy jakby się uparli biec tylko w jej stronę. Całkowicie ignorowali mnie, wszyscy atakowali ją. Wyśłałem jej kilku ludzi, ale było nas po prostu zbyt mało.

- Boże, było ich faktycznie dużo - odpowiedziała Kris, mając przed oczyma błoto, deszcz, ciała. - Ilu zabiliśmy?

- Nie wiem.

- Nelly, ilu zabiliśmy?

- Nie wiem, Kris. Nie analizowałam ostatniego obrazu ze Sky Eye pod kątem liczby ciał.

Powinam?

Kris wzięła głęboki wdech, wpatrzona w plamę nad głową Toma, gdzie obsługa zdarła farbę. Wzdrygnęła się.

- To nie ma znaczenia, prawda, Tom? Oni już pozostaną martwi, a ja wciąż żyję. I nigdy nie będę wiedziała, czy zasługiwali na śmierć, czy byli tylko głodnymi durniami.

Westchnienie, które wyrwało się z piersi Toma, mogło być powodem do dumy dla jego irlandzkiej matki.

- Nie, nie będziemy już wiedzieć.

- Ja zawsze ze wszystkiego wychodzę cało. To kto inny ginie.

- Jak Eddy - Tom nawet nie zauważył, kiedy użył zakazanego imienia.

- Jak Eddy - szeptem potwierdziła dziewczyna.

- Tak więc żyjesz i zastanawiasz się, czy się nie upić, ale żadna ilość whisky, którą wypijesz, nie zwróci życia Eddy emu. - Spuścił wzrok. - Im także nic nie pomoże to, że będziesz się włóczyć na deszczu.

- Nie jesteś dziś zbyt poetyczny.

- Ale taka jest prawda, Kris. Ty żyjesz. Ja żyję. A oni nie. Zdarza się. Kiedy puszcza śluza i próżnia wsysa ludzi, jedni giną, a inni nie. Facet, który zostaje w domu, bo jest chory, żyje. Żyje

dziewczyna, która wyszła kupić nową sukienkę. A także chłopaczkę, który przewrócił się na placu zabaw. A starszy gość, który zdjął hełm, bo było mu zbyt gorąco, a poza tym wiedział, że jest bezpiecznie... ginie. I nikt nic nie może na to poradzić. Możemy za nich wypić, ale dobrze, że my żyjemy. Dobrze, że to oni zginęli, nie my. A gdyby było odwrotnie, oni wypiliby za nasze dusze.

Tom ponownie spojrział prosto na Kris.

- Zawsze lepiej jest wypić, niż być tym, za kogo piją.

- Naprawdę? Lepiej żyć? Skąd wiesz? Byłeś kiedyś martwy? Myślę, że się jednak napiję.

Tom nie wstał, ale pokręcił głową.

- Wypiłaś już wystarczająco dużo.

- Nie ma takiego pojęcia jak „wystarczająco dużo”.

- Martwi mają wszystko, czego potrzebują.

Kris patrzyła na przyjaciela przez długość pokoju. Nie wykazywał napięcia, nie uczynił najmniejszego gestu. A jednak wiedziała, że jeśli spróbuje wyjść, on ją zatrzyma.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zabrać go ze sobą. Czy naprawdę chciał, aby była dziś trzeźwa? Usiadła.

- Co czujesz, Tom?

- Nie wiem. Żałuję, że nie zostałem na

Santa Maria. Żałuję, że znalazłem się w miejscu, gdzie ludzie do mnie strzelają, a ja muszę odpowiadać ogniem. Wy, Longknifeowie, jesteście stworzeni do życia na adrenalinie.

Tym razem to Kris westchnęła. Cichutko, jak dama. Jej mama także mogła być z niej dumna.

- Czytałam tyle książek, słyszałam tyle opowieści. Zawsze mówią o tym, co dziadek Ray czy „Kłopot” zrobili, nigdy o tym, jak się potem czuli.

- Jak sobie dawali radę? - spytał Tom.

- Nie wiem, po prostu nie wiem. - Kris przetarła oczy i stłumiła ziewnięcie. Prawdopodobnie alkohol wreszcie zaczął działać. - Może już sobie pójdziesz i dasz mi się wyspać?

Wyszedł, nie spojrzawszy nawet na nią.

## ROZDZIAŁ 14

Kris obudziła się, nie pamiętając, co jej się śniło, i z lekkim tylko niesmakiem w ustach. Zachowanie trzeźwości miało swoje dobre strony. Wykąpała się i ubrała, a następnie powlokła na stołówkę. Bycie żywym bywało jednak czasem bolesne. A może tylko ona tak to odczuwała, bo wydawało jej się, że podwładni wyglądają na mniej zmęczonych. Czy faktycznie trzymali dziś głowy wyżej niż ona? Jedyne deszcz na zewnątrz wydawał się taki sam jak wczoraj.

Pułkownik zaprosił ją do swojego stolika.

- Jak się spało? - zapytał.

Zapewnienie Kris o dobrze przespanej nocy uznał za satysfakcjonujące.

- Byłem dziś u rannych. Wszyscy mają się dobrze.

- Wpadnę do nich po śniadaniu - powiedziała Kris, czując nagle wilczy apetyt.

Szef odchylił się na krześle.

- Bardzo mi przykro, ale mam dziś dla pani inną trudną misję.

Czemu ten skurczybyk uśmiechał się przy tym?

- Nie może być cięższa niż wczorajsza.

- Zdecydowanie trudniejsza, choć bezpieczniejsza.

Uśmiech pułkownika stał się jeszcze szerszy i bardziej złośliwy.

- Panie pułkowniku, czy mówił już ktoś panu, że ma pan wyjątkowe poczucie humoru?

- Nie bardzo mogę sobie przypomnieć.

- Może zechciałby pan kiedyś o tym pomyśleć. - Kris odczekała bardzo długą chwilę, zanim dodała: - Panie pułkowniku.

- O, i choćby z tego powodu nie widzę sensu okazywać pani jakiegokolwiek litości... poruczniku. Mamy dziś w bazie wizytę naprawiacza świata, który przebył niebywale długą drogę, żeby osobiście przekonać się, jakie dobre rzeczy robimy za jego pieniądze. Chcę, żeby oprowadziła go pani po bazie, pokazała mu, co jest grane, a ja w tym czasie odbędę sobie uroczą wycieczkę po okolicznych farmach.

Zapowiadał się nudny dzień.

- Co to za staruszek?

- Nie taki staruszek. Może go pani nawet uznać za przystojniaka. Nazywa się Henry Smythe-Peterwald Trzynasty. Paskudnie jest nazwać dzieciaka tym samym imieniem, ale trzynasty z rzędu to już jest całkowita przesada. - Pułkownik pokręcił głową.

Kris udało się przełknąć to, co miała w ustach, i nawet roześmiać się z żartu Hancocka.

„O mamó! Ty się tam tak starasz, żebym



spotkała się z tym chłopakiem, a tu proszę, mam z nim spędzić cały dzień”.

Fakt, że jego ojciec znajdował się na czele listy domniemanych sponsorów prób zabójstwa Kris sporządzonej przez ciocię Tru, nie miał żadnego znaczenia, prawda?

„A pan, pułkowniku, myślał, że będę dziś bezpieczna”.

\* \* \*

Kris patrzyła na załadunek ciężarówek, gdy Tom zameldował ich techniczną sprawność i gotowość do wyjazdu. Trzy konwoje gotowe były ruszać w trasę, a dziewczyna z wymuszonym uśmiechem, sama będąc zmuszona do pracy papierkowej, obserwowała, jak większość jej podwładnych z dnia poprzedniego ponownie szykuje się na spotkanie błota, bagien i bandytów. Gdyby ktokolwiek zaproponował jej zamianę ról, nie wahałaby się ani chwili.

Gdy pojazdy wyjechały, wróciła do biura. Zeb już czekał. Szybko przejrzeni plan rozładunku, magazynowania i przygotowania konwojów na dzień jutrzejszy. Spens pracował przy komputerze. Jeden wyjazd w zupełności mu wystarczył. Potrząsnął głową na widok wchodzącej przełożonej.

- Coś nie tak? - spytała Kris.

- Chodzi o to gównie, które nam przysyłają. Dwudziestoletnie racje żywnościowe są po pro-

stu nieco twardsze do zgryzienia. Ale mam tu magazyn pełen przeterminowanych leków. Proszę na to spojrzeć. - Pokazał wydruk. - Szczepionka, której okres ważności upłynął miesiąc temu. Możemy tego użyć?

- Musisz spytać lekarza - odpowiedziała, patrząc mu przez ramię. Faktycznie połowa zawartości magazynu numer trzy to były przeterminowane śmieci, prawdopodobnie za stare już w momencie wysyłania.

- Ktoś używa nas jako śmietnika.

- Nie, ktoś używa nas jako pralni pieniędzy, które teoretycznie wydaje na cele charytatywne i odpisuje od podatku.

- Czemu na kilometr śmierdzi mi to moim starym i jemu podobnym? - mruknął Spens. - A on dziwi się jeszcze, że nie chcę przejąć po nim pałeczki.

Kris zmarszczyła brwi na myśl o tym, jak świat, przed którym uciekali zarówno ona, jak i jej księgowy, dopada ich także w marynarce.

- Hej, patrz, kogo znalazłem za szafą - zabrzmiało wesoło od drzwi.

- Spodziewałem się nieco lepszego wprowadzenia.

Kris odwróciła się, by ujrzeć Toma i Henry'ego Smythe-Peterwalda Trzynastego. Wyszukana elegancja i miła aparycja tego ostatniego wy-

dawały się bardziej widoczne, gdy nie były podkreślane przez matkę w co drugim zdaniu. Ubrany był w drogi i doskonale dopasowany komplet odzieży turystycznej. Kris przypomniawszy sobie, że dokładnie tak samo wyglądały ubrania, w które matka zaopatrywała ją przed każdą wycieczką w góry.

Szybko odrzuciła te wspomnienia, starając się, by gość nie wziął gniewnego zmarszczenia brwi jako skierowanego do siebie.

- Nie masz plakietki „Gość”. Musisz wrócić do dowództwa, żeby się zarejestrować. - Kris, uciekając się do standardowych procedur, chciała kupić sobie nieco czasu do zastanowienia. - Zwróć się do komandora Owena, który dowodzi pod nieobecność pułkownika Hancocka.

- Nie da się tego uniknąć? Mam dość papierów na co dzień - odpowiedział z lekkim tylko grymasem.

- Co chciałbyś zobaczyć? - spytał Tom.

„Poza pewną panią podporucznik, oczywiście” - dopowiadało porozumiewawcze spojrzenie rzucone Kris.

- Cokolwiek, byle nie swojego starego. Co tu robisz, Kris? - Henry szybko ominął Toma.

- Cokolwiek marynarka każe mi robić, Henry. Wstąpienie do woja wyglądało mi na najlepszy sposób, żeby przyprowadzić mamuszkę o atak

serca.

- Och, to nasze poświęcenie dla rodziców - zaśmiał się gość. - Tak więc mamy sporo wspólnego. I proszę, mów mi Hank. Tylko ojciec ma wystarczająco dużo dostojęstwa, żeby być Henrym.

- Jak dla mnie, może być. Mama byłaby zachwycona, słysząc to.

- To mama tak samo pcha cię w moje ramiona jak ojciec mnie w twoje?

- Z mocą katapulty kosmicznej.

- To chyba jestem ci winien przeprosiny. - Hank uśmiechnął się miło.

- Przyjęte i oddane z wzajemnością - powiedziała Kris, podając mu rękę. Chwycił ją, przez moment zastanawiając się nad ucałowaniem dłoni. Na szczęście zdecydował się na męski uścisk. „Tylko bez uprzedzeń - myślała dziewczyna - pozwólmy facetowi zdefiniować się samemu. Nie oceniamy go przez pryzmat historii rodów, iluzji matki, uprzedzeń Tru”.

- To co możemy dla ciebie zrobić? - spytał Tom.

- Sęk w tym, że to ja mam coś zrobić dla was. A przynajmniej tak mówił ojciec, wysyłając mnie na nową kolonię na Grozen. Odpowiedziałem mu: „Jeśli media mają być pełne naszych zdjęć przy pomaganiu innym, przynajmniej zrobmy to dobrze”. Tak więc mam statek pełen rzeczy, które

moim zdaniem mogą się przydać.

- A gdy już zostanie rozładowany? - spytała Kris.

- Wtedy polecę na Grozen.

- Jak myślisz, ile potrwa rozładunek? -

Tom od razu przeszedł do konkretów.

- A ile, twoim zdaniem, potrwa przejrzenie ładunku i wybranie tego, co może się tu przydać?

- Kilka godzin - powiedział Tom.

- Kilka dni - wpadła mu w słowo Kris.

„Nikt nie twierdzi, że to ten młody człowiek chce mnie zabić”. - Spens znalazł tu rano kilka interesujących rzeczy.

Kris przyglądała się twarzy Hanka, gdy ten czytał wydruk, który ona widziała kilka chwil wcześniej. Gdy tylko skończył, włączył komunikator.

- Ulric, mamy jakieś zaopatrzenie medyczne w ładowni?

- Kilka ton, proszę pana.

- Przyślij dane na ich temat, łącznie z datą ważności, do... jak się pan nazywa?

- Spens, proszę pana.

- Zanotowałem.

- W porządku, Ulric, nie przynieś wstydu Smythe-Peterwaldom. To powinno załatwić sprawę - zwrócił się do Kris.

Dziewczyna przytaknęła. Jeśli to było

oszustwo, to przynajmniej na dziś sprawa została załatwiona.

- To co chciałbyś zobaczyć?

- A jak wygląda wasz typowy dzień?

- Pełen zamieszania - odparła Kris.

- Czasem niebezpieczny - dodał Tom.

- Słyszałem o wczoraj. Prawdziwa strzelanina jak na Dzikim Zachodzie.

- Coś w tym rodzaju.

- Może pokażę ci warsztat, w którym remontujemy samochody? - zaproponował Tom.

- Nieźle miejsce - zgodziła się Kris. To dawało jej szansę pozbierać myśli, gdy Tom i Hank zajmą się męskimi pogadankami o wozach. A może męskim puszeniem się, gdyż Tom najwyraźniej miał ochotę pokazać bogatemu dzieciakowi, jak niewiele umie praktycznie.

\* \* \*

- Nigdy nie rozbierałeś silnika? - zapytał Tom, ścierając olej z dłoni.

- Nigdy nawet nie byłem w pobliżu żadnego auta z podniesioną maską.

- Nawet w swoim samochodzie?

Hank spojrzał bezradnie na drzwi garażu.

- Mój szofer się tym zajmował. A twój nie, Kris?

Kris wyczytała w oczach chłopaka: „Pomocy!”, ale nie zdecydowała się rzucić mu koła ra-

tunkowego.

- Za każdym razem pomagałam naszemu szoferowi zmieniać olej. - „No, ze dwa razy, gdy mama nie widziała”.

- Taka wiedza bywa pomocna, kiedy otrzymujesz w darach samochody prosto ze szrotu - zaznaczył Tom.

Z głośnym westchnieniem Hank włączył komunikator.

- Ulric, jaki przebieg mają te samochody, które mamy na pokładzie?

- Największy to piętnaście i pół kilometra. Hank uśmiechnął się z satysfakcją.

- Szczerze wątpię, czy którakolwiek z trzydziestu ciężarówek, które wiozę, w najbliższym czasie ujrzy wnętrze tego warsztatu. Jaki jest następny punkt programu mojej wycieczki?

Tom wydawał się wyraźnie rozczarowany. Zacięty wyraz zniknął z jego twarzy na kilka sekund i ponownie powrócił ze zdwojoną siłą.

Kris stwierdziła, że musi interweniować, zanim stanie się coś niedobrego.

- Pozwól, że pokażę ci mój magazyn.

To przeniosło zainteresowanie z Toma na nią i jednocześnie pozwoliło jej pokazać własne dokonania.

W trakcie oprowadzania okazało się, że Hank jest bardzo miłym kompanem do rozmowy.

Inna sprawa, że miło rozmawia się o rzeczach, z których jest się dumnym, takich jak zatrudnienie byłych pracowników warsztatu, znalezienie wolontariuszy czy ustanowienie stałego posterunku ochronnego. Jak dotąd wielokrotnie zdarzało jej się pomagać przy przedsięwzięciach organizowanych przez kogo innego: brata, matkę, którąś z jej przyjaciółek. Ten magazyn stanowił jej osobisty show.

Kris miała także okazję zwrócić uwagę Hanka na pewne sprawy. Kiedy przyglądał im się bliżej, dziewczyna przyglądała się jemu. Było jakieś wahanie w oczach znajdujących się w perfekcyjnie wyrzeźbionej twarzy, niemniej patrzyły one z uznaniem na jej pracę.

Kolejnym plusem przechadzki była możliwość porównania dwóch mężczyzn będących obok niej: pierwszy nieco chłopięcy w swych desperackich próbach wyeliminowania zagrożenia ze strony konkurenta, drugi pewny siebie i swej wartości, skoncentrowany na Kris i każdym jej słowie, nieprzerywający i potrafiący zadać właściwe pytanie, gdy zbaczała nieco z tematu. Facet, którego dobrze jest mieć obok siebie.

Nie wiadomo kiedy znaleźli się w opuszczonej stoczni, oglądając doki. Fale rozbijały się o nabrzeże, dodając swe krople do deszczu. Holownik odbijał właśnie od statku z zaopatrzeniem.



- To jeden z moich - wskazał Hank. - Wie-  
zie ładunek czegoś, co nazywane jest kobiecymi  
biskoptami. Każdy dwustugramowy baton zaspoka-  
kają dzienne zapotrzebowanie na proteiny, wita-  
miny i minerały. Co fajniejsze, gdy nasiąkną wodą,  
pęcznieją w żołądku, dając uczucie, że zjadłeś  
prawdziwy posiłek.

- To może być niezła odmiana po ryżu i fa-  
soli - zgodził się Tommy.

- Co robicie z ładownikami po ich opróż-  
nieniu?

To pytanie skierowane było do Kris.

- Kadłuby poddajemy recyklingowi. -  
Wskazała miejsce, gdzie zmagazynowane były po-  
cięte wraki. - Silniki zredukowane są do postaci  
proszku węglowego. W większości misji humani-  
tarnych oddaje się je miejscowej gospodarce do  
powtórного użycia, ale na Olimpii nie ma gospo-  
darki w ogólnie przyjętym tego słowa znaczeniu.  
Tak więc myślę, że zostaną tu, aż coś się wydarzy.

- Ale moje ciężarówki będziecie mogli wy-  
korzystać? - Hank po raz pierwszy spojrział  
dziewczynie prosto w oczy.

- W każdej chwili - przyznała Kris. - Nelly,  
pokaż mapę okolic w promieniu stu pięćdziesięciu  
kilometrów.

Hologram wyświetlił im się przed oczami.  
Dziewczyna skoncentrowała się na obrazie głów-

nie po to, aby uniknąć intensywności wzroku młodego mężczyzny. W ciągu ostatnich kilku godzin nie usłyszała nawet jednego słowa, które by jej się nie podobało. Ale co mogłoby się nie podobać w hojnym młodzieńcu, który poświęcił czas, by przyjechać i sprawdzić, co jest potrzebne. Przecież w tym samym celu sama wstąpiła do marynarki.

Jako współwłaściciel imperium, którym zarządzał z ojcem, Hank zbliżył się do świata realnego najbardziej, jak to dla niego możliwe.

- Mamy w mieście połowe jadłodajnie - powiedziała Kris, wskazując środek mapy i odwracając uwagę Hanka od swojej osoby - więc nikt nie jest głodny. To tereny wiejskie stanowią problem. Nawet gdyby mechanicy Toma pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie zmienia to faktu, że mamy tylko piętnaście ciężarówek. Dwie trzecie z nich wymagają ciągłych napraw, lokalni mechanicy rozbierają jedną, żeby usprawnić inną. Ale przy stanie tutejszych dróg na długo to nie wystarcza.

- Trzydzieści samochodów, które przywiozłem, powinno tu pomóc - powiedział gość, patrząc na mapę. - Ale na północy będziecie mieli całkiem nowe kłopoty. Widzę mnóstwo wzgórz i dolin rzecznych, ale niewiele mostów.

- Nie ma żadnego - odpowiedział Tom.

Kris szybko uzupełniła wiedzę obu męż-

czynn o wiadomości, które usłyszała od pułkownika na temat podejścia miejscowych do rządu i administracji.

- Jeśli jakiś farmer nie zbuduje mostu, nie będzie go.

Przywołała mapę sprzed wybuchu wulkanu. W tym czasie istniały cztery mosty, obecnie wszystkie były zniszczone.

- Potrzebujecie łodzi lub mostów pontonowych - wskazał Hank. I uśmiechnął się szeroko. - Pokażę ci, co dla ciebie mam.

Powiedział to z miną człowieka, który właśnie zamierza sprzedać próżnię górnikom na odległej kolonii.

- Tata właśnie kupił firmę produkującą łodzie z inteligentnego metalu. Takiego, z jakiego wykonany jest „Tajfun”. Łodzie w stanie spakowanym mieszczą się w standardowym kontenerze każdej ciężarówki. Gdy położysz je na wodzie, musisz tylko wybrać formę i odsunąć się. W ciągu pięciu minut masz łódź, barkę albo most pontonowy. A ceny nie jesteś w stanie przebić, młoda damo, bo dla ciebie są za darmo.

- Ile ważą? - wtrącił się Tom, z kamienną twarzą obserwujący zabiegi przybysza. - Tutejsze drogi są błotniste. A jak przeniesiesz je z ciężarówki do wody? Potrafią też chodzić?

- Nie - przyznał Hank - są ciężkie. Zwykle

używamy dźwigu. Metal może być inteligentny, ale nikt, nawet na Santa Maria, nie wymyślił jeszcze, jak ująć mu parę kilo.

Kris starała się uspokoić napędzaną testosteronem bitwę.

- Czy któraś z ciężarówek posiada może dźwig?

- Pewnie tak. Zgłodniałem.

Teraz dziewczyna się zaśmiała.

- Za mobilne dźwigi jestem w stanie podpisać przydział dodatkowej porcji na stołówce. Ale muszę cię ostrzec, że będą to ledwie rozmrożone wędliny. Większość naszego personelu pojechała dziś z konwojem.

- Myślałem o czymś bardziej intymnym - zaproponował Hank. - W mieście jest restauracja oferująca doskonałe steki.

Tom wyglądał, jakby ktoś właśnie zabił mu chomika.

- Nie ma szans, żeby nadal pracowała.

- Mój informator zapewnia mnie, że pracują.

Kris poważnie w to wątpiła. Ponadto miała tysiące powodów, by odmówić, od: „Mój szef nie pozwala mi wychodzić poza bramę” do „Jak moglibyśmy jeść steki, gdy inni głodują?”.

- Doskonały pomysł - odpowiedziała jednak. - Tom, idziesz z nami?

- Lepiej będzie, jeśli ktoś zostanie przypilnować fortu - odpowiedział. Kris nigdy jeszcze nie widziała piegowatego krasnala w takim odwrocie.

Sprawdzając swoją broń boczną, dziewczyna pozwoliła, by Hank odprowadził ją do bramy, gdzie czekała już na nich luksusowa terenowa limuzyna. Obok niej stało dwóch dobrze ubranych mężczyzn wyglądających na byłych komandosów.

- Tata nie pozwala mi się ruszać bez tych typów. A gdzie twój ochroniarz?

- Armia nie pozwala, żeby podporucznicy mieli ochroniarzy, nieważne, kim jesteś w cywilu. W domu mój szofer jest byłym wojskowym, ale uważam go przede wszystkim za przyjaciela. Mam na myśli to, że trudno jest myśleć o kimś, kto cię praktycznie wychowuje i wozi na mecze piłki nożnej, inaczej niż jak o kumplu.

- Grałaś w piłkę nożną! To musiało być szaleństwo!

- A ty nie?

- Nie, tata uważał, że to niezdrowe, cała ta banda dzieciaków pozbawionych kontroli. Zbyt ryzykowne, jego zdaniem. Ale byłem jedynakiem. A ty?

Kris myślała, że to jej dzieciństwo było wypełnione nadopiekuńczością, szczególnie po śmierci Eddy'ego. Nigdy nie wpadło jej do głowy, że prawie ciągle obecność w jej życiu starszego

brata była formą ochrony przed jeszcze gorszą obecnością rodziców. Dotychczas uważała, że Hanovi po prostu lubił ją drażnić.

- Nie, byłam drugim dzieckiem - powiedziała, nie dopuszczając do siebie myśli o tym trzecim.

- Fajnie byłoby mieć piegowatą siostrę - powiedział Hank, przyglądając jej się z boku. Zanim musiała na to odpowiedzieć, przybyli do celu.

Restauracja znajdowała się w części miasta, której Kris nie znała. Jej istnienia nie zdradzała żadna reklama czy jakikolwiek inny znak. Niemniej jednak wprawne oko oficera dostrzegło kilkunastu ludzi z charakterystycznie wybrzuszonymi kurtkami, kręcących się w pobliżu. Kolejna grupa, z długą bronią, znajdowała się zapewne na dachach. Jeśli jej jadłodajnia potrzebowała ochrony, to co dopiero powiedzieć o miejscu serwującym wykwintne dania.

Drzwi otworzyły się, zanim ochroniarz Hanka zdążył ich dotknąć. Przystojny mężczyzna w czarnym fraku stał w cieniu, trzymając menu. Szybko zaprowadził gości do zacisznego stolika zastawionego srebrem i kryształami. Kris zaskoczona była przede wszystkim faktem, jak szybko i dyskretnie ochroniarze zniknęli z ich bezpośredniego sąsiedztwa, zajmując miejsca przy innym stoliku. Ich szare garnitury wydawały się w tym

miejscu idealnym ubraniem maskującym. W sali siedziały jeszcze trzy inne grupy gości, ale porzadzane były w taki sposób, że nie przeszkadzały sobie wzajemnie. Pułkownik miał zatem rację, nie wszyscy na Olimpii głodowali. Pieniądze zapewniały wszystko. Kolejne doświadczenie dla podporucznik marynarki, córki premiera i dziedziczki niewyobrażalnej fortuny Erniego Nuu.

Menu zawierało kilkanaście rodzajów steków, a nawet owoce morza. Oczywiście ceny nie były podane.

- Nie wiem, co mam zamówić - powiedziała Kris po przestudiowaniu karty.

- Pozwól mi wybrać.

Kris nie spodobało się, że uznał ją za typową blondynkę nierozumiejącą nawet nazw potraw.

- Doskonale wiem, co tam jest napisane, Hank. Pułkownik kazał nam zdeponować karty kredytowe, a nie wiem, czy czekają tu pokrycie.

- Słyszałem, że karty kredytowe to chodliwy towar na czarnym rynku. Wasz pułkownik to rozsądny gość - odparł chłopak. - Ja płacę.

Kris zdecydowała, że właściwie może być trochę porozpieszczana przez mężczyznę w swoim wieku. Po wczorajszych przeżyciach dlaczego nie miałyby pozwolić Hankowi pozmagać się tro-

chę z łamigłówką dotyczącą wyboru sałatek.

- Tak więc - rozpoczęła typową konwersację - ojciec wprowadził cię w rodzinny interes zaraz po studiach.

- Prawie. Tata jest przeciwnikiem bezsensownego tracenia czasu przy książkach. Zacząłem pracować dla rodziny, gdy miałem czternaście lat. Możesz sobie wyobrazić, że lato spędzałem, segregując pocztę? Nieźle od tego czasu awansowałem - powiedział, rysując palcem w powietrzu wymaginowaną drabinę kariery korporacyjnej.

- Bez studiów?

- Tak właściwie to tata ściągał profesorów z Ziemi i innych miejsc, jeśli tylko mogli pomóc mi w pracy. Moja praca dyplomowa dotyczyła rozwoju firmy farmaceutycznej. Nadzorował mnie jeden z najlepszych ludzi ojca. Napisałem to cudo z wykorzystaniem całej swojej wiedzy i dałem do oceny profesorowi Maxwellowi oraz tacie. Maxwell postawił mi piątkę. Tata przeczytał pracę punkt po punkcie, udowadniając mi, że najwyższą możliwą oceną powinna być czwórka. Nigdy więcej nie widziałem już profesora Maxwella.

Kelner przyniósł butelkę sauvignon, która nawet na Wardhaven byłaby bardzo droga. Hank ze znanstwem odbył rytuał próbowania.

- Bardzo dobre - stwierdził. - Będzie ci smakować.



Kris poczekała, aż kelner napełni jej kieli-  
szek, spróbowała, skomentowała smak i bukiet i  
odstawiła szkło obok wody mineralnej z mocnym  
postanowieniem niedotykania go więcej. Nie  
chciała ponownie podążać ścieżką, na której  
pierwszy krok postawiła wczoraj.

- Nie wygląda na to, że wiesz szcze-  
gólnie stabilne życie - powiedziała, by odsunąć te-  
mat rozmowy od wina.

Hank pomyślał chwilę.

- Nie. - Uśmiechnął się. - Nie słyszałaś o  
tym, że jedyną stałą rzeczą w życiu są zmiany?

- Gdzieś to czytałam - zgodziła się Kris. -  
Tak naprawdę mogłam być pewna niewielu rze-  
czy. Harvey zawsze odwoził mnie na mecze i do-  
pingował. Jego żona zawsze miała słodczy w  
kuchni. I zawsze kręcili się jacyś wujkowie i cio-  
cie, niektórzy z nich faktycznie byli krewnymi. Nie  
masz dalszej rodziny?

- Wujek Steven zginął w wypadku podczas  
wyścigów, gdy byłem dzieckiem. Ciocię Evę zabra-  
ła jedna z wielu miłości jej życia. Gdyby nie pcha-  
ła się w najniebezpieczniejsze miejsca we wszech-  
świecie, nadal byłaby z nami. A tak ą propos, jed-  
na z tych ciężarówek to przewoźny kontener me-  
dyczny. Kierowca wprawdzie nie ma oficjalnego  
dokumentu pozwalającego mu operować mózg,  
ale założę się, że gdyby zaszła potrzeba, na pew-

no podjąłby się i tego.

Kris oparła łokcie na stole i położyła głowę na dłoniach, dramatycznie przewracając oczyma.

- Słuchając cię, zaczynam wierzyć, że miałam cudowne dzieciństwo.

- Nie no, nie przesadzaj. Aż tak pięknie być nie mogło. W książkach piszą, że tak naprawdę nikt nie ma szczęśliwego dzieciństwa.

Lunch upłynął im na przekonywaniu się wzajemnie, które z nich wiodło piękniejsze życie i dlaczego. Była to gra, w której Kris próbowała sił po raz pierwszy w życiu. Trudno jest znaleźć dobrego słuchacza, kiedy nawet najbliżsi są zazdrośni. Na uniwersytecie przekonała się, że nawet ci, których dopuściła do swojego „wewnętrznego kręgu”, nie wierzą w to, by Longknife mogła mieć jakiegokolwiek powody do narzekania.

Czas mijał zadziwiająco szybko i gdy Kris udała się na chwilę do łazienki, zorientowała się, że minęły już dwie godziny. Myjąc ręce, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nos wcale się nie zmniejszył, a to, co pogoda robiła z cerą, jej matkę skłoniłoby do sprintu do najbliższego spa. Krótkie włosy wyglądały jak nastroszone pióra. Pomiimo to Hank wciąż był miły. Był chyba jedynym człowiekiem, któremu nie zależało na jej fortunie, o ile wierzyć oczywiście finansowym raportom ciotki Tru. Ta sama jednak Tru była pewna, że on,

a przynajmniej ktoś z jego rodziny pragnie śmierci Kris.

Dziewczyna wyrzuciła do kosza chusteczkę i przyjrzała się kosmetykom wystawionym do użytku klientek. Kilkoma szybkimi ruchami „podciągnęła się na urodzie” i wróciła do stolika. Hank właśnie kończył wydawać polecenia przez komunikator.

- Następne trzy zrzuć tak szybko, jak tylko możliwe - dokończył przez link, a następnie zwrócił się do dziewczyny: - Jeśli zjemy jeszcze deser, to myślę, że w porcie zastaniesz kilka ładnych prezentów.

- Co więc sugerujesz?

Ich kelner już przyjechał z wózkiem pełnym czekolady, owoców i różnych wypieków. Ich zapach utwierdzał w przekonaniu, że to prawdziwe słodczyce, a nie sztuczne namiastki „instant”. Chochlikowata część Kris, jak to określała żona Harveya, kazała dziewczynie powiedzieć:

- Proszę zostawić cały wózek i wrócić za godzinę po okruszki.

- Słyszał pan, co powiedziała dama. - Hank odesłał kelnera.

- Nie, nie, żartowałam - zaprotestowała. - Jestem już tak pełna, że nie nadaję się do żadnej pracy. Macie jakiś sorbet?

- Malinowy, truskawkowy albo mieszanka

cytrusowa – odpowiedział kelner.

– Mieszankę poproszę.

– To samo dla mnie – dodał Hank, choć z lekkim zawodem patrzył na wózek zabierany od ich stolika.

– To, że ja pasuję, nie znaczy, że taki duży chłopiec też musi – zauważyła dziewczyna.

– Dyscyplina. Tata mówi, żebym sam się kontrolował, bo nikt inny tego nie zrobi, ani nawet nie będzie w stanie. Pewnie już zauważyłaś, że buntując się przeciw rodzicom, trzeba być selektywnym. Nie wszystko, co nam mówią, to bzdury.

– Tak, prawda – odparła Kris uprzejmie – ale oddzielenie rzeczy wartościowych od nonsensów to wyzwanie na całe życie.

– I dlatego jesteś w marynarce?

– I dlatego jesteś na Olimpii?

– Jestem tu, żeby zobaczyć, co jest do zrobienia.

– Tak, ale dlaczego od tego właśnie zaczynasz? Ojciec pewnie nie jest zachwycony, że tak bardzo nadkładasz drogi – powiedziała Kris, sprowadzając wszystkie te miłe słówka, które powiedzieli sobie w trakcie lunchu, do tego jednego pytania: „Czemu tu jesteś?”.

– Tak, ale gdybym poleciał najkrótszą drogą, tata byłby zbyt zadowolony. Muszę czasem

zrobić coś, na co tylko ja mam ochotę.

- A czemu masz ochotę właśnie na to?

- Powiedzenie tego na pierwszej randce to byłaby drobna przesada, nie uważasz?

Może to i prawda, ale dobrze byłoby wiedzieć, co faktycznie kryje się za tym czarującym uśmiechem. Ale zanim zdołała uczynić kolejną próbę, odezwał się jej komunikator.

- Poruczniku Longknife! Był atak rakietowy na magazyn!

Żołądek Kris wywinął salto i pyszny stek niemalże ponownie znalazł się w jej ustach.

- Ofiary?

- Jeszcze nie ustalono - odpowiedział Tom.

- Zaraz tam będę - powiedziała, wstając i niemal przewracając kelnera niosącego jej sorbet. Hank wstał natychmiast po uregulowaniu rachunku, który nawet Kris wydał się kosmicznie wysoki. Jego strzelcy sprawdzili, czy droga do samochodu jest czysta. Na zewnątrz mocno padało, nikt się nie kręcił, dachy również były puste. Nikt też nie wyglądał przez okno.

Lokalsi nauczyli się zaszywać w swych schronieniach, gdy tylko działo się coś niezwyklego.

Pięć minut później dziewczyna była przy magazynach. W ścianie wieży strażniczej ziała ogromna dziura, a z biura Kris unosił się gęsty

dym.

- Będę musiał cię tu zostawić - powiedział Hank. - W rozkazach taty jest miejsce tylko na tyle swobody, później ci dwaj zakują mnie w kajdany.

- Wiem, o czym mówisz.

- Sprawdź ostatnie trzy zrzuty zaopatrzenia. Naprawdę chciałbym być przy tym, jak będziesz je otwierać. Są w nich ciężarówki i łodzie, o których mówiłem.

- Chciałbyś zobaczyć, czy jestem podeksytowana? Może nawet skraść całusa?

- Przemknęła mi taka myśl.

Pocałowała go w policzek.

- Teraz już wiesz, jak to jest mieć siostrę. A teraz muszę już zniknąć. Do zobaczenia!

Zaśmiał się, może odrobinę zaskoczony pocałunkiem.

- Tak, zdecydowanie musimy się jeszcze zobaczyć.

I odjechał.

Kris nie odwracała się nawet. Ponownie była oficerem marynarki. Gdzie są ofiary? Gdzie napastnicy? Czy to miejsce jest już bezpieczne? Włączyła komunikator.

- Tu podporucznik Longknife. Gdzie poszkodowani?

- Wszystkich trzech rannych położyliśmy

w magazynie numer dwa.

Czyli w miejscu, gdzie znajdowało się jej biuro.

- Stany sprawdzone. Mieliśmy szczęście, nikt nie zginął - meldował Tom.

Dobrze to było usłyszeć. Kris podbiegła do rannych. Ester Saddik bandażowała ramię jakiegoś cywila. Spens, księgowy Kris, leżał obok w podartym i poplamionym krwią mundurze. Medyk już się nim zajmował.

- Auć! - jęknął Spens, gdy ratownik zajrzał pod zakrwawioną koszulę.

- Nie jest z tobą tak źle, jeśli narzekasz - powiedział.

- Wystarczająco źle. Cholera, czemu tata nigdy nie ma w biurze takiego dnia?

- Prawdopodobnie dlatego, że tata nigdy nie wkurzył nikogo tak, jak myśmy to zrobili wczoraj - zasugerowała Kris.

- Tiaaa, tata grywa w golfa z bandziorami, ale takimi szanowanymi, a nie typkami podobnymi do tych, których wczoraj załatwiliśmy. Co nie znaczy, że mniej paskudnymi. Cieszę się, że panią widzę, pani porucznik.

- Przepraszam, że nie było mnie przy fajerwerkach - powiedziała Kris, ganiąc się w myślach za dwugodzinny lunch.

- Nie ma za co, cieszę się, że pani nie było.

Wydaje się pani, że ja paskudnie wyglądam? Rakietę trafiła dokładnie w pani biurko. Teraz będzie musiała pani całe dni spacerować.

- Chyba tak - zgodziła się. - Wyjdzie z tego? - zwróciła się do medyka.

- Tak, pod warunkiem, że nie będzie więcej narzekał. Tylko to powstrzyma mnie od podcięcia mu gardła i uciszenia raz na zawsze.

- To może dla rozładowania atmosfery opowiem kilka żartów o księgowych? - zasugerował Spens.

- Gdzie jest ten pieprzony nóż, kiedy go człowiek najbardziej potrzebuje?!

Stwierdziwszy, że wszystko jest pod kontrolą, Kris udała się do swojego biura. Ester dołączyła do niej.

- Nie wiedziałam, że wasi mają rakiety - powiedziała porucznik.

- Znajdowały się w arsenale Stowarzyszenia. Nie były uważane za własność prywatną.

- A arsenał?

- Spłonął około miesiąca po wybuchu wulkanu.

- Niech zgadnę. Nie nastąpiła wielka eksplozja.

Starsza kobieta skinęła głową.

- Ogień był zdumiewająco mały, jak na zawartość.



- Czy ktoś użył już wcześniej rakiet?

- Nie.

- Czyli mają ich jeszcze nadal sporo.

- Należy się tego spodziewać. Ale czy zwróciłaś uwagę, co się tutaj stało? Wystrzelono tylko dwie. Jedna uderzyła w wieżę, druga w twoje biuro. Żadna w magazyny żywnościowe ani w rejony, gdzie pracują miejscowi.

- Ogień selektywny, bardzo celny.

- Tak to wygląda.

W biurze Tom nadzorował ekipę gaśniczą, tłumiącą niewielki ogień. Jak wspomniał Spens, z jej biurka nie zostało nic. Miała także zupełnie nowe, choć niezgodne z planem budynku okno. Gdyby tu była, nie uszłaby z życiem. „No, ciociu, Hank Peterwald był jedynym powodem, dla którego mnie tu nie było. Coś ci to mówi?”

Zdecydowanie to coś znaczyło dla niej samej.

- Jakież problemy w części głównej? - spytała Toma.

- Żadnych. Komandor Owing nadal śpi po lunchu złożonym z pięciu martini.

Kris przyjrzała się gaszącym. Wśród nich więcej było miejscowych niż marynarzy. Z grupy wystąpił Zeb.

- Większość z nas była w Ochotniczej Straży Pożarnej, wiemy, jak działać.

- Wiesz, kto to zrobił?

- Wydaje mi się, że sama pani wie.

- Dzięki, że przyszliście.

Kris zwróciła się do Ester:

- Jeśli ktoś z twoich ludzi uzna, że praca w

magazynie zrobiła się zbyt niebezpieczna, postaram się znaleźć mu inną.

Ester spojrzała na brygadzystę.

- Zeb, ktoś z twoich może być tym zainteresowany?

- Spytam, ale jeśli mieliby odejść, już by to zrobili. Większości z nas podoba się to, co pani zrobiła wczoraj. - Spojrzał na ogień. - Wyraźnie jednak nie wszystkim.

- Mogli mnie zabić - zauważyła Kris.

- Wiem. I jeśli dowiem się, kto to zrobił, podam pani nazwisko. Ale w tej chwili nic nie wiem i nic więcej nie mogę zrobić.

- Brzmi fair - powiedziała Kris. - Spodziewam się dziś wieczorem statków z zaopatrzeniem. Będą w nich ciężarówki i ciężki sprzęt. Znasz jakichś kierowców, którym można zaufać?

- Wyślę chłopaka na miasto, to się znajdą

- odpowiedział Zeb.

Tak więc resztę dnia Kris spędziła, spacerując, jakby rutyną było, że popołudniami nadzoruje pracę, chodząc od jednego stanowiska do drugiego.

Zgodnie z obietnicą Peterwalda po następnym zrzućie w dyspozycji Kris znalazło się trzydzieści nowych ciężarówek terenowych. Trzeci statek przywiózł dźwig i sześć kontenerów, które według instrukcji zawierały łodzie z inteligentnego metalu. Kris zadzwoniła do Hanka z podziękowaniami. Wydawał się bardzo zadowolony, ale nie przejawiał chęci na spotkanie i odebranie podziękowań osobiście. Jego statek zmienił plan lotu. Ojciec skracał podróż Hanka. Były jakieś problemy z założeniem kolonii.

Kilka godzin później pułkownik Hancock tylko cicho zagwizdał, gdy wysiadał ze swojej ciężarówki po zakończeniu konwoju.

- Kobieto, czemu zawsze tylko ty masz dobrą zabawę?

- Przepraszam za odrobinę nieporządku.

- Poszkodowani?

- Trzej ranni, w tym jeden marynarz, mój księgowy, Spens. Moje biuro praktycznie nie istnieje. Worki z piaskiem na wieży uchroniły ją od poważniejszych zniszczeń. Lokalny budowlaniec twierdzi, że szkielet nie został naruszony.

- To co, wystawiasz dziś warty?

- Oczywiście, panie pułkowniku, będę pełnić dyżur z kilkoma marines.

- Marines będą pełnić dyżur. Ty nie.

- Panie pułkowniku...

- Nie pułkownikuj mi tu, młoda damo. Ty może zapomniałaś, ale ja nie. Nazywasz się Longknife, a ja nie mam zamiaru być wzywany na dywanik, żeby wyjaśnić premierowi, dlaczego i jak cię zabiłem.

- Pan mnie?

- Załóżmy, że coś by ci się stało na mojej służbie. Na wypadek gdyby w marynarce cię tego nie nauczyli, wyjaśniam: jeśli coś zdarzy się w obecności dowódcy, ponosi on za to odpowiedzialność. Miałem już okazję doświadczyć tego na własnej skórze. A teraz powiedz mi, jak ci poszło z tym, jak mu tam...

- Pan Peterwald był na tyle uprzejmy, że dostarczył nam trzydzieści ciężarówek i sześć mobilnych łodzi-mostów. Zabrał mnie też na dwie godziny poza bazę, co wyjaśnia, dlaczego nie siedziałam przy swoim biurku, kiedy trafiła w nie rakietka.

- Dzięki Bogu za drobne przysługi. Widzę, że przypadliście sobie do gustu.

- Wygląda na to, że bardziej niż niektórym lokalsom.

- Poruczniku, kiedyś zrozumie pani, że dni, gdy wszyscy są szczęśliwi, zdarzają się niezmiernie rzadko. Jeśli taki nadejdzie, należy się nim cieszyć.

- Jeśli trafi mi się taki dzień, posłucham

pana rady, panie pułkownika.

Dowódca został z nią, gdy sprawdzała następne konwoje. Obejrzał także nowe ciężarówki. Mechanicy stwierdzili, że są w idealnym stanie. Kris podwoiła obsadę nocnej zmiany, aby mieć pewność, że do jutrzejszych konwojów wszystkie pojazdy zostaną załadowane. Hancock uśmiechnął się lekko.

- Z pewnym zażenowaniem muszę przyznać się do swojego bogactwa. Do czasu, zanim dotrze tu piechota górską, będę miał więcej samochodów niż ludzi do ich prowadzenia.

- Górale będą tu jutro, prawda? Mam już zakontraktowane cztery autobusy.

- Dziś rano, zanim wyjechałem, otrzymałem wiadomość, że ich statek spalił dwa silniki. Wloką się więc na połowie mocy. Możemy się ich spodziewać za dwa, trzy dni.

- Czyli mamy jedzenie i transport, a nie mamy ludzi, kiedy ich potrzebujemy. - Kris poczuła gorzki smak rozczarowania. W farmach czekało tyle głodnych dzieci...

- Poruczniku, a ta OP, którą pani finansuje?

- Nie powiedziałam, że ją finansuję.

- Faktycznie, tę informację zataiła pani przed swoim przełożonym. Zapomniała pani tylko, że fakt, iż jestem starszy, nie znaczy, że uwa-

żam komputer za groźnego drapieżnika, do którego lepiej się nie zbliżać.

- Nie, panie pułkowniku, znaczy... tak. Mam na myśli... wie pan, co mam na myśli, prawda?

- Prawdopodobnie tak. Swego czasu byłem bardzo umiarkowanie subordynowanym podporucznikiem. Szczęśliwie udało mi się wyslizgać od oskarżenia o bunt. Co, mam nadzieję, i tobie się uda. Do rzeczy. Czy twoja organizacja znajdzie dla mnie kilkunastu doświadczonych cywilów, którzy potrafią utrzymać w ryzach ochroniarzy, tak by potrafili zadziałać nawet pod dowództwem kogoś takiego jak Owing czy Pearson?

- Ester i Zeb są tu bardzo szanowani i mają zdolności przywódcze. Spotkałam dwóch księży, paru biznesmenów, którzy także cieszą się poważaniem i potrafili współpracować z rozsądną porucznik marynarki.

- Nie powiedziałem: rozsądną, powiedziałem: Owing i Pearson.

- W takim razie do ich zespołów należy dołączyć Ester i Zeba.

- Ale wtedy zostanie ci na głowie cała baza. Wszyscy mundurowi będą jutro w trasie.

Szybka narada z Ester pozwoliła Kris stworzyć listę ludzi, którzy mogli zarówno dowodzić ochroną, jak i dogadać się z koordynatorami

z marynarki. Żeb nie mógł być brany pod uwagę. Jako kwakier miał zakaz noszenia broni, zaś dziewczyna nie zgodziła się, żeby wyjechał nieuzbrojony. W zamian za to brygadzysta zgodził się pracować całą noc przy załadunku.

Po skończonym dniu pracy do wracającej do bazy Kris dołączyła Ester i dwie uzbrojone kobiety.

- Potrafię sama o siebie zadbać - stwierdziła młoda oficer.

- Wiem, że potrafisz, po prostu idę na spacer.

- Ester, nie przestało padać.

- Zauważyłam, ale chyba już po prostu przywykłam.

Po kilku próbach odesłania „eskorty”, zripostowanych przez Ester, Kris dała za wygraną i pozwoliła odprowadzić się do bramy.

Zdążyła na kolację tuż przed zamknięciem stołówki. Jak zwykle specjały przygotowane przez Courtney smakowały znakomicie.

Podczas posiłku do stolika Kris dosiadł się pułkownik z filiżanką kawy.

- Pani kwatery została przeniesiona.

- Panie pułkowniku, nie uważa pan, że to posuwa się zbyt daleko?

- Proszę mieć pretensje do swojego przyjaciela Liena. To on zdecydował, żeby pokoje dla

górali i ich podoficerów znajdowały się w jednym budynku. To pomoże im utrzymać porządek i dyscyplinę. Z tego powodu Millie przeniosła pani rzeczy do innego pokoju.

- Myślałam, że górale się spóźnią.

- Owszem, ale do porucznika Liena ta informacja nie dotarła.

„Albo działa w zмовie z pewnym przebiegłym pułkownikiem”.

- Mój stary pokój zostanie na noc pusty?

- Jak również sąsiadujące z nim. Proszę dopilnować, żeby personel sprzątający wiedział, że pani się przeniosła, ale nie wiedział gdzie.

Ponieważ zmiana miejsca zamieszkania nie narażała nikogo innego, Kris zaprzestała protestów. Gdy dotarła do hotelu, Tom czekał na nią w recepcji.

- Pułkownik powiedział mi, co zrobiłeś.

Dzięki.

- Nic nie zrobiłem - odparł Tommy, uśmiechając się. - To są klucze od nowego pokoju. Jest na pierwszym piętrze. Wystarczająco daleko, żeby trudno się było tam dostać, i wystarczająco nisko, żeby trudno było trafić rakieta.

Tak więc wbrew temu, czego się Kris spodziewała, spała tej nocy doskonale.



## ROZDZIAŁ 15

Połykając śniadanie, Kris czuła się jak piąte koło u wozu. Wszystkim pozostającym w bazie, a było ich mniej niż tuzin, wliczając w to Spensa i pozostałych rannych, wydano paczkowane racje obiadowe. Pułkownik praktycznie wyludnił tego dnia bazę.

Dziewczyna pognęła potem do magazynu, by sprawdzić ostatnie przygotowania i pożegnać wyjeżdżających, czyli prawie wszystkich, których znała na tej planecie. Nawet Courtney dostała swój konwój. Za żywienie odpowiedzialny został Tom wraz z kilkoma miejscowymi kucharzami.

Jako że garaże były puste, Kris skontaktowała się z Zebem w sprawie rozładunku nowych transportów. Brygadzysta zapewnił ją, że jutrzejsze dostawy gotowe będą na czas. Dziewczyna uśmiechnęła się pomimo najgorszego deszczu, jaki widziała od wylądowania. Na odchodne powiedziała Zębowi, by na siebie uważał.

- Od tego mam uzbrojoną ochronę - odparł.

Może i był kwakrem, ale nie głupcem.

Po drodze do dowództwa Longknife zorientowała się, że ma towarzystwo. Te same dwie kobiety, które wczoraj towarzyszyły Ester, szły za nią krok w krok. Nie weszły jednak na teren bazy,

tylko dołączyły do grupy uzbrojonych cywilów patrolujących teren wokół ogrodzenia.

Kris sprawdziła stan rannych. Byli pod dobrą opieką lekarza i jednego z ratowników. Z nudów zaczęła przechadzać się pustymi korytarzami. Echo niosło jej kroki. W pomieszczeniu nieopodal słychać było pracę aparatury komunikacyjnej. Sekcja łączności pojechała w jednym z konwojów, ale pozostawiła sprzęt na nasłuchu. Radiostacja główna nastrojona była na częstotliwość konwojów. Słuchając rozmów, Kris czuła się jeszcze bardziej sama. Nakazała więc Nelly wyciszyć odbiór i reagować na słowa klucze: „Pomocy!”, „Ogień”, „Zasadzka”.

Drugie radio monitorowało częstotliwości cywilne. Dziewczyna ustawiła je na skanowanie. Odbiornik przeszedł w górę skali i zatrzymał przeszukiwanie. Po powtórny wciśnięciu przycisku skanowania sytuacja powtórzyła się. Kris zaczęła uruchamiać przeszukiwanie w regularnych odstępach czasu i za każdym razem radio zawieszało się w okolicach tej samej częstotliwości.

- Czy mam wyizolować sygnał z tego hałasu? - spytała Nelly.

- A jest tam jakikolwiek sygnał?

- Tak.

- Więc zrób to.

Głośnik ucichł na chwilę, a następnie ode-

zwał się serią trzasków.

- Przepraszam - powiedziała Nelly.

Trzaski powróciły, ale tym razem cicho. Kris wydawało się, że zaczyna rozróżniać pojedyncze słowa. „Grypa”, „powódź”, „głód”. Oczywiście „powódź” i „głód” były słowami, których można się było spodziewać w każdym przekazie.

W końcu Nelly udało się ustalić właściwy algorytm, wiadomość była cicha, ale wyraźna.

- Musicie nam pomóc. Nie prosiliśmy o nic dotychczas, ale jesteśmy w sytuacji bez wyjścia. Czy ktoś nas słyszy?

Kris chwyciła mikrofon.

- Tu podporucznik Longknife. Słyszę was słabo, ale zrozumiale - krzyknęła - powtórzcie wiadomość.

Odpowiedziały jej tylko statyczne szумы.

- Nelly?

- Nie ma sygnału.

Kris oparła się w fotelu i policzyła wolno do dziesięciu. Następnie zmieniła zdanie i doszła do stu. Mówiąc do mikrofonu, zagłuszała wiadomość. Może nie trzeba było się odzywać? Po kilku minutach radio przerwało ciszę.

- Akumulatory są bliskie wyczerpania, ale będę powtarzał wiadomość tak długo, jak to możliwe. Tu Ranczo Andersonów z północnej odnogi Południowego Willie. Mamy epidemię gorączki z

Grearson. Na razie zmarły dwie osoby. Kilkanaście jest chorych. Ciała zmarłych zostały spalone. Jesteśmy chorzy, głodni, a poziom rzeki wciąż się podnosi. Nie jesteśmy w stanie wspiąć się na ściany kanionu. Pomóżcie nam dla własnego dobra. Jeśli umrzemy, a woda zabierze nasze ciała, choroba rozprzestrzeni się na całą Olimpię.

- Nelly, co to jest gorączka z Grearson?

- Objawy podobne do grypy. Przez dłuższy czas choroba rozwija się prawie bezobjawowo, więc jest lekceważona przez nosiciela. W tym czasie jego odporność spada prawie do zera. U dorosłych śmiertelność wynosi pięćdziesiąt procent, u dzieci i starców znacznie więcej. Po raz pierwszy zdiagnozowana na Grearson...

- Wystarczy. Czy w magazynach mamy szczepionkę?

- Tak, około tysiąca jednostek.

Kris zamknęła oczy. Tysiąc stanowiło kroplę w morzu potrzeb dla samego Port Athens.

- Nelly, pokaż mi położenie Rancza Andersonów.

Północna odnoga Rzeki Południowej leżała wysoko w górach.

- Pokaż najnowsze zdjęcia rzeki.

Na północy rzeka wystąpiła z brzegów i zbliżała się do ścian kanionu.

- To jest zdjęcie sprzed tygodnia. Od tego

czasu mamy tam stałą pokrywę chmur – dopowiedziała Nelly.

Nie musiała dodawać, że chmury niosły ze sobą deszcz. Jeśli tak wyglądała sytuacja przed tygodniem, teraz mogło być tylko gorzej.

Chwilę potem Kris była już na nogach. Jeszcze w drzwiach myślała o tym, że powinna zawiadomić o sytuacji pułkownika. Ale jego konwój jechał na południe, podczas gdy problem dotyczył północy. Wyciągnęła więc z szuflady dwie kartki, napisała, gdzie jedzie i w jakim celu, jedną zostawiła w pokoju łączności, a drugą na biurku pułkownika. Wbiegła do ambulatorium.

- Mamy przypadki gorączki z Grearson, około sześćdziesięciu kilometrów na północ, w miejscu, które niedługo zostanie zalane.

Doktor siedział z nogami na biurku, czytając magazyn medyczny – O cholera! – krzyknął, gwałtownie uderzając butami o podłogę. – To może być dziesięć razy gorsze niż tyfus z poprzedniego miesiąca. Nie było tu epidemii gorączki z Grearson od trzydziestu lat.

- No to teraz jest. Kto jedzie ze mną?

- Hendrixson nadal może krwawić – zauważył siedzący pod ścianą ratownik. – Domyślam się więc, że to znaczy, że ja jadę.

Zaczął pakować torbę.

- Jeśli mamy do czynienia z grearsonem,

Danny, będziesz tam miał mnóstwo chorób układu odpornościowego - powiedział doktor i zaczął uzupełniać bagaż medyka.

- Spotykamy się przy łodziach w magazynie. Wezmę szczepionki - rzuciła Kris, biegnąc do wyjścia. - Ilu ludzi żyje w dolinie? - zapytała Nelly.

- Dwustu trzydziestu siedmiu.

- Weźmiemy dwieście pięćdziesiąt szczepionek. Powiadom kogoś w magazynie, żeby zaczął ich szukać.

- Już je znalazłam. Zeb je przygotowuje.

- Poruczniku Lien - nadała Kris przez komunikator - co pan robi?

- Jestem zakopany po uszy w częściach do ciężarówek.

- Spotkajmy się przy wejściu do warsztatu, mamy problem.

- Pewnie powinienem zabrać broń? - westchnął Tommy.

Dziewczyna wraz ze swą niechcianą cywilną eskortą przebiegła przez bramę. Po chwili podjechał do niej Zeb. Na wózku elektrycznym miał trzy małe pudełka.

- Tu jest trzysta jednostek, ale o ile wzrok mnie nie myli, ich ważność upłynęła w zeszłym miesiącu.

Kris wskoczyła na wózek.

- Do łodzi - poleciała i połączyła się przez komunikator z lekarzem.

- Doktorze, nasza szczepionka przeciw grearsonowi jest przeterminowana o miesiąc. Możemy jej użyć?

- Szlag! - Tu nastąpiła krótka przerwa. - Chyba tak. Użyjcie może większej dawki. Chole-  
ra! Nie mogę uwierzyć, że to mówię.

- Mamy trzysta jednostek dla dwustu pięćdziesięciu osób. Może pan wyprodukować więcej?

- Nie ma szans. I nie chcę myśleć, co będzie, jeśli to się przedostanie do rzeki.

- Przyjęłam, doktorze, musimy utrzymać zarazę z dala od rzeki.

Jeśli rzeka już nie zalała rancza.

Dźwig z dwiema łodziami był już nad wodą. Kris podeszła do bliższego pudła i uruchomiła panel kontrolny. Na małym wyświetlaczu pojawiły się instrukcje. Po przeczytaniu kilku stron podporucznik wybrała opcję numer sześć. Zgodnie z opisem pojawiła się motorowa łódź rzeczna. Miała dziesięć metrów długości, dwa szerokości, płaskie dno i pulpity sterowania umieszczone na małej kolumnie po lewej stronie kadłuba. Dziewczyna obejrzała swoje dzieło i uznała, że tego właśnie potrzebuje. Zeb przerwał pracę swoim ludziom, podzielonym na dwa zespoły, z których jeden naprawiał wały, drugi pracował w magazynie. Męż-

czyźni potrzebni byli teraz przy wodowaniu i załadunku łodzi.

Brygadzysta podszedł do Kris.

- Kto płynie? - spytał.

- Ja, medyk, który będzie tu za chwilę, i

Tom. Potrzebuję kilku ludzi znających rzekę.

- Ester mówiła, że nie możesz opuszczać miasta.

- Nie mogę prowadzić konwojów, a to różnica.

- Tylko dla takiego żółtodzioba jak ty, młoda damo. Zachowuj się tak dalej, to w końcu cię zabiją.

- Wielu próbowało, nikomu się nie udało.

- Nadużywasz szczęścia.

- Ładuj towar na łodzi, staruszk.

- A pewnie, że załaduję. Mick, ty kochasz ganiać po mieście. Rusz czwórę i skocz do „Andrea Doria”, powiedz Addie, że potrzebujemy Jose. Ta młoda dama zamierza płynąć rzeką, więc musimy jej zapewnić naszego najlepszego sternika.

- Racja - odparł młodziutki mężczyzna, zrywając się do biegu.

- Zabrałbym też Olafa, tego wielkiego miśka, który stoi z boku. Poza tym jeśli plyniecie do kanionu, potrzebujecie też ludzi znających się na wspinaczce. Nabil, Akuba, chodźcie tutaj.



Dwóch wysokich, szczupłych mężczyzn, jeden ciemnoskóry, drugi prawie czarny, wystąpiło z grupy robotników.

Przybyli ratownik medyczny i Tom. Ten ostatni rozejrzał się, jakby w strugach deszczu spodziewał się zobaczyć ogień.

- Co się dzieje? - zapytał Kris.

Wyjaśniła mu. Medyk zaczął szczepić wszystkich uczestników wyprawy.

- Kris, nie powinnaś opuszczać bazy - reakcja Toma była krótka i przewidywalna.

- Już jej to próbowałem wytłumaczyć, ale nie słucha, więc szkoda twojego zachodu - wtrącił Zeb, przyglądając się łodzi po załadowaniu. Zanurzyła się głębiej o dziesięć centymetrów.

- Ostatnie zdanie na temat załadunku będzie miał Jose. Być może trzeba będzie je trochę dociążyć. Ale nie za bardzo. Sama pani wie, że dziś rzeka jest zabójcza. Pływała pani kiedyś?

- Moi rodzice mają jacht. Żeglowałam na Wardhaven.

- To nie będzie nic w tym rodzaju.

- Nie oczekiwałam tego.

Jose i Mick przybyli prawie jednocześnie. Ciemnoskóry mężczyzna około trzydziestki obejrzał łodzi bardzo dokładnie.

- Wszystko ma być mocno przywiązane. Rzeka będzie się zachowywać jak suka, a ja nie

chcę mieć nadprogramowych kłopotów. Mick, przynieś tyczki i wiosła.

Młody mężczyzna ponowie ruszył biegiem.

Pracownik ładujący łodzie miał już przygotowane zwoje liny, zabrali się więc do mocowania całego ładunku. Jose podniósł trzy małe pudełka ze szczepionką.

- To z tego powodu robimy taką głupotę?

- Zgadza się - odpowiedziała Kris. - Rozumie pan, co się stanie, jeśli nie dostarczymy tej szczepionki?

- Ludzie umrą, a kiedy rzeka zabierze ich ciała, poumieramy wszyscy. Myśli pani, że decydowałbym się robić tak głupią rzecz z innego powodu? Zeb, daj wszystkim kamizelki ratunkowe. Przynieś trzy dodatkowe. Przymocujemy nasz drogocenny ładunek do Pani Marynarz.

Pani Marynarz nie podobało się, że została zredukowana do roli nosiciela ładunku. Już otwierała usta, by zaprotestować, ale Jose uciął, zanim zdążyła powiedzieć choćby słowo.

- Posłuchaj, kobieto, to ja jestem kapitanem tej łodzi. Gdybym był tam wysoko, w kosmosie, i chciałbym nadal żyć, prawdopodobnie bym słuchał, co masz do powiedzenia. Rzecz jasna, gdyby wyglądało na to, że znasz się na tym, co robisz. Tu Jose wie wszystko o tej rzece. Chcesz dostarczyć leki do tych ludzi, słuchaj Jose. Słuchaj,

co do ciebie mówi, a może przeżyjesz.

Sternik spojrział przed siebie z marssem na twarzy.

- Zatoka jest zdradliwa, pełna raf, połamanych drzew i wirów. Na rzece będzie jeszcze gorzej. Ale może Jose zdoła was doprowadzić tam, gdzie chcecie.

- Być może - powiedziała Kris.

- „Być może” z Jose to ogromna różnica w porównaniu z pewną śmiercią bez niego, dziewczyno.

- Proszę robić to, co każe Jose, inaczej nie wyślę swoich ludzi - dodał Zeb.

- Nie kłóciłam się. Myślisz, że to najlepszy sposób transportu leków? - spytała Kris.

- Jeśli wpadniesz do wody, ludzie zrobią wszystko, żeby cię wyłowić. A jeśli wpadną pudła, zatoną. Myślę, że Jose wymyślił najlepszy sposób.

- Na to wygląda - musiała przyznać Kris.

Dziesięć minut później odbijali od brzegu.

- Powinnam wrócić przed pułkownikiem, ale jeśli nie wrócę, proszę mu powiedzieć, gdzie jestem.

- Czemu nie użyje pani komunikatora, żeby samej mu to powiedzieć? - odparł Zeb.

- Dziś jest na wolności, odcięty od swoich codziennych obowiązków, po co mu to odbierać?

- No tak, cóż innego mógłbym usłyszeć od

Longknife?

Dziewczyna udała, że tego nie słyszy, i zabrała się do wybierania wody. Od czasu otwarcia kontenerów z łodziami spadł centymetr wody. Wszyscy, którzy nie byli zajęci, wybierali ją cały czas z dna.

- Pamiętasz, jak mówiłem ci o tym, że krasnoludki mają szczęście? - spytał Tom. - Właśnie widziałem, jak machają do nas z nadbrzeża. Nawet one nie są wystarczającymi szczęściarzami, żeby próbować się z tą rzeką.

- Tommy, musimy dostać się w górę rzeki - powiedziała Kris, stukając znacząco w pudełko ze szczepionką.

- Ktoś musi się tam dostać. Nikt nie kazał tego robić akurat tobie. Kurczę, zaczynam się zastanawiać, ile z tych historii o Longknifeach w książkach znalazło się tam tylko dlatego, że ktoś nie potrafił pozwolić komuś innemu wykonać swojej roboty.

Kris nie znalazła na to żadnej odpowiedzi.

Jose szybko rozpedził łódź do maksymalnej prędkości, około dwunastu węzłów. Pewnie rozbijał fale zatoki, wzbijając fontanny kropel. Wszystko szło dobrze aż do momentu, w którym kadłub łodzi uderzył o coś i gwałtownie stracili prędkość, mimo że silnik pracował na pełnych obrotach. '\*

- Pieprzony bal - warknął Jose, zmniejszając obroty. Po lewej stronie, zaledwie kilka centymetrów pod powierzchnią, znajdował się pal grubości około ćwierć metra, z zaostrzonym końcem. Jose wydobyl z kieszeni coś wielkości ołówka, co po rozciągnięciu tworzyło tyczkę długości metra. Sternik poczekał, aż pal ustabilizuje się nieco, i wbił w niego tyczkę. Na końcu urządzenia zapłonęła czerwona flara. Po chwili kapitan łodzi rozmawiał już przez radio.

- Addie, mam pal na podejściu do portu. Jest oznaczony, lepiej to wyciągnij.

- Właśnie zauważyłam twoją flarę - odpowiedział kobiecie głos. - Już płyniemy. Masz jakieś kłopoty?

- Myślę, że uszkodziłem śrubę. Mogę potrzebować holowania.

- Zaraz będziemy.

Kris nie była gotowa na powrót. Odrzuciła wiaderko, którym wylewała wodę, i podeszła do panelu kontrolnego.

- Uważasz, że lepiej dasz sobie radę? - zapytał Jose, na którego twarzy malowała się mieszanina wyrazu macho i lekkiego zawstydzenia.

- Może i dam - odparła dziewczyna, dotykając panelu. Mały ekranik znów zamrugał. - Na „Tajfunie” moim zadaniem jest kontrolować, jak płynny metal zachowuje się podczas walki. Musi

być sposób, żeby metal naprawił sam siebie.

- Tak myślisz?

- Nie dowiem się, póki nie spróbuję.

Ekranik był naprawdę malutki, a klawiatura tylko numeryczna, dziewczyna musiała więc przechodzić przez serię kolejnych obrazów. Nie pomagał także fakt, że opisy stworzone zostały przez kogoś, dla kogo angielski był bardzo obcym językiem.

- Nie masz zamiaru wrzucić nas do wody, prawda? - zapytał Tom.

Kris potraktowała pytanie zupełnie serio, biorąc pod uwagę fakt, że zostało ono poparte wymownymi spojrzeniami Nabiła i ogromnego Olafa.

- Bardzo się staram, ale na waszym miejscu poprawiłabym kamizelki ratunkowe. Nie można przewidzieć, co astronauta zrobi na wodzie.

- Bardzo śmieszne. - Tom wcale się nie śmiał. - Jeśli popełniłaby jakiś błąd w kosmosie, znaleźlibyśmy się w próżni - wyjaśnił pozostałym. Jednak na wszelki wypadek Olaf mocno dociągnął kamizelkę ratunkową, a Nabil uważnie spoglądał w fale.

Kris znalazła wreszcie ekran „naprawa śruby napędowej”, czy też coś, co najbardziej przypominało to określenie w języku użytym przez twórców menu ekranowego. Z pewnym wahaniem

dotknęła napisu „napraw”. Ekran zamigotał i zgasł.

- Czy to naprawiło śrubę? - spytał Jose.

- Spróbuj - odpowiedziała, sama nie będąc do końca pewna.

Sternik przesunął manetkę, łódź nabrała prędkości.

- Zachowuje się w porządku - powiedział.

- Myślisz, że jesteś w stanie usunąć też wgniecenia z kadłuba?

- Spróbuję, gdy znajdziemy się na suchym lądzie - odparła Kris.

To wzbudziło wesołość zarówno kapitana, jak i załogi. Jose rozpędził łódź do prędkości niewiele mniejszej niż maksymalna, ustawił na dziobie dwóch ludzi z długimi tyczkami jako obserwatorów, a reszcie nakazał powrót do wybierania wody. Po chwili poprosił Kris na stanowisko dowodzenia.

- Masz mapę zatoki?

Kris wyciągnęła wyświetlacz, wyświetliła najaktualniejsze posiadane zdjęcie i nałożyła je na mapę sprzed katastrofy.

- Pomoże?

- v Zdecydowanie tak. Mamy tu bagno zasilane przez trzy rzeki z kilkunastoma odpływami. Teraz to jedno wielkie rozlewisko. Moglibyśmy się długo naszukać właściwego miejsca.

Dziewczyna wcisnęła przycisk GPS i na ekranie pojawił się krzyżyk.

- Też to masz. Ja musiałem swój wyrzucić.

- Ten zadziała - zapewniła Kris, przekazała Jose wyświetlacz i wróciła do wybierania wody. Nie musiała pytać, kiedy znaleźli się na rzece. Pomimo że silnik pracował ponownie na pełnych obrotach, zwolnili. Zobaczyli trzy słupy sterczące z wody w miejscu, gdzie kiedyś była przystań. Po opadnięciu wody na tej planecie nadal będzie mnóstwo do zrobienia.

Kris wstała, by rozprostować plecy, i zwróciła się do Jose:

- Będziemy się trzymać środka rzeki?

- Nie, jeśli chcemy dotrzeć na miejsce w tym tygodniu. Prąd ma tam dobre siedem, osiem węzłów. Będziemy się od niego trzymać z daleka. Ale płynąc przy brzegu, możemy uderzyć w jakieś drzewo. Nabił, Akuba, miejcie oczy otwarte, nie chcemy owinąć łodzi tej pani wokół jakiegoś pnia czy kamienia.

Deszcz stał się jeszcze gęstszy, ograniczając widoczność praktycznie do długości łodzi. Jose musiał zmniejszyć obroty silnika, przez co ich prędkość postępową spadła niemal do zera. Posuwali się naprzód bardzo wolno, cały czas odpychając się od pni, kamieni, części budynków. Kris kilka razy spojrzała na kanał główny, ale żegluga



tamtędy była niemożliwa. Może kiedyś to miejsce było tak przyjemne jak jej jezioro na Wardhaven. Teraz masy wody przewalały się, rozbijając fale na białą pianę. Rzeka oszalała w swej potędze, mieląc drzewa na zapalki i skały na żwir. Żegluga przy brzegu była bardzo niebezpieczna. Wpłynięcie w główny nurt stanowiło akt samobójstwa.

W tych warunkach już wszyscy pasażerowie skupili się na odpychaniu łodzi od przeszkód i balansowaniu, lecz czasem było to zbyt ciężkie nawet dla Olafa. Woda sięgała prawie zagniecionej krawędzi burt.

- Marynarz na bakburtę... druga strona, lewa! - krzyknął Jose, gdy Tom przeszedł na prawo. Kris, przesuwając dłonie na linach trzymających ładunek, wychyliła się tak mocno w lewo, jak tylko się odważyła, by odciążyć prawą stronę. Nabil i Akuba odepchnęli dziób łodzi. Jose pozwolił nurtowi porwać łódź na około sto metrów i dopiero wtedy ponownie włączył silnik.

Kris spojrzała na zegarek. Płynąc z tą prędkością, powinni dotrzeć do Rancza Andersonów przed zmrokiem. Przez chwilę rozważała możliwość zadzwonienia do pułkownika, ale odrzuciła tę myśl. Była przekonana o słuszności swojej decyzji, a on mógł ją ukarać za niesubordynację później. W tej chwili niewiele był w stanie jej zrobić. Dziewczyna skoncentrowała się na wyko-

nywanym zadaniu.

Deszcz padał cały czas. Tommy zasugerował, że skoro mają kołdrę z deszczu, powinni znaleźć pasującą do niej poduszkę. Mick odpowiedział, że jest gotów kłaść się spać z pościelą lub bez niej. To z kolei spowodowało pytanie Olafa, kto z kim ma dzielić łóżko. Mokrzy i zmęczeni, nadal byli w dobrych humorach. Jeśli trzeba było płynąć w górę szalonej rzeki, to zdecydowanie była załoga, z którą można się porwać na takie przedsięwzięcie.

W miarę upływu czasu Kris była coraz bardziej zziębnięta i przemoczona. Bolały ją nawet te mięśnie, o których istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. Nie mogła po prostu płynąć, musiała cały czas wkładać wysiłek w to, by uniknąć obijania się o burty, uderzeń o ładunek czy stłuczenia butelek ze szczepionką. Tak więc była na nogach, co jakiś czas schylając się, by wybrać z dna trochę wody, to znów podnosząc, by rozprostować kolana. Łódź wybijała ją w górę i uciekała spod stóp. W niczym nie przypominało to rejsu z Tomem na pokładzie „Oazy”. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała ochotę wejść do zbiornika wodnego większego niż jacuzzi.

- To farma Harmosa. - Jose wskazał dachy sterczące nad drzewami. - Andersonowie są następni, jakieś pięć kilometrów w górę rzeki.

Wszystko idzie dobrze.

Gdy tylko kapitan wypowiedział te słowa, łódź obróciła się wokół własnej osi. Chwycił ją wir, który pojawił się znikąd. Jose złapał ster w dwie ręce, nogi zaplótł wokół kolumny sterowej. Łodzią rzucało w górę i w dół. Tommy stracił oparcie i był już w połowie za burtą, gdy Kris złapała go za pas. Następny podskok wyrzuciłby oboje, gdyby nie przytrzymał ich Mick, który wplótł stopy w liny trzymające bagaż. W chwilę potem Olaf przedarł się przez ładunek, chwycił wszystkich w swe ogromne ramiona i wrzucił na dno łodzi jak małe kociaki.

Kris dłuższą chwilę leżała na brzuchu, chwytając oddech i pozwalając, by deszcz spływał po jej plecach. Tym razem naprawdę wpędziła siebie i Toma w kłopoty. Było prawie po nich. „Tak niewiele brakowało” – powtarzała sobie, kurczowo chwytając się lin.

- Dziękuję, Kris - powiedział Tom.

- Dzięki wszystkim - dodała dziewczyna, uśmiechając się do załogi.

- To my dziękujemy - zaśmiał się Jose. - Pomyślcie o tych opowieściach, jakie będziemy snuli po powrocie. - Wyglądało na to, że Olafowi i Mickowi podobała się taka perspektywa. Nabił skinął tylko głową. Akuba nie drgnął nawet na swym stanowisku na dziobie, wyglądając prze-

szkód.

Tymczasem zrobiło się ciemno. Zdecydowanie wcześniej, niż powinno. Gdzieś gdzieś widać było jeszcze odrobinę światła, ale trzystumetrowy klif skutecznie je zasłaniał.

- Sześć kilometrów za farmą Andersona rzeka gwałtownie przyspiesza - oznajmił Jose. - Mieście oczy szeroko otwarte, bo jeśli minimy właściwe miejsce, władujemy się w duże kłopoty.

Kris spróbowała łączności radiowej, ale usłyszała tylko trzaski.

- Nelly, przeskanuj radio. Wezwij pierwszą stację, która się odezwie.

Sprawdzenie zakończyło się fiaskiem.

- Mogły im się wyczerpać baterie - powiedziała podporucznik do Jose i reszty załogi. - Ciśsza nic nie znaczy.

Słowa, które miały uspokoić towarzyszy, nie uspokajały jej samej.

Nabił i Akuba zapalili ręczne reflektory. Deszcz wydawał się rzednąć, ale w ciemnościach równie dobrze mogło to być złudzeniem.

Byli około stu metrów od celu, gdy reflektor Nabiła wyłonił z ciemności zrujnowany kilkupiętrowy dom. Jose wyregulował obroty śruby i ostrożnie podpłynęli do budynku. Wyższe piętra były spalone. W miejscu, gdzie woda obmywała wypalone ściany, dwie ludzkie czaszki ziały pusty-

mi oczodołami.

- Matko Boska! - przeżegnał się Jose i odpłynął nieco.

- Mówili, że ciała zmarłych spalili - wyjaśniła Kris - myślę, że to stało się tutaj.

- To stary dom, zbudowany przez Andersonów pięćdziesiąt lat temu. Nowy powinien być gdzieś tam - powiedział sternik, wskazując w lewo.

Łódź powoli płynęła we wskazanym kierunku. Deszcz znów się nasilił i prawie uderzyli w pierwszy zatopiony budynek, zanim go zauważyli. Woda sięgała do połowy ścian.

- To stodoła, szukajcie płotu - nakazał Jose.

Kris zdecydowała, że czas połączyć się z bazą.

- Pułkownik Hancock, tu podporucznik Longknife.

Cisza. Dziewczyna powtórzyła wezwanie, z tym samym rezultatem.

- Nelly?

- Jesteśmy zasłonięci przez klif, z tego punktu nie mogę złapać żadnego satelity.

- Jest ciemno, nie mogę pozwolić znieść się prądowi, żebyś znalazła sygnał - powiedział Jose.

- Nie miałam zamiaru o to prosić - zapewniła go Kris.

- Jesteśmy przy płocie - zameldował Mick z dziobu.

Jose skreślił w prawo.

- Wydaje mi się, że gdzieś tutaj jest brama. Wyłączam silnik. Przygotujcie się do wiosłowania.

Zanim znaleźli bramę, trafili na dziurę w płocie. Wpłynęli na teren farmy. Światła reflektorów wydobyły więcej zalanych budynków. Ponownie uderzyli w jakąś ścianę. Następne osłabienie deszczu dało im szersze pole widzenia. Znajdowali się na środku podwórza. Otaczały ich zalane domy i budynki gospodarcze. Ani śladu życia.

- Gdzieś tutaj musi ktoś być - rzuciła Kris.

- Bliżej klifu jest jeszcze kilka stodół i jeden czy dwa domy. - Jose wskazał na prawo i wszyscy zaczęli wiosłować w tym kierunku. Gdy dopłynęli do końca zabudowań i minęli płot, nurt ponownie stał się silniejszy. Siła wioseł była już za mała, by się mu przeciwstawiać. Sternik schylił się, by uruchomić silnik.

- Zaczekaj chwilę - krzyknęła Kris. - Słyszeliście to?

Odgłosy deszczu i rzeki zagłuszały prawie wszystko. Ale gdy wszyscy wstrzymali oddech i wsłuchali się w nocne odgłosy, usłyszeli odległy ryk.

- Wodospad - stwierdził Jose. - Musi być naprawdę paskudny, skoro wydaje takie dźwięki.

Ale na samych wiosłach nie przeciwstawimy się nurtowi.

Odpalił silnik, ale utrzymywał bardzo niską prędkość. Posiadłość, na której się znajdowali, była kiedyś bogatą farmą. Tu i ówdzie na wyższym gruncie stały krowy, do tułowi zanurzone w wodzie. Porobiono dla nich nawet prowizoryczne schronienia. Jakkolwiek mizernie wyglądały, wyraźnie zostały wybrane przez jakiegoś optymistę, by dać początek nowemu stadu, gdy minie kataklizm. Niestety, teraz nie było już dla nich ratunku. Patrzyły tylko, jak bezradni ludzie przepływają obok nich.

- Nic z nas nie zostanie - szepnął Nabil do Akuby.

- Widzę coś przed nami, chyba światło - krzyknął Olaf.

Jose wyłączył silnik. Chwilę zajęło im wsłuchanie się w odgłosy inne niż szum deszczu i rzeki, ale niewiele jest w takich wypadkach miłszych rzeczy niż ludzki głos. Olaf złożył dłonie w tubę i ryknął swym potężnym barytonem:

- Ahoj, na ranczu!

Po trzecim okrzyku otrzymał odpowiedź:

- Co za cholerne ranczo? Kim jesteście?

Mam broń!

- Jose - odpowiedział kapitan - na łodzi pełnej leków i żywności. Mam podpływać czy za-

wracać?

- Prawdopodobnie znajdzie się jakieś miejsce do przycumowania, jeśli macie linę.

- Mam linę. A ty masz jakieś drzewo?

- Nie, ale jeśli wiesz jedzenie, mogę trzymać tę cholerną linę całą noc.

Z mgły wolno zmaterializowało się sześć postaci. Jednej z nich Olaf rzucił linę. Szóstka pociągnęła mocno i łódź osiadła na mulistym dnie.

- Boże, człowieku, ale się cieszę, że was widzę. Są jeszcze jakieś łodzie?

- Tylko ta jedna. Gdzie są wszyscy? - spytała Kris, wychodząc z łodzi w błoto sięgające jej kostek.

- Część wyjechała, zanim sytuacja stała się naprawdę zła. Inni próbują złapać trochę snu pod jakimiś daszkami. Jeszcze inni siedzą tutaj i zamartwiają się. Słyszeliście naszą wiadomość?

- Wiemy o gorączce z Grearson. Jest z nami medyk ze szczepionkami. - Kris wskazała ratownika wychodzącego z łodzi. Dziewczyna wyciągnęła rękę do człowieka, który mówił w imieniu grupki. - Podporucznik Kris Longknife z Marynarki Wojennej Stowarzyszenia Ludzkości, do usług.

Gdzieś we mgle zabrzmiało:

- Cholerna Longknife dotarła aż tutaj? Niemniej jednak uścisk dłoni i towarzyszący mu



uśmiech wyglądały na szczere.

- Cieszymy się ze wszystkiego, co przywieźliście - powiedział siwiejący mężczyzna w ubraniu, które świadczyło, że kiedyś był znacznie tęższy. - Jestem Sam Anderson. Mój tata założył to ranczo. A ja pewnie je zamknę. Ile osób możecie zmieścić do łodzi? Mamy kilkudziesięciu chorych plus dzieci i starszych. Obawiam się, że raniem będziemy musieli zacząć wspinać się na klif. Dobrze byłoby zabrać najłabszych łodzią.

- Ilu was jest ogółem? - spytała Kris.

- Po odliczeniu trójki, która zmarła dzisiaj, dziewięćdziesiąt osiem osób. Czemu pytasz?

- Bo ta łódź jest trochę nietypowa. To, co widzisz, niekoniecznie jest tym, co możesz mieć. - Dziewczyna dotknęła panelu kontrolnego i sprawdziła listę możliwości. - Mamy tu opcję promu motorowego. Zaprojektowany do przewozu ciężarówek o wadze do dziesięciu ton. Powinien zmieścić sto dziesięć osób. Sześć na piętnaście metrów, trzydzieści centymetrów zapasu zanurzenia przy pełnym obciążeniu. Jose, jesteś w stanie poprowadzić coś takiego przez rzekę?

- Jutro, nie w ciemnościach.

- Konwersji dokonam już teraz, na wypadek gdyby w nocy stan rzeki podniósł się zbyt wysoko.

- Dobry pomysł - potwierdził Sam, gdy

Kris uruchamiała konwersję.

Nawet w ciemnościach widać było zmiany, jakie zachodzą w metalowych ścianach. Kadłub zaczął się wydłużać i poszerzać, wysokość burt wzrosła do sześciu metrów.

Nagle cała konstrukcja opadła na ziemię. Kris myślała przez chwilę, że to część procesu, ale wtedy płaski metal zaczął rozpadać się na kawałki, bąbelkując.

Dziewczyna chwyciła panel kontrolny, zanim zdążył się rozpląnąć. W chwilę potem miała jednak w dłoniach tylko mieszaninę płynnego, podobnego do rtęci metalu i błota.

- Co jest, do cholery? - krzyknęła. Opanowała chęć odrzucenia masy w błoto. - Szybko, wyciągnijcie dwie butelki ze szczepionką i opróżnijcie je. Muszę zachować to gówno.

- Ale tracić szczepionkę? - spytał Tom, mimo to otwierając pudełko.

- Mamy jej dla trzystu osób, a na miejscu jest tylko sto. A ja muszę to zbadać i dowiedzieć się, o co tu chodzi.

- Jeśli dożyjemy - kwaśno dopowiedział Sam.

Kris i Tom zebrali próbki do butelek i zamknęli je.

Jedna z nich zawierała także trochę błota. Ot, taka pamiątka z Olimpi. Dziewczyna rozej-

rzała się za kolejnymi próbkami, ale w międzyczasie resztki metalu całkowicie znikły.

- Zabierzcie zapasy z deszczu - zasugerował Sam. - Jeśli mamy utonąć rano, równie dobrze możemy to zrobić z pełnymi żołądkami.

- Nigdy nie uważałem cię za optymistę, Sam - stwierdził Jose.

- Rok opadów, zdechłego bydła, braku zboża, epidemii za epidemią nawet ciebie zmusiłby do rzucenia ręcznika.

- Może i tak. Słyszeliście, co powiedział. Weźmy im trochę żywności. Na głodnego nie podejmuje się mądrych decyzji, a poziom wody się podnosi.

Załoga zaczęła ładować zapasy. Kilkunastu mieszkańców farmy, którzy zmaterializowali się nie wiadomo skąd, także wzięło się do roboty. Przybysze pracowali w milczeniu, miejscowi wrócili do przerwanej dyskusji.

- Mówię wam, że trzeba zbudować tratwy. Pozostały nadal dwa domy. Trzeba rozebrać ściany i użyć ich do spływu w dół rzeki.

- Zrobione są z otynkowanego drewna. Na wodzie nie wytrzymają nawet godziny. Poza tym potrzeba łodzi, żeby płynąć tą rzeką. Co o tym powiesz, Jose?

- Tam jest paskudnie. Nie powiem, że nie macie szans. Kto wie, cuda się zdarzają.

- Nie mam zamiaru powierzać życia mojej Candi cudom. Uważam, że powinniśmy się wspinać na klif. Robiliśmy to w młodości.

- Tak, włąziłem na samą górę, gdy miałem dziesięć lat.

- Kiedy ostatnio wdrapałeś się na płot, Ben?

- Poza tym wszyscy wspinaliśmy się Ścieżką Szczęściarzy. Pomiedzy tym miejscem a ścieżką woda sięga dwóch i pół metra - zaznaczył Sam.

- Jedyne, co nam pozostało, to Skok Kochanków, a nikt się tam nie wspinał.

- Gdzie to jest? - cicho spytał Akuba.

- Dokładnie za nami - odpowiedział Sam.

Akuba podniósł swój reflektor. Przez deszcz i mgłę Kris ledwie widziała skaliste ściany z rosnącymi gdzieniegdzie drzewami. Światło zgasło.

- Pieprzony klif - wymknęło się Nabilowi.

- Mamy trochę liny. Wy coś macie? - spytał Akuba.

- Trochę się znajdzie.

Dotarli do dwóch budynków. Jednym była mała stodoła. Na zewnątrz stały cztery zmokłe krowy, które wyproszono spod dachu. Drugi budynek był jeszcze mniejszy, jednoizbowy.

- Nowożeńcy mieszkali tu przez pierwszy rok po ślubie, zanim zbudowali własny dom - wy-

jaśnił Sam, zanim Kris zdążyła zapytać. – Rozejrzyjmy się za czymś do podgrzania jedzenia, zanim wszystkich pobudzimy.

Na podłodze spało około dwudziestu osób, głównie dzieci i starszych. Trzy kobiety leżały w jednym łóżku trzęsione gorączką. Dwie inne próbowały im jakoś pomóc. Medyk natychmiast podszedł do nich, a Kris podążyła za Samem do kuchni. Zapach kawy zwabił ludzi. Szybko pili swój kubek i znikali w deszczu.

Kiedy wszyscy byli już czymś zajęci, Sam dotknął łokcia Kris.

– Musimy pogadać.

Dziewczyna podążyła za nim do stołu kuchennego. Sam, Karen, jego żona, i wielki facet, który przedstawił się jako Brandon i usiłował zmiażdżyć dłoń Kris w uścisku, zajęli trzy krzesła, czwarte pozostawiając dla podporucznik.

– I co robimy? – zapytał Brandon.

Kris czekała, aż Sam lub Karen coś powiedzą, ale wszyscy spoglądali na nią.

– Mój medyk zajmuje się gorączką z Grearson najlepiej jak potrafi. Za chwilę zacznie dawać wszystkim zastrzyki, a potem...

– A potem wszyscy umrzemy – rzucił Brandon.

– Nie – zaprzeczyła dziewczyna.

– Owszem, tak – odparł Brandon.

Wszyscy w domu zaczęli zbierać się wokół ścian i przysłuchiwać rozmowie czwórki przy stole.

- Spójrzcie prawdzie w oczy - zwrócił się Brandon do zgromadzonych. - Woda przybiera z prędkością pięciu centymetrów na godzinę. Do rana będzie nam sięgać do kostek. Nie przybędzie kawaleria. Pieprzona marynarka już tu jest, w tym samym gównie, co i my. To był naprawdę fajny trik z tym zniknięciem łodzi, nawet jak na Longknife.

- Jak sam stwierdziłeś, jestem na tej samej łodzi, a właściwie jej braku, co i wy. Ale nie mam zamiaru rano umierać.

Brandon głośno pociągnął nosem.

- Zabierze cię helikopter, prawda? Nikt ci nie mówił? Z powodu kwaśnych deszczy sprzedano wszystkie statki powietrzne. Chyba że przywieźliście jakieś ze sobą.

- Nie - odpowiedziała Kris, nie chcąc kłamać wpatrzonym w nią ludziom. Rozejrzała się, wierząc, że zobaczy w ich oczach wiarę w to, że pomoże im bez względu na warunki. Zamiast tego zobaczyła brak jakiegokolwiek nadziei, tak jakby spoglądały na nią trupy. Kris przełknęła ślinę. Ci ludzie nie oczekiwali od niej pomocy, oczekiwali ostatniego przyzwolenia na rezygnację z wszelkich wysiłków.

- Tak więc mamy dwudziesty czwarty wiek i nic więcej niż własne dwie ręce, żeby ratować siebie i nasze rodziny - wycedził Brandon. - Moim zdaniem, jeśli mamy umrzeć, niech umiera z nami cała planeta.

To absurdalne stwierdzenie nie wywołało u słuchaczy nawet przestąpienia z nogi na nogę. Kris spojrzała na Sama i Karen. Siedzieli martwo przy stole z minami krów, które widzieli po drodze tutaj. Jak można było tak całkowicie stracić nadzieję?

- Czemu nie mielibyśmy zabrać tej planety ze sobą? - kontynuował Brandon. - Oni nic dla nas nie zrobili. A wszyscy wiecie o ofercie, którą dostał Sam. Czy panna Longknife wie o niej? A może to jej dziadek złożył tę ofertę?

- Wiem bardzo niewiele o interesach mojego dziadka Alexa. Jeśli tego nie zauważyliście, jestem podporucznikiem marynarki, w chwili obecnej bez łodzi na wezbranej rzece.

„No śmieJCie się, okażcie jakieś emocje”.

Ludzie wokół Kris patrzyli tylko w podłogę.

- Samowi zaoferowano kupno farmy za jedną setną jej wartości, dziewczyno. Co na to powiesz? Gdy to wszystko się skończy, staniemy się niewolnikami, jak pracownicy fabryk na Ziemi. Jestem pewien jak diabli, że nie chcę tak żyć.

A więc o to chodziło. Kris przełknęła ślinę. Ciężko pracowali całe życie, a teraz to tracą. Pracowali pod gołym niebem, które się teraz na nich wali. O nic nie prosili, nic nie otrzymywali, a teraz faceci tacy jak Brandon dostawali pomieszania zmysłów. Gorączka dała Brandonowi broń, którą może w kogoś wycelować. Kris powoli obróciła się na krześle, patrząc na twarze ludzi wokół niej. Byli pobici, u kresu nadziei, czekający tylko na koniec. „Okay. Poruczniku Longknife, i jak ma pani zamiar zmusić ich do walki o to, co im pozostało w życiu?”

\* \* \*

- Chcesz umrzeć? - spytała kobietę, z którą na chwilę uchwyciła kontakt wzrokowy.

Ta ponownie wbiła wzrok w podłogę.

- O to chodzi? - powiedziała Kris do mężczyzny pod ścianą. - Po prostu chcesz położyć się w błocie i czekać, aż zabierze cię rzeka?

Potrząsnął głową.

Kilkumiesięczne dziecko zaczęło płakać. Matka ukołysała je delikatnie i dała mu do ssania piersi.

- Jesteś gotowa utopić to dziecko? - spytała Kris twardo.

- Nie - odpowiedziała matka ze łzami w oczach.

- To lepiej zacznij się przyzwyczajać do tej



myśli, bo właśnie o tym gada ten facet.

Wstała.

- Okay. Jesteście w bardzo złej sytuacji. Prawdopodobnie najgorszej na tej planecie. - Obróciła się powoli, twardo patrząc w każdą napotkaną twarz, wymagając skupienia na tym, co mówi. - Kiedy ojciec Sama pojawił się tu pięćdziesiąt lat temu, wiele korporacji było gotowych pożreć go dla połowy własności, kontroli nad nim. Nie poddał się, wziął pożyczkę i ją spłacił. Mogę się założyć, że spłacił ją długo przed terminem. - To się musiało zgadzać, bo odpowiedziało jej dumne skinienie głowy Sama i zmarszczenie brwi Brandona. - Mam dla was wiadomość. Wiele banków nadal pożyczka pieniądze na tej zasadzie. Oczywiście, że nie wysyłają tu „łowców głów”, którzy polują na ludzi tak zdesperowanych, że podpiszą, cokolwiek im się podsunie. Ale gdy będzie po wszystkim i słońce znów zaświeci nad waszymi głowami, będą tu na was czekać.

- Masz zamiar zaoferować nam pożyczkę, Longknife? - warknął Brandon.

- Chyba rzuciło ci się na słuch. Chyba mówiłam, że jestem z marynarki. - Dotknęła złotej belki na kołnierzu. - Marynarka nie udziela pożyczek. Jesteśmy tu po to, by wyciągnąć tak wielu żywych ludzi, jak to będzie możliwe. Ale wiesz, Brandon, ty też nie myślisz całkiem rozsądnie.

Chcesz, żeby zarazki gorączki z Grearson dostały się do rzeki i zabiły wszystkich na tej planecie. Przemyślcie to ze mną. - Kris nadal obracała się powoli.

Oczy słuchaczy podniosły się nareszcie. Skupiła ich uwagę.

- Zarazki dostają się do rzeki i zatrują Port Athens. Ludzie tam też głodują i chorują. Zaczną umierać. Wielu z nich to będą ludzie tacy jak ja i moja załoga, którzy przybyli tu na pomoc. Tak nam chcecie podziękować?

Kilka osób pokręciło głowami.

- Wszyscy na południe od Athens głodują. Wysyłamy im żywność tak szybko, jak jesteśmy w stanie. Jeśli zarazki będą w wodzie, to także je wyślemy. Grearson zabija około pięćdziesięciu procent populacji. Wyobraź sobie, że oboje z żoną to łapiecie, jedno z was umiera. Wasz syn i córka zarażają się. Jedno z nich umiera. Ale ponieważ ludzie głodują, już są chorzy i słabi, umrze trzy czwarte z nich. To teraz pomyśl, że zaraża się cała rodzina i być może będziesz jedynym, który przeżyje, a może to będzie twoja córka. Kto opiekuje się sześciolletnią sierotą? Są gorsze rodzaje śmierci niż gorączka.

Oczy, które przed chwilą patrzyły w podłogę, teraz pełne były przerażenia, gniewu, strachu i innych emocji. Tak, udało jej się zwrócić ich uwa-

gę.

- A wiecie, co jest najgłupsze w pomysle Brandona? Wraz ze śmiercią wszystkich ludzi na Olimpii zniknie także gorączka. Pozostaną puste domy, obory, maszyny rolnicze. Pozostaną farmy zbudowane przez ludzi, którzy już nie żyją. Nie trzeba ich będzie kupować nawet za jedną setną ceny. Korporacje wyślą najemnych pracowników, zaszczepiwszy ich uprzednio na wszelki wypadek, żeby zarabiali dla nich pieniądze. A ci, zdrowi i silni, będą to robić do końca życia. Czy to nie śmieszne?

Nikt się nie zaśmiał.

Medyk wyciągnął z torby szczepionkę i sprzęt do iniekcji.

- Kto chce zastrzyk? - spytał.

Kobieta z dzieckiem zrzuciła kurtkę i podała nagie ramię. Klik i było po wszystkim. Kobieta odwinęła pieluchę, odsłaniając pośladki niemowlęcia. Klik.

Sam zdjął płaszcz, podobnie Karen. Za nimi zaczęła ustawiać się kolejka.

Kris zwróciła się do Sama:

- W mojej ekipie jest dwóch doświadczonych wspinaczy, gotowych iść Skokiem Kochanków. Ile macie liny?

- Mnóstwo.

Kris rozejrzała się po pokoju.

- Kto pomoże moim ludziom wspinać się na klif?

## ROZDZIAŁ 16

A więc, Kris, kto wspina się na klif, a kto zostaje tutaj? – zapytał Tom szeptem, aby nie słyszał go nikt z miejscowych. Szept nie ukrył drżenia jego głosu.

– Nie musisz iść, jeśli nie chcesz – odpowiedziała Kris, zdając sobie sprawę, że przyjaciel dużo już dziś zrobił.

– Przestań pieprzyć, Longknife – sapnął ze złością. – Jedno z nas musi tu zostać. Ktoś musi dać im kopa w dupę, kiedy ten cwaniaczek znów zacznie coś kombinować. Wydaje mi się, że jesteś w tym lepsza. Poza tym panna Longknife, zostając tutaj, pokazuje im, że nie zostali porzuceni. – Tom kiwnął głową, zaskoczony własną logiką. – Ja idę na klif. Jeśli nam się nie uda, ktoś was zawiadomi. Jeśli dotrę na górę, prawdopodobnie będę w stanie nawiązać łączność i sprowadzić pomoc.

– Brzmi logicznie – potwierdziła Kris cicho.

– Taaa, więc czemu mi się nie podoba?

Dziewczyna mogła podać tuzin powodów.

– Powinienem uciekać, gdy tylko cię spotkałem. Jeśli nadal będę się zadawał z Longknife-ami, to w końcu załapię się na jakiś medal. A ostatnie słowa mamy przed moim wyjazdem

brzmiały: „Nie próbuj przywozić żadnych medali. Mamy wszystkie, które chcieliśmy mieć”.

- Sprawdź może, czy u stóp tego wzgórza nie ma jakichś krasnoludków, które tylko czekają, żeby ci pomóc.

- To nie wzgórze, to klif. A na klifach żyją tylko ogry. Nie wiesz takich podstaw?

- Na dobranoc ojciec czytał mi analizy polityczne. Nigdy nie poznałam żadnej bajki.

- Co masz na myśli, mówiąc „bajki”? Są równie prawdziwe jak analizy polityczne.

Na twarz Toma powrócił jego zwykły łobuzerski uśmiech.

- Nie mogę się z tobą nie zgodzić. Tak więc ty się wspinasz, a ja zostaję i pilnuję ogniska domowego. - „Dopóki rzeka nie zaleje paleniska”. Przez chwilę pośmiali się razem. Ludzie wokół nich zdawali się zarażać tym śmiechem. Oboje młodzi oficerowie wyszli na deszcz.

Sam, Jose i dwaj alpiniści zgromadzili wokół siebie kilkanaście osób. Jakaś kobieta przyniosła termos z gorącą herbatą. Gdy Akuba i Nabil sprawdzali liny, czekany i resztę sprzętu wspinaczkowego, Sam przedstawiał plan.

- Mamy sprzęt na dwa stanowiska. Przyniosłem go ze stodoły. Powinniśmy go użyć już dawno temu, ale nie wierzyłem, że sytuacja stanie się aż tak zła. Przepraszam.

- Nikt nie wiedział, że to nadchodzi - odpowiedział ktoś.

- Tak czy inaczej, mocujemy kilka lin tutaj, wy, wspinając się, ciągniecie je ze sobą. Gdy dojdziecie na górę, mocujecie bloczki i mamy wyciągi. Wtedy zaczynamy wysyłać ludzi do góry. W najgorszym wypadku musicie ich wciągać. Ci, którzy coś potrafią, będą się wspinać w miarę swoich sił. Tak to trzeba zrobić - zakończył Sam.

- Skąd będziecie wiedzieli, że jesteście na górze?

Kris wskazała swój nadgarstek.

- Porucznik Lien wspina się z wami. Da mi znać, kiedy będziecie gotowi, i połączy się z Port Athens, żeby sprowadzić pomoc.

- Oni nie mogą nam pomóc - wtrącił Jose.  
- Po drodze stamtąd są cztery głębokie strumienie. Objazd jest bardzo długi. Dlatego używaliśmy rzeki.

- Powiedz pułkownikowi, żeby użył łodzi jako mostów.

- Łodzi? - spytał Tom z niedowierzaniem.

- Tak. Nasza działała dobrze za pierwszym razem. Nawet po naprawie. Po prostu powiedz Hancockowi, żeby nie używał ich trzy razy.

- Jeśli tak twierdzisz... - Tom nie wyglądał na przekonanego. Kris była prawie pewna, że Hancock zrobi wszystko, by im pomóc. W każdym

razie jej. W końcu była jedną z tych Longknife'ów.

- Albo jest tak, jak powiedziałam, albo te cholerne łodzie nie lubią Longknife'ów - odpowiedziała, ignorując rodzące się pytanie, czy ich ofiarodawca filantrop chciał, aby zginęła pewna konkretna osoba nosząca to nazwisko. O tym będzie można pomyśleć później.

Grupa wspinaczkowa podeszła do Skoku Kochanków. Kris towarzyszyła im, starając się zapamiętać, gdzie jest najwyższy poziom gruntu. Studium Oficerskie miało w programie przetrwanie godziny w nurcie rzeki lub dwóch kilometrów pływania ciągłego. Zaliczyła to z dobrym wynikiem, ale nie mogła tego samego wymagać od setki na wpół zagłodzonych cywilów. Droga wznosiła się łagodnie, otaczały ich wiecznie zielone drzewa, charakterystyczne dla skalistego podłoża. Im bardziej się zbliżali do klifu, tym więcej mijali głazów.

Po wszystkich przejściach dzisiejszego dnia kamienie, szczególnie spadające, wydawały się Kris po prostu kolejnym sposobem, by zginąć.

Wspinacze razem ciągnęli linę. Jako pierwsi szli Nabil i Akuba, następnie Jose, potem kilku ranczerów. Tommy zamykał kolumnę. Wyglądał na mocno zaskoczonego, kiedy Kris go objęła.

- Uważaj na siebie, Tom, pamiętaj, że mama nie życzy sobie żadnych medali.



- Trochę za późno, żeby się tym przejmować - odburknął, ale natychmiast złagodził to ciepłym uśmiechem. Kris zdała sobie sprawę, że na wyprawę w górę rzeki wyciągnęła chłopca, a do wspinaczki przygotowywał się już mężczyzna.

- Do zobaczenia rano - powiedział i podążył za innymi.

Końce dwóch lin przywiązane zostały do najgrubszych drzew. Wspinający się nieśli zwoje lin, które mieli spuścić na dół.

Kris nie czekała, aż znikną we mgle, tylko zajęła się własną częścią zadania.

- Ile bali siana nam zostało? - spytała Sama.

- Nie za wiele. Byliśmy tuż przed zbiorami, było zdążyło wszystko zjeść. A potem podniosła się woda.

- Myślisz, że udałoby nam się zbudować wał ochronny wokół tego miejsca? - Odwrócili się ponownie do klifu, by ujrzeć, jak światła wspinaczy znikają w ciemnościach. - Po prostu nie wiem, gdzie uda im się założyć stanowiska - kontynuowała podporucznik. To był ich główny problem: wiele do zrobienia i równie wiele niewiadomych.

Wrócili tą samą ścieżką, którą Kris miała zapamiętać jako korytarz do piekła. Przynajmniej tak nazwałby ją Tom.

Przygotowania do misji na Sequimie zajęły

grupie szturmowej cztery dni. Mieli dane, mnóstwo danych, oczywiście, jak się później okazało, błędnych. A teraz nie było głodnych walki marines. Podwładnymi Kris byli wszyscy, od trzymiesięcznego niemowlaka po dziewięćdziesięcioletniego staruszka. Miała w grupie chorych, pogrążonych w depresji, a przede wszystkim straszliwie zmęczonych i głodnych ludzi.

Na szczęście dzięki przywiezionym zapasom mieli możliwość zjeść pierwszy prawdziwy posiłek od roku. Wystarczający, by wspiać się na klif bez przeciążania skurczonych żołądków. Na karmieni zostali wszyscy, także ci, którzy spali, gdy przybyła ekipa Kris. Niektórym udało się ponownie zasnąć. Inni, którzy po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuli się prawie dobrze, kręcili się w poszukiwaniu zajęcia. Kris zaczęła tworzyć listę ludzi, których można było wysłać na górę o własnych siłach. Brandon, który z jakichś powodów nie dołączył do pierwszej grupy, był na czele tej listy.

- Nie masz zamiaru nic robić? - spytał setny raz.

- Nie - odpowiedziała, pomagając karmić trzylatka. - Wysłaliśmy liny i bloczki na górę. Część ludzi ustawia wał z beli siana. Chcesz im pomóc?

Proponowała mu to kilkakrotnie, ale za-

wsze odmawiał. Tym razem także. Tyczki i łopaty były już na miejscu. Kris chciała wiedzieć, jak wysoko sięga woda, ale tego zadania nigdy nie powierzyłaby Brandonowi. Dziecko zostało nakarmione, matka zabrała je, śpiewając przy tym kołysankę. Podporucznik spojrzała na zegarek, do świtu pozostało trzy godziny. Może trzy i pół. Mogli tylko czekać.

Czekanie było głównym zajęciem antycznych kobiet, gdy ich mężczyźni szli na wojnę lub polowanie. Kris uznała, że mężczyźni byli mięczakami. Odwracając się plecami do Brandona, skierowała się ku wyjściu. W drzwiach wpadła na wchodzącego właśnie Sama.

- Jak tam rzeka? - spytała, gdy ranczer cofnął się o krok.

- Podnosi się. W tym zagłębieniu terenu po drodze do klifu jest już trzydzieści centymetrów wody. Rozbieramy ogrodzenia z drutu kolczastego, żeby oznaczyć drogę.

- Dobry pomysł.

- Możesz połączyć się ze swoim kumplem i spytać, jak im idzie?

- Mogłabym, ale czy chciałoby ci się odbierać telefon w połowie wspinaczki na klif?

- Nie, ale ten brak wiadomości jest dla wszystkich bardzo trudny.

- Sam, oni mogli wspiąć się jakieś dwie-

ście pięćdziesiąt metrów i utknąć na ostatnich pięćdziesięciu. – Dziewczynie wcale nie podobała się ta myśl, ale taka była prawda. Możliwe, że słońce wstanie, a oni nadal nie będą nic wiedzieli.

– Sam, Sam, chodź tu szybko – krzyknął ktoś.

– Co się dzieje?

– Benny spadł ze Skoku Kochanków.

Kris nie prosiła o dalsze wyjaśnienia. Zerwała się do biegu. Poślaniec szybko zawrócił i zaczął wskazywać drogę. Sam deptał im po piętach. Tak jak mówił, woda w zagłębieniu terenu sięgała połowy łydki. Poręcze już były wbite, a drut kolczasty między nimi wcale nie wyglądał tak strasznie. Przy klifie Kris zobaczyła światła, skrzyła w ich stronę.

Kilku mężczyzn zgromadziło się wokół leżącego ciała. Szybkie spojrzenie wyjaśniło Kris wszystko, co chciała wiedzieć. Kończyny rozrzucone były we wszystkich kierunkach. Zadrapania i ślady po uderzeniach na twarzy leżącego wskazywały, że wielokrotnie uderzył o skały. Na ciele leżała złamana sosenka. Ale nie to zwróciło uwagę dziewczyny. Zespół zmieniał prowadzącego, który wybierał drogę i zakładał kolejne punkty asekuracyjne. Co poszło źle? Czy pękła lina? Gdzie są ciała pozostałych wspinaczy? Kris zacisnęła zęby, patrząc na swój komunikator. Postanowiła nie wy-

woływać w tej chwili Toma, tylko pozwolić martwemu mężczyźnie „opowiedzieć swoją historię”. Obeszła ciało, znalazła pętlę liny. Dotarcie do jej końca wymagało odwrócenia ciała. Szarpnęła je energicznie.

- Boże, kobieto, to Benny.

- Ona wie, co robi - uciął dalsze komentarze Sam.

Kris podniosła zakrwawioną linę, jej dłonie także były już umazane krwią. Dotarła do końca, znajdującego się pod czaszką Benny'ego.

- Lina została przecięta - stwierdziła. -

Czy Benny miał nóż?

- Oczywiście, że tak.

- Widzicie go?

Ciało ponownie zostało przekręcone, tym razem bardzo delikatnie, przez przyjaciela Benny'ego. Noża nie było.

Kris stała, wpatrując się w koniec liny, jak gdyby czytała w nim wyjaśnienie.

- Odciał się, gdy złamała się ta sosna.

Podporucznik Longknife posmakowała odwagi, gdy dowodziła misją ratunkową, zanurzyła się w niej głęboko podczas zasadzki na konwój, ale nie była pewna, czy porcja, którą musiał przełknąć Benny, byłaby na jej siły. Czy byłaby w stanie odciąć się, skazać na śmierć, by własny upadek nie pociągnął śmierci towarzyszy?

- Kris, jesteś tam? - odezwał się Tom w komunikatorze.

- Tak, Tom. Co się dzieje?

- Nie najlepiej w obecnej chwili.

- Jestem tu z Bennym.

- Tak miał na imię? Boże... - Komunikator zamilkł na chwilę.

- Miej go w swojej opiece - dokończył ktoś za plecami Kris i ukląkł, by zamknąć zmarłemu oczy.

- Tak czy inaczej, byliśmy w paskudnym miejscu, ale już je przeszliśmy. Następne sto metrów wygląda na dość łatwe, ale nadal nie widzę szczytu. Jesteśmy wszyscy powiązani ze sobą. Skontaktuję się później.

- Kris, bez odbioru.

Zostawili ciało Benny'ego tam, gdzie leżało. Jeśli będzie czas, wciągną je na górę. Tak jak wszyscy w pierwszej grupie, został zaszczerpiony, ale Kris nie miała pojęcia, czy nie był już chory. Jeśli tak, to szczepionka niewiele mogła zdziałać w ciągu tych kilku godzin.

Woda sięgała im już do kolan, gdy ponownie przechodzili przez obniżenie.

Na dwie godziny przed świtem Kris nakażała opatulenie ludzi we wszystko, co nie będzie krępować ruchów przy wspinaczce.

- Jak tam chorzy? - spytała podporucznik

medyka.

- Dajcie mi jeden śmigłowiec MEDEVAC, a założę się o ostatniego dolara, że wszyscy przeżyją. Ale zabieranie ich na ten deszcz... No nie wiem.

- Muszę ich zabrać teraz. Jeśli pozostaniemy tu odrobinę dłużej, możemy w ogóle nie dotrzeć do klifu.

- A my musimy zabrać na ten pieprzony klif ich lub ich ciała. Wiem, pani porucznik, że moje obowiązki wobec zagrożenia powszechną epidemią przeważają nad obowiązkami wobec pacjentów. Kurwa, wiem to! Co nie znaczy, że mi się to podoba.

- Niewiele rzeczy nam się dziś podoba, prawda? - odpowiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. - Na trasie będą pułapki, wiatr, ale zrobimy, co w naszej mocy.

Kris zaczęła wysyłać ludzi w pięcioosobowych grupach. Po godzinie zostały prawie same z Karen. Prawie, bo w chatce była jeszcze starsza kobieta, która w jakiś sposób nie dołączyła do żadnej z grup, oraz kobieta z dzieckiem.

- Ma paskudny kaszel - powiedziała matka w formie usprawiedliwienia.

Kris rozejrzała się po jednoizbowym domku. Był pełen pustych kartonów po racjach żywnościowych. Na łóżku nie było już żadnych kołder

ani kocy, bo zostały użyte przy ewakuacji chorych. Zabrawszy lampę ze stołu, dziewczyna dołączyła do matki z dzieckiem. Na zewnątrz woda sięgała kostek. Kobiety podążyły za Karen i staruszką. Zanim dotarły do płotu z drutu kolczastego, poziom wody sięgnął kolan. Nurt zaczął być odczuwalny. Kris jedną ręką objęła matkę, drugą trzymała się płotu. Kobieta mocno tuliła dziecko.

Gdy dotarły do obniżenia terenu, stało się jasne, że staruszka ma kłopoty. Woda sięgała tam już do ramion.

- Proszę tu zostać - powiedziała Kris do matki i podeszła do Karen. Wzięły starszą kobietę między siebie i przeprowadziły przez rzekę, jaka powstała w zagłębieniu terenu. Jako koścista nastolatka zastanawiała się, po co dziewczynie metr osiemdziesiąt trzy wzrostu. Dzisiejszej nocy chętnie dodałaby sobie jeszcze trochę.

Przekroczywszy rozlewisko, dziewczyna oddała latarnię Karen i natychmiast zawróciła.

- Pójdę z tobą - zaoferowała ranczerka.

- Nie, idźcie do szlaku. Nadal prowadzi tam sucha ścieżka. Wysuszcie się trochę.

- W tym deszczu? Marzenie ściętej głowy.

Obie starsze kobiety skierowały się w stronę szlaku.

Kris zaczęła powolny powrót, starając się nie myśleć o tym, że woda stała się jeszcze głębsza.



sza, a nurt silniejszy. Po dotarciu do matki z dzieckiem ponownie otoczyła ją ramieniem, a drugą ręką chwyciła płotek.

- Uważaj, jak stawiasz kroki - przestrzegła.

Ruszyły powoli do przodu. Uważnie macały stopami grunt, zanim zdecydowały się przenieść ciężar ciała. Kris właśnie unosiła nogę, gdy kobieta za nią upadła.

W ułamku sekundy podporucznik zdała sobie sprawę, że traci podopieczną. Złapała ją mocno, jak się okazało, za kołnierz kurtki. Drugą rękę mocno zacisnęła na drucie, wbijając sobie kolce w dłoń, zdusiła okrzyk bólu, który tylko zabrałby jej powietrze z płuc.

Płotek w założeniu miał tylko wskazywać drogę, a nie służyć jako oparcie. Pod naporem obu kobiet i dziecka słupki wyrwały się z miękkiej ziemi. Kris zaczęła walczyć o utrzymanie oparcia dla stóp, usiłując przy tym trzymać głowę ponad wodą, dłoń na drucie i nie puszczać kołnierza kobiety w drugiej ręce. Jakimś cudem udało jej się.

Nurt zepchnął je o około dwadzieścia metrów. Mając zajęte obie ręce i nie mogąc pewnie postawić drugiej stopy, dziewczyna podskakiwała na jednej nodze, by utrzymać się na powierzchni.

Skoncentrowała się na dostawieniu drugiej nogi. Podskoczyła dwukrotnie i wreszcie uda-

ło jej się wbić drugą stopę w miękkie dno. Napór wody był jednak zbyt duży. Kobiety zostały przesunięte dalsze kilka metrów, zanim Kris udało się znaleźć pewne oparcie. Wyciągnęła głowę matki na powierzchnię, umożliwiając zaczerpnięcie powietrza.

- Możesz oddychać? - krzyknęła kobiecie do ucha.

- Tak.

Pomimo problemów z zachowaniem własnej równowagi matce udało się utrzymać dziecko nad powierzchnią.

- A jak dzieciak?

- Kaszle.

- To dobrze.

Kris odwróciła się w stronę wody. Stała w miarę pewnie, nachylona pod kątem prawie czterdziestu pięciu stop ni w stronę nurtu. Przesunęła krwawiącą rękę o kilka centymetrów w lewo. Zarzykowała przesunięcie stopy, potem drugiej. Znowu przesunęła odrobinę dłoń, starając się ominąć kolce. Sprawdziła chwyt na kołnierzu kobiety. Po chwili powtórzyła całą sekwencję ruchów. Zimna woda przytłumiła ból w zranionej dłoni. Teraz głównym problemem Kris stało się utrzymanie drutu i kołnierza. Powoli zaczęła przedstawiać stopy po mulistym dnie. „Tylko spokojnie. Nie czujesz skurczy w łydkach ani drętwienia w

udach, a dreszcze wcale nie biegną ci po plecach”.

Minął miesiąc, a może rok, zanim dziewczyna krok po kroku pokonała nurt. Mimo eonów, które upłynęły, słońce nawet nie zaczęło jeszcze wstawać.

Dopiero gdy woda sięgała im pasa, podporucznik zaryzykowała zmianę szyku i umieszczenie kobiety za swoimi plecami.

- Dziękuję - powiedziała matka, łapiąc oddech. Dzieciak kichnął. To było najlepsze podziękowanie.

Dobrnienie do miejsca, w którym woda sięgała kostek, zajęło im mniej niż tydzień. Na brzegu czekali Karen i Sam.

- Wystraszyłam się, gdy zniknęłyście - krzyknęła Karen do ucha Kris. - Wszystko w porządku?

- Myślę, że teraz tak - odpowiedziała porucznik, z wdzięcznością przyjmując ramię Sama. Ranczer spojrzał na jej krwawiącą dłoń.

- Zobaczmy, czy możemy użyć trochę tych leków, które przywiozłaś.

Medyk, schylony jak Cygan wróżący z ręki, obejrzał wewnątrz dłoni przełożonej.

- To będzie bardzo przeszkadzać przy wspinaczce - zawyrokował. - Trzeba będzie zorganizować dla pani wciągnięcie.

- Ten drobiazg? - spytała Kris, próbując zacisnąć pięść. - Auaaa! - Bolało jak diabli, mimo że wcale nie ścisnęła mocno.

- Jest pani wciągana - podjął decyzję ratownik i odszedł do innych pacjentów, dla których z desek pochodzących ze zniszczonych zabudowań sklecono coś w rodzaju noszy.

Osiemdziesięcioro ludzi zgromadziło się na przestrzeni pomiędzy klifem a wzbierającą rzeką. Pięcioro dzieci, obecnie nakarmionych, ganiało się pomiędzy dorosłymi, chlapiąc dookoła wodą. To wywołało uśmiechy nawet u chorych.

Kris zaczęła się zastanawiać, co robić dalej.

W pewnym momencie usłyszała grzechotanie kamieni po swojej lewej stronie. Sekundę potem ubrane na czarno ciało uderzyło o ziemię. Kris i Sam podbiegli w tamtą stronę.

- Kris - odezwał się komunikator.

- Tak, Tom, wiem. Straciliście jeszcze jednego.

To był Akuba, ciemnoskóry specjalista od wspinaczki, towarzyszący wyprawie ratunkowej. Upadek z tak dużej wysokości nie dał mu żadnych szans. Za plecami Kris matki starały się zasłonić dzieciom oczy.

- Jesteśmy dwadzieścia metrów od szczytu - ponownie odezwał się Tom. - Nie widzimy żad-

nej dogodnej ścieżki. Akuba, Jose i Nabil sprawdzają wszystkie możliwości.

- Opcja Akuby nie działa - dokończyła Kris za niego, zwracając twarz ku ranczerom. Kilkanaście osób klęknięto i zaczęło się modlić. Kris miała nadzieję, że Bóg ich wysłucha. W domu ojca niedziela była dniem robienia zdjęć związanych z religią. Zdjęcia z duchownymi, wizyty w parafiach, to było wszystko, czego wymagał od córki premier. Zapewne Tom, wiszący gdzieś tam na linie, także się modlił.

- Wiem, Jose i Nabil nadal się wspinają. Gdy Akuba spadał, nawet się nie obejrżeli. Boże, a ja myślałem, że marines to twardziele.

- Daj znać, jak coś będziesz wiedział - powiedziała Kris i zakończyła rozmowę.

- Będziemy wiedzieć za kilka minut! - krzyknęła do wszystkich zainteresowanych i ponownie odwróciła się do ciała Akuby. Z kieszeni wypadł mu mały medalion na łańcuszku z arabskim napisem.

- Allah jest wielki - powiedziała łagodnie, zamykając oczy mężczyzny. Pomyślała przy tym, czy istniała modlitwa, którą mogłaby zmówić nad ciałem Williego - niedoszęłego bohatera. Kolejna rzecz, której powinna się nauczyć, jeśli nadal ma zamiar wykonywać ten zawód.

O ile dziś nie utonie.

- Kris, Kris! - zabrzmiało z komunikatora.  
- Nabił chyba ma kłopoty. Zostań tam. Nie ruszaj się! - krzyczał Tom, nadal będąc na linii. - Pozwól Jose iść na szczyt. Na miłość boską, człowieku, nie rób tego!

Dziewczyna spróbowała wyobrazić sobie walkę rozgrywającą się nad jej głową. „Jeśli przydzielasz zadanie, musisz nauczyć się żyć z konsekwencjami, jakie przyniesie jego wykonanie lub porażka” - powtarzała sobie. Zmusiła się do zachowania ciszy. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała ekipa Toma, było pokrzykiwanie kogoś, kto siedzi bezpiecznie na dole.

Skoncentrowała się na tym, co mogła zrobić. Woda zaczynała przesączać się przez wał, który otaczał wejście na szlak. Upadek Akuby wskazywał, że ekipa wspinająca kierowała się na prawo od wejścia.

- Jeśli ktoś chciałby popracować, to może uszczelniać wał tymi belami siana - oznajmiła zimnym, spokojnym głosem, tnącym szeptem ran-czerów. Niektórzy rzucili się wykonywać polecenie. Inni pozostali na kolanach, modląc się. W tym momencie Kris nie chciałyby się zakładać o to, kto ma rację.

- Cholera, Nabił - ponownie odezwał się Tom. Kris przygotowywała się na upadek kolejnego ciała. - Udało mu się - kontynuował Tom gło-

sem, w którym mieszały się trwoga i śmiech. – Ten sukinsyn to zrobił!

Takie stwierdzenie u zazwyczaj spokojnego Toma spowodowało, że Kris musiała zapytać, unosząc brwi:

– Co zrobił?

– Nie doszedł jeszcze do szczytu – szybko raportował Tom – ale wisiał na jednej ręce i nodze i wyglądało na to, że nie posunie się już ani o centymetr. W tej chwili kontynuuje wspinaczkę.

– Wspinacz jest bezpieczny – krzyknęła podporucznik do ranczerów.

Kilku się przeżegnało, inni szepnęli:

– Bogu dzięki!

– Kris – głos Toma stał się żaloszny.

– Porucznik Longknife, tam, na dole – zabrzmiał z góry bardzo znajomy i równie bardzo zdenerwowany głos.

– Dzięki Bogu, że pan tu jest, pułkowniku – krzyknęła Kris. – Marynarka tu jest – powtórzyła równie głośno, by wszyscy wokół mogli ją usłyszeć. – Są tu!

– To marines wylądowali, poruczniku, lepiej, żeby sytuacja była pod kontrolą. Jechaliśmy całą noc jak wściekli, żeby tu dotrzeć, udało się bez strat. Za chwilę zostaną spuszczone liny, więc uważajcie. Ilu jest tam, na dole, ludzi?

– Zrzucają liny – ostrzegła towarzyszy

Kris. - Osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu - powiedziała ponownie do komunikatora. - Panie pułkowniku, nie można ufać tym mostom!

- Już się o tym przekonałem. Jeden poszedł w diabły przy załadunku. Drugi pożegnał się z konwojem po niewłaściwej stronie bardzo głębokiego kanionu. Trzeci raz wolałem nie próbować z tymi żartownisiami. Z na pół rozładowanym konwojem wróciłem wcześniej do bazy, tylko po to, by się dowiedzieć, że pani porucznik wybrała się na wycieczkę.

- Bardzo przepraszam, panie pułkowniku.

- Zabrzmiało prawie szczerze.

- To był bardzo trudny dzień, pełen pouczających przeżyć.

- Poruczniku, ma pani być na pierwszej linii wciąganej na górę!

- Ale mamy tu chorych! - zaproponowała

Kris.

Sam stanął za plecami dziewczyny.

- Będzie na pierwszej linii - krzyknął jej za uchem.

- Nareszcie ktoś rozsądny. Z kim mam przyjemność?

- Sam Anderson, właściciel tego rancza.

- Pułkownik Hancock, właściciel dupy tej podporucznik. Proszę mi ją przysłać w jednym kawałku.



Takim sposobem Kris znalazła się na pierwszej linii, częściowo wspinając się, częściowo będąc wciągana na górę. Gdy zaczynała swoją drogę, zegnął ją aplauz farmerów. Złożyła go na karb radości z ratunku, bo na pewno nie tego, co sama zrobiła.

Klif nie był jednolity. Niektóre odcinki były skaliste, inne żwirowe lub nawet błotniste. Kąt nachylenia także się zmieniał. Na łatwiejszych odcinkach dziewczyna wspinała się, odciążając ludzi, którzy ciągnęli liny. Na stromiznach po prostu pozwalała się windować w górę.

Zgodnie z tym, czego się spodziewała, pułkownik czekał na nią. Był tam także Zeb z ekipą warsztatową, mocno trzymając wyciągi bloczkowe. Dowódca na szczęście pozostawił mu dużo swobody w kierowaniu zespołem.

- Do mojej ciężarówki - warknął Hancock, podając jednak przy tym dziewczynie koc.

Na tylnym siedzeniu samochodu siedział już Tommy, zawinięty w taki sam koc, z błogim uśmiechem popijając coś gorącego. Gdy wsiadła, wskazał jej termos. Nalała sobie kubek i prawie zakrztusiła się przy pierwszym łyku. Kawa była bardzo irlandzka. Ktoś naprawdę nie żałował whiskey.

- Nie dziwię się, że ci smakuje - jęknęła.

- Dobra kawa, ale niewarta ceny, jaką za

nią zapłaciłem. – Podniósł rękę, z której obficie spływała krew. – Do końca życia mam zamiar wspinać się wyłącznie na swój fotel.

– Medyk będzie w następnym rzucie. Zajmie się twoją ręką. – Kris pokazała bandaż na swojej. – Drut kolczasty zmienia nieco kształt linii życia.

Tom w milczeniu popijał wzmocnianą kawę. Dziewczyna także wzięła kubek, pozwalając ciepłu rozlać się po organizmie.

Po kilku minutach, a może po roku – czas wydawał się wyjątkowo elastyczny tej nocy – dołączył do nich pułkownik. Kris i Tommy zrobili mu miejsce. Dwaj cywile siedli na przednich siedzeniach. Kierowca uruchomił silnik i wrzucił bieg. Wycieraczki zmagają się z deszczem. Może z przednich siedzeń było coś widać, ale pasażerowie z tyłu widzieli tylko strugi wody.

– Czy mi się wydaje, czy widzę w pani oczach strach, poruczniku Longknife?

Kris oparła się wygodniej, koncentrując się na kawie. Pułkownik nie może pomyśleć, że po wszystkim, co dziś przeszła, nagle przestraszy się przejażdżki w terenie. Nawet jeśli kierowca gna przy zerowej widoczności.

– Za nami jadą gorsze przypadki i medyk, więc nie przejmujcie się za bardzo – zachęcił dowódca ekipę na przednich fotelach.

- W porządku, szefie. Dowieziemy was szybko, może nawet żywych. Bez dodatkowej opłaty.

- Cywile - mruknął oficer - prawie tak durni jak niektórzy podporucznicy. Wyobrażałaś sobie, że co robisz, Longknife?

Kris spodziewała się tego pytania.

- Panie pułkowniku, Ranczo Andersona zgłosiło problemy medyczne, które zagrażały zdrowiu publicznemu na całej planecie. Dokonawszy samodzielnej oceny sytuacji i kalkulacji ryzyka, poprowadziłam ekspedycję ratunkową. Nasze wysiłki napotkały na problemy natury technicznej, spowodowane czymś, co przy obecnym stanie wiedzy mogę ocenić jako błąd konstrukcyjny w łożdach z ciekłego metalu. Byliśmy w trakcie procedury ewakuacji cywilnych ofiar, gdy pan przybył.

W złożonym przez Kris meldunku każde słowo było prawdziwe, choć odjęła nieco kolorytu.

Hancock tylko potrząsnął głową.

- I nie miałaś czasu zadzwonić do mnie, żeby skonfrontować swoją ocenę ze zdaniem przełożonego?

- Panie pułkowniku, był pan zajęty konwojem. Do Rancza Andersonów nie prowadzą żadne drogi. Łódź była jedynym rozwiązaniem - odpowiedziała Kris, doskonale zdając sobie sprawę z

tęgo, że ciężarówka, którą obecnie podróżowała, jest namacalnym zaprzeczeniem jej teorii. – Dopóki łódź z płynnego metalu nie stała się po prostu płynna, sytuacja wcale nie wyglądała tak źle. Łódź uformowała się zgodnie z planem. Nawet gdy naprawiałam śrubę połamaną na belce. Panie pułkowniku, nie mieliśmy innego wyjścia.

Gdy Kris próbowała wyjaśnić motywy swojego postępowania, twarz przełożonego pozostała nieruchomą maską.

– Aktywowałam system modyfikacji łodzi dwa razy.

– Tak, ale nie wiedziałam, że to stanowi problem.

– Gdybyś dotknęła panelu kontrolnego podczas drogi powrotnej, ty i całe towarzystwo znaleźlibyście się w wodzie.

– Tak – przyznała łamiącym się głosem.

– Ja przekonałem się, że cały ten system to kupa gówna, używając go jako mostu. Zawalił się, gdy nikogo na nim nie było. Już pierwszego dnia wiedziałem, że mamy problem, nie zostało przy tym narażone niczyje życie. Niczyje prócz twojego, ale ty nie miałaś innego wyjścia. Poruczniku Lien, czy nie tak?

Dziewczyna odczuła ulgę, że uwaga pułkownika skupiła się na kim innym. Z drugiej strony męczyło ją po czucie winy. Tom nie zrobił nic, o

co ona go nie poprosiła. To wojsko. To ona wydała polecenia. Ona była przełożonym i ona ponosi konsekwencje.

- Tak, panie pułkowniku - odpowiedział Tommy.

- Czy ty także nie miałeś wyjścia?

- Nie, miałem wybór.

Pułkownik już otwierał usta, ale nic nie powiedział. Przez moment patrzył na Toma.

- Czemu tak mówisz?

- Zawsze mamy wybór, przynajmniej tak mówi moja babcia. Nieważne, jak jest źle, zawsze jest jakiś wybór.

- A jakie opcje, których najwyraźniej nie zauważyła porucznik Longknife, miałeś dzisiaj?

Sarkazm w jego słowach był aż nadto odczuwalny.

- Mogliśmy do pana zadzwonić. Zapytać o radę. Przynajmniej poinformować, co robimy. Nie pomyślałem o przyjechaniu tu na kołach, tak jak pan to zrobił, a może gdybyśmy przegryźli się przez ten problem, wpadlibyśmy na to. Ale nie dysponowaliśmy dźwigami do załadunku i rozładunku mostów. Nie jestem pewien, czy mogliśmy to zrobić, panie pułkowniku.

- Ale wtedy o tym nie myślałeś?

- Nie.

- Czemu?

- Kris powiedziała, żeby wziąć łódź, i posłuchałem jej.

- Wykonałeś polecenie bez zadawania pytań?

- Tak, panie pułkowniku.

Kris zdawała sobie sprawę, że to nie była do końca prawda. Tom czepiał się, pytał, narzekał, ale ona go ignorowała. Jak zawsze.

- Poszedłbyś za nią do piekła.

- Tak, panie pułkowniku.

- Albo na klif.

- Albo na klif. - Tom uśmiechnął się półgębkiem.

- Słucha pani tego, poruczniku?

Cała uwaga pułkownika ponownie skupiona była na Kris.

- Tak, panie pułkowniku.

- A słyszy pani?

Kris zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

- Chyba tak.

- Jesteś przywódcą. Prawdopodobnie najlepszym, jakiego widziałem od długiego czasu. Wypełniłaś próżnię, której pozwoleń powstać. I za to ja ponoszę dużą część odpowiedzialności. Jednak, młoda damo, nie wolno ci lekceważyć brzemienia przywództwa, które idzie za tobą. Dowodzisz od momentu, kiedy postawiłaś stopę na tej planecie. Ludzie, którzy byli zgorzkniali, zagu-

bieni, nagle odnaleźli jakiś pewnik, wiarę w ciebie. I tak właśnie być powinno. Ale, do jasnej cholery, trochę przesadzasz. Jesteś podporucznikiem marynarki. To ma znaczenie. Ale nie aż tak wielkie, jak próbuje pani temu nadać, poruczniku Longknife.

Kris starała się nadażyć za tokiem myślenia pułkownika, ale zgubiła się gdzieś po drodze.

- Nie rozumiem, panie pułkowniku.

- Jesteś Longknife. Nie masz wyboru. To właśnie Ray Longknife powiedział, gdy zabił prezydenta Urma. „Nie było alternatywy”. To samo powiedział twój pradziadek Tordon, gdy poprowadził batalion na Czarną Górę i wykurzył stamtąd dywizję. Tak jak Tom nauczył się od babci, że zawsze mamy jakiś wybór, tak ty, siedząc na kolanach dziadków, dowiedziałaś się, że nie ma innego wyjścia.

- To nieprawda, panie pułkowniku. Na palcach jednej ręki mogę zliczyć dni, które spędziłam z dziadkiem Rayem. A dziadka „Kłopotą” matka nie cierpi najbardziej we wszechświecie. Nie był u nas w domu, odkąd skończyłam dwanaście lat. - „W tak zwanym międzyczasie uratował mi życie”. - Głównym powodem, dla którego wstąpiłam do marynarki, była chęć ucieczki od bycia jedną z tych Longknife’ów.

Uważała, że przełożony nie jest w stosun-

ku do niej fair. Nic o niej nie wiedział. I prawdopodobnie nic go to nie obchodziło. Kris odstawiła swój kubek i zaplotła ręce, przygotowując się do ignorowania tego, co miał do powiedzenia Hancock od kontroli-tłumu-za-pomocą-karabinów-maszynowych.

Ale pułkownik nic nie powiedział.

Oparł się wygodniej i przyglądał jej się przez chwilę.

Na zewnątrz cały czas lał deszcz. Krople waliły w dach kabiny jak w bęben. Rozmowy kierowcy i jego pomocnika ograniczały się do: „Tam jest duży kamień”, „Uważaj na tę dziurę” czy „To błoto wygląda na zbyt głębokie, pojedź w prawo”.

Kris była zmęczona... Wykończona przeżyciami dnia i zdołowana krytyką pułkownika. Chciała, by Hancock po prostu dokończył to, co ma do powiedzenia, i pozwolił jej przespać się trochę.

Wtem pułkownik uśmiechnął się.

- Rodzina to dziwna rzecz. Pamiętam wizytę u mojego staruszka, gdy mój syn miał siedem lat. Na palcach jednej ręki mogę zliczyć dni, jakie chłopak spędził z dziadkiem. Ale przez cały weekend musiałem tłumić śmiech. Widzicie, mój syn ma te same gesty, co i mój ojciec. U siedmiolatka wyglądały one uroczo. To było to samo zaczesywanie palcami włosów do tyłu, a potem uszczyknięcie się



w ucho. Synek w ten sam sposób nawet mnie łąskotał. Śmieszne było to, że dziadek i wnuczek prawie się nie widywali wcześniej. Skąd więc te same gesty? – rzekł pułkownik, prawą ręką przeczesując włosy, a następnie szczypiąc się lekko w ucho.

Kris prawie się roześmiała.

– Syn podpatrzył te manieryzmy u pana – powiedział Tom.

– Oczywiście, tyle że ja nie żyję przed lustrem i nawet nie zdawałem sobie sprawy, że sam je posiadam. Ale syn je zauważył. Przypuszczam, że ja podpatrzyłem je u swojego ojca.

– Ale nieświadomie.

– To zawsze jest nieświadome.

Kris rozplotła ramiona, nerwowo przebiegła palcami po włosach i zaczęła głośno myśleć.

– Pamiętam, jak ojciec po śmierci Eddygo mówił w parlamencie, że nie ma innego wyjścia jak utrzymanie kary śmierci aż do momentu, w którym mordercy zawisną. Nie jestem w stanie policzyć sytuacji, kiedy słyszałam go mówiącego: „Nie ma innej opcji”. Takimi słowami zegnał mnie, gdy wychodziłam na mecz: „Wygraj. Nie ma innej możliwości”.

– Nie mogłaś przegrać? – spytał Tom z niedowierzaniem.

– Z punktu widzenia ojca nie – zapewniła

go dziewczyna. Następnie zwróciła się do pułkownika: – Ale gdy pierwszy raz zobaczyłam bazę, wyglądała okropnie. Wiedziałam, że muszę coś z tym zrobić. Wiedziałam, że trze ba posprzątać stołówkę, poprawić posiłki. Alternatywą było babranie się w błocie.

– Tak. I dobrze zrobiłaś. I dzięki Bogu. Dałaś mi drugą szansę. Sprawiałaś, że moja placówka zaczęła żyć, zamiast dogorywać. Nakarmiłaś wiele osób. Wtedy dokonałaś dobrego wyboru.

Pułkownik przytrzymał Kris wzrokiem. Było w nim żądanie, ale nie wrogość.

– Tym razem wybrałam źle.

– Tak.

– Skąd mam wiedzieć, kiedy mam rację, a kiedy wspinam się na klif?

Pułkownik oparł się w siedzeniu i pociągnął nosem.

– Każdy podporucznik chce znać odpowiedź na to pytanie.

– I...?

– Przy odrobinie szczęścia będziesz miała całkiem dobre wyczucie, zanim zostaniesz pełnym porucznikiem.

I nie waź się nie wiedzieć tego doskonale, w momencie gdy będą ci przypinać orzełki do kołnierza. [Srebrny orzeł to w armii USA oznaczenie stopnia pułkownika (przyp. tłum.).]

- Panie pułkowniku, ale to nie jest odpowiedź na pytanie.

- Nie, tę odpowiedź musisz znaleźć sama. A najlepiej odpowiedzi. Jest wiele rzeczy, o których myślisz, że wiesz, a tymczasem tak nie jest.

- Panie pułkowniku? - To ostatnie zdanie całkowicie zamieszało w głowie Kris.

- Kto zabił prezydenta Urma? - spytał miękko Hancock.

Dziewczyna zamrugła i powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy:

- Mój pradziadek Ray.

- Racja, to było we wszystkich gazetach. Żadna z ksiązek do historii temu nie przeczy. Jak wiele czytałaś o operacji?

- Wydaje mi się, że wszystkie książki. Miejska biblioteka miała jeszcze wiele opracowań broszurowych na temat tej wojny. Przeszłam przez nie wszystkie, gdy miałam trzynaście lat. - „I trzeźwiałam”.

- Ale nigdy nie czytałaś tajnego raportu sporządzonego przez wywiad, prawda?

- Nie przypuszczam, żeby był w bibliotece, czyli nie czytałam.

- Teraz masz już wgląd do informacji niejawnych. Gdy będziesz w jakiejś bezpiecznej stacji, zamów je sobie.

Kris nie chciała dowiedzieć się kiedyś,

chciała znać odpowiedź teraz. Już miała nakazać Nelly rozpoczęcie poszukiwań, gdy do rozmowy włączył się Tommy.

- Pułkowniku, co tam jest napisane?

Hancock chrząknął, nie spodziewając się, że pytanie zada chłopak.

- Mówi on - ściszył głos tak, żeby nie słyszeli go cywile - że pułkownik Longknife i jego żona Rita byli jednymi z najodważniejszych ludzi we wszechświecie. Przelecieli przez połowę przestrzeni kosmicznej należącej do ludzi z bombą, a następnie wnieśli ją do budynku posiadającego najlepszą, jak na owe czasy, ochronę. Zrobili to cicho i dyskretnie, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Ani u załogi statku, którym lecieli, ani u strażników, obok których przechodzili. To się nazywa mieć jaja!

- Tak więc oni zabili prezydenta - stwierdziła Kris.

- Na to wygląda. Ale jest kilka pytań, na które biedni analitycy nie potrafili odpowiedzieć. Jako gość, pułkownik został usadzony tak daleko od Urma, jak tylko się dało. A raport z autopsji twierdzi, że bomba wybuchła mu prosto w twarz. Odłamki przeszły przez całą czaszkę.

- Jak spowodować, żeby teczka znalazła się tuż przed czyjąś twarzą? - spytał Tom.

- Bardzo dobre pytanie - pochwalił go puł-

kownik. – Ale jeszcze lepsze brzmi: „Jak podsunąć komuś teczkę pod nos, spowodować wybuch i samemu ujść z życiem, żeby o tym opowiedzieć?”.

– Ale dziadek udzielił setek wywiadów na temat tego zabójstwa. Twierdzi pan, że kłamał tym wszystkim reporterom?

– Wiele z tych wywiadów czytałem, młoda damo, i założę się o każde pieniądze, że ani jedno słowo nie było kłamstwem. Jeśli ktoś nie był na ostrzu włóczni, nie wie, jak tam jest. Reporterzy zadają pytania, które według opinii edytorów za-dałby przeciętny Joe na ulicy. Pytania te tak mają się do faktów jak stwierdzenie, że ta planeta ginie z powodu suszy. Nie. Reporterzy mogą znać się na życiu towarzyskim, czasem czują coś w polityce. Ale zrozumieć to, co robi żołnierz, marynarz? Równie dobrze możesz kazać świni śpiewać arie operowe.

Nagle pułkownik całkowicie skoncentrował się na Kris.

– Ale ty wiesz, jak to jest. Dwa czy trzy razy byłeś już na czubku włóczni. I jeśli zamierzasz nadal mieć takie wymagania w stosunku do biednego Toma czy tych ludzi z warsztatu, lepiej zacznij rozumieć, skąd wzięło się powiedzenie o „tych przeklętych Longknifeach”. A teraz prześpijcie się trochę. Dobrzy ludzie zajmują się naszymi sprawami. Czwarty Górski będzie tu jutro i będzie

im można przekazać mnóstwo spraw.

Pułkownik uśmiechnął się dziwnie.

- A może uda mi się namówić ich pułkownika na organizację Kolacji Powitalnej, zanim odeślę was z tej planety.

Kris nie podobał się wyraz twarzy przełożonego.

Było coś, co dotyczyło górali lub kolacji, co kryło tajemnicę. Kolacja to tylko posiłek...

- Którzy to dokładnie górale, panie pułkowniku?

- Czwarty Batalion LornaDo, Pułk Piechoty Górskiej. Myślę, że jest tam nadal sierżant major [Najstarszy stopniem podoficer w jednostce. Jest zastępcą dowódcy w sprawach dotyczących podoficerów, administracji. Pod względem szacunku i prestiżu to trzecia osoba w jednostce, po dowódcy i jego zastępcy (przyp. tłum.)] Rutherford. Jego ojciec był z Czwartym i tym plutonem marines, którymi twój dziadek „Kłopot” dowodził w Górach Czarnych. Batalion wzmocniony plutonem przeciw dywizji na umocnionych pozycjach. Nie jakiejś tam dywizji, tylko takiej, w której oficerami byli zbrodniarze wojenni, a sierżanci i szeregowi wiedzieli, że pójdą do więzienia, jeśli nie uda im się obalić nowo wybranego rządu w Savannah. Znasz tę historię.

Kris potwierdziła. Znała historię. Przynaj-

mniej tę, o której mówią w książkach.

- Tak więc ojciec sierżanta majora Rutherforda był jednym z niewielu górali, którzy zeszli z gór o własnych siłach. To dało mu bardzo interesujący punkt widzenia na to, w jaki sposób batalion uzyskał swoją wojenną sławę.

Z tymi słowy pułkownik odwrócił się do okna i nie zważając na wyboje, usnął.

Kris chrapała niecałe dziesięć sekund później.

## ROZDZIAŁ 17

Kris nie usłyszała huku lądowników przekraczających barierę dźwięku. Zagłuszyło go wściekle staccato kropel deszczu w dach autobusu. Dziewczyna wpatrywała się w koniec pasa startowego. Prędzej czy później pojazdy wyłonią się z mgły. Specjaliści od pogody zapowiedzieli na dziś ciepło i opady. Co do opadów, prognoza sprawdziła się jak zwykle w stu procentach, gorzej było z temperaturą. Kris musiała założyć ocieplacz pod mundur.

Pomimo rad oficera na Wardhaven, który wprowadzał ją w szczegóły operacji, zabrała dwa komplety mundurów polowych i jeden mundur wyjściowy. Po powrocie z misji na rzece pułkownik Hancock nakazał jej nosić „wyjściówkę” przez całą resztę pobytu na Olimpii.

- Być może unikniesz kłopotów, jeśli nie będziesz ubrana zbyt komfortowo.

Być może miał rację, w ciągu ostatnich trzydziestu godzin nie zrobiła nic, czego nie zaprobowałyby dowódca.

Oczywiście on sam nie opuszczał bazy, a jej zakazał wychodzić poza granice terenu wojkowego. No może nie tyle zakazał, co „uziemił”. Kiedy rodzice „uziemiali” ją w domu, nie znaczyło to, że ma nie chodzić na treningi czy balet. Ogra-



niczenia dotyczyły tylko aktywności, którą ona sama chciała podjąć, a nie tej, której oczekiwali rodzice. Dokładnie tak samo było z pułkownikiem. Mogła na przykład nadal zajmować się magazynem. Właściwie to dowódca spodziewał się, że przed przyjazdem górali magazyn będzie w idealnym stanie. Tommy nadal kierował warsztatem. On także odczuwał skutki ograniczenia. Wyglądało to tak, że żadne z nich nie mogło wychylić nosa z bazy lub magazynów ani zboczyć choćby o krok z najkrótszej łączącej je drogi. A pułkownik sprawdzał to osobiście. Pięć, sześć razy dziennie. Tak jakby nie ufał Kris ani odrobinę bardziej niż rodzice, gdy była szesnastolatką. Tyle że dowódca miał zdecydowanie lepsze powody do tego braku zaufania. Towarzystwo wynajętym autobusom było pierwszą okazją do wydłużenia smyczy, na której znajdowała się obecnie Kris. Dziewczyna spytała Toma, czy chce się spotkać z góralami, ale on nie kwapił się zbyt do tego. Spytała także pułkownika, czy chce jechać.

- Kto jedzie jako ochrona? - zapytał, nie podnosząc wzroku znad papierów.

- Ochroniarze wynajęci przez fundację. - Tego dnia ponownie praktycznie cały personel wojskowy uczestniczył w konwojach z żywnością.

- Masz zamiar rozpocząć jakąś wojnę lub zrobić cokolwiek, co powiększy ten stos papierów

na moim biurku?

- Nie, panie pułkowniku, zdecydowanie nie. Dziś zachowuję się jak regulaminowy podporucznik, a nie jak podporucznik Longknife. - Uśmiechnęła się.

- Spadaj. - Odpowiedział uśmiechem. - Ale rzucaj po drodze okruszki, żebym mógł trafić po twoich śladach. Masz wrócić na kolację.

- Tak jest. - Zasalutowała.

Tym razem odpowiedział rasowym oddaniem honorów.

Oba lądowniki przedarły się przez chmury w tym samym czasie. Kris potrząsnęła głową. Piloci byli ryzykantami. Wyraźnie zamierzali posadzić oba pojazdy jednocześnie. Przy kolekcji dziur w pasie startowym Olimpii było to samobójstwo.

Najwidoczniej pilot drugiego lądownika przyjrzał się stanowi pasa i doszedł do tego samego wniosku. Dodał gazu i wszedł na krąg. Pierwszy pojazd wylądował po długim podejściu, omijając najgorsze dziury. Kołował ku pierwszemu stanowisku, gdy drugi dotknął pasa. Unikając przemoczenia, Kris oglądała całe manewry z wnętrza autobusu. Gdy tylko oba lądowniki znalazły się na stanowiskach parkingowych, w kadłubach otworzyły się włazy.

Wyszło z nich dwóch mężczyzn w kiltach i skórzanych kapeluszach. Następnie rozległ się

dziwny hałas.

- Co te kobiety robią tym biednym kotom?

- spytał Tommy przez net.

- Uważaj, kogo nazywasz kobietą - odpowiedział Hancock, który najwyraźniej także monitorował sieć.

- A ten instrument, na który narzekasz, to dudy - dodała Kris.

- Myślałem, że Santamarianie to Celtowie - powiedział pułkownik. - Nie mów mi, że nie wiesz, czym są dudy.

- Nie przetrwały lat głodu - odpowiedział Tom najbardziej zaciętym tonem, jaki kiedykolwiek słyszała u niego Kris. - A my dziękujemy codziennie Jezusowi, Marii i świętemu Józefowi za tę drobną łaskę.

- A ja myślałem, że odsyłam cię z tej planety, żeby uchronić cię przed zgubnym wpływem pewnej Longknife. Poruczniku Lien, obawiam się, że nie przeżyje pan tej nocy.

- Mam się bać facetów w spódnicach?

- Piekielne Damy - powtórzyła historyczną nazwę Kris. - A teraz, Tommy, mój przyjacielu, możesz albo zacząć spacer do bazy - przerwała dla podkreślenia efektu ulewnego deszczu - albo ruszyć swoje dwa autobusy do lądownika numer dwa.

Kris dała znać swojemu kierowcy, który

wrzucił bieg.

- Zabieram trzy autobusy do jedyńki. Proszę się nie bać, pułkowniku, przeprowadzę ten manewr bardzo gładko.

- Czemu jestem dziwnie niespokojny, jeśli chodzi o znaczenie słowa „gładko”? - spytał pułkownik. - Hancock, bez odbioru!

Dziewczyna zignorowała ostatnią uwagę. Jej kierowca poprowadził dwa pozostałe autobusy do miejsca parkingowego za lądownikiem numer jeden.

Z obu pojazdów kosmicznych wybiegali żołnierze z bronią na ramieniu. Ich marsz, odbywający się w rytm melodii granej przez dudziarzy, był idealnie synchroniczny. Kilty mieli w większości czerwone z dodatkiem ziele ni, czerni i bieli, jednak w deszczu szybko wszystkie stały się ciemnobrązowe. Zarówno dla sierżantów, jak i dla szeregowych było wszystko jedno: upał, mrok czy ulewa. Szli dumni i wyprostowani. Byli na paradzie i do diabła z deszczem i wiatrem.

Oficerowie wysiedli przez przedni wjazd pierwszego lądownika. Oni także byli ubrani w paradne mundury i nie zważali na deszcz. Kris rzuciła swoje poncho i otworzyła drzwi. Deszcz natychmiast przemoczył jej mundur, gdy maszerowała do szybko tworzącej się sekcji dowodzenia. Wysoka, ciemnoskóra kobieta w kilcie wyszła jej

naprzeciw. Kris zasalutowała.

- Jestem podporucznik Longknife, wasz oficer łącznikowy w bazie Port Athens.

- Major Massingo, szef Sztabu Batalionu - odpowiedziała ta druga, także salutując.

Następnie Kris została przedstawiona pułkownikowi Halversonowi, dowódcy batalionu. Jak wynikało z danych zebranych przez Nelly, Halverson był o pół roku młodszy służbą od Hancocka, nie powinno więc być żadnych kłopotów ze starszeństwem. Dowódca wyglądał na jowialnego i zadowolonego z faktu, że się tu znalazł. Kris podejrzewała, że niewiele jest miejsc, w których nie byłby szczęśliwy.

- Pani major, proszę załadować ludzi do autokarów, które ta dobra porucznik była uprzejma nam dostarczyć. Kilka tygodni temu, gdy dostałem rozkaz przegrupowania się tutaj, obawiałem się, że możemy zostać zmuszeni do przemarszu do bazy z całym wyposażeniem.

Kris wprowadzała pułkownika w sytuację na planecie, jednocześnie obserwując, jak major przekazuje polecenie dowódcy, sierżantowi majorowi, ten zaś wykrzykuje je do szefów kompanii. Obserwowanie sprawnie działającego łańcucha dowodzenia miało w sobie coś magicznego. Musiał on egzystować już w czasach, gdy walczono na miecze.

- Jak rozumiem, oczekujecie osobnej stołówki dla oficerów - powiedziała Kris, gdy żołnierze ładowali się do autobusów. Hancock już wcześniej uprzedził dziewczynę, że nieformalne podejście do posiłków, które obowiązywało dotychczas, jest nie do przyjęcia dla górali.

- Oczywiście, pani porucznik - potwierdził pułkownik. - Mieszanie oficerów z innymi żołnierzami po prostu nie powinno mieć miejsca.

- Znalazłam odpowiednie miejsce dwie ulice od bazy - zapewniła go Kris.

- Świetnie, zbliżamy się do rocznicy jednej z najważniejszych dla honoru naszej jednostki bitew, bitwy po Savannah w Górach Czarnych. Jednostką dowodził wówczas pułkownik Tordon.

- Mam zaszczyt być prawnuczką pułkownika Tordona.

- Będziemy zaszczyceni, mogąc gościć panią na naszej Kolacji Powitalnej, pani porucznik.

Kris potwierdziła skinieniem głowy, a potem zdecydowała, że wyrzuci z siebie to wszystko za jednym podejściem.

- Generał Longknife również jest jednym z moich pradziadków.

- Wielki Boże, madame! Ray i „Kłopot” w jednym drzewie genealogicznym!

- To duży honor - zapewniła.

- O ile nie przekleństwo - chrząknął.

Dziewczyna zaś zaczęła się zastanawiać, czy obaj pułkownicy nie dyskutowali już ze sobą na jej temat. Gdy tylko dowiozła górali do bazy i zaprowadziła Halversona do biura Hancocka, oficerowie bardzo szybko dali jej do zrozumienia, że mają do omówienia stare, ogromnie ważne tematy, nieodpowiednie dla delikatnych uszu podporucznika. Dziewczyna wróciła więc do swojego magazynu.

Przy bramie dopadli ją Zeb i Sam.

- Longknife, nie myślałaś o zatrudnieniu kilku brygadzystów więcej? Zaczyna mi brakować nocy.

- Sam, chcesz dla mnie pracować?

- Trochę trudno wypasać bydło na zalanej farmie. Miejscowi znaleźli dla moich ludzi miejsce do zamieszkania, ale trzeba pracować. Nawet jeśli jedzenie jest darmowe.

- Pensja nie jest oszałamiająca - zaznaczyła Kris. - Dolar Wardhaven na miesiąc.

- Lepiej niż nic. A po tym cudzie i tak jesteśmy twoimi dłużnikami.

- To nie był żaden cud - odpowiedziała. - Wszyscy równie mocno staraliśmy się wejść na ten klif.

- Nie wspinaczkę miałem na myśli. Cudem było to, że w ogóle dowiedziałaś się, że mamy kłopoty. Radio, którego używaliśmy, przeznaczone

było do komunikacji na krótkie dystanse. Powiedzmy, dwadzieścia pięć, trzydzieści kilometrów. Kiedyś mieliśmy transmiter na szczycie kanionu, ale został zniszczony pół roku temu.

- A satelity? - spytała Kris. Pan premier zawsze mówił, że cuda to sposób, w jaki leniwi ludzie nazywają całkowicie wytłumaczalne za pomocą odrobiny logiki fakty.

- Za nisko nad horyzontem. Dopóki mieliśmy transmiter, nie było problemu. Odkąd przepadł, my też uważaliśmy się za zgubionych. Wyobrażasz sobie, jak byliśmy zaskoczeni, że usłyszałaś nasze wołanie o pomoc?

Nie aż tak zaskoczeni, jak powoli zaczynała stawać się Kris. Zatrudniła Sama i jednego z jego brygadzystów do pracy z Zebem przy nadzorze magazynu. Kilku innych zatrudniła jako pracowników fizycznych. Pozostali dołączyli do ekipy budowlanej, która miała współpracować z plutonem inżynieryjnym górali przy naprawie dróg, mostów i pasa startowego. Ester i Zeb widzieli tu ogromne możliwości dla Fundacji imienia Ruth Edris. Przed opuszczeniem Olimpii należało dokończyć wszystkie formalności związane z jej funkcjonowaniem.

Kris usiadła przy swoim nowym stole w nowym biurze, położonym po drugiej stronie budynku w stosunku do spalonego. Uświadomiła sobie,



że ma do przemyślenia wiele spraw. Spens ponownie pracował, sprawdzając finanse i pilnując ich legalności. Mieli jeszcze dużo roboty.

Czemu więc jej umysł koncentrował się wciąż na sygnale radiowym, który dotarł dalej, niż powinien? Bez wątpienia warunki atmosferyczne na tej planecie mocno odbiegały od normalności. Cóż z tego, że nikomu nie udało się dotąd nadać bezpośredniej wiadomości? Prawdopodobnie nie był wystarczająco zdesperowany. „No pewnie. Cud zawdzięczamy pyłowi wulkanicznemu. To takie proste. Fale odbiły się od warstwy pyłu znajdującej się w atmosferze. A jednak”.

- Nelly, kiedy statek Peterwalda wszedł na orbitę? - Trzeba wyeliminować pierwsze pytanie, które zadałaby cioteczka Tru.

- Jacht „Barbarossa” wszedł na orbitę w czwartek o godzinie jedenastej trzydzieści siedem czasu lokalnego.

- Kiedy przechwyciłaś wiadomość z Rancza Andersonów?

- Czwartek, godzina dziewięta dwadzieścia cztery czasu lokalnego.

Okay, a więc ciocia Tru musiałaby zadać drugie pytanie.

- O której po raz pierwszy aktywowałam płynny metal w łodziach?

- Czwartek, dziesiąta dwanaście czasu lo-

kalnego.

Kris uszczyptała się w dolną wargę. Tru zadałaby jeszcze jedno pytanie.

- Nelly, czy „Barbarossa” znajdował się w linii widoczności z kanionu?

- Jacht „Barbarossa” poruszał się po nie-spotykaniu eliptycznej orbicie, która dawała mu sto procent prawdopodobieństwa znajdowania się w linii widoczności z kanionu Mały Willie na trzech orbitach dziennych i ponad pięćdziesiąt procent na dodatkowych czterech orbitach.

No dobra, koniec zabawy w kotka i myszkę z własnym komputerem.

- Nelly, czy „Barbarossa” miał linię widoczności z kanionem, w chwili gdy odbierałam sygnał?

- Tak.

A więc to tak. „Cudotwórcą” mógł być ktoś na pokładzie statku Peterwalda, może Hank, a może nie, kto wysłał ją w górę zabójczej rzeki w potencjalnie dziurawej łodzi.

Ale to, że Hank miał możliwość zabicia jej, wcale nie znaczy, że chciał to zrobić. Nie mogła być aż tak zła na pierwszej randce. Kris próbowała zaśmiać się z własnego żartu, ale jej się nie udało. To nie miało sensu. Czemu Hank, jego ojciec lub dziadek mieliby pragnąć śmierci Kristine Anne Longknife?

Jedno było pewne. Ani jej ojciec, ani matka nie zadawali sobie tego pytania.

- Nelly, poszukaj w sieci podobnych przypadków błędów w działaniu łodzi z płynnego metalu.

- Pozwoliłam sobie już dokonać takiego sprawdzenia. W pięćdziesięciu trzech tysiącach czterystu dwunastu wyprodukowanych łodziach nie było takiego przypadku. Analogicznie, nie zgłoszono podobnych problemów ze strony statków kosmicznych, ani w fazie produkcji, ani w trakcie służby.

- Dzięki, Nelly, i... dziękuję za myślenie wyprzedzające - powiedziała Kris do swojej Sztucznej Inteligencji. Ostatnim razem Tru musiała dołożyć naprawdę mocne aktualizacje.

- Proszę bardzo. Postaram się w przyszłości także dokonywać podobnych sprawdzeń.

Kris na moment spojrzała w sufit. Raz to przypadek. Dwa razy zbieg okoliczności... może. Trzy razy to już działanie przeciwnika.

Pytanie tylko, kim był przeciwnik? Dziewczyna naprawdę nie chciała wierzyć, że taki miły młody człowiek jak Hank Peterwald nie miał jeszcze listy wrogów do zlikwidowania. Oczywiście, że uważała siebie za miłą młodą kobietę, mimo to z całą pewnością znajdowała się na czyjejs liście wrogów.

- Kris - powiedziała Nelly niepewnie.

- Tak.

- Czy wiesz, że na konto fundacji zostało przelane pięćset tysięcy dolarów Wardhaven?

- Nie, sprawy finansowe pozostawiałam tobie. Kto dokonał wpłaty?

- Jest anonimowa, ale śledziłam przepływ pieniędzy. Najprawdopodobniej ofiarodawcą jest Hank Peterwald.

- Przed czy po wejściu na orbitę?

- Nie jestem pewna, ale raczej po.

Kris zaczęła to rozważać. Hank nie wyglądał na człowieka przelewającego pieniądze na konto martwej pani. To bardzo mało prawdopodobne. Ta planeta była obecnie łakomym finansowo kąskiem. Zgodnie z raportami finansowymi Nelly połowę kosztów założenia kolonii poniosło Wardhaven, druga połowa została rozdzielona pomiędzy inne planety. W chwili obecnej ktoś kradł karty identyfikacyjne i wyprzedawał grunty. To Kris mogła sprawdzić później. Ale jeśli Hank wiedziałby o działalności ojca, nie wpłacałby pieniędzy na fundację, której cele były całkowicie sprzeczne z ich interesami.

Kris była bardzo zdziwiona tym, jaką ulgę poczuła, gdy doszła do wniosku, że to nie Hank pragnie ją zabić. Ale jeśli to tata Peterwald chce dostępu do punktów przerzutowych w pobliżu

Olimpii, jak daleko jest w stanie się posunąć?

Co ona sama może zrobić, zanim się wycofa?

Deszcz uderzał w szyby jej nowego biura.

Strumienie wody wypłukiwały z gruntu drobinki, pozostawiając gąbczastą wulkaniczną strukturę.

Co jeszcze tam było?

- Nelly, czy ktokolwiek oglądał wulkan, który spowodował to wszystko?

- Nie.

Oczywiście, po co jechać do wulkanu, skoro on przyjdzie do ciebie.

- Czy ktoś robił analizy pyłu wulkanicznego?

- Nawet jeśli, to wyniki badań nie zostały podane do wiadomości publicznej.

Dziewczyna zobaczyła pustą puszkę przy ekspresie do kawy. Może była szalona, ale czasy zdecydowanie sprzyjały paranoikom. Wyszła na zewnątrz z puszką w ręce i zaczęła przyglądać się strumieniom deszczu. Za jej budynkiem znajdował się kanał odpływowy. Przerdzewiałe rynny próbowały odprowadzić deszczówkę, zanim pod jej ciężarem zawali się dach magazynu.

W chwilę potem Zeb zobaczył ją grzebiącą w mulistych wodach kanału.

- Mogę w czymś pomóc?

- Ile pyłów wulkanicznych było w początkowych deszczach?

- Całkiem dużo.

- Czy jest możliwe, że część z tego osadziła się gdzieś w tym kanale?

- Wcale nie byłbym tym zdziwiony. Szuka pani pamiątki?

- Chciałabym coś mieć. Można to ładnie oprawić w ceramikę. No wiesz...

Zeb popatrzył na nią przez chwilę, a potem przeniósł wzrok na młodzieńca nie starszego niż dwanaście lat.

- Pani tutaj chciałaby trochę pyłu z naszego wulkanu. Nie masz nic przeciwko pobrudzeniu się trochę?

Chłopak wyglądał, jakby ktoś zaproponował mu bilet do raję. Nie tracąc czasu, wskoczył po kolana do kanału i zaczął wygrzebywać puszkę osad z jego dna.

- Czy to się pani podoba? - spytał, prezentując rezultaty swojej pracy z dumą zalotnika ofiarującego swojej wybrance diamentowy pierścioneek.

- Właśnie o to chodziło - odpowiedziała Kris, oglądając zawartość puszek. Następnie wyciągnęła dolara z portmonetki. - Dziękuję, to dla ciebie.

- Mama nie pozwoliłaby mi wziąć - odpo-

wiedział chłopiec, unosząc głowę i nie dotykając monety. – Pani nas żywi. Sprzałaby mnie, gdybym wziął.

Longknife wyciągnęła drugą monetę.

– To dla twojej mamy za wychowanie dobrych dzieciaków. Weź obie.

Chłopiec nie wyglądał na przekonanego, ale skinienie głowy Zeba załatwiło sprawę. Dzieciak chwycił obie monety i pobiegł w stronę bramy.

– Przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić.

– I dla humorzastej kobiety, która powoli staje się szalona, jak chyba każdy na tej pokrytej wodą planecie.

Kris spojrzała na puszkę po kawie w swojej dłoni, wydobyła z niej nieco błota i wróciła do biura.

– Zobaczymy, kto tu jest szalony.

\* \* \*

Dwa wieczory później Kris towarzyszyła pułkownikowi Hancockowi w messie Czwartego Batalionu Piechoty Górskiej Straży Planetarnej LornaDo.

Zaproszenie było zarówno wynikiem tego, co ona i Tom zrobili dla batalionu w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, jak i tego, kim była Kris. Dzięki pomocy przyjaciół, których dziew-

czyna miała wśród lokalnych rzemieślników, opuszczona restauracja wyglądała teraz jak klub oficerski w całym, tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Miękkie krzesła stały w grupkach wokół sali. Na ścianach wisiały zdjęcia byłych dowódców batalionu, oficerów i sportowców.

Jeden ze statków transportowych dostarczył pieczołowicie zapakowane obrazy olejne przedstawiające sceny batalistyczne z historii jednostki. Pomieszczenie było dobrze ogrzewane, wyłożone nowymi dywanami. Wokół unosił się jeszcze zapach świeżej farby. Kris nie mogła uwierzyć, że to ta sama nora, w której zaczęli. A także w to, że takie miejsce może istnieć w samym centrum bagna, w jakie zamieniła się Olimpia. Książki, które dziewczyna czytała w dzieciństwie, opowiadały, jak kawałek Anglii został przewieziony do Indii. Dziwiła się wtedy, jak to było możliwe. Wardhaven nie było Ziemią i było z tego dumne. A teraz była świadkiem, jak i dlaczego batalion przenosił kawałek LornaDo, a może także Anglii na Olimpię.

Nowa ściana z podwójnymi drzwiami oddzielała klub od części jadalnej i baru. Gdy pułkownik Halverson witał pułkownika Hancocka, u jego boku cały czas stał młody szeregowy w paradnym błękitnie i kilcie, gotowy do przyjmowania zamówień.



Komandor Owing, zastępca Hancocka, już siedział na wygodnym fotelu w rogu ze szklaneczką najlepszej whisky „Single Malt” produkowanej przez człowieka i dyskutował z oficerem medycznym batalionu. Porucznik Pearson zaproponowała kilku oficerom tabakę. Kris, nawet stojąc przy pułkowniku, słyszała jej głośne komentarze na temat niektórych oficerów. Coś musiało się stać ze słuchem Hancocka, gdyż wydawał się tego nie słyszeć. Pozostała dwójka podporuczników miała dziś służbę.

Pułkownik marines i jego partnerka z marynarki ewidentnie byli ostatnimi gośćmi. Biały mundur ze stójką Kris mógł być ewenementem na balu na Wardhaven, wśród sukni na krynolinie, tu po prostu była jedną z niewielu niepokazujących kolan.

Niemniej pułkownik Halverson uczynił wszystko, aby pułkownik marines w swej czerwieni i błękitnie oraz jego towarzysze w marynarskiej bieli czuli się u niego jak w domu.

- Czego się napijecie? - zapytał gospodarz, witając ich jowialnie. Następnie zwrócił się do obsługującego szeregowego: - Przekaż całej obsłudze, że pieniądze tych państwa nie mają żadnej wartości dziś wieczorem. Pradziadek tej pani był z batalionem w Górach Czarnych. Był marine, ale jak na kogoś, kto wstydzi się pokazać kolana,

piekielnie dobrym wojownikiem.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Jeśli ich szklanki będą puste, stanowiąc to będzie ujmę na naszym honorze.

- Tak jest. Czego pani się napije, pani porucznik?

Kris przez lata przyzwyczała się zamawiać drinki bezalkoholowe, ale dziś, wśród tych ludzi, byłoby to raczej nie na miejscu. Scotch pułkownika nie zaciągnął jej ponownie do butelki. Dziadek „Kłopot” mógł mieć rację. Może wcale nie była alkoholiczką.

- Szprycer z plasterkiem limonki, poproszę - powiedziała z uśmiechem.

Tom zamówił czystą irlandzką whisky, a pułkownik Hancock to samo, co pił jego kolega. Kelner wyszedł.

Nowy pułkownik zwrócił się do starego:

- Mówiłeś, że ma jaja do walki. Widzę, że przy barze też niczego jej nie brakuje. - Następnie dodał bezpośrednio do Kris: - A swoją drogą, młoda damo, nie będzie pani jedyną, która podąży dziś tą ścieżką. Jest tu kilka osób znających tę bestię. A teraz, panie pułkowniku, jeśli pani porucznik pozwoli, pokażę panu parę rzeczy.

Z tymi słowy dwaj oficerowie starsi zostawili Kris i Toma.

Dziewczyna stała około dwóch sekund, za-

nim podeszła do niej młoda kobieta w kilcie.

- Jestem kapitan Rutherford. Jak rozumiem, dzielimy to samo szczęście.

- Podporucznik Longknife, o jakie szczęście chodzi?

- Pani pradziadek i mój zeszedli z Gór Czarnych z oboma jajami - uśmiechnęła się kobieta. - W innym wypadku nie byłoby tu żadnej z nas. Jestem Emma.

- Kris - odpowiedziała podporucznik, ścisnąc wyciągniętą dłoń. - To jest Tom. Pochodzi z Santa Maria, ale proszę, nie wykorzystuj tego przeciw niemu.

- Ach, więc pewnie podobają ci się nasze dudy.

- Uwielbiam je. Przypominają mi rodzinne strony.

Kris o mało nie udusiła się pierwszym łykiem drinka.

- Nie może być aż tak mocny - powiedziała Emma.

- Dokładnie taki, jak zamówiłam - Kris upewniła pytającą i młodego żołnierza, który przyniósł drinka.

- Zawsze mamy wybór - przypomniał jej kumpel.

- Tchórz towarzyski - odpowiedziała.

- Po prostu politycznie przebiegły. Wyda-

wało mi się, że jako córka polityka okażesz więcej zrozumienia.

- Przeszkadzam w czymś? - spytała Emma.

- Ależ skąd. To tylko ciąg dalszy czegoś, co zaczęło się w SO, gdy ten typek zatrzymał się na środku „małego gaju”, żeby zawiązać but - odpowiedziała Kris, dając Tomowi kuksańca w żebra.

Emma przyglądała im się przez chwilę, a następnie wybuchnęła śmiechem.

- Pozwólcie, że przedstawię was pozostałym oficerom młodszym batalionu.

Kris usiłowała zapamiętać wszystkie nazwiska, ale udało jej się to tylko z tymi, którym towarzyszyła ksywa. Ogólnie młodszą część korpusu oficerskiego wydawała się zadowolona ze swojej pozycji i obecności nowej znajomej.

Sprawy skomplikowały się nieco, gdy Emma przekazała Kris major Massingo, by ta przedstawiła ją oficerom starszym. Kąt, w którym siedział komandor Owing, był teraz gęsto zaludniony, a kelner wykonał już kilka kursów, napełniając szklanki. Nie wyglądało na to, by zastępca był w stanie utrzymać pion. Po rundzie obowiązkowych uprzejmości Kris zamierzała właśnie wycofać się do towarzystwa oficerów młodszych, gdy zaczął ją major z zaopatrzenia.

- A co Longknifeowie myślą o separacji? Nie zamierzacie chyba zostać z Ziemią, prawda?

Po chwili zaskoczenia Kris uznała, że to proste pytanie.

- Jestem oficerem w służbie czynnej, stoję za swoim dowódcą i przed podwładnymi - odpowiedziała wymijająco.

- Tak więc robisz, co ci rozkażą - stwierdził doktor, omal nie spadając z fotela. Uchroniła go przed tym tylko pomoc kolegi.

- Jako podporucznik jestem zupełnie świeża w tym temacie, ale wydaje mi się, że naszym obowiązkiem jest wykonywanie rozkazów. - Kris uśmiechnęła się i dała krok w bok. Nie wystarczyło to jednak, by usunęła się z kręgu dyskusji.

- A co, jeśli chodzi o wyższe dobro? - spytał major z dwoma skrzyżowanymi muszkietami na kołnierzu. - Jeśli jakiś idiota każe mi zdobywać silnie broniony bunkier, jest sprawą oczywistą, że użyję dymów i obejdem go bokiem. Jakie więc mamy powinności wobec wyższego dobra? To Longknife zabił prezydenta Urma. Czy wypełniał rozkaz?

- Nie.

- Czyli kiedy mamy do czynienia z wielkim złem, żołnierz w imię wyższej idei może działać na własną rękę?

- Książki, które czytałam, twierdziły, że Urm był naprawdę zły - zauważyła. - Nie widzę obecnie nikogo jego pokroju. A pan?

Kris chciała zakończyć tę dyskusję. Nie wyglądało na to, by ktoś robił z niej notatki, ale nigdy nie wiadomo, kto i co nagrywa.

- Nelly - powiedziała tak cicho, że tylko jej komputer słyszał - zacznij nagrywać.

Jeśli coś z tej rozmowy przedostałoby się do mediów, miała już dowody.

- Faktycznie, zło tak ewidentne jak Urm czyni powinność żołnierza łatwą. Ale co, jeśli to nie jest tak oczywiste? Jeśli mamy do czynienia ze złem, które manipuluje nami, klucząc w tę i z powrotem? Dziś uderzy tu, jutro tam...

Kris już dawno nauczyła się, że jeśli nie pytano jej wprost, nie odpowiadała ani słowem. Żaden reporter nie dopisze ukrytego znaczenia do ciższy.

- Taaaa - inny oficer wypełnił milczenie. - Kiedy słyszeliście, żeby cywil powiedział coś dobrego o służbie? Nie jestem nawet pewien, czy w ich słownictwie istnieje wyrażenie „honor”. Moja córka poszła właśnie na studia i kupiłem jej nowy komputer. Głupia maszyna zapytała w pewnym momencie o pisownię tego słowa. Nie znajdowało się w bazie danych.

To stwierdzenie wywołało ogólne potaki-

wania. Kris nie była pewna, czy historia jest prawdziwa, ale na pewno robiła mocne wrażenie.

- Dziwne, w moim było - powiedziała dziewczyna, zanim zdała sobie sprawę, że otwiera usta. Judith powiedziała jej kiedyś, że dla własnego dobra musi powstrzymać wojownika, którego ma w duszy. I po całej tej terapii nadal siedział na swoim miejscu.

- Twój ojciec jest dość wysoko w rządzie. Dziadek kieruje Nu Enterprises, niektórzy mogą uważać cię za... - Machnięcie ręki towarzyszyło poszukiwaniu odpowiedniego słowa.

- Część zła - dokończyła.

- Bardziej za sprzymierzoną z tymi, na których punkcie jesteśmy przewrażliwieni - poprawił major. - My, żołnierze, znamy zasady tej gry. Jeśli zwykłym ludziom coś się nie podoba, to my jesteśmy wzywani, żeby utrzymać karty na stole. Spójrz na swojego pułkownika Hancocka. Farmerom na Darkunder nie podobało się, w jaki sposób rozdano karty, więc on i jego batalion zostali wezwani. Farmerzy nie wiedzieli, kiedy się wycofać, i wielu z nich zginęło. Hancock zrobił to, co mu kazano, i co mu to dało? Jest komendantem na kuli błota. Kiedy został wezwany przed sąd wojenny, powinien był poprowadzić swój batalion na tych spaślaków z parlamentu Darkunder i wypłoszyć ich z mysich dziur, w których się pochowali.

Wtedy media, zamiast nazywać go mordercą, obwołałyby mesjaszem.

Kris nie była bardzo zdziwiona. Nawet w „Scriptorium” zawsze znajdował się jakiś skrajny pravicowiec nawołujący do wojny.

- Ludzie potrzebują ognia i miecza, żeby oczyścić ich z oślizgłej finansjery i jej przekrętów.

Weterani na Wardhaven mówili to samo. Czemu więc te same słowa w ustach oficera w służbie czynnej wywołały zimny dreszcz na plecach Kris?

Może dlatego, że żołnierze powinni być jak zapory stojące między cywilizacją a barbarzyństwem wojny. Prawdziwe pytanie brzmiało, czy ten facet mówił serio, czy też była to tylko tyrada pijanego? Czy major był tylko wkurzony faktem, że jego bojowy batalion utknął obecnie w misji humanitarnej, czy faktycznie był gotów obalić rząd Olimpij? Kris powstrzymała uśmiech. W myślach złośliwie życzyła mu powodzenia w poszukiwaniu rządu na tej planecie. Legislatura zbierająca się co trzy lata już dawno upadła.

Jeśli ten facet mówił poważnie, to nie był problemem dla Kris Longknife. Pułkownik Hancock będzie musiał sobie z nim poradzić. A jeśli to było tylko gadanie spowodowane alkoholem czy gniewem, to tym bardziej nie był jej problem. Miała już do czynienia z porywaczami i uzbrojonymi



bandytami. Udowodniła, że nie boi się prawdziwej walki. Walka na słowa nie była jej do niczego potrzebna.

- Przepraszam, natura wzywa - powiedziała i opuściła grupę, kierując się w stronę toalety. Spojrzawszy w lustro, na swój biały mundur, zaczęła się zastanawiać, czy na Wardhaven jest jakaś jednostka piechoty górskiej. Przeniesienie mogłoby nie być złym pomysłem, pominąwszy fakt, że gdy ci chłopcy szli do bitwy, ładowali karabiny maszynowe. Marynarka była na tyle inteligentna, że do bitwy szykowałą się, ładując zapasy dobrego żarcia. Kris pochlapała twarz wodą i nakazała Nelly zakończenie nagrywania.

Przed wejściem do toalety czekały na nią major Massingo i kapitan Rutherford.

- Ten facet to napaleniak - powiedziała major. - Dobrze zrobiłaś, nie dając się sprowokować.

- Bałam się, że ktoś może mieć włączony mikrofon. Już dawno nauczyłam się uważać na to, co mówię publicznie.

- Musiało być trudno wychowywać się jako córka polityka - na poły spytała, na poły stwierdziła Emma.

- Niewielu zdaje sobie z tego sprawę - zgodziła się Kris. - Mogę przez resztę wieczora unikać tego typu?

- Nie powinno być z tym żadnego problemu - zapewniła major.

- Mamy zespół wyścigowy, jeden z najlepszych na LornaDo, trener i piloci umierają z chęci pogadania z tobą - powiedziała Emma.

- Pogadajmy o wyścigach!

To wypełniło resztę czasu do ogłoszenia kolacji. Ogłoszenia w bardzo niezwykły sposób. Jeden z kelnerów podszedł do major Massingo i coś jej szepnął do ucha. Ta wstała, poprawiła mundur i odwróciła się w stronę drzwi.

- Sierzancie dudziarzu, grajcie sygnał kolacji.

Sierżant w pełnym rynsztunku stanął przy drzwiach, z tym dziwnym podwójnym podskokiem charakterystycznym dla musztry paradnej górali.

- Pani major - krzyknął i zawiesił głos na długą chwilę. - Dudy i bębny, pa-raaaaa-daaaa!

Po tej komendzie sierżant ruszył naprzód, a za nim dwaj dudziarze i dobosz.

Na lotnisku głos instrumentów był do zniesienia. W zamkniętym pomieszczeniu klubu wydawał się rozsadać czaszkę. Kris już chciała polecić, aby Nelly sprawdziła, czy w murach nie powstają mikropęknięcia. Ale przede wszystkim miała mnóstwo uciechy, patrząc na Tommy ego. Tak przerażonego przyjaciela nie widziała jeszcze nigdy.

- Masz za swoje, kłamco - powiedziała bezgłośnie. Równie dobrze mogła to wykrzyzczyć. I tak nie było szans, by ktokolwiek usłyszał.

Oficerowie zaczęli formować szyk paradny. Niektórzy nie całkiem prosto trzymając się na nogach. Prowadziła major Massingo, jako gospodyni messy, tuż za nią dwaj pułkownicy. Następną grupę tworzyli komandor Owing i oficerowie starsi, za którymi ustawili się kapitanowie - dowódcy kompanii. Kris i Tom jako najmłodszy stopniem mieli zamiar zamykać kolumnę, ale Emma łagodnie zaprowadziła dziewczynę do dowódców kompanii i ich zastępców - poruczników. Tommy zajął miejsce wśród dowódców plutonów.

W ten sposób wmaszerowali do jadalni zastawionej kryształami, chińską porcelaną i srebrem. Zapach pieczonej wołowiny niemal powalił Kris z nóg, ale odgłosy instrumentów nawet umarłego utrzymałyby w pozycji pionowej.

Na ścianach wisiały flagi bojowe. Na szczycie sali dumnie zajmowały miejsce flagi Stowarzyszenia i LornaDo. Na ścianach bocznych znajdowały się inne flagi związane z batalionem oraz zdobyte w boju. Pomędzy nimi znajdowała się czerwono-czarna flaga Unii oraz kilka flag planet, które musiały zostać zdobyte w dzikie dni dziewięćdziesiąt lat temu, gdy Unia próbowała narzucić Światom Zewnętrznym swe brutalne pa-

nowanie.

Czy rozpad miałby oznaczać powrót do czasów, gdy każda planeta walczyła z sąsiadami o prawa do handlu, o bogactwa naturalne? Flagi bojowe batalionu były naocznym przypomnieniem historii ludzkości wśród gwiazd, nie zawsze pięknej. Szkoda, że coś takiego nie wisiało na ścianach „Scriptorum”. To byłaby prawdziwa lekcja dla studentów.

Kris zajęła miejsce wskazane jej przez Emmę. Kapelan odmówił błogosławieństwo, które w połowie składało się z podziękowań, a w połowie z dumy ze szlaku bojowego jednostki. Następnie wzniesiono toast „za nieobecnych przyjaciół”, który był równie ważny jak modlitwa.

Gdy wyszli dudziarze, podano zupę.

- Jak rozumiem, mieliście tu trochę rozrywki - odezwał się do Kris jeden z kapitanów.

Po takim zagajeniu dziewczyna opowiedziała słuchającym o tym, czego dowiedziała się na temat sytuacji na planecie, oraz o tym, co sama zrobiła.

- Tak więc można powiedzieć, że walki mamy za sobą - inny kapitan podsumował najtrudniejszy dla młodej podporucznik fragment opowieści.

- Niektóre farmy nadal odmawiają pomocy uchodźcom z bagien. Łatwo je poznać, jest na

nich więcej pustych budynków niż ludzi. Inne przeciwnie. Mnóstwo ludzi, którzy nie wiadomo, gdzie śpią.

- Jak myślisz, jak to się poukłada, kiedy będzie już po wszystkim? - spytał jeszcze inny kapitan.

- Nie mam pojęcia. Cieszę się tylko, że to nie będzie część mojej misji. Jeśli mogę coś doradzić, proszę nie pozwolić, żeby wkradło się do waszej. Praca tutaj kryje kilka naprawdę paskudnych problemów, których nie da się rozwiązać za pomocą karabinu.

Odpowiedziały jej potwierdzające skinienia głów.

- Nic dziwnego - dodała Emma - biorąc pod uwagę strategiczne znaczenie tego systemu. Wiesz, że można się stąd dostać do prawie pięćdziesięciu innych systemów? Większość przestrzeni kosmicznej należącej do ludzkości jest mniej niż trzy skoki stąd.

- Też to zauważyłam, gdy przygotowywałam się do misji. To miejsce ma ogromny potencjał handlowy.

- Albo znaczenie strategiczne - dodał kapitan.

- Znaczenie strategiczne to ważna rzecz, ale tylko podczas wojny.

- Nie oglądałaś mediów ostatnio, prawda?

- Gdy siedzisz po szyję w błocie, odpędzając węże, nie masz zbyt wiele wolnego czasu - odparła Kris.

- Wiadomości mogą cię zaskoczyć po powrocie - zasugerowała Emma.

- Co się dzieje?

- Rzesze niezadowolonych ludzi w Stowarzyszeniu - powiedział kapitan.

- A niezadowolenie wciąż się pogłębia - dodał inny.

- Pamiętasz tę dziewczynkę, którą uwolniłaś? - spytała Emma. - Praktycznie nie ma dnia, żeby ona albo porywacze nie pojawili się w wiadomościach.

- Myślałam, że to przycichnie.

- Nie przycicha - zapewniła ją Emma.

- Albo ktoś nie pozwala temu przycichnąć.

- Komentarz Kris powitany został energicznymi przytaknięciami ze strony współbiesiadników.

Dudziarze wrócili, eskortując na stół rybę. Gdy hałas umilkł, Emma wróciła do przerwanej konwersacji.

- Niektóre planety już wprowadziły restrykcje podróżne. Wszyscy urodzeni na Ziemi lub Siedmiu Siostrach muszą wystąpić o wizę, żeby na nie polecieć. Nie ma wizy, nie ma wstępu. Niektórzy ziemscy biznesmeni podnoszą krzyk, że to ogranicza ich prawo do handlu i zmniejsza zyski.

- Niech zgadnę - wtrąciła Kris - wszyscy prawdziwi biznesmeni zawczasu piszą wnioski o wizę. A ci, których interesy są nie do końca kryształiczne albo zainteresowani są bardziej szumem medialnym, nie.

- Trafiaś za pierwszym podejściem - uśmiechnął się kapitan. - Zawsze mówiłem, że Longknifeowie mają głowy na karku.

Kris odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

- Niektóre planety zabrały już swoje okręty - rzekła Emma. - Namalowały na nich swoje flagi i ogłosiły, że ich floty nie podlegają już rozkazom Stowarzyszenia. Ziemia domaga się zwrotu okrętów lub pieniędzy.

- Wiele z tych okrętów zostało zbudowanych i obsadzonych załogami na różnych planetach - zauważyła Kris. - Wardhaven ma kilka flotylli, za które zapłaciliśmy. Wycofaliśmy je spod dowództwa Ziemi?

- Nie, jak na razie twojemu ojcu udało się omijać ten temat. Ale masz rację co do problemu. Planety, które wycofały okręty, twierdzą, że nikomu nic nie są winne. Zbudowano je, ponieważ Ziemia nie była w stanie zapewnić wystarczającej ochrony Światów. Ziemianie twierdzą, że budowa okrętów była ucieczką w niszę podatkową, i żądają zwrotu pieniędzy.

A więc to podatki spowodowały uziemienie „Tajfuny” i jego załogi. Jeszcze w czasach studenckich Kris była bardzo zaskoczona, dowiedziawszy się, że wysokość podatków na Ziemi jest w przybliżeniu równa tej na Wardhaven i wynosi około trzydziestu procent. Ale podatki na Ziemi w dużej mierze szły na pokrycie ogromnych kosztów opieki socjalnej. Pieniądze z podatków na Wardhaven w dużo większym stopniu przeznaczone były na badania naukowe i budowę nowoczesnych okrętów bojowych, których używano do patrolowania okolic nowych kolonii, w które inwestowała finansjera Wardhaven.

Mimo upływu osiemdziesięciu lat Ziemia i Światy Zewnętrzne miały bardzo różne podejście do rozwoju oraz zupełnie inny system wartości. Pytanie brzmiało, czyjej dziadkom uda się znaleźć wystarczająco dużo wspólnych interesów, by nieuniknione zmiany nie zakończyły się totalnym rozpadem z wielkim hukiem? Oficerowie siedzący przy stole mieli na ten temat różne opinie. Kris wolała nie wypowiadać swojej.

W pewnym momencie dyskusja przerwana została dźwiękami melodii tanecznej granej na dudach. Kilgoro oficerów młodszych zdjęło ze ściany claymory i zaczęło taniec z mieczami. Tommy wstał z krzesła, uważnie przyglądając się tańczącym. Z grupy oficerów odezwały się okrzyki



zachęcające Santamarianina do przyłączenia się. Kris przypuszczała, że to jednak nie sam taniec tak zainteresował przyjaciela, tylko pewna podporucznik, poruszająca się lekkim krokiem i obdarzająca Toma ślicznym uśmiechem za każdym razem, gdy ich wzrok się krzyżował.

Emma nachyliła się do ucha Kris.

- Wygląda na to, że twój podporucznik znalazł przyjaciółkę.

- Też odnoszę takie wrażenie - potwierdziła dziewczyna.

Taniec został przerwany podaniem wołowiny. To danie cieszyło się szczególnymi honorami. Sierżant, dudziarze i dobosz wprowadzili dwóch kelnerów niosących ogromną tacę z płatkami parującego mięsa. Przy okrzykach odcięto pierwszy kawałek i podano gospodyni. Ta przekazała go dowódcy górali, a on z kolei gościowi honorowemu. Hancock przyjął mięso, odciął duży kęs i trzymając widelec w lewej ręce, spróbował pieczeni. Dopiero gdy oznajmił, że potrawa jest doskonała, kelnerzy zaczęli kroić i serwować porcje pozostałym gościom.

- Macie bardzo interesujące sposoby robienia pewnych rzeczy - rzekła Kris do Emmy.

- To nasza tradycja.

- Kiedy uporamy się z tą wspaniałą wołowiną, będę miała kilka pytań dotyczących wa-

szych tradycji, jeśli pozwolisz.

Przy kolejnych potrawach Kris zauważyła, że są przyrządzone nieco bardziej po amerykańsku niż ich angielskie pierwowzory. I to była ta część tradycji, której braku absolutnie nie żałowała.

Gdy z mniejszymi fanfarami podane zostały sery i owoce, zwróciła się do Emmy:

- Czy to tradycje takie jak ta zawiodły batalion w Góry Czarne?

Odpowiedziały jej skinienia głowy wszystkich, którzy słyszeli pytanie.

- Pułkownik Hancock sugerował, żebym wysłuchała opowieści o górach z ust sierżanta majora Rutherforda. Dowódca myślał, że sierżant major opowie mi ją podczas kolacji.

- O nie. - Emma potrząsnęła głową. - Sierżant major nigdy nie wszedłby do messy oficerskiej, a już na pewno nie podczas Kolacji Powitalnej.

Kris zaczęła podejrzewać, że istnieją dobre zwyczaje, złe zwyczaje, zwyczaje marynarki i zwyczaje górali. Nic dziwnego, że Stowarzyszenie nie może się w tym wszystkim połapać i utrzymać w całości.

- A może ty opowiesz historię - zaproponował kapitan. - Słyszałem kiedyś, jak uświadamiasz młodych podporuczników. To było całkiem

niezłe.

Chwilę zajęło mu przekonywanie koleżanki, ale wkrótce młoda kobieta uporała się z serami i owocami, wytarła usta białą lnianą serwetką i zaczęła:

- Jeśli uważaliście na lekcjach wychowania obywatelskiego, pamiętacie, że sytuacja na Savannah była zła. Stary rząd używał armii, żeby wymusić posłuszeństwo na cywilach. Żołnierze więcej czasu poświęcali na gwałty i morderstwa niż na ćwiczenia. Zamiast na strzelnicach siedzieli w klubach lub ganiali niewinnych ludzi po ulicach. Dzięki ogromnemu wysiłkowi, między innymi przodków Kris, na planecie udało się przeprowadzić pierwsze wolne wybory. Wielcy gracze uciekli na Helveticę, zabierając ze sobą zawartość pokazanych kont. To spowodowało, że pozostało bardzo niewielu odpowiedzialnych za krzywdy. Tylko bezpośredni wykonawcy, a nie zleceniodawcy. Armia w stanie, w jakim pozostała, wycofała się do swoich baz w górach. Większość ludzi cieszyła się z takiego stanu rzeczy. Na ulicach panowało przekonanie, że żołnierzom należy pozwolić umrzeć z głodu w ich górskich warowniach. Niestety, głównodowodzący nowej armii wiedział, że pod kontrolą Pierwszego Korpusu znajduje się zapor wodna. Gdyby ją otworzyć, stolica wraz z mieszkańcami zostałaby zmyta z powierzchni planety.

Na stanowisko dowódcy powołano pułkownika Tordona, ale pod komendę dano mu bardzo wielkie siły. Na szczęście byli to sami profesjonaliści. Wśród nich znajdował się Czwarty Batalion Piechoty Górskiej z dumnego LornaDo.

- Słuchać! Słuchać - rozległo się wokół stołu, a Kris zdała sobie sprawę, że w messie zapanowała cisza. Szklanki podniosły się w toaście. Zawstydzona, że uczestniczy w tym sakramencie ze szprycerem w dłoni, dziewczyna tym razem spełniła toast tym, co miała w szklance. Natychmiast jednak przywołała kelnera.

- Whisky proszę.

Następnym razem będzie przygotowana.

- Na współczesnym polu walki istnieje mnóstwo gadżetów, które sprawiają, że człowiek myśli, że jest żołnierzem, podczas gdy to nieprawda. Pierwszy Korpus posiadał je wszystkie, a jeśli ludzie nie byli do końca pewni, jak ich używać, mieli techników, którzy potrafili. Każdy, kto by próbował zaatakować obóz, musiałby zapłacić ogromną daninę krwi. Nigdy nie wierz, że nieprzyjaciel będzie grał fair, a tym bardziej nigdy nie ufaj Tordonowi, jeśli to on jest tym nieprzyjacielem. - Emma uśmiechnęła się do Kris. - Ponieważ nie mógł pokonać korpusu za pomocą nowoczesnych środków walki, postanowił pobić drani w sposób na wskroś staroświecki. Tak więc przy-

szedł do Piekielnych Dam i marines, którzy byli z nami. Zaoferował nam noc ciemną jak serce szatana, pełną deszczu, grzmotów i piorunów. Następnie dodał coś z własnego Hadesu, impuls elektromagnetyczny, który obdarł każdego żołnierza w promieniu osiemdziesięciu kilometrów z tysiąca lat rozwoju technologii. Radary, radio, gogle noktowizyjne, wszystko to stało się po prostu bezużyteczną kupą żelastwa. Tej nocy rządzić miała zimna stal i mechaniczne przyrządy celownicze. Tak więc dwustu dzielnych górali i pięćdziesięciu durnych „słojogłowych” poszło na spacer po ogrodach szatana.

- Słuchać! Słuchać! - ponownie rozległo się wokół. Drink Kris właśnie przybył. Znowu wzniesiono szklanki. Dumny w swej czerwieni i błękitnie pułkownik Hancock wstał z uniesioną szklanką.

- Pewnie, że durnych. Durnych jak kołki w płocie. Nikt mądry nie podjąłby się tego zadania.

Zanim opuszczono szklanki, pułkownik Halverson był już na nogach.

- Za wrednych marines! Jedynych facetów mających jaja, żeby zaprosić do tego tańca Piekielne Damy.

- W szponach sztormu wspięliśmy się na Czarną Górę. Pierwsza linia nie miała pojęcia, że tam jesteśmy, dopóki nie dostali wyboru: walczyć i

zginąć czy poddać się i spróbować szczęścia przed sądem. Druga linia została uprzedzona błyskiem naszych wystrzałów. Odezwały się karabiny maszynowe i moździerze. Huknęły działa... Wszystko na ślepo. Ludzie umierali bądź przeżywali dzięki uśmiechowi losu lub rzutowi demonicznej monety.

Cały czas posuwali się do przodu. Tu pluton, tam drużyna znalazły się już w okopach wroga. Walczono i umierano, aż zdobyto drugą linię.

- Słuchać! Słuchać! - Wzniesiony został kolejny toast. Kris wypić, ale ciepło z jej żołądka nie było w stanie usunąć dreszczy na całym ciele. Słowa Emmy przeniosły ją i całą messę w krainę opowieści. Byli tam, w ciemnościach rozświetlanych błyskawicami, w deszczu, wśród rozrywających się granatów. Tej nocy żołnierze batalionu nie byli ludźmi, lecz bogami.

- Nasi artylerzyści wzniesli się na wyżyny sztuki, przenosząc w ciemnościach ogień z drugiej na trzecią linię. Żaden człowiek z karabinem nie był w stanie dokonać tego, co oni. To dzięki nim tchórze rzucali broń i podnosili ręce na sam widok stali lub kiltu. Ale gdy zbliżyliśmy się do ostatniej linii, artylerzyści nie mogli przenieść ognia. Pułkownik wystrzelił umówioną racę, ale przeciwnik natychmiast odpalił kilkanaście swoich w tym samym kolorze. Zostali wysłani gońcy,

ale stopy nie są szybsze od kul. Trzech pobiegło ze słowami pułkownika, trzech zginęło. Wtedy powstał sierżant McPherson, któremu minęło właśnie dwadzieścia lat służby. Dokumenty zwalniające go do cywila nosił w kieszeni na sercu. „Ja zniosę wiadomość, pułkowniku. Jeśli taki stary lis jak ja nie przejdzie, nie dokona tego żaden anioł z niebios”. Sierżant wysunął się z okopów jak duch. Jak znikająca mgła przemieszczał się od dziury do dziury. Kiedy flary zamieniały noc w jasny dzień, zamierał jak kamień. Leciały za nim granaty, pociski świstały mu nad głową, ale chybiały. Żadne siły piekielne nie mogły dotknąć posłańca naszego Boga. Ale fortuna kołem się toczy, a diabeł też domaga się swojej ofiary. O rzut kamieniem przed pierwszą linią rakiet trafiła sierżanta. Umierając, przekazał wiadomość szeregowemu Halversonowi. Teraz on dzierżył pochodnię. Bez chwili wahania pognął przed siebie. Przebiegł przez cięte pociskami pole, jakby w ogóle nie czuł lęku, i dopadł miejsca, gdzie swoją powinność czynili artylerzyści. I tak na słowo szeregowca umilkły armaty, na słowo szeregowca Czarną Górę spowiła cisza. I podnieśliśmy się z okrzykiem. Wszyscy żywi mężczyźni i kobiety ruszyli naprzód przez błoto. Ci z trzeciej linii, którzy przed nami nie uciekli, zginęli tam, gdzie stali, lub z podniesionymi do chmur rękami oczekiwali naszego zmiłowania.

My, górale z LornaDo wraz z dzielnymi marines, pokonaliśmy w burzową noc całą dywizję.

Jeszcze raz podniósł się okrzyk: „Słuchać! Słuchać!” i jeszcze raz w górę poszły pełne szklanki. Emma była wyczerpana, jakby sama wspinała się na górę. Z całą pewnością była obecnie najważniejszą postacią w messie. Po chwili znów się odezwała cichym głosem:

- Gdy rano dowodzący korpusem zobaczyli naszą flagę na szczycie Czarnej Góry, wpadli w desperację. Mówi się, że dało się przejść z jednego końca fortu na drugi, nie dotykając stopą gruntu, tak gęsto leżały ciała. Ci z was, którzy pamiętają, jak ludzie walczyli z potwornymi Iteeche, i wiedzą, jak wygląda bezpośrednia walka, niech odpowiedzą sobie na pytanie, czy dokonaliby tego bez krwi i potu przelanych na polach Savannah. Gdy więc zbierzecie się, żeby się napić, wzniescie toast za Piekielne Damy, które tańcząc, weszły tamtej nocy na Czarną Górę.

Znów uniesiono szklanki, a Kris uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Nie przygotowała miejsca, gdzie można by je bezpiecznie rozbić. No cóż, batalion będzie sobie musiał poradzić bez tego.

Pułkownik Hancock przepłukał gardło i spytał:

- Pani kapitan, kiedy po raz pierwszy usły-



szała pani tę opowieść?

- Na kolanach dziadka - uśmiechnęła się Emma. - Nie byłam większa niż jego sztylet. Był sierżantem majorem w pułku. Tak jak mój ojciec po nim.

- Pani została oficerem.

- Tak, panie pułkowniku. Dziadek i papa uznali, że rodzina wystarczająco długo pracuje na swoje utrzymanie. Tym razem chcą oficera.

To wywołało ogólną wesołość, szczególnie przy tej części stołu, którą jak przypuszczała Kris, zajmowali podwładni Emmy. Śmieszna wydawała im się myśl, że nie zapracowują na swoją wypłatę. Gdy zapadła cisza, pułkownik kontynuował:

- Spodziewam się, że w dniu, kiedy przypinała pani belki podporucznika, ojciec udzielił pani rady. Niestety, nikt nie mógł wypełnić tego uświęconego obowiązku w stosunku do porucznik Longknife. Czy byłaby pani łaskawa podzielić się z nią tym, co przekazał pani ojciec lub dziadek?

- Panie pułkowniku, nie wiem, czy sierżant major będzie zachwycony, a nie chciałabym wejść z nim w konflikt.

Spojrzenia, jakie wymienili oficerowie batalionu, świadczyły jasno, że niewielu było takich, którzy odważyliby się na sprzeczkę z sierżantem majorem.

Pułkownik Halverson powstał.

- Myślę, że mogę załatwić u niego ułaskawienie - stwierdził przekonywająco. To wywołało krótkotrwały wybuch śmiechu w messie, który jednak zgasł natychmiast, gdy oficerowie spojrzeli na powagę malującą się na twarzy dowódcy.

- Jeśli porucznik, która nosi ciężar nazwiska Longknife, nie usłyszała błogosławieństwa od właściwej osoby, myślę, że najlepiej dla niej będzie, jeśli pani kapitan podzieli się z nią słowami sierżanta majora.

Emma skinęła głową. Wstała i zwróciła się do Kris z takim wyrazem uniesienia na twarzy, że dziewczyna poczuła, jak w kącikach jej oczu zbierają się łzy. Nie czuła się tak nawet przy promocji czy rozdaniu dyplomów na studiach. Bycie w centrum zainteresowania wszystkich spowodowało, że się zaczerwieniła. Ale nie to wywołało drżenie. Spojrzenie w oczy Emmy było jak spotkanie z boginią, a nie ma nic bardziej przerażającego niż doświadczenie absolutnej prawdy.

- Oto słowa sierżanta majora - zaczęła cicho Emma. - „Historie są prawdziwe, nie okłamałem cię. Teraz będziesz dowodzić ludźmi, mężczyznami i kobietami tak przerażonymi, skrzywdzonymi, zmęczonymi i zagubionymi jak ci z opowieści. Jediną różnicą między kimś przerażonym i zmęczonym a żołnierzem jesteś ty, dowódca. Twoim obowiązkiem stanie się teraz pomaganie im w

znalezieniu w sobie odwagi i woli, żeby iść na-  
przód' i wykonać to, co ty uznasz, że ma być wy-  
konane. Nigdy nie nadużyj tej władzy. Zagub się,  
a stracisz nie tylko tę chwilę, ale życie i wszystko  
to, co w tym życiu mogłabyś zrobić dla jakiegoś  
żołnierza. Gdy nadchodzi ten moment, że muszą  
robić to, do czego zostali wyszkoleni, trzymasz w  
ręku władzę nad ich życiem i śmiercią. Żeby na to  
zasługiwać, musisz zostać ich sługą. Czy mają su-  
cho w butach? Czy ich jedzenie jest odpowiedniej  
jakości? Czy mają gdzie spać? Zanim zadbasz o  
siebie, masz zadbać o nich. Dano ci nad nimi wła-  
dzą. Marnujesz ją, jeśli używasz jej do czegoś, co  
nie przygotowuje was na ten krytyczny moment,  
kiedy śmierć stanie u twego boku. Zarówno ty, jak  
i oni mogą żyć lub zginąć. Pomimo całego trudu,  
który włożyłaś w trening, kiedy nadejdzie ten mo-  
ment, może zadecydować przypadek, ale to nie  
jest powód, żeby zaprzestać ciągłej pracy nad so-  
bą. Nieważne, co mówią historie, pamiętaj, że dla  
bohaterów nie ma miejsca. Nie rób z siebie boha-  
tera. Jeśli gonisz za sławą, tracisz czas i płacisz  
ich życiem. Chwała znajdzie cię sama. Jeśli musisz  
myśleć o przyszłej chwale, módl się, żebyście ty i  
twoi podwładni byli gotowi na jej ogromny ciężar,  
gdy spadnie na was w ogniu bitwy. A na koniec  
pamiętaj, opowiadamy te historie nie dla rozrywki  
albo żeby grzać się w blasku cudzej chwały. Opo-

wiadamy je, bo musimy. Opowiadamy je, żeby dzielić wiarę z twarzami, które nawiedzają nas w nocy i kładą się cieniem w dzień. Oni oddali wszystko, co mieli i mogli jeszcze mieć – miłość, rodziny, zachody słońca – nie dla odznaczeń, ale dlatego, że komuś zaufali. Nie dla planety, tylko dla towarzyszy. Nie dlatego, że musieli, tylko dlatego, że taki był ich wybór. Wybierając ten mundur, przyjęłaś tę wiarę, dla której tak wielu żyło i zginęło. Zdradź ją, a nigdy już nie będzie w tobie życia”.

Skończywszy, Emma osunęła się na krzesło, jak gdyby opuścił ją jakiś duch. Kris usiadła w ciszy, bardziej wystraszona niż kiedykolwiek dotąd. Gdzieś tam pułkownik wzywał dudziarzy. Weszli, ale ich instrumenty nie były w stanie przebić się przez ciszę w sercu młodej podporucznik. Kris przeszła przez zakończenie studiów w ogniu słów, jakie wymienili z rodzicami na temat jej wstąpienia do marynarki. Na promocji w SO była wściekła, że jej rodzice nie znaleźli w swych wypełnionych programach czasu, by przyjechać. W obu tych momentach nieważne było, co robiła, tylko skąd pochodziła. Wszystko podporządkowane zostało temu, że była jedną z tych Longknife’ów. A tutaj obcy ludzie ze swoimi tradycjami, które utrzymywali przy życiu, sprawili, że znalazła się bliżej znaczenia bycia Longknife’em, niż kiedykol-

wiek przypuszczała. Coś zaczynało w niej rosnać. Coś, czego nie mogła wysondować. Ale zrozumienie przyjdzie z czasem. Z czasem, którego miała mnóstwo.

Nie będąc już głodna, Kris siadła z dłońmi na udach. Wokół niej messa nadal się bawiła. W którymś momencie Tom spróbował swych sił w tańcu miecza, jeśli nie z gracją, to z kompetencją, która nie zawstydziła marynarki. Współbiesiadnicy zostawili dziewczynę w bąblu ciszy, jak dziecko w łonie matki, odciętą od świata.

Gdy dudy odprowadziły gości do sali obok na cygaro i brandy, Kris zbliżyła się do Emmy.

- Dziękuję za podzielenie się tym, co przechowywałaś w sercu.

- Trzymam to dla syna lub córki, żeby im to przekazać, gdy nadejdzie czas.

- Mam nadzieję, że nie będą mieli mi za złe, że to od nich pożyczyłam.

- Jest w tych słowach coś magicznego. Gdy się nimi dzielisz, stają się silniejsze.

## ROZDZIAŁ 18

Następnego dnia w południe pułkownik Hancock osobiście zawiózł Kris i Toma do portu lotniczego.

- Nie przypomina to sposobu, w jaki tu przybyłam - powiedziała Kris, gdy usłyszała propozycję. Jednocześnie dodała w myśli: „Naprawdę chce się nas pozbyć”.

- A to miejsce w żaden sposób nie przypomina tej dziury, do której przybyłaś - odpowiedział pułkownik. - Czy z Longknifeami zawsze tak jest? Przełożeni albo oskarżają ich o bunt, albo przypinają medale?

- Pan chyba lepiej zna odpowiedź. Jestem nowa w tym biznesie - odpowiedziała Kris, zdając sobie sprawę, że to prawda. Miała dwadzieścia dwa lata i dopiero zaczynała odkrywać świat.

Lądownik tradycyjnie wykonał slalom między dziurami w pasie. Żołnierze i oficerowie przenieśli się z wahadłowca do wynajętych autobusów. Pułkownik ponownie zwrócił się do Kris:

- Proszę przekazać moje pozdrowienia komandorowi Thorpe'owi. Jeśli nadal przypomina faceta, którego znałem w akademii, będzie zachwycony, mając na pokładzie takiego tygrysa jak ty.

- Nie okazywał zbytniego entuzjazmu -

zaśmiała się dziewczyna. A jeśli zachowanie Thorpea w stosunku do niej on sam uważał za życzliwe, to znaczy, że był naprawdę dziwnym człowiekiem.

- Musisz pamiętać, że ludzie pokroju twojego dowódcy zakładają mundur, żeby zostać bohaterami wojennymi. Obecnie nie ma ku temu wielu okazji w kosmosie. Próbowałem namówić go do wstąpienia do korpusu, ale chciał dowodzić własnym okrętem. Ciekaw jestem, czy tego żałuje.

- Nie mam zamiaru pytać.

- Oczywiście, że nie. To popsułoby efekt opinii, jaką o tobie wysyłam. Podejrzewam, że jego stosunek do ciebie zmieni się, gdy będzie wiedział, że ma na pokładzie drapieżnika, a nie debiutującą kicię.

Kris mogła mieć tylko nadzieję.

Podróż powrotna na Wardhaven była okazją do odespania zaległości i uzupełnienia informacji o tym, co się dzieje we wszechświecie. Kris i Tommy ze zmarszczonymi brwiami oglądali wiadomości. Z punktu widzenia mediów to, co robili na Olimpi, w ogóle nie miało miejsca.

- A mogliśmy tam zginąć - westchnął Tom.

- Nie jest to miła myśl - odpowiedziała Kris, zdając sobie sprawę, że ktoś jednak zginął. Jak miała przekonać rodzinę Williego Huntera, że oddał życie dla czegoś ważnego, jeśli media to

ignorowały? Przystudiowała z Nelly listy dowódców do rodzin. Czując się winna, napisała list najlepiej jak potrafiła, powtarzając sobie, że lepiej dla rodziców będzie dostać prosty list teraz niż piękną epistołę kiedyś tam.

Nic jednak nie przygotowało Kris na to, co zdarzyło się w zatłoczonym korytarzu portu kosmicznego Wardhaven. Młoda kobieta podeszła do nich, obrzuciła nienawistnym spojrzeniem i splunęła.

- Przylecieliście porwać jakąś dziewczynkę, ziemskie śmiecie? - wykrzyknęła, umykając w tłum, zanim Kris zdążyła ją chwycić i odpowiedzieć: „To marynarka uwolniła ostatnio porwaną dziewczynkę, a ja dowodziłam tą akcją”. Kris trzęsła się jeszcze z wściekłości, gdy pojawił się Harvey.

- Przepraszam. Powinienem był wam powiedzieć, żebyście założyli cywilki. Krąży tu teraz mnóstwo złej krwi.

- Gdybym dorwał tę gówniarę, wdeptałbym ją w ziemię - warknął Tommy.

Kris spojrzała na niego zaskoczona, wysoko unosząc brwi.

- Naprawdę... Nie po to przechodziłem przez utratę twojego sygnału podczas tego zrzutu i pościgi pod ostrzałem w błotach Olimpii, żeby tak mnie traktowano.



Kris oczyma wyobraźni ponownie ujrzała Williego leżącego w błocie i broczącego krwią, a następnie tę młodą kobietę. Starła się znaleźć słowa, które mogłaby powiedzieć do obojga. Ale nie była w stanie.

- Jak bardzo jest źle? - spytała Harveya, pragnąc zająć myśli czym innym.

- Premier utrzymuje Wardhaven w Stowarzyszeniu prawie pazurami. Gdy w końcu będzie musiał się poddać, pęknie mu serce. Opozycja domaga się głosowania. Jak na razie udaje mu się to opóźnić. Twój tata chce, żeby to Ziemia wykonała pierwszy ruch w tym kierunku. To dałoby mu doskonałe argumenty do montowania jakiejś koalicji tu, na Światach Zewnętrznych. Około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu planet chciałoby się przyłączyć do Wardhaven, tworząc swego rodzaju konfederację. Ale jak na razie wszyscy tylko wycofują się ze Stowarzyszenia, ale do niczego to nie prowadzi.

- Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt planet - powtórzyła dziewczyna, kalkulując w myślach. Stowarzyszenie liczyło ponad sześćset planet. Oczywiście nowe kolonie nie miały prawa głosu, ale i tak aktywnych członków było ponad pięciuset. - A co w takim razie ma zamiar zrobić reszta?

Stary szofer wzruszył ramionami.

- Wiele będzie szczęśliwych, po prostu

opuszczając Stowarzyszenie. Greenfeld wydaje się organizować jakąś federację złożoną z około czterdziestu, pięćdziesięciu planet, głównie skolonizowanych przez nich. Wardhaven ma swoją grupę, w większości nasze kolonie i ci, którym pomogliśmy: Savannah, Riddle. Pitts Hope głosi, że też może dołączyć. Dla Ziemi to ogromny szok. Wydawało im się, że mogą wrócić ze Stowarzyszeniem do pierwotnej pięćdziesiątki, a reszcie powiedzieć, żeby szła do diabła. Ale nie będzie to takie proste, jeśli część tak zwanej Unii opowiada się za Światami, a nie Starą Ziemią.

- Brzmi skomplikowanie - wtrącił Tom.

- Próbowales kiedykolwiek żonglować sześciuset jajami?

- Nie jajami - zaproponowała Kris, mając w pamięci, że Greenfeld rządzony było przez starego Peterwalda. - Spróbuj z sześciuset granatami ręcznymi. Czemu spodziewam się też, że część z nich ma wyciągniętą zawleczkę?

- Zauważyłaś, że zaczynasz mówić tak jak ja? - uśmiechnął się Tommy.

- Tylko jeśli mam zły dzień. Harvey, mam zamiar odbyć kilka spotkań. Jesteś zajęty?

- Co masz na myśli?

- Muszę zobaczyć się z Tru.

- To może być problem. A mówiąc o jajkach...

Samochód czekał tam, gdzie zawsze. Towarzyszył mu nowy agent ochrony. Kris pamiętała go, jak pilnował podczas przyjęcia Hanowiego. Teraz zrywał właśnie nalepkę z bocznej szyby samochodu. Przednia była umazana rozbitymi jajkami.

- Banda dzieciaków - wyjaśnił agent, patrząc na kawałek folii samoprzylepnej z napisem „Ziemio - zatrzymaj swoich bandziorów w domu!”

Kris oderwała kolejną nalepkę, o tej samej treści.

Tommy zajął się następną: „Ludzkość bez granic!”

Harvey, wsiadając za kierownicę, znalazł jeszcze jedną: „Pamiętajcie małą Edith!”

- Czy słyszę jakieś dzwoneczki? - spytał Tom.

Kris nie było do śmiechu.

- Wygląda na to, że opozycja stworzyła swoje slogany. Doktor Meade twierdził, że dobry slogan jest niebezpieczniejszy od zabójcy w sytuacji, gdy wojna wisi na włosku.

- Możliwe - potwierdził Harvey, włączając się do ruchu.

- Czy dobrze myślę, że kłopoty w spotkaniu z Tru nie wynikają tylko z niechęci mojego ojca?

- Tak. Emocje są nakręcone, codziennie

odbywają się jakieś protesty. Dziennikarskie hieny tylko węszą za sensacją. Ktoś im za to płaci. Tak więc nasza rezydencja jest otoczona. Mieszkanie Tru również. Gdy jechałem po ciebie, musiałem zgubić ogon.

- Nadal jest za tobą - odezwał się agent, obracając się. - Przy okazji, proszę pani, na imię mi Jack. Będę przy pani zawsze, gdziekolwiek się pani uda.

- Nie ma takiej możliwości, Jack - odpowiedziała Kris.

- Mogę się przydać, będąc w pobliżu.

- Były już trzy zamachy na moje życie w tym miesiącu. Jak na razie jest trzy do zera dla mnie. Nie potrzebuję pomocy.

- Oni potrzebują tylko jednej udanej próby, żeby zmienić wynik na jeden do zera dla nich. I ten wynik nigdy już nie ulegnie zmianie - zaznaczył Jack miękko.

- Węszysz dla premiera?

- Według mnie pani ojciec nie chce, żeby spotykała się pani z Tru. Pani zaś ma zamiar się z nią spotkać bez względu na niebezpieczeństwo, uznając to za ważniejsze od ochrony pani życia.

- Uważam, że spotkanie z nią wniesie więcej do mojego bezpieczeństwa niż ty biegający wokół mnie i donoszący premierowi o każdym moim kroku.

- „Jestem dużą dziewczynką, więc daj mi spokój” - Jack przetłumaczył jej wypowiedź.

- Boże, nareszcie zatrudnili kogoś, kto rozumie po angielsku! - westchnęła Kris z sarkazmem.

- Proszę posłuchać, moje raporty muszą tylko mówić, że pani wyszła i wróciła, a ja byłem z panią. Nosi pani mundur marynarki. Wydaje pani rozkazy i spodziewa się posłuszeństwa. Chce pani, żebym miał kłopoty z tym, kto mnie wydaje rozkazy?

Tommy parsknął.

- Niezła próba, Jack, ale chyba nie przebywałeś za długo z Longknifeami, prawda? W dupie mają problemy, jakie stwarzają nam, maluczkim.

Kris przesłała kumplowi wściekle spojrzenie, ale po chwili uświadomiła sobie, że zasługiwała na to. Z westchnieniem poddała się.

- Zobaczą, co mogę zrobić, żebyście z szefem byli zadowoleni. Tommy, czy to, co powiedziałeś, odnosiło się do sposobu, w jaki traktowałam pułkownika Hancocka?

- Bardziej do sposobu, w jaki traktowałam mnie. I uwierzę, jak zobaczą - odpowiedział, siadając głębiej w fotelu i krzyżując ramiona na klatce piersiowej.

Dziesięć minut później, gdy dotarli do Staroego Nuu, Kris mruknęła do siebie:

- Mogę potrzebować trochę pomocy, żeby się stąd wyrwać.

Przy bramie stali marines, sprawdzając przepustki, inni chodzili wzdłuż ogrodzenia. Musieli. Przy ulicy parkowało pięć ciężarówek. Wszystkie wyposażone w sprzęt satelitarny, by móc relacjonować wszystko, co wydarzy się w rezydencji. Kris zauważyła przynajmniej sześciu reporterów obserwujących podjeżdżający samochód.

- Mają też kamery na dronach - powiedział Jack. Zanim zdążyła zapytać, odruchowo przeszedł z dziewczyną na ty: - Jeśli naprawdę chcesz się stąd wydostać niezauważona, chyba mogę pomóc. Podrapiesz mnie po plecach et cetera.

- Pozostanę chyba przy et cetera. Masz jakieś ciuchy biegowe?

- Mam, jeśli chcesz nosić koszulkę Uniwersytetu Wardhaven, jaką ci dostarczę - powiedział Jack, konspiracyjnie uśmiechając się do Harveya.

- Wujku, opowiadałeś historyjki o mnie?

- Jeśli to ma sprawić, że założysz koszulkę powstrzymującą trzymilimetrowe strzałki z odległości dwudziestu kroków, to masz rację, opowiadałem historyjki.

- Nie macie przypadkiem zapasowej? - westchnął Tom.

- Ze starego, dobrego Uniwersytetu Santa Maria - uśmiechnął się Jack.

Godzinę później Kris ubrana była w spodenki gimnastyczne i kuloodporną koszulkę. Razem z Tomem i Jackiem robili drugie okrążenie, truchtając przy murze obrosniętym bluszczem. Zbliżali się do specjalnego miejsca Kris, gdy Jack mruknął:

- Okay. Chłopaki, zamykać ich - i pomógł Kris przejść przez jej prywatną, tajną dziurę.

- Od kiedy wiecie? - spytała.

- Prawdopodobnie od czasu, gdy twoja prababka w ogóle kazała ją wykonać, gdy jeszcze była dziewczynką.

- Nuu nie byli wtedy jeszcze politykami - odparła.

- Mieli pieniądze, a nie istnieje coś takiego jak fortuna bez polityki - przypomniał Jack, brzmiąc jak profesor nauk politycznych. Kris wiedziała, że nie ma sensu dalej dyskutować.

- Nelly, wezwij taksówkę.

Po dwóch minutach jechali już w stronę „Scriptorium”, jedyne miejsce, w którym Kris mogła umówić się z Tru bez wypowiedzania jego nazwy. Tru wydawała się tak samo mało ufać prywatności w sieci, jak i Kris. Jack zaprowadził ich do słabo oświetlonego stolika w kącie, zwykle zajmowanego przez zakochanych. Ponieważ było

jeszcze wcześniej, stolik był pusty. Kris i Jack siedli plecami do ściany, Tom ze zmarszczonymi brwiami siadł na krześle pomiędzy dziewczyną a drzwiami frontowymi.

- Nie podoba ci się? - spytała Kris.

- Nie lubię wystawiać pleców komuś, kto chciałby strzelać do ciebie - odparł, oglądając się przez ramię.

- Spokojnie, nie kręć się - ostro powiedział Jack. - Ja patrzę na drzwi. Naszym największym problemem są paparazzi strzelający do Kris z aparatu fotograficznego. Bóg jeden wie dlaczego.

- Bóg jeden wie dlaczego używają aparatów, a nie pistoletów? - spytała Kris.

- Nie wydaje mi się, żebyś dziś musiała przejmować się strzelcem. Polityka premiera nie budzi aż takiego sprzeciwu - odpowiedział ochroniarz, najwyraźniej nie biorąc pod uwagę faktu, że Kris wcale nie żartowała na temat prób zabicia jej. Premier na pewno sprawdzał, jakie wiadomości zostały przekazane agentowi. Kris próbowała uaktualnić jego wiedzę, ale najwyraźniej postanowił trzymać się wersji oficjalnej. - Obecnie ludzie nie są pewni, co się wydarzy. Wielcy gracze z masą forsy nie są tacy beczynni. Chcą wiedzieć, w którą stronę przechyli się waga, na długo zanim to nastąpi. Ale tego nauczyłaś się już na kolanach



ojca.

- A niektórzy z nich próbują docisnąć szalę paluchem, żeby przechyliła się w pożądaną przez nich stronę - dokończyła Kris.

- Jesteś w tych sprawach ekspertem - przyznał agent.

Dziewczyna zamówiła wszystkim bezalkoholowe drinki. Obsługiwał ich ten sam kelner co poprzednio, ale ponieważ byli w letnich strojach uniwersyteckich, nie zwrócił na nich specjalnej uwagi. Tru przybyła w chwilę potem i usiadła na wolnym krześle, odsuwając je pod ścianę, aby nie zasłaniać widoku Jackowi. W szarych, luźnych spodniach i bluzie od dresu z logo uniwersytetu sprzed dwudziestu lat idealnie przypominała starego wykładowcę.

- Miło cię widzieć - powiedziała. - Miałaś interesującą przerwę?

- Podróże bardzo poszerzają horyzonty. Dobrze jest znów być w miejscu, gdzie świeci słońce.

- Masz rację, byłam zbyt zajęta sprawami lokalnymi, żeby wpychać paluchy w to, co ty robisz. Czemu się spotykamy?

Kris chciała wykrzyczeć Tru, że Olimpia, śmierć Williego i cywilów, których zabiła, są warte poświęcenia im odrobiny czasu. Musiała jednak uczciwie przyznać, że jej osobista walka na zapo-

mnianej planecie niewiele znaczyła dla ludzkości, która musiała wybrać stronę oraz zdecydować, czy pójdzie swoimi ścieżkami w pokoju, czy też wda się w długą, krwawą wojnę.

Dziewczyna wyciągnęła z saszetki na brzuchu dwie butelki po szczepionce i przesunęła je po stole.

- Wiesz, co to jest? - spytała.

- Z pewnością nie to, co napisano na etykiecie.

- Nie. Z linii produkcyjnej zeszło pięćdziesiąt tysięcy łodzi z płynnego metalu. Sześć, które wylądowały u mnie, miało dziwną tendencję do zamiany w płynną rtęć po trzeciej próbie zmiany kształtu.

- Zostawiając cię na środku rzeki bez łodzi i wiosł - dodała Tru.

- W najgorszym momencie - zakończyła Kris. - To próbka tego, co było łodzią.

- Próba zabójstwa numer dwa - powiedziała Tru, co wywołało nagłe zainteresowanie ze strony Jacka. „Tak, drogi tata powiedział mu tylko tyle, ile mieściło się w ograniczonym dowodami pojmowaniu świata premiera”.

- Nie, prawdopodobnie numer trzy. Rakietą rozwalila moje biuro dzień wcześniej. Nie było mnie tam, bo jadłam długi lunch z naszym przyjacielem, Hankiem Smythe-Peterwaldem Trzyna-

stym. Uratował mi życie, Tru.

Ciotka uniosła niedowierzająco brwi.

- Jakież przypuszczenia, czym zasłużyłaś sobie na rakieta?

- Zabiłam kilku lokalnych panów życia i śmierci.

- Tak więc rakietą była raczej lokalną odpowiedzią na lokalną zaczepkę.

Kris potwierdziła.

- A co Hank robił na Olimpii?

- Dostarczał pomoc. Żywność, której potrzebowaliśmy. Trzydzieści ciężarówek, które były nam niezbędne.

- Jakież łodzie?

- Sześć. Trzy poszły w diabły. Pozostałe trzy już na zawsze zostaną mostami.

Tru schowała buteleczki.

- Większość laboratoriów najprawdopodobniej nic tu nie znajdzie. Znam kilka, którym może się udać. Dobrze by było przyjrzeć się tej, która nadal udaje most.

- Nelly - powiedziała Kris na głos - kup ze dwanaście płynnych łodzi z różnych źródeł na Wardhaven. Wyślij je na Olimpię. Poproś pułkownika Hancocka, żeby zamienił się na trzy uszkodzone mosty. Potrzebujemy ich do analizy. - Kris zatrzymała się na chwilę. - Chcecie się założyć, że te trzy mosty zostaną w jakiś sposób aktywowane

po raz trzeci, zanim dotrą do laboratorium?

- Wynajmij ochroniarzy do eskortowania nowych i dopilnowania, żeby stare wróciły do nas. Sam prześle Nelly numer godnej zaufania firmy.

- Nie potrafię zupełnie zrozumieć dlaczego. - Kris pozwoliła sobie wrócić do pierwszego ataku na siebie. - Myślę o próbie zabicia mnie, gdy ratowałam tę małą dziewczynkę na Sequimie. To faktycznie spowodowałoby, że połowa Światów zwróciłaby się przeciw Ziemi. Ale zatonięcie przy dostarczaniu leków? Jakiemu celowi politycznemu miałyby to służyć?

Tru potrząsnęła głową.

- Czasem zastanawiam się, co wy, Longk-nifeowie, macie zamiast krwi. Kochanie, twój ojciec i obaj pradziadkowie po uszy zarobieni są próbami utrzymania w całości choćby części Stowarzyszenia. Dodaj odrobinę do ciężaru, który niosą, i zaczną robić błędy, których w innym wypadku by nie popełnili.

Kris słuchała Tru, starając się wyobrazić sobie ojca załamanego po jej śmierci. Nie bardzo jej się udawało. A wtedy pomyślała o wszystkich zmianach, jakie zaszły w rodzinie po śmierci Eddy ego. To dużo kosztowało tatę i mamę. Czy jej śmierć kosztowałaby tyle samo? Może.

- Pomyślę o tym - odpowiedziała. - Co się tutaj dzieje? Przygotowujemy się do wojny?

Tru zamrugnęła powiekami na tak gwałtowną zmianę tematu. Przetarła oczy obiema pięściami. Po raz pierwszy w życiu Kris zdała sobie sprawę, że jej stara ciotka faktycznie jest bardzo stara. Prawdopodobnie miała ponad setkę i nie były to miłe lata.

- Mam nadzieję, że nie - szepnęła w końcu Tru. - Tylko nieliczni by na tym zyskali.

- A kto myśli, że mógłby zyskać?

- Stare pryki, które walczyły w jednej wojnie i zapomniały, jak to naprawdę wygląda. Nowi bohaterowie zmęczeni cudownym nicnierobieniem i niemający pojęcia o prawdziwym obliczu wojny.

Kris skrzywiła się na wspomnienie jej niedosłego bohatera, który był po prostu dzieckiem. A teraz już nigdy nie dorośnie, by nauczyć się prawdy o życiu.

Tru spojrzała na Kris, jakby próbowała ocenić jej smutek w jakiejś skali.

- Dorostaś przez ostatni czas.

- Postarzałam się - stwierdziła dziewczyna.

Tru pokiwała głową.

- No i oczywiście mamy jeszcze pretendentów do roli Imperatora Ludzkości. Jest między nimi twój przyjaciel Hank, popierany fortunami ojca i dziadka. Formują swój sojusz oparty o Greenfield, liczący pięćdziesiąt planet. Ziemia ma czter-

dzieści. Twój ojciec ma sześćdziesiąt do stu. Inni rozglądają się, próbując odgadnąć, do kogo powinni się przyłączyć, zanim będą do tego zmuszeni.

- Zmuszeni? - spytała dziewczyna.

- Greenfeld Group Peterwalda ma zastawy hipoteczne na wielu planetach i mocno je naciska. Jego własna planeta posiada sporą kolekcję okrętów bojowych. Oni pierwsi wycofali okręty z floty Stowarzyszenia. Ci faceci inaczej pojmują geografę. Krótkie szlaki handlowe mogą stać się szybkimi drogami ataku. Spójrz na tę katastrofę na Olimpii. Czterdzieści siedem planet w zasięgu jednego skoku. Prawie sto pięćdziesiąt w dwóch. Ćwiartka przestrzeni kosmicznej kontrolowanej przez ludzkość może być broniona przez stacjonującą tam flotę. Lub zaatakowana. Jak myślisz, czemu Wardhaven tak błyskawicznie pośpieszyło im z pomocą, gdy znaleźli się w tarapatkach?

- Ludzka życzliwość? - podrzucił Tom.

- Taaa, racja. Chcesz zgadywać, kto kupił te wszystkie farmy, które nagle pojawiły się na rynku? Peterwald i spółka.

- Myślałam o tym. Zaoszczędziłaś mi poszukiwań - powiedziała Kris. - Coś nowego na ten temat?

- Być może. Wygląda na to, że jeden ze statków Peterwalda dwa lata temu złożył wizytę

na Olimpii. Zgodnie z zapisami automatycznej stacji kontroli lotów odleciał po tygodniu. Nie ma żadnych zapisów, żeby ten statek pokazał się gdziekolwiek w ciągu roku od tej wizyty. Olimpia ma pas asteroid. Jak myślisz, ile zajęłoby fachowcowi spowodowanie, żeby jeden z okruchów znalazł się na kolizyjnym kursie z planetą? Jakiego rodzaju był ten wybuch wulkaniczny, który zniszczył gospodarke Olimpii?

- Możesz to sprawdzić - powiedziała Kris.

- Na płynnym metalu jest błoto. Sprawdź, czy znajdziesz tam pył kosmiczny. Jeśli będzie za mało, mam puszkę tego w swoim worku podróżnym.

- Młoda damo, jesteś paranoiczką - uśmiechnęła się ciotka.

- Uczę się od najlepszych. - Kris podniosła się z krzesła. - Nelly, zamów taksówkę. Muszę się zobaczyć z dziadkiem Alexem.

Tru potrząsnęła głową.

- Trudniej jest się z nim spotkać niż z premierem.

- Spodziewam się tego, ale potrzebuję kilku odpowiedzi, które znać może tylko dobry, stary Al. Jack, jesteś gotów obronić mnie przed dobrze opłacanymi prywatnymi ochroniarzami?

Zapytany wykrzywił się.

- Według moich danych przepłacanymi.

- Kris, czy mogę stąd iść do domu? - pi-

snął Tommy. – Pamiętaj, że nie lubię broni. Nie lubię wystawnych lunchów. Jestem prostym chłopakiem z Santa Maria.

– Daj spokój, poruczniku, idziemy – zaczęła Kris i zatrzymała się w pół kroku, przypominając sobie przemowę pułkownika Hancocka w ciężarówce. – Tom, jeśli naprawdę chcesz tego uniknąć, nie mam nic przeciwko temu.

Tom dotknął jej czoła.

– Jesteś chora, kobieto?

– Nie, ale pamiętam, co powiedział pułkownik. Czasem zbyt szybko myślę o tym, czego chcę, a zbyt wolno o tym, czego potrzebują inni.

– Dobry Boże. – Tru wyprostowała się na całą wysokość i spojrzała na Kris najpierw prawym okiem, potem lewym, jak ogromny drapieżny ptak. – Czy ty dorastasza, kobieto? Zaczynasz mówić jak dojrzały człowiek. Uważaj z tym. Możesz nigdy nie pójść w ślady ojca, jeśli będziesz się przejmować potrzebami innych. Muszę to przemyśleć, bo nie jestem pewna, czy którykolwiek z twoich przodków cierpiał na tę przypadłość. Niektórzy mieli tylko zadziwiającą zdolność utrzymywania karków o kilka milimetrów wyżej niż ci, których naciskali.

Kris teatralnym gestem wzruszyła ramionami.

– Może na bagnach Olimpii zaraziłam się



odrobiną pokory?

- Nie. - Tru potrząsnęła głową. - Mnie to wygląda na mądrość. Okropny ciężar do uniesienia dla kogoś pochodzącego z twojej upośledzonej rodziny. Jednak - tu ciotka uśmiechnęła się szeroko - skoro wybierasz się na spotkanie z dziadkiem, uważam, że nie nabrałaś jej jeszcze na tyle dużo, żeby popsuło ci to zabawę. A teraz wybaczenie, mam kilka dziur do wypełnienia w ogromnej układance.

- Podjechała taksówka - zameldowała Nelly.

- Tak więc, Jack, ty i ja.

- I ja - dodał Tom.

- Myślałam, że rezygnujesz.

- Hej, człowiek ma przynajmniej prawo powiedzieć coś mądrego, nawet jeśli nie jest na tyle mądry, żeby zachowywać się mądrze. Okay?

Pół godziny później zapłacili taksówkarzowi przy wejściu do Longknife Towers.

Aby tu dotrzeć, musieli przejść przez trzy punkty kontrolne. Na pierwszych dwóch wystarczyły karty tożsamości. Trzeciego nie przeszliby, gdyby Kris nie była poważnym udziałowcem Nuu Enterprises.

Wieże stanowiły tak naprawdę dwa drapacze chmur, połączone u podstawy pasażem mieszczącym restauracje, bary i inne punkty usługowe

dla tych, którzy tu pracowali i mieszkali. Kris słyszała, że dziadek od dziesięciu lat nie opuścił tych budynków. Wiedziała, że to nieprawda. Dziadek regularnie odwiedzał swoje kolonie na orbicie. Ale faktycznie poruszał się o nietypowych porach i zmieniał zwyczaje jak zawodowy szpieg. Początkowo dziewczyna uważała to za ekscentryczne zachowanie starego człowieka, spowodowane wiekiem. Ostatnio zaczęła podejrzewać, że to raczej te ekscentryzmy powodują starzenie się.

Przy punkcie informacji znajdował się posterunek ochrony z kamerą i szóstką mężczyzn w zielonych blezerach. Jeden ze strażników wstał.

- W czym mogę pomóc? - zapytał z uśmiechem.

Kris zignorowała zarówno uśmiech, jak i ofertę pomocy i wraz z oboma towarzyszącymi jej mężczyznami szybko podeszła do szeregu wind. Kilka było otwartych, wybrała najdalszą. Stała na środku między Tomem i Jackiem.

- Poziom dwieście czterdzieści dwa.

- Dziękuję, proszę pani - odpowiedziała winda.

Strażnik biegł, by dopaść zamykającą się kabinę.

Drzwi przestały się zamykać.

- Twoje polecenie zostało uchylone - powiedziała Nelly.

- Znieś uchylenie - rozkazała Kris.

Drzwi dokończyły zamykanie na sekundę wcześniej, zanim bardzo zaskoczony strażnik wsunął w nie ramię. Kris odwróciła się, by sprawdzić, jak sytuację znoszą mężczyźni. Oczywiście Toma były tylko nieco mniejsze niż przy osobistym kontakcie z dudami. Jack zachował kamienną twarz, wyjął tylko z kieszeni spodenek biegowych swoją kartę i odznakę służbową, by móc ich szybko użyć. Dobrze.

Drzwi windy otworzyły się na żądanym poziomie. Kris wraz ze swymi „skrzydłowymi” wyszła na zewnątrz.

O ile sportowe stroje pomagały im się wtopić w tłum w kampusie uniwersyteckim, o tyle tu działały wręcz przeciwnie. Rozmowy milkły, ludzie patrzyli na nich podejrzliwie, ale przede wszystkim szybko schodzili im z drogi. Kris przeszła przez podwójne szklane drzwi do średniej wielkości poczekalni. Recepcjonistka podniosła głowę. Patrząc kobiecie prosto w oczy, Kris podeszła do biurka.

- Czym mogę służyć? - zapytała recepcjonistka chłodnym, profesjonalnym tonem.

- Jestem Kristine Longknife, chcę się spotkać z dziadkiem - odpowiedziała Kris, nie zwalniając marszu.

- Czy jest pani umówiona?

- Nie - odparła Kris i gwałtownie zmieniła kierunek, skręcając ku mało widocznym drzwiom znajdującym się między biurkami.

- Nie może pani tam wejść - krzyknęła kobieta, zrywając się zza biurka, ale było już za późno.

- Owszem, mogę - odpowiedziała dziewczyna i przeszła do następnego foyer. Znajdujący się tam recepcjonista był wielkim mężczyzną i już stał.

- Muszę zweryfikować, czy jest pani tym, za kogo się podaje.

To było uzasadnione. Kris podeszła do biurka, położyła dłoń na szkle i spojrzała w kamerę. Dokonawszy tej formalności, usunęła się na bok, by to samo mogli zrobić towarzyszący jej mężczyźni. Po zatrzymaniu wszystkich trzech intruzów po właściwej stronie biurka mężczyzna usiadł.

Kris wykorzystała ten moment, by poprowadzić swój mały oddział inwazyjny do drzwi znajdujących się za biurkiem.

- Nie może tam pani wejść, dopóki nie skończę weryfikacji kart tożsamości.

- I prawdopodobnie miesiąc później też nie - powiedziała Kris, gdy drzwi zamykały się za nią.

Następny pokój był większy niż dwa po-

przednie razem wzięte. W dywan zapadało się prawie tak głęboko jak w błoto Olimpii. Ściany wyłożono drewnem. Kilka foteli zgrupowanych było wokół hologramu japońskiego ogrodu i wodospadu, poprawka - wokół prawdziwego japońskiego ogrodu i wodospadu. Pokój emanował siłą.

Dokładnie naprzeciw Kris przy marmurowym biurku siedziała starsza kobieta. Po jej obu stronach stało dwóch mężczyzn w jednakowych garniturach. Obaj trzymali broń wycelowaną w Kris.

- Ani kroku dalej - powiedział ten po prawej stronie.

Kris zdecydowała, że choć raz w życiu zrobi to, czego chciał celujący do niej człowiek.

- Mam zamiar podnieść lewą rękę - wolno powiedział Jack. Jego głos był miękki i twardy jednocześnie, w charakterystyczny dla pewnych siebie zawodowców sposób. - Mam tam odznakę i kartę tożsamości.

- Zrób to bardzo powoli - powiedział ochroniarz po lewej.

Kris próbowała powstrzymać żołądek od dzikich podskoków. Dużo łatwiej było stać naprzeciw uzbrojonego faceta, trzymając w dłoniach własne M-6. Czekwała, mając nadzieję, że uda jej się znaleźć właściwe słowa, gdy skończy się ten rytuał macho.

- Jestem agent Jackob Montoya z Tajnej Służby Wardhaven, przydzielony do rodziny premiera. To jest Kristine Longknife, jego córka. Naruszenie paragraf 2CFR, sekcja 204333, grożąc bronią obiektowi będącemu pod ochroną Tajnej Służby. Tylko raz poproszę was o odłożenie broni.

- Starszy agent Richard Dresden z Agencji Pinkertona, Oddział Wardhaven. Wchodząc na teren prywatny, naruszenie paragraf 92-1324 Prawa Powszechnego z 2388 roku, uzupełniony w roku 2422. Zgodnie z sekcją 2.6.12 tego przepisu przy wejściu umieszczona została informacja, że teren jest chroniony przez służby uprawnione do użycia broni. Zostaliście ostrzeżeni, a teraz wynoście się.

- Zdaje się, że dlatego nie macie zbyt wielu spotkań rodzinnych - powiedział Tommy.

- Taaa - zgodziła się Kris. - Zanim tacy panowie skończą wymianę informacji prawnych, sałatka ziemniaczana będzie już nieświeża, a słońce zajdzie i nie damy rady pograć w piłkę.

- To może wpadniesz do Lienów w Święto Lądowania. Pokażemy ci, jak taka impreza powinna się odbywać.

- A wiesz, może spróbuję.

Kris zauważyła, że żartobliwa wymiana zdań nie wywołała nawet cienia uśmiechu u sekretarki i ochroniarzy.

„Istnieje coś takiego jak bycie zbyt profesjonalnym. Wystarczy tego dobrego”.

- Dziadku Al - krzyknęła - tu twoja wnuczka! Wiesz, że to ja, a jeśli nie byłeś pewien, ten gość przy ostatnim biurku miał wystarczająco dużo czasu, żeby sprawdzić cały mój genom! Jak długo jeszcze mam tu na ciebie czekać?

- A czemu tak nagle chcesz spotkać się z dziadkiem, młoda damo? - spytała sekretarka.

- Dziadku - kontynuowała dziewczyna, ostentacyjnie lekceważąc kobietę - naprawdę nie sądzę, żeby wyszło nam na dobre, jeśli wszyscy dokoła usłyszą, czemu dorosła kobieta nagle chciałaby porozmawiać o kilku rodzinnych sekretach! Nie chowasz przypadkiem w szafie kilku kościotrupów, które chciałbyś w niej zatrzymać?

Drzwi po lewej stronie sekretarki otworzyły się. Stał w nich siwowłosy mężczyzna w szarym garniturze. Miał prawie dwa metry wzrostu.

- Panowie, sądzę, że możecie odłożyć broń.

Ochroniarze posłuchali natychmiast.

- Później o tym porozmawiamy - powiedział do sekretarki. Następnie zwrócił się do Kris: - W porządku, młoda damo, skoro zakłóciłaś mi już spokój, mów, o co chodzi?

- Proszę pana - odezwał się grzecznie Jack - mam obowiązek sprawdzić każdy pokój, w

którym ona będzie przebywać sam na sam z kimkolwiek.

- Młody człowieku, naprawdę sądzisz, że mój pokój nie jest najbezpieczniejszym miejscem na tej planecie?

- Dla pana pewnie tak, ale dla niej...? - Jack zawiesił głos.

- Rząd! - westchnął dziadek Al. - Czyń swoją powinność.

Jack wszedł do pokoju, trzymając w dłoniach gadzety, o których Kris nie miała pojęcia, że mogą zmieścić się w kieszeniach szortów i kuloodpornej koszulki. Starszy z Pinkertonów dołączył do niego. Po minucie obaj wyszli.

- Ma pan włączony komputer na biurku i urządzenia nagrywające w każdym rogu - powiedział Jack do starszego mężczyzny, jednak tak naprawdę meldunek adresowany był do Kris.

- Czy mój osobisty komputer ma dokonać pełnego zapisu naszego spotkania? - spytała dziewczyna.

Dziadek zmarszczył brwi.

- Wyłączyć wszystkie zabezpieczenia i nagrywanie, Alfa, Alfa, Zulu, czterdzieści-jedenaście. Zadowolona?

- Wiesz, że Longknifeowie potrzebują do szczęścia o wiele więcej - uśmiechnęła się Kris, wchodząc do pokoju. Był ogromny. Szklane ściany



po obu stronach oferowały lepszy widok na Wardhaven niż apartament Tru. Całe wyposażenie pokoju było szare. Od ścian i mebli po filizankę. Także powietrze wydawało się szare. Jeśli istnieją miejsca kompletnie pozbawione zapachu, to właśnie było zdecydowanie jedno z nich. Dziadek skierował się za biurko, tak jakby chciał, by oddzielało go od wnuczki.

- Tak więc czego chcesz?

- Dziadku, minęło dziesięć, nie, dwanaście lat, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Nie zapytasz nawet, jak się mam?

- Komputer, jak się ma Kris Longknife?

- Kristine Longknife nie przebywa już na terapii. Jej ostatnia wizyta u lekarza związana była z testami medycznymi na zakończenie Studium Oficerskiego. Przeszła je pomyślnie. Ostatnie zdarzenie medyczne to zainfekowane obtarcie podczas zajęć na SO.

- Wiem, jak się masz, więc oszczędźmy sobie tego. O co chodzi? Proszę, nie marnuj mojego czasu, młoda damo.

„Nie wiesz o mnie nawet połowy” - chciała mu odpowiedzieć.

Zamiast tego rzekła:

- Kto chce mnie zabić?

- Komputer, czy odnotowano jakieś próby zabójstwa Kris Longknife?

- Żadnych, proszę pana.

- Trzy, proszę pana - poprawiła komputer

Kris. - Wiem całkiem sporo o jednej z nich. Pozostałe dwie są dla mnie zagadką. Czemu ktoś chciałby mnie zabić?

Dziadek obrócił się na fotelu i spojrzał na panoramę.

- Wydaje się, że masz sprawy pod lepszą kontrolą niż ja. Co powiedziała policja?

Dziewczyna podeszła do marmurowego biurka i oparła się o nie obiema rękami. Wiedziała, że dziadek bardzo tego nie lubił, ale chciała drobnego rewanzu za jego reakcje.

- Policja nie jest zaangażowana.

To wzbudziło uwagę dziadka. Obrócił się, by spojrzeć na Kris.

- Dlaczego?

- Bo nie ma dowodów, że którykolwiek z zamachów miał miejsce. Ojciec twierdzi, że skoro nie ma dowodów, to nie było także zamachów.

- Twój ojciec jest głupim dupkiem.

- On całkowicie odwzajemnia tę opinię.

Starszy człowiek chrząknął, ale bardzo uważnie spojrzał na Kris szarymi oczyma.

- Co pomimo braku dowodów sprawia, że sądzisz, że ktoś chce cię zabić?

Kris usiadła w fotelu i zrelacjonowała mi się odbicia zakładnika. W miarę jak mówiła, zain-

teresowanie dziadka rosło.

- A więc awaria sprzętu pozwoliła ci uniknąć pułapki.

- Chciałam nawet porozmawiać z ojcem na temat jakości sprzętu dostarczanego marynarce, ale zrezygnowałam, gdy uznałam, że właśnie ten sprzęt uratował mi życie.

Dziadek parsknął śmiechem, ale chwilę potem był już uważny i skupiony.

- Dlaczego sądzisz, że to ty byłaś celem tego pola minowego?

- Przechwyciliśmy komputer szefa porywaczy. Tru Seyd rozebrała go na części. Znalazła wiadomość mówiącą, że do misji wyznaczony został okręt, którego się spodziewali, i nakazującą przygotowanie powitania.

- Skąd mogli wiedzieć, gdzie to „powitanie” przygotować?

- Sprawdziłam ostatnie siedem misji ratunkowych przeprowadzonych przez marynarkę. Wszystkie siedem oparte były na nocnym zrzucie prosto na podwórko porywaczy. Mój dowódca zakładał się nawet o jak najkrótszy czas od zrzutu do ostatniego strzału. Myślę, że działania marynarki stały się trochę przewidywalne i ktoś próbował mnie zrobić.

- Uzasadnione przypuszczenia. Co z drugą próbą?

Kris opisała wyprawę na Ranczo Andersonów i to, co stało się z łodzią.

- Tru ma próbki łodzi, które zabrałam. Wysyła je do zaufanych laboratoriów.

- To mógł być wypadek. Ten płynny metal to dość nowa sprawa. Moje stocznie robią z niego okręty wojenne dopiero od pięciu lat. Łodzie... Co za marnotrawienie technologii.

- Z wyprodukowanych pięćdziesięciu tysięcy tylko sześć przekazanych mnie miało ten mały defekt.

To sprawiło, że dziadek usiadł na skraju fotela.

- Kto dostarczył ci te łodzie?

- Smythe-Peterwald.

- Smythe-Petrwald - powtórzył.

- Ano, Smythe-Peterwald. Ranczo Andersonów było poza zasięgiem radia. Jacht Peterwalda cudownym przypadkiem był nad nim, gdy otrzymałam wiadomość stamtąd. Nie opuścił orbity do momentu, gdy znalazłam się na rzece i dokonałam jednej modyfikacji łodzi.

- Gdy następny raz dotknęłaś panelu kontrolnego...?

- Łódź się rozpłynęła.

- Peterwaldowie! - ryknął dziadek jak ranne zwierzę.

- Do kogo poszedłeś, żeby pożyczyć pie-

niądze na okup za Eddy'ego?

Pytanie Kris zmroziło dziadka.

- Dlaczego miałbym iść do kogokolwiek?

- Kapitał to jedno, płynne środki finansowe drugie. Prześledziłam nasze konta. Twoje i ojca pieniądze ulokowane były w spółkach. Twój brat Ernie posiadał korporację intensywnie inwestującą w rozwój nowych planet, ekspansję i wzrost. Nie sądzę, żeby którykolwiek z was dysponował tak ogromną gotówką, jakiej potrzebował mój ojciec.

- To nie ma znaczenia. Edward nie żył już, zanim otrzymaliśmy żądanie okupu.

- Ale ani ty, ani ojciec nie wiedzieliście o tym. A ja nie przypuszczam, żeby goście, którzy zostali zorganizowani do porwania Eddy ego, mieli zamiar kontaktować się z głupim i głupszym.

- Zorganizowani, a nie wynajęci?

- Nie poszliby do więzienia, gdyby cokolwiek wiedzieli. Porywacze nie potrzebowali żadnych pieniędzy. Ci goście na Sequimie też nic nie wiedzieli, z wyjątkiem ich szefa. Miał atak serca, zanim zaczął śpiewać.

- Atak serca - powiedział wolno dziadek.

- Jak kierowca ciężarówki, który zabił babcię Sarę - rzuciła Kris.

Dziadek wyglądał, jakby to on został ude-

rzony przez ciężarówkę. Albo precyzyjniej, jakby ponownie zobaczył ciężarówkę, która go uderzyła.

- To był wypadek - szepnął. - Widziałem, jak nadjeżdża, ale nie mogłem już nic zrobić. Próbowałem. Od pięćdziesięciu lat widzę tę ciężarówkę w koszmarach. Zawsze mam nadzieję uciec, nigdy się nie udaje. - Potrząsnął głową. - Zrobili autopsję kierowcy. Nic nie wykazała. Ani prochów, ani alkoholu, nic.

- Dziadku, próbki krwi pobrali po kilku godzinach. Istniały już wtedy narkotyki zdolne wyparować przez ten czas.

- A Peterwaldowie zawsze byli znani ze swoich powiązań z podziemiem narkotykowym - westchnął. - Smythe-Peterwald Jedenasty był na Wardhaven, gdy po rwno twojego brata. Wiesz, że jego syn chodził z twoim ojcem do szkoły. Nawet randkował z twoją matką.

- Ona nie pozwala mi o tym zapomnieć. Nalega, żebym powtórzyła to samo z synem.

Dziadek skrzywił się.

- Peterwald zaoferował pieniądze. Powiedział, że o szczegółach możemy porozmawiać później. A potem policja znalazła farmę z kupą nawozu, z której wystawała zardzewiała rura. Tak czy inaczej, nie potrzebowałem pieniędzy. Wtedy odszedłem z rządu. Jesteś tam zbyt widocz-

nym celem. Zrezygnowałem i zadbałem, żeby zawsze mieć wystarczającą ilość pieniędzy w razie nagłej potrzeby. Wystarczająco dużo, żeby zbudować wokół siebie mur nie do pokonania. Mówiłem synowi, żeby też zrezygnował. A ten idiota wystartował w wyborach i zajął moje miejsce.

- Myślisz więc, że za tym wszystkim stoją Peterwaldowie?

- Zawsze było dużo złej krwi między nimi a moim ojcem. Ray może być wspaniałym generałem i prezydentem, ale gdzie się odwrócił, stąpał Peterwaldom po odciskach. Zamknął kilka planet, w które zainwestowali, kiedy wypadły ze sfery zainteresowania świeżo podpisanego traktatu z Wardhaven. Jeśli wierzyć plotkom, zlikwidował trasy przerzutu narkotyków.

- A ty wierzysz?

- Ray wierzył, że zamyka Peterwaldów. Jak by to powiedział twój ojciec, jeśli nie możesz czegoś udowodnić przed sądem, nie miało to miejsca.

- Zaczynają mnie już trochę męczyć próby zabicia mnie przez coś, czego nie można udowodnić przed sądem, dziadku.

- Kieruj się prosto na Peterwaldów.

- Trochę mi trudno. Jestem tam, gdzie wysłał mnie marynarka.

- Zrezygnuj. Wróć i pracuj dla mnie w tej

wieży. W promieniu dwudziestu kilometrów nic się nie ruszy bez mojej zgody. Stworzyłem sobie fortecę z ludzi, którzy wierzą w to samo co ja, są dobrze opłacani i mogliby za mnie umrzeć. A ty co masz?

- Jacka, tam, na zewnątrz. Aż do mojego powrotu do służby.

- Byłabyś tu bezpieczna, nawet naszych dzieci nie wysyłamy na zewnątrz, z wyjątkiem nieogłaszanych nigdzie wycieczek, które i tak odbywają się pod silną ochroną. Nie ma lepszego miejsca do wychowania dziecka.

- Brzmi zachęcająco, ale na razie nie mam dzieci. Pomyślę o tym, gdy będę je miała.

- Jeśli dożyjesz.

- Taki mam zamiar, dziadku.

Komputer na biurku odezwał się alarmująco.

- Kris - powiedziała Nelly - mam nadzieję, że wybaczysz, że przerywam, ale Ziemia właśnie ogłosiła, że wysyła na Wardhaven potężną flotę wojenną.

- Co? - zabrzmiało z obu stron biurka.

- Wygląda na to, że za późno na moją rezygnację - westchnęła Kris.

- Dobry Boże, czy na Ziemi stracili rozum? Ziemiańska flota wojenna tu, w Światach, to gotowy casus belli.



- Myślałam, że biznes potrzebuje wojny, a przynajmniej przełamania - Kris próbowała sprostować dziadka, ciekawa jego odpowiedzi.

- Ziemia jest naszym największym partnerem handlowym. Po co mi urzędy celne między mną a odbiorcą moich towarów? Wojna miesza mi całe plany biznesowe. Żaden logicznie myślący biznesmen nie chce wojny.

Nelly ponownie im przerwała:

- Oficjalny raport z Ziemi twierdzi, że flota przybywa na Wardhaven, by wziąć udział w oficjalnych uroczystościach rozwiązania Stowarzyszenia Ludzkości.

- Nie potrzeba floty bojowej, żeby ściągnąć flagę. - Mężczyzna potrząsnął głową. - Wiem, że Ziemianie siedzą teraz wystraszeni, zastanawiając się, w co nasi ekspansjoniści mogą wdepnąć, gdy wyjdą poza Galaktykę. Czy Ziemia chce nas siłą zatrzymać w Stowarzyszeniu? - zastanawiał się dziadek.

- Ale stanowią tylko frakcję, tak jak nasi ekspansjoniści. A może ta flota jest faktycznie tym, czym twierdzą, że jest.

- Cokolwiek Ziemianie chcą nam przekazać, zabierają się do tego bardzo źle.

- Ponownie przepraszam - wzięła się Nelly. - Cały personel ma się stawić na służbie.

- Dziękuję ci, Nelly - powiedziała Kris, pa-

trząc na dziadka. – Tylko której marynarki?!

## ROZDZIAŁ 19

Trzy godziny później Kris miała już spakowany worek podróżny i schodziła z Tomem głównymi schodami Starego Nuu. Za kolejne trzy zakontraktowany wahadłowiec miał opuścić Wardhaven i zawieźć ich do High Cambria. Powinni się znaleźć na pokładzie „Tajfun” w ciągu dwóch dni.

Gdy mijali foyer, marines nadal stali przy otwartych drzwiach biblioteki. Kris zwolniła nieco. Tak, dziadkowie Ray i „Kłopot” byli w środku, otoczeni gwiazdkami i orłami. Byli tam także cywile. Dziewczynie wydawało się, że w kącie przy stanowisku komputerowym siedzi Tru. Wierząc, że ludzkość jest w dobrych rękach, dziewczyna skierowała się do drzwi głównych.

- Proszę chwilę zaczekać, poruczniku! - zabrzmiał dowódczy głos generała Tordona.

Ponieważ nie należała do sztabu, Kris nie zwróciła uwagi na komendę.

- Mam na myśli panią, poruczniku Longknife. Stać!

Zatrzymała się.

- Powiem Harveyowi, żeby zaczekał - powiedział Tom i wyszedł.

- Gdzie się udajesz? - spytał dziadek, gdy znalazł się w zasięgu normalnego głosu.

- Na swój okręt - odpowiedziała i spytała, nie mogąc opanować niepokoju drążącego każdego marynarza: - Będzie wojna?

- Twój tata ma mnie i Raya oraz mnóstwo innych wspaniałych ludzi, którzy pomogą mu nie dopuścić do tego.

Stali tak oboje, rozważając obawy i nadzieje wynikające z tego, co powiedział generał. „Kłopot” przygryzł dolną wargę.

- Słuchaj, Kris, tworzymy tutaj sztab. Wszystkie okręty zdolne latać powoływane są ponownie do służby. Wciągnęli nawet mojego starego „Pattona”. Pokręć się przy sztabie przez jakiś tydzień, a znajdzie się jakieś stanowisko zastępcy dowódcy okrętu na niszczycielu albo coś w tym stylu. Dla Toma także.

Kris zmusiła się, by równo oddychać. Czy dziadek próbował uchronić ją i Toma przed niebezpieczeństwem? Było aż tak źle?

- Czy flota ziemska to faktycznie siły inwazyjne?

Stary generał tylko wzruszył ramionami.

- Bóg raczy wiedzieć, ale On nie gada, przynajmniej do mnie. Nie, nie wiemy, która z ziemskich frakcji przeważa. Tyle tylko mamy wiedzy, ile jej jest w wiadomościach.

Brak informacji wyraźnie mu się nie podobał.

Kris wzięła głęboki oddech i potrząsnęła głową.

- Dziadku, „Tajfun” jest może niewielkim okrętem, ale to najlepsza jednostka, jaką macie. Tam, gdzie zostanie wysłana, na pewno będzie bardzo potrzebna. Może nie mam wielkiego doświadczenia, ale jestem lepsza niż świeżak, który przyszedłby ewentualnie na moje miejsce. A poza tym teraz moja kolej przy armatach!

- Uważaj, dzieciaku!

- Znaczy mam nie robić nic, co ty byś zrobił?

Dziadek przełknął ślinę.

- Nie rób nic głupiego. Nasze rodziny mają już pełną kolekcję medali. I pamiętaj, połowa z tego, co piszą w książkach, to kłamstwo.

- A może tylko autorzy nie dysponowali wiadomościami z pierwszej ręki. Następnym razem, jak będę w domu, to może opowiecie mi z dziadkiem Rayem kilka historii?

- Umowa stoi, poruczniku. Wracasz do domu i mamy długą pogawędkę.

W tym momencie Kris odkryła, że młoda podporucznik może uściskać generała, a jeśli któryś z marines albo innych żołnierzy ma na ten temat inne zdanie, jedyne, co może zrobić w tej sytuacji, to podpór przodem i pięćdziesiąt pompek. Liczonych osobiście przez starego generała.

Kris na czas dotarła do windy prowadzącej do Portu Wardhaven. Obsługiwani byli tylko wojskowi. Kris udało się zająć ostatnie miejsce siedzące. W chwilę potem ustąpiła je komodorowi Sampsonowi, który przybył w ostatnim momencie. Stojąc, dziewczyna przypominała sobie, że przepisy zabraniają przewożenia windą większej liczby pasażerów, niż jest miejsc siedzących. Widać dziś przepisy nie obowiązywały.

„Happy Wanderer” został świeżo zaadaptowany z liniowego statku pasażerskiego na pomocniczy okręt transportowy. Kris miała szczęście. Trafił jej się jednoosobowy pokój. Dwaj podporucznicy po drugiej stronie korytarza takiego szczęścia nie mieli. Mieli jedno łóżko na dwóch. Niemniej w rogu pokoju Kris znajdowała się dodatkowa koja. Dziewczyna czekała więc, by zobaczyć, z kim będzie podróżować. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy w drzwiach pojawiła się chorąży Bo.

- Nie wiedziałam, że chorążych wysłali na plażę.

- Nie wysłali, odwiedzałam siostrę - odpowiedziała Bo, rzucając swój worek i rozglądając się podejrzliwie, jak gdyby doszukując się nieprawidłowości. - Czy nikt nie mówił tym ludziom, że chorążowie i oficerowie nie powinni mieszkać razem?

- Podejrzewam, że jeśli uda im się nie mieszać mężczyzn i kobiet, to i tak będą bardzo zadowoleni.

- Taaa. - Chorąży położyła się na koi. - Które łóżko pani woli, pani porucznik?

- Wezmę dostawkę. Przy dwóch g młode plecy lepiej to wytrzymają.

Bo rzuciła Kris podejrzliwe spojrzenie, ale nie skomentowała. Przy rozpakowywaniu spytała:

- Słyszała pani coś o wojnie?

- Kilku dobrych ludzi bardzo się stara, żeby nie wybuchła. A pani co słyszała?

- Nie musiałam ostatnio płacić za piwo. Wielu młodych krzykaczy twierdzi, że musimy pokazać Ziemiańcom. Oczywiście żaden z nich nie leci tym transportem.

- Zaciągają rekrutów?

- Niewielu przyjdzie. Okręty mają za mały tonaż. - Bo chrząknęła i spoważniała. - Widziałam Raya Longknifea i generała Tordona. To o tych dobrych ludziach pani mówiła?

- Nie zaprzeczyłabym przyjacielowi, nie potwierdziłabym obcemu - powiedziała wymijająco Kris.

- Pani staruszek odgrywa polityczny taniec. Słuchałam go trochę i nie jestem w stanie powiedzieć, czy jest za, czy przeciw wykopaniu tej floty z naszej przestrzeni.

- Próbuje osiągnąć konsensus.

- To niech się lepiej pośpieszy, bo jak słyszałam, ziemską flotą jest już w drodze.

Kris opadła na kolę.

- To szaleństwo. Tak, Ziemia ma mnóstwo dużych okrętów z wielkimi działami, ale żaden z nich nie był używany od czasów wojny z Iteeche, siedemdziesiąt lat temu. Na studiach miałam kolegę z Ziemi. Jego ojciec prowadzi hutę na orbicie. Raz w roku on i jego pracownicy zbierają się na tych pancernikach na coroczne przeszkolenie. Jak to opisywał kolega, wchodzą na pokład, sprawdzają, czy nadal jest tlen i czy wszystkie kontrolki świecą się na zielono. Jeden Bóg wie co by zrobili, gdyby któraś zaświeciła na czerwono. W razie powołania z rezerwy ojciec kolegi byłby wiceadmirałem. Większość brygadystów z huty komandorami. To wszystko jest wielkim przedstawieniem. Gdyby przyszło co do czego, „Tajfun” jest w stanie spopielić cztery takie karawany bojowe bez specjalnego wysiłku.

- Ale takie karawany, jak to pani określiła, zmieniały w popiół całe planety podczas wojny z Iteeche. Nie chcę ich nad Wardhaven, nie nad głowami mojej siostry i siostrzeńców.

- Przygotować się do dwóch g, czas pięć minut - rozległo się z głośników.

- Pomogę pani przygotować kolę - zaofe-



rowała Bo. – Nie mamy za wiele do roboty przez najbliższe dwa dni. Chcę więc pospać. Nie będę ryzykować kręgosłupa przed pierwszym ostrym strzelaniem w karierze. A znając komandora Thorpea, będzie się czepiał wszystkiego. Wątpię, czy uda nam się pospać choćby godzinę między zameldowaniem się na mostku a... mniejsza z tym.

Kris poszła za przykładem starszej koleżanki, łapiąc drzemkę, oglądając wiadomości i odświeżając sobie instrukcję swojego stanowiska bojowego.

Podróż z Cambrii na Wardhaven zajęła im cztery dni. W drugą stronę lecieli tylko dwa. Ale to nadal było zbyt długo dla komandora Thorpea.

– Co wam tak długo zeszło? – brzmiało powitanie na mostku.

– Przeklęty liniowiec nie chciał przyspieszyć powyżej dwóch g – odpowiedziała podporucznik, zajmując miejsce przy swoich systemach obronnych. – Wie pan, jacy są cywile.

– Jak to się stało, że wy dwoje nie wyrwaliście się z „linii”? – spytał zastępca.

Kris powstrzymała chęć gwałtownego protestu.

Komandor Thorpe spojrział jej prosto w oczy.

– Dziwię się, że chciało się pani fatygować do nas, poruczniku Longknife. Myślałem, że zała-

pie się pani na ciepłą posadkę w sztabie.

- Zaproponowano mi jedną, panie komandorze. Odrzuciłam.

Skipper uniósł brwi i spojrział na zastępcę.

- A więc kiedy zacznie się strzelanie, chce pani być na najlepszym okręcie we flocie.

- Powiedziałam generałowi, który oferował mi posadę, że jeśli chce, żeby najlepszy okręt pozostał najlepszym, nie może rozbijać zgranej załogi.

- Okay - powiedział komandor i wydawało się, że naprawdę cieszy się z obecności Kris. - Podoba mi się pani opinia, którą otrzymałem z Olimpi.

- Pułkownik Hancock przesyła pozdrowienia, panie komandorze.

- Porządny facet. Szkoda, że mu się podwinęła noga. Twierdzi, że doskonale sobie pani dała radę w kilku ostrych strzelaninach.

- Staralam się.

- Gotowa zniszczyć ziemskie pancerniki kierujące się na Wardhaven?

Kris wzięła głęboki oddech.

- Tak, panie komandorze - odpowiedziała krótko, zgodnie z oczekiwaniami dowódcy. Jakiegokolwiek modlitwy o to, by nie doszło do wojny, były nie na miejscu na stanowisku dowodzenia okrętu wojennego.

- Dobrze, zamierzam panią i porucznika Liena obsadzić na wyrzutniach.

- Nie zostałam przeszkolona do obsługi broni pokładowej, panie komandorze.

- O ile mnie pamięć nie myli, nikt na tym okręcie nie ma realnego doświadczenia bojowego. Ale pani będzie je miała. Lien, do mnie. Zobaczmy, jak Longknife radzi sobie ze strzelaniem.

Kris udała się więc na stanowisko bojowe, znajdujące się tuż przed pozycją dowódcy. Tom, kierując się na stanowisko osłony, wcale nie czuł ulgi. Kris nigdy nie mówiła Hancockowi o problemach kolegi ze strzelaniem. Tym mniej prawdopodobne było, by wiedział o nich komandor.

Thorpe zsynchronizował broń, ster i osłonę do trybu symulacji. Wrogowie pojawiali się dokładnie w zasięgu broni „Tajfun”. Kiedy dziewczyna spytała, jak to się dzieje, dowódca odpowiedział:

- Moim zadaniem jest naprowadzić cię na cel. A ty masz go rozwalić.

Tak więc Kris, Tom i nowy podporucznik, Addison, przeszli przez symulację, skręcając, manewrując, uciekając, goniąc, do momentu, w którym przeciwnicy stali się gwiazdnym pyłem, a ręce Kris niemalże zrosły się z pulpitem.

- A teraz zrobicie to jeszcze raz.

Poza mostkiem Kris słyszała, jak załoga

trenuje wszelkie możliwe procedury, począwszy od rozszczelnienia kadłuba, aż do awarii zasilania silników. Tylko raz odbyły się ćwiczenia opuszczania okrętu, widać dowódca nie bardzo lubił tę procedurę. Na mostku Kris dawała z siebie wszystko, wyszukując wrogie cele i przenosząc na nie promień lasera.

Zegar okrętowy wskazywał bardzo późną godzinę, gdy zeszła ze stanowiska.

Pobudka następnego dnia była o piątej rano. Kris wykąpała się, ubrała, przełknęła śniadanie i o szóstej zero zero zameldowała się na mostku.

I znów zaczęły się symulacje.

- Za długo zajmuje ci strącanie tych chrząszczy. Chcę, żeby piętnaście minut od pierwszego kontaktu wszystkie były zniszczone. Addison, bądź bardziej agresywny.

Longknife, za bardzo się wstrzeliwujesz, marnujesz energię na obramowanie celu. Ognia!

„Łatwiej powiedzieć, niż wykonać” - chciała powiedzieć Kris. Trzymała jednak język za zębami, tylko w następnym podejściu chwilę dłużej analizowała zachowanie przeciwnika. „Tak, skipper zrobił z nich takich samych kozaków, jakim był on sam”. Następne dwa podejścia przeciwnika były bardzo szybkie. Kris niszczyła go pierwszymi strzałami.

- Dobrze, poruczniku. Myśl tak jak oni.

- Tylko jeśli przyjąć, że rzucają nam się do gardła - zaryzykowała.

- Jeśli tego nie robią, to jest ich pogrzeb.

Na wojnie jest tylko jedna zasada. Uderz pierwszy, uderz mocno! Wszystko inne tylko produkuje większą ilość wdów po naszej stronie.

- Tak jest, panie komandorze - odpowiedziała Kris w jedyny akceptowalny przez niego sposób.

- Kiedy ruszamy na flotę Ziemi? - spytał Addison.

- Gdy tylko otrzymamy rozkaz - upewnił go dowódca. - Te stare ziemskie okręty lecą wystarczająco wolno, żeby można je było dopaść.

- Słyszałem, że mają problemy z maszynami - uśmiechnął się zastępca. - Musieli zwolnić do połowy g, żeby się nie rozsypały.

- Ale jeśli choć jeden z nich przedostanie się na orbitę, nie będzie już Wardhaven, windy kosmicznej ani nikogo na dole - dodał komandor.

„Oczywiście - pomyślała Kris - Ziemia zwolniła swoje okręty do połowy g, aby dać politykom więcej czasu na rozwiązanie problemu”. Dziewczyna zatrzymała tę myśl dla siebie. Służyła na okręcie bojowym, a jej zadaniem była obrona Wardhaven. Skipper ostrzył czubek swej włóczni jak tylko mógł najlepiej. Kris nie miała zamiaru

robić niczego głupiego.

\* \* \*

W południe, gdy załoga była na stołówce, Thorpe nakazał Tomowi konwersję „Tajfuna” do konfiguracji bojowej.

- Longknife, patrz mu przez ramię. Nie chcę spędzić następnego tygodnia, szukając schowka na mopy. - Skipper patrzył przy tym na zastępcę, więc Tom nie stracił uśmiechu. Pracował jednak wolno i metodycznie pod nadzorem Kris. Przeszedł całą procedurę kontrolną bez pomocy. To była standardowa zmiana, wykonywana dość często, powinna więc przebiec bez zakłóceń.

- Jesteśmy gotowi, panie komandorze - zameldował.

Dowódca przekazał polecenie wachtowemu.

- Uwaga, wszyscy! Przygotować się do rekonfiguracji. Zmiana dyżurna na stanowiska!

- Do roboty, poruczniku!

Tommy rozpoczął wstukiwanie poleceń na klawiaturze. Stołówka pozostała na miejscu. Zmniejszył się przedział silnikowy. Następnie dwuosobowe kabiny marynarzy zamienione zostały w ośmioosobowe. Szerokie korytarze stały się wąskimi przejściami. Tym sposobem średnica kadłuba zmniejszyła się o połowę. Na koniec skurczyła się przestrzeń między przedziałem silnikowym a

resztą okrętu, który stał się o dobre dwadzieścia metrów krótszy.

- Teraz „Tajfun” to prawdziwy okręt wojenny i cholernie mały cel - ryknął radośnie komandor. - Wachtowy, proszę nakazać wszystkim sprawdzenie, czy jakieś komponenty nie zniknęły. Wszelkie usterki zgłaszać do porucznika Liena. Lien, gdyby coś było nie na swoim miejscu, nie trać czasu na rekonfigurację. Podoba mi się rozwiązanie Longknife. Opróżnić dane miejsce, wykasować je i odtworzyć tam, gdzie być powinno.

- Tak jest - odpowiedział Tom, puszczając oczko do Kris. Może nawet bez raportu Hancocka zdążyła już sobie wyrobić dobrą markę u dowódcy.

Thorpe wstał.

- Załoga mostka, trzydzieści minut przerwy na posiłek. Łatwe zadania poszły wam całkiem nieźle. Zobaczmy, jak dacie sobie radę ze skomplikowanymi.

Zastanawiając się, czy wirtualni przeciwnicy mogą stać się jeszcze gorsi, Kris poszła sprawdzić swoją kabinę. Wszystko było na miejscu, więc razem z chorąży Bo poszły zobaczyć, jak sytuacja wygląda u kobiet szeregowych. Tu także nic nie brakowało. Chyba tylko zwykłych narzekań na ciasnotę.

- Boją się, że tym razem to wszystko dzie-

je się naprawdę – mruknęła Bo, gdy wyszły.

Kris dotarła na spóźniony lunch. Zmniejszony okręt posiadał teraz tylko jedną małą mesę. Większość załogi już zjadła, wyjątek stanowiły obsady mostka i maszynowni. Zastępca dowodził stolikiem w głębi. Komandor podporucznik Paulus, szef mechaników, otoczony przez swoich podwładnych, siedział tak daleko od zastępcy, jak tylko było to możliwe. Tommy dołączył do techników i najprawdopodobniej wdał się w dyskusję o nanotechnologii.

Powstrzymując westchnienie, Kris zajęła wolne miejsce przy stoliku z.d.o. Znalazła się pomiędzy oficerem łączności a porucznikiem, który wraz z zastępcą pełnili na zmiany ośmiogodzinne wachty.

Kris i pozostali dwaj podporucznicy także powinni pełnić takie dyżury jako asystenci. Tak by było, gdyby „Tajfun” posiadał pełną, piętnastoosobową obsadę oficerską. W czasie ostatniego rejsu dziewczyna pełniła służby, zmieniana często przez chorążych.

- To co, na Olimpii było dość gorąco? - zagaił zastępca, gdy dziewczyna siadła.

- Mieli problem z bandytami - odpowiedziała po prostu.

- I już go nie mają? - spytał łącznościowiec.



- Zlikwidowaliśmy kilku przywódców. Nakarmiliśmy głodujących. I po problemie.

- Ładne podsumowanie czegoś, co jak sły-  
szałem, było sporą bitwą - nalegał z.d.o.

- Faktycznie robiło się czasem bardzo go-  
rąco - zgodziła się.

- Ma pani nadzieję, że i tu stanie się bar-  
dzo gorąco? - dołączył porucznik.

W miniaturowej hierarchii „Tajfuna” był  
on przełożonym wszystkich oficerów młodszych z  
wyjątkiem służb technicznych, czyli szefem Kris.

- Mam nadzieję, że przewagę zdobędą  
chłodne głowy.

- Boże, uchowaj nas przed chłodnymi gło-  
wami - rzucił łącznościowiec.

- Tego należało się spodziewać od lat - po-  
wiedział z.d.o. - Biurokraci z Ziemi prowadzili  
nas na łańcuchu. Mówiąc to. Mówiąc tamto.  
Czas, żebyśmy zaczęli robić, co chcemy, a nie co  
nam nakazują przepłaceni wygrzewacze foteli.

Kris nie musiała na to odpowiadać, skon-  
centrowała się więc na jedzeniu. Zastępca wypeł-  
niał ciszę bardzo znajomymi argumentami za woj-  
ną. Racjonalnie, według Kris, nie prowadziły one  
do niczego. Ale czy doktor Meade nie uprzedzał  
jej klasy, że wojny bardzo rzadko mają racjonalne  
podstawy? W grę wchodzi przede wszystkim emo-  
cje. Kris notowała wtedy, ale nie była specjalnie

przekonana o co do słuszności jego opinii. Teraz zaczynała sobie uświadamiać, że doktor chyba wiedział, o czym mówi.

Skończyła jedzenie i podniosła tacę.

- Gotowa strącić kilka ziemskich antyków? - spytał z.d.o.

- Zestrzelę wszystko, co skipper ustawi mi w zasięgu - odpowiedziała.

- Dobrze, poruczniku, bardzo dobrze - podsumował zastępca z szerokim uśmiechem.

\* \* \*

Komandor Thorpe był na mostku, gdy Kris wróciła. Miał przygotowane symulacje, które rzeczywiście sprawiły, że ranek wydawał się łatwy. Popołudnie było długie. Gdy tylko dowódca ją zwolnił, dziewczyna natychmiast udała się do swojej kabiny. Chorąży Bo już chrapała.

Następnego dnia o szóstej Kris tkwiła już za konsolą. Skipper siedział na swoim miejscu, wyraźnie nie zwracając uwagi na podwładnych sprawdzających swoje stanowiska.

W pewnym momencie dowódca wcisnął przycisk komunikatora, nie patrząc na nikogo.

- Tu dowódca. Szósta Flotylla Szturmowa i „Tajfun” otrzymały rozkaz udania się do systemu Paris. Tam nastąpi spotkanie z resztą floty Wardhaven i innych planet gotowych stawić czoła zagrożeniu z Ziemi. Od tego momentu uważam

okręt za znajdujący się w stanie wojny.

- Nelly? - spytała bezgłośnie Kris.

- Media donoszą, że flota Ziemi i ponad stu innych planet mają się spotkać w systemie Paris w celu oficjalnego rozwiązania Stowarzyszenia Ludzkości. Paris jest prawie całkowicie niezamieszkałym systemem z niezwykle dużą ilością punktów przerzutowych stworzonych jeszcze przez kosmitów.

- Odłącz zwykłą paplaninę mediów - powiedziała dziewczyna, czując, jak zaciska jej się żołądek. - To będzie spotkanie pokojowe, prawda?

- Komentatorzy są rozbieżni w wypowiedziach, od wojny po pokój.

- Co mówi premier?

- Określa to jako pokój naszych czasów. - Kris pamiętała, że to cytat, poszukała w pamięci. Wynik wcale jej się nie podobał.

- Mam potwierdzenie - ogłosił dowódca. - Możemy lecieć. Wy troje, zabieramy się za naprawdę trudne symulacje.

Kris powróciła do pracy na resztę dnia. Z bolącymi dłońmi i ramionami padła na łóżko i zasnęła, zanim zdążyła zdjąć buty.

Następnego ranka chorąży Bo myła już zęby, gdy Kris się obudziła.

- Przespała pani pobudkę - powiedziała

starsza kobieta. – Wie pani, że ruszała przez sen rękoma?

– Śniłam scenariusze bitewne.

– No to przechodziła je pani na ostro.

Kris rozebrała się, weszła pod prysznic i siedziała tam pół minuty, kiedy uświadomiła sobie, czego jej brakowało. Chwytnąc ręcznik, spytała Bo:

– Pamięta pani przejście przez przerzut dziś w nocy?

– Nie, ale przejścia zawsze mnie budzą. Nieważne, jak jestem zmęczona, po czymś takim mam resztę nocy z głowy.

– Nelly, czy w nocy ogłaszany był skok?

– Ten okręt nie opuścił jeszcze systemu Cambria.

Kris uniosła rękę, oceniając jej wagę.

– Jedno g, może trochę więcej.

– Jeden i dwadzieścia pięć setnych g.

Dziiiiiz. Myślałam, że wy na mostku o wszystkim wiecie pierwsi.

– Skipper musiał wydać rozkaz, gdy siedziałam głęboko w symulacji. Powinniśmy być przy jednym z pięciu standardowych punktów kilka godzin temu.

– Chyba ich nie używamy. Słyszałam, że ma być wojna albo coś – powiedziała chorąży. – Może nie byłoby głupio użyć tych mniej oczywi-

stych?

- Racja - zgodziła się Kris. Dowódca ogłosił, że okręt jest w stanie wojny, a ona wciąż myślała pokojowymi schematami. - Nelly, monitoruj przyspieszenie okrętu i daj mi znać, którego punktu używamy.

- Jasne.

Dzień wypełniony symulacjami minął Kris bardzo szybko. Cele poruszały się szybciej, kłucząc i zygzakując. Pojawiły się też okręty sprzymierzone, których ruchy należało monitorować. Ekran wypełniły się także planetami i ich księżycami, zakłócając polami grawitacyjnymi manewrowanie.

- Cholera, Addison, przesadziłeś z przyspieszeniem. Minęliśmy tych drani tak szybko, że nie było szansy na zwrot.

- Przepraszam, panie komandorze, widziałem ich i poszedłem w pościg.

- To dobry manewr głęboko w kosmosie. Ale walki, prawdziwe walki toczą się w pobliżu miejsc, o które warto się bić. Dziewięć na dziesięć bitew z Unią i Iteeche odbyło się w odległości mniejszej niż dwieście tysięcy kilometrów od planety. Naucz się współpracować z grawitacją, młody, albo znajdę kogoś, kto to potrafi.

- Tak jest.

- Longknife, dlaczego chybiłaś, kiedy obok

nich przechodziliśmy?

- Stosunek zbliżenia i stosunek zamiany przy strzale defiladowym przekraczał możliwości systemu.

- Nie pytam, dlaczego komputer nie strzelił, pytam, dlaczego ty nie strzeliłaś?

Nie chciała mówić, że oszczędzała energię lasera. To nie była odpowiedź oczekiwana przez skippera.

- Nie mam wytłumaczenia.

- Ta odpowiedź może powstrzymać mnie od przegryzienia ci grdyki, ale nie powstrzyma przeciwnika od przecięcia tego okrętu na pół i wyekspediowania twoich kolegów w próżnię. Widzisz czysty strzał, to strzelasz. A budżetem energetycznym ja się martwię. Zrozumiano?

- Tak jest.

Kris zauważyła, że znikły eufemizmy Okręty Ziemi to nieprzyjaciel - jasne i proste. W jej przepelnionym symulacjami mózgu coraz trudniej znaleźć można było miejsce na słowa dziadka, że robią wszystko, by do tego nie doszło. Za to ręce młodej podporucznik umiały coraz więcej. Całe dnie operowały laserami okrętu, nic dziwnego, że w nocy robiły to samo. Jak dobrze wy trenowany automat, reagowała odruchowo. To było to, czego oczekiwał Thorpe. Potwierdzały to szybkie uśmiechy pojawiające się na jego twarzy.

Nie było ich zbyt wiele po południu, kiedy wektory grawitacji rzucały symulowanym „Tajfunem” na lewo i prawo, uniemożliwiając Kris czysty strzał. Gdy weszła do kajuty wieczorem, wyglądała jak zombie. O dziwo, Bo jeszcze nie spała.

- Załoga zaczyna się niepokoić - powiedziała chorąży, gdy Kris zdejmowała przepocony mundur. Bo odebrała go od niej i przepuściła przez oczyszczacz. - Skipper nie umieścił trasy okrętu na ekranie głównym.

- To praktyka pokojowa - mruknęła Kris, wciągając koszulę nocną. - Jesteśmy na wojennej ścieżce.

- Tak, ale czy trochę nie przesadzamy?

- Zna pani Thorpea lepiej niż ja. Ale z mojego punktu widzenia nie można mu nic zarzucić.

- Dziś rano wykonaliśmy skok, zauważyła pani?

- Nie miałam okazji. Nelly, którego punktu użyliśmy?

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent India.

„India!” Kris poderwała się rozbudzona. Alpha, Bravo, Golf - to były najczęściej używane punkty przerzutowe systemu. India nie była użyta nigdy dotąd.

- Jaki jest współczynnik bezpieczeństwa dla Indii?

Punkty przerzutowe różniły się w zależności od tego, czy opasywały dwie, trzy, czy więcej gwiazd. Im więcej ich było, tym większe prawdopodobieństwo wysłania pojazdu w nieznane. Statki pasażerskie używały tylko punktów klasy A i B. Marynarka wojenna sięgała do punktów o współczynniku C i D.

- Punkt przerzutowy India w systemie Cambria ma współczynnik F.

- Jesteśmy na wojennej ścieżce - westchnęła Bo, kładąc nacisk na pierwsze słowo.

- Nelly, zasymuluj najkrótszą drogę z Indii do systemu Paris i pokaż na wyświetlaczu.

Hologram wyskoczył znad ramienia Kris i zatańczył między dziewczyną a Bo. Trzy długie skoki wyniosły ich poza przestrzeń ludzką, co samo w sobie stanowiło naruszenie traktatu z Wardhaven. Ostatni zaprowadził ich tam, gdzie chcieli być.

- Przybędziemy do punktu Kilo w systemie Paris. Nie był on ostatnio używany. Przyjmując, że znajduje się nadal w odległości do pięćdziesięciu tysięcy kilometrów od swojego ostatniego położenia, zanieś nas to tutaj.

Hologram rozszerzył się, ukazując system Paris. Pięć słońc wykonywało wokół siebie dziki taniec. Dwa gazowe giganty stanowiły zaplecze paliwowe dla sześciu punktów przerzutowych ob-



sługujących dwanaście szlaków komunikacyjnych. O ile Olimpia dawała możliwość dotarcia do większości systemów w czterech skokach, ten karłowaty systemik robił to w trzech. Miejsce będące przez osiemdziesiąt lat podstawowym punktem transferowym dla handlu miało stać się obecnie zarzewiem wojny?

- Jaki jest najbliższy często używany punkt? - spytała Kris.

- Alpha. - Kwadracik na hologramie zapalił się na czerwono. - To główny szlak łączący Ziemię z większością Świata.

- Wardhaven?

- Tak. Ruch z Wardhaven używa punktu Delta. - Inny kwadracik zapłonął na zielono.

- Znajdziemy się tuż koło punktu, którego najprawdopodobniej będzie chciała użyć flota Ziemi - rzuciła Bo.

- I tak daleko od Wardhaven, jak to tylko możliwe - dodała Kris. - Zakładając oczywiście, że używamy tej drogi. Nelly, oszacuj czas wymagany pomiędzy tymi skokami. Przekaż mi, kiedy będę poza mostkiem, czy skoki wykonywane przez okręt zgadzają się z tym kursem.

- Słuszne rozumowanie. Ale nawet jeśli się zgadzają, co to oznacza?

- Nie mam pojęcia - przyznała Kris. Musiała także przyznać, że jest zmęczona, nie zosta-

ło jej już zbyt wiele snu, a desperacko potrzebowała więcej. Przemyśli to zagadnienie jutro. Dziś była już zbyt zmęczona. Wpełzła do śpiwora i zasnęła w ciągu kilku sekund. Miała dziwne sny. Choćby nie wiadomo jak się starała, ziemskie okręty szybciej używały swoich laserów, które cięły „Tajfun” na kawałki. Ciągłe widziała twarze Toma i Bo spadających w kosmiczną próżnię.

Gdy następnego dnia po zjedzonym śniadaniu szła na mostek, zaczął ją kapral Li.

- Pani Longknife, komandor nie ogłosił kursu. Te skoki nie pasują do żadnej znanej nam trasy. Niektórzy marines zaczynają się denerwować.

- Proszę mi zaufać - odpowiedziała kapralowi, z którym zaledwie dwa miesiące albo całą wieczność temu uczestniczyła w akcji uwolnienia porwanej dziewczynki. - Lecimy do systemu Paris. Skipper wybrał inną drogę. Musicie przestać myśleć tak jak podczas pokoju.

- Będzie wojna, proszę pani? - Twarz kaprala była mieszaniną emocji, nie pozwalając Kris odgadnąć, jakiej odpowiedzi oczekiwał.

- Premier i grupa przyzwoitych ludzi robią, co w ich mocy, żeby zakończyło się to pokojowo. Ale znasz starego. Jeśli przyjdzie do walki, będzie chciał, żeby „Tajfun” był najlepszy we flocie.

- Taaa, cały skipper. Dziękuję, proszę pa-

ni. - Kapral odszedł do swoich zajęć, a Kris spóźniła się chwilę na mostek. Spodziewała się, że do lunchu połowa załogi będzie już wiedziała to, co przekazała Li.

- Jak to miło, że zechciała pani do nas dołączyć - powiedział komandor Thorpe, gdy siadała przy swoim stanowisku bojowym dokładnie o szóstej zero zero. - Poruczniku Lien, miał pan dotąd zbyt łatwe zadania, Addison i Longknife nie pozwolili trafić okrętu zbyt wiele razy. Ustawiam panu osobny schemat symulacji. Addison, nie używasz w pełni wektorów grawitacji. „Tajfun” jest szybki, a my operujemy niezależnie. Zapomnij o pozostawaniu w formacji. Longknife, czekasz za długo, aż komputer wypracuje za ciebie strzał. Myśl szybciej od tej pieprzonej maszyny. Wiem, że masz instynkt zabójcy. Użyj go.

Komandor dał im tego dnia niezły wycisk. Nie był zachwycony, gdy Kris spudłowała dwa razy. Oba strzały oddała w momencie, kiedy okręt w rzeczywistości przechodził przez punkt przerzutowy.

- Straciłaś trzy minuty na przygotowanie się do strzału, a potem chybiłaś. Cholera, to ci się już nie powinno zdarzać.

- Przepraszam, panie komandorze. Skoki zdezorientowały mnie na sekundę. To się nie powtórzy w walce.

- Mam nadzieję. Addison, Longknife, zróbcie sobie przerwę. Zastępca i łącznościowiec, zameldować się w mojej kabinie.

- Tak jest.

Kris i Addison udali się do messy. Dziewczyna obiema dłońmi objęła gorący kubek, mając nadzieję, że ciepło przyniesie trochę ulgi obolałym rękom.

- Założę się, że nie możesz się doczekać, aż jakiś ziemski okręt wejdzie ci na celownik. Ja mam dość sterowania na symulatorze, nie odczuwam ruchów w rzeczywistości. Niech to już będzie naprawdę! - emocjonował się Addison.

- Jeszcze nie ma wojny - zaznaczyła Kris.

- A co za różnica? Lubisz Ziemię? Kopia nas w tyłek od osiemdziesięciu lat. Czas im pokazać, że kosmos należy do Światów Zewnętrznych.

- To pokażmy im drzwi i idźmy swoją drogą. Nie potrzebujemy do tego wojny.

- Myślisz, że pozwolą nam tak po prostu odejść? Żądają zapłaty za każdy okręt. Tak jakby był całkiem nowy. Nawet za te, które sami zbudowaliśmy. Oni chyba na łby poupadali.

- Wojna spowoduje, że wiele osób upadnie i już się nigdy nie podniesie.

- Co za różnica, Longknife, boisz się?

- Addison, czy kiedykolwiek ktoś mierzył do ciebie z broni?

- Nie - pilot spuścił nieco z tonu.

- No to jak ci się to przytrafi ze dwa, trzy razy, to zafunduję ci piwo i wymienimy się uwagami. A do tego czasu odpuść sobie.

Dowódca zwolnił ich wcześniej.

- Weźcie długi, gorący prysznic. Odpocznijcie. Skaczymy do systemu Paris jutro o dziewiątej. A tam może być gorąco.

Kris udała się do swojego pokoju.

- Nelly, który punkt przierzuci nas do Paris jutro o dziewiątej?

- Kilo.

- Złapałaś jakieś wiadomości?

- Nie, jesteśmy zbyt daleko od planet zamieszkałych przez ludzi.

Cała flotyła przechodziła przez punkty przerzutowe. Oczywiście tak daleko od szlaków komunikacyjnych nie było ryzyka zderzenia z innym okrętem lecącym w przeciwnym kierunku. Przynajmniej nie z ludzkim okrętem. To było dziwne.

- Kris - zaczęła Nelly powoli - prosiłaś, abym prowadziła poszukiwania i dała ci znać, jeśli natrafię na coś, co nie odpowiada znanym mi schematom.

- Tak.

- Zaraz po tym, jak łącznościowiec spotkał się z dowódcą, załadował nowe systemy, któ-

re na razie nie są aktywne i których przeznaczenia nie znam.

- Coś, co pchnie nas ku wojnie?

- Mam listę wszystkich systemów łądowanych po ogłoszeniu wojny. To żaden z nich. Nie mogę także w żaden sposób wejść z tym systemem w kontakt.

- Nie działa?

- Nie, tylko siedzi.

- Daj mi znać, jak się uaktywni.

- Na pewno.

Kris obiema dłońmi przetarła oczy, próbując zetrzeć zmęczenie. Jej mózg pozostawał na wpół uśpiony. To wszystko musiało coś znaczyć. Czemu tata lub dziadek Ray nakazali flotylli użycie tej drogi? Czemu chcieli, by ich najlepsze okręty wskoczyły do układu tuż obok floty ziemskiej? Obok niej czy za nią? Przyjmując, że okręty z Ziemi dokonają skoku chwilę wcześniej, będą musiały zawrócić, by spotkać się z jednostkami ze Światów. Jak ściąga się flagę na okręcie bojowym?

Przed oczyma Kris pojawił się idiotyczny obrazek admirałów salutujących w kombinezonach kosmicznych, podczas gdy jakiś biedny marynarz zeszkrobywał flagę namalowaną na dziobie okrętu. Prysznic nie pomógł.

- Śpi pani? - spytała Bo sto lat później.

- Spałam. Stało się coś?

- Myślę, że nie. Miłe było to, co powiedziała pani temu kapralowi. Moim zdaniem, pozbyła się pani dziesięciu ton strachu z pokładu okrętu.

- Miło mi.

- Mówi się, że dotrzemy na miejsce jutro rano.

- Tak. - Kris nie chciała się budzić ponownie.

- Wie pani, którego punktu użyjemy?

- Według mojego komputera to będzie Kilo.

- Czyli wyskoczymy dokładnie na flotę Ziemi. Ciekawe, jak na to zareagują.

- Skąd mogę wiedzieć? - Kris ledwo się powstrzymywała, by nie okazać narastającej frustracji.

- Mam nadzieję, że nie będą mieli jakiegoś napalonego Strzelca na pokładzie. Te karawany bitewne mają lasery o zasięgu stu tysięcy kilometrów.

- Będziemy w zasięgu. - Kris mrugnęła i odwróciła się.

- Pięćdziesiąt tysięcy to prawie zasięg naszego dwudziestoczerocalowego lasera pulsacyjnego.

- Proszę się nie obawiać. Jakie okręty będą się kręcić przy punkcie? Pancerniki prawdopodobnie będą daleko z przodu oczekiwały okrętów

ze Świątów. Jakiś mądrała weźmie pewnie kilka beczek piwa. Marynarze z obu flot będą sobie popijać, podczas gdy admirałowie sobie pogadają.

- Naprawdę mam taką nadzieję, pani porucznik.

- Wydawało mi się, że lubi pani ostre strzelanie.

- Miło byłoby wiedzieć, że cały ten trening miał jakiś cel, ale wojna pomiędzy Ziemią a nami! Boże, miej nas w opiece!

- Prześpijmy się trochę. Jutro musimy być w jak najlepszej formie.

Kris odwróciła się i spróbowała ponownie usnąć. Ale jutrzejsza sytuacja taktyczna ciągle krążyła jej po głowie. A co, jeśli faktycznie jakiś napalony strzelec weźmie na cel Szóstą Flotyllę Szturmową? To problem komodora Sampsona. Podporucznik nie powinien zaprzętać sobie tym głowy.



## ROZDZIAŁ 20

Dwadzieścia sekund do skoku – ogłosił Addison.

- Longknife, chcę mieć pełny obraz celów z kierunkami i odległościami piętnaście sekund po skoku.

- Tak jest – odpowiedziała Kris i sprawdziła dalmierze. Wszystkie działały: laserowy, optyczny, grawitacyjny i radarowy.

Flotyła ustawiła się do skoku. Okręt flagowy „Huragan” prowadził „Cyklona”, „Tornado”, „Shamala”, „Monsuna”, „Scirocco” i „Chinooka”. Komandor Thorpe nie był zachwycony faktem, że jego okręt zamyka formację. Jeśli punkt przerzutowy nagle by się przesunął, „Tajfun” mógł go minąć i musiałyby wtedy zrobić nawrót, by ponownie próbować skoku, podczas gdy reszta flotyli byłaby już po drugiej stronie.

- Jesteśmy w punkcie? – spytał dowódca Addisona.

- Za kilometr.

- Wprowadź nas.

Kris patrzyła na stoper. Trzy, dwie, jedna. Jak zwykle przy skoku błędnik dziewczyny zareagował dezorientacją. Na tablicy kontrolnej uzbrojenia wszystkie kontrolki rozbłysły na czerwono, gdy przyrządy straciły dotychczasowe

punkty odniesienia. Kris mrugnęła, a po chwili cały ekran znów świecił na zielono. I informował o większej liczbie celów, niż to przewidywała jakakolwiek symulacja.

Szósta Flotylla Szturmowa ustawiła się w szyku odwróconego V. „Huragan”, jako flagowy, znajdował się w środku. Cztery korwety zajmowały miejsca na jego prawym skrzydle, bliżej floty Ziemi, a trzy z „Tajfunem” jako ostatnim okrętem ustawiły się z lewej strony. Kris zamarła. Ziemską flotą zapierała dech.

Ogromne okręty liniowe, opancerzone przeciw laserom trzymetrową warstwą lodu, ustawiły się w trzy równoległe rzędy po szesnaście, odbijając światło pięciu słońc. Bez dodatkowej komendy ręce Kris wykonały wyuczone czynności, ustalając kierunki i odległości, korelując je z ruchem własnego okrętu. Okręty Ziemian poruszały się ze stałym przyspieszeniem jednej czwartej g, nie manewrując. W ciągu dziesięciu sekund Kris miała wypracowane nastawy ogniowe. Kiedy z „Huragana” przyszły rozkazy, przydzielające „Tajfunowi” cztery określone okręty, Kris potrzebowała mniej niż dziesięć sekund na ich identyfikację i przypisanie celu do każdego z czterech laserów pulsowych okrętu.

Reaktory małych korwet szturmowych nie posiadały możliwości powtórnego naładowania

laserów, jak to miało miejsce na dużych krążownikach i okrętach liniowych. Jednak technologia gromadzenia energii poszła daleko naprzód od czasu wojen z Iteeche. „Tajfun” dysponował energią pozwalającą na oddanie kilku nanosekundowych strzałów ze swych czterech potężnych, dwudziestoczterocalowych laserów pulsowych. Ze względu na małe rozmiary korwet lasery były krótkie. Nie pozwalały na tak idealną koncentrację jak szesnastocalowe lasery pancerników. Ale na dystansie do czterdziestu tysięcy kilometrów pulsowy laser korwety dawał siłę ognia porównywalną z siłą baterii głównej dowolnego pancernika. A nawet większą, przynajmniej według komandora Thorpea.

Za plecami Kris otworzyła się śluza i na mostek wbiegł pluton marines. W pełnym oporządzeniu bojowym wyglądali tu tak samo nie na miejscu jak Kris w stroju sportowym w Longknife Towers. Komandor skinął głową sierżantowi i włączył komunikator.

- Uwaga, wszyscy, mówi dowódca. Dziś pokażemy się Ziemianom z najlepszej strony. Uciśkaliśmy nas przez wieki. Dziś zakończymy to. poinformowano mnie, że została wypowiedziana wojna pomiędzy Światami Zewnętrznymi a Ziemią oraz innymi planetami zbyt dekadencckimi, żeby zrzuciły tyranię. Znaczą rozkazy. „Tajfun” to naj-

lepszy okręt we flocie. Pokażmy im, na co nas stać. Dowódca, bez odbioru.

Z dumnym uśmiechem Thorpe zwrócił się do Addisona:

- Zbliżyć się do wyznaczonych celów.

Teraz Kris znalazła się w centrum zainteresowania.

- Longknife, możesz otworzyć ogień, gdy znajdziemy się w odległości mniejszej niż dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów.

- Tak jest - padła jednoczesna odpowiedź z nad steru i systemów uzbrojenia.

Bez zastanawiania się Kris zaczęła wykonywać procedury, sprawdzając cele, weryfikując kąty i odległości. Okręty z Ziemi nie zmieniły kursu i prędkości po pojawieniu się Szóstej Flotyli. Zadanie było łatwe.

Łatwe? Zbyt łatwe.

Gdy palce Kris ścigały się po klawiaturze, jej umysł także gnał. Wojna! Idziemy na wojnę! Co sprawiło, że premier zmienił zdanie? Co zmusiło dziadków do porzucenia rozwiązania pokojowego?

- Nelly, zdobądź jakieś wiadomości - wydała bezgłośnie polecenie. Któryś z okrętów musi łapać jakiś kanał z wiadomościami.

- Wszystkie kanały są zakłócone - odpowiedziała Nelly.

- Zakłócanie? Kto zakłóca?

- Okręt flagowy zakłóca całą komunikację przychodzącą i wychodzącą z flotyli.

- Nawet na częstotliwościach dowodzenia Wardhaven? - To nie była standardowa procedura!

- Na wszystkich.

Kris przygryzła dolną wargę. Właśnie szła na wojnę. Za chwilę zaatakuje ziemską flotę! I po raz pierwszy w życiu zupełnie nie miała pojęcia, co się dzieje. Nie, miała najważniejsze dane. Znała swojego ojca i pradziadków. Czy zrobiliby coś takiego?

- Nelly, włam się do systemu łączności okrętu, musi być jakieś wyjaśnienie tych rozkazów.

Kris nigdy nie wykonywała ślepo poleceń, nigdy bez wyjaśnienia. A zatem to wszystko musiało zostać wyjaśnione!

- Próbuję.

- Panie komandorze! - łącznościowiec swym piskliwym głosem szybko zwrócił uwagę dowódcy. - Ktoś próbuje uzyskać nieautoryzowany dostęp do naszego systemu komunikacyjnego.

- Skąd?

- Z wnętrza okrętu.

- Znajdź go - rozkazał Thorpe. - Chcę wiedzieć, kto to jest. Sierzancie!

- Nelly, stop! - poleciła Kris.

- Tak, panie komandorze - zameldował się sierżant.

- Przygotować się do wysłania zespołu w celu ujęcia sabotażysty! Macie prawo zastrzelić go na miejscu - warknął dowódca.

- Rozkaz. Kapral Li, bierz dwóch ludzi.

Kapral wskazał dwóch szeregowych i wszyscy stanęli w gotowości na dalsze rozkazy.

- Łączność? - spytał Thorpe.

- Próba przerwana. Ktokolwiek to był, wycofał się od razu.

- Daj mi znać natychmiast, gdy ponowi próbę!

- Nelly, co się stało? Myślałam, że Tru wyposażyła cię we wszystko, co potrzebne, żeby włamać się do każdego systemu na Wardhaven.

- Wyposażyła - Nelly była jakby zawstydzona - ale sieć „Tajfuna” monitorowana jest przez Ironclad Software. To ten system, o którym ci wczoraj mówiłam.

- Nigdy nie słyszałam o tej firmie.

- To mała firma z Greenfeld, która nigdy nie wychodziła ze swoimi produktami poza rynek lokalny.

Greenfeld. Rodzinna planeta Peterwaldów! Co niestandardowe oprogramowanie Smythe-Peterwaldów robiło na okręcie Wardhaven?

Okręcie Wardhaven, który właśnie przygotowywał się do bitwy!

- Odległość do celów? - spytał dowódca.

- Czterdzieści pięć tysięcy kilometrów - odpowiedziała ta część Kris, która nadal była szefem systemów uzbrojenia „Tajfuna”. Wokół „Huragana” pozostałe okręty flotyli szły w rozproszeniu.

Kris sprawdziła wyznaczone cele. Miała przydzielone okręty dowódcze flotyli Ziemi: okręt flagowy, a dalej piąty, dziewiąty i trzynasty za nim. Jej strzały powinny zdekapitować całą flotyllę. Sprawdziła cele przydzielone innym okrętom. Były podobne. Przy czterech strzałach z ośmiu jednostek Szósta Flotylla Szturmowa była w stanie strącić lub pozbawić dowodzenia sto dwadzieścia osiem okrętów nieprzyjaciela.

- Status broni?

- Cztery lasery gotowe i nastawione na pełną moc - odpowiedziała automatycznie Kris suchymi ustami. - Kondensator w pełni naładowany. Możemy naładować jeden laser natychmiast, pozostałe trzy po siedmiu i pół minutach, panie komandorze.

- Naładować laser numer jeden. Cel: ostatni okręt wyznaczonej kolumny. Pokażemy im, że „Tajfun” jest w stanie załatwić pięć pancerników czterema laserami.

- Tak jest. - Palce Kris wykonały polecenie.

„Coś tu jest nie tak!” - krzyczał głos w jej głowie. „Te pancerniki nie spodziewają się salwy. Czy mój ojciec nakazał podstępny atak? Czy dziadek by to zrobił?” Kris nie знаła odpowiedzi. Czy dziadek Ray dał prezydentowi Urmowi jakąkolwiek szansę? Nie. Ale te okręty miały na pokładach żołnierzy takich samych jak on, nawet jeśli byli to poborowi z Ziemi.

- Nelly, łapiesz jakąś łączność?

- Nic.

Czy „Kłopot”, który wszedł na Czarną Górę i walczył z Iteeche, mógł walczyć w ten sposób? A jej ojciec? Nie wydaliby takiego rozkazu. „To co ty robisz, dzieciaku?”

Tommy twierdzi, że zawsze jest wybór. Spojrzała przez ramię, patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. „Pułkownik Hancock, nie widzę tu wielu opcji”. Sprawdziła odległość - zbliżali się do czterdziestu tysięcy kilometrów. Nie za wiele czasu, by szukać innych opcji. „Co zrobisz, Kristine Anne Longknife? Jesteśmy tutaj, by powstrzymać flotę przed spopieleniem Wardhaven. Ta flota to zagrożenie. Zagrożenie... Tutaj! W okolicy punktu przerzutowego!”

- Panie komandorze - powiedziała miękko - coś tu jest nie tak.



- Co? - rzucił Thorpe.

Kris wstała, cały czas trzymając palce na klawiaturze.

- Ta sytuacja.

- Jaka sytuacja? - Puzzle w głowie dowódcy układały się bardzo powoli.

- Ten skryty atak, panie komandorze.

- Oczywiście, że jest. Chcesz dać tej sile ognia możliwość strzału w Wardhaven? Proszę siadać, poruczniku, i wykonywać rozkazy.

- Tak, panie komandorze. Ale rozkazy skąd? Premier nie ma w zwyczaju działać podstępnie. Wiem to. Jest moim ojcem. Jeśli z kimś walczy, to otwarcie, z otwartą przyłbicą. A te okręty? Nie wykazują najmniejszego zamiaru zaatakowania naszej floty ani naszej planety.

- Odległość czterdzieści tysięcy kilometrów - padło znad steru. Każda sekunda zbliżała ich do strzału, do masakry.

- O co chodzi, Longknife? Nie masz jaj do walki? Powinienem był to przewidzieć. Sierzancie, proszę usunąć tego tchórza z mostka!

„Właśnie popełnił pan błąd, komandorze! Sprawa stała się osobista!”

Kris zwróciła się do stojących za nią Marines, z których żaden nawet nie drgnął.

- Jestem tchórzem? Byłam zrzucana z wami. Beze mnie połowa z was spaliłaby się przy

wejściu w atmosferę. Beze mnie wszyscy zginęli-  
byście na polu minowym. Byłam pierwsza przy  
drzwiach, pierwsza przy dziewczynce. Tak zachowuje się tchórz? Czy to, co robię teraz, to oznaka tchórzostwa? Komandorze, te rozkazy nie pochodzą od premiera Wardhaven! Kto je wydał?

- Jedyni ludzie, którzy mieli do tego prawo, rozpuszczony bachorze! - warknął dowódca. Jego złość tylko potwierdziła jej przypuszczenia. - Te rozkazy przyszły od ludzi, którzy mają jaja, żeby odebrać to, co zagrabiliście dla siebie. Nie macie pojęcia o służbie, honorze. Zmarnowaliście potęgę. Na szczęście niektórzy z nas wiedzą, jak jej użyć. Oto potęga Ziemi, tłusta i głupia. Za chwilę wyparuje. Co powiesz na taką siłę? - Thorpe uniósł pięść. - A jeśli Ziemia znów podniesie łeb, to znów go odetniemy. Mamy dość bycia waszymi pokornymi psami, Longknife. Teraz zrobimy to, co właściwe. Sierżancie, proszę ją zastrzelić.

Sierżant stał oparty o ścianę. Patrzył na dowódcę szeroko otwartymi oczyma. Powoli jego M-6 zniżyło się. Kris znalazła się naprzeciw gotowej do strzału broni... Ponownie.

„No cóż, Emmo, moja przyjaciółko, góralko. Myślę, że to właśnie miejsce, do którego tradycja wiedzie Longknife'ów”.

- Tym właśnie chcesz zostać, sierżancie? - powiedziała, czując siłę wzmagającą się z każdym

wypowiedzianym słowem. Wskazała dowódcę. – Ten człowiek twierdzi, że byliście pokornymi psami bogaczy. Jesteś gotów zostać wiernym psem szaleńców głodnych władzy? Bo właśnie ku temu zmierzasz. Możesz nie lubić mojego ojca, ale to ludzie tacy jak ty go wybrali. Uważasz, że komandor i jemu podobni zrobią lepszą robotę? Pamiętasz to pole minowe, które w jakiś sposób nie zostało wykryte przed zrzutem? Myślisz, że facet, któremu tak zależało na ustanowieniu rekordu jak najszybszego zrzutu, zauważyłby je? Czego jeszcze nie zauważy? Tego chcesz?

Przeniosła wzrok z sierżanta na pozostałych.

– Chcecie wykonywać rozkazy każdego, kto okaże się największym i najsilniejszym sukinysem w okolicy? Tego chcecie dla waszych dzieci i wnuków? Przestrzeni kosmicznej rozdrapanej przez różnego rodzaju watażków? Bo nie ma wątpliwości, że żaden władzy facet, który nie potrafi dobrze przeprowadzić nawet zrzutu bojowego, nie będzie też umiał rządzić planetą. Kto wydał rozkazy? Łącznościowiec, ty w tym siedzisz. Kto kazał nam strzelać?

Szef łączności poczerwieniał jak jedna z jego instrukcji. Spojrzał na dowódcę.

– Panie komandorze?

– Nie twój pieprzony interes, Longknife.

Ludzie tacy jak ty wydawali rozkazy tak długo, że nie jesteście w stanie zrozumieć, że inni wiedzą lepiej, czego nam trzeba. Trzymaliście nas pod obcasem, płacąc grosze za ryzykowanie życia, podczas gdy wy zarabialiście krocie, nie wstając z łóżka. Tu wasz czas się kończy. Sierzancie, proszę zastrzelić tę sukę!

- Przykro mi, pani porucznik - powiedział sierżant, celując.

- Nie waż się ruszyć palcem - wtrącił kapral Li, mierząc ze swojej broni. - Tylko drgniesz, sierzancie, a rozsmaruję cię na tej ścianie.

Zastępca dowódcy okrętu podniósł się z fotela. Gdy zwracał się do marines, w jego dłoni pojawił się pistolet. Technik Hanson już celował w niego.

- Proszę to odłożyć albo jak mi Bóg miły, będzie pan martwy, zanim zdąży tego użyć.

Zastępca zastygł w połowie ruchu.

- Proszę rzucić broń - powiedział kapral Li. - Mam na myśli z.d.o. i sierżanta.

- Zawisniecie za to! - krzyknął dowódca.

- Nie jestem pewien, czy nie zawiślibyśmy, gdybyśmy tego nie zrobili. Pani porucznik, jestem zwykłym kapralem i naprawdę chciałbym wiedzieć, czy jestem po właściwej stronie. Wydaje mi się, że jeśli coś spieprzyliśmy, to możemy po prostu opuścić broń i pozwolić im przeprowadzić ten

atak.

- Łączność, proszę otworzyć standardowe częstotliwości Wardhaven.

Komandor potrząsnął głową.

- Pieprz się - odpowiedział jej porucznik.

- Nelly, podporządkuj łączność do stacji roboczej Toma, a potem włam się do niej. Szybko.

- Podporządkowuję. Włamywanie w toku.

- Tom? - spytała, wiedząc, że kolejny raz zakłada, że przyjaciel podąży za nią, że da jej dowód, który pozwoli również reszcie załogi podążać za nią. Czy stanie u jej boku jeszcze ten jeden raz?

Jego ręce już biegały po klawiaturze.

- Pracuję nad tym - rzucił. - Cholera, „Huragan” zakłóca.

Rozejrzał się po mostku.

- Ktoś bardzo nie chce, żebyśmy poznali inny punkt widzenia.

- Postaraj się. Zawęż wiązkę. Ogranicz się tylko do sieci alarmowej dowództwa. Skup wiązkę na planecie najbliższego punktu przerzutowego Delta - zgadywała Kris. Musiała znaleźć okręt flagowy Wardhaven. Jeśli flota Ziemi wciąż była przy punkcie, z którego przybyła, zapewne to samo dotyczyło Wardhaven.

Pięć sekund później Tom potrząsnął głową.

- Potrzebujemy więcej energii. Nie mogę przebić się przez te zakłócenia.

- Wyssij kondensator. - Kris była pewna, że nie chce użyć tej energii na piąty okręt w kolumnie Ziemi. Tom znów zastukał w klawisze. Dziewczyna prawie zapomniała o oddychaniu. Ci ludzie potrzebowali dowodu, musiała go im dostarczyć.

- Trzydzieści pięć tysięcy - powiedział Addison.

Wtem Tom uśmiechnął się szeroko.

- Zrobione. Coś odbieram.

- ...diabła, wyprawiacie? Szósta Flotylla, odpowiedzcie, do cholery! Co wy, na miłość boską, robicie?

- To mój dziadek, generał Tordon - odechnęła Kris. - Gdy ostatnio go widziałam, pracował z premierem nad pokojowym rozwiązaniem tego kryzysu. Czy ktoś nadal uważa, że powinniśmy zrobić to, co robiliśmy?

Kris usiadła, zwracając się do reszty obsady mostka. Ich twarze były blade i zdeterminowane. W tle dziadek „Kłopot” próbował w słowach, jakich nigdy u niego nie słyszała, uzyskać odpowiedź od dowódcy Szóstej Flotylli Szturmowej.

- Mam mu odpowiedzieć? - spytał Tom.

- Nie. - Kris wciągnęła powietrze. - Są po drugiej stronie systemu. Jeśli ten atak ma być po-

wstrzymany, musimy to zrobić sami.

- Nie możecie tego zrobić! - wrzasnął komandor. - Nie widzicie, że rujnujecie naszą ostatnią szansę? Oddajecie bogatym sukcesom, takim jak ona, całą Galaktykę. Pozwolicie, żeby nadal wdzili was za nosy...

Ale nikt już nie słuchał Thorpea. Oczy skoncentrowane były na ekranach, ręce spoczywały na klawiaturach. Mostek był po stronie Kris.

- Sierżancie, jest pan z nami? - spytała.

- Tak, pani porucznik. Spodziewam się wnuka. Zafundowałbym mu piekło.

- Sierżancie, kapralu, proszę zabrać tych ludzi z mostka. Mamy bitwę do stoczenia, i być może drugą do uniknięcia.

- Tak jest, pani porucznik. Słyszeliście, co pani powiedziała.

- Kiedy po raz pierwszy weszłaś na pokład - rzucił Thorpe - myślałem, że masz zadatki na wojownika. A teraz widzę, że jesteś taką samą kupą gówna jak inni.

- Proszę pana - warknął sierżant, celowo pomijając stopień - albo pan się zamknie i zacznie iść sam, albo jak Boga kocham - uniósł kolbę karabinka - ja pana zamknę, a z.d.o. i porucznik pana wyniosą.

Kris zostawiła dowódcę sierżantowi, sama miała inne problemy.

- Addison, radzisz sobie z tym? - spytała, gdy skipper wreszcie ucichł i dał się wyprowadzić.

- Chyba tak, pani porucznik. To nie jest marynarka, o której opowiadał mi tata.

- Prawda - zgodziła się. Na jej wyświetlaczu korwety rozdzielały się. „Chinook” był nadal tylko trzysta kilometrów od „Tajfuna”.

- Dobra. Flotylla potrzebuje budzika, który uświadomi im, że mamy problem. Addison, przygotuj się do intensywnego manewrowania na mój sygnał.

- Tak, proszę pani - odpowiedział sternik, głośno przełykając ślinę.

Kris siadła na swoim fotelu, ujęła przyrządy kontrolne i wycelowwała w burtę „Chinooka”. Wystarczająco długo pracowała przy systemach obronnych „Tajfuna”, by wiedzieć, gdzie są słabe punkty okrętu tej klasy. Wystarczyło trafić tuż za stacją kontroli maszyn i cięło się reaktor na kawałki. Nastąpi wielka eksplozja, dzika jazda, ale załoga przeżyje, by opisać to potem w pamiętnikach.

Podporucznik wzięła dwa głębokie oddechy, mocniej chwyciła przyrządy i nastawiła krzyż celowniczy na wybrany punkt. Każdy z jej czterech dalmierzy podał inną odległość, wyciągnęła średnią ze wszystkich odczytów, zredukowała o połowę moc lasera i wystrzeliła.



Na ekranie cienka żółta linia połączyła dwie korwety. Radar wskazał eksplozję gazów, gdy laser Kris sięgnął celu. „Chinook” wykonał dzikie salto i wypadł z formacji.

- To zwróci ich uwagę - chrząknął Tom.

- No.

- Thorpe, co się dzieje, do cholery? - rozległo się w sieci dowódczej.

Kris włączyła komunikator.

- Tu podporucznik Longknife, dowodząca obecnie „Tajfunem”. Pana rozkaz ataku został wydany nielegalnie. Otrzymał pan rozkaz od dowódcy floty Wardhaven do przerwania ataku. Jeśli się pan nie podporządkuje, zatrzymam pana.

- Longknife? Gdzie jest Thorpe? O kurwa! „Scirocco” i „Huragan”, wy atakujecie „Tajfuna”. Zespół drugi, kontynuować atak na flotę Ziemi.

- No cóż, zwróciłaś ich uwagę - powiedział Tom zrezygnowanym tonem na wieść o kłopotach, jakie jego przyjaciółka tym razem ściągnęła im na głowę.

- Addison, kieruj nas na Zespół Drugi. Tom, przygotuj się do stawiania osłon.

- Tak jest - odpowiedzieli unisono.

Kris ponownie włączyła komunikator.

- Uwaga, wszyscy! Tu podporucznik Longknife! Zwolniłam komandora Thorpea z dowodzenia. Nasz rozkaz ataku jest nielegalny. Do-

wódca floty Wardhaven nakazał nam zaprzestanie ataku na flotę Ziemi. Przed chwilą uszkodziłam „Chinooka” i kontynuuję atak na resztę Szóstej Flotyli. Niezależnie od tego, czy braliście udział w konspiracji, czy pozostawaliście wierni Wardhaven, sugeruję, żebyście teraz wszyscy walczyli dla „Tajfunu”. Inaczej wszyscy będziemy martwi. Longknife, bez odbioru!

- Mocne słowa - przyznał Tom.

Kris wzruszyła ramionami.

- Musiałam. Addison, zacznij kręcić i kłuczyć tak jak nigdy dotąd.

- Zrzuńnię ci pozycję do strzału - odpowiedział.

- Rujnuj. Bardziej interesuje mnie uniknięcie trafienia w nas.

- Przeciwnicy nas otaczają - przypomniał Tom. - Wejdą na pozycję za pięć sekund.

To było kolejne ograniczenie małych okrętów. Krążowniki i pancerniki miały lasery zamontowane na masywnych wieżyczkach pozwalających im prowadzić ogień dookoła. Lasery pulsowe korwet miały ograniczenie do trzydziestu stopni w każdą stronę. Kris wykorzystała czas na wystrzelenie czterech impulsów o zmniejszonej do połowy mocy w stronę Zespołu Drugiego. Wszystkie chybiły, może z wyjątkiem jednego, który zahaczył „Shamala”. To nie miało znaczenia. Bardziej inte-

resujące było zachowanie „Cyklona” i „Tornado”. Oba zwolniły i zmieniły kierunek.

„Założę się, że na pokładach odbywają się interesujące dyskusje”.

Zołądek podskoczył jej do gardła, gdy Addison podrzucił „Tajfuna”.

- Chybili! - krzyknął.

- Ustaw nas dziobem do „Huragana”.

- Jest dziobem do „Huragana”.

- Przesuwam metal na dziób - zameldował Tom, umieszczając płynny metal tam, gdzie był potrzebny.

Kris kilka razy próbowała trafić okręt flagowy, ale za każdym razem, gdy chciała strzelić, Addison rzucał okrętem. Zmniejszyła moc lasera do jednej czwartej i znów chybiła.

- Przepraszam, że marnuję twoje strzały.

- Nie szkodzi, jeśli ja nie mogę ich trafić, to oni nas też.

Kiedy po dwóch strzałach przeciwnika i uniku Addison ustawił „Tajfun” ponownie dziobem w stronę celów, obu okrętów już tam nie było. Zmierały ku punktowi przerzutowemu, przyspieszając pełną mocą.

- Uciekają! - krzyknął Tom.

- Tom, daj mi łączność z resztą floty! Tu „Tajfun”. Zwróćcie uwagę, że okręt flagowy ucieka do punktu przerzutowego i rozważcie swoje

możliwości.

- Tu „Cyklon”. Podporucznik Santiago pełniący obowiązki dowódcy. Jesteśmy z tobą, Longknife.

- Tu Tornado”, tymczasowo pełniący honory porucznik Harlan. Jakie masz dla nas zadanie?

- Zwiążcie walką „Monsuna” i „Shamala”. Utrzymajcie ich z dala od ziemskiej floty. Ja ścigam flagowy.

Ale „Huragan” przyspieszył już do trzech g, ciągle zygzakując. Szybko zbliżał się do punktu, manewrami uniemożliwiając Kris oddanie strzału w silniki.

Z powodów znanych tylko sobie Thorpe nigdy nie rozpędzał „Tajfuna” powyżej półtora g. Ona sama zwolniła i obserwowała, co się dzieje wokół.

Kilka pancerników Ziemi przygotowało lasery na pozycjach bojowych. „Shamal” i „Mon-sun” znalazły się w centrum uwagi nie tylko swych bliźniaczych okrętów, ale także czternasto-, szesnasto- i osiemnastocalowych laserów Ziemi. Przy tak ogromnej przewadze oba okręty flotyli zmieniły kurs i pognały ku punktowi przerzutu. „Cyklon” i „Tornado” popędziły za nimi.

- Myślę, że to dobry czas na złożenie meldunku - powiedziała Kris. - Tu podporucznik

Longknife, dowodząca „Tajfunem”. Wzywam każdego dowódcę floty, który jest w sieci.

Ekran podzielił się na pół i pojawiły się dwie twarze. Jedna znajoma, druga bardzo znajoma.

- Tu generał Ho, szef Sztabu Sił Ziemi. Czy zechciałaby pani wyjaśnić mi, co właśnie widziałem?

- Tu generał Ray Longknife!

- Panie prezydencie! - Ho przyjął postawę zasadniczą.

- Nie, dziś tylko generał, pracujący z generałem McMorrisonem, szefem Sztabu Wardhaven, Howie. Generale, wydaje mi się, że pańska dupa została właśnie ocalona przez innego przedstawiciela rodu Longknife'ów.

- Tak to właśnie wygląda z mojego punktu widzenia, Ray.

- A teraz, generale, możemy tu siedzieć i czekać, aż kolejne gorące głowy zrobią coś głupiego, albo zrobić coś, o czym obaj wiemy, że powinno zostać zrobione.

- Ray, wiesz, że mam rozkaz czekać, aż Mac przyjdzie tutaj.

- Howie, wiesz, że Mac ma rozkazy czekać tu na ciebie. A teraz, tak między nami, starymi wiarusami, zaczynam się nudzić, orbitując wokół tej skały. Pełno tu asteroid. Chyba zasugeruję

Macowi obranie kursu na Paris 8.

Kris spojrzała na monitor. Paris 8 była gazową planetą znajdującą się mniej więcej w połowie drogi między punktem Alpha, gdzie była flota Ziemi, a Delta, przy której znajdowały się okręty Wardhaven.

- Myślę, że zużyliśmy dość paliwa, kręcąc się w kółko - powiedział generał Ho. - Paris 8 wygląda mi na jedyną planetę w okolicy nieotoczoną asteroidami. Chyba poinformuję Ziemię, że zakładam tam tymczasową bazę floty.

- Czysty zbieg okoliczności - uśmiechnął się Ray.

- Czysty zbieg okoliczności - powtórzył generał z Ziemi.

- Teraz gdy się dogadaliśmy, poruczniku, ma pani jakieś problemy? - powiedział Ray, przenosząc uwagę na Kris.

- Zwykle bolączki buntownika, takie na przykład jak pytanie, kto na pokładzie jest ze mną i co zrobić z byłym dowódcą. Chcecie więcej więźniów?

Ray wykrzywił usta, jakby upuściła mu na dłoń gorącego ziemniaka. Czy bitwa była tylko w połowie zakończona, czy należało pozwolić Sampsonowi uciec, a samemu zamówić kolejkę piwa dla wszystkich?

- Kris, bardzo nie chcę tego mówić, ale

wyduje mi się, że Ziemia oczekuje od nas pościgu. Poza tym bardzo chciałbym porozmawiać sobie z draniami, którzy to zorganizowali. Co oni sobie myśleli?

- Mam skippera, z.d.o. i łącznościowca pod strażą. Zobaczę, co uda mi się zrobić w sprawie komodora Sampsona. A teraz, jeśli mi panowie wybaczą, będę trochę zajęta.

- Zrozumiałem, Longknife, bez odbioru.

- Longknife, bez odbioru. - powtórzyła Kris z zadowoleniem. - Ster, przyspiesz do półtora g, kurs punkt przerzutowy Kilo.

- Przyjąłem. Półtora g do punktu Kilo.

Kris przełączyła się na interkom.

- Chorąży Bo!

- Tak, pani porucznik - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Czy zechciałaby pani zrobić mały obchód? Zapewnić wystraszone dzieciaki, że są po właściwej stronie. Zawiadomić mnie, jeśli będą jakieś kłopoty. Wie pani, to, co sama bym zrobiła, gdybym nie była zajęta robotą na dwóch stanowiskach.

- Zrozumiałam, skipper, z przyjemnością.

Skipper. Tytuł, którego Kris nie spodziewała się nosić jeszcze przez długi czas. No cóż, dziś też jeszcze nie do końca na niego zarobiła.

Przyjrzała się tablicy. Z przyspieszeniem

trzech g „Huragan” i „Scirocco” oddalały się od ziemskiej floty, zbliżając się do punktu przerzutowego. „Tajfun” był daleko z tyłu. Jednak Kris nie potrzebowała złapać okrętu flagowego, tylko trafić w silniki. Tak długo, jak okręt się poruszał, silniki były jej głównym celem.

Ustawiała moc na jedną dziesiątą i zaczęła celować do zygzakujących okrętów. Jej pierwszy strzał przeszedł z lewej strony, drugi z prawej. Następny także poszedł z prawej, po zmianie kursu okrętu flagowego w lewo. Kris włączyła komunikator.

- Komodorze Sampson. Mogę się tak bawić cały dzień. Prędzej czy później was trafię. Jak nie teraz, to przy punkcie przerzutowym. To propozycja poddania się.

Dwa strzały później okręty komodora zmieniły gwałtownie kurs, który prowadził ich do Kilo.

- Gdzie oni lecą? - spytał Tom.

- Myślę, że do innego punktu, do którego mogą dotrzeć przed nami. Addison, jakieś sugestie?

Na głównym ekranie pojawiła się mapa systemu. Cztery punkty przerzutowe świeciły na czerwono.

- Mogą udać się do każdego z nich. Jakie rozkazy?



Kris potarła oczy, starając się sobie przypomnieć, o czym powinien pamiętać dowódca w podobnych sytuacjach.

- Maszynownia, jaki mamy stan paliwa?

- Pani strzelanie trochę go zużyło, ale nadal jest około sześćdziesięciu procent.

- Dowódca flotyli ucieka, a szef Sztabu Wardhaven chciałby zamienić z nim kilka słów. Jakiej propozycji?

- Na pokładzie mamy sporo nowicjuszy, skipper - to jedno słowo wypowiedziane przez komandora podporucznika, który równie dobrze mógł uczestniczyć w konspiracji, było bardzo ważne. - Może pani tego nie zauważyła, gdy Thorpe zamęczał was symulacjami, ale nigdy nie przekroczyliśmy półtora g. Sugeruję, żebyśmy zostali przez pół godziny na tym poziomie, zanim przejdziemy do dwóch g. Jeśli nie będzie problemów, pogonimy do trzech. Wiem, że to nie jest zawrotna prędkość, ale jak mówiłem, mamy wielu świeżaków, którzy nigdy nie uczestniczyli w operacjach przy dużym przeciążeniu.

Brzmiało to rozsądnie, ale równie dobrze mogło być wymówką pozwalającą „Huraganowi” na ucieczkę. Ale inżynierowie zawsze mieli tendencję do tworzenia własnej kliki. Jeśli chcieliby zatrzymać pościg, wystarczyłoby, żeby wyłączyli reaktor.

- Dzięki, maszynownia, tak zrobimy. Komandorze Paulus, w razie gdyby pan nie zauważył, jest pan tutaj najstarszy stopniem. Wolny fotel na mostku jest do pana dyspozycji.

- Proszę wybaczyć, panno Longknife, ale spodziewam się, że będę potrzebny tutaj, gdy będzie pani wyciskać więcej z tych silników. Wiem, że instrukcja mówi, że te okręty mogą zmieniać konfigurację bez szkody, ale za każdym razem, gdy okręt się zmniejsza, moi specje i ja przechodzimy tortury z utrzymywaniem przepływu plazmy. Świetnie sobie pani radzi, poruczniku. Więc jeśli da mi pani radę robić swoje, postaram się, żeby silniki nie rozerwały nas na strzępy. Zostanę tutaj.

Kris pierwszy raz usłyszała o problemach mechaników z płynnym metalem.

- Jak bardzo jest źle, komandorze?

- Nic, z czym sobie na poradzę, a jeśli nie, to będę wrzeszczał.

Kris odkryła nagle, że praca dowódcy to nie tylko piwo i chipsy.

- Wachtowy, proszę ogłosić, że za trzydzieści minut przechodzimy na dwa g, a potem na trzy, tak szybko, jak będzie to możliwe.

Rozpędzenie się do prawie trzech i pół g zajęło „Tajfunowi” trzy godziny. W tym czasie „Huragan” i „Scirocco” znalazły się poza zasięgiem laserów.

Daleko za plecami Kris cztery okręty Zespołu Drugiego toczyły własną bitwę. Dwóch doświadczonych dowódców przeciwko dwóm oficerom młodszym, którzy poznawali smak dowodzenia w środku bitwy. Jednak decyzje podejmowane przez organizatorów ataku na Ziemię zdawały się sprzyjać młodym buntownikom. Broń fatalnie wycelowana, silniki wystawione na strzał. Zdobyć przewagi zajęło Santiago i Harlanowi chwilę, ale czas grał na ich korzyść. Zanim „Monsun” i „Shamal” wykonały skok, ich skipperzy zostali zastąpieni przez podwładnych, którzy nie chcieli walczyć w imię interesów małej grupki, która nie powiedziała im nawet, o co chodzi.

To dało dziadkowi Rayowi sporo więźniów do przesłuchania, ale Kris przypuszczała, że nawet Thorpe nie wie wszystkiego. Gdyby Szóstej Flotyli udało się zdziesiątkować flotę Ziemi, co zrobiliby później? Okręty mogły żeglować w przestrzeni, ale prędzej czy później wymagały uzupełnienia zapasów. „Huragan” dokądś uciekał. Gdzie się kierował?

Kris wezwała wszystkich lojalnych oficerów.

- Maszynownia, jak nam idzie?

- Straciliśmy zasilanie w laserze numer trzy. Za pani pozwoleniem, nie wysyłałbym tam ekipy naprawczej, dopóki nie zwolnimy. Najlepsi

mechanicy siedzą przy silnikach.

- Komandorze, sprawy techniczne są pana domeną. Proszę zarządzać po swojemu. Czy nasze przyspieszenie powoduje jakieś kłopoty?

- Nie, nie w tak łagodny sposób, w jaki pani to zrobiła. Ale na miejscu skippera „Huragana” bardzo niepokoiłby mnie sposób, w jaki komodor wcisnął pedał do pieprzonej dechy. U nas jest wszystko w porządku, martwię się o nich.

To dało Kris nowe opcje do negocjacji. A może zadzwonić przyjacielsko do komodora i zaproponować mu, by porozmawiał ze swoimi mechanikami. Zaśmiała się na tę myśl, ale przy trzech i pół g nie było to przyjemne.

- Co jeszcze powinnam wiedzieć?

- Tu chorąży Bo, dowódco. Obsługa messy nie gotowała jeszcze przy trzech g. Proponuję zimny bufet do czasu, aż zwolnimy.

- Zgoda. Inne problemy?

- Nie, pani porucznik. Ma tu pani dobrą załogę i jesteśmy z panią.

Miło było to usłyszeć.

Problem lotów z dużym przyspieszeniem jest taki, że ciało waży nagle kilkaset kilo. Samo oddychanie jest trudne. Co więcej, rozmiary korwety szturmowej pozwalały jej zabrać dwie zmiany dyżurne obsady mostka i maszynowni. W tej chwili, nie mając zmienników, na nogach byli

wszyscy. Komandor Paulus trzymał wszystkich swoich ludzi na służbie. Na mostku nie było sposobu, by Kris opuściła stanowisko uzbrojenia ani by zwolniła Toma z obsługiwanie systemów obronnych. Addison także opierał się przed zejściem ze stanowiska.

- Kto wie kiedy mogą zrobić zwrot i zacząć walczyć. Siedzę tu tak długo jak wy.

Tak więc Kris zarządziła dwugodzinne drzemki dla siebie, Toma i Addisona i nakazała pozostałym oficerom i podoficerom, aby wprowadzili ten sam system dla całej załogi. Dwie trzecie na stanowiskach, jedna trzecia odpoczywa. Gdy Kris się obudziła, było jasne, że „Huragan” kieruje się ku punktowi Mike.

- Nigdy przez nikogo nie był używany - powiedziała Nelly. - Jeśli istniałoby takie określenie, miałyby kategorię F minus.

- Muszą zacząć hamować, bo inaczej... - Tom przerwał w pół zdania.

- Nie będą w stanie dostosować kursu do wahań punktu - dokończył Addison - albo wejdą z taką prędkością, że wylądują gdzieś w odległej galaktyce.

Odwrócił się do Kris i dodał:

- Wy, Longknifeowie, powinniście o tym wiedzieć coś więcej niż ja.

Kris zaryzykowała parsknięcie.

- Uwierz mi, nie mam pojęcia o skokach. Cokolwiek słyzałeś o dziadku Rayu na Santa Maria, nie jest to udokumentowane. Pozwólcie, że wyrażę swoją decyzję wcześniej i jasno. Nie będziemy skakać przy tej energii okrętu. Pytania? Uwagi?

- Jak dla mnie, bomba - powiedział Tommy.

- Maszynownia, w jakim jesteście stanie?

- Bez zmian. Trzy lasery w pełni naładowane, kondensator pełny. Reaktor poza czerwonym polem. Wszystko stabilne.

Kris zarządziła następne sześć godzin służby na zmiany.

Dziewczyna właśnie miała udać się na odpoczynek, gdy Tom zawołał:

- Mam aktywność w pobliżu punktu Juliet, to blisko Mike.

- Dokąd on prowadzi? - spytała Kris.

- Do wielu światów. Po prostu nie jest taki stabilny, żeby go używać na co dzień.

Dwie minuty później przy punkcie Juliet pojawiło się sześć znaczników.

- Tu korweta Wardhaven „Tajfun” do jednostek, które właśnie pojawiły się w systemie Paris przez punkt przerzutowy Juliet. Proszę o identyfikację! - zażądała Kris.

- Tu krążownik Stowarzyszenia „Patton”

z Wardhaven – odezwał się kobiecy głos, a Kris odetchnęła. – Mamy nadzieję, że zabawa się jeszcze nie skończyła i nie wypiliście całego piwa. Dowodzę Pięćdziesiątą Czwartą Flotyllą Rozpoznawczą. Nie było łatwo rozpedzić tę kolekcję złomu i lodu.

– „Patton”, mówi podporucznik Longknife, pełniąca obowiązki dowódcy „Tajfunu”. Szósta Flotylla Szturmowa przeprowadziła nieautoryzowany atak na flotę Ziemi. Jesteśmy w trakcie pościgu za „Huraganem” i „Scirocco”.

– Dobry Boże, kobieto, widzę, że jesteście. Mam nadzieję, że z tą prędkością nie macz zamiaru wykonywać skoku.

– Ja nie, ale nie mam pewności co do nich. Pomożecie mi odciąć ich od punktu Mike?

– Dzięki Bogu! Chłopaki! Zostawili nam trochę zabawy! Pięćdziesiąta Czwarta, za mną! Pościg! Jeśli ich dorwiecie, strzelać!

„Patton” odpalił salwę.

Sześciocalówki krążownika miały zasięg sześćdziesięciu tysięcy kilometrów. Gdy promień dotarł do „Huragana”, nie miał więcej mocy niż promienie słońca nad jeziorem.

Faktem jednak pozostało, że „Patton” zaliczył centralne trafienie.

Kris spojrzała na ekran sytuacyjny. Biorąc pod uwagę pojawienie się zwiadowców i koniecz-

ność utrzymania jednego kursu ze względu na prędkość, sytuacja komodora nie przedstawiała się wesoło.

Piętnaście minut później podkreśliła to przechwycona wiadomość.

- Generał McMorrisson do dowódcy Szóstej Flotyli Szturmowej. Pana sytuacja jest beznadziejna. Zostanie pan odcięty, na długo zanim wykona pan skok. Jeśli pan skoczy, będzie to samobójstwo. Proszę zwolnić i przygotować się do wejścia na pokład.

- Tak, już to widzę - mruknęła Kris.

- Matko święta! - zawołał Tom. - „Huragan” przyspiesza... Pełne cztery g.

- Rozleci się - potrząsnął głową Addison. - Skipper, mam przyspieszyć?

- Maszynownia, flagowy przyspieszył do czterech g. Jakież sugestie?

- Nie. Tylko stwierdzenie faktu. Jeśli zarządzi pani cztery g, przysięgam, że doczołgam się na mostek i osobiście przeprowadzę bunt. Chce pani spędzić resztę podróży z Thorpeem?

- Nie, komandorze, po prostu pytałam o opinię. Nie mam zamiaru się z panem kłócić.

Ponownie włączyła nadajnik.

- „Huragan”, „Scirocco”, mówi Longknife. Ostrzegam, że silniki tych okrętów nie są w stanie wytrzymać czterech g. Ryzykujecie kata-



strofę. Jeśli z tą prędkością wejdziecie w punkt przerzutowy, nie wiadomo, gdzie was zaniecie. Do wszystkich poza konspiracją, czy naprawdę chcecie, żeby ludzie pokroju komodora decydowali o waszym życiu lub śmierci?

- Myślisz, że ktoś słucha?

- Wkrótce się przekonamy.

Minutę potem „Scirocco” wyłączył silniki.

- „Huragan”, poddajcie się, nie macie żadnej przyszłości. Nie pozwólcie, żeby komodor pociągnął was za sobą. Niech ktoś to zatrzyma, zanim okręt się rozleci.

Bez odpowiedzi. Dziewczyna przestudowała ślad okrętu na ekranie i porównała z pozycją punktu przerzutowego. Z „Pattonem” jako ramieniem grawimetrycznym miała dużo dokładniejsze odczyty niż „Huragan”. Sprawdziła jeszcze raz położenie punktu i uśmiechnęła się.

- „Huragan”, nie trafiliście w punkt. Jest na prawo od was. Powtarzam, „Huragan”, całkowicie mijacie punkt. Zwolnijcie i przygotujcie się do wejścia na pokład.

- Zygzakuje w prawo - powiedział Addison.

- I jak dla mnie trochę za bardzo rzuca silnikami - mruknęła Kris. Ustawiła lasery w rozproszenie, wprowadziła odległość i zwiększyła moc do jednej czwartej. Strzelając salwą z trzech lase-

rów, miała dobry rozrzut. Wszystkie chybiły, ale czwórka była najbliższej. Szybko zacieśniła wiązkę i skupiła ją na miejscu, w które strzelał laser numer cztery. Ponownie chybiła, tym razem najbliższej była dwójka. Kris wypracowała nowe nastawy i jeszcze zacieśniła wiązkę. Poruszała palcami tak szybko, jak pozwalało na to trzy i pół g. Miała energii na dwa strzały.

Ponownie najbliższej był numer czwarty. Słuchając modlitw Toma o życie załogi, Kris wniosła poprawki do salwy. Oddała trzy strzały, korweta nie zmieniła kursu. Wstrzymała się chwilę z oddaniem czwartego, ale palce cały czas trzymała na panelu kontrolnym. Okręt flagowy wykonał szybki zwrot w lewo. Kris wniosła poprawkę i strzeliła. Czekwała długie sekundy. Wystrzelała cały zapas mocy „Tajfun”, by obramować okręt flagowy, zakłócić jego stabilność, a może pomóc komuś na jego pokładzie rzucić się na Sampsona.

Gdzieś na „Tajfunie” radar i lasery wyłączyły się. Gdzieś systemy grawitacyjne i optyczne dokonały obliczeń. Gdzieś komputer oszacował wyniki i przesłał je na ekran Kris. Wydawało się, że minęły wieki, zanim pojawił się odczyt. Piktoqram symbolizujący „Huragana” zafalował i rozpoczął serię dzikich pętli.

- Na Boga, Kris, obramowałaś ich! - krzyknął Tom.

- Jeszcze sekunda - dołączył Addison - jeszcze sekunda. Tak. Są poza zasięgiem skoku. Nie mogą wykonać skoku.

Kris opuściła dłonie na wyłącznik komunikatora.

- „Huragan”, nie macie kontroli nad okrętem, nie jesteście w stanie wykonać skoku. Na litość boską, wyłączcie silniki, zanim eksplodują. Nie pozwólcie temu draniowi wszystkich was zabić. Ja aresztowałam dowódcę. Możecie zrobić to samo z Sampsonem.

„Huragan” począł odzyskiwać stateczność. Wtem zwolnił.

- Tu komandor Horicson. Poddaję okręt oficerowi młodszemu. Komodor jest nieprzytomny. Czego ode mnie oczekujecie?

- Proszę zapewnić Sampsonowi opiekę medyczną. Wielu oficerów chciałoby z nim porozmawiać. Przyspieszenie okrętu ma pozostać na poziomie jednego g.

- Będą go mieli - padła odpowiedź z „Huragana”. - Bydlak prawie pozabijał nas wszystkich.

\* \* \*

Tak zakończyła się dziwna historia Szóstej Flotylli Szturmowej. Uroczystości przy Paris 8 dawno się skończyły, a floty wróciły do swoich domów, zanim Kris doprowadziła trzy okręty flotylli

do prędkości, przy jakiej dało się nad nimi pannać. Większość Flotylli Rozpoznawczej zdążyła na uroczystości, ale „Patton” pozostał na stanowisku jako punkt spotkania pozostałości Szóstej Flotylli.

„Tajfun” dotarł do starego krążownika na resztkach paliwa. Gdy tylko podłączono linię paliwową, Tom poklepał Kris po ramieniu.

- Nadchodzi wiadomość szyfrowa.

Dziewczyna przepuściła blok cyfr przez dekoder. Dla niej nie było to wcale takie tajne. Włączyła komunikator.

- „Tajfun”, „Huragan” i „Scirocco” mają spotkać się z pancernikiem „Wspaniały”, który nadal pozostaje na orbicie Paris 8. Cały personel podejrzany o pozostawanie w konspiracji będzie przetransportowany na „Wspaniałego,” a następnie na Wardhaven pod strażą. Wszyscy pozostali oficerowie mają zgłosić się na „Wspaniałego” w celu złożenia meldunków, a następnie zostają czasowo oddelegowani na Wardhaven jako świadkowie. Korwety otrzymają tymczasową obsadę oficerską, która odprowadzi je na Cambrię.

To wprawiło załogę w dobry nastrój. Tommy spojrział na Kris. Nie uśmiechała się.

- Coś o tobie?

- Tak. Podporucznik Kristine Longknife zostaje zwolniona z „Tajfuna” z rozkazem natych-

miastowego zameldowania się na Wardhaven.

- Zwolniona?

Kris wiedziała, że nie mogą zostawić jej na stanowisku dowódcy „Tajfunu”. Ale wykopać w ten sposób?

- Przynajmniej nie lecę pod strażą.

## ROZDZIAŁ 21

Kris zatrzymała się na szczycie schodów. Było wcześniej rano. Promienie słoneczne rozszczępiały się na kryształowym żyrandolu w foyer Starego Nuu, tworząc miniaturowe tęcze tańczące na płytkach. W takie wczesne poranki dużo młodsza Kris próbowała wraz z Eddym uchwycić te tęcze, licząc na obiecany w bajkach garniec złota. Czy dziś była bliżej znalezienia swojego końca tęczy? Głęboki wdech przywrócił ją do świata realnego, pełnego elektroniki. Świata dorosłej kobiety.

„Wspaniały” zadokował poprzedniego wieczora, Kris i Tom byli jednymi z niewielu, którzy opuścili pokład. Jak zwykle przy windzie czekał Harvey. Ku zaskoczeniu Kris Nelly otrzymała dwie wiadomości.

„Tak więc udało ci się wrócić w jednym kawałku - Al” - brzmiała wiadomość od dziadka. Miała ona także drugie, ukryte znaczenie Kris zaliczona została do bardzo wąskiego grona osób, które mogły kontaktować się z Alexem Longknife'em. Wiadomość od matki brzmiała po prostu: „Oczekujemy cię jutro na kolacji”. Przynajmniej rodzina nie odcinała się od buntowniczkii.

Jak kilka lat temu, dziadek „Kłopot” stał na dole. Dziś to Kris nosiła biały mundur, a dia-

dek ubranie cywilne. Stał plecami do niej, rozmawiając z dziadkiem Rayem. Mówił cicho, gestykując. Były prezydent potrząsnął głową. Robił to cały czas, odkąd dziewczyna pojawiła się na schodach. Potem ją zobaczył.

Oczy mu rozbłyły, a na ustach pojawił się szeroki uśmiech. „Kłopot” przerwał na chwilę tyradę, by zobaczyć, co tak ucieszyło rozmówcę. Następnie sam zamienił się w dumnego pradziadka.

- Czy mówiliśmy ostatnio, jaką pani jest cudowną kobietą, pani porucznik?

Kris zeszła na dół.

- Co was postawiło na nogi tak wcześnie rano? - spytała miękkim głosem.

- Spotkania - odpowiedział Ray. - A ciebie?

- Kolejna sesja ze śledczym. Zadaje te same pytania. Ja udzielam tych samych odpowiedzi. Lubi spotkania o ósmej rano.

- Przeżyłem kilka śledztw - zapewnił Ray. - I tobie się uda przeżyć.

Kris pokiwała głową. Strzelano do niej z broni automatycznej, z ciężkich laserów i przeżyła. Czemu miałaby się przejmować rozmową z analitykiem wywiadu? Albo kolacją z matką? W jakiś sposób dzisiejszy wieczór nie zapowiadał się na taki horror, jak to sobie przedtem wyobrażała.

- Co robicie z lunchem?

Pradziadkowie wymienili spojrzenia.

- Na pewno nie pójdę na lunch z tą bandą, z którą się spotykam - odpowiedział Ray.

- Ostatnio, jeszcze przed zaokrętowaniem - zauważył „Kłopot” - Kris chciała nam zadać kilka pytań.

- Pytań? - Ray uniósł brwi.

- Jeden z moich dowódców, ale nie Thorpe, powiedział, że jeśli zamierzam być jedną z tych przeklętych Longknife'ów, powinnam wiedzieć, co ci przekłęci Longknifeowie naprawdę zrobili i jak to przetrwali. Jak to się stało, że autopsja stwierdziła wybuch bomby przy samej twarzy ofiary, a zamachowiec uszedł z życiem.

- O - powiedział Ray, patrząc na „Kłopot”, który tylko uniósł w odpowiedzi brew. - Powinienem wiedzieć, że o to zapytasz. Okay, Kris, coś ci powiem, pod warunkiem, że przetrwasz swoją poranną rozmowę, a ja nie zlinczuję tej bandy, którą szanowny generał Tordon nasłał na mnie. Spotkamy się około dziesiątej trzydzieści na wczesnym lunchu.

- Dziesiąta trzydzieści? - zaprotestował „Kłopot”. - Ta banda będzie się dopiero rozkręcać.

Ray odpowiedział mu szerokim uśmiechem.



- Z kim wolisz spędzić czas: z nimi czy z nią?

„Kłopot” chrząknął.

- Z nią.

Wyszli na zewnątrz we trójkę. Harvey przyprowadził samochód Kris, ale wielka czarna limuzyna była pierwsza. Marine w zieleni Savannah przytrzymał drzwi dwóm starszym oficerom. Wsiadając, Ray wyglądał, jakby jechał na pogrzeb. Własny pogrzeb.

Kris podeszła do swojego samochodu. Harvey siedział za kierownicą, Jack obok niego. Zaden nawet nie drgnął, by otworzyć jej drzwi. Z charakterystycznym dla „Kłopoty” wzruszeniem ramion Kris otworzyła drzwi i wsiadła z tyłu.

- Co musi zrobić dziewczyna, żeby zasłużyć na taką obsługę?

- Kilka razy zbawić świat - uśmiechnął się Jack. - A do tego czasu ćwiczenia dobrze ci zrobią.

Kris polizała palec i zrobiła trzy kreski w powietrzu.

- Trzy razy zaliczone, ile jeszcze?

- Jeszcze trochę - odpowiedział Harvey i wrzucił bieg. - Wiesz, taki stary dziadek jak ja przyzwyczył się, że świat jest miły i spokojny. Może nawet nudny. To całkiem miłe dla takiego przyka, że do domu co wieczór przychodzą dzieciaki.

Kris pytająco spojrzała na Jacka.

- Jego najmłodszy wnuczek ma dziś po południu spotkanie z oficerem rekrutującym - wyjaśnił agent. - Po tym, cokolwiek to było, co wydarzyło się w systemie Paris, Wardhaven powiększa siły zbrojne.

Kris już zamierzała powiedzieć coś staremu przyjacielowi, ale zrezygnowała. Dopingował ją, gdy sama się zaciągała, ale adoptowane dziecko to jedno, a własne to drugie. Szukała słów i zrezygnowała. „Przepraszam, mam nadzieję, że będzie dobrym żołnierzem. Mam także nadzieję, że wróci po dwóch latach strasznie nudnej służby” już prawie zabrzmiało w jej ustach.

- Jestem pewna, że dobrze go wychowałeś - powiedziała w końcu.

- Tak, może za dobrze. - Kierowca sprawdził tablicę, ustawił automat i odwrócił się, by spojrzeć na dziewczynę. - Czy cały ten bałagan będzie coś wart dla nas, którzy po prostu chcemy wykonać swoją robotę i wrócić wieczorem do domu, żeby miło spędzić czas z dziećmi i wnukami?

- Nie wiem, co słyszałeś o sytuacji w Paris - zaczęła powoli Kris.

- Nie za wiele - przerwał Jack. - Media dość rzadko nas informowały - powiedział, a ona odniosła wrażenie, że ochroniarz wie sporo więcej niż kierowca. Kiedyś myślała, że Harvey wie

wszystko. Te czasy dawno minęły, ku nieopisanemu smutkowi Kris.

- Tak - powiedział Harvey. - Cały dzień byliśmy odcięci od wiadomości. Najdłuższa blokada, jaką pamiętam. Gdy monitory znów pokazały obraz, zobaczyliśmy uśmiechniętych generałów i admirałów. Czemu więc twój tata prosi parlament o podwojenie wydatków na siły zbrojne, a mojego wnuka, żeby zrezygnował z dobrej pracy i wstąpił do marynarki?

Kris oparła się wygodniej w siedzeniu. Była tak zmęczona podróżą z więźniami i przesłuchaniami, że nie miała czasu na wiadomości. Odrzuciła pokusę, by Nelly przygotowała jej szybki skrót. Jeśli prawda o tym, co się aktualnie działo, była tak zagmatwana, jak to wyglądało z wypowiedzi Harveya, nawet Nelly trudno byłoby wyłowić sensowny sygnał z tego szumu.

- Nie wiem - powiedziała w końcu dziewczyna.

Harvey powrócił do kierowania pojazdem. Jack delikatnie skinął głową, co mogło być zarówno wyrazem aprobaty dla Kris, jak i wynikiem podskoczenia samochodu na nierówności.

Gdy dotarli do dowództwa, ochroniarz dołączył do niej.

- Idziesz ze mną na spotkanie?

- Jak rozumiem, twoja ostatnia podróż by-

ła dość ekscytująca.

Podporucznik uśmiechnęła się.

- Ludzie mierzyli do mnie z broni. Zgłaszasz się do służby?

- A może to ty powinnaś unikać miejsc, gdzie nie mogę oferować swoich usług?

- A jakie usługi oferujesz?

- Przyjmuję twoje pociski - odpowiedział po prostu. - Reszta to twój problem.

- Bardzo przepraszam - powiedziała szczerze. Tak bardzo skoncentrowana była na sobie, że zapomniała o tym, że inni też pracują. I to po reprimendzie od pułkownika Hancocka.

Jack otworzył przed nią drzwi oznaczone OP-5.1.

- Pani porucznik, ma pani swoją pracę. Z tego, co rozumiem, jest pani w niej dobra. Ja mam swoją. Proszę się skupić na tym, co pani robi, a ja zajmę się swoimi obowiązkami.

Kris przedstawiła się cywilnej recepcjonistce, która skierowała ją do sali konferencyjnej. Pomieszczenie było zamknięte, a na drzwiach widniała czerwona tabliczka informująca, że to, co się dzieje za nimi, objęte jest klauzulą „Ścisłe tajne”. Jack uniósł brwi i usiadł w fotelu.

Za drzwiami Kris zobaczyła porucznika, który przesłuchiwał ją dwa razy dziennie, odkąd wsiadła na pokład „Wspaniałego”, oraz nieznanego

go komandora porucznika. Mężczyzna był w średnim wieku, oprócz oznaczeń stopnia nie nosił na mundurze polowym żadnych innych, ani nazwiska, ani przynależności do jakiegokolwiek jednostki.

Porucznik rozpoczął od zwykłych pytań. Jakie były obowiązki Kris na „Tajfunie”? Co wiedziała o celu podróży? Co tego ranka stało się na mostku?

Kris udzieliła zwykłych odpowiedzi. Jak zwykle, zajęło im to godzinę.

Wtedy do rozmowy włączył się komandor.

- Kto pomógł pani zaplanować bunt, poruczniku Longknife?

- Co? - Dziewczyna była zaskoczona nową linią ataku. - Nikt.

- Jak długo planowała pani bunt?

- Nie planowałam go.

Ale seria szybkich pytań trwała - kto, co, kiedy, gdzie i jak. Każde kończyło się paskudnym słowem „bunt”. Po jakichś pięciu minutach Kris zaczęła tracić cierpliwość.

- Komandorze, działania komandora Sampsona i komandora Thorpea nie pozostawiły mi wielkiego wyboru. Co miałam zrobić? Wypełnić rozkaz i zaatakować flotę Ziemi?

- Nie, nie, pani porucznik - zaprzeczył komandor. - Ale musi pani przyznać, że gładki spo-

sób, w jaki przejęła pani okręt, zmusza do zastanowienia, czy nie planowała pani czegoś wcześniej i nie wykorzystała nielegalnej akcji przełożonych jako sposobu zalegalizowania swojego planu.

- Gówno prawda!

Następną godzinę spędziła na wyjaśnianiu komandorowi, czemu uzbrojeni marines postanowili pójść za nią, zamiast wykonywać rozkazy dowódcy okrętu. To, że miała rację, absolutnie się nie liczyło.

Gdy przesłuchanie dobiegło końca, Kris była wyczerpana. Dzień na zewnątrz był zbyt piękny, jak na jej obecne samopoczucie. Zauważyła miniaturowy park: kilka drzew, krzewów i ławkę. Usiadła.

- Jak poszło? - spytał Jack, siadając obok.

- Na razie mnie nie powiesili - mruknęła.

Była wściekła, sama powiesiłaby kilka osób, poczynając od anonimowego komandora. Czego się po niej spodziewał? Że wykona rozkazy, spopieli ziemską flotę, a po wojnie powie reporterom gazet zwycięskiej strony: „Po prostu wykonywałam rozkazy”? Niedoczekanie!

Wzięła głęboki oddech, w powietrzu czuć było zapach drzew i morskiej wody.

- Do diabła z drugim końcem tęczy - szepnęła.

Jack kontynuował swą dyskretną opiekę, podczas gdy dziewczyna próbowała wziąć się w garść. Musiała coś zrobić. Co miała w planach? Racja, spotkanie z dziadkami. Pięknie to musi wyglądać: oskarżają mnie o bunt, a ja biegnę poskarżyć się dziadkom generałom. Trzeba to odwołać.

Ale czemu? Mylili się w sprawie buntu, mylą się co do niej i dziadków. „Pieprzyć to. Właśnie zaczynam ich naprawdę poznawać i nie pozwolę jakiemuś dupkowi bez nazwiska tego zepsuć”. Kris wstała. Nigdy nie znajdzie żadnego końca tęczy, jeśli pozwoli się w to mieszać ludziom takim jak komandor.

Zatrzymała się po dwóch krokach. Zamierzała uwzględnić Toma w spotkaniu z dziadkami, pozwolić mu zobaczyć, jacy „ci Longknifeowie” są w rzeczywistości. I nie ma siły, która ją przed tym powstrzyma.

- Nelly, zadzwoń do Toma.

- Jak poszło? - spytał sekundę potem przyjaciel.

- Nie najgorzej - odpowiedziała. - Chcesz się spotkać?

- Nie mam nic do roboty aż do następnej rozmowy ze śledczym o czternastej - zaśmiał się Tom. - Gdzie chcesz się spotkać?

- Zadzwonię za sekundę. - Rozłączyła się.

- Nelly, połącz z Rayem albo „Kłopotem”.

- I jak spotkanie? - w chwilę potem zapytał Tordon.

- Nic, czego nie mogłabym przetrwać. A wasze?

- Wydaje mi się, że dokonaliśmy wszelkich możliwych spustoszeń. - Śmiech, który temu towarzyszył, zdecydowanie brzmiał złowieszczo. Ale dziadek nie miał w sobie cienia zła. A może miał?

- Gdzie jesteście?

Dziadek podał adres.

- To w okolicach mojego uniwersytetu.

- Tak, ktoś pomyślał, że tak będzie łatwiej uniknąć reporterów. Chyba zadziałało. Znasz tu jakieś fajne miejsce, gdzie można zjeść?

- „Scriptorium”. Powinni być tam tylko studenci. Nelly, prześlij dziadkowi mapę.

- Widzimy się więc tam, jak tylko uda nam się dotrzeć. Powiedzmy, za piętnaście minut.

Nie poszło tak źle. Kris uśmiechnęła się do siebie.

- Nelly, powiedz Tomowi, że spotykamy się w „Scriptorium”.

Jack odchrząknął.

- Nie ostrzegasz go, z kim się spotka?

- A po co psuć mu ranek? - zaśmiała się, czując, jak mija jej podły nastrój.

Harvey nie miał problemów ze znalezie-



niem miejsca do parkowania.

Jack wprowadził Kris do pomieszczenia. Nawet tak wcześnie rano studenci już tu byli, unikając zajęć, przygotowując się do testów albo randkując. Jack wszedł dalej. Wskazał dziewczynie stolik, przy którym uprzednio siedziała z ciotką Tru. O dziwo, starsza kobieta była już na tym samym miejscu.

- Co tu robisz? - spytała zaskoczona Kris.

- A czego się spodziewasz? Nelly tyle razy wypytuje Sama o różne rzeczy, że chyba mogłam sięgnąć twój kalendarz.

- Nelly, musimy pogadać - powiedziała dziewczyna, tłumiąc śmiech.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobiła - odpowiedziała Sztuczna Inteligencja z czymś, co można by uznać za urazę.

- Co podać? - spytał student-kelner, bez zmrużenia oka akceptując mundur Kris. Marynarka nie była tu już niemiłe widziana.

- Kawę.

- Kawa - zamówili pozostali.

Tommy minął się z kelnerem idącym po zamówienie. Siadł na krześle naprzeciw przyjaciółki.

- Jak minął ranek?

Kris rozważała przez chwilę uprzedzenie, co go czeka, ale zdecydowała, że lepiej będzie, je-

śli zostawi sobie możliwość zeznania pod przysięgą, że w żaden sposób nie omawiała zeznań z kolegą.

- Gorzej niż zwykle, lepiej, niż gdybym miała spędzić go z Thorpeem.

Kelner wrócił z dzbankiem kawy i filiżankami. W tym momencie weszli dziadkowie. Gdy stanęli obok stolika Kris, kelner rzucił zwykłe:

- Co podać?

Chwilę później uważniej popatrzył na nowych gości, opadła mu dolna warga, a oczy zrobiły się ogromne.

- Szanowni panowie - dodał.

Generał Tordon wydawał się przyzwyczajony do takiej reakcji.

- Piwo, ciemne, niepasteryzowane.

Rozejrzał się wokół stołu. Jack i Kris odmówili, Tom nie mógł z wrażenia wykrztusić słowa.

- A więc pięć piw proszę.

Gdy kelner udał się do baru, „Kłopot” usiadł na ostatnim wolnym krześle. Jack poderwał się i odstąpił swoje Rayowi.

- Panie prezydencie.

- Już nie prezydencie - powiedział „Kłopot”, tłumiąc śmiech, podczas gdy Ray się nachmurzył. Ignorując go, generał zwrócił się do wnuczki: - Kim są ci przystojniacy?

- Toma miałbyś szansę poznać na przyjęciu, gdyby tak bardzo się nie ukrywał. Zawsze był moją prawą ręką, a szczególnie ostatnio, na „Tajfunie”.

- Dobra robota, synu - odpowiedzieli obaj dziadkowie.

Kris zorientowała się, że przyjaciel może nie przeżyć, jeśli uwaga Longknife'ów będzie skoncentrowana na nim choć chwilę dłużej.

- Ten drugi facet to mój nowy agent Tajnej Służby. Jack, poznaj „Kłopot”. Usiłuje być moim pradziadkiem, ale według mamy to tylko kłopot.

- Nadal?

- Nie wybaczyła ci jeszcze wciągnięcia mnie w wyścigi orbitalne.

- Kobiety mają stanowczo zbyt długą pamięć.

- Przepraszam, będę przy drzwiach - powiedział Jack, wycofując się, a jednocześnie starając się podzielić uwagę między towarzystwo i ochronę. Kris prawie się roześmiała, ale doskonale pamiętała, czyją pracą jest chwytanie kul przeznaczonych dla niej.

Tordon chwycił go za łokieć.

- Nie ma mowy. Jesteś z nami. A poza tym ten stary dziwak obok mnie potrzebuje specjalnej ochrony.

- Przed kim? - spytał agent.

- Przed samym sobą.
- Mogę sobie poderżnąć gardło - dołączył

Ray.

- Nie daj mu się zmylić - powiedział „Kłopot”, biorąc krzesło od sąsiedniego stolika i podsuwając Jackowi. - Ray cieszy się jak dziecko.

- To na razie luźny pomysł - odparł Ray. - W połowie upieczony. Ludzie nie wiedzą jeszcze, czego chcą, i to całe zamieszanie jest sposobem na rozwianie kłopotów.

Nie wyjaśniając, o co chodzi, zaczęli, aż zostanie podane piwo. „Kłopot” uniósł kufel do toastu, wszyscy dołączyli do niego automatycznie z piwem lub kawą.

- Za Jego Wysokość króla Raymonda Pierwszego!

Kris stuknęła się ze wszystkimi szklankami, głównie dlatego, że „Kłopot” postarał się o to, aby hałaśliwość toastu zamaskowała nieco pąs, jakim oblał się Ray.

- Król kogo i czego? - spytała dziewczyna, upijając łyk kawy.

Patrząc na drugiego z dziadków, Ray wyjaśnił:

- Starzy żartownisie, którym wydaje się, że wszystko lepiej wiedzą, uznali, że łatwiej będzie im zarządzać osiemdziesięcioma planetami tworzącymi nową federację, jeśli ich politykowa-

nie będzie firmował król. Do jutra to przemyślą i zdadzą sobie sprawę, jaki to głupi pomysł.

Ray uniósł kufel.

- Za ciszę i spokój na starość.

Harvey i Kris dołączyli do niego.

Ignorując ich, „Kłopot” stwierdził, popijając duży łyk:

- Chyba w twoich snach.

- Chcą rzecznika praw - powiedział Ray. - Świetnie, mogę być rzecznikiem. Nie potrzebuję do tego korony.

- Bez korony nie przetrwasz nawet tygodnia. Powiesz im, żeby zabierali swoje manatki i wynosili się z Santa Maria.

- Przynajmniej tam robię coś ważnego.

„Kłopot” pokręcił głową.

- Tak jakbyś tutaj nie robił. Ray, starszku, wszystko, co przez osiemdziesiąt lat budowaliśmy, rozpada się.

Kris rozejrzała się po „Scriptorium”. Widziała studentów, których życie było zależne od różnych starszych ludzi. O ile wszystko by było łatwiejsze, gdyby rządili ludzie tacy jak Ray i „Kłopot”.

- Pieprzyć to, swoje już odsłużyliśmy. W każdym porządnym świecie wachałobyśmy już kwiaty od spodu, a dzieciaki pokroju Kris miałyby swój czas. To nie fair.

Kris oparła się wygodniej, wczuwając się w targające nią emocje. Była zadowolona, że dziadkowie są wciąż w pobliżu i można na nich liczyć, gdy są potrzebni. Tak, to był jej świat, ale nie miała nic przeciw podzieleniu się nim.

„Kłopot” sięgnął przez stół i dotknął łokcia przyjaciela.

- Nadal tęsknisz za Ritą.

- Codziennie, ale nie o to chodzi. To naprawdę powinny być światy Kris.

Teraz ona nachyliła się do człowieka, który był dla niej więcej niż ikoną.

- Dziadku, to są moje światy. Ale to nie znaczy, że nie ma w nich miejsca dla ciebie. Należą do mnie i tych dzieciaków przy innych stolikach, do ciebie również. Wygląda na to, że wszyscy mamy problem. A jeżeli wszyscy potrzebujemy kogoś, komu można ufać, kogo znają jako dobrego człowieka, to... Jak to mówiono w twoich czasach? „Zbieraj graty, żołnierzu!”

- Prawdopodobnie częściej niż w twoich.

- A teraz opowie ci o chodzeniu do szkoły trzydzieści kilometrów dziennie, pod górę, w każdą pogodę - uśmiechnął się „Kłopot”. - Czy to nie ty mówiłeś przed chwilą, że trzeba ich szanować i oddać im świat?

- Oddać świat owszem, szanować nigdy!

To wzbudziło ogólną wesołość. Ray spo-

ważniał pierwszy.

- Nadal uważam, że ta cała idea królestwa nie została przemyślana. Podobnie jak pomysł, żeby nikt z rodziny królewskiej nie mógł zasiadać w parlamencie.

Kris, jako była studentka nauk politycznych, zastanowiła się. Ona i jej przyjaciele wyrażali tu czasem podczas dyskusji bardzo ciekawe pomysły. Ten był dla niej nowy.

- Co chcą zrobić?

- Chcą odciąć pieniądze od polityki - wyjaśnił Tordon. - Przez dwadzieścia lat król ani żaden jego bliski krewny nie może kandydować do parlamentu ani ofiarowywać pieniędzy na cele polityczne. Mają nadzieję, że to utrzyma duży kapitał z dala od polityki. Zauważyliśmy, że twojego ojca tam nie było.

Dziewczyna doskonale wiedziała, że pieniądze były paliwem polityki. To podejście miało tę zaletę, że nigdy nie zostało wypróbowane. Ale wspomnienie o ojcu znaczyło, że schemat dotyczył także Kris.

- Spokojnie, dziadku. Będiesz wspaniałym królem, ale to chyba nie znaczy, że ja mam zostać jakąś księżniczką. Mam wystarczająco dużo kłopotów, będąc dzieciakiem premiera.

„Kłopot” wybuchnął śmiechem, Ray uśmiechnął się drapieżnie. Kris pomyślała, że po

takim właśnie uśmiechu flota Iteeche przestała istnieć.

- A co by się stało, gdybyśmy mianowali kogoś księciem lub hrabią?

- Nie jestem pewien, czy ci pozwolą. Nic nie wspominali o szlachectwie.

- O wielu rzeczach nie wspominali.

Kris potrząsnęła głową.

- Czemu odnoszę wrażenie, że powinnam siedzieć cicho?

- Nie, księżniczko - powiedział „Kłopot” ze złośliwym uśmiechem. - To jest właśnie rodzaj rozmów, które twoi dziadkowie lubią najbardziej. Podsuwanie nam, starym chłopom, wspaniałych pomysłów.

- Nie, złych pomysłów. Bardzo złych pomysłów.

Dziadek Ray przez moment siedział, patrząc na nich z lekkim uśmiechem. Wyglądał przy tym tak, jak w opinii Kris powinien wyglądać król.

Zanim skończyła myśl, Ray wstał. Wszyscy inni podnieśli się razem z nim. Wzniósł kufel, reszta podążyła za nim.

- Za nas i takich jak my. Niech zawsze będzie wystarczająco wielu tych nielicznych, którzy sprawiają, że świat kręci się dla większości.

A więc to było boskie uczucie, być w jednym szeregu z takimi jak „Kłopot” i Ray. To wła-



śnie znaczyło należeć do nielicznych.

W tym momencie Nelly przesłała jej swój odpowiednik uprzejmego chrząknięcia.

- Kris, jesteś wzywana do generała McMorrisona na pierwszą.

- O - powiedziała Tru. - Jedna z tych wspaniałych piątkowych pogaduszek z szefem.

- Chcesz, żebyśmy poszli i szepnęli słówko? - zaoferował „Kłopot”.

Kris wyprostowała ramiona.

- Nie, panie generale. To mój problem. Dam sobie z nim radę. - „To moja kariera, lepiej, żebym umiała dać sobie z tym radę”.

- Nie spodziewałem się innej odpowiedzi - powiedział Ray. - W co Longknife wdepnie, z tego samodzielnie wyłazi.

- Prawdopodobnie dlatego, że nikt inny nie jest w stanie wdepnąć tak mocno, tak szybko i tak głęboko - dodał „Kłopot”.

Kris zaśmiała się, zdając sobie sprawę, że właśnie dają jej wszystko, co mogli dać. Żart, śmiech i przekonanie, że jest w stanie sama poradzić sobie z problemami.

\* \* \*

Podobnie jak rano, Jack odprowadził Kris do dowództwa marynarki. Przeszli kilka korytarzy, zanim agent powiedział:

- Tu jest biuro Maca.

Otworzył drzwi, a dziewczyna przedstawiła się sekretarce generała.

- Podporucznik Longknife, melduję się na wyznaczone spotkanie.

- Generał czeka na panią.

Młoda oficer wyprostowała plecy i pomaszerowała. Jak ciężko mogło być? Uratowała małą dziewczynkę, dała się wysłać na planetę błota. Nakarmiła tam wielu ludzi i niemal utonęła dla honoru. Poszła w piekło pierwszej potyczki ogniowej tylko po to, by uświadomić sobie, że w następnej musi lepiej wybierać cele. A teraz przeprowadziła bunt i wzięła udział w małej bitwie okrętów po to, aby zapobiec większej. Wyjaśnienie szefowi Sztabu Sił Zbrojnych jej ojca, dlaczego i jak to zrobiła, nie powinno być bardzo bolesne.

Drzwi otworzyły się. Generał McMorrison siedział za biurkiem, pogrążony w meldunkach.

Dziewczyna doszła do właściwego miejsca naprzeciw, ale gdy to zrobiła, oficer wstał. Mały, drobny człowiek, wyglądający bardziej na księgowego niż wojownika. Poruszał się szybko i cicho. Wrażenie księgowego prysło.

Kris zasalutowała, generał oddał honory i szybko podał jej rękę. Gdy ją uścisnęła, powiedział:

- Dobra robota, poruczniku, bardzo dobra.

Całkiem nieźle, jak na początek.

- Dziękuję, panie generale.

- Może usiądziemy - zaproponował, wskazując kanapę. Siadła na końcu, generał przystawił sobie fotel naprzeciwko niej. Tak jak pokój dziadka Alexa był szary, tak ten został pomalowany na beżowo. Ściany, dywan, meble. Nawet generał ubrał się w pustynny mundur połowy.

- Myślę, że powinienem zacząć od podziękowania pani za uratowanie mojej głowy. Wszystko, co mogłem myśleć, gdy zobaczyłem zachowanie Szóstej Flotylli, to to, że flotylla prowadzi wściekłe resztki floty Ziemi prosto na pozycje Wardhaven.

- Taki był zamiar komodora Sampsona?

- Tak, ale to poufne. Politycy znajdą sposób, żeby to wygładzić.

- Nie będzie im łatwo - powiedziała Kris. - Dokąd Sampson próbował uciec? Kto mu płacił?

- Sprawdziliśmy jego konto bankowe. Nie przypuszczam, żeby ktoś mu płacił - powiedział generał. - Myślę, że robił coś, w co wierzył.

Kris przypomniała sobie wszystkie rozmowy i uznała, że to może być prawda.

- Ale musiał gdzieś zabrać okręty. To chyba nie był początek wielkiego przewrotu na Wardhaven.

- Nie, najprawdopodobniej działał sam.

Uniknął powiedzenia nam, gdzie zamierzał zabrać flotyllę.

- Uniknął?

- Komodor Sampson zmarł dziś w nocy na atak serca.

To wzbudziło czujność Kris.

- Prawdziwy czy...?

- Ten drugi. - Generał zasępił się. - Jesteśmy w stanie przeszedź przepływ pieniędzy. Facet, który przyniósł mu kolację wczoraj wieczorem, miał dziwnie okazałe konto.

- Zechciałby pan powiedzieć mi, dokąd prowadziły pieniądze?

- Spodziewam się, że jeśli nie powiem, Tru wyciągnie tę informację z mojego komputera. - Prawie się uśmiechnął. - Do małej firmy na Greenfeld.

- Ironclad Software.

- Tak. Zauważyliśmy już też to nielegalne oprogramowanie w waszych okrętach - powiedział generał, siadając wygodniej. - Jedna informacja, którą może być pani zainteresowana osobiście, to taka, że to komodor Sampson osobiście wybrał „Tajfuną” do misji na Sequimie. Był wściekły, że zrujnowała mu pani cały plan. - McMorrisson wyglądał na zainteresowanego. - Co on zrobił?

- Ja i moi marines mieliśmy wykonać noc-

ny zrzut... na pole minowe – odpowiedziała Kris, jednocześnie ciesząc się, że zna już odpowiedź na jedno pytanie, i frustrując faktem, że Sampson nie odpowie już na żadne inne. – Czy udaje się wyciągnąć coś z Thorpea i reszty?

– Bolesnie mało. Twierdzą, że komodor Sampson nie powiedział im dokładnie, jakie ma plany. Po prostu wykonywali rozkazy. – Generał zrobił smutną minę.

– I co z nimi zrobicie?

Odpowiedź na to pytanie była ważna dla buntowniczkii.

– Powiesić ich na najwyższym maszcie, nawet gdybym miał go sam zbudować, to jest to, co chciałbym zrobić. Ale nic to jest prawdopodobnie to, na czym się skończy.

– Nic? – wyrwało jej się, zanim zdążyła się pohamować. „Dziewczyno, musisz coś uczynić z tym robieniem czegoś, zanim pomyślisz”.

– Nic – powtórzył Mac. – Na pewno się dziemy im na wypłatę, co odbije się na emeryturze. Ale proces zapewniłby im tylko publiczność, której pragną. I niech mnie diabli, jeśli chcę, żeby jedni moi oficerowie zastanawiali się, czy mogą ufać rozkazom innych, czy też żeby obywatele Wardhaven nie byli pewni, czy mogą zaufać moim oficerom.

Trudno się było z tym nie zgodzić. Odpo-

wiadało to także na niezadane pytanie Kris, co ją czeka.

Mac sięgnął pod stół i wydobył dwa małe pudełka. Otworzył jedno i podał dziewczynie. Legia Zasługi - piękny medal. Drugie zawierało Krzyż Marynarki - bardzo piękny medal.

Potrzymała je chwilę, zamknęła pudełka i oddała generałowi. Mac wziął je i położył na stole naprzeciw niej.

- Czytałem raport pułkownika Hancocka. Dobrze się pani spisała. Bardzo dobrze, jak na oficera młodszego - nacisk położony został na słowo „młodszego”.

Kris zignorowała to i podziękowała.

- Legię Zasługi zdobyła pani na Olimpij - powiedział generał.

Kris skinęła głową, ale nie zapytała, czemu Krzyż Marynarki leży na stole. Mac patrzył na nią w przedłużającej się ciszy.

- Jest pani problemem, poruczniku - powiedział w końcu. Tym razem wyciągnął z szuflady cienki arkusz plastiku, który jej podał. Była to jej rezygnacja z datą z dzisiejszego dnia.

Kris zachowała kamienną twarz, choć żołądek wyczyniał dzikie harce. To po prostu następna walka. Nie taka jak poprzednie. Amunicją był plastik, a ten nie zabijał.

- Chce pan, żebym to podpisała?

- Proszę dziś zrezygnować, a wręczę pani Krzyż za tę część operacji na Paris, która nigdy nie miała miejsca.

„General politykuje”.

- To pomysł mojego ojca?

- Choć pani ojciec tego publicznie nie powie, bardzo tego chce, a ja publicznie mu odmówię. Połowa moich oficerów będzie chciała za to mojej głowy.

To faktycznie był politycznie gorący ziemniak na kolanach. Kris spojrzała na plastik.

- To czemu prosi mnie pan o rezygnację?

- Zwolniła pani swojego dowódcę okrętu, jego przełożony próbował panią zabić. Poruczniku Longknife, komu mam panią przydzielić?

Kris spróbowała zobaczyć się z perspektywy Maca. Hancock mógłby ją przyjąć. Czy na pewno? To było kształcące doświadczenie dla nich obojga. Ale nie potrzebowała powtórki. Jej pierwszym wyborem była służba na okręcie. Ale jaki skipper chciałby mieć ją na mostku? Niemożliwe, by dali jej własną jednostkę, podporucznicy nie dowodzą. Ponadto każde stanowisko dowódcze jest podporządkowane komuś. Mac odpowiadał przed jej ojcem, a ten, jak dobrze wiedziała Kris, uważał za swojego szefa każdego wyborcę.

- Nie wiem, kto mógłby mnie chcieć. Ale musi być w marynarce jakieś miejsce dla mnie -

powiedziała, kładąc rezygnację na stole między nimi. – Nie podpiszę tego.

– Czemu?

– Bo chcę zostać w marynarce, panie generale.

– Czemu? – spytał ponownie.

– Kiedyś stara chorąży spytała mnie, po co wstąpiłam do marynarki. Nie była zachwycona moją odpowiedzią.

Generał uśmiechnął się, zostawiając niedopowiedziane pytanie, czy miał kiedyś podobną sesję.

– Kapitan górali opowiedziała mi historię o tym, jak jej i mój dziadek przetrwali na Czarnej Górze i co to znaczyło, i co znaczy być oficerem w ich cieniu – chyba zaskoczyła generała. W kilka następnych słów włożyła całą pasję: – Panie generale. Jestem w marynarce. To mój dom. Nie odejdę stąd.

Mac spojrział na dokument, westchnął i włożył go do niszcarki. Słowa znikły, jakby nigdy nie zostały napisane.

– To załatwia sprawę. Mała rada dla pani. Połowa korpusu oficerskiego kibicuje pani, dla drugiej połowy jest pani buntowniczką, którą należy ukarać wraz z innymi. Powodzenia przy oddzielaniu jednych od drugich.

Sięgnął po medale. Najpierw wziął Legię



Zasługi.

- Jak już mówiłem, zasłużyła pani na to na Olimpii. - Podał jej pudełko. - Nie będzie oficjalnej ceremonii.

Kris spojrzała na medal. To nie tak miało być. Jej podwładni na Olimpi, ludzie tacy jak Willie, zasługiwali na coś więcej. Ale przez nią nie będzie oficjalnej ceremonii. Czy to wszystko zawsze musi się tak mieszać?

Następnie generał wziął Krzyż Marynarki, otworzył pudełko, popatrzył na medal i zamknął ponownie.

- O tym pomyślimy chwilę. Zobaczymy, co Ziemia będzie miała do powiedzenia na temat pani roli w tej sprawie przy Paris.

Kris zaczęła wstawać, ale usadził ją gestem. Z szuflady wyciągnął następny arkusz plastiku.

- Obecne warunki wymagają wielu decyzji. Będziemy awansować grupę podporuczników. Wydaje się, że właśnie minęła pani minimalna kadencja w stopniu podporucznika. Tak więc, zamiast przeciągnąć panią pod kilem, promuję panią. - Spojrzał na dziewczynę. - Wie pani, czysty przypadek.

- No tak, szczęśliwa data promocji - zapewniła go, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Generał obszedł stół i jeszcze coś wycią-

gnął. Chwilę zajęło, zanim zorientowała się, co to jest. Co robi generał wojsk lądowych z parą naramienników porucznika marynarki?

- Mój ojciec był w marynarce - powiedział. - Nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczył mi wstąpienie do armii. To były jego pagony. Chciałbym, żeby je pani nosiła.

Kris zamruła. Nie tego się spodziewała, wchodząc do tego pokoju.

- Będę zaszczycona.

Generał McMorrison zdjął jej pagony z munduru i zastąpił je swoim podarunkiem.

- Właściwie to je oddaję. Zostały przekazane mojemu ojcu przez pani świętej pamięci prababkę Ritę Nuu Longknife. Dowiedział się o swoim awansie na „Oazie”, wioząc ją i Raya na spotkanie z Urmem.

Kris zadrżała, babcia Rita zginęła w wojnie z Iteeche. Nie wszyscy Longknifeowie przetrwali, by słuchać, jak media im to wypominają. Stojąc wyprostowana, dziewczyna czekała, aż generał skończy. To nie przypadek, że pagony wydawały się cięższe.

- Postaram się nosić je tak godnie jak pana ojciec i moja babka.

- Jestem pewien, że tak będzie.

Kris zasalutowała, wolno wymaszerowała z biura. Wchodząc, spodziewała się wyjść jako cy-

wil. Wychodziła starsza stopniem. Awansowana! Po raz pierwszy w życiu wiedziała, czego chce. Zażądała tego. Odmówiła poddania się i oto nagroda. Z uśmiechem wyszła na słońce. Na niebie migotała tęcza, ale Kris wiedziała już, co jest po drugiej stronie.

- Jak widzę, nie powiesili cię - powiedział Jack.

Kris podskoczyła lekko.

- Nie, zmarnowali szansę. Marynarka nadal ma swoją Longknife.

- Czemu w tle słyszę; „Boże, miej nas w opiece”? - spytał Jack.

- Bo to może być prawda - odpowiedziała Kris i pomachała do Harveya.